PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY. — TOM LXXVIII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1903.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1903

POŻEGNALNY WYSTĘP HERBERTA SPENCERA.

Przemówił Herbert Spencer i, jak sam to przewiduje, podobno już po raz ostatni przemówił. Wydał książkę, dość omawianą w szerszych kołach, *Facts and Comments* [1], i w przedmowie do niej wyznaje szczerze, że ją zebrał troskliwie z różnych swoich, nawet ulotnych myśli, rzuconych kiedykolwiek na parę stronic jakiegobądź czasopisma. Każdą pracę swoją, choć drobną, uszanował. Nie czekał świadectwa cudzego; sam dla siebie bardzo grzeczny, wydał o sobie sąd, że w niektórych utworach napisał coś pospolitego pod jakimś względem, ale uważa, że we wszystkich innych ogłosił poglądy ciekawe a nawet doniosłe. Czy mógłby tych utworów nie przekazywać pamięci przyszłych pokoleń? pomyślał o tem, ale ta myśl nie była mu miłą: więc przez dwa lata korzystał z każdej chwili swobodnej, aby wydać te pisma w zbiorku osobnym.

W książce tej wielbiony przez ewolucyonistów filozof nie zawiódł ich nadziei, ale ani nie przerósł sam siebie: wycisnął dobitną pieczęć na dawnych wadach i zaletach swojej myśli filozoficznej. Zwyczajem starca, może nawet częściej, niż poprzednio, opowiada czytelnikowi szczegóły, zdolne obchodzić zwłaszcza wydawcę jego dzieł zbiorowych: więc np. napisał ustęp o schyłku żywota, w którym usiłuje uspokoić, — nie wiadomo, czy kogo innego, czy sam siebie, — przed trwogą na myśl

[1] Williams 7 Broad Street Oxford 1902.

o śmierci. Przy końcu rozdziału znienacka uwiadamia czytelnika, że wydał przed trzema latami książkę *The Principles of Biology*, i że tam byłby znalazł miejsce stosowne na powyższy rozdział, ale późno o tem pomyślał.

I nie w jednym wypadku wielbiony przez wolnomyślnych myśliciel tak sam o swoich utworach gwarzy z czytelnikiem, jakby wydawca cennych papyrusów zdawał sprawę z porządku, w którym poustawiał rozsypane rozdziały. Podobnie Spencer zapisał kilka stronic o tem, że każde jestestwo i każde zjawisko dziś obecne na świecie zależy od niezliczonych przyczyn poprzednich i samo sprawić może niezliczone skutki po sobie. Niejeden czytelnik pomyślał pewno, że ten to właśnie utwór należy do owych „pospolitych pod jakimś względem", aż znajduje w końcu słowa: „Dla wielu czytelników będzie to oczywistem, że poprzednie ustępy należycie opracowane, powinnyby tworzyć rozdział we *First Principles*, po raz szósty wydanych przed rokiem; ale niepodobna oczekiwać, żebym wydał je jeszcze raz przed śmiercią, bo nie tak prędko księgarze je rozsprzedają. Więc nie zdołam w tamto dzieło wcielić powyższych zasad, świeżo odkrytych; nie zostaje mi inna droga, jak wciągnąć je treściwie do niniejszego zbiorku" [1].

Pisarz tak starannie dbały o każdy swój utwór i jego dzieje, nie może łatwo zapomnieć, który ustęp jego dzieł kiedy znalazł przeciwników. Dziwnie pamięta swoje spory z przeciągu kilkudziesięciu lat: niczego nie daruje czytelnikom. Niechże wiedzą, że Herbert Spencer przed czterdziestu latami napisał

---

[1] Tę wadę posiadał Spencer od dawna. Już przed trzydziestu pięciu latami wydał po raz wtóry swoje *First principles* i w przedmowie najskrzętniej donosi o drobnych nawet zmianach w napisach rozdziałów i w porządku paragrafów (str. VI, VII) i o czasopismach, w których kiedy umieszczał pojedyncze ustępy (X, XI, XIII); również w ciągu dzieła wtajemnicza czytelnika w swoje zamiary, kiedy któregoś ustępu chce użyć w innem dziele albo już użył (str. 237, 337, 529). Podobnie postępuje, chociaż rzadziej, w *Principles of Ethic*, gdzie (I p. nro 21, 45) porusza czasem myśl, którą dawniej kiedyś sam wyraził w jakimś liście: przytacza tedy ów list z datą, z wzmianką do kogo pisał i nakoniec z uwagą, że już ten list wyszedł z druku w tej czy owej książce.

The Origin and Function of Music, że jedną z najprędzej napisanych ocen tego utworu znalazł w *The Power of Sound* i w *Fortnightly Review* z r. 1876-go, pióra pana Edmunda Gurneya, że temu panu dał odprawę tam a tam w roku i na stronicy dokładnie wyliczonej; że potem w *Mindzie* dr. Wataschek, temu dwanaście lat, bronił przeciwnego stanowiska i dostał odprawę od Spencera; że potem pan Combarieu, a potem pan Newman i t. d. i t. d. podnosili zarzuty, na które pan Spencer zawsze zwycięsko odpowiadał. Dowiódł mianowicie każdemu, kto ślepo w Darwina wierzy, że jak mowa ludzka powstała z pisków i mruków zwierzęcych, tak muzyka pierwotnie polegała na kolejnych zmianach głosu, a nie na powrocie dźwięków podobnych, miarowo przerywanych, bo wróbel świergocze jednostajnym głosem po równych przerwach, a nie uchodzi za śpiewaka; przeciwnie mówimy, że kos śpiewa, bo zmienia głos. Swoją drogą po angielsku mógł Spencer ułożyć ten dowód, ale Polak mówi, że kos gwizda, bo dla Polaka kolejna zmiana głosu nie wystarcza jeszcze do śpiewu: więc dopiero po nauce, kiedy kos naśladuje np. słowika, mówimy, że śpiewa. W zwrocie tedy angielskim szuka Spencer dla Darwina podpory i nie odstępuje od raz powziętej myśli, choćby miał bronić jej przez czterdzieści lat.

Wytrwale stoi przy swoim pomyśle, choćby wszedł z nim na pole obrobione nie przez filozofię, tylko przez zawodowy dział wiedzy bardzo daleki. Wpadł np. przed dwudziestu latami na domysł, że po nocy pogodnej wiatr zwłaszcza południowozachodni sprowadza dżdżysty poranek. Donosi, jak wyraził tę uwagę jowialnie słowami, że kiedy ziemia zrzuci kołdrę w nocy, przeziębia się i płacze rano. Opisuje dalej, że powierzył tę myśl jakiemuś meteorologowi, który nie przypisał do niej wagi szczególnej. Obrażony Spencer posyła list za listem do meteorologa z wymówkami, iż nie znajduje w nim zwolennika, dość uważnego na każdy odcień jego pomysłu. Po ostatnim liście, dość cierpkim, nie odzyskał jeszcze dotąd równowagi przez lat blizko czternaście: wytacza cały spór przed czytelnika, któremu po-

wtarza swoje listy z datami i dopiskami, jakby rozprawiał przed sądem.

Również dobrodusznie rozprawia o swoim stylu. Chyba obszerny podręcznik literatury roztrząsa tak pilnie język pierwszorzędnego pisarza, jak on swój własny. Spencer zdaje sprawę, co za zasadę obrał pod względem języka i kiedy mógł ją zachować najwierniej. Ale na niezwykły stopień wiary w siebie samego wstąpił, kiedy uprzedza czytelnika, żeby nie osłupiał na nowinę, jaką usłyszy: że mianowicie Spencer nigdy nie odbywał studyów stylistycznych! Od razu zaczął i już bez namysłu pisał swoim stylem: szedł za wrodzonym pędem pióra, aby wyrażać pojęcia o ile można jak najjaśniej i, kiedy trzeba, z całą siłą możliwą. Dodaje jeszcze, że styl jego w *Social Statics* jest lepszy, niż w późniejszych dziełach, ale przyczynę zmiany przypisuje nie sobie i swoim latom sędziwym, tylko ją upatruje w tem, że przestał sam pisać i używa sekretarzy, którym dyktuje. Kończy tę spowiedź szczegółowym opisem, o ile stronic skrócił któreś dzieło, kiedy wydawał je po raz ostatni: tyle w niem opuścił zbytecznych słów, wniosków, poglądów i czasem ustępów, ale znowu wyjaśnia, dlaczego to wszystko przeoczył pierwotnie, a mianowicie: bo pracował z pomocnikami!

Niektóre z podobnych szczegółów, choć brzmią tak prostodusznie, przecie z pożytkiem dla czytelnika znalazły miejsce w zbiorku, bo pozwalają wniknąć we wnętrze duszy Spencera i okazują, jak ostro sami Anglicy sądzą nieraz pracę umysłową tego filozofa. W ostatniej jego książce czytamy niejeden rozdział ze skargą na surowe oceny jego utworów, zakończone wnioskiem, że pan Spencer jest *an empty sciolist* albo że należy do tych, którzy *are the very Tuppers of Philosophy*. Wnioski te w samej rzeczy brzmią gorzej, niż niegrzecznie; w polskiej rozprawie przeciwnik jeden drugiego nie zwykł łajać od pustych głów albo Filipów z Konopi. W Anglii to jednak spotyka Spencera!

Prócz przezwisk, równie obraźliwych, jak powyższe, spotkała Spencera także nazwa materyalisty, ale wygląda w jego oczach na zaczepkę równie obraźliwą, jak niesłuszną. Już w *Principles of Ethic* Spencer z gniewem zżymał się na sławę materyalisty,

jakoby całkiem niezasłużoną. Mimo to taką sławę posiada do dziś dnia i znowu wytacza skargę, iż od profesora Jowett usłyszał zarzut, że „Spencer tylko w to wierzy, co może namacać ręką". Spencer w tym zarzucie widzi zaczepkę niesłuszną, nawet niezrozumiałą, bo chybaby znaczyła, że Jowett poczytuje Spencera za materyalistę. Otóż Spencer przytacza ustęp ze swojego dzieła *System of Synthetic Philosophy* w rozdziale *The Unknowable* § 51, w którym napisał słowa: „siłę, o ile ją znamy, uważać możemy tylko za zależny skutek Niezależnej przyczyny", i dodaje: „tu złożyłem dowód, który dostatecznie rozstrzyga, że wierzę w coś, czego ręką nie namacam". Dalej przytacza *The Principles of Psychology* § 63, gdzie napisał: „Więc choć z dwojga łatwiej pomyśleć o tak zwanej Materyi przemienionej w tak zwanego Ducha, niż przeciwnie, — bo to ostatnie wprost niemożliwe, — przecie te przenosiny nie wyprowadzą nas za obręb naszych godeł", czyli pustych słów, któremi oznaczamy jedne zjawiska jako materyalne, drugie jako duchowe, ale o istotnej i wnętrznej różnicy między obiema odmianami zjawisk nic nie wiemy. Czytelnik z tych słów urwanych nie więcej wie, niż znajdzie w całym toku dzieła: widzi tylko agnostycyzm; Spencer inaczej rozumie te wyrazy, bo twierdzi, że na ich podstawie nie mógł u nikogo rozumnie uchodzić za materyalistę. Wspomina nakoniec o dwóch innych ustępach, gdzie przedstawiał materyalizm jako „nieutrzymalny": przypuszczał tedy, że zupełnie zapobiegł zarzutom ze stron nieuprzedzonych.

Czyż istotnie trzeba umysłu uprzedzonego, aby zaliczyć Spencera do materyalistów? Przesadę w tym zarzucie spostrzedz można, ale pisarz, otwarcie i ciągle przejęty duchem ewolucyonizmu, upatrywał w całym świecie rozwój pierwotnej mgławicy, a nigdy nie nazywał ludzkiej duszy jestestwem wyższego rzędu, niż wszystkie wytwory z materyi pierwotnej. Zawsze we mgle ginął, kiedy miał poruszać sprawę początku duszy albo którebądź z podobnych pytań metafizycznych; do nich okazywał wstręt nieprzełamany: przed niemi uciekał gdziebądź, choćby za szańce agnostycyzmu.

Czyż w tej mierze Spencer nie zasługuje na miano mate-

ryalisty? Czyż przynajmniej w ostatniej pracy zawrócił z dawnej drogi i okazał w sobie zwolennika haseł bliższych do chrześcijaństwa? Czy nastąpił jaki zwrot?

Bywają umysły gotowe widzieć zwycięstwo swojego stronnictwa od razu, ledwo tylko przeciwnik przestanie miotać na nich nowe pociski albo przez chwilę mniej natarczywie napada.

Spencer oświadcza w ostatniem dziełku, że przeciwnikiem chrześcijaństwa, jak był tak jest i być nie przestaje. Ale w urwanych zapiskach, z których utworzył to dziełko bez wielkiego porządku, nie miał tyle miejsca stosownego, ile w dziełach poprzednich, do wycieczek przeciw chrześcijaństwu. Tam dbał mianowicie o układ pojęć jednolity, o rodzaj filozofii zwłaszcza praktycznej, któraby pozwoliła utworzyć pogląd na świat i na porządek obyczajowy bez pomocy zasad objawionych. Myśl ta przewodniczyła w całej budowie filozofii syntetycznej i przezierała prawie bez przerwy z każdego rozdziału. Tu, w rozdziałach składanych jeden za drugim bez ściślejszego związku, Spencer nie usiłował wybijać na każdej stronicy znamion swojej myśli przewodniej, a tu i owdzie potrącił bez szczególnych wycieczek przeciw wierze niejedną zasadę, bronioną przedewszystkiem przez filozofów chrześcijańskich.

Tak np. spokojnie Spencer mówi o zasadzie przyczynowości i postępuje z nią jako z pewnikiem nauki niewątpliwym, a w niczem nie zastrzega sobie, żeby czytelnik na mocy tej zasady nie wnosił nic o istnieniu Boga osobowego, godnego czci od człowieka.

Tak też wspomina o jakimś dreszczu, w który zlęknioną jego myśl wprawia i niejako ją przygniata bezmiar i ogrom przestrzeni nieskończonej i wiecznej, — a przytem nie powtarza słów, gdzieindziej wyrażonych, że poczytuje za niedorzeczną wszelką cześć oddawaną Bóstwu.

Tak też w paru innych miejscach rzucił spokojnie niektóre uwagi albo prawdy, a nie ponowił zaczepek przeciw chrześcijaństwu, nie wymierzył nowego pocisku na Kościół.

Otóż ten brak nowych zarzutów, a raczej widok rzadszych napaści na chrześcijaństwo wystarczył niektórym czytelnikom Spencera do wniosku, że jego myśl filozoficzna ulega zmianie istotnej, zaczyna odbywać zwrot w stronę prawd wiary. I w rozmowach o książce Spencera słyszeć można ten wniosek i spotkać ten pogląd w ocenach pisemnych; jeden ze sprawozdawców doszedł nawet bardzo daleko: radośnie zapełnił arkusz druku wywodami, że potęga prawdy chrześcijańskiej nawraca już do siebie nawet takiego wroga swojego, jakiego przez dziesiątki lat znajdowała w Spencerze! Wywody te korzystały z każdego słówka niedopowiedzianego w książce ostatniej. Więc np. sprawozdawca wymienia zasadę przyczynowości, którą znajduje u Spencera teraz uznaną bez ogródek, jako pewnik nauki; owszem Spencer układa jakąś grę towarzyską, opartą na tej zasadzie i przeznaczoną, aby tę właśnie prawdę o potrzebie przyczyny każdego zjawiska uświadamiać w umysłach. Stąd sprawozdawca wpada na wniosek, że niektóre uwagi Spencera i nawet zwroty mowy przez niego użyte, muszą przywodzić na myśl czytelnikowi pojęcia, na które Spencer dawniej rzucał pogardliwie wyrok: przesąd średniowieczny! Stąd także czytelnik pozwala sobie wnosić, że książka Spencera prowadzi do Boga!...

Dokładniejszy rozbiór myśli Spencera każe jednak widzieć w jego ostatniej książce tego samego filozofa, który od kilkudziesięciu lat wypowiedział wojnę prawdom objawionym i wcale nie myśli broni dziś składać.

Jak poprzednio, tak w najnowszych utworach kojarzył dwa przeciwległe prądy pracy umysłowej. Jednoczył powagę nastroju filozoficznego z bujną wyobraźnią powierzchownego poety. Łączył spostrzegawczy zmysł dziwnie uważnego badacza zjawisk z dziwną obawą przed metafizycznym sądem o ich przyczynie. Okazał znowu umysł bystry, czuły na ludzką nędzę, wrażliwy na upadek duchowy. Po drodze do ostatecznych przyczyn bardzo mało światła znajdzie umysł męski u Spencera, mimo jego zmysłu badawczego: w nim przewodnika znajdą pożądanego przyszłe filozofki.

Spencer sam przed sobą nie chce wyznać, że czuje lęk przed metafizyką, a przecież znów w ostatniej książce nie cofnął kroku z drogi, którą szedł zawsze. Pozostał wierny zasadzie, że świat nam nieznany kryje w sobie ostateczne przyczyny zjawisk znikomych. Nie zaprzecza, że powstają nam w myśli pytania o tym świecie nieznanym ostatecznych przyczyn; ale zaprzecza, że na te pytania zdołamy dać umiejętnie odpowiedź. Kończy książkę rozdziałem w obronie zasad antymetafizycznych, choć w tym rozdziale właśnie odpiera, jakoby niesłuszny, zarzut, że nie śledzi przyczyn ostatecznych. Ten to rozdział jego książki najwłaściwiej określa jego stanowisko: więc wypada naprzód z tym rozdziałem zapoznać czytelnika; można tak zacząć tem bardziej, iż Spencer w układzie rozdziałów nie poszedł za żadną myślą przewodnią; chyba porządkiem chronologicznym ułożył pojedyncze ustępy, nie związane bliżej treścią i tokiem myśli wytycznej.

„Starzy ludzie muszą — pisze Spencer — na niejedną myśl wpadać prawie wszyscy jednakowo. Do takich myśli należą pytania ostateczne; do nich dąży moja myśl coraz silniej, bo już podobno niedaleko mi do końca.

„Ogół przypuszcza, że ci, co odstąpili od wiary chrześcijańskiej, żyją zajęci wyłącznie sprawami ziemskiemi i troską o pieniądze, a nie myślą nic o tem Jak? Dlaczego? Skąd?

„Może to prawda co do nieokrzesanych, ale pewno inaczej myśli wielu oświeconych. W umyśle znajomych moich najbliższych tajemnice bytu zajmują więcej miejsca, niż odpowiednie pojęcia zajmują w ludzkich umysłach zwyczajnie.

„Przebadawszy pierwotne wierzenia i nie znalazłszy nigdzie źródła do pojęcia o życiu pośmiertnem, chyba we wnioskach, wyciąganych przez dzikich z ich snów, i oglądnąwszy niewyśledzony związek między mózgiem a świadomością, i nie znalazłszy oczywiście nic uświadomionego w umyśle bez pracy mózgu, poczytujemy za obowiązek odstąpić od myśli, że świadomie przetrwamy chwilę, w której ustrój ciała przestanie pracować".

Spencer ciągnie dalej słowami zbyt dobitnemi, żeby nie roztrząsnąć ich dokładnie:

„Ale to dziwnie i wstrętnie wygląda ten wniosek, że przy śmierci, kiedy ustąpi świadomość, ustanie także wszelka wiedza, że się istniało. Z ostatnim tchem czeka każdego ten sam stan, w jakim byłby, chociażby nigdy nie żył“ [1].

Spencer, wysoce przekonany, że włada językiem poprawnym, a zwłaszcza jasnym, ułożył powyższe zdania tak ciemno, że możnaby o nich całą rozprawę pisać, kiedy trzeba myśl tych zdań wyłożyć innemi słowami w jakimbądź języku. O jakiej to ś w i a d o m o ś c i mówi Spencer poprzednio, nim powie o w i e d z y, że się istniało? Wszak ś w i a d o m o ś ć wyraża stan poznawczego umysłu nie bezwzględny, tylko zaznacza wzgląd na przedmiot poznany. O czemś świadom jest, ktobądź jest świadomy, a świadomość o niczem znaczy chyba to samo co nieświadomość, jeżeli coś znaczy. O czemże świadomość ustępuje przy śmierci, nim w następstwie ustanie wiedza, że się istniało?

Na to pytanie odpowiadają po części słowa poprzednie: „nie przetrwamy świadomie chwili, w której ustrój ciała przestanie pracować“. Po części na to pytanie światło pada ze słów w innym rozdziale: *The closing hours*, gdzie Spencer twierdzi: „ostatecznie wszystkie władze umysłowe równocześnie ustają, kiedy tępieją władze ciała i z niemi przestaje człowiek być wrażliwym na cobądź“. Nakoniec na to samo pytanie można spotkać nieraz równoznaczną odpowiedź w innych dziełach Spencera, chociaż nie zawsze dopowiedzianą. Przed stanowczym sądem Spencer nieraz staje i jakby w morzu poglądów topi czytelnika w swoich kilkunastu tomach, a nie sięga do dna we wnioskach ostatecznych. Pod tym względem Spencer podobny do Hardouina, zasługuje na ów jego nagrobek: Sławnej pamięci zbieracz pomysłów spoczął w wyczekiwaniu sądu. W pomysły Spencer obfituje, opływa w poglądy świetne, ale poprzestaje na

[1] „But it seems a strange and repugnant conclusion that with the cessation of consciousness at death, there ceases to be any knowledge of having existed. With his last breath it becomes to each the sane thing as though he had never lived“.

szczegółach dziwnie spamiętanych, na uwagach znakomicie napomkniętych, i na tych wawrzynach spoczywa a ostatecznie nie lubi sądu dopowiedzieć. I o tej świadomości, która ustępuje przy śmierci, nasuwa tylko myśl, jakoby rozumiał, że śmiertelnie chory nim jeszcze żyć przestanie, przestaje już używać smaku, słuchu, wzroku i innych zmysłów, czyli traci świadomość o świadectwie zmysłów, a w następstwie przestaje także wiedzieć o bliskim końcu żywota. Dochodzi już Spencer do tego wniosku; staje wyraźnie przed ostatecznym wynikiem, że z upadkiem sił cielesnych i zanikiem władz zmysłowych ginie także umysłowa samowiedza, że słowem przy śmierci człowiek traci ciało i duszę. I już stawia swój krok ostateczny; wypowiada wniosek i nagle dodaje do niego wykrzyknik, który zmienia całą wagę tego wniosku: nagle dodaje, że to jednak wniosek dziwaczny i wstrętny!

Cóż tedy? Przyjmuje czy odrzuca Spencer swój wniosek dziwaczny i wstrętny? Czytelnik nie wie, bo czyta zaraz w dalszym ciągu słowa, dość jasne: „Z ostatnim tchem czeka każdego ten sam stan, w jakim byłby, chociażby nigdy nie żył“... A po tych słowach następuje wywód dość osobliwy:

„I świadomość tedy sama — co to takiego w ciągu czasu, kiedy trwa? I co ją czeka, kiedy przyjdzie jej koniec? Możemy tylko wnosić, że świadomość jest wyodrębnioną i uosobioną postacią Owej nieskończonej i wiecznej Mocy, która przestępuje zarówno naszą wiedzę i wyobraźnię, i że przy śmierci żywioły świadomości wpadają w Nieskończoną i Wieczną Moc, z której wypłynęły“.

Po tych uwagach dziwić nie może cały ów wspomniany już rozdział, w którym Spencer ukołysuje czytelnika do spokoju przed obawą śmierci. Człowiek m o ż e umierać zupełnie wyczerpany, zobojętniały na wszystko, nieświadomy, bezwiedny: stąd wniosek, że niepotrzebnie wielu ludzi drży przed śmiercią. Ale tylu ludzi wbrew Spencerowi właśnie w chwili zgonu widzi przed sobą groźną przeprawę na świat nieznany... czy ich Spencer przekona, że już na wszystko nieczuli i nieprzytomni nie wiedzą o śmierci, więc niepotrzebnie drżą?

Sam tedy Spencer sobie wyłożył, że może żyć bez strachu przed śmiercią i poprzednio już w *The First Principles* odrzucił religię[1], aby r o z u m n i e żyć bez żadnej uwagi na Nieznanego Boga: wolny tedy od bojaźni Boga i jego sądu po śmierci, Spencer wyznał wkońcu, że przed czemś jednak drży.

Przed czemże?

Stary nasz Krasicki ułożył wierszyk na filozofa, który za młodu w Boga nie wierzył, a na stare lata już nawet z upiorów nie śmiał dworować. Spencer nie doznaje dreszczów przed strasznemi prawdami wiary, drży jednak na myśl o... P r z e s t r z e n i...

Za młodu Spencer tak sobie wywijał pojęciem przestrzeni, jak pojęciami czasu i siły: uważał to wszystko za pomysły niezrozumiałe[2]. W ostatniej książce wyznał taką cześć dla przestrzeni, że sprawozdawca *Revue des deux mondes* (1902, 1, 468) poczytywał słusznie tę cześć za *un véritable sentiment de frayeur sacrée.*

Czytelnik może oczy przeciera na widok powyższych słów... nie dowierza, żeby filozof miał doznawać „świętej obawy" przed przestrzenią... przypuszcza czytelnik, że chyba tu nie o tej przestrzeni mowa, którą nazywamy po polsku przestrzenią!

Owszem. Jak po polsku mówimy o przestrzeni, tak samo Anglicy z romańskimi narodami mówią o *Space, Spatium, Espace* i t. d., tak samo dochodzą do tego pojęcia, jak my. Nabywamy pojęcia przestrzeni tak samo, jak każdego innego; naprzód z przedmiotów uchwytnych, zmysłami poznalnych. Nazywamy suknie, pokoje, domy jedne ciasnemi albo wązkiemi czy szczupłemi, drugie obszernemi czy przestronnemi. Gdzie znajdujemy dość miejsca wolnego na wszystkie strony, tam mówimy, że jest przestronno. O mieście nie zamkniętem w ciasnych wąwo-

---

[1] § 33: „...repugnance to a creed which tacitly ascribes to The Unknowable a love of adulation such as would be despised in a human being". Wszak Spencer okaże sam Edwardowi VII taką cześć, z jaką gdyby przemawiał do lorda, uchodziłby za pochlebcę, a gdyby tak samo przemówił do dorożkarza, wyglądałby jak szalony.

[2] *Force, Space and Time pass all understanding. First Pric.* § 21, str. 60. Wydanie March 1874.

zach, ale otoczonem swobodną równiną, mówimy, że leży w okolicy przestronnej, otwartej na wszystkie strony. Następnie zamiast tych zwrotów uchwytnych używamy także wyrazów oderwanych: o pokoju mówimy, że przestronny, albo że ma dużo wolnej przestrzeni; nazywamy miasto przestronnem, albo wyrażamy tę myśl zwrotem oderwanym, i mówimy o wolnych przestrzeniach w tem mieście. Tą samą drogą dochodzimy do zwrotów albo uchwytnych: o całym świecie ogromnym, obszernym, przestronnym, niezmiernym, rozległym i t. d., albo do zwrotów oderwanych o przestworze, ogromie, obszarze, przestrzeni albo bezmiarze świata. Nie inaczej z uchwytnych jestestw przestronnych tworzymy oderwane pojęcie przestrzeni, jak pierwej poznajemy uchwytnego człowieka filozofa, rękodzielnika i t. d., a potem w potrzebie odrywamy pojęcia istotne: człowieczeństwo, filozofia, rękodzielnictwo i t. d. Otóż na tle pojęcia przestrzeni albo przestworza czy bezmiaru świata myśl badawcza zapytywała się, czy świat rozciąga swoje części jedne poza drugiemi bez końca na wszystkie strony? innemi słowy: czy świat zajmuje przestrzeń nieskończoną? I snuła sobie myśl swobodna pojęcie świata bądź rzeczywistego, bądź możliwego, rozpostartego na wszystkie strony bez końca: powstała mowa o przestrzeni nieskończonej.

Tak płynęły pojęcia coraz bardziej odrywane od wszelkiego jestestwa rzeczywistego, aż wypłynęła możliwa przestrzeń świata nieskończenie wielkiego. Tę to przestrzeń Spencer zaopatrzył naprzód przydomkami nieskończonej i wiecznej, potem nazwał ją niewybrednem słowem: *universal matrix*, powszechną macicą, i zapisał o niej parę stronic, jakby o rzeczywistem jestestwie, a nie o przedmiocie oderwanego pojęcia.

Wspomina tedy, jak oglądał świat i siebie samego niezadowolony tradycyjnemi objaśnieniami, jak uznał błahemi wszelkie wysiłki, aby dać umiejętną odpowiedź na zagadkę świata, jak dostrzegł tajemnicę najgłębszą w zjawiskach Przestrzeni. „Zagadkę świata — ciągnie dalej — uważają jedni za rozwiązalną w hypotezie Stworzenia, inni w hypotezie Rozwoju; tajemnica Przestrzeni nie da ze siebie zedrzeć zasłony żadnej hypotezie.

Teista i Agnostyk muszą zgodnie uznać własności Przestrzeni za wnętrzne, wieczne, niestworzone, za dawniejsze od wszelakiego stworzenia, jeżeli stworzenie miało miejsca, od wszelkiego Rozwoju, jeżeli miejsce miał Rozwój..." Po tych słowach ciągnie dalej:

„Ta powszechna macica nieskończenie przechodzi i Stworzenie i Rozwój — w co z dwojga kto wierzy — tak rozmiarem jak trwaniem...

„Myśl o Przestrzeni jest myślą zbyt zdolną przytłoczyć, aby mogła zatrzymać przy sobie. Od ostatnich lat świadomość, że bez początku albo przyczyny nieskończona Przestrzeń zawsze istniała i musi zawsze istnieć, sprawia we mnie uczucie, przed którem drżę".

Na myśl o Absolucie Spencer nie wyznaje żadnego lęku, chociaż o Nim mówi jako o Istocie wiecznej i nieskończonej. Ale poczytuje wieczność i nieskończoność Absolutu za mniej tajemnicze i groźne od wiecznej i nieskończonej Przestrzeni, bo uważa Absolut za wynik, do którego myśliciel dochodzi, kiedy bada ostateczną przyczynę wszechrzeczy, a grozę Przestrzeni ogląda, kiedy bada łożysko, w które Absolut puścił prąd zjawisk na świecie. Więc Absolut znalazł w Przestrzeni jakoby gotowe przytulisko dla Siebie ze swoimi objawami w rozwoju wiekowym. Zatem Przestrzeń zakrawa na coś większego od Absolutu: stąd może budzić większy lęk w umyśle Spencera.

Czy przecie ten lęk nie zdradza poprostu bojaźni, wrodzonej sercu ludzkiemu, przed bezmiarem Pierwszej Istoty, przed Bogiem?...

W każdym razie wywód Spencera zdradza w nim wielki brak najdonioślejszych dla myśliciela pojęć, których udziela metafizyka. Ale do niej już żadna siła ludzka Spencera nie nawróci. Ledwo o niej Spencer wspomni, zaraz zarzuci jej cobądź, byle ją przedstawić w złem świetle. Kiedy niepodobna jej nic poważniej zarzucić, Spencer umie uszczypliwie rzucić jej zagadkę, aby wnieść, że metafizyka ślepo brnie po przeciwieństwach nierozwiązalnych. Taką np. upatrzył łamigłówkę w zjawisku, że czasem niejednemu z nas stanie w pamięci jakaś

zwrotka znanej piosenki i jakby czysta napaść dręczy nam mózg, a niczem nie zdołamy odpędzić jej od siebie. Spencer z tego tworzy zarzut przeciw metafizykom, jakoby „jaźń“ każdego z nas nie stanowiła nic dostatecznie odróżnionego od „niejaźni“, skoro bywamy świadomi stanów wnętrznych z jednej strony przykrych, — więc jakoby narzuconych nam z zewnątrz, — z drugiej strony niepokonanych żadnym wysiłkiem „jaźni“, nie usuwalnych z niej — więc jakoby z niej wywiedzionych. Czy metafizyk wyjaśni świat jako objaw Wszechjedni bytowej, czy też jako zbiór jednostek różnych od siebie i osobników samowiednych: w każdym razie podług Spencera nie wyjaśni powyższego zjawiska, musi poprzestać na wykładzie fizyczno-psychologicznym, a swoją naukę niech zawiesi na kołku.

W podobnych wycieczkach przeciw metafizyce Spencer używa dowodów czasem niespodzianie słabych. Tak do rozprawy o rozwoju żywych ustrojów po myśli Darwina Spencer dorzucił uwagę, opartą na zjawisku, co roku widywanem w ciągu zimy: kiedy na oknach powstają różne wytwory z pary zamrożonej w postaci kwiatów, drabin i t. d. W jaki sposób powstają te utwory? Nikt z tego zjawiska nie umie zdać sprawy tak przejrzyście, jak umiemy wyjaśnić układ kół w zegarze: przecie samego zjawiska zaprzeczyć nie możemy. Tak w wielu razach wystarczy nam wiedzieć jasno, że zachodzą wypadki i zjawiska nie nawskroś zbadane; nie wątpimy o nich, chociaż nie wiemy, dlaczego zaszły.

Tę zasadę wywiódł Spencer dość ściśle i doszedł do znanej już Arystotelesowi różnicy między wiedzą że (ὅτι) i dlaczego (διότι). Tej różnicy nie lubią wolni myśliciele, bo w niej znajdują odpowiedź na swoje zarzuty przeciw tajemnicom wiary chrześcijańskiej. Wytykają nam, że np. nie rozumiemy, dlaczego w Bogu są trzy Osoby, a przecie uznajemy za prawdę wypadek tak niezrozumiały. W odpowiedzi pokazujemy im świadectwo Chrystusa, że w Bogu są trzy Osoby; przypominamy, jakiego świadka prawdy znamy w Chrystusie zmartwychwstałym, bo Pan żywota i śmierci błądzić nie mógł i nie mógł nas mylić. Kiedy tak rozumujemy, słyszymy, że nauka nie może

przystać na wymysł metafizyków o niedościgłej różnicy między wiedzą że, a wiedzą dlaczego.

Tę przecie różnicę Spencer dostrzegł nie w świetle metafizyki, tylko na widok szyb zamarzniętych. Oczywiście wywrócił ją przeciw metafizyce i rozumuje, że przeciwnicy Darwina niesłusznie wątpią o teoryi zmian dziedzicznych w ustroju ciał zwierzęcych: zarzucają jej brak dowodów doświadczalnych, któreby objaśniły, jak i skąd ustrój niższy wydaje ze siebie odmianę wyższego rodzaju. Po co nam wiedzieć dlaczego i jak?— pyta się Spencer — wszak nam wystarczy przypuścić, że takie zmiany zachodzą. Bez odpowiedzi na to pytanie: dlaczego to prawda, co Darwin przypuszczał? — możemy wierzyć, że to prawda. Ale nie możemy wierzyć, że prawdy Chrystus uczył, póki nie odpowiemy na pytanie: dlaczego np. w Bogu są trzy Osoby?

Póki Spencer nie opuści takiego stanowiska względem metafizyki, póty musi zbywać wszelkie pytania o Bogu i duszy odpowiedzią niezbyt chlubną dla zawodowego myśliciela: nie wiem!

Ale prócz najdonioślejszych zasad, filozofia obrabia wiele innych prawd poważnych i w ich zakresie może zapuszczać wzrok głębiej albo przestawać na zewnętrzu, może dosięgać wyżyn znanych chrześcijanizmowi z wiary, albo grząść w płaskich zarzutach przeciw Kościołowi.

W tej to dziedzinie prawd wspólnych głosowi rozumu i świadectwu wiary Spencer obecnie rozwija swój zmysł spostrzegawczy i dochodzi do wniosków niekiedy sprzecznych ze zasadami „wolnej myśli“. I w tem upatrzyć można jakąś cenę tej ostatniej jego książki.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

PODFILIPSKI I DOŁĘGA.

(Dokończenie).

„Sprawa Dołęgi“ — czy jest lepsza, czy gorsza od „Podfilipskiego“, to na razie sprawa inna — dość, że jest inna.

Naprzód jest już w tem nawet najzwyklejszem znaczeniu słowa powieścią. Już jest w niej wszystko, czego przeciętnie od powieści ludzkość wymaga. Jest więc i akcya erotyczna, zajmująca dużo miejsca, jest wiele osób, wiele wydarzeń, ruchu, życia. Nie jesteśmy zmuszeni przebywać cały czas z jednym człowiekiem, nie potrzebujemy się wpatrywać ciągle w jedno oblicze; mamy około siebie nieustannie dużo ludzi, o najrozmaitszym wyglądzie, najrozmaitszych usposobieniach, zwyczajach, poglądach; są tu starzy i młodzi, poważni i roztrzepani, weseli i smutni, mężczyźni i kobiety, arystokraci i parweniusze, próżniaki i pracowici, książęta i inżynierowie, Polacy i Niemcy, słodkie Marynie, kipiące życiem Halszki, energiczni Hellowie, kapryśni Andrzejowie Zbarazcy — i tak dalej, i tak dalej — wielka ilość typów, postaci, wielka ilość wydarzeń, a wszystko to złożone w jedną całość, w jeden wielki obraz. W „Podfilipskim“ jeden portret, a dla jego uwydatnienia drobne „przekroje czasów i ludzi“, — tu obraz zbiorowy, a „przekroje czasów i ludzi“ są celem dla siebie. Tam postać jedna, negatywna, tu obok typów ujemnych także i dodatnie. Stąd zaś: tam tylko ironia, tutaj ironia dla złych, proste poważne opowiadanie dla dobrych.

Widzimy tedy, że w „Sprawie Dołęgi“ nastąpiło rozsunięcie i rozszerzenie ram, w „Podfilipskim“ ścieśnionych. Więc i powiększenie zadania. Jak się z tego wszystkiego autor wywiązał?

Ciekawy a łatwy do wytłumaczenia jest proces psychiczny, który się u autora musiał odegrać po wydaniu pierwszej a przed napisaniem drugiej książki. Ambicya autorska skłaniała go do stworzenia kompozycyi większej; „Podfilipski“ tej ambicyi, zresztą najsłuszniejszej w świecie, zaspokoić nie mógł. Zaś uczucie obywatelskie, poważne pojmowanie zadania powieściopisarza, mówiły mu, że nie dość jest wystawić społeczeństwu obraz, w którym widzi tylko swoje wady, ale że trzeba mu także dać wzory do naśladowania; nie dość zatrwożyć je widokiem złego, ale i pokrzepić widokiem dobrego, które w niem jest. A wspomniana już ambicya autorska szeptała mu, że jeżeli się zdobył na znakomity typ ujemny, to niemniej świetnie potrafi stworzyć typy dodatnie.

Cóż z tego wszystkiego powstało w rzeczywistości?

Centralnym punktem powieści jest „sprawa“ Dołęgi. Właściwie dwie sprawy. Jedna natury publicznej, budowa szos. Jest zupełnie obojętną rzeczą, czy to pomysł praktyczny, czy nie, czy w obecnych warunkach Dołęga nie powinienby myśleć o czem innem. Wiemy dobrze, że ta sprawa szos jest tu tylko symbolem, obrazem jakiejkolwiek sprawy, podjętej dla dobra ogółu; i to sprawy, zakreślonej w granicach możliwości, nietrudnej do wykonania a mającej wielkie znaczenie. Tę sprawę podejmuje Dołęga. Nie wiem, czy trafię w myśl autora, ale zdaje mi się, że nie darmo Dołęgę autor zrobił inżynierem. Oto chciał w nim mieć ideał praktyczności, ale nie tej pozytywistycznej z przed lat dwudziestu, trzydziestu, kiedyto szlachetny inżynier musiał być bohaterem każdej powieści, jeżeli nie głównym, to choć ubocznie, ale być musiał. Inżynier dzisiejszy, Dołęga, to człowiek, na którego umysł działały także wpływy nowsze i najnowsze, — więc nie zatracając nic z idealizmu natury polskiej, wzmacnia go trzeźwem i praktycznem patrzeniem na świat. Jeżeliby szukać w powieściach odbicia stanów duszy różnych epok

na indywiduach, postawionych w tych samych warunkach, to świetnym okazem będzie właśnie inżynier, pozytywista z niedawnej przeszłości i inżynier Dołęga w naszych czasach. Otóż Dołęga będzie symbolem tych wszystkich ludzi naszej doby, którzy wszelkiemi siłami chcą służyć dobru pospolitemu, a przeszedłszy szkołę trzeźwości, nie gonią za tem, co w danej chwili jest nieuchwytne, nie gardzą rzeczami, na pozór drobnemi, ale w istocie bardzo ważnemi i doniosłemi w skutkach.

Tylko że niestety Dołęga mniej się autorowi udał. Jest to rzecz uderzająca, ale naturalna.

Widzieliśmy w „Podfilipskim“, że postaci dodatnie są tam tylko szkicowane, nie opracowane z takiem zamiłowaniem, co postać główna. To też nie występują tak wyraźnie, spoczywają na planie dalszym. Ale też stosownie do planu powieści, tak być powinno, i tak jest zupełnie dobrze. „Sprawa Dołęgi“ nie miała być jednostronnem przedstawieniem jednej osoby. Stąd musiał autor malować postaci dodatnie obok ujemnych, a malować dokładnie i wszechstronnie. Podfilipskiego namalował świetnie. To mu się udało. Przez to zaś miał tem bardziej wprawę w malowaniu ironicznem. I oto, gdy w „Sprawie Dołęgi“ jął się tego samego sposobu, powstały typy niezrównane; ironia autora jeszcze się bardziej wysubtelniła, jeszcze więcej udoskonaliła, już się stała taką, że jej autor nigdy nie potrzebuje zbytnio przyciągać, nigdy w niej nie przesadzi, nigdzie nie da tonu fałszywego. Pod tym względem „Sprawa Dołęgi“ jest jeszcze lepsza, jeszcze świetniejsza od „Podfilipskiego“; sposób przedstawiania rzeczy w świetle ironicznem autor doprowadził tu do mistrzowstwa. Dość wskazać na dwa typy: starego Zawiejskiego zawsze, i Karstena zwłaszcza w dniu ślubu Kostkówny. To są dwa typy, w swoim rodzaju nieśmiertelne. Ale i w innych postaciach ironia autora jest doskonalsza, jest subtelniejsza i zgrabniejsza, a kto wie, czy nie głębsza, niż w „Podfilipskim“. Co zaś więcej: jest ona tutaj przyjemniejsza. W „Podfilipskim“ wyśmiewała łotra, a tutaj ludzi uczciwych i przeciętnie porządnych, ale małych; więc tutaj jest na właściwszem miejscu, nie razi ten kontrast między tematem a formą.

Pod tym względem druga powieść Weyssenhoffa jest od pierwszej daleko lepsza, i stanowi w jego rozwoju istotny postęp.

Natomiast mniej mu się udały te osoby, które miały być dodatnią antytezą. Najlepiej te, które traktuje szkicowo. Więc naprzykład świetna sylwetka Hellego. Natomiast Dołęga, traktowany szczegółowo, wychodzi jakiś blady, jakiś zatarty. Autor nam wprawdzie usiłuje pokazać go, jako człowieka szlachetnego i z umysłem głębszym, rodzaj antytezy Podfilipskiego, ale w działaniu pokazuje go bardzo mało; więcej sam jego pochwały głosi, aniżeli aby te pochwały powstały koniecznie w nas samych, jako konsekwencya czynów bohatera. Otóż widzimy tu właściwość talentu i techniki Weyssenhoffa. Gdzie może spoglądać z uśmiechem ironicznym, tam doskonale widzi i doskonały opisze potem typ. Gdzie mu ten uśmiech zniknie, tam potrafi dać szkic, ale całego wykończonego człowieka jeszcze nie. Oczywiście opieram się, wygłaszając to zdanie, tylko na dwóch dotąd wydanych książkach; o przyszłości zupełnie nie wyrokuję. W „Podfilipskim“ mamy zupełne panowanie elementu ironicznego; w „Dołędze“ widać u autora ścieranie się dwóch pierwiastków: pierwszego pozbyć się nie może i nie chce, bo to potężny środek jego talentu; drugi chciałby w sobie wyrobić, chciałby go wydoskonalić. Tej doskonałości jeszcze nie osiągnął, jeszcze niema między nimi zupełnej harmonii, jeszcze pierwszy jest doskonalszy, góruje nad drugim. Ale gdy zważymy wielki talent, a co jeszcze ważniejsze wielką świadomość i inteligencyę twórczą autora, to nie bawiąc się w proroka, możemy jednak śmiało twierdzić, że niedaleki jest czas, w którym ta harmonia nastąpi. A wtedy nasza powieść obchodzić będzie wielkie święto.

Tak rozpatrując „Sprawę Dołęgi“, spostrzeżemy łatwo, że jest ona i lepszą i gorszą od „Podfilipskiego“. Lepszą, bo obejmuje pełniejszy zakres życia, więcej typów, więcej obrazów; bo malując ją, autor nie chce się już posługiwać jedną tylko barwą, jak poprzednio, ale bierze ich więcej; bo samo jej założenie jest już głębsze. Gorszą zaś przez to, że walka dwóch pierwiastków nie złączyła się w harmonijną syntezę; więc obok ustępów świetnych, przewyższających najlepsze miejsca w pier-

wszej powieści, jest dosyć ustępów słabszych; więc przez tę walkę ucierpiała konsekwencya niektórych charakterów, czego w „Podfilipskim“ nie spotkamy nigdzie; więc najbardziej zaszkodziło to układowi, architektonice powieści: prawda, że tutaj rzecz to trudniejsza, ale usprawiedliwienie nie zmieni tego faktu, że architektonika powieści w „Podfilipskim“ jest daleko lepsza. Ale znowu to podjęcie rzeczy trudniejszej, niezadowolenie się dotychczasowymi sukcesami, wystawia „Sprawie Dołęgi“, to znaczy jej autorowi, świadectwo bardzo pochlebne.

Drugą sprawą Dołęgi jest jego sprawa sercowa. I przez nią przedewszystkiem poznajemy charakter Halszki. Ona to razem z Andrzejem stanowią tę grupę sprawiedliwych, broniącą ich świat przed potępieniem. Tak przynajmniej zdaje się, że było w myśli autora. Ale są oni zanadto związani ze swoim światem, zanadto w nim tkwią i od niego zależą, aby i na nich nie padł cień, nad całym tym światem przez autora rozpostarty. Nie darmo jest się dzieckiem swojego otoczenia, swojego świata. Stąd pochodzi u Halszki i u Andrzeja dwoistość uczuć i myśli. Lepsze poruszenia duszy ciągną ich tam, gdzie myśl, światło, gdzie wielkie idee, gdzie praca dla społeczeństwa; przyzwyczajenia, nałogi, stosunki, otoczenie przygniatają ich swoim ciężarem i nie dozwalają pójść za lepszymi porywami. Każde z nich ma chwilę, w której ta lepsza część bierze górę. Tylko, że u Halszki jest to więcej, u Andrzeja psychologicznie mniej prawdziwe. Kreśląc charakter Halszki, autor dał przewagę rysom jasnym, więc szlachetności duszy i serca, przytłumianej czasem żądzą zabawy, zresztą nawet niezdrożną. Natomiast u Andrzeja silnie zaakcentował słabość woli, powodowanie się nerwami, fantazyą, kaprysami. Otóż ta charakterystyka tak silnie nam się w pamięć wbija, że ostatnia scena, okrzyk „ziemio moja“, nie wydaje nam się zbyt prawdopodobną, jako zbyt mało przygotowana. Nawet gdybyśmy ją uznali za prawdziwą i prawdopodobną, nieufność szepce, że to poryw chwilowy, że znowu jaka Iza albo jakie polowanie w Afryce od tej „ziemi mojej“ łatwo go oderwie.

Najmniej ze wszystkich osób udały się autorowi żona

i córka Hellego. Pierwsza jest zupełnie bez wyrazu. Prawda, że przesuwa się po scenie przelotnie, ale my wiemy, jak świetnie autor umie malować takie sylwetki przemijające, pamiętamy Karola Zbązkiego. Druga jest po prostu nieznośna. Słodka Marynia nie darmo się nazywa Marynią, ale przejęła od swej protoplastki jedynie ckliwość a żadnej zalety.

Otóż tak przedstawiają się typy w „Sprawie Dołęgi". Jedne malowane ironicznie, te udały się świetnie; raz tylko autor wpada w karykaturę, mianowicie w postaci Karola Zbązkiego, ale też jako karykatura jest to coś niezrównanego. Drugie, kreślone poważnie, przedstawiają różne odcienia, udały się autorowi cokolwiek słabiej. W każdym razie jednak powieść, jako całość jest zbiorem doskonałych, świetnych typów i charakterów. A że każdy z nich jest zupełnie swój, jest odrębny od innych, a przytem prawdziwy i żywy, tego po „Podfilipskim" nie potrzeba rozwijać, wystarczy tylko silnie podkreślić.

Wszyscy ci ludzie umieszczeni są w pośrodku wiru życia, znajdują się w sytuacyach, coś robią, czemś się zajmują. W przeciwieństwie do „Podfilipskiego", w którym autor o charakterze bohatera często opowiada, tutaj opowiadań niema, charakterów obrazy wynikają z działań i mów ludzi. Tem się także w technice „Sprawa Dołęgi" różni od pierwszej powieści. W opowiadaniu zaś wypadków, zdarzeń autor ma styl i sposób, który wprowadził do naszej powieści Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich". Jest to ten prosty, naturalny sposób opowiadania prostych, naturalnych wydarzeń, ale tak, że ta prostota jest zarazem wielką sztuką, i z sytuacyi najprostszych w świecie robi najwdzięczniejsze, najpoetyczniejsze obrazy. Przez to powstaje w czytelniku wielkie zajęcie się rzeczą, któregoby w innym razie nie było. To właśnie robi powieść tak miłą, tak zajmującą i tak żywą. Oprócz tego — także podobnie, jak w „Rodzinie Połanieckich" — dał nam autor kilka prześlicznych obrazów natury i kilka oryginalnych opisów.

Przy czytaniu „Sprawy Dołęgi" nasuwa się uporczywie myśl, sięgająca dalej, aniżeli powieść. Ci wszyscy ludzie, te wszystkie wydarzenia, po prostu to całe życie jest nadzwyczaj-

nie warszawskie. Tłumaczmy się jaśniej. Spojrzmy po innych dzielnicach polskich: czy tam tego rodzaju typy i sytuacye są możliwe? Taki naprzykład Karol Zbązki w Galicyi lub w Poznańskiem jednakże nie byłby już możliwy. Takiego Hellego w Galicyi niema. Ten rodzaj życia, sposób mówienia, zabaw, słowem wszystko wskazuje na Warszawę i wogóle Królestwo. Co to znaczy? Znaczy po prostu to, że autor opisuje te stosunki, które mu są znane, w których sam przebywa, obserwuje tych ludzi, między którymi się obraca. Przeciw temu oczywiście nic mieć nie można. Tylko jeżeli spojrzymy po innych powieściach, znajdujemy zupełnie to samo. Powieść nowsza polska rozwija się w Warszawie. Wpływ wielkiego miasta? stosunki ekonomiczne i społeczne? Rzucam pytania, nie rozwiązując ich, bo potrzebują one rozwiązania dokładniejszego, niż to, na które czas i miejsce i przedmiot tu nam pozwalają. Warto tylko zaznaczyć, że z wyjątkiem Konopnickiej cała nowa poezya polska powstała w Galicyi; nie potrzeba zaś lokalnego patryotyzmu galicyjskiego, aby widzieć, że ta poezya, jeżeli nie jest głębsza, to w każdym razie potężniejsza od powieści. To rozmieszczenie terrytoryalne naszej nowej literatury jest zjawiskiem bardzo charakterystycznem i dużo dającem do myślenia.

Są to myśli, napełniające pewną obawą. Sto lat rozdziału musi wywierać wpływ. Zatarły się może dawne różnice prowincyonalne, ale powstają za to różnice nowe, nowe typy Galicyanina, Królewiaka, Poznańczyka. Nowsza poezya jest bardzo ogólnie-polską, ale powieść zaczyna być jakoś za bardzo warszawską. Dzisiaj nas to jeszcze nie razi, a jednak już zwraca na siebie uwagę. Oby nie doszło nigdy do tego, że ta powieść z polskiej przerodziłaby się w ściśle „królewiecką“ i warszawską.

* * *

Wygłosiliśmy na początku zdanie, że te obydwie powieści Weyssenhoffa to książki bardzo smutne. Jest to znowu zasługą autora, że jego książki zmuszają do zastanowienia się, że wywołują wiele myśli i dumań. Ale niemniej i to jest faktem, że w tych myślach niewiele się znajdzie wesołych, wiele smutnych.

Już sama forma ironii jest w gruncie rzeczy bolesna. Jest ona i wdzięczna i lekka i swobodna, jest wesoła i dowcipna, jest w swoim rodzaju doskonała, ale nie można się opędzić wrażeniu, że za tym śmiechem są łzy, że podstawą tej wesołości jest boleść. Ten kontrast między wewnętrznym podkładem a zewnętrzną formą jest czemś chorobliwem, jest jak piękny kwiat, wyrosły na bagnisku. Wskazaliśmy już, że ironia pojawia się w literaturze jako odrębna i skrystalizowana w sobie forma wtedy, gdy społeczeństwo choruje na brak zdrowia i brak sił, a pokrywa to łachmanami dobrobytu fizycznego, wesołości, uśmiechu. W społeczeństwie wtedy widać za wiele złego i to złe jest za silne, aby ustąpiło przed zwykłem, prostem i szczerem oburzeniem. Widać zło jest silne, skoro jego przeciwnik używa tej broni: satyra, ironia, szyderstwo, to zwykle broń słabszych.

Podfilipski stał się typem popularnym i postacią dobrze znajomą, nie wymyśleniem, ale osobistością żyjącą. Takich typów nowsza nasza powieść stworzyła kilka: Płoszowski, Połaniecki, Wokulski. Dwie przyczyny składają się na ową popularność. Naprzód typ musi być malowany przez wielkiego artystę, aby mógł żyć, poruszać się. Ale to nie wystarcza. Dlaczego nie stała się takim typem Madzia z „Emancypantek", choć również tak znakomicie skreślona? albo żadna z postaci Orzeszkowej? Otóż trzeba na to jeszcze drugiego warunku. Ten typ, przez artystę stworzony, musi być nadzwyczajnie podobny do nas samych, do ludzi, którzy nas otaczają, których znamy osobiście lub ze słyszenia, musi być naprawdę wzięty z życia. Musi być taki nasz, taki do nas podobny, że widzimy w nim, w artystycznem ugrupowaniu, nasze własne rysy, własne myśli, pojęcia, pragnienia, dążenia; musi być krew z krwi i kość z kości naszych. Jest on tą istotą, która wciela w siebie i skupia wszystkie najistotniejsze znamiona naszej natury i naszej epoki. Wtedy koniecznie musi się zacierać granica między rzeczywistością a wytworem fantazyi, i postaci, stworzone przez poetę, zstępują między nas jako ludzie żywi.

Czy Podfilipscy przewijają się między nami?

Nawet gdybyśmy tego sami nigdy nie sprawdzili, to wystarczy rozczytanie się w książce i zastanowienie się nad nią, aby sobie odpowiedzieć twierdząco. Najbujniejsza fantazya musi się opierać na pierwiastkach realnych; z niczego człowiek nie stworzy nic. Podfilipski jest typem tak realnym i tak wyrazistym, że jego pierwiastki składowe autor musiał obserwować na ludziach żywych. Jest znowu tak bardzo nasz, że te obserwacye mogły być robione tylko na nas. Więc już *a priori* przychodzimy do przekonania, że tacy Podfilipscy „kwitną tymi czasy między nami". Obserwacya, przypatrywanie się życiu i ludziom, to zdanie potwierdza. Wprawdzie takiego skończonego, całkowitego Podfilipskiego prawdopodobnie nikt z nas nie spotkał; zresztą nie można wszystkiego widzieć i wiedzieć; i sam Ligęza, choć z panem Zygmuntem ciągle przebywał, potrzebował listów i innych dokumentów, aby wyjaśnić wszystko. Ale pojedyncze rysy tej postaci jakże często spotykamy! Tylko, że to tak ciężko przyznać się do takiego podobieństwa i pokrewieństwa. Tam, gdzie znajdujemy nasze rysy wyidealizowane, tam je odkrywamy chętnie; pochlebia nam podobieństwo do Skrzetuskiego lub Maryni Pławickiej. Ale żeby się przyznać do pokrewieństwa z Podfilipskim, na to już trzeba trochę zaparcia się. A jednak ono jest i to bardzo silne; takich częściowych Podfilipskich jest u nas istotnie legia.

Otóż książka, która nam to wszystko przypomina, która woła do nas wielkim głosem: oto takimi jesteście, nie może być wesoła. Jeszcze zaś mniej wesoła jest wtedy, gdy widzimy, jak tacy Podfilipscy rej wodzą, jakie mają znaczenie, jak się ludzie z nimi liczą, jak „łotr rządzi, bo uczciwy puścił go do sprawy". Kiedy hrabina *** odmówiła mu ręki swej córki, to nie dla jego charakteru, ale że nie był dość bogaty i pochodził ze świeżej szlachty. Prawda, że Granowski go lekceważy, ale z nim żyje. Kostka rozumie i zna jego wartość, ale jest za leniwy, aby go zdemaskować i odepchnąć. Tomasz zbyt dobry, aby się na nim poznać; pani Alina zbyt kochająca męża, aby mu oczy otworzyć. I tak najrozmaitsze okoliczności składają się na to, że Podfilipski zajmuje miejsce, które mu się nie należy.

A „Sprawa Dołęgi“?

Tam wprawdzie Podfilipskich już niema. Najmizerniejsi są tylko marni, ale niema nikczemników. Ogólny poziom etyczny jest o całe niebo wyższy. Ale czy wzniósł się tak wysoko, aby naprawdę zasługiwał na nazwę poziomu etycznego? U Hellego, u Dołęgi, niezawodnie; jeszcze może u kilku osób epizodycznych. Zaznaczamy w nawiasie, że gdy w „Podfilipskim“ poruszane są zagadnienia etyki indywidualnej i socyalnej, tutaj zajmujemy się niemal wyłącznie tą drugą. Otóż mnóstwo postaci, których etyka indywidualna jest w porządku, nie ma pojęcia o tej drugiej. Typowym przykładem jest Halszka, dalej stary książę Janusz i jego żona. Dalej cały szereg postaci, zwłaszcza tych, na które autor rzucił refleksy ironiczne. Więc cała ta grupa ludzi, którzy sprawę, poczętą przez Dołęgę, ujęli w swoje ręce i przez głupotę, przez brak doświadczenia, przez lenistwo, przez brak zapału i zrozumienia spraw publicznych, zaprzepaścili. Ta grupa jest poprostu symbolem arystokracyi. Będą między pojedynczemi osobistościami tej grupy znaczne różnice: Karol Zbązki a Zawiejscy, Zbarazcy a Gnińscy, Karsten i Włosek, i tak dalej — te różnice jednak mało nas tu obchodzą: na zewnątrz występują oni wszyscy razem, razem przeciwstawiają się lub ludzie przeciwstawiają ich innym warstwom społecznym, razem mniej więcej działają, podobne mają pojęcia, mamy więc prawo mówić o jednej zamkniętej grupie. Otóż cała ta grupa jest w „Dołędze“ taka marna, taka mizerna, że żal czytelnika zbiera. Naprzód nad nimi samymi, że tacy mali, że choć w inny sposób niż Podfilipski, ale również zatracili w sobie podobieństwo Boże, że tacy są ni do Boga, ni do ludzi. Nie są to wcale źli ludzie, ale nie są ludźmi w pełnem a pięknem znaczeniu tego słowa. A potem żal zbiera nad społeczeństwem, które taką grupę ma w swem łonie. W rękach tej grupy są ogromne, jak na nasze stosunki, zasoby materyalne; kraj z tego nic nie ma. Ta grupa rozwinęła do wysokiego stopnia kulturę, cywilizacyę materyalną, równą najwyższym na Zachodzie; kraj z tego nic nie ma, ta cywilizacya jest zamknięta, nie rozchodzi się. Wiekowa kultura musiała — obok degeneracyi u jednych —

wywołać u drugich wyostrzenie, subtelność umysłu i jego władz, musiała wyhodować wielkie zdolności; kraj ma stąd Płoszowskich i Andrzejów Zbarazkich.

Typów dodatnich, ludzi rozumnych i głębokich, autor w tej grupie nie przedstawił. Czy ich niema? Czy może „Sprawa Dołęgi“ jest poprostu tylko paszkwilem na arystokracyę? czy może ta cała arystokracya w „Dołędze“ to potomkowie hrabiów i książąt z dawniejszych powieści, z tych powieści, w których jest „salon widziany przez dziurkę od klucza z przedpokoju, a ci panowie i panie są tacy, jak żeby byli grani przez aktorów z małomiasteczkowego teatru“?

Na te bardzo możliwe i prawdopodobne zarzuty mamy dwie odpowiedzi.

Nie znam tego świata, który autor przedstawił. Ale z całego przedstawienia widać, tak samo jak w „Podfilipskim“, że nie są to wymysły fantazyi lecz obraz prawdziwy, tak prawdziwe i naturalne robi wrażenie. Zresztą krytycy tacy, którzy w obu kwestyach są kompetentni, twierdzą to samo, że ten świat w powieści jest naprawdę podobny do rzeczywistego.

Żeby autor umyślnie chciał pisać rodzaj paszkwilu, żeby sobie z góry założył pisać same niekorzystne rzeczy o arystokracyi, — tę myśl po przyjrzeniu się jego zasadom odrazu odrzucimy. Weyssenhoff jest poprostu zwolennikiem arystokracyi, jako pojęcia, wierzy w jej misyę, uważa ją za warstwę, której się należy przodownictwo w narodzie, i to właśnie go boli, że w grupie, którą widzi, nie widzi przymiotów, koniecznych warstwie przodującej. Więc nie niechęć do arystokracyi, ale owszem stawanie po jej stronie wcisnęły mu pióro do ręki; że zaś zanadto miłuje prawdę, więc nie pisał zmyślonego panegiryku, tylko opowiadał, co widział.

Takie wnioski wysnuwa sobie zwykły śmiertelnik ze „Sprawy Dołęgi“. Nie jego wina, jeżeli w rzeczywistości jest inaczej, lecz wina autora. Typów dodatnich autor nie dał. Andrzej Zbarazki jest z nich wszystkich najlepszy, ma dążenia szersze i potężniejsze, ale jest za słaby. Scena jego odrodzenia duchowego pod wpływem śmierci Marsowicza i rozpamiętywania zacnych

czynów jednego z przodków jest psychologicznie nieumotywowana. Nawet gdyby Andrzej rzeczywiście wyciągnął ręce do ziemi i zawołał „ziemio moja“, nawet gdyby to było prawdą, nie wierzymy, aby to trwało długo, to tylko chwilowe wzruszenie. Tylko taki jest wniosek z przesłanek, jakie daje jego charakter. Halszka jest bardzo dobra, bardzo szczera i bardzo prosta dziewczyna; ale jej inteligencya — acz ma zdolności niemałe — jest bardzo mała, głębszej myśli u niej niema. Ciotka Temira i Szydłowski są na zbyt dalekim planie, zbyt epizodycznie traktowani, aby mogli wchodzić w rachubę.

Otuchą napełniają osoby, postawione w innych sferach, przedewszystkiem Dołęga i Helle. Ale jest to otucha za mała: Helle traktowany mniej dokładnie, nieco na uboczu, więc nie ma czasu swoimi dodatnimi przymiotami rozświecić smutnego obrazu powieści; Dołęga zaś, prawdę mówiąc, ze wszystkich postaci dodatnich autorowi najmniej się udał: wiemy i wierzymy, że to człowiek naprawdę szlachetny, wiele wart, miłujący kraj, ale żeby naprawdę był „dołęgą“, to doprawdy trudno przyznać. Za wiele autor za niego mówi, za mało on sam działa.

Podfilipski ciągle ma społeczeństwu coś do zarzucenia. Rozumiemy go bardzo dobrze: on pozuje na Europejczyka *non plus ultra*. Ale tak w cichości gdy się zapytamy, czy czasem nie ma słuszności? Kiedy uderza na brak najpierwszych cywilizacyjnych urządzeń, kiedy się oburza na małą konsumcyę mydła i dowodzi, że u nas Zabłocki źle musiał wyjść na mydle, bo przecież mydła nikt nie używa — kiedy gani ciasny zakres wielu naszych powieści i wielu literatów, — kiedy kpi z tak zwanej opinii: musimy mu przyznać racyę. I wtedy nie jest nam bardzo wesoło. Podfilipski nie miał prawa robić tych uwag, bo sam w niczem do usunięcia braków się nie przyczynił, był nadto bezwzględny w sądzeniu, bo nie widział okoliczności łagodzących, nie gryzł sercem, bo go nie miał, — ale jednakże racyę, część racyi musimy mu przyznać.

Jest tedy „Podfilipski“ smutną książką, jest nią i „Dołęga“. Ale nie pesymistyczne. Naprzód czynność autora można sądzić właściwie po jej zamknięciu — bo wtedy występuje całość jego

pojęć i dążeń. Więc nie wiemy, czy Weyssenhoff nie ma zamiaru napisać całego cyklu, w którym odmalowane będą i złe i dobre nasze strony. Jak gdyby takim początkiem jest przecież „Sprawa Dołęgi". Ale gdyby nawet dawał same obrazy smutne, ponure, to gdy je poda w ten sposób, jak te dwie książki, zamiast pesymizmu wzbudzi w czytelniku chęć do czynu; nikt, mający jakie takie aspiracye duchowe, nie zechce być Podfilipskim albo Zawiejskim; owszem, gdy zobaczy u siebie podobieństwo do nich, obrzydzi je sobie i postara się je usunąć. Więc jako myśl, jako dążność — powieści Weyssenhoffa mogą wywrzeć tylko dobry skutek.

I znowu wraca nierozwiązana kwestya, ten prawdziwy wieczny tułacz krytyki: czy sztuka ma być celem dla siebie, czy ma służyć celom innym? Najszczęśliwiej i najgłębiej rozwiązują kwestyę ci autorowie, u których w pięknej, artystycznej formie kryje się myśl głęboka i poważna, których dzieła nie są jedynie odbiciem świata zewnętrznego, pod którem niema innego podkładu. Nie o wszystkich lepszych powieściach ostatniej doby można to wyrzec; ale można to powiedzieć o powieściach Weyssenhoffa.

* * *

Rozpatrując dotąd obydwa dzieła, nie mówiliśmy o ich związku z literaturą. To jest staraliśmy się przypatrzyć im samym, w zupełnem oddzieleniu od innych, a następnie jako objawom życia. Ale jako zjawiska literackie nie mogą one być odosobnione, muszą być w jakimś związku z innemi zjawiskami literackiemi, wzajemnie na siebie wpływać, uzupełniać się i wzajemnie tłumaczyć. Jaki jest związek powieści Weyssenhoffa ze współczesną literaturą, w szczególności zaś ze współczesną powieścią polską?

Romans polski doby nowszej i najnowszej ma dwie ewolucye. Pierwszej przedstawicielami są Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa. Nie wchodzimy tu w różnice, dzielące tych autorów, ani w ich szczegółowe określenia: chodzi o zaznaczenie, że ich działalność jest mniej więcej współczesna, i w porównaniu

z produktami lat ostatnich, starsza. W rozwoju, w zbogaceniu powieści polskiej ich zasługi są niezmierne, działalność prawdziwie błogosławiona. I jakkolwiek może nie ma łatwo uchwytnych, czysto zewnętrznych związków między nimi a najwybitniejszymi z młodszych, to jednakże jest związek ideowy (głęboki podkład etyczny i ideowy wogóle u jednych i drugich) i przyczynowy (bez tamtych najmłodsi nie mogliby się wzbić tak wysoko).

Po tych starszych przyszli młodsi: Sieroszewski, Reymont, Żeromski. Do tego tryumwiratu przystąpił wkrótce Weyssenhoff i zajął odrazu miejsce tamtym równe. Nie ma takiej żywiołowej, wulkanicznej siły w talencie, co Reymont, nie wstrząsa tak potężnie, jak Żeromski, nie jest tak wzruszający, jak Sieroszewski, ale ma znowu swoje przymioty, na których tamtym zbywa. Wszyscy ci pisarze mają jedną rzecz wspólną: wielki talent. Ale ten u każdego inaczej się objawia, każdy z nich przynosi z sobą nowe światy i nowe tony. I w tem właśnie ich moc i znaczenie dla literatury. W tem, że każdy z nich różny i każdy niecodzienny. Literatura w nich zyskuje talenty wielkie i różnobarwność, więc „chociaż wciąż się mienią w barwnej świateł zorzy, z pojedynczych odblasków harmonia się tworzy".

Weyssenhoff dał nowy typ w „Podfilipskim"; nie żeby egoistów i nikczemników dotąd w literaturze nie było, ale nowym jest w naszej powieści ten rodzaj pojęcia i ujęcia rzeczy. W „Sprawie Dołęgi" dał prawdziwy, podobno po raz pierwszy, obraz świata arystokratycznego i kilka nowych typów. W obu powieściach zastosował pierwszy technikę, opartą na ironii, której w tej mierze i w takiem zastosowaniu powieść polska dotąd nie znała.

Zadaleko zaprowadziłoby nas zestawianie szczegółowe tych czterech pisarzy ze sobą. Nie w tem zresztą rzecz. Różnice mniej nas obchodzą, zwłaszcza różnice techniki, środków zewnętrznych. To tylko zaznaczyć trzeba, że powstali oni niezależnie jeden od drugiego. Wspólne jest wszakże ich pochodzenie: powołało ich do życia życie, dzisiejsza przemiana jakaś, która się odbywa w sercach i duszach polskich, jakieś napięcie,

podniesienie umysłów, ta, jak ją nazwał Potocki — orka dusz. Oni wszyscy, każdy na swój sposób, są objawem renesansu dzisiejszego polskiego. Każdy z nich bierze na siebie pewien zakres, pewną część pracy; jeden będzie miał zwrócone oko na tak zwane wyższe sfery, drugi sięgnie do ludzi bezdomnych, trzeci szukać będzie i człowieka i Polaka wśród zasp śniegowych Syberyi i w puszczy mongolskiej, czwarty zwraca się coraz to w inną stronę: — wszyscy razem są objawem jednego faktu i służą jednej idei.

Na wykazanie związku między nimi a generacyą starszą jeszcze nieco zawcześnie, ale pewne fakta można zaobserwować już dzisiaj.

Ograniczmy się do Sienkiewicza i Weyssenhoffa.

Wiadoma rzecz, że na twórczość powieściową ostatniego dziesiątka lat Sienkiewicz wywarł wpływ wielki. Wiadomo, że jego określenia stały się własnością powszechną, że Płoszowski zrodził wielu małych Płoszowskich i kontr-Płoszowskich, że powieść historyczna na nowo się rozwinęła. Rzecz zupełnie naturalna wobec olbrzymiego spopularyzowania w całym narodzie, więc wobec przeniknięcia w duszę społeczeństwa całego obrazów, myśli, pojęć, typów sienkiewiczowskich. To znaczy, że wpływ Sienkiewicza stał się wielkim w zakresie ogólnym umysłowości polskiej. Z tego potem i z bezpośredniego oddziaływania ściśle literackiego powstały te po-sienkiewiczowskie produkta literackie. Tylko niestety: ten wpływ uwydatnił się najsilniej na małych powieściopisarzach. Stąd można było mówić o naśladownictwach, zachwaszczających właściwie literaturę. Ci brali tylko szczegóły czysto zewnętrzne, najłatwiejsze do uchwycenia i powtórzenia; celowały zaś w tem panie, i tu możnaby z Podfilipskim powiedzieć: o! pań jest dużo! Stąd rzeczy, nie stanowiące istotę talentu Sienkiewicza, ale raczej jego manierę, stawały się w drugiem, trzeciem i dziesiątem powtórzeniu, powtórzeniu do tego słabem, wprost nie do zniesienia.

Ale na szczęście ten wpływ nie ograniczył się tylko do maluczkich.

Spieszymy do Weyssenhoffa, więc tylko po drodze zawa-

dzimy o innych. Naprzód ogólne podniesienie kultury powieści przez Sienkiewicza, zrobienie jej większą i piękniejszą, niż była przedtem, ułatwiło młodszym zadanie, utorowało im drogę. Ale i poza tem wpływ Sienkiewicza widoczny jest u każdego. Najmniej może u Żeromskiego, ale i u niego wskazałbym np. na końcową scenę „Syzyfowych prac“. U Sieroszewskiego w rzeczach wcześniejszych mniej, w „Jang-hun-tsy“ z pewnością. U Reymonta w całym sposobie pisania, a bardzo często w „Ziemi obiecanej“. Tak każdy z nich coś Sienkiewiczowi zawdzięcza, choćby się tego nawet wypierał. A jest to właśnie wpływ wielkiego talentu na wielki talent; stąd ten drugi bierze nie czysto przypadkowe, czysto zewnętrzne drobiazgi, właściwości maniery, ale korzysta z tego, co tamten wniósł do literatury nowego i świeżego, aby na tem się oparłszy, budować dalej już z własnych materyałów, z własnego ducha. Sienkiewicz zaczyna teraz przez krytyków „młodych“ być trochę postponowany; przyjdzie czas, w którym się okaże, że znaczenie jego w literaturze naszej jest większe, aniżeli sądzą jego wielbiciele.

U Weyssenhoffa wpływ ten objawia się silniej, niż u tamtych. Wpływ przedewszystkiem powieści współczesnych „Bez dogmatu“ i „Rodziny Połanieckich“, co się łatwo tłumaczy bliskością tematów: i tu i tam przebywamy wśród dziesięciu tysięcy wyższych.

Podfilipski jest typem, pokrewnym Płoszowskiemu. Obaj bardzo różni, ale warunki, które wytworzyły jednego i drugiego, są w istocie swej te same; tylko ich wpływ na różnych duszach i temperamentach objawił się różnie. To nas jeszcze nie upoważnia do twierdzenia o wpływie Sienkiewicza na Weyssenhoffa, ale w każdym razie świadczy już o pewnej równoległości, niedalekiej od oddziaływania. Natomiast blizkim krewnym Płoszowskiego jest Andrzej Zbarazki, mają oni te same usposobienia, te same właściwości, tę samą subtelność i wrażliwość, tę samą kulturę, tylko Andrzej jest mniej chory i więcej ma szczęścia w życiu. Sposób prostego i potocznego a poetycznego opowiadania prostych codziennych wypadków w „Sprawie Dołęgi“, jakkolwiek nie jest naśladownictwem, to jednakże z pe-

wnością opiera się na manierze „Rodziny Połanieckich“. Poza tem jest dość drobiazgów, na ten wpływ ukazujących: przypomnę scenę między Andrzejem a Izą w Warze, niektóre określenia i zwroty, postać Maryni, zanadto przypominającej heroiny sienkiewiczowskie. Wszystko razem wziąwszy, przyjdziemy do przekonania, że wpływ Sienkiewicza na Weyssenhoffa, zwłaszcza w drugiej powieści, jest widoczny, jest silniejszy, niż u innych młodych powieściopisarzy, i że w części objawił się naśladownictwem, w części dalszą budową na przygotowanej podstawie.

Stosunek Weyssenhoffa do powieści francuskiej godzienby był także wyjaśnienia. Powszechnie wskazują na Anatola France'a, jako mistrza subtelnej ironii, malowania dyskretnymi półtonami, i t. p. Nie mogąc kwestyi zbadać, powołuję się tylko na sądy obce. Dodam tylko, że *Bel-ami* Maupassanta jest typem niesłychanie podobnym do Podfilipskiego, i skreślony również na pozór zupełnie obojętnie, bez oburzenia etycznego, ale przeciwnie niż u Weyssenhoffa bez ciągłej ironii. Czyby i *Disciple* Bourgeta nie miał wielu rysów wspólnych z tymi dwoma? Oczywiście szukając dalej, znalazłoby się niemało Podfilipskich różnego autoramentu, ale toby nas już zawiodło poza granice pracy, chcącej mówić przedewszystkiem o powieściach Weyssenhoffa.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

ENUNCYACYE NASZEGO EPISKOPATU
W KWESTYI SOCYALNEJ.

(NN. XX. BB. Teodorowicz, Bilczewski, Pelczar, Stablewski).

Kilkanaście lat temu, gdy Decurtinsowi pokazywano okolicę Krakowa, zapewniano tego słynnego pracownika na niwie społecznej, że u nas socyalizmu niema; w tym samym czasie jeden z naszych uczonych powiedział w publicznym wykładzie: Brak socyalizmu u nas jest dowodem krajowego ubóstwa, wskazuje bowiem na brak przeciwnika, z którymby praca walczyć mogła.

Zdawało się nam, że jesteśmy na zawsze, a przynajmniej na długie lata zabezpieczeni od prądów, wstrząsających zachodnią Europą, że sprawy tam piekące, mają dla nas akademickie tylko znaczenie. Z katedry mówiło się wprawdzie o socyalizmie, pisało się dysertacye o teoryach Marxa lub Proudhona, lecz traktowało się je tak, jak np. kwestyę niewolnictwa w Afryce, ze stanowiska niezainteresowanych widzów, ściśle naukowo.

Nic więc dziwnego, że i wielka encyklika *Rerum novarum* słabem tylko u nas odbiła się echem. W Niemczech i we Francyi, w Anglii i Belgii zajęto się nią z wielkim zapałem, bo dotykała najżywotniejszych, najpilniejszych zagadnień tamtejszego publicznego życia: u nas niewiele stosunkowo osób poznało się z jej treścią, nie miała bowiem, według ogólnej opinii, prakty-

cznego w naszym kraju znaczenia. Przeszła tak, jak wobec szerokiej publiczności przechodzi pomnikowe choćby dzieło ściśle naukowe; chwali się je, zachwyca się niem bardzo gorliwie, do czytania jednak nie zabiera się nigdy.

Tymczasem przekonaliśmy się z biegiem czasu, że kraj nasz nie ma żadnego przywileju na uchylenie się z pod wpływów ogólno-światowych, że popularne tendencye i kierunki przychodzą do niego może cokolwiek później, lecz bynajmniej nie zatrzymują się u jego granic. Socyalizm zawitał więc i do nas, ale ponieważ nie znalazł naturalnych dla siebie warunków, ponieważ brak kapitału nie dopuszczał, ażeby robotnik z nim walczył, przeto przybrał formę rodzimą, od zagranicznej o wiele gorszą.

Nieraz w walce z naszą socyalną demokracyą podnosimy ten odmienny jej charakter, wytykamy jej, że walczy nie zasadami, nie w myśl pewnych ogólnych idei, lecz bronią najniemoralniejszą, bo oszczerstwem i podsycaniem nienawiści do wszystkiego i wszystkich. Zarzut ten jest słuszny, a jednak niesprawiedliwy. Socyalna demokracya u nas, to i dziś nawet, o ile chodzi o prawdziwych zwolenników kollektywizmu, drobna warstwa, któraby społecznie i politycznie zginęła bez śladu w milionach społeczeństwa, gdyby nie potrafiła agitacyą zszeregować przy sobie liczne rzesze niezadowolonych. Wszyscy, którzy dla jakichkolwiek powodów pragnęliby zmiany panujących stosunków, którzy sądzą, że dzieje im się krzywda, że mają coś do żądania, ci wszyscy skupiają się obecnie około socyalizmu, jako stronnictwa najradykalniejszego i najruchliwszego. A ponieważ te masy—nie socyalistyczne, ale opozycyjne—stanowią jedyną siłę socyalizmu, przeto w interesie partyjnym leży ich zwiększanie i obrona przed ich utratą. Powstały one przez zawiść i niezadowolenia, te przeto uczucia musi agitacya utrzymywać i szerzyć i dlatego nasz socyalizm z natury rzeczy musi przybierać formę gwałtowną, krzykliwą, anarchiczną.

Dawniej, przed wzmożeniem się socyalizmu, rolę tę spełniały stronnictwa liberalne, ludowe i demokratyczne. Nie można przeto się dziwić, że nawet po pojawieniu się i szybkim wzroście

socyalizmu, czuć było w naszem społeczeństwie pewne wahanie, czy w walce z tym ruchem należy użyć środków jedynie odpowiednich i skutecznych, a zaleconych przez Leona XIII, czy więc należy pójść w lud i walczyć o niego z apostołami przewrotu.

Pewna, niestety bardzo niewielka liczba ludzi, pomiędzy którymi w pierwszym szeregu stał ś. p. O. Badeni, oświadczyła się za tem stanowczo, w społeczeństwie jednak nie znajdowała żadnego poparcia. Nie wchodząc już w przyczyny, nader różnorodnej kategoryi, można powiedzieć, że uważano ich albo za mniej lub więcej szkodliwych i niebezpiecznych agitatorów, albo za niepraktycznych ideologów, którzy świadomie czy nieświadomie, dla ambicyi lub utopii szerzą demagogię, a w ślad za nią anarchię.

Praca, wymagająca wielkiego nakładu sił i ofiar, podjęta, jak trafnie powiada ks. Arc. Bilczewski, przez „garstkę pracowników, która ciągle ta sama się szamoce, podczas gdy inni wygodnie patrzą z boku i krytykują“ — nie mogła wydać znaczniejszych owoców. Wszędzie prawie mając niechętnych, nigdzie niemal życzliwych i niosących pomoc, nie mogli demokraci chrześcijańscy stworzyć skutecznej zapory dla potężnego już, opierającego się w razie potrzeby, o pozakrajową pomoc socyalizmu. Rozłam i rozdźwięk w społeczeństwie rósł i rośnie bezustannie, a pomimo że tu i ówdzie pojawiały się głosy, akcentujące potrzebę wyjścia z letargu i otrząśnięcia się z uprzedzeń, nie miały one żadnego praktycznego skutku.

W ten sposób doszliśmy w bardzo krótkim czasie do dzisiejszych stosunków. Z jednej strony coraz szersze masy, opanowywane przez prądy radykalno-socyalistyczne, działające skutecznie i usilnie, z drugiej zaś bezczynność najznaczniejszej części reszty społeczeństwa i prawie bezowocna, często zniechęcająca niedostatecznością rezultatów praca nielicznych. Siły były tak nierówne, że z góry można było przewidzieć, iż jeżeli potrwa tak dłużej, walka zakończy się stanowczo zwycięstwem kierunków skrajnych.

Jakkolwiek stan ten trwa jeszcze i pozytywnych zmian

niema, to jednak ostatnie miesiące przyniosły pewne fakty, które napełniają otuchą na przyszłość i mogą stanowić punkt zwrotny w naszych stosunkach wewnętrznych.

Wszelka praca w duchu wskazówek Leona XIII miała dotychczas niejako charakter prywatny, usiłowań indywidualnych. Żaden wybitniejszy czynnik krajowy, czy to polityczny, czy społeczny lub duchowny, nie zajął wobec niej zdecydowanego stanowiska, wszędzie spotykała się co najwyżej z konwencyonalną, chłodną aprobatą i uznaniem, poza którem można było dojrzeć dostateczną dozę jeżeli nie niechęci, to przynajmniej krytyki. I istotnie, na poparcie sfer wpływowych niepodobna było liczyć, bo ruch, nie mający szans szybkiego rozwoju w najbliższej przyszłości, nie mógł stanowić dostatecznej atrakcyi dla czynnych bezpośrednio polityków. Jedynie władze duchowne, kierujące się zasadami, nie oportunizmem, mogły przyjść tym usiłowaniom z pomocą, mogły ten ruch niejako uobywatelnić swoją powagą, swojem poparciem wzmocnić, swojem uznaniem zmniejszyć koła niechętnych i przeciwników.

Dziś wreszcie to się stało. W ciągu jednego roku trzech biskupów wschodnio-galicyjskich zabrało głos w sprawie społecznej w naszym kraju i autorytatywnie uznało, że powinniśmy i u nas postępować w myśl zasad demokracyi chrześcijańskiej. Najpierw, bo już w swym liście konsekracyjnym z lutego zeszłego roku, przemówił arcybiskup ormiański, który później poświęcił tej sprawie całą rozprawę p. t. „Z ostatnich doświadczeń“ [1]; następnie zajął się nią synod dyecezyalny przemyski, odbyty w sierpniu [2]; wreszcie w dniach ostatnich wydał w spra-

---

[1] Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz: List pasterski do duchowieństwa i wiernych obrz. orm., wydany 2 lutego 1902 r., w dzień konsekracyi biskupiej i intronizacyi. Lwów 1902, — i „Z ostatnich doświadczeń“. Uwagi po strejkach. Lwów. 1903.

[2] „Acta et statuta synodi dioecesanae premisliensis quam a. d. 1902 diebus 19, 20, 21, 22 mensis Augusti habuit Josephus Sebastianus Pelczar episcopus premisliensis latinorum. Premisliae 1903, mianowicie cały tit. VIII (§§. 544—587) i §§. 35—38; 102—116; 505—513; 535—543.

wie społecznej swój list wielkopostny arcybiskup lwowski obrz. łac.[1].

Bardzo charakterystycznym jest wzajemny stosunek tych trzech enuncyacyj do siebie. Najzupełniej oczywiście zgodne co do przewodniej swej myśli, ujmują jednak problemat rozmaicie i w ten sposób, uzupełniając się niejako, dają całokształt poglądu naszego episkopatu na krajowe braki i potrzeby społeczne. Wskutek różnorodności celu, dla którego wystąpił każdy z biskupów, wskutek tego, że do różnych sfer się zwracają, wreszcie dzięki indywidualnościom tych książąt Kościoła, dostaliśmy trzy wskazówki, które tem lepiej rozświecają całą sprawę, że każda pod innym na nią patrzy kątem.

Organiczny ten związek przedstawia się mniej więcej w następujący sposób. Zasadniczą stroną całego problematu zajmuje się ks. arcybiskup Teodorowicz. Nie wiele mamy w naszej literaturze tak głęboko pomyślanych rozpraw o wzajemnym stosunku warstw społecznych, o potrzebach i błędach naszego organizmu, jak broszura „Z ostatnich doświadczeń". Autor wykrywa w niej najpierwsze, psychiczne przyczyny złego, a skreśliwszy jego źródło i powody, wskazuje na omyłki, błędy, niewłaściwości postępowania i środki zaradcze. Mamy tu niejako filozofię dziejową naszego życia publicznego lat ostatnich, mamy prawdziwe podstawy do ocenienia, co należy zmienić i usunąć, jak nadal wypada działać.

Na gruncie papieskiej doktryny społecznej zbudował swój list pasterski ks. arcybiskup Bilczewski. Podnosi on z jednej strony konkretne błędy klas oświeceńszych i zamożniejszych, z drugiej zaś — omówiwszy niezdrowe prądy wdzierające się w szerokie masy — zaznajamia społeczeństwo z naczelnemi zasadami demokracyi chrześcijańskiej, zwalczając panujące uprzedzenia, zbijając podnoszone zarzuty i wzywając do pracy w myśl jej postulatów.

Tak jak ks. Teodorowicz wszedł w najpierwsze sprężyny,

---

[1] Józef Bilczewski, Arcybiskup i Metropolita lwowski obrz. łać.: „List w sprawie społecznej" z 20 stycznia 1903. Lwów. 1903.

poruszające postępowaniem różnych warstw narodu, tak znowu ks. Bilczewski określa główne objawy tego stanu; jak tamten wskazał gdzie i co należy zmienić, tak ten znowu daje niejako streszczenie poradnika dla początkujących na tem polu.

Ks. biskup Pelczar, zwracając się do swego duchowieństwa, dając mu wskazówki, jakie winno zająć stanowisko wobec każdego zdarzenia rzeczywistego życia, idzie jeszcze o jeden krok dalej, i nie wiele poświęcając miejsca wywodom ogólniejszym, omawia jasno a krótko każdy objaw, dając jego charakterystykę etyczną, wskazując środki, którymi rzecz dobrą można wzmocnić, a złej przeciwdziałać. Gdybyśmy dla jasnego określenia stosunku wzajemnego tych trzech prac mieli zaczerpnąć porównanie z prawa, powiedzielibyśmy, że ks. Teodorowiczowi zawdzięczamy rodzimy system, ks. Bilczewskiemu komentarz, ks. Pelczarowi zbiór kazuistyki wypadków praktycznych. To też właśnie dlatego, że taka ścisła między temi pracami zachodzi łączność, że one wszystkie razem stanowią dopiero skończoną całość, możemy je omówić w jednym artykule. Ostateczny ich rezultat, rezultat zasadniczy i doniosły, da się doskonale zamknąć w słowach listu pasterskiego ks. arc. Bilczewskiego: „Nie tylko nie godzi odnosić się z nieufnością do demokracyi chrześcijańskiej, ale nadto demokratą chrześcijańskim może i powinien być każdy obywatel“ (str. 34) — umotywowanie zaś i przeprowadzenie tej idei tak zasadnicze jak i praktyczne, opracowane przez naszych książąt Kościoła, pragniemy właśnie tu streścić i omówić, w porządku, który wynika już z poprzednich wywodów.

I.

Formalnie przedstawia się rozprawa ks. arc. Teodorowicza jako rzecz o strejkach — i taki nawet nosi ona tytuł, lecz autor powiada wyraźnie, że „zastanawia się nad strejkami tylko o tyle, o ile służyć one będą do udowodnienia tego, cośmy byli już zrobić powinni, czego jednak nie zrobiliśmy, co zaś dzisiaj pod grozą konieczności zrobić musimy“ (str. 10). I istotnie, już powierzchowne przerzucenie broszury wskazuje, że cel jej jest znacznie szerszy i ogólniejszy. Nie chodzi o jedno tylko, choćby

wielkiej wagi zdarzenie, nie chodzi o wyjaśnienie przyczyn lub skutków jednego objawu naszego społecznego życia, lecz autor wnikając w nie głęboko i sądząc, że wstrząśnienie, spowodowane podolskim ruchem agrarnym, stanowi dostateczną przyczynę, ażeby wejść w siebie i poszukać dróg nowych, pragnie wskazać ludziom dobrej woli w czem dotąd błądziliśmy i jak wypada postąpić w przyszłości. Wskazówki te nie mają charakteru rad dorywczych, ulotnych, zastosowanych do bieżących potrzeb, lecz idąc do gruntu złego i licząc się tak z realną, jak i psychiczno-uczuciową stroną naszego narodowego życia, stanowią skończony program akcyi społecznej, gdyż „dla każdej politycznej myśli podstawą musi być zasada ogólna“ (str. 7), a z powodu strejków „posypały się tysiączne uwagi i zdania o programie działania na przyszłość... bardzo nieraz wytrawne, ale bez jednej, przewodniej myśli“ (str. 4).

Tak zakreślone zadanie rozwiązuje arc. Teodorowicz mniej więcej w następujący sposób.

Zasadniczą wadą naszych stosunków społecznych jest rozdźwięk pomiędzy ludem a wszystkiemi innemi klasami. Rozeszliśmy się z nim do tego stopnia, iż nie wiedzieliśmy nawet, co się w jego kołach dzieje, jakie prądy wstrząsają jego duszą. Pomimo, że od lat kilku prowadzono robotę agitacyjną, że broszurami i żywem słowem podburzano go i organizowano do walki, najbliższe nawet ludowi sfery ziemiańskie nie zdawały sobie sprawy z rozmiarów tego ruchu, a bezrobocie rolne zaskoczyło większość naszego społeczeństwa nagle, niespodzianie. Na wschodzie powtórzyło się to samo, co kilka lat przedtem widziało się w Galicyi zachodniej, gdy socyalizm pokazał się od razu bez porównania silniejszym, aniżeli ktokolwiek przypuszczał. Wszystko to dowodzi, że, jak mówi autor, we wpływie na lud daliśmy się wyręczyć innym i nie znaliśmy zupełnie jego pulsu, jeżeli nam brakło najzwyczajniejszych nawet informacyi.

Czemu to przypisać? Gdyby w naszem życiu publicznem panowała egoistyczna kastowość i klasowy tylko interes, a lud był pozbawiony wpływu na bieg spraw ogólnych; gdyby pomiędzy nim a innymi, pomiędzy wsią a dworem nie było ża-

dnej styczności, żadnej łączności interesów, żadnego osobistego zetknięcia się — podobny stan rzeczy byłby zupełnie naturalnym. Lecz nie da się zaprzeczyć, że największa część społeczeństwa dba o ten lud, pragnie polepszenia jego bytu, stara się według sił przyczynić do zaspokojenia jego potrzeb; że pomijając stosunkowo niezbyt liczne wyjątki, warstwy zamożniejsze nie stoją bynajmniej na stanowisku własnego egoizmu, lecz czują się zastępcami interesu ogólnego — skądże więc bierze się ten przedział, jeżeli właściwie niema dla niego powodów, dlaczego tak łatwo poruszyć lud przeciw tym, którzy nie tylko nie chcą być jego wrogiem, lecz owszem pragną go otoczyć jak najskuteczniejszą opieką.

I właśnie w tem, że na pozór niema dla tego rozdźwięku żadnych racyonalnych powodów, tkwi tak wielkie niebezpieczeństwo dla naszej przyszłości. Ludzie, którzy pełni dobrych chęci pracowali, swem zdaniem, skutecznie dla ludu, którym zdawało się, że mają prawo do uznania i wdzięczności — nagle widzą, że ten lud im nie ufa, że odwraca się od nich, że przeciw nim idzie za wpływem obcych podszeptów, słowem, że cała ich praca była bezowocna. Więc zniechęceni, tracą wiarę w swe siły i skuteczność akcyi i albo zaprzestają jej zupełnie, patrząc odtąd bezczynnie a pesymistycznie na dalszy bieg wypadków, albo nawet, oburzeni „niewdzięcznością“, przechodzą do obozu egoistycznego, który prócz siebie niczego nie widzi i o nic nie dba. W każdym razie straty stąd dla społeczeństwa są bardzo znaczne, bo maleje szereg pracowników, niknie energia, a wzmaga się tylko przedział klasowy i mnożą jego powody, tworząc argumenty dla antispołecznej agitacyi.

Tymczasem, jak słusznie podnosi autor, pesymizm i zniechęcenie są tu nie na miejscu, bo zarzuty bezowocności i niewdzięczności nie można wygłaszać pod adresem ludu. Nie on winien temu wszystkiemu, lecz raczej własna nasza nieudolność, nasza niezręczność, a po części także i próżność, które sprawiają, że pracujemy może wiele, ale w każdym razie niewłaściwie, nie licząc się ani ze stosunkami faktycznymi, ani z psychicznym i intellektualnym nastrojem warstw ludowych. Po-

trzeba tylko, powiada arcybiskup Teodorowicz, „wkład pracy inaczej skierować, ażeby korzystne otrzymać owoce“ (str. 18), zamiast pytać, czy warto nad ludem pracować, należy raczej zastanowić się, „czyśmy w pracy nad ludem dobrą mieli metodę?“

Strony, na których autor rozwija i uzasadnia bliżej te myśli, należą niewątpliwie do najświetniejszych i najgłębszych ustępów całej naszej nowszej literatury polityczno-społecznej.

Dwie zasady, czytamy tam, rządzą dziś zapatrywaniami na kwestyę ludową, dwa cele przyświecają każdej odnośnej akcyi. Uświęcona tradycyą metoda patryarchalna, żąda pracy dla ludu ale i za lud; nowsza, licząca się z jego samodzielnością, metoda demokratyczna, pragnie nie tylko dla niego pracować, ale także tak go wykształcić i uobywatelnić, ażeby mógł działać jako samoistny czynnik społeczny, ażeby potrafił myśleć i działać dla siebie i dla ogółu. Ostatecznym celem pierwszego systemu jest dać ludowi znośne, a nawet korzystne warunki materyalne i wpoić w niego zasady moralności chrześcijańskiej, że tak powiem jednostkowe, jako drogowskazy postępowania indywidualnego w sprawach ciasnego zakresu codziennego życia; drugi system pragnie również dać ludowi podstawy moralne i duchowe, lecz zarazem chce wytworzyć z szeregów ludowych obywateli, którzyby umieli postępować nie tylko w życiu prywatnem lecz i publicznem, mogli się zoryentować w swych nowych prawach ale i obowiązkach, i tak samo czuli i myśleli, jak inne klasy narodu.

Zwolennicy systemu patryarchalnego twierdzą, że niepodobna uczyć ludu używania praw obywatelskich, bo on jeszcze do tego nie dorósł, stąd też działają w myśl zasady: dla ludu, lecz bez ludu, t. zn. kładą główny akcent na filantropię i miłosierdzie, nawet tam, gdzieby można śmiało dopuścić samodzielnej pracy. Ta nieufność w siły intellektualne ludu i opierająca się o nią zasada „dobrodziejkowania“ jest niestety regułą wszelkiej naszej pracy nad ludem. Liczne są powody, dla których dziś jeszcze tak trudno nam się z tego otrząsnąć, jak-

kolwiek smutne doświadczenia lat ostatnich dowodzą aż nadto, że na tej drodze nie dojdziemy do żadnych poważnych rezultatów.

System czystej filantropii utrzymuje się u nas przedewszystkiem siłą tradycyi. Niema trudniejszej rzeczy, jak wyzwolić się z więzów przyzwyczajenia i doświadczenia, nic więc dziwnego, iż nie licząc się zupełnie ze zmianą stosunków, wielu bardzo chce we wszystkiem zastąpić lud, jakby nieletnich, jako — jak to się mówi pięknie — brać młodszą — i wprowadza tam darowiznę, jałmużnę i miłosierdzie, gdzieby było miejsce na pouczenie, własną pracę lub sprawiedliwość. Poprzednia generacya działała, myślą sobie, w taki sam sposób i z bardzo dobrym skutkiem, jeżeli więc dzisiaj nie widzimy takich owoców, winien jest lud, nieufny, niewdzięczny, zepsuty, winna agitacya, prasa, rząd i t. p. — słowem wszystko, tylko nie przyczyna właściwa, nieodpowiedni dobór środków.

Inni znowu uznają tylko miłosierdzie z pobudek psychicznych, choć najczęściej nieświadomych, instynktownych. Filantropia jest dobrowolną, jest łaską zupełnie jednostronną, praktykując ją przeto możemy sobie przyznawać pewną zasługę, zaspakajamy naszą próżność, nie czujemy więzów, które nakłada poczucie obowiązku i ciągłe liczenie się ze sprawiedliwością. Przytem ma się tu więcej swobody dla temperamentu, jak wiadomo u nas bardzo sangwinicznego, który nałamywa się nader trudno do pracy wytrwałej a systematycznej, niezbędnej w razie zastosowania odmiennej metody. A i skutek jest widoczny, natychmiastowy, jakkolwiek naprawiając tylko przypadkowy objaw złego, a nie pracując nad usunięciem jego przyczyn, uzyskujemy najczęściej rezultaty, nie stojące w żadnym stosunku do nakładu pracy i ofiar. Lecz w każdym wypadku bardziej nas uderza i wprost nam jest milsze wyleczenie chorego, albo nasycenie głodnego, aniżeli praca może długoletnia, ażeby ulepszyć stosunki higieniczne, lub stworzyć racyonalne warunki materyalne. Wprawdzie w pierwszym wypadku po jednym chorym pojawi się drugi, po jednym nędzarzu okażą się inni, podczas gdy w drugim może zniknąć na zawsze niedostatek czy epidemia;

wprawdzie nieraz koszt i praca, rozrzucone pomiędzy przypadkiem tylko dostrzeżone jednostki wystarczyłyby aż nadto, ażeby zło wyrwać z korzeniem — lecz o tem się nie myśli zupełnie, tem bardziej, że działając nawet w ten szlachetny lecz nieracyonalny sposób ma się przeświadczenie, że się pracuje ponad swój obowiązek.

Trzecia wreszcie grupa trzyma się metody patryarchalnej ze względów ściśle politycznych. Lud raz uświadomiony zapragnie władzy i znaczenia, wypuszczony z opieki i pouczony o swych prawach, zechce zająć wybitne stanowisko w życiu publicznem, a tego należy o ile możności uniknąć. Z tymi, którzy tak rozumują z pobudek osobistych, nie chcąc ażeby wzmożenie się wpływów ludowych odbyło się ich kosztem, polemizować niepodobna, interes bowiem zastępuje u nich argumenty. Lecz kierunek ten liczy także wielu zwolenników bezinteresownych, którym chodzi jedynie o dobro ogółu. Obawiają się oni, ażeby opanowanie areny politycznej przez niedoświadczone warstwy, nie przyniosło szkód bardzo poważnych, dlatego trzymają się patryarchalizmu w nadziei, że w ten sposób odsuną w daleką przyszłość tę nieszczęsną chwilę. Tym należy odpowiedzieć, że wybierają możliwie najgorszą metodę, gdyż swem postępowaniem przyspieszają jedynie tę zmianę, którąby pragnęli oddalić, a w dodatku sprawiają, że istotnie na teren polityczny wydostają się masy i jednostki najmniej odpowiednie i wcale nie przygotowane.

„Rezerwa po jednej stronie nie zawaruje bynajmniej wstrzemięźliwości po drugiej“ (str. 21), podnosi z naciskiem autor. Agitacyi zależy właśnie na tem, ażeby odciąć lud od reszty społeczeństwa, bo wtedy ona kieruje jego wykształceniem politycznem i prowadzi go z łatwością do swego obozu, a grając na uczuciu i namiętnościach, wysuwa na czoło ludu żywioły najgorętsze i najradykalniejsze, poza którymi stoją masy inspirowane jednostronnie i tendencyjnie, najgorszy przeto materyał dla użytecznej pracy społecznej. Wszędzie dzisiaj u nas odbywa się agitacya na gruncie klasowego egoizmu, a czyż można bardziej ułatwić zadanie przeciwnikowi, jak bez najmniejszego oporu

opuścić teren walki i świecąc swą nieobecnością, włożyć mu w usta argument: Nie przyszli, bo na moje słowa nie mieli co odpowiedzieć! Lud przygotowywany wszechstronnie do życia publicznego, któryby słyszał jedną i drugą stronę i mógł choć częściowo ocenić doniosłość i prawdziwość wszystkich kierunków, uzyskawszy wpływ polityczny, mógłby przyłączyć się do jednej lub drugiej grupy, mógłby żądać tej lub owej reformy, mógłby wreszcie stanowić opozycyę, ale opozycyę realną, czynu, mającą pewne skrystalizowane pojęcia, pewien pozytywny program. Tymczasem pozostawiony sam sobie i agitacyi, napojony nieufnością do wszystkiego, co robią inni, staje się czynnikiem czysto negatywnym, który trzyma się hasła: zwalczać wszystko, co wychodzi z przeciwnej strony. Oczywiście, że tego rodzaju stosunki są nader smutne, lecz wina to nie ludu, tylko naszego postępowania. Pomimo wszystkiego, o ten lud właśnie opierają się wszystkie czynniki polityczne, on jest tą siłą bezwładną lecz potężną, która stojąc za nimi, zapewnia im wpływ i znaczenie. Bez niego najświetniejsze wykształcenie i najlepsza taktyka są bezużyteczne, bo nikt się z niemi nie liczy; niepodobna przeto — we własnym i ogólnym interesie — pozostawić przypadkowi jego poparcia, pozwolić ażeby każdej chwili, bez poważnego powodu, w przeciwną przerzucił się stronę. A chcąc go utrzymać przy sobie, musimy mu wyjaśnić, dlaczego naszego ma trzymać się obozu; nie wystarcza jednać go sobie łaską czy dobrodziejstwem lecz należy zespolić się z nim potężnym węzłem wspólnych dążeń i interesów. Odsunięcie ludu od wpływu na politykę, jest w dzisiejszym ustroju społecznym ominięciem prawa, sztucznie tylko podtrzymywanem. Z każdym dniem sztuka ta staje się trudniejszą i zawodzi coraz częściej, nie pozostaje więc nic innego jak tylko zerwać z dotychczasowym systemem i popracować nad tem, ażeby przyznanie ludowi należnego stanowiska w polityce, nie oddziałało ujemnie na bieg spraw publicznych.

Do tego właśnie celu prowadzi zasada d e m o k r a c y i chrześcijańskiej. Uznając w całej pełni doniosłość miłosierdzia, naznacza mu jednak właściwy teren tam, gdzie sprawiedliwość już nie dosięga. Miłosierdzie łagodzi nieszczęścia indywidualne

i wyjątkowe wypadki, przychodzi z skuteczną pomocą tam nawet, gdzieby w myśl sprawiedliwości nie można było żądać żadnego poparcia. Natomiast właściwy, normalny bieg życia społecznego opiera się w demokracyi na idei sprawiedliwości, na poznaniu i przestrzeganiu wzajemnych praw i obowiązków, na pracy nad zaspokojeniem wszystkich potrzeb ducha i ciała warstw społecznych — a więc nie tylko nad dobrobytem materyalnym, nie tylko nad chrześcijańskiem umoralnieniem, lecz także nad socyalnem i politycznem uświadomieniem ludu. Nie tylko daje mu się tu w drodze łaski środki do życia, lecz zarazem rozwija się jego władze umysłowe, ażeby samoistnie mógł myśleć i działać dla siebie — a w zamian nie żąda się uznania lub wdzięczności, lecz jedynie właściwego spełniania obowiązków. W systemie patryarchalnym, wychodząc z przekonania, że lud nie dorósł do wykonywania swych praw obywatelskich, dąży się w praktyce do ich anihilowania przez zastępowanie go na każdym kroku, a w sferze materyalnej darzy się go jałmużną tam nawet, gdzieby własna jego praca skutecznie objawić się mogła; w systemie demokratycznym, przyznając nawet, że lud na razie nie osiągnął jeszcze odpowiedniego poziomu, wierzy się mocno, że dorastać może i wychodzi z założenia, że dojrzewać powinien. „To też praca dla ludu jest w nim poniekąd mniejsza, bo ten, co wszystko za drugiego robi, więcej zazwyczaj się spracuje, aniżeli ten, który wespół z innym działa“ (str. 15).

Co więcej, system demokratyczny więcej odpowiada chrześcijańskiej zasadzie miłości, aniżeli metoda filantropii. Kilka zdań, któremi autor udowadnia niezbicie tę tezę, ma szczególniej dla naszych stosunków, olbrzymią doniosłość. Dobrodziejstwo, łaska, miłosierdzie mają dla naszego charakteru sentymentalnego ogromny urok. Dzięki temu wyrobiło się przeświadczenie, że usunięcie tych aktów na drugi plan w akcyi społecznej, jest czemś prawie nieetycznem, przeświadczenie rozwielmożnione do tego stopnia, że znajdują się nawet jednostki, które występują przeciw racyonalnemu uregulowaniu dobroczynności, twierdząc, że traci ona przez to charakter miłości chrześcijańskiej. To zapatrywanie

obala, mamy nadzieję, stanowczo ks. Teodorowicz, wykazując, że miłość chrześcijańska sprzyja przedewszystkiem kierunkowi, „który w wychowaniu społecznem uwzględnia nie cząstkę tylko, ale rozwój wszystkich władz duszy i potrzeb ciała, który uszanowuje w granicach możliwych to dobro wielkie, jakiem jest wolność i działalność osobista; który uświęca szczególniej tę pracę dla drugich, co nawet w dobrem wyrzec się umie i potrafi siebie“ (str. 17).

Zasadnicza przeto idea demokratyczna, płynąca wprost ze szczytnej zasady miłości chrześcijańskiej posiada niezaprzeczone pierwszeństwo. Dobro ogółu, już ze względów ściśle polityczno-społecznych, domaga się gwałtownie, ażebyśmy się ku niej jak najprędzej zwrócili, do tego zaś przybywa, jako potężny sojusznik, wzgląd na przeciwnika, który przesunął teren walki właśnie na pole sprawiedliwości. Agitacya nie mówi do ludu „tyś biedny, ale woła tyś pokrzywdzony — i nie może być doprawdy hasła trafniej dobranego i skuteczniejszego, by osiągnąć cel, zamierzony przez tych, którzy je wydają“ (str. 31).

W ten sposób podrażnione poczucie sprawiedliwości ludu nie zabliźni żadna dobroczynność; tutaj istotnie potrzeba usunąć istniejące nadużycia, potrzeba stanąć na gruncie słuszności i starać się usilnie, ażeby lud nigdy i od nikogo nie doznawał krzywdy. Ze stanowiska chrześcijańskiego nie potrzeba tego żądania uzasadniać bliżej, bo rozumie się samo przez się, dla tych zaś, którym to nie wystarcza, można dodać, że oportunizm dochodzi do tego samego rezultatu, bo bez wprowadzenia istotnej, najskrupulatniejszej sprawiedliwości, nie może być mowy o skutecznem zwalczaniu żywiołów wywrotowych. Dla idei i interesu musimy sprawiedliwość wypisać na sztandarze naszego postępowania, inaczej idziemy ku wstrząśnieniom, których skutków niepodobna ocenić.

To jest punkt wyjścia dla krytyki niektórych objawów naszego praktycznego życia, a stąd dla skreślenia zarysu reformy na przyszłość. A szczegółowe rozpatrzenie tych rzeczy poprzedza znowu ustęp o znaczeniu ogólnem, charakteryzujący

doskonale jedną z zasadniczych naszych wad narodowych, która da się streścić w zdaniu: trudno u nas o jednolitość w postępowaniu, czy w złem, czy dobrem.

Społeczeństwo nasze jest jak najlepiej dla ludu usposobione, samo przez się przeto się rozumie, że krzywdy jego nie chce, mówi się nieraz. „Odpowiem na to — pisze ks. Teodorowicz — że właśnie pod tą powłoką dobrej woli i tej ogólnej życzliwości dla ludu może się znajdować mnóstwo rzeczy choćby drobnych, które się poprostu przeocza, z których się sobie sprawy nie zdaje, a które właśnie o wszystkiem rozstrzygać mogą. Nie wolno więc zatrzymać się na jakimś ogólnym, sumarycznym wymiarze sprawiedliwości, lecz piekącą potrzebą jest wyrobienie zmysłu prawnego w stosunkach z warstwami pracującemi, jak najdokładniejsze i najwszechstronniejsze“ (str. 36). Bo, czytamy w liście pasterskim, odnośnie do sprawy narodowościowej, co równie dobrze da się zastosować do walk klasowych — „w powikłaniach społecznych ogromną rolę odgrywa strona uczuciowa, a bardzo wiele ról przypada w takich razach wyobraźni i uczuciu, które dany punkt sporny w jego rozmiarach powiększają, albo oświetlają z jednej tylko strony, lub też dopatrują się w nim czego innego, aniżeli dopatrzeć pozwala rzeczywistość“.

Tymczasem na to właśnie nie zwracamy uwagi, podczas gdy lud jest niesłychanie wrażliwy na wszystkie uchybienia tego rodzaju. Raz się przecenia, raz znowu nie docenia jego pracy; nie licząc się z jego czasem, każe mu się nieraz godzinami czekać dla błahostki; osobę chłopa ceni się niekiedy, np. podczas wyborów, bardzo wysoko, z chwilą gdy go się nie potrzebuje, bardzo nisko; w stosunkach codziennych dają niektórzy odczuć ludowi, że się lekceważy jego godność osobistą. On na to wszystko prawie zawsze milczy, ale wynosi wewnętrzną urazę, potężnego sojusznika tych wszystkich, którzy ją zręcznie rozżarzyć umieją. A przecież to wszystko nie zaliczamy do szeregu krzywd, uważamy to za drobiazgi, przy których nie warto się zatrzymywać.

Obok tego istnieje znaczna nierównomierność, pewna fantastyczność w ocenianiu stosunku prawnego do ludu. W razie

przewinienia z jego strony raz puszcza się wszystko płazem, to znowu karze surowo, tak, że nadmierna tolerancya wytwarza zanik uczuć etycznych, zbytnia represya natomiast, wobec niejednokrotnie nieuzasadnionej pobłażliwości, wywołuje uczucie krzywdy. Jeżeli do tego dodamy istotnie niesumienne postępowanie niektórych jednostek między pracodawcami, pokrywane a przynajmniej nie piętnowane przez sąsiadów, ze względu na źle pojętą solidarność stanową, jeżeli uwzględnimy nadużycia pośredników między chatą a dworem najrozmaitszej kategoryi, na które najczęściej przymyka się oczy — to nie możemy się dziwić, że u naszego ludu poczucie prawa tak słabo jest rozwinięte. Wszystko on zna: łaskę i lekceważenie, pobłażliwość i nadużycie, wyzysk i dobrodziejstwo, najtrudniej tylko spotkać mu się z rozumnem odważeniem praw i obowiązków, z roztropną sprawiedliwością.

A przecież tylko w dziedzinie sprawiedliwości można zdobyć jego zaufanie. Sprawiedliwość ta jednak musi być pojęta i przeprowadzona jak najszerzej, nie tylko w zetknięciu osobistem, ale i w sprawach ogólniejszych. Tak, jak dopomagamy ludowi miłosierdziem w razie materyalnej nędzy, tak powinniśmy się ujmować systematycznie za jego prawem i słusznością, gdy skądkolwiek dzieje mu się krzywda, wobec której najczęściej stoi bezbronny. Przed niesumiennymi pracodawcami należy zasłonić go solidarnym naciskiem lub nawet ostracyzmem towarzyskim, czy publicznem napiętnowaniem; przed nadużyciami służby, pośredników i pomocników surową kontrolą; przed zaniedbaniami organów publicznych bezustannem oświecaniem o jego uprawnieniach i zorganizowaniem stałej pomocy prawnej.

Pozostaje jeszcze jedna, dziś nader ważna forma krzywdy i wyzysku — agitacya. Działa ona na psychiczny stan tłumów przytaczaniem poszczególnych, zręcznie dobranych a drastycznych wypadków, które każdy na podstawie doświadczenia w lot sobie uogólnia, choćby do najrzadszych należały wyjątków, i opiera na nich antagonizm swój do wszystkich warstw innych; działa podburzającem, grającem na namiętnościach słowem na wiecach czy w broszurach, w które wplata ponętne

obrazy przyszłego ustroju na wypadek zwycięstwa; działa wreszcie potężnie terroryzmem i przemyślnie podnieconem poczuciem solidarności z towarzyszami niedoli. Niezadowoleni z dzisiejszych stosunków, wierząc w polepszenie, którego pragną, widząc sąsiadów i przyjaciół, kroczących po tej samej drodze, idą z nimi przeciw wszystkiemu, co tylko im jako wrogie wskazano, posłuszni na każde skinienie przywódców.

Przeciw temu wszystkiemu mamy potężną broń w ręku, istotną identyczność interesów chaty i dworu, i możność codziennego stykania się osobistego. Nie umieliśmy z tego korzystać; samochcąc i sztucznie stworzyliśmy niejedną różnicę interesów własnych i gminnych, więc dzisiaj nie dość już pracować na polu materyalnem, współdziałać nad rozwojem ekonomicznego dobrobytu. Własną bronią agitacyi musi się podjąć z nią walkę, musi się zstąpić na jej własny teren i „pójść do ludu, aby z nim mówić, pójść ze słowem pisanem czy żywem, dotknąć się jego ręki i serca“ (str. 59).

Tymczasem wiece omijamy, bośmy przedelikaceni, bo razi nas głośniejsze słowo, bardziej krewka odpowiedź — i „wolimy puścić wszystko na falę losów lub nieprzyjaznych wpływów, aniżeli brać osobiście udział w ludowych zebraniach“ (str. 49). Nasza prasa ludowa peryodyczna i ulotna w jeszcze smutniejszych znajduje się warunkach. Pismo ludowe musi budzić zainteresowanie, musi nieść ideę zdrową, związaną w jakiś sposób z potrzebami czytelników, musi stać na straży słusznych praw ludu, musi być wreszcie pisane tonem i sposobem, przypadającym mu do smaku. Tymczasem nasze pisma t. zw. ludowe mają zwyczajnie zupełnie coś innego. „Karmimy lud nie podług tego, co jego interes budzi, tylko podług tego, cobyśmy chcieli, by jego interes budziło, to też pisemka te są zazwyczaj jakiemś odczepnem, danem z konieczności, które nie zaspakajają w niczem, albo bardzo skąpo te tysiączne interesy, które w ludzie kiełkować poczęły“ (str. 61).

Co w miejsce tego postawić, jak to wszystko zmienić na lepsze? Odpowiedź znajdujemy i w rozprawie i w liście pasterskim. Zwracając się do swych dyecezyan, pisze ks. arcybiskup:

„O chrześcijańską zasadę oprzyjcie stosunek Wasz do ludu. Ona niechaj zniszczy zaporę, jaka rozdziela dwór i chatę wieśniaczą. Ona wam nie dozwoli na to, by pośrednikami między wami a ludem byli ludzie obcy jego wierze, a dalecy od zasad jego chrześcijańskiej etyki. Jej owocem będzie to duchowe braterstwo, które schodzi i zstępuje do tego ludu nie tyle, by narzucić mu swą supremacyę, ile by raczej z nim wespół wnikać w jego duchowe i materyalne potrzeby". A zwracając się do swego duchowieństwa, określa tę myśl jeszcze bliżej. „Jeżeli chce kapłan oddziałać na swoje czasy, musi się liczyć z ich prądami i postulatami, by się zaś mógł liczyć, musi je znać... Akcya wasza winna się dostroić do potrzeb czasu. Tętnem bodaj czy nie najżywotniejszem jest niezawodnie kwestya socyalna. Chwila nadeszła i Leon XIII rzuca hasło z wyżyn Watykanu: Idźcie w lud. Wnikajcie w myśl socyalną wielkiego Papieża, a zrozumiecie, że może i powinno i już jest połączenie z tą demokracyą, która się streszcza i zamyka w zdobywaniu przez lud szerszych kręgów światła, w coraz większem doskonaleniu się jego moralnem i duchowem, i w coraz większem uświadamianiu w słusznych jego prawach obywatelskich. Takie bowiem pojęcie i taka praca socyalna wywijają się wprost z wnętrzności Kościoła i Ewangelii". Całemu zaś społeczeństwu, w zakończeniu swej pracy, rzuca autor przestrogę: „Do wprowadzenia w czyn programu pracy społecznej, podyktowanego nieubłaganym eksperymentem, potrzeba związku ludzi, jedną przewodnią myślą ożywionych — potrzeba organizacyi... Teraz jeszcze czas, jedynie sposobny czas, ale bodaj czy i nie ostatni czas (str. 61—62).

Takie są wytyczne linie poglądów arcybiskupa ormiańskiego. Zdaje mi się, że wszelkie dalsze uwagi byłyby wobec tego zbyteczne.

II.

Obszerny list ks. arcybiskupa Bilczewskiego poświęcony jest cały sprawie społecznej. Już jako rektor uniwersytetu lwowskiego, podniósł autor w swej mowie inauguracyjnej całą

doniosłość problematu socyalnego, to też od chwili, gdy objął stolicę biskupią, wyczekiwano od niego wskazówek w tej kwestyi. We wstępie zaraz listu znajdujemy wyjaśnienie tej zwłoki, przeciągającej się od ówczesnej chwili, aż do dni obecnych. „Jeżeli omówienie sprawy społecznej odłożyłem na list postny, jeżeli wcześniej jej nie poruszyłem, to była powodem tego obawa, aby listy moje do Was nie były za częste — bo wiem, że u nas wogóle się za wiele mówi i pisze, a działa za mało".

Za to dostaliśmy całokształt poglądów, wygłoszonych przez Leona XIII, a przeniesionych i zastosowanych do krajowych potrzeb, dostaliśmy niejako umotywowany program zasad, które powinny przyświecać w naszem rodzimem życiu publicznem. Jest to pierwsza enuncyacya tej wagi i doniosłości w sprawie społecznej w episkopacie polskim, wychodząca od Księcia Kościoła, rządzącego milionem dusz i połową kraju.

List pasterski ks. Bilczewskiego dzieli się na pięć części. W pierwszej omawia on przyczyny dzisiejszego rozstroju społecznego, drugą poświęca ocenie socyalizmu, w trzeciej streszcza chrześcijańskie zasady społeczne. Na gruncie tych wywodów natury ogólnej opierają się dwa rozdziały następne, stanowiące już bezpośredni obraz pozytywnej akcyi. Czwarty mianowicie rozdział przytacza niektóre praktyczne środki reformy naszych stosunków, podczas gdy piąty kreśli organizacyę, która winna stanowić podwaliny całej naszej akcyi społecznej, omawia zasady demokracyi chrześcijańskiej.

Część ogólną listu, to jest rzecz o socyalizmie, przyczynach rozstroju i o zasadach społecznych Kościoła, omówił już na tem miejscu kto inny [1], dlatego też w dalszym ciągu zajmiemy się przedewszystkiem dwoma ostatnimi rozdziałami, traktującymi o demokracyi chrześcijańskiej.

Trzeba być sprawiedliwym dla każdego, powiada ks. Bilczewski. Nie socyaliści wymyślili dzisiejszą kwestyę socyalną, a robotników nie ochota, lecz bieda zwabiła pod czerwony

[1] Ks. K. Czaykowski: „Głos polskiego biskupa o socyalizmie". *Przegląd Powszechny*„ marzec 1903, str. 1—16.

sztandar. Lecz zamiast spełnienia hojnie szafowanych obietnic, cóż daje im w istocie ten obóz? Tylko pesymizm, zniechęcenie i więcej niezadowolenia. „Powiedz — pyta autor listu, robotnika socyalistycznego — czy nie jesteś bardziej jeszcze zgorzkniały i jeszcze więcej zniechęcony, a więc też nieszczęśliwszy, niż wprzódy?“ (str. 11). I jedna ta uwaga, tak bardzo prawdziwa, wystarcza najzupełniej, ażeby ze wszystkich sił pracować nad odwróceniem tej trucizny od szerokich mas ludowych, bo sączy w nie ona pesymizm, który zabija wszelką spójnię społeczną i wszelką łamie energię.

Lecz niewątpliwie tym milionom źle się dzieje, a „w socyalizmie nie wszystko jest kłamstwem“. „Prawdą jest, że obok ludzi majętnych a najuczciwszych byli zawsze i są jeszcze bogacze pracodawcy, którzy wyzyskiwali i krzywdzą robotników; prawdą również jest to, że pokrzywdzonym należy przyjść jak najrychlej ze skuteczną pomocą, aby mogli wieść żywot godny człowieka. Prawdą jest dalej, że są biedni, którzy chcą pracować, a nie mają roboty“ (str. 5). A „nie wolno mówić, że jeśli płaca nie wystarcza robotnikowi, to społeczeństwo i ludzie miłosierni dodadzą mu reszty. Robotnik chce żyć nie z żebraniny, ale z pracy. Domaga on się słusznie praw swoich, a nie jałmużny“ (str. 21). To też „nie ganię nikomu, owszem chwalę to ludowi, jeśli upomina się o swoje prawa, o sprawiedliwość, o lepszą zapłatę tam, gdzie mu się naprawdę dzieje krzywda“ (str. 12).

Bardzo mało, nic prawie nie zrobiliśmy dla sanacyi tych smutnych stosunków. Zostawiamy wszystko losowi, przypadkowi, indywidualnemu miłosierdziu, podczas gdy życie wymaga twardej, systematycznej pracy. To też gorzki a niestety wielkiej prawdy zarzut, rzuca w oczy społeczeństwu ks. Bilczewski w słowach: „Nie przeczę wreszcie, że socyaliści wywalczyli groźbami i gwałtem niejedno ustępstwo dla warstw pracujących, które dla nich i mogły i powinne były otrzymać stronnictwa i stowarzyszenia katolickie, gdyby w kraju były dobrze i silnie zorganizowane“ (str. 5). A powód tego nieszczęsnego stanu znajdujemy również, ujęty trafnie a głęboko:

„U nas nie brak, dzięki Bogu, przywiązania i ufności do Stolicy świętej, ale za mało jest katolickiego działania społecznego“ (str. 28). Innemi słowy, katolicyzm nasz ograniczamy na sferę uczuć; cofamy się przed jego konsekwencyami, gdzie domaga się czynu.

Właśnie dlatego poucza autor społeczeństwo o zasadach kierunku, który stając na zupełnie innych podstawach, wlewa w swych zwolenników ducha energii i uzdalnia ich do skutecznego działania na społecznej niwie. Jest nim demokracya chrześcijańska, t. j. „działalność nad przywróceniem równowagi i dostrojeniem do siebie wszystkich klas społecznych, na podstawach chrześcijańskiej sprawiedliwości i miłości, a w szczególności troska i dążenie, aby jak najrychlej dźwignąć duchowo, moralnie, ekonomicznie i społecznie warstwy uboższe“ (str. 32).

Jeżeli u nas wielu żywi do tego kierunku nieufność i uprzedzenie, po części samą wywołane nazwą, jeżeli inni z najrozmaitszych powodów, nie zawsze bezinteresownych, pragnęliby demokracyę chrześcijańską, której jawnie wobec wyraźnego stanowiska Watykanu nie mogą już zwalczać, zamknąć w ciasnem kole pracy dorywczej nad codziennemi potrzebami klas pracujących, bez żadnych szerszych reform, to — nie mówiąc już o wywodach ks. Bilczewskiego, zbijających te zarzuty — wystarczy dla ludzi dobrej woli zwrócić uwagę na zupełną identyczność poglądów obu Arcypasterzy. Obaj metropolici akcentują dobitnie, że pracę należy oprzeć nie tyle na miłosierdziu, co na sprawiedliwości; dla obu nie wystarcza samo wzmożenie dobrobytu i umoralnienie ludu, lecz domagają się jeszcze podniesienia duchowego i społecznego, a więc uświadomienia i uobywatelnienia szerokich warstw społecznych.

W kilku miejscach swego listu, w prostych a podniosłych słowach, wyjaśnia ks. Bilczewski powody tego stanowiska.

„W ustroju społecznym, w którym do pracy obywatelskiej są lub mają być przypuszani w najbliższej przyszłości wszyscy, gdzie każdy ma głos nie tylko w sprawach własnych, ale i kontrolę w ogólnych, gdzie wreszcie powinna być uwzględniona i uszanowana także wola mniejszości... tam trzeba mieć chrze-

ścijański sąd i sumienie także we wszystkich sprawach publicznych. Więc jest świętym obowiązkiem każdego obywatela brać udział w życiu politycznem... gdyż polityka jest środkiem do sprowadzenia sprawiedliwego ustroju społecznego. Takie bowiem mieliśmy i mieć będziemy ustawy religijne, szkolne, robotnicze, podatkowe, jakie są parlamenty i rządy. Parlament zaś jest taki, jaki społeczeństwo wybiera (str. 34). ...To też najgorętszem mojem życzeniem, aby lud jak najlepiej poznał swoje prawa, a zarazem obowiązki obywatelskie, polityczne i społeczne, aby ludowi wbrew jego woli nie narzucano posłów niekatolickich, do których nie ma zaufania (str. 24). ...Stowarzyszenia zawodowe przeto nie są ostatecznym celem, lecz środkiem i podstawą do przyszłego chrześcijańskiego ustroju całego społeczeństwa. Każde takie stowarzyszenie zawodowe wyszle swoich posłów do sejmu i parlamentu, które tem samem nie będą bezładnem zebraniem ludzi, nie znających nieraz potrzeb swoich wyborców, lecz staną się wyrazem wszystkich interesów kraju i wszystkich jego warstw" (str. 25).

Czyż można jaśniej sprecyzować zadania demokracyi chrześcijańskiej w dziedzinie bezpośredniego wpływu na bieg spraw publicznych, czy można wyraźniej zażądać wykształcenia politycznego dla ludu, kiedy on również należy do kategoryi tych tych obywateli, których świętym obowiązkiem jest żywy udział w życiu politycznem. Czy można stowarzyszenia zawodowe ograniczyć do sfery czysto wewnętrznej akcyi dla swych członków, jeżeli one mają stać się podwalinami całego systemu prawno-państwowego?

Kto po tem jeszcze komentowałby w ten sposób demokracyę chrześcijańską, ten zrozumieć jej nie chce — a takich przekonywać nie warto.

I ostateczny rezultat tych wywodów, powiada arcybiskup lwowski, „jest taki, że nie tylko nie godzi się odnosić z nieufnością do demokracyi chrześcijańskiej, ale że nadto demokratą chrześcijańskim może i powinien być każdy obywatel" (str. 34). Dlatego też zwraca się po kolei

do wszystkich warstw narodu, i żądając zaprzestania kłótni i sporów, zapomnienia wzajemnych uraz, zachęca do skupienia sił i wspólnej pracy dla naprawy sprawy społecznej.

Bo nie można zwalać winy jedynie na agitacyę, czy też pochopność klas ludowych do przejmowania radykalnych haseł. Wszyscyśmy winni, bądź dlatego, że nic nie robimy, bądź dlatego, że tolerujemy nadużycia, bądź wreszcie winni egoizmu, tak rozwielmożnionego obecnie pragnienia używania życia. „Chciałbym, abyście zrozumieli, że najgroźniejszem dla was niebezpieczeństwem, to nie krzyki, złorzeczenia wrogów, ale przedewszystkiem bezczynność niektórych z pomiędzy was, i niejednokrotne złe użycie przez nich majątków“ (str. 35). I w słowach rady i napomnienia wylicza pasterz stołecznej dyecezyi długi szereg naszych wad i błędów, wzywając do naprawy:

„Wyjdźcie wszyscy z kasyn, handelków, od zielonego stolika... nie traćcie czasu po klubach i na rozrywki, z których społeczeństwo nie ma pożytku, a my najczęściej tylko wielką dla siebie samych szkodę; nie wyjeżdżajcie z kraju, chyba z prawdziwej konieczności; kochajcie ziemię; nie wypuszczajcie jej z rąk za żadną cenę; nie puszczajcie tej ziemi w dzierżawę ludziom obcym ludowi wiarą, językiem, obyczajami; przestrzegajcie, aby wasi ludzie, wasza służba zawsze i wszędzie obchodziła się z ludem sprawiedliwie. Nie kurczcie serca i mieszków, w chwili tak ciężkiej, jak obecna i wyjdźcie z samolubstwa... bo nikt w państwie nie powinien żyć wpatrzony tylko w własną korzyść i przyjemność; ma on mieć serce także dla całego społeczeństwa“ (str. 34—36).

A zasadnicza dyrektywa na przyszłość? Duchowni niech wyjdą z zakrystyi, świeccy również niechaj idą w lud roboczy. „Chodźcie, zaglądnijcie do stowarzyszeń robotniczych i pomnóżcie szeregi tej szlachetnej garstki pracowników, która ciągle ta sama się szamoce, podczas gdy inni wygodnie patrzą z boku i krytykują. Idźcie w lud i pomóżcie razem z nim uczynić z ludu takiego oświeconego olbrzyma chrześcijańskiego, któryby był świadom swoich praw ale i obowiązków względem Boga i społe-

czeństwa. Chodźcie, pracujmy z ludem dla ludu, z robotnikami dla robotników, a wszyscy razem — dla całego społeczeństwa“ (str. 34—35).

Porządek i środki pracy występują równie jasno. „Nie pytaj, kto ma zacząć! Póki ty się oglądasz, inni się wahają; zamiast wyglądać przykładu, daj go!“ (str. 34). Najpewniejszym zaś, najskuteczniejszym środkiem pracy, tą gwarancyą jej skuteczności, jest organizacya. „Zadaniem naszem stworzyć co rychlej stałą i praktyczną organizacyę, któraby wszystkie kierunki życia katolickiego i społecznego prowadziła i rozwijała. Organizacya ta musi się oprzeć na stowarzyszeniach, a jej zadaniem będzie stworzyć ich związek, aby ludzie wyznający te same zasady, nie rozdrabniali swoich sił, ale nieśli sobie wzajemną pomoc w działaniu“ (str. 28).

Jako pierwszy krok, na najbliższą przyszłość, a nie jako wyczerpujący program, przytacza ks. Bilczewski pewną liczbę zadań społecznych. Najsilniejszy nacisk kładzie tu na stowarzyszenia zawodowe i oświatę ludu za pomocą czytelni i pism peryodycznych. A mówiąc o nich wraca raz jeszcze do idei uobywatelenia ludu, żądając „aby pisma ludowe, prowadzić tak, iżby rzeczywiście były wyrazem życzeń ludu i jego interesów szczerze broniły i aby lud wychowywały na dobrych obywateli“ (str. 31).

Tak przedstawiwszy zadania i dążenia chrystyanizmu, w sprawach wstrząsających dzisiaj opinią publiczną, podkreśliwszy na wstępie bardzo silnie obowiązki patryotyczne każdego katolika, który „musi być gotów ojczyzny swej nie tylko bronić, ale nawet gdy potrzeba, radośnie śmierć za nią ponieść“ (str. 10)— śmiało już mógł ks. arcybiskup zwracając się do młodzieży i wzywając ją do pracy socyalnej w duchu katolickim zawołać:

„Kłamstwem jest, że Kościół to wróg naukowego postępu, stronnik warstw wyższych w narodzie i osłona bogatych tam nawet, gdzie lud słusznie dopomina się przeciwko nim sprawiedliwości dla siebie — a nie mniejszem jest kłamstwem, że Kościół patrzy niechętnem okiem na postęp społeczny, na to, jak

warstwy niższe zdobywają należne sobie prawa obywatelskie i społeczne. Czekam tedy was młodzi przyjaciele!“ (str. 36—38).

A to wyczekiwanie i tę nadzieję można skierować do całego społeczeństwa. Droga jest wskazana, wątpliwości usunięte, ufamy więc głęboko, że w ślad za tem przyjdą i czyny — że rozpocznie się wreszcie u nas praca według tych zasad, na prawdziwie społeczną zakrojona miarę.

III.

Obaj arcybiskupi przemawiają do całego społeczeństwa, bez różnicy warstw, stąd też traktują kwestyę społeczną z ogólnego, szerokiego stanowiska. Żądając pracy nad poprawą naszych stosunków, zwracają się przedewszystkiem do tych, których obowiązkiem jej się podjąć, a których siły wystarczają na jej przeprowadzenie. Pragnąc zachęcić jak najliczniejsze szeregi do akcyi, zwracają uwagę na jej doniosłość i korzyści, jako też zwalczają zakorzenione błędy i uprzedzenia. Wiedząc, że u nas tak wygodnie składa się wszystkie niezdrowe objawy publicznego życia na karb niesumiennej agitacyi lub na karb wad, winy i niedołężności ludu — podnoszą przedewszystkiem te momenty, które przyczyniły się do wytworzenia panującego stanu rzeczy, a które leżą po stronie klas wyższych. Jednem słowem, zamożniejszym i wpływowszym powiadają: poznaj siebie samego, popraw się i pracuj.

Zadanie biskupa przemyskiego było cokolwiek odmienne. Na synodzie dyecezalnym chodziło o danie dyrektywy duchowieństwu parafialnemu, chodziło przedewszystkiem o określenie roli, jaka przypadła w udziale duszpasterzom na polu społecznem. Stąd z jednej strony należało wyliczyć te czynniki, które wpływają niekorzystnie na lud, bądź ze względów moralnych, bądź materyalnych, z drugiej zaś pouczyć o środkach, które kapłan ma zastosować, ażeby dojść do zamierzonego celu, do użytecznych reform.

Krótko przeto akta synodu załatwiają się z kwestyami natury ogólnej, a podniósłszy, że księża powinni mieć wykształcenie społeczne i że w tym celu należy stworzyć specyalne wy-

kłady i kursa, przechodzą natychmiast do praktycznej strony życia.

Lud nasz ugina się pod całym szeregiem wad i błędów, które przyprawiają go o demoralizacyę i ruinę. Do tej kategoryi należy w pierwszej linii pijaństwo, dalej pieniactwo, gra w loteryę liczbową, lichwa i wyzysk żydowski, następnie jarmarki, nadmierne rozpolitykowanie, agitacya, w pewnych wypadkach emigracya, wreszcie wciskające się prądy socyalistyczne. Wszystkim tym objawom musi kapłan wypowiedzieć walkę i starać się je wykorzenić u swoich parafian. Jak różne są przyczyny złego, tak rozmaite muszą być także środki, potrzeba przeto wielkiej znajomości stosunków i ludzi, potrzeba wielkiej pracy i zdobycia sobie wielkiego zaufania, ażeby sprostać temu zadaniu. Dlatego to niezbędną jest rzeczą, ażeby duchowieństwo jak najczęściej i najżyczliwiej stykało się z ludem, ażeby przyświecało mu przykładem i żywy brało udział we wszystkich sprawach silnie go obchodzących. Zadaniem proboszczy jest zakładać i prowadzić parafialne czytelnie, urządzać w nich wykłady, nauki i pogadanki; oni to mają prócz gorliwego zajmowania się nędzą i miłosierdziem — pracować w Kółkach rolniczych i kasach Raiffeisena, tworzyć stowarzyszenia zawodowe i wogóle według sił przyczyniać się do materyalnego podniesienia ludu. Przedewszystkiem jednak należy oświecać lud słowem żywem i pisanem, ażeby skutecznie przeciwdziałać agitacyi socyalistycznej, skojarzonej z judaizmem. W tym celu wypadałoby założyć osobne towarzystwo wydawnicze, zajmujące się wydawaniem i propagowaniem dobrych, popularnych dziełek, w tym także celu należy pracować nad prasą ludową i starać się o to, ażeby, ona popierając interesa ludu, dostawała się zarazem w jak najszersze koła. Bo, powiadają akta synodalne, powołując się na słynny aksyomat Kettelera: *Si s. Paulus hodie in mundum venisset, ephemeridibus edendis operam daret* (§ 557). A jako ogólną zasadę dla duchowieństwa, jako jeden z najpotężniejszych środków przywrócenia zdrowych stosunków i społecznego pokoju stawiają akta synodalne hasło: idźcie w lud:

Quod (t. t. *pax tum domestica tum civilis) quo facilius eveniet, ii qui sacro munere funguntur, populari causae operam navent, prodeant in populum in eoque salutariter versentur* (§ 51).

IV.

Powyższe przedstawienie ducha i wytycznych myśli ostatnich enuncyacyj naszego episkopatu nie byłoby kompletnem, gdybyśmy pominęli głos prymasa gnieźnieńskiego[1]. Nie łączy on się bezpośrednio z kwestyą społeczną, bo zwraca się tylko przeciw jednemu, niestety bardzo rozpowszechnionemu występkowi, przeciwko karciarstwu i szulerstwu. Lecz omawiając skutki tej namiętności, przestrzegając przed tą formą moralnego upadku, w krótkich słowach zamyka obraz naszego obecnego położenia, określenie obowiązków tak warstw przodujących jak i całego społeczeństwa i co najważniejsza, stwierdza wielką skuteczność solidarnej pracy wszystkich warstw narodu.

Sądzę, że najlepiej zakończę obecny artykuł, przytoczywszy niektóre ustępy z listu pierwszego dostojnika kościelnego dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

My więcej niż inni powinniśmy mieć bezustannie na oku dobro ogółu. Bo „twarde są czasy i trudne, w których żyjemy, wobec nich tylko zdrowe społeczeństwa się ostoją. Pokusy i niebezpieczeństwa najstraszliwsze nam zagrażają. Z niewiarą i społecznym wywrotem tyle innych czynników czyha na naszą zgubę". Więc należy pamiętać, że „szlachectwo wkłada obowiązki szlachetnych czynów, czy na polach bitwy w obronie ojczyzny, czy w radzie Korony, czy na innych posługach dla świętej sprawy. Czyżby dzisiaj to pojęcie tak miało upaść, synowie zacnych ojców tak skarleć i spodlić się, że szukają wawrzynów sławy w karciarstwie!? Dzięki Bogu, że są między nami wyjątki tylko takiego upadku pojęć moralnych i szlachetnych, ale wyjątkami rzuca się zwykle w oczy społeczeństwom i stawia jako przykład ogólny". Więc jest naszego społeczeństwa, wszystkich nas bez

---

[1] List pasterski ks. Floryana Stablewskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego z 28 stycznia 1903.

wyjątku świętym obowiązkiem z pojawiającem się złem do walki wystąpić. „W społeczeństwach zdrowych jest sąd i opinia publiczna... okażmy, że i my jesteśmy jeszcze zdrowem społeczeństwem“.

Tak przemawia ks. Stablewski do społeczeństwa. Lecz widocznie to społeczeństwo jest zdrowe i silne, jeżeli może on rozpocząć swój list od słów radości i tryumfu.

„Rośnie mi serce, gdy patrzę, jak w dyecezyach moich rozwija się gorące życie religijne, jak się ożywiają nowem życiem dawne bractwa i cechy, a odpowiednio do nowych potrzeb czasu nowe tworzą się stowarzyszenia i przeróżne dzieła miłosierdzia. Rozrzewniającym jest widok pracowitości i oszczędności klas pracujących, które grosz zarobiwszy w pocie czoła nie trwonią, ale składają do kas oszczędności, a garną się do oświaty prawdziwej“.

Czyż to nie najlepsza odpowiedź na wszelkie zniechęcenie i pesymizm, na wszystkie wymówki lenistwa i gnuśności, które tak pewnie wygodne dla siebie głoszą hasło: wszystko napróżno, nic zrobić niepodobna. Przykład realnego życia własnego narodu, przykład Wielkopolski, w znacznie trudniejszych żyjących warunkach, czyż to nie otucha ale i surowa nagana dla nas, gdy osiągnięto tam to wszystko tylko — „poczciwem życiem i szczerą pracą!“

Droga i dla nas jasno już wytknięta; kiedyż i w naszej dzielnicy będzie się można poszczycić rezultatem, na widok którego „rosłoby serce“.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

Okres Jagielloński.

W poprzedniem sprawozdaniu, przed sześciu laty, najwięcej stosunkowo „nowości“ było do tego okresu; obecnie będzie przeciwnie, to też nie wyznaczając osobnych ustępów na sprawy t. zw. polityczne i wewnętrzne, obejmiemy i te i tamte w jednym rozdziale, zachowując tylko mniej więcej chronologiczny porządek, grupując zdarzenia według idei przewodniej. Ilość autorów pracujących około około spraw Jagiellońskich jest już tak nieznaczną, że możnaby ich na palcach policzyć. Głusza zajęła te niwy, na których dokonywano niedawno pierwszorzędnych odkryć naukowych, spierając się o pierwszeństwo Jagiełły i Witolda; jeszcze trochę ożywiły się badaniami czasy obydwu synów Władysława Jagiełły, ale za to do Zygmuntowskich czasów już od lat kilkunastu mamy istne bezrobocie historyków. Nie mają z czego czerpać, źródeł do tego okresu nie wydaje się niemal całkiem!

Gruntownej rewizyi uległy w ostatniem sześcioleciu sprawy cerkiewne, a zwłaszcza unii. Zasadnicze znaczenie ma większa praca ks. prof. Fijałka „Biskupstwa greckie w ziemiach ruskich od połowy XIV w. na podstawie źródeł greckich“. On pierwszy zwrócił uwagę, że już od r. 1204 istniał w Trnowie w Bułgaryi z łaski Rzymu patryarchat, który przechował wiele rzymskich tradycyi. Niegdyś była w Bułgaryi przewała łacińskich misyi,

i z tych czasów pozostał chrzest przez jednorazowe zanurzenie lub nawet tylko pokropienie, za co w r. 1355 patryarcha carogrodzki Kalikst rzucił był nawet klątwę. Po zdobyciu Bułgaryi przez Turków znieśli Grecy sami ten patryarchat trnowski w roku 1393 i wskrzeszono go dopiero za naszych czasów w roku 1872.

Metropolitami kijowskimi bywali tylko Grecy. W r. 1354 przystał patryarcha po raz pierwszy na Rusina Aleksego, zastrzeżono się jednak wyraźnie, że na przyszłość będą na tej stolicy zasiadać tylko Grecy, a nie „przybysze z Rusi", jak się znamiennie wyrażono. Nie dało się to jednak następnie utrzymać. Ciekawym dla historyi propagandy łacińskiej na wschodzie jest fakt, że w motywach złączenia biskupstwa włodzimierskiego z arcybiskupstwem kijowskiem, skutkiem czego przeniesiono rezydencyę metropolity z Kijowa do Włodzimierza nad Klaźmą, powiedziano, że w Kijowie jest za dużo katolików. Badania ks. Fijałka rozstrzygnęły też ostatecznie ciekawą sprawę stanowiska Kazimierza W. wobec obydwóch obrządków na Rusi. Okazuje się, że Kazimierz W. wcale nie był zelantem łaciństwa na Rusi. Próbował wprawdzie stworzyć tam nową prowincyę łacińskiego Kościoła (próby te zawiodły go stanowczo, i dopiero za Władysława Opolczyka udało się ustanowić biskupstwo łacińskie), ale o unię nie starał się wcale i wogóle nie znać w współczesnej historyi powszechnej dążeń tego rodzaju. Złożył natomiast w r. 1341 przysięgę na wolność greckiej wiary, t. j. schyzmy, za co papież Benedykt XI polecił biskupowi krakowskiemu obłożyć króla „zbawienną pokutą", samą zaś przysięgę uznał za nieobowiązującą, bo niedozwoloną. Groził Kazimierz Wielki konstantynopolitańskiemu patryarsze, że trzeba będzie chrzcić na łaciński obrządek, jeżeli nie dozwoli na założenie metropolii. W tajemnicy przed papieżem wyprawił do Carogrodu Antoniosa, którego w porozumieniu z panami ruskimi mianował metropolitą halickim. Antonios został zatwierdzony, ale nim powrócił na miejsce swego przeznaczenia, Kazimierz W. już nie żył.

Niezmiernie ważne są nowe szczegóły do sprawy unii

z końcem XIV aż do połowy XV wieku. Metropolita Cypryan, uważany powszechnie za katolika, nigdy nim nie był, jakkolwiek projektowi unii sprzyjał. Wśród gwałtownych sporów o zawarcie unii wykreślił był wielki książę moskiewski, Wasyl Dmytrijewicz, imię cesarza z dyptychów, dowiedziawszy się, że w Konstantynopolu myślano o pojednaniu z Rzymem. Patryarcha bronił cesarza Emanuela II i sam wraz z cesarzem nawiązał bezpośrednie stosunki z Jagiełłą. Niechęci zasadniczej do katolicyzmu nie było na Rusi, o ile ona nie podlegała bezpośrednim wpływom moskiewskim. Jakie to ciekawe, że Wielki Nowogród w sporze z Cypryanem grozi mu, że przejdzie na wiarę łacińską! Jagiełło wzywał patryarchę konstantynopolitańskiego do unii, i poseł bizantyński, Filantropon, przybył w tej sprawie na Litwę. Król polski i metropolita Cypryan żądali synodu generalnego ruskiego, patryarcha jednak odłożył całą sprawę do soboru powszechnego. Było to już niemal w przededniu soboru konstancyeńskiego. Po Cypryanie nastąpił sławny Grzegorz Cambłak; był on synowcem Cypryana, z rodu Bułgarem i Bazylianinem. Ten stanowczo za unią się oświadczył, i przez to nie został zatwierdzony; jakkolwiek bowiem prądy unickie coraz bardziej zaznaczały się w otoczeniu patryarchy, patryarcha nie mógł zdobyć się na odwagę wobec Wielkiego księcia moskiewskiego. Słusznie tu autor zwrócił uwagę, że w owych czasach i cesarz i patryarcha żyli wprost z jałmużny Wielkiego księcia moskiewskiego.

Tematem tym zajmował się także Antoni Prochaska w rozprawie „Dążenia do unii cerkiewnej za Jagiełły“, staje jednakże na mylnem stanowisku, a nie zbadawszy sprawy tak wszechstronnie, jak ks. Fijałek, do mylnych często dochodzi wniosków. Witołd wydał był okólnik do podwładnej sobie Rusi w sprawie sporu pomiędzy Cambłakiem a Focyuszem. Prochaska sądzi, że zostawił wolny wybór pomiędzy jednym a drugim metropolitą, a więc pomiędzy unią a schyzmą. Ten wniosek zupełnie fałszywy. Zostawił wybór, ale pomiędzy Cambłakiem a katolicyzmem w obrządku łacińskim. Zaznacza przy tej sposobności Witołd: *notum tamen sit omnibus, nos non esse vestri ritus ruthenici.*

Nastąpił na metropolii Grek Izydor, nazwany słusznie „pasterzem bez owiec“, ostatni Grek przysłany z Konstantynopola. Sprawami z jego osobą złączonemi zajmuje się szczegółowo obszerna praca Anatola Lewickiego: „Unia florencka w Polsce“ część I, ostatnia niestety praca niepospolitego uczonego, który i tej części pierwszej dokończyć nie zdążył. I tutaj stwierdza się, że już nawet za Olgierda książęta Rusi i rzeczpospolita Nowogrodzka grozili przejściem na obrządek łaciński, i dlatego tylko przystawał patryarcha na osobnego metropolitę. Misya św. Jana Kapistrana i zakonników bernardyńskich po raz pierwszy tutaj opracowaną jest starannie; wszak głównym celem tego zakonu było szerzenie katolicyzmu na wschodzie. Autor spostrzega bardzo słusznie, że chcąc cały wschód pozyskać, należało rokować z każdym patryarchą i metropolitą z osobna, mógł bowiem jeden i drugi metropolita uznać swoje błędy, ale cały Kościół wschodni nigdyby tego nie był zrobił. Na soborze kostnickim, jak wiadomo, nie wzięto pod rozwagę sprawy unii; wszystko skończyło się na kilku uroczystych przemówieniach, przedstawieniach poselstw, na mowach delegatów polskich, ruskich i czeskiego uczonego Rwaczki (nawiasem mówiąc, jedyny w historyi moment, w którym trzy narody słowiańskie „Lech, Czech i Rus“, stały razem w jednej sprawie, moment krótki, przelotny, i nie pozostawił po sobie trwałego owocu). Na soborze pizańskim radzono o unii z udziałem Polaków, ale na florenckim żadnego delegata polskiego nie było, i między bajki należy włożyć powszechnie dotychczas przyjętą opinię, jakoby dzieło unii florenckiej doszło było do skutku z głównym udziałem Polaków. Rzecz się miała wręcz przeciwnie: ani Polska, ani bardziej interesowana Litwa, unii sobie już całkiem nie życzyły, a to z tego powodu, że doświadczenie okazało, iż bojarowie bardzo chętnie przechodzą wprost na łaciński obrządek. Wszak nawet ród Gasztołdów, tak opornie zachowujący się wobec Polski, i przy państwowej samodzielności obstający, zachowywał się bardzo przyjaźnie względem zakonu bernardyńskiego, sypał mu fundacyami i zachęcał właśnie do szerzenia łacińskiego obrządku na Rusi. Ze stanowiska litewskiego

rzecz cała jest łatwo zrozumiałą. Litwini woleli, aby Ruś była nie tylko jednej z nimi wiary, ale i jednego obrządku, i aby zarazem od Moskwy nie tylko dogmatyczną symboliką, dla prostaczków i tak niezrozumiałą, ale też widomym dla każdego obrządkiem różniła się na zewnątrz. Kiedy sobór, florenckim zwany, obradował jeszcze w Ferrarze, wydzierali sobie nawzajem dzieło unii papież i reszty bazylejczyków, wówczas jeszcze dość zgiełkliwie obradujący. W Konstantynopolu tymczasem stanęły równocześnie galery Bazylejczyków i papieża Eugeniusza, i wiodły wobec obcych krzykliwe spory, dokąd ma jechać delegacya carogrodzka.

Cesarz rozstrzygnął na rzecz delegatów papieskich i skutkiem tego w kwietniu r. 1438 ogłoszono wobec Greków *concilium oecumenicum*. Biskup Maciej wileński, na którym najbardziej zależało, był gorliwym Bazylejczykiem, i przez to samo krzywo patrzył na układy prowadzone w Ferrarze, a od stycznia r. 1439 we Florencyi, później zaś okazał się zaciekłym wrogiem unii. Był czas, że Świdrygiełło gorliwie popierał sprawę unii. Prof. Lewicki twierdzi, że książę ten był „wierzącym katolikiem", dowodów na to jednakże żadnych nie mamy, a cała historya życia Świdrygiełły wskazuje raczej, że sprawy religijne chciał uważać za narzędzie do politycznych celów. Świdrygiełło przerzucił się ze strony soborowej na stronę papieża. Herazym, którego następnie sam spalić kazał na stosie, miał jechać do papieża i zwołać synod. Polacy jednak i ich stronnictwo na Litwie przeszkodziło temu.

Metropolita Izydor bardzo niewiele miał zrazu styczności z Polską i Litwą. Wielki książę litewski, Zygmunt Kiejstutowicz oświadczył, że poprze go tylko w takim razie, jeżeli potrafi zebrać ze sobą poważną część biskupów i bojarów moskiewskich. W Moskwie niechętnie przyjęty, ale przyzwoicie, otrzymał pozwolenie wyjazdu na sobór z tym szczególnym warunkiem, aby nie przywoził nic „nowego, ani obcego". Pozostawił tedy sobie Wielki książę moskiewski wolną rękę, jak postąpić po powrocie metropolity. Jechał z Izydorem Abraham Suzdalski i trochę niższego duchowieństwa. Jechali przez ziemię Zakonu Krzyżackiego, nie przez Polskę, chcąc ominąć Litwę. Trzeba było

przecież przejechać przez kawałek Żmujdzi koło Połągi, i na ten kawałek prosił o glejt przez pośrednictwo... Wielkiego mistrza. Umyślnie mistyfikowano co do kierunku podróży, bo nie wiedział, na który sobór jadą z Konstancyi, czy do Ferrary, czy do Bazylei. Z powrotem już w Wenecyi uciekł mu jeden duchowny i jeden bojar z orszaku, oczywiście po to, aby wrócić czemprędzej do Moskwy i zdać relacyę, jak dotychczas Izydor w podróży się sprawował. Izydor wrócił przez Polę, Zagrzeb i Budę, gdzie właśnie toczyły się układy o tron dla Warneńczyka, jako stwierdzenie obietnic zbrojnej pomocy Carogrodowi za unię. Zjeżdżał on na Węgry i do Polski w imieniu papieża Eugeniusza. W Sączu uroczyście był przyjęty, podobnież w Krakowie przez biskupa i uniwersytet; ale działo się to wprost z nakazu króla i nie bardzo chętnie. Bawił cały rok na Rusi Czerwonej i litewskiej, jako *legatus a latere*. We Lwowie Rusini krzywo patrzyli na liturgię grecką, odprawianą w katedrze łacińskiej. Jeszcze gorzej wiodło mu się na Litwie. Maciej wileński odmówił mu uznania, dopóki sobór bazylejski nie zawiadomi go o unii, i sparaliżował w znacznej mierze czynność Izydora.

Izydor, bawiąc potem w Rzymie, wytoczył mu proces kanoniczny. Biskup Maciej żądał rebaptyzacyi, a wtórowało mu kilku profesorów krakowskich. Źle więc powodziło się Izydorowi na Litwie, a oczywiście tem gorzej w Moskwie.

Tam zarzucono mu odrazu, że wprowadza nowości. Wielki książę obruszył się na krzyż z rzeźbionym Chrystusem, którego nogi tylko jednym gwoździem były przybite, a duchowieństwo biadało, że pieczętuje listy zielonym woskiem! Nie szukając daleko pozoru, zwołuje Wielki książę synod, każe Izydora potępić i wysyła do więzienia w Czudowym Monasterze. Zmowa na Izydora była już z góry obmyślaną. Gdy mu się udało zbiedz do Tweru, i tu go uwięziono, a gdy w marcu 1442 dostał się na Litwę, gdzie Wielkim księciem był już Kazimierz Jagiellończyk, a rządy naprawdę sprawował Jan Gasztołd, w Polsce i na Litwie oświadczono się znów za soborem bazylejskim; wrócił więc Izydor do Włoch przez Węgry.

Powodzenie unii zależało w znacznej części od wyniku

wyprawy Warneńczyka; gdyby się była udała, świat chrześcijański przybrałby odmienną postać. Dla tej wyprawy cesarz bizantyński i patryarcha zgodzili się na unię, a gdy ona spełzła na niczem, dzieło unii wraz przepadło. W Polsce dochowały się przez jakiś czas słabe jej ślady, i te wkrótce zaginęły. Chociaż w roku 1447 Kazimierz Jagiellończyk złożył obedyencyę Eugeniuszowi, wtenczas jednak właśnie usunięto Izydora, a złożył go z godności synod litewski.

O wyprawie Warneńczyka ma publiczność zupełnie mylne pojęcia: Powtarza się ciągle bajeczkę o przysiędze złożonej przez królą na dziesięcioletni rozejm, o złamaniu przysięgi z namowy kardynała Cesarini'ego i o strasznej klęsce, jakoby dopuście Bożym za krzywoprzysięstwo. Historycy — i to nie tylko polscy — mieli już dawno w podejrzeniu tę tradycyę, ale dopiero gruntowna praca Dra Antoniego Prochaski: „Uwagi krytyczne o klęsce warneńskiej“ nadała tym podejrzeniom pewność. W całej tej historyi o krzywoprzysięstwie niema ani słowa prawdy, a cała rzecz miała się, jak następuje:

Sułtan turecki pragnął pokoju, bo w Azyi Mniejszej wybuchło powstanie przeciw niemu. Przyrzekał, że uwolni jeńców i zrzecze się panowania nad Serbią, że tedy nie będzie się już zapuszczał dalej w Europie. Sejm węgierski uchwalił jednak w Budzyniu dnia 18 kwietnia 1844 r., że nie wolno się układać z Turkiem pod karą śmierci. Król za nic w świecie nie byłby od wojny odstąpił, od wojny, dla której jedynie przyjął węgierską koronę. Nie brakło pilnych spraw w Polsce, odzywały się niechętne głosy, że król powinien już wracać do Krakowa, przynajmniej na jakiś czas. Jak się na to zapatrywał młody Władysław III, okażą najlepiej słowa z listu królewskiego (pisanego do Krzyżaków, z wezwaniem o pomoc przeciw Turkom): „Z obojętnością zniesiemy własne i kraju rany, nie czujemy ich, podejmując trud dla wiary. Niechaj w naszej nieobecności rozwielmożni się nieład w domu (t. j. w Polsce), my spieszymy do dawnych zwycięstw dołączyć nowe“. Ale innego zdania poczęli być Hunyady i władca części Serbii, despota Rascyi, Jerzy Brankovics, o którego w tych wojnach głównie chodziło, bo

przez jego ziemię trzeba było ruszać. Sułtan Murad obiecał mu zwrot jego grodów i wydać synów zabranych mu do niewoli, byle do nowej wojny nie dopuścił. Miał więc Brankovics bez wojny obiecane wszystko, czego wojną chciał dochodzić, a wszak wynik każdej wojny niepewny. Interes Brankovicsa wymagał pokoju, interes całego chrześcijaństwa wojny; Serb nie miał na tyle zaparcia się, żeby swą sprawę złożyć chwilowo na ołtarzu chrześcijaństwa, żeby zaryzykować wojnę na ten raz, a sprawę wolności reszty Serbii złączyć ze sprawą zupełnego wypędzenia Turków, z wolnością Bułgaryi i Grecyi. Wolał jakie takie dziś, niż lepsze jutro. Nie dowierzał widać wyprawie; czyż dowierzał, że Turcy w przyszłości nie zechcą zagarnąć tej reszty Serbii? Poprzestawał jednak na tem, że Turcy teraz dadzą mu spokój i zwrócą synów, i zaczął wpływać na Hunyadego, żeby się oświadczył przeciw wojnie. Obiecał mu zwrócić koszta na te wojny już wyłożone, a mianowicie w ten sposób, że mu ofiarował swoje własne posiadłości na Węgrzech, zamek Vilagós z przyległościami, 120 miast, miasteczek i wsi, tudzież kopalnie złota i srebra. Dał się skłonić Hunyady i dnia 3 lipca 1444 r. zawarł z Brankowicsem umowę. Król obiecywał mu tron Bułgaryi w razie zwycięstwa; na próżno, Hunyady już wojny nie chciał i wbrew uchwale budzyńskiego sejmu nie tylko wpuścił na Węgry posłów Murada, ale sam z nimi zaczął się układać z początkiem lipca w mieście Szegedynie i po kilku dniach (około 8 lipca 1444 r.) zawarł z Turkiem rozejm bez wiedzy królewskiej, a zatem nie ważny, pókiby go król nie potwierdził. Posłowie tureccy czekali też w Szegedynie na przybycie Władysława. Przybył król do tego miasta dopiero dnia 1 sierpnia w towarzystwie kardynała Cesariniego. Posłom tureckim posłuchania udzielił, ale rozejm odrzucił. Dnia zaś 4 sierpnia wydał z Szegedynu orędzie, w którem zapowiada, że wyprawa się odbędzie a termin do wyruszenia w pole oznaczył na 1 września.

Ta ochota wojenna młodego króla nie wszystkim jego poddanym się podobała. Nie tylko na Węgrzech było stronnictwo z Hunyadym na czele, pragnące pokoju, ale też w Polsce krzywiono się na tę wojnę. Zapanowała wielka radość, gdy się ro-

zeszła wieść, że Hunyady zawarł rozejm; nie wiedząc, jak się rzeczy na prawdę miały, sądzono, że wszystko stało się z wiedzą i przyzwoleniem króla. Cesarz bizantyński przeraził się i zaklinał króla, żeby rozejmu nie zawierał, a uradowani Polacy chwalili go właśnie za to! Gdy się wkrótce okazało, że wola królewska inna, zaczęto z Polski wywierać nacisk. Zjazd dygnitarski w Piotrkowie wezwał wprost króla, żeby wracał do Polski. Gdyby król posłuchał, nie byłoby wojny i zwyciężyłaby pokojowa polityka Hunyadego i Brankovicsa. Ale powrót byłby strasznym zawodem dla Greków, Bułgarów, dla papieża i zachodniej Europy, gotującej już posiłki. Został król na Węgrzech i tylko opóźniła się o trzy tygodnie wyprawa przez te przeszkody i wstręty.

Dnia 20 września 1444 r. przekroczono Dunaj. Hunyady i Brankovics, którzy zaręczyli Turkowi, że wyprawy nie będzie, byli teraz w opałach. Brankovics niedługo się namyślał i stanął przeciw królowi. Zaraz posłał do sułtana Murada z wiadomością o ruchach wojsk królewskich. Gdy Skanderbej, rządca prowincyi bałkańskiej Rascyi (południowej Bośny), ruszył ze swem wojskiem, żeby się połączyć z królem, zaszedł mu Brankovics drogę i do tego nie dopuścił. Było to wielkiem osłabieniem sił Władysławowych. Nie otrzymawszy na Bałkanie żadnych posiłków, miał król pod sobą zaledwie 16.000 żołnierza, wraz z 4.000 Wołochów pod wodzą Drakuły i z hufcem rakuzkiego rycerstwa. Flota papieska i genueńska czekała z drugiem wojskiem pod Gallipolis. Skutkiem odstępstwa Brankovicsa zmienił król kierunek pochodu; chciał być jak najprędzej nad morzem, żeby w razie potrzeby łatwiej i prędzej można było mieć pomoc od floty. Podążył więc w kierunku Warny, skąd wybrzeżem chciał się posuwać dalej na południe, pod Konstantynopol. Zanim jeszcze zdążono porozumieć się z flotą, wypadło stoczyć bitwę, gdyż pod Warną zastąpił chrześcijanom drogę sułtan Murad.

Sprawił szyk bojowy Hunyady, jako doświadczony już wojownik. Kardynał Cesarini radził urządzić tabory z wozów, żeby z nich mieć na wszelki wypadek odwodową linię, lecz wódz węgierski odrzucił tę radę; szkoda, bo tabor byłby się właśnie

przydał jego Węgrom. Bitwę rozpoczęli Turcy atakiem na prawe skrzydło węgierskie, które pierzchnęło. Natenczas sam król ruszył do boju, objął dowództwo i silnym atakiem naprawił, co Węgrzy psuć zaczęli. Pędził Turków przed sobą tak, że rozproszeni zaczęli uciekając szerzyć po okolicy wieść o zwycięstwie chrześcijańskiego oręża. Za przykładem króla poszedł Hunyady. Zapowiadało się rzeczywiście świetne zwycięstwo. Poległ namiestnik (beglerbej) Anatolii (w Małej Azyi), Karadsza, a wśród Turków powstała z tego pogłoska, że sam sułtan padł na pobojowisku. Już złamano lewe skrzydło tureckie i część nieprzyjaciela odpędzono na trzy mile od Warny. Sułtana Murada wciśnięto w wąwóz pomiędzy wzgórzami. Ale nie było należytego porozumienia pomiędzy Władysławem a Hunyadym; każdy z nich walczył i prowadził swe hufce na własną rękę. Hunyady uderzył teraz na prawe skrzydło tureckie, podczas gdy król ruszył na wyborową piechotę turecką, janczarami zwaną, strzegącą sułtana i jego otoczenia. Pole walki zaczęło się z jednej walnej bitwy zmieniać na szereg odrębnych bitw i osobnych ataków, pomiędzy któremi brakło potrzebnego związku. Lewe skrzydło Turka pierzchnęło wprawdzie przed Hunyadym, ale koło króla szczęście poczęło się wahać. Sprzyjało mu zrazu; król złamał szyki janczarskie, sam zabił ich wodza; chcąc jednak dotrzeć dalej naprzód ku sułtanowi, potrzebował posiłków. Wołosza nie wsparła go należycie, poczynało być niebezpiecznie; Węgrzy z jego otoczenia poczęli uciekać. Polacy stali, jak mur, nie opuścił króla nikt z rodaków. Posyła król do Hunyadego po posiłki, lecz czeka napróżno; posyła kilkakrotnie, wciąż napróżno. Hunyady pobiwszy lewe skrzydło już się nie ruszył. Żołnierze jego byli przekonani, że król sam ze swemi oddziałami poradził sobie, że posiłków nie potrzebuje. Część węgierskiego wojska powróciła do obozu, zupełnie pewna wygranej, oczekując powrotu zwycięskiego króla. Zaszły jakieś nieporozumienia. Być może, że gońcy królewscy, wysyłani do Hunyadego, nie zdołali do niego dojechać i że ten nie wiedział nic o królewskich rozkazach. Podczas gdy tak jedna część wojska spoczywała bezczynnie w obozie, druga część ruszyła w kierunku Gallipolis; uważali wido-

cznie, że pod Warną już niepotrzebni, mniemali, że bitwa już się kończy i szli na spotkanie floty, jak było umówione. Król został ledwie z trzecią częścią wojska, a gdy Węgrzy poczęli pierzchać, zostali mu niebawem sami tylko Polacy. Pewny, że Hunyady z wielką siłą lada chwili przybędzie, parł młodociany król ciągle naprzód, aż się znalazł otoczony przeważnemi siłami tureckiemi. Nie było sposobu ocalenia, bo za mało miał przy sobie żołnierza. Został wkońcu tylko polski hufiec, z którego ani jeden nie wrócił z tej bitwy, wszyscy polegli, broniąc królewskiego życia. Bohaterstwo tej garstki nie odniosło jednak skutku. I król poległ. Nie było nawet nikogo, ktoby o jego śmierci tamte pułki zawiadomił, bo nikt z Polaków żyw nie uszedł. Turcy też nie spostrzegli się, że w tym zaciekłym hufcu walczy sam król. I tak ani Hunyady, ani Murad nie wiedzieli całkiem, że król Władysław śmiercią przypłacił tę bitwę. Hunyady jeszcze w dwa tygodnie potem nie wiedział, co się stało z królem.

Ponieważ tylko w dwóch atakach zwyciężyli Turcy, a we wszystkich zresztą chrześcijanie, ponieważ chrześcijanie stali nie zaczepieni w swym obozie, uważano słusznie bitwę za zwycięską. Jeden tylko jeszcze polski oddział walczył aż do wieczora na jednem ze wzgórz, a chociaż ten oddział nie wrócił, wyrznięty w pień, nie powinnoby to wpłynąć na ogólny wynik bitwy. Nie wiedziano, że przy tym oddziale jest sam król. Z winy Hunyadego wojsko rozdzieliło się na części stojące daleko od siebie, które nie miały wzajemnie o sobie dokładnych wiadomości i z tego rozłączenia wojsk chrześcijańskich poszło całe nieszczęście. Turcy nie uważali tego dnia bitwy za rozstrzygniętą. Dopiero nazajutrz przekonali się o śmierci króla; to dodało im otuchy i pod wieczór uderzyli na obóz Hunyadego. Większa część żołnierzy pierzchnęła ku Dunajowi, podczas gdy sam Hunyady z mniejszą połową ruszył ku Gallipolis, w ślad za oddziałami, które już poprzedniego dnia wybrały się na południe. I rzeczywiście stanął dnia 22 listopada pod Gallipolis nad Dardanelską cieśniną morską, gdzie czekała flota pod wodzą Franciszka Condolmieri, Włocha. Tu było umówione miejsce zborne, stąd miano, dobrawszy posiłki z Konstantynopola, od

greckiego cesarza, przeprawić się przez cieśninę i przenieść wojnę do Azyi. Tu czekano na króla...

Zamiast ruszyć rozgromić Turka we własnem jego gnieździe, w Azyi, trzeba było przenieść wojnę nad Dunaj, żeby Turek nie postąpił dalej do Europy. Przewieziono więc pułki Hunyadego nad Dunaj, poczem flota powróciła pod Gallipolis, przezimowała w cieśninie i dopiero w lutym 1445 r. opuściła wody Bosforu. Czekano ciągle wiadomości o królu, czekano, że się zjawi i wojnę na nowo wzbudzi. Ale króla się nie doczekano, a Hunyady wojny tej od początku nie chciał. I tak przez śmierć królewską spełzło wszystko na niczem. Sama bitwa nie była wcale klęską; wszak trzy czwarte części węgierskiego wojska wróciły z tej wyprawy zdrowo do domu! Ale nie było wodza, któryby chciał pokusić się o wyparcie Turka z Europy. Hunyady dostał Vilagós od Brankovicsa w marcu 1445... a swoją drogą Turcy Brankovicsowi przyrzeczeń nie dotrzymali.

Taki był przebieg wyprawy warneńskiej, najdonioślejszego zdarzenia w historyi powszechnej XV wieku. Miała nastąpić unia Rzymu z Carogrodem i oswobodzenie Słowian bałkańskich, a tymczasem turecka niewola utrwaliła się na długie pokolenia, utrwaliła się też schizma. Historya tej wojny jest właściwie ustępem z dziejów zabiegów o unię; dlatego stosowniej było podać ją tutaj, żeby nie przerwać wątku spraw pozostających w wewnętrznym związku, jakkolwiek z przerwaniem trochę chronologii. Teraz też cofniemy się chronologicznie nieco wstecz.

Unia horodelska doczekała się niedużej, ale gruntownej rozprawy czcigodnego jubilata, Antoniego Małeckiego: „Znaczenie Unii horodelskiej z punktu widzenia heraldycznego". Są trzy akty z r. 1413: akt szlachty polskiej, która przyjmuje panów litewskich do swoich herbów, drugi akt starszyzny litewskiej z oświadczeniem przyjęcia tych herbów i trzeci akt Jagiełły i Witolda, przeprowadzający tę czynność, nadający równe prawa tym Litwinom, którzy herby przyjęli. Dobra katolików od razu uznano za dziedziczne z nieograniczonem prawem rozporządzalności. Prawa majątkowe wdów urządzono według prawa polskiego, przyznano katolikom Litwinom wolność wydawania córek

za mąż, zwalniano od wszelkich opłat i robocizn, z wyjątkiem jeżeli cała ziemia litewska będzie wzywaną do budowy grodów. W polskim akcie wśród motywów unii jest tylko mowa o *caritas*, a więc o zbrataniu, o braterstwie narodów. Pierwszy raz w historyi pojawia się to hasło i to zupełnie szczerze! W litewskim akcie nie zdobyto się na taki abstrakcyjny motyw, wyrażono, że unia dokonała się za zezwoleniem panów litewskich, tudzież Jagiełły i Witołda. Ta różnica motywów jest znamienna dla różnicy poziomu cywilizacyjnego Polski a Litwy. Autorowi chodziło głównie o wykrycie początku pieczęci herbowych litewskich; jest o nich już mowa w r. 1401. W akcie królewskim z r. 1413 zapowiedziano, że po śmierci Witołda obiorą Litwini Wielkiego Księcia, wskazanego przez króla polskiego, „za radą szlachty polskiej". Król przyrzeka zaprowadzić dostojeństwa i urzędy państwowe i powiatowe, jak w Polsce, i daje Litwinom przystęp do zjazdów i parlamentów wspólnych polsko-litewskich.

Równouprawnienie schizmatyków dokonane w r. 1432 podczas buntu Świdrygiełły, a omówione po raz pierwszy naukowo w wielkiem dziele Lewickiego „Powstanie Świdrygiełły", opracowane jest obszerniej w tejże rozprawie Małeckiego, bo autor uważa je za konsekwencyę i uzupełnienie unii horodelskiej. Po śmierci Witołda aż czterech książąt dobijało się o tron wielkoksiążęcy. Większość litewskich wielmożów wybrała Świdrygiełłę, nie troszcząc się o akty unii ani z r. 1401 ani 1413, a na królu wymuszono potwierdzenie uwięzieniem go; pojmano bawiącego na Litwie Jagiełłę i trzymano pod strażą w listopadzie 1430 r. We wrześniu 1432 strącił Świdrygiełłę Zygmunt Kiejstutowicz, młodszy brat Witołda. Wtenczasto z początkiem października 1432 r. posyła król do Grodna siedmiu dostojników z najwyższej Rady Korony polskiej i ci zredagowali w Grodnie dnia 15 października 1432 r. ten akt równouprawnienia, datowany jakoby we Lwowie, gdyż tam bawił król; dali swe pieczęcie, ręcząc, że i król swą przywiesi. Na czele tej komisyi stał nie kto inny, jak biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki. Z Grodna pojechali do Lwowa; właśnie zdobyto Olesko, a w kilka dni

poddał się Łuck. Czy król uznał akt grodnieński, to niepewne. Ale dnia 30 października 1432 r. wychodzi przywilej dla ziemi łuckiej, w którym wyraźnie daje się swobodę schizmie; nie wolno zamieniać cerkwi na kościoły, ani zmuszać do przejścia na katolicyzm. I w Grodnie i we Lwowie był przy spisywaniu aktów podkanclerzy koronny, Władysław Oporowski. Różnica obydwóch aktów polega na tem, że w Grodnie nie wspomniano ani słówkiem wprost o wyznaniu; pisano tylko: *Rutheni;* jest tam natomiast pozwolenie używania herbów polskich, podczas gdy w lwowskim akcie o herbach niema wzmianki. Autor sądzi, że zmianę redakcyi spowodował sam król. W r. 1434 Zygmunt Kiejstutowicz powtórzył przywilej grodzieński. Ostatecznie wydano później w r. 1447 wielki przywilej swobód szlacheckich polskich Litwie, Rusi, Żmujdzi i to wyznawcom obydwóch Kościołów.

Dla historyi buntu Świdrygiełły posiadamy nowy szczegół w rozprawie d-ra Antoniego Prochaski „Przebaczenie króla ziemianom oleskim w r. 1431". Wtenczas mianowicie starosta oleski przeszedł do Świdrygiełły. Podczas rozejmu zawartego we wrześniu r. 1431 pozostawiono ziemianom dobra około zamku, tak jak je mieli pod Świdrygiełłą i dano im to na pismie. W kilka dni później ziemianie ci sami zdradzili, a nawet dopuścili się zerwania rozejmu. Przy końcu wojny cały obwód oleski przyłączono do Korony, ziemianom zaś tamtejszym król znów przebaczył i żadnych nawet dochodzeń nie czynił. Pokojową łagodnością podbijał Jagiełło wrogów nieraz bardziej, aniżeli orężem i temu zawdzięczał, że całe powiaty zgłaszały się do związku z Koroną.

Sprawami husyckiemi zajmuje się ciągle Dr. Antoni Prochaska, nie ma jednakże do nich szczęścia głównie przez to, że literalnie bierze wszystko, cokolwiek znajdzie w jakim dokumencie. Politykowano wówczas wiele i rzadko kiedy mówiono publicznie to, co myślano, tem ostrożniej więc należy się obchodzić ze źródłami, choćby pod względem formalnym zupełnie autentycznemi. Z tego, że Jagiełło ulegał rozmaitym względom polityki międzynarodowej, umawiając się o sojusze przeciw Husytom, nie można jeszcze wnosić, że rzeczywiście Polacy zamie-

rzali brać udział w wyprawach na Czechów! Tekst edyktu wieluńskiego z r. 1424, który poddaje heretyków pod jurysdykcyę starostów, wygląda na surowe nadzwyczaj środki, a tymczasem w rzeczywistości jest wielkiem ułatwieniem i prawem pełnem pobłażania, skoro wyjmuje podejrzanych o husytyzm z pod prawa biskupiego, przekazując ich sprawy sądom starościńskim, oczywiście mniej gorliwym i ścisłym. Jeżeli edykt ten zakazywał handlu z Czechami, toć zakazywał bardzo niewiele, bo jakiż handel mógł być podczas wojny? Jeżeli wyznaczano termin, że do 15 sierpnia wszyscy mają od Korybuta wrócić, inaczej czeka ich infamia i konfiskata dóbr, nie potrzeba również upatrywać w tem żadnej a żadnej srogości, bo u Korybuta były już tylko resztki, a wyznaczono im aż cztery miesiące czasu na powrót! Tegoż roku zawarto i ogłoszono uroczyście wielki związek przeciw husytyzmowi: Jagiełło, Witołd, Rada cała królewska, rycerstwo i miasta spisują i ogłaszają światu srogi akt tego związku, strasząc karami wygnania, infamią, konfiskatą dóbr i tak dalej, ale akt ten zwracał się przeciwko husytyzmowi... nie w Czechach, lecz w Polsce, gdzie niemal całkiem go nie było! Jedynem słusznem stanowiskiem wobec źródeł naszych do wojen husyckich jest to, że Polska szczerze życzyła zwycięstwa Czechom w walce z Niemcami; życzyła też zarazem, aby się pogodzili z Kościołem, sama jednakże żadną miarą nie pragnęła spełniać roli kata, któryby stał z mieczem w ręku nad czeskimi karkami rzekomo w imię Kościoła, a naprawdę w imię najazdu niemieckiego, dokonywanego z całą przewrotnością pod płaszczykiem religii. Zygmunt Luksemburczyk i cały naród niemiecki wogóle, wyzyskiwał winy husyckie jak najhaniebniej do celów politycznych i gwałtów polityki antysłowiańskiej. Polska sprawami wiary nie frymarczyła i trzymano się jeszcze zawsze szczytnej zasady Pawła Brudzewskiego że „wiara nie ma być z przymusu". Chciano nawrócenia Czech, lecz nie chciano nawracać mieczem. Udawano czasem gotowość do wojny z Czechami, aby skądinąd nie wyrwał się niepowołany egzekutor, jak się to później rzeczywiście zdarzyło, gdy Maciej Korwin w mętnej wodzie ryby łowić począł.

Rozprawa Dra Prochaski: „Dwa związki antyhusyckie

z 1424 roku. Związek elektorski w Bingen i związek polski" szwankuje właśnie brakiem względu na związek wypadków w dłuższej kolei; jeżeli się jakiś szczegół traktuje zupełnie oddzielnie, łatwo popaść w błąd ten sam, jak wyrywanie jakiegoś luźnego zdania z tekstu bez względu na kontekst. Tego błędu dopuszczają się jednak, chociaż w mniejszej mierze, wszyscy badacze tego okresu. Nie był od niego wolny ani sumienny badacz, ś. p. Anatol Lewicki, który publikował w tym czasie kilka drobniejszych prac, (mniej już mogących obchodzić ogół), ani nawet najwybitniejszy z badaczów czeskich, prof. Jaroslav Goll. Lewicki spostrzegł przynajmniej, że w tych sprawach ani Luksemburczyka polityka, ani Jagiełły, szczerą nie była. Cesarz niemiecki i wygnany król czeski nie mógł publicznie powiedzieć, że chodzi mu o zgnębienie Czechów bardziej, niż o nawrócenie; król zaś polski również nie mógł dawać tego publicznie z pieczęcią, że bardzo się raduje, że Czesi, chociaż heretycy, tak dzielnie tłuką Niemców, i że polityka polska nie przestanie już baczyć na Czechy, jako na taran przeciw Niemcom; nie mógł powiedzieć, że gdyby się Czesi nawrócili (czego pragnął gorąco), dopieroby wtenczas jawnie rzucił się wraz z nimi na „całą nacyę niemiecką"! Wiadomo zaś, że zrobiono tak wkońcu, chociaż się nawrócenia pobratymców nie doczekano. Biorąc dosłownie wszystkie akty urzędowe, wydane u nas w sprawie husyckiej, musi się dojść do *absurdum*, bo każdy niemal akt co innego mówi, a n i j e d e n zaś nie mówi prawdy. Tej szukać trzeba nie we współczesnych słowach, chociaż tak uroczyście spisywanych, lecz we współczesnych — czynach.

Badając historyę unii, odkrył prof. Lewicki przy tej sposobności jeden z najdonioślejszych faktów do historyi politycznej Polski. W r. 1449 mianowicie zawarto pokój z Wasylem moskiewskim, pokój wieczysty, przymierze i przyjaźń. Wtenczas porozumieli się o wszystkie sporne kwestye, ustalono granice, a Kazimierz Jagiellończyk zrzekał się pretensyi do Wielkiego Nowogrodu na rzecz Wasyla; zapewniano sobie też wzajemnie w razie śmierci opiekę nad dziećmi, a na wypadek sporu wy-

znaczono superarbitrem metropolitę, lecz nie unickiego, ale schizmatyckiego Jonasza. Dwa lata przedtem zupełnie inne były stosunki pomiędzy Litwą a Moskwą. W roku 1447 wybuchła w Moskwie wojna domowa i bunt Dymitra Szemiaki. Wasyla strącono z tronu, a nawet oślepiono. Kazimierz Jagiellończyk miał w tem swoją rękę i był w zmowie z księciem możajskim Iwanem Andrejewiczem. Stanął wówczas chwilowy sojusz przeciw Wasylowi, do którego przystąpił ks. Borys twerski, Złota Horda, car kazański, Wielki książę litewski, książę możajski i ów Dymitr Szemiaka. Cieszono się, że Wasyla całkiem z Moskwy wypędzą, a na tronie zasiądzie kniaź możajski, jako lennik Kazimierza Jagiellończyka *(frater minor)*. Sam spisek jednakże się nie udał, i Wasyl, choć oślepiony, wrócił na tron ojców. Natenczas Kazimierz Jagiellończyk rozpoczął politykę odwrotową. Lata te są przełomowemi w stosunkach polsko-litewskich. Niegdyś Olgierd oznaczył jako cel polityki litewskiej, zdobycie Moskwy; tej samej polityki trzymali się Jagiełło i Witołd, a dopiero Kazimierz Jagiellończyk ją opuszcza. Odtąd aż do czasów Stefana Batorego Litwa nie pragnie wcale wojny z Moskwą i staje zawsze tylko na obronnem stanowisku. Sprawy te ciekawe są również do historyi wewnętrznej Polski, wyjaśniają mianowicie, dlaczego Kazimierz Jagiellończyk tak wahał się z przyjęciem korony polskiej. Bo właśnie w tych latach miała się rozstrzygnąć sprawa moskiewska, a właściwy rządca Litwy, Jan Gasztołd, uważał, że dla Litwy ma więcej znaczenia Moskwa, aniżeli Kraków. Liczył zresztą na to, że korona polska i tak Kazimierza nie minie. Młody książę dał się jednak nastraszyć pozornemu wyborowi ks. Bolesława mazowieckiego i wbrew Gasztołdowi, potajemnie dał znać do Polski, że koronę przyjmuje, i ażeby (jak mniemał), nie być narażonym na utratę tronu polskiego, rozpoczął likwidacyę wobec Moskwy. Szemiaka i kniaź możajski nie otrzymali od Litwy żadnego poparcia w stanowczej chwili, i musiał nastąpić odwrót na całej linii.

Dr. Feliks Koneczny.

Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne.

(Dokończenie).

Pierwszy, najbardziej podstawniczy proces w formacyi naszego organizmu, służy — jak widzieliśmy — do tego, aby surową materyę nieorganiczną, braną lub podawaną z zewnątrz, przemienić na ludzkie ciało. Każda nieorganiczna cząstka, przeszedłszy przez ten proces, wychodzi z niego przetworzona i urobiona na materyał jednogatunkowy z ciałem człowieka, a tem samem zdolną się staje do wyższej formy bytu, która odtąd ma być jej udziałem w organizmie i przez organizm

Na tem się jednak formacya ciała ludzkiego nie kończy. Organizm nasz nie jest i nie może być samą tylko masą jednolitą, której cała istota i budowa polegałaby na zespoleniu mnogich, całkiem sobie równych i identycznych komórek: piękność jego i doskonałość, opierając się na pewnej jedności, jako na niezbędnym swym warunku, wymaga jeszcze nadto wszechstronnej rozmaitości form i kształtów, całego szeregu różnych organicznych środków i jakby narzędzi, odpowiednich różnym celom i zadaniom, które żywy ustrój ludzki ma do spełnienia. Czyniąc zadość tej potrzebie, pierwiastek czyli siła żywotna ustroju urabia sobie z jednolitej masy ciała przeróżne konstrukcye i wytwory, żywe niejako swoje narzędzia, które odbijają od reszty ciała większem wyrobieniem i wykończeniem.

W nich to i przez nie wpływ żywotny duszy przejawia się o wiele silniej i pełniej, niż w innych częściach organizmu; w nich głównie jego dzielność i moc wychodzą na jaw i właściwy znajdują wyraz. Przez nie wogóle dusza działa na zewnątrz i wpływ wywiera na materyalne swoje środowisko; broni, strzeże i ochrania organizm, wyładowując, że tak powiem, za ich pośrednictwem fizyczną swoją energię w zewnętrznej pracy i walce.

Te wybitne części organizmu nazywamy jego członkami, w ściślejszem tego słowa znaczeniu — tworzenie zaś i urabianie tych członków określić można jako drugie stadyum w genezie ludzkiego organizmu, jako drugi główny proces w formacyi ciała naszego.

I oto znowu całkiem podobne zjawisko uderza nas w mistycznem ciele Chrystusowem. Ten nadprzyrodzony organizm nie byłby należycie rozwiniętym ani też odpowiednio do swych potrzeb i wymagań udoskonalonym, gdyby nie miał możności i siły wewnętrznej tworzenia sobie z przyswojonej materyi dusz ludzkich, tęższych i dzielniejszych nad inne członków.

Wprawdzie już pierwej, gdy była mowa o charakterze chrztu, używaliśmy raz po raz wyrażenia, że wytwarza on członki Chrystusa i Kościoła — tam jednak nazwę członka braliśmy w znaczeniu ogólnem, w jakiem każdą część ciała, organicznie z niem spojoną, członkiem nazwać można. Tutaj chodzi nam o członki ściślej wzięte, t. j. o członki, jak już wspomnieliśmy, dzielniejsze, więcej wyrobione i przeznaczone ku temu, aby podobnie jak w wybitnych członkach ciała naszego siła żywotna duszy, tak w tych mistycznych objawiała się w całej pełni żywotna moc Chrystusowa; aby przez nie mógł Kościół, jakby przez swoje narzędzia, działać i reagować na zewnątrz, i donioślejszym sprostać zadaniom.

Do wytworzenia takich członków nie może już wystarczyć nadprzyrodzony charakter chrztu; potrzeba do tego celu nowego nadprzyrodzonego czynnika, któryby dopełnił i udoskonalił to, co przez charakter chrztu wszyscy wierni już posiadają. Takim

czynnikiem jest drugi z charakterów sakramentalnych — charakter Bierzmowania [1].

Że ten charakter, równie jak pierwszy, jest realnem i niezatartem piętnem, wyciśniętem na duszy — to bezpośrednio wypływa z nauki Objawienia, zawartej, jak wiadomo, w tradycyi katolickiej i uroczyście zdefiniowanej. Nie może też ulegać wątpliwości, że nie jest on tylko ewolucyą charakteru chrztu, w którymby niejako potencyonalnie się mieścił i przy przyjęciu bierzmowania wewnętrzną jakąś siłą wyłaniał się z niego i rozwijał. Jest on poprostu darem nadprzyrodzonym zupełnie nowym i różnym od charakteru chrztu, choć mu oczywiście pokrewnym, i nie z wnętrza duszy znamieniem chrztu nacechowanej wynika, ale z zewnątrz, od Boga danym jej bywa, jak to uczyli od dawna i uczą po dziś dzień najwybitniejsi teologowie [2].

Wobec tego o jedną tylko kwestyę chodzić nam tu może. Musimy się rozpatrzeć w źródłach katolickiej nauki i skonstatować, czy i o ile ten pogląd na charakter bierzmowania, któryśmy tu przedłożyli, znajduje w nich potwierdzenie.

Sądzę, że najzupełniejsze. Owszem, zdaje mi się, że

---

[1] „Durch die Taufe werden wir in den mystischen Leib Christi aufgenommen, also als Glieder Christi eingeweiht... Auf dass wir nun aber ... starke, thatkräftige Glieder Christi werden, tritt gleichsam als Complement zur Taufe die Firmung hinzu, um uns noch inniger und fester mit Christus zu verbinden, noch eine höhere Weihe uns zu ertheilen.. Damit ist die übernatürliche Weihe und Stellung des einzelnen, einfachen Gliedes im Leibe Chritti vollendet". Scheeben: *Mysterien*, § 83, str. 508 (2 wyd.).

„Die Firmung, welche als Ergänzung der Taufe gilt, vollendet die Ausbildung des mystischen Gliedes Christi, welches durch die Taufe ihm angegliedert worden". Lingens: *Innere Schönheit*, str. 97.

„Schon durch die Taufe sind die Christen alle ein auserwähltes Geschlecht, eine heilige Familie... Durch die Firmung werden sie von Berufs wegen bestellt, als selbständige, rüstige Glieder der Kirche an ihrem priesterlichen Kulte öffentlich und unerschrocken theilzunehmen". Lingens, *Innere Schönheit*, str. 103.

[2] „Character est alius, sicut signum exterius aliud est". S. Bonaventura, IV. dist. 7, ar. 3, q. 1.

„Character confirmationis est qualitas realiter omnino distincta a charactere baptismi". Suarez, disp. 34, sect. 1, nr. 2.

„Probabilius admittitur, esse qualitatem novam, et numero et essentia distinctam". Chr. Pesch, t. VI, nr. 535.

w świetle tego poglądu pewne szczegóły nauki o bierzmowaniu zyskują nawet na wyrazistości i pogłębieniu.

Źródła kościelne mówią między innemi, że sakrament bierzmowania jest w swem działaniu na dusze jakiemś utwierdzeniem i umocnieniem ochrzczonych. „Ciało się cechuje, — powiada stary Tertulian — aby dusza obronę miała“ [1]. „Pełnia mocy duchownej“ spływa przez ten sakrament na duszę — mówi św. Tomasz z Akwinu [2]. „Duch św. dany w nim bywa na umocnienie i siłę“, uczy papież Innocenty III, a po nim Sobór Florencki [3]. „Chrzest — powiada św. Bonawentura — to stan wiary świeżo zrodzonej, bierzmowanie, stan wiary umocnionej. Przez chrzest oddziela się wierny od Egipcyan, przez bierzmowanie mocny od słabych“ [4]. Nie co innego mówi nam i nazwa tego sakramentu. „Dlatego nazwany został, — tłumaczy Katechizm Trydencki — utwierdzeniem *(confirmatio)*, ponieważ człowiek... mocą nowej dzielności silniejszym się staje, skoro go biskup krzyżmem św. namaści“ [5].

Nie inne też znaczenie mieści się i w polskiej nazwie tego sakramentu. „Bierzmowanie — mówi Skarga — w starej naszej polszczyźnie nic nie jest innego, jedno potwierdzenie i umocnienie. Bo starzy, co my dziś tram albo siestrzan zowiem, bierzmem zwali. I pamiętny jest stary wykład onej Ewangeliej słów Pańskich: ‚Proch w oku bliźniego widzisz, a bierzma w oku swojem nie widzisz‘. Z takiego nazwiska już się domyśleć możecie, iż ten Sakrament Bierzmowania dany nam jest od Pana Boga na umocnienie, podporę, na wzrost i siłę Chrześcijaństwa naszego, to jest abyśmy wiary i miłości ku Panu Bogu nigdy nie odstępowali, a w niej siłę wielką i doskonałość mieli, o nią się zastawiali i wojnę mężną z jej nieprzyjacioły podnosili, i w pokusach wszelakich mocni i niezwyciężeni zostawali, i żadnej się sromoty i szkody świeckiej nie bali, nakoniec

[1] Migne: *Patr. Lat.* t. II, kol. 806.
[2] *Sum.* III, q. 72, art. 4 in corp.
[3] *Decret.* l. I, tit. 15, cap. 1, § 7. — *Decr. pro Arm.*, Denz. nr. 592.
[4] Bon. IV, dist. 6, p. 1, q. 4.
[5] *Cat. Conc. Trid.*, pars 2, cap. 3, § 2.

zdrowie i wszystko, co mamy, dla Jezusa Chrystusa utracić, gdy tego potrzeba, obierali" [1].

Nazywają źródła kościelne bierzmowanie wykończeniem i dopełnieniem, albo udoskonaleniem ochrzczonych. W tem znaczeniu dawano mu niegdyś na zachodzie nazwę „sakramentu pełności"; na wschodzie zwano go τελείωσις lub βεβαίωσις. Św. Cypryan pisał o nim, że dopełnia i udoskonala wiernych kładzeniem rąk biskupich i „pańską pieczęcią" [2]. Synod kościelny z r. 306, Eliberytańskim zwany, każe ochrzczonych prowadzić do biskupa, aby, jak dodaje, błogosławieństwem jego i kładzeniem rąk udoskonaleni być mogli [3]. Teologowie, jak głośny Dyonizy Rickel, powszechnie Kartuzem zwany, uczą, że jeśli chrzest daje duszy nowy byt duchowny, to bierzmowanie jest tego bytu dopełnieniem; jeżeli chrzest nazwany bywa „sakramentem wchodzących", to bierzmowanie „sakramentem postępujących" nazwanem być powinno [4]. W tej też właściwości bierzmowania upatrują starzy Scholastycy racyę wewnętrzną, dla której administrowanie tego sakramentu biskupom powierzone zostało. „Bierzmowanie — mówi św. Tomasz — w tym celu się daje, aby człowieka postawić na stopniu pewnej doskonałości; udoskonalać zaś jest rzeczą biskupów [5].

Mówią jeszcze źródła teologiczne, że bierzmowanie daje duszy ochrzczonego wzrost i dojrzałość, pewną męskość i niejako pełnię lat. Katechizm np. Trydencki wyraża się, że następstwem tego sakramentu jest „rośnięcie na duchu" i doprowadzenie zrodzonej przez chrzest duszy do skończonej formy człowieka-chrześcijanina [6]. Gdzieindziej znów podnosi, że przez bierzmowanie ochrzczeni „mężami" się stają [7]. Podobnie mówi o bierzmowanych św. Tomasz, „że doprowadzeni bywają w zna-

---

[1] Kazania o sakramentach. O Bierzmowaniu kaz. wtóre.
[2] Epist. 73 ad Iubaian., nr. 9.
[3] Conc. Eliberit., can. 38 i 77.
[4] Dion. Carthusianus, IV, dist. 7, q. 1.
[5] S. Thom., Quodl. 11, art. 7.
[6] *Cat. Trid.*, Pars II, cap. 3, § 17.
[7] *Cat. Trid*, Pars II, cap. 3, § 5.

czeniu duchownem do wieku męskiego“ [1]. Wspomniany już Dyonizy Kartuz używa porównania, że ze chrztu wychodzimy jak dzieci, pełne jeszcze słabości, dopokąd nas bierzmowanie nie odzieje mocą z wysoka [2]. Tę samą myśl piękniej jeszcze wyraża nasz Skarga: „Bierzmujem się — powiada on — na to, abyśmy wzrost i siłę wzięli duchowną, i doskonałość... I tymże — dodaje — różne jest bierzmowanie od chrztu, iż ze chrztu wychodzim jako dzieci miękkie i niedorosłe, a bierzmowaniem się umacniamy i w siłę i dużość urastamy“ [3].

A na innem miejscu przedstawiając dusze ochrzczone pod obrazem słabych piskląt, prosi Boga, by je przez bierzmowanie umocnił i do wzrostu doprowadził. „Te kurczęta maluczkie i bezpierzne, te dusze ubogie i niedorosłe pokryj skrzydłami, a zagrzewając i karmiąc i od dzikich orłów — dyabłów i grzechów — broniąc, dochowaj ich do wzrostu i doskonałości zbawiennej chrześcijańskiej“ [4].

Spotykamy wreszcie w źródłach kościelnych określenie bierzmowania, wskazując może jeszcze dosadniej na jego istotę i skutki. Bierzmowanie — to pasowanie na rycerzy wiary i Kościoła, to zbrojenie i przygotowanie do walki.

„Po mistycznem krzyżmie — przemawia do świeżo bierzmowanych św. Cyryl Jerozolimski — stajecie naprzeciw wrogich mocy, okryci pełną zbroją Ducha św., i zwyciężacie je, wołając z apostołem: wszystko mogę w tym, który mię umacnia, w Chrystusie“ [5]. Sobór Florencki głosi, że bierzmowanie to „sakrament mocy“ [6]. Bierzmowanie, to niejako „popis do wojska duchownego“ — powiada św. Tomasz [7]. To sakrament, co stwarza „doskonałego żołnierza“, mówi Katechizm Trydencki [8]; to sakrament „atletów Chrystusowych“ — dodaje znany teolog

[1] *Sum.*, III, q. 72, art. 5, ad 1.
[2] *De sacramentis*, Epilog.
[3] Kazanie pierwsze o Bierzm.
[4] Kaz. wtóre o Bierzm., Epilog.
[5] Migne: *Patr. Gr.*, t. XXXIII, kol. 1091. IV.
[6] *Decr. pro Arm.* Denz. nr. 592.
[7] *Sum.* III, q. 72, art. 10, ad 2.
[8] *Cat. Conc. Trid.*, pars 2, cap. 3, § 2.

Esparza[1]. On „szereguje do boju", on „daje zbroję, co nie obciąża" — zaznacza św. Bonawentura[2]. A wszystko to w krótkiem a dosadnem zdaniu ujmuje znowu nasz Skarga: „Na bierzmowaniu do męstwa przychodzim i we zbroję się do boju ubieramy i siły dostajem"[3].

I czyż te wszystkie określenia i wyrażenia, zebrane z samych źródeł nauki kościelnej, nie przedstawiają się nam wprost jakby jedna wielka parafraza tej myśli, którą tu przedłożyliśmy, że najistotniejszem zadaniem i przeznaczeniem bierzmowania jest formowanie dzielnych i wybitnych członków Chrystusowych, przez które mistyczny organizm Kościoła mógłby z odpowiednią siłą walczyć i bronić się i wogóle działać na zewnątrz?! Nikt, sądzę, nie zaprzeczy, że w pojęciu takiego dzielnego Chrystusowego członka mieści się chyba wszystko, cośmy tu za źródłami kościelnemi przytoczyli: dopełnienie i udoskonalenie, rozrost i siła, wiek męskiej dzielności i dojrzałości, rycerstwo wreszcie i bohaterstwo i walka.

Na jeden szczegół chcielibyśmy tu jeszcze dokładniejszą zwrócić uwagę.

W tłumaczeniu naszem zaznaczyliśmy i to, że podobnie jak członki ludzkiego ciała nie tyle służą wewnętrznemu rozwojowi i życiu organizmu, ile raczej ochronie jego od wrogich sił postronnych i wogóle posłudze i działaniu na zewnątrz, tak też i sakrament bierzmowania uzdalniać ma członki Chrystusowe w pierwszym rzędzie do z e w n ę t r z n e j działalności i walki.

I oto widzimy, że i ten nawet szczegół znajduje potwierdzenie w nauce katolickiej. Wedle św. Tomasza z Akwinu moc ona nadnaturalna, która z charakterem bierzmowania na dusze spływa, zewnętrzne utarczki, a nie wewnętrzne walki duszy ma pierwszorzędnie na celu. Walka, powiada on, przeciw „nieprzyjaciołom n i e w i d z i a l n y m" — na innem miejscu nazywa ją walką o własne zbawienie — wszystkim wogóle wskazaną i na-

---

[1] L. 10, q. 51.
[2] S. Bon., IV, dist. 7, ar. 3, q. 1.
[3] O Sakram., Kaz. wtóre o Bierzm.

łożoną jest, nietylko bierzmowanym; „walka atoli—jak dodaje— przeciw widzialnym wrogom, t. j. przeciw prześladowcom wiary, polegająca na publicznem wyznawaniu imienia Chrystusowego, ta jest właśnie rzeczą bierzmowanych“ [1]. Podobnie wyrażają się i inni wybitni teologowie [2].

Błędnem byłoby mniemanie, jakoby przytoczone przez nas zdania soborów, Ojców Kościoła i teologów, określające działalność bierzmowania i skutki jego w duszach naszych, odnosić się miały wyłącznie i jedynie do łaski, którą daje ten sakrament, nie zaś do jego charakteru. Odnoszą się one bez wątpienia do obojga — owszem w wielu wypadkach odnoszą się tak z natury rzeczy, jak i w myśl autorów, raczej do charakteru, niż do łaski.

Bo naprzód jeśli istota całego sakramentu polega, wedle tych świadectw, na umocnieniu i udoskonaleniu, na wyrobieniu i wzroście, toć oczywiście nie sama tylko łaska, ale i charakter, który jest najistotniejszym tego sakramentu czynnikiem składowym, musi na swój sposób do tego celu się przyczyniać i w tym procesie współdziałać. Przy tem, ono kształcenie dusz ludzkich na wybitniejsze członki Chrystusa — w którem istotny skutek bierzmowania upatrujemy — niczem innem nie jest, jak nadaniem pewnego urzędu i stopnia w królestwie Chrystusowem. Otóż nadawanie takich urzędów i stopni nie dokonywa się wogóle w Kościele zapomocą łaski. Uświęcenie i pomoc, z łaski poświęcającej płynąca, jest i największą ozdobą takich urzędów, i największą zarazem gwarancyą dobrego ich sprawowania — nie jest jednak ich źródłem, ani właściwą przyczyną. Źródłem ich, o ile chodzi o urzędy i stopnie drogą sakramentalną nadawane, jest zawsze jakaś realna ze strony Boga konsekracya duszy, rodzaj pewnej nadprzyrodzonej inwestytury Bożej — a tę daje charakter. Jak na stopniu kapłaństwa Chrystusowego — o czem niżej mówić będziemy — stawia człowieka charakter, a nie łaska do święceń przywiązana, tak też charakter stawia go w szeregu

[1] *Sum.* III, q. 72, ar. 5 ad 1. — Por. nadto: In IV, dist. 7, q. 2, ar. 1, sol. 1, ad 1.

[2] S. Bon. IV, dist. 7, ar. 3, q. 1; Estius IV, dist. 7, § 14 i 16; Gihr: *Die heil. Sakr.*, tom I, § 45, str. 333.

urzędowych obrońców wiary i rycerzy Kościoła. Pamiętajmy wreszcie i na to, że, sakrament bierzmowania, podobnie jak chrzest, może być ważnie przyjętym bez łaski — a przecie i wtedy, dając duszy wyłącznie tylko charakter, nie przestaje być jednak sakramentem umocnienia i dopełnienia, siły i wzrostu, pasowaniem uroczystem wobec nieba i ziemi żołnierzy Chrystusowych. Źródła kościelne odnoszą wszystkie te orzeczenia do każdego ważnego bierzmowania, nie czyniąc żadnych zgoła rozróżnień, muszą więc one i wtedy być prawdziwe, kiedy chodzi o bierzmowanie, nadające duszy charakter, a nie przynoszące jej łaski.

Jedno jeszcze nasuwa się pytanie: w jaki sposób charakter bierzmowania osiąga ten skutek, o którym mówimy. Jakimi środkami z tej szarej, że tak powiem, masy zwykłych członków mistycznego ciała Chrystusowego, urabia on członki dzielniejsze i wybitniejsze, powołane do walki, do działania na zewnątrz?

O odpowiedź nie tak trudno, na podstawie tego, cośmy już mówili o charakterze wogóle, i o charakterze chrztu w szczególności.

Wszystkie charaktery sakramentalne są, jak to wiemy z nauki kościelnej, znamieniem Chrystusowem, wyciśniętem na duszy ludzkiej, nadającem jej pewne podobieństwo do Boga-Człowieka. Takiem więc upodabniającem do Chrystusa znamieniem, będzie bez wątpienia i charakter bierzmowania — a że to charakter, jak równie wiemy, nowy i różny od charakteru chrztu, przeto i ono podobieństwo nowem i oddzielnem być musi.

Na czemże jednak polega to podobieństwo, ten nowy rys nadprzyrodzonej konformacyi do Syna Bożego? Będzie on bez kwestyi realnem jakiemś odbiciem mocy i potęgi Chrystusowej na samem, że tak powiem, substancyalnem podłożu duszy naszej, a przez to realną i trwałą podstawą nowego jej stosunku do Chrystusa - Mocy Bożej [1], źródłem ciągłego a tajemniczego współudziału w tejże mocy i potędze. Jak przez charakter chrztu widzieliśmy wytworzony związek duszy z Chrystusem,

[1] List 1 św. Pawła do Kor., I, 24.

Królem Nowego Zakonu, tak tu znowu tworzy się związek z Chrystusem, najwyższym wodzem i hetmanem Kościoła, „lwem zwycięskim z pokolenia Judy“ [1], którego „pomazał Bóg Duchem świętym i mocą“ [2]. Jak tam mówiono nam ogólnikowo: „Którzykolwiek jesteście ochrzczeni, oblekliście się w Chrystusa“ [3], tak tu obiecują nam szczegółowo nową szatę jego potęgi i mocy: „Posyłam obietnicę Ojca mego na was... będziecie obleczeni mocą z wysokości“ [4]. Jest to ona *derivatio virtutis a Christo*, o której mówi przy sakramencie bierzmowania Doktór Anielski, upatrując jej wyraz zewnętrzny w ceremonii kładzenia rąk [5].

Łaska bierzmowania dopełnia bez kwestyi i na pożytek duszy obraca cały ten nadprzyrodzony proces sakramentalnego umocnienia; ona i uświetnia i zacieśnia ten nowy węzeł duszy z Chrystusem — nie ona jednak, ale charakter nawiązuje go i daje mu początek.

Kiedy więc biskup nad bierzmowanym ręce swe wyciąga, Chrystus tę duszę, która już przez chrzest do niego szczególnie przynależy, obejmuje i przenika na nowo tajemniczem promieniowaniem Bożej swej mocy, której pierwszym wypływem jest charakter, dający duszy i on wzrost i oną dzielność wieku męskiego i oną zbroję ducha, na których, jak była mowa powyżej, istota dzielnego i doskonałego członka w ciele Chrystusowem zależy; drugim wypływem, to łaska poświęcająca, która odpowiednio do onego stanowiska i urzędu, jakie duszy nadał charakter, pomnaża stopień łaski, jaki się w duszy znajdował, potęgując przez to jej ś w i ę t o ś ć i oparte na niej zjednoczenie z Bogiem [6].

---

[1] Obj, św. Jana v, 5.

[2] Dzieje Ap., x, 38.

[3] List św. Pawła do Gal. iii, 27.

[4] Ew. św. Łuk. xxiv, 49.

[5] „Qui hoc sacramentum suscipiunt, ad spiritualem militiam quodam modo videntur adscripti, unde et iis manus imponitur ad designandam derivationem virtutis a Christo“. *C. Gent.*, iv, 60.

[6] „Charakter und Gnade... stimmen miteinander darin überein, dass sie übernatürliche Gunstbezeigungen und Gaben Gottes sind, und dass sie den Menschen heiligen — allerdings in ganz verschiedener Weise. Während

Jakże przedziwnie do tego przedstawienia rzeczy przystają, ile wyrazistości i siły nabierają znane nam już słowa św. Pawła, które z pewnością odnosić się musiały w myśl jego i do bierzmowanych: „Jeden Bóg i Ojciec... dał Apostoły... a inne pasterze... ku wykonaniu świętych, ku budowaniu ciała Chrystusowego, abyśmy się zeszli... w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej, i abyśmy już nie byli dziećmi chwiejącemi się, i nie byli uniesieni od każdego wiatru nauki przez złość ludzką... na oszukanie błędu“ [1].

Albo te drugie słowa tegoż Apostoła narodów, które tak się czyta, jak gdyby z traktatu o bierzmowaniu, albo z przemówienia do bierzmowanych żywcem były wyjęte:

„Bracia, wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy jego. Obleczcie się w zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciwko zasadzkom dyabelskim... Albowiem nie mamy biedzenia przeciw ciału i krwi, ale przeciwko książętom i władzom, przeciwko rządcom świata tych ciemności. Stójcież tedy, przepasawszy biodra wasze prawdą, a oblókłszy pancerz sprawiedliwości... biorąc tarczę wiary... i przyłbicę zbawienia... i miecz ducha“ [2].

Mamy już tedy wyjaśnione dwa charaktery sakramentalne i dwie od nich zależne, na ich podstawie trwale oparte formacye w mistycznem ciele Chrystusowem — ostatni jeszcze krok pozostaje nam do zrobienia.

Proces formacyjny ludzkiego organizmu przez wytworzenie tęższych i wybitniejszych członków nie dobiegł jeszcze do końca. Nie dostaje mu jeszcze jednego organicznego czynnika,

---

nämlich die Gnade der Kindschaft im eigentlichen oder engern Sinne heiligt (sanctificat), d. h. übernatürlich gerecht und Gott wohlgefällig macht, heiligt der Charakter nur im weitern Sinne (consecrat), sofern er den Träger in ganz besonderer Weise Gott und dem Dienste Gottes weiht und widmet“. Gihr: *Die hl. Sacr.* I, § 17, str. 121.

[1] List do Efez., IV, 6—14.

[2] List do Efez. VI, 10—17.

który stanowi największą doskonałość ustroju ludzkiego i stoi jakby u szczytu jego rozwoju. Członki, choćby najwybitniejsze, współuczestniczą tylko biernie w wewnętrznem życiu organizmu, a współdziałają jedynie jako narzędzia w czynnościach ustroju drugorzędnych i więcej zewnętrznych. Tymczasem duszy potrzeba i takich narzędzi, któreby czerpiąc dla siebie życie i siłę z organizmu, donosiły je równocześnie do innych części i członków, współdziałając w ten sposób z duszą, jako czynniki jej podległe, niemniej jednakże niezbędne w samych najbardziej wnętrznych i istotnych procesach organicznych.

Te części ustroju ludzkiego, najsubtelniejsze ze wszystkich, najbardziej wykończone i wydoskonalone, noszą osobną nazwę — organów.

Czyż nie bije od razu w oczy, jak wyraźne i jak uderzająco dokładne zastosowanie znajduje ta analogia w mistycznem ciele Chrystusowem?! I temu ciału potrzeba organów, któreby po całym jego obszarze roznosić mogły żywotne tętno Chrystusa, pośrednicząc między głową a jej członkami. A jeśli tak jest, któż nie widzi, że tymi organami mogą być ci jedynie, którzy mają prawo powtórzyć o sobie z całą świadomością i z całą pełnią znaczenia słowa Apostolskie: „Miasto Chrystusa poselstwo sprawujemy!“ [1]. Albo te drugie: „Tak niechaj człowiek o nas rozumie, jako o sługach Chrystusowych i szafarzach tajemnic Bożych“ [2]. Albo te wreszcie: „Dostateczność nasza z Boga jest, który... uczynił nas godnymi sługami Nowego Testamentu, nie literą, ale duchem“ [3]. „Który uczynił nas królestwem i kapłany“ [4] i „dał nam urząd jednania“ [5] i „postanowił biskupami, rządzić Kościół Boży“ [6].

Są to ci wszyscy, których Chrystus wybrał na swych widzialnych w Kościele zastępców; którzy, jako tacy, przez oso-

---

[1] List 2. do Kor., v, 20.
[2] List 1. do Kor., iv, 1.
[3] List 2. do Kor., iii, 5.
[4] Obj. św. Jana, i, 6.
[5] List 2. do Kor., v, 18.
[6] Dzieje Ap., xx, 28.

bny sakrament kapłaństwa otrzymali nowy charakter na duszy, czyli nowe piętno Chrystusowe, wraz z niem zaś poświęcenie i konsekracyę na mistyczne organa w ciele Chrystusowem, zdolne i sposobne do rozdawnictwa nadprzyrodzonych łask i darów swoim współczłonkom w tem ciele i współbraciom. Z jednej strony są oni sami członkami mistycznego organizmu Chrystusa, czerpiąc zeń, podobnie jak wszyscy wierni, własne swe życie nadprzyrodzone i wszystkie wpływy żywotne — z drugiej są nadto w mniejszym lub większym stopniu współczynnikami Chrystusa w wielkiem jego dziele odradzania, uświęcania i zbawiania dusz ludzkich [1].

I znowu tu z naciskiem podnieść należy, że te przedziwne organa, zdolne do opisanych dopiero co funkcyi w mistycznym ustroju Chrystusowym, wytwarza sakrament kapłaństwa nie przez łaskę, która do niego jest przywiązaną, lecz przez charakter, jaki na duszach wybranych sług ołtarza z łaską czy bez łaski wyciska. Rzecz to zupełnie pewna i żadnej nie podlegająca kontrowersyi, władza bowiem i godność kapłańska daną bywa bez żadnego uszczuplenia tym wszystkim, którzy sakramentalne

---

[1] „Es muss... auch solche Glieder geben, welche die Stelle und die Wirksamkeit des Hauptes in der Kirche vertreten, welche mit Christus und an seiner Statt als übernatürliche Mittler zwischen Gott und den Menschen auftreten; sie müssen in ganz besonderer Weise mit Christus in Verbindung treten, eine ganz besondere Weihe erhalten und durch diese Verbindung und diese Weihe der übernatürlichen Gnade vorzüglich theilhaft werden. Das geschieht durch das Sakrament der Priesterweihe; sie ist die Weihe per excellentiam, weil sie dem Empfänger die erhabenste und heiligste Function überträgt, die es auf Erden geben kann". Scheeben: *Mysterien*, § 83, 1, str. 508 (2 wyd.).

„Wie im natürlichen Körper... stehen alle Glieder in einer gemeinschaftlichen Ähnlichkeit und Verbindung mit dem Haupte, diese Ähnlichkeit und Verbindung ist aber in verschiedene Grade abgestuft; so stellt sich auch der sakramentale Charakter vielgestaltig dar, je nachdem er bloss die einfachen Glieder, die nur eben an der Gemeinschaft des Hauptes theilnehmen, oder die rüstigen Glieder, in denen das Haupt kämpfen und ringen soll, oder die speciellen Organe des Hauptes, welche die Verbindung desselben mit den übrigen Gliedern vermitteln und unterhalten sollen, zu bilden hat". Scheeben: *Mysterien*, § 84, nr. 4, str. 525—526.

święcenia ważnie przyjęli, choćby je nawet przyjęli w grzechu i niepokucie — a zatem bez łaski sakramentalnej [1].

Wytwarza zaś charakter kapłaństwa te żywe organa Chrystusowe w taki sam mniej więcej sposób, w jaki charakter chrztu wytwarzał zwykłe, charakter zaś bierzmowania wybitne jego członki. Wraz z charakterem kapłańskim pada na dusze ordynowanych nowy niejako refleks Słowa Wcielonego, wyciskając na nich nowe znamię i pieczęć Chrystusowego podobieństwa, głębszą jeszcze i doskonalszą od obu poprzednich.

Jest to odbicie godności onego Arcykapłańskiego urzędu, jaki odzierżył Chrystus, gdy „przez własną krew wszedł raz do świątnicy“ [2]. O nim to mówi Pismo, „że wiekuiste ma kapłaństwo, przetoż i zbawić na wieki może przystępujące przez niego do Boga“ [3]. Kapłaństwo Chrystusowe schodzi się z urzędem Odkupiciela, dusza zatem znamieniem tego kapłaństwa nacechowana wchodzi w najgłębszy z Chrystusem stosunek, bo w samym jego urzędzie Odkupiciela poczyna uczestniczyć. Jeśli już zwykły wierny — powiada Lingens — „przyobleka się w Chrystusa“, to kapłan w najpiękniejszem znaczeniu wyrazu staje się „drugim Chrystusem“, skoro nawet urząd Zbawiciela z nim dzieli [4].

A nie sądźmy, że same tylko jednogatunkowe i całkiem sobie równe organa wytwarza charakter kapłaństwa: formuje on i kształci organa różnorodne z przedziwnem stopniowaniem i rozmaitością. Trzy są, jak wiadomo, święcenia, które na pewne są sakramentem: święcenie na dyakona, na kapłana i na biskupa. Otóż przy każdem z nich, jak uczy teologia, otrzymuje dusza charakter sakramentalny; w tym zaś szeregu charakterów każdy następny nie jest, jak mniemali niektórzy, dalszem tylko rozwinięciem i większem natężeniem poprzedniego, ale, jak się dziś

---

[1] „Sacramentum ordinis per se primo est institutum ad dandam spiritualem potestatem ordinis, quae datur per impressionem characteris; gratia vero hic datur ad digne exercendos actus illius potestatis“. Suarez, disp. XI, sect. 1, nr. 7.

[2] List św. Pawła do Żyd., IX, 12.

[3] Tamże, VII, 24.

[4] *Die innere Schönheit*, str. 103.

w teologii powszechnie przyjmuje, darem całkiem nowym i odrębnym, z zewnątrz od Boga danym[1]. Każdy zatem wyciska na duszy coraz to nowe i doskonalsze podobieństwo Chrystusa, każdy daje stopniowo coraz to nowy i coraz większy współudział w Chrystusowem kapłaństwie, czyli — co na jedno wychodzi — każdy tworzy coraz nowe i doskonalsze organa w mistycznem ciele Chrystusowem.

Wyświęcony na dyakona otrzymuje przez swój charakter bardzo jeszcze słabe i niedoskonałe rysy podobieństwa z Chrystusowem kapłaństwem; pierwsze niejako zaczątki przeznaczenia i pewnego zbliżenia do tego wysokiego Chrystusowego urzędu. Nie może on jeszcze spełniać żadnej czynności ściśle kapłańskiej, mocą jednak sakramentalnego swego namaszczenia powołanym już jest z urzędu do bezpośredniej, chociaż tylko pomocniczej posługi przy najważniejszych kapłańskich czynnościach.

Kapłan, któremu wyższy charakter sakramentalny dostaje się w udziale, wynosi ze święceń znamię rzeczywistego już kapłaństwa Chrystusowego, a z niem i przez nie urząd i stanowisko nie pomocniczego tylko, ale samoistnego organu w ciele Chrystusowem, dające mu władzę sprawowania najświętszej ofiary i administrowania tych sakramentów, które bez pośrednictwa takiego mistycznego organu udzielone być nie mogą. Współdziała on już zatem z Chrystusem w jego funkcyach ściśle kapłańskich, służąc mu jako współczynne narzędzie w tworzeniu i ożywianiu, w leczeniu i odradzaniu, w utrzymywaniu i udoskonalaniu zwyczajnych członków mistycznego jego ciała.

---

[1] „Non solum qui ad Dei cultum assumuntur, distinguuntur ab aliis... etiam inter ministrantes ordo est et distinctio. Et ideo in diversis ordinibus diversa signacula debent imprimi, secundum quae nobis diversitas potestatum... innotescat. Tale autem signaculum est character, et ideo in diversis ordinibus diversi imprimuntur characteres". S. Bonav. IV, dist. 24, p. 2, a. 1, q. 2.

„Man muss... eine gewisse sachliche Verschiedenheit annehmen und festhalten zwischen den einzelnen Charakteren, welche durch die drei hierarchischen Ordinationen eingedrückt werden, da der sakramentale Charakter eine qualitas indivisibilis ist, d. h. eine Beschaffenheit, die eine intensive Steigerung und Verringerung nicht zulässt". Gihr: *Die hl. Sakr.*, tom II, § 54, nr. 3, str. 439. — Por. Chr. Pesch: t VII, nr. 638.

Biskup wreszcie przez sakramentalny charakter, który przy konsekracyi od Boga bierze, otrzymuje najwyższe i najdoskonalsze podobieństwo do tego wiekuistego Arcykapłana, którego Piotr św. nazywa „pasterzem i biskupem dusz naszych“ [1]. Na duszy zatem kapłana, przyjmującego biskupie święcenia, wyciska się cała pełnia kapłaństwa Chrystusowego, nadając mu jakiś książęcy stopień kapłański, wraz z władzą rządzenia wiernymi i nadawania jurysdykcyi sakramentalnej kapłanom; wraz z mocą wyłączną, nie dającą się delegować nikomu, współdziałania z Chrystusem w tworzeniu nie tylko już członków jego mistycznego ciała, ale samych nawet organów.

Tu już doszliśmy do ostatniego i najwyższego z charakterów sakramentalnych, wraz z którym budowa mistycznego ciała Chrystusowego dobiega do kresu. Nic już więcej nie jest wymaganem do całości tego ustroju. Mając wszystkie członki ściśle ze sobą w jedną całość spojone i równie ściśle sprzągnięte z Głową-Chrystusem; mając nadto członki dzielniejsze i doskonalsze, zdolne do pracy i obrony; mając wreszcie — co najważniejsza — różne organa, obdarzone nadprzyrodzoną mocą tworzenia i nowych członków i nowych nawet organów, posiada on już wszystko, co mu potrzebnem, aby życie nadprzyrodzone, wypływające z Chrystusa, mogło po całym organizmie obiegać i wszystkim się jego częściom udzielać, zapewniając tem samem całemu organizmowi trwały i prawidłowy byt, ciągły wzrost i rozwój. Zaopatrzony w te wszystkie czynniki mistyczny organizm Chrystusa ma w łonie swem możność ciągłego odświeżania się i dopełniania. Nie trwoży go już wcale ani schnięcie i odpadanie złych członków, ani nawet możliwe zepsucie i zwyrodnienie organów, ani też wreszcie ona śmiertelność i nietrwałość ludzkiego materyału, przerzedzająca ciągle szeregi tak członków jak i organów widzialnego Kościoła. Ludzie zmieniają się i przechodzą, sam jednak organizm, z wszystkiemi częściami istotnemi trwa niezmiennie i nieprzerwanie funkcyonuje, wchłaniając w siebie wiek za wiekiem, pokolenie za pokoleniem

[1] List 1. św. Piotra, II, 25.

ludzkość pielgrzymującą po ziemi; przetwarzając ją i przebóstwiając w swem łonie; a wreszcie przetworzoną i przebóstwioną wyrzucając falami na brzeg szczęśliwy wieczności, jako owoc dojrzały do wiekuistego Kościoła w niebie, jako materyał na doczesnym warsztacie ziemskiego Kościoła dostatecznie już przerobiony i sposobny, aby mógł wejść w skład tego wyższego jeszcze i doskonalszego ustroju niebieskiego, w którym nie będzie miejsca, jak tu na ziemi, dla złych i grzesznych, w którym nie trzeba, jak tu na ziemi, rygoru praw, ani kodeksu ceremonii i przepisów, ani wreszcie zewnętrznych spójni i widzialnych znaków — ale gdzie wszystkie rozumne stworzenia wiekuistą miłością i bezpośrednim kontaktem zespolone z Bóstwem, tworzą z nim i w nim tę jedną, wielką rodzinę, której każdy członek wedle miary swej wartości i osobistych zasług w mniejszym lub większym stopniu uczestniczyć będzie wprost i bezpośrednio w bycie i szczęściu Boskiej natury.

Dobiegliśmy do końca naszej pracy.

Rzucając okiem na drogę przebytą i obejmując w jedną całość wszystkie szczegóły po tej drodze zebrane, nie możemy nie uznać piękności obrazu, który się przed naszemi oczami przesunął; nie możemy też nie przyznać słuszności słowom Scheebena, że „organicznie ukształtowane ciało ludzkie daje nam wogóle najdoskonalszy obraz istoty i znaczenia charakterów sakramentalnych w mistycznem ciele Chrystusowem“ [1].

Przyznać doprawdy trzeba, i każdy nieuprzedzony przyznać to musi, że dopiero na tle tego obrazu i w świetle tej analogii, rozumie się dokładnie całą, nietylko piękność i polot, ale i dogmatyczną doniosłość tych miejsc Pisma św., któreśmy na początku tej pracy przytoczyli, a których jeszcze więcej przytoczyćby można. Tu się dopiero należycie wyjaśnia, co

[1] „Der organisch gebildete und belebte Körper gibt uns überhaupt das vollkommenste Bild von dem Wesen und der Bedeutung des mystischen Gepräges im mystischen Leibe Christi, und eine genauere Betrachtung dieses Bildes wird uns in anschaulicher Weise alles, was wir bisher über die mystische Natur des sakramentalen Charakters gesagt haben, wieder vorführen“. Scheeben: *Mysterien,* § 84, str. 525 (2 wyd.).

znaczą one „spojenia i wiązania", któremi mistyczne ciało Chrystusa „zrządzone i spólnie złączone, roście na pomnożenie Boże" [1]; co znaczą oni pasterze i doktorowie, dani Kościołowi przez Boga „ku wykonaniu świętych" i „ku budowaniu ciała Chrystusowego" [2]; co znaczy wreszcie samo to ciało, które ma „czynić pomnożenie ku budowaniu samego siebie", nie inaczej, jeno „rosnąc we wszystkiem w Tym, który jest Głowa-Chrystus" [3]. A jakiej wyrazistości i siły nabiera znany ustęp listu św. Piotra, w którym wzywa wiernych — żywe ciosy mistycznej budowy Bożej, aby się na Chrystusie — żywym fundamencie Bożym — budowali. „Do którego przystąpiwszy, kamienia żywego... od ludzi odrzuconego, ale od Boga wybranego i uczczonego, i wy, jako żywe kamienie na nim się budujcie, dom duchowny, kapłaństwo święte, ku ofiarowaniu duchownych ofiar! Dlaczego w Piśmie stoi: Oto kładę w Syonie kamień przedniejszy narożny, wybrany, kosztowny — a kto weń uwierzy, nie będzie zawstydzon" [4].

Dodajmy jeszcze i to, co również przyznać trzeba, że na tle roztoczonego tutaj obrazu i analogii, same charaktery sakramentalne, na które, jako na rzecz mało nam znaną, przyuczyliśmy się jakoś niewiele zwracać uwagi, nabierają niezwykłego znaczenia, doniosłości i blasku. To nas jednak nie powinno dziwić ani odstraszać; charakterowi bowiem istotnie bardzo doniosła przypada rola w dzisiejszym porządku nadprzyrodzonym, a starzy Ojcowie Kościoła bardzo wysokie mieli o nim pojęcie.

Nie zapominajmy, że charakter, jakkolwiek nie uświęca duszy wewnętrznie i wskutek tego jest darem Bożym wiele niższym od łaski, poświęca ją przecież zewnętrznie i jakby konsekruje tem realnem znamieniem, które nie dając duszy usprawiedliwienia, daje jej jednak niedościgłą jakąś godność w królestwie nadprzyrodzonem. W czem tkwi ta godność, nie trudno

[1] List św. Pawła do Kolos., II, 19.
[2] List do Efez., IV, 6.
[3] List do Efez., IV, 15, 16.
[4] List 1. św. Piotra, II, 4—6.

odgadnąć. Charakter jest realnem odbiciem na duszy podobieństw i znamion Chrystusowych: a ten Chrystus jest przecie Bogiem; w nim tedy — jak się przecudownie wyraził św. Paweł — „wszystka zupełność Bóstwa mieszka cieleśnie“ [1]. Jak więc na ludzkiem ciele wyciska dusza całą swą godność i piętno znamienne ducha, tak w wiele większym stopniu na ludzkiej naturze Chrystusa wycisnąć się musiała pieczęć i cecha Boża — χαρακτὴρ τῆς ὑποστάσεως αὐτοῦ [2]. I oto ten najwyższy charakter Boży, zstąpiwszy naprzód na Chrystusa, Pomazańca Pańskiego, wskutek najściślejszego, bo hypostatycznego zjednoczenia w nim Boskiej i ludzkiej natury — zstępuje znowu z Chrystusa na dusze nasze, dla mistycznego ich zjednoczenie z temże Słowem Wcielonem, jako z najwyższą, choć niewidzialną Głową Kościoła.

Ponieważ mistyczne zjednoczenie nasze z Chrystusem jest nieskończenie niższem od zjednoczenia dwóch natur w Słowie Wcielonem, przeto i nasz charakter musi być nieskończenie niższym od charakteru Chrystusowego — bądź co bądź jednak, jest on czemś analogicznem; jest, jak za Scheebenem powiedzieć można, cieniem niejako, padającym na nas z Bożego charakteru Chrystusowego [3]; jest, innemi słowy mówiąc, dalszem, że tak powiem, załamaniem tego promienia, co wychodząc z samego źródła Bóstwa, pada nasamprzód na Chrystusa, a z niego przenosi się na nas, i tak się na duszy naszej przyjmuje, jak pozwala

---

[1] List do Kolos., II, 9.

[2] List do Żyd., I, 3.

[3] „Der Charakter der Glieder des gottmenschlichen Hauptes muss nämlich ein Reflex des gottmenschlichen Charakters eben dieses Hauptes sein; denn gerade an diesem Charakter, wodurch das Haupt zum Christus wird, müssen die Glieder participiren, um Christen zu sein“. Scheeben: *Mysterien,* § 84, nr. 1, str. 518 (2 wyd.).

„Es ist wahr, unter diesem Gesichtspunkte muss uns der Charakter als ein ausserordentlich grosses, unbegreifliches Mysterium erscheinen. Aber in einem Leibe, worin dass Haupt eine so wunderbare, unbegreifliche Signatur in sich trägt, muss auch der auf seine Glieder fallende Schatten derselben etwas überaus Erhabenes sein. Dieser Gedanke muss uns davor bewahren, die Idee des Charakters durch die Schranken unserer schwachen natürlichen Vorstellungskraft zu verstümmeln oder sie sonst zu einseitig aufzufassen“. Scheeben, tamże, nr. 3, str. 523.

jej natura i jak wymaga rodzaj tego zjednoczenia, w jakie ma wejść z Chrystusem.

Po takich to stopniach idzie od Boga do nas całe odrodzenie nasze i wszystka łaska i inne nadprzyrodzone dary — po tych też stopniach spływa na nas i charakter. „Wszystko wasze jest — mówi pięknie Apostoł narodów — a wy Chrystusowi, a Chrystus Boży“ [1]. A jeszcze jaśniej wypowiada tę myśl sam Zbawiciel w uroczystej modlitwie Arcykapłańskie: „Ojcze... ja chwałę, którąś mnie dał, dałem im — aby byli jedno, jako i my jedno jesteśmy. Ja w nich, a Ty we mnie, aby byli doskonałymi w jedno“ [2].

Tak się przedstawia w świetle sumiennego badania tajemnica charakterów sakramentalnych. Nie przeniknięta wprawdzie aż do dna, nie objęta i nie wyjaśniona całkowicie w najgłębszej swej treści — bo tej pojęciami właściwemi nigdy w tem życiu nie będziemy w stanie uchwycić — objaśniona jednak wedle możliwości i poznaniu naszemu, ile się dało, przybliżona za pomocą pojęć pokrewnych czyli analogicznych, dostarczonych nam przez samo Objawienie. Ale i w tem nawet, bądź co bądź słabem i skądinąd zapożyczonem świetle, tajemnica charakterów przedstawia się -- sądzę, że nie powiem za wiele — wspaniale i porywająco, pomimo, że jest pierwszym tylko krokiem, prowadzącym do wnętrza mistycznego ciała Chrystusowego; krokiem, który nas stawia ledwo na progu owego przedziwnego świata, pełnego dalszych Bożych tajemnic. Jakże cudowne i jak rozległe otwierają się stąd horyzonty! Ileżto światła stąd pada na cały szereg dogmatów i dogmatycznych szczegółów, z charakterami sakramentalnymi ściśle złączonych, chociaż w nich wprost nie zawartych?! Zaraz na wstępie roztacza się wspaniały dogmat o życiu nadprzyrodzonem Kościoła i jego członków, do którego charaktery formę tylko i podkład organiczny przygotowują; o życiu, mówię, które polega na współudziale dusz w życiu

[1] List do Efez., I, 10.
[2] Ew. św. Jana, XVII, 22, 23.

samej świętości i sprawiedliwości Bożej, a spływa na nas po onym dziwnym promieniu, łaską uświęcającą zwanym. A dalej idą siły i cnoty nadprzyrodzone, razem z łaską do dusz wlewane, działające nakształt władz i potęg duszy, choć wedle innych norm i prawideł. Równocześnie staje przed nami ta nieskończona mnogość nadprzyrodzonych Bożych poruszeń i jakby suggestyi, niezbędnych przy każdym czynie zbawiennym, przy każdym ruchu duszy i drgnieniu. Są to łaski Boże, uczynkowemi zwane, które jakby ten eter tajemniczy, wszędzie drgający, wypełniają i przenikają całą przestrzeń i atmosferę ziemskiego, nadprzyrodzonego świata. A wpośród nich rzuca swój cień posępny i ona „tajemnica nieprawości“ [1] — grzech, zdolny dosięgnąć destrukcyjnem swem działaniem aż do źródła życia nadprzyrodzonego w duszach, i to życie zniweczyć, sprowadzając śmierć i zagładę na żywe dotąd i czynne członki Chrystusa. A obok stają znów otworem sakramentalne źródła Chrystusowe, obdarzone cudowną siłą ożywiania dusz martwych i leczenia różnych ich chorób, które po śmierci grzechowej, jakby krwawe jej ślady i rany, wżarły się w dusze. I dalej jeszcze... bezkrwawa ofiara ołtarza i wszystkie jej do mistycznego ciała Chrystusowego relacye; eucharystyczna Komunia ze wszystkimi swymi skutkami; przedziwne mieszkanie Boga w duszach naszych i tajemnicza spójnia dusz świętych z Bogiem i z sobą w Bogu; wzrost życia nadprzyrodzonego i pomnażanie się w łasce; osobny system gromadzenia zasług i przenoszenia ich na drugich... i tyle, tyle innych jeszcze tajemnic, ze wszystkiemi ich odnośniami do Chrystusa, do Boskiej Trójcy, do życia przyszłego — oto ten wielki nadprzyrodzony świat, jaki nam się odsłania w granicach mistycznego ciała Chrystusowego — świat, tak nam blizki a tak zarazem daleki, tak porywający dusze i serca, a tak mało znany i rozumiany!

Pauca vidimus operum eius! [2].

Wszystkie te dogmatyczne zagadnienia opracowuje przez

---

[1] List 2. św. Pawła do Tesal., II, 7.

[2] Eklezyastyk, XLIII, 36.

długi szereg wieków katolicka teologia i wedle możności stara się je wyjaśniać. Poszczególne partye są w wielkiej części obrobione z całą gruntownością, nieraz prawie wyczerpująco. Tworzono też różne ogólne konstrukcye, w których całokształt narzuconych tu kwestyi starano się objąć systematycznie z tego, lub owego punktu widzenia. Takiego jednak ich całokształtu, któryby się opierał na podstawie mistycznego ciała Chrystusowego i konsekwentnie z niego się rozwijał, główny kładąc nacisk na wewnętrzne prawa i zjawiska tego mistycznego organizmu, na całą, jeśli tak powiedzieć wolno, nadprzyrodzoną jego psychologię — nie posiadamy dotychczas. W niektórych nowszych pracach teologicznych przebijają już zarysy konstrukcyjne takiej całości, niektóre jej partye są już nawet — w pewnej przynajmniej mierze — dość sumiennie opracowane; nie brak też przyszłemu pracownikowi na tej drodze tak wybitnych, po części wprost genialnych wzorów, jak nieocenione fragmenty Franzelina „O Kościele“, jak różne partye dzieł Scheebena, jak świeżo drukiem ogłoszony, pierwszy i już, niestety, ostatni tom dzieła ś. p. ks. M. Morawskiego o „Świętych Obcowaniu“, jak cytowane tu parę razy dziełko, równie zbyt prędko zgasłego dla teologii, Jezuity niemieckiego, Lingensa. Systematyczne jednak i wyczerpujące opracowanie takiej „Summy teologicznej“, której punktem wyjścia byłoby mistyczne ciało Chrystusowe, jest — jak dotąd — pieśnią przyszłości.

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z czasopism polskich w roku ubiegłym [1].

Ateneum. — Krytyka. — Ognisko. — Kraj. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec. — Biesiada literacka. — Illustracya polska. — Echo muzyczne i teatralne. — Praca. — Prawda. — Przegląd tygodniowy. — Głos. — Ogniwo. — Czasopisma dla dzieci. — Teka i Promień. — Przegląd pedagogiczny. — Szkoła. — Szkolnictwo. — Muzeum. — Kwartalnik historyczny. — Przewodnik bibliograficzny. — Czasopisma religijne i teologiczne. — Czasopisma prawnicze i społeczne. — Czasopisma peryodyczne i lekarskie. — Technika. — Gospodarstwo. — Varia.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę ogólną cyfrę czasopism polskich, (wyłączywszy nawet pisma codzienne i popularne, przeznaczone dla ludu), jaką wydał rok miniony, przekonamy się bez trudu, że produkcya pod tym względem była u nas ogromna, tak wielka, jak u żadnego z narodów słowiańskich, tak różnorodna a liczna, iż całość jej może ogarnąć chyba tylko bibliograf zawodowy, lub człowiek, który chce być ciągle *au courrent* w literaturze, w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Mało kto ma jakie takie wyobrażenie o rozroście naszej literatury peryodycznej, mieszczącej się w czasopismach, jeszcze mniejsze o wartości wydawnictw tej kategoryi. To też pisma naukowo-literackie bywają przez nasz ogół pseudo-inteligentny abonowane przeważnie bez jakiejkolwiek danej racyi, ot tak z przyzwyczajenia lub łakomstwa na „wspaniałe premie“, jakie z początkiem każdego roku obiecuje to lub owo czasopismo nowym prenumeratorom. W osta-

[1] Sprawozdanie z innych czasopism odkładamy dla braku miejsca do następnych zeszytów. *Redakcya.*

tnich zwłaszcza dwu lub trzech latach, kiedy pisma przelicytowywały się formalnie w tych premiach, zastępy czytelników zmieniały się ustawicznie, goniąc za tym, kto da więcej. Wprawdzie człowiek myślący wyrobiłby sobie zupełnie inne mniemanie co do tych czasopism i przyszedłby do przekonania, że są one licha warte, skoro prenumerowanie ich jest czynem bohaterskim, domagającym się nagrody. Cóż? — kiedy my tak niewiele przyzwyczailiśmy się myśleć, a w sądzie naszym o rzeczach tak chętnie idziemy za zdaniem obcem? A to tak dobrze, tak wygodnie, skoro można zasłonić się obcym autorytetem! Och! te autorytety!...

Otóż z góry muszę zaznaczyć, (choć wypowiedzenie takiego sądu jest przykre), że produkcya ilościowa czasopism naszych stoi w odwrotnym stosunku do ich jakości. Wartość bowiem pism t. zw. naukowo-literackich jest bardzo mała, że nie wiedzieć, co jest więcej podziwienia godne naiwność publiczności, dającej się chwytać na plewę, czyli też spryt wydawców w podawaniu czytelnikom strawy odgrzewanej od lat kilkunastu jednym sposobem. Tak się rzecz ma z przeważną ilością pism tego rodzaju. Ale od każdej reguły są wyjątki, więc i tutaj ich nie braknie.

Pod koniec minionego roku ukazał się pierwszy zeszyt *Ateneum*, zakrojonego na zupełnie inną formę od dawnego tegoż tytułu pisma. Ma ono, o ile można sądzić z pierwszego zeszytu, służyć sztuce. Stoi jednak niżej od podobnych pism i nienależytem sharmonizowaniem części, z jakich się składa, i stroną zewnętrzną. Bo obok utworów Tetmajera, Orlika, Adamowicza, Żuławskiego, Jana Zarycza, obok przekładu „Perseusza i Andromedy“ J. Laforgue'a, dano nad wyraz napuszysty artykuł wstępny redaktora *Ateneum*, Cezarego Jellenty p. t. „Twórczość i sztuka“, odznaczający się chyba spiętrzeniem słów przy zupełnej czczości myśli, dano dalej uwagi W. Nałkowskiego „Z powodu estetyki W. Guyau“, oraz rzecz P. Chmielowskiego o nowelach Maryi Konopnickiej, które to dwie ostatnie prace kłócą się z programem pisma. Wymienić jeszcze należy artykuł Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego „Niekonsekwencye...“, pisany z właściwem temu autorowi zacięciem, ale też z brakiem jakiejkolwiek kultury.

Ani w porównanie jednak nie może iść z *Ateneum* „miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce“ — krakowska *Krytyka*. Niema w nim dobrze sharmonizowanego programu, wyjąwszy chyba program socyalistyczny, który znajduje wylew we wstępnych artykułach, pomieszczanych na czele każdego zeszytu. Niepodobna

z nimi polemizować w ramach tego krótkiego artykułu, ale trudno pominąć milczeniem ankietę, jaką zarządził redaktor *Krytyki* p. W. Feldman z okazyi konfiskaty „Legend“ Niemojewskiego. Z żalem należy stwierdzić, że głosów trzeźwych było bardzo mało (z tych najwybitniejsze Adama hr. Krasińskiego i prof. Zdziechowskiego). Powtarzać poglądu swego na zasadę konfiskaty dzieł sztuki nie potrzebuję, bom niedawno go wypowiedział w książeczce p. t. „Z menażeryi ludzkiej“. Zaznaczę jedynie, że ankieta sama była najzupełniej zbędna, pytając o rzeczy, co do których dwu zdań być nie może. Z reszty prac, jakie *Krytyka* pomieściła w roku ubiegłym, — dobrych jest zaledwie kilka, a więc: nowele Reymonta „Ostatnie godziny“ i Żeromskiego „Godzina“, artykuły Cybulskiego o Feliksie Jasieńskim, oraz Chmielowskiego o Feldmana „Literaturze ostatnich lat dwudziestu“, wreszcie sonety Ruffera. Reszta, to rzeczy poronione prawie bez wyjątku. Bo w satyrze literackiej Nowaczyńskiego prym wiedzie ordynarny żart i brak jakiejkolwiek cywilizacyi, w sylwetkach Stena — blaga pospolita i pusta, pusta frazeologia, w listach Daszyńskiego płytkość poglądu i t. d. A już poezye niektóre wprost zdumiewają, w jaki sposób i dla jakich zalet zostały wydrukowane? Weźmy dla przykładu poezye F. Mirandolli („Na tej roli, na tej roli, Rośnie tylko to, co boli, Rośnie tylko to, co smuci, O wieczorze rankiem nuci...“), lub utwory Wolskiego i Pietrzyckiego albo nakoniec nowelę Z. Kaweckiego, a przekonamy się o marności ich treści i formy, o tem, że chyba z kształtu podobieństwo mają pewne z poezyą. Dział sprawozdawczy jest bardzo słaby, traktowany po macoszemu. Jeśli do tego dodamy całkowite niedołęztwo w sklejeniu zeszytu, w uporządkowaniu jego treści, otrzymamy obraz wcale nie ponętny. Niedawno rozmawiałem z kilku ludźmi i ci oświadczyli, że prenumerują *Krytykę* nie dla jej wartości, bo o niej mają to samo, co ja, zdanie, lecz tylko dlatego, ażeby popierać jedyny postępowy (czytaj: socyalistyczny) miesięcznik. Tem tylko tłumaczę sobie, dlaczego *Krytyka* wychodzi jeszcze. Pismo tej wartości, nie blagujące postępem, dawno przestałoby istnieć z braku czytelników. Ha! cóż robić? na barwę postępową łapie się niejeden.

Ponadto mamy jeszcze jeden miesięcznik, przekształcone z dawnego *Miesięcznika Kuryera Polskiego*, warszawskie *Ognisko*. Jest to pismo, przeznaczone dla szerokich mas publiczności, a zatem z natury swojej utrzymane w tonie popularnym. Nie odznaczało się ani doborem artykułów, ani pewną przewodnią myślą, jakaby jednoczyła prace tutaj pomieszczane. Był to zwyczajny *Familienblatt* miesięczny

dla publiczności wcale niewybrednej i myślącej bardzo mało. Poza tem nie da się nic więcej powiedzieć o tem piśmie. Teraz dopiero od nowego roku widoczną jest zmiana na lepsze.

Jak się powinno redagować pisma przeznaczone dla szerszych warstw czytelników, tego najlepszym przykładem jest *Kraj* petersburski. Specyalnością już jego jest kierunek wybitnie ugodowy, jak i spora doza filosemityzmu — czasem zdałyby się też bardziej chrześcijańskie przekonania. Pod względem jednak techniki redakcyjnej stoi *Kraj* wysoko — redakcya stara się usilnie o zadosyćuczynienie potrzebom umysłowym ludzi o przeciętnej „inteligencyi“ (?). Przedewszystkiem dział polityczno-społeczny podaje przegląd wszystkich ważniejszych kwestyi i wydarzeń całego świata. Szczególniejszą uwagą otoczone są sprawy ogół Polaków obchodzące, w artykułach wstępnych, niejednokrotnie znakomicie napisanych przez najwybitniejszych publicystów, jak: B. Kutyłowskiego „Reformy ziemskie“, J. Rostafińskiego „Pozłacana bieda“, E. Meysztowicza „Regulacya wychodźtwa“, W. Gomulickiego „Smutna księga“. Szerokie omówienie znalazły sprawy społeczne i wyznaniowe, z pomiędzy zaś artykułów do najlepszych zaliczam E. Łunińskiego „Szubrawcy“ (omawia tu autor popędliwość do sądów potępiających u nas), oraz „Przepracowani“ (mówi o skłonności do pracującego próżnowania w naszem społeczeństwie). Dział ekonomiczny i finansowy jest również dzielnie prowadzony, artykuły zaś p. J. Gieysztora są niekiedy wprost niezrównane. Listy korespondentów *Kraju* z całej Polski i zagranicy dają wyborny przegląd wydarzeń bieżących nie tylko u nas, ale też w wybitniejszych europejskich stolicach. Dodatek do *Kraju* literacko-artystyczny jest prowadzony tak, aby bieżąca chwila znajdowała w nim wierne odbicie. Oprócz tedy życiorysów (opatrzonych portretami) ludzi, którzy czemś odznaczyli się współcześnie, mamy tu artykuły, traktujące o bieżącej literaturze polskiej i obcej (najlepszy z nich Spasowicza o historyi literatury A. Brücknera), i o sztuce (Gomulickiego „Piękne i pożyteczne, Artystyczne rękodzielnictwo ludu“ Niewiadomskiego i Rakowskiego „O rzeźbach Biegasa“), dalej szereg prac o wynikach współczesnej nauki (J. Rozwadowskiego „Język literacki i żywa mowa“), opisy miejscowości i zabytków, rzeczy tyczące się dziejów naszych, oraz doskonałe listy literacko-artystyczne z Krakowa i Paryża. O książkach najnowszych informują nas krótkie notatki z podaniem treści. Obfite ilustracye ożywiają niezmiernie cały ten dział. Szkoda tylko, że redakcya nie baczy obecnie więcej na to, ażeby karty albumowe z arcydziełami najwybitniejszych malarzy były

stosowniej dobierane pod względem swojej treści. Drugi dodatek do *Kraju* zawiera wiersze, powieści, oraz streszczenia niektórych utworów dłuższych, jakie pojawiły się w ostatnim roku. Innego pisma z tak obszernym programem niema u nas.

Zupełnie inny charakter ma już warszawski *Tygodnik illustrowany*, który dzięki bezpłatnym dodatkom miesięcznym, zawierającym komplet dzieł Sienkiewicza, pozyskał w ostatnich dwu latach ogromną ilość prenumeratorów. Redagowany bardzo starannie, zawiera artykuły literackie i społeczne z wyłączeniem polityki. Belletrystyka prezentuje się w nim bardzo dobrze, z poezyą jednak jest znacznie gorzej. Rzeczy literackie ma niekiedy wprost znakomite (I. Matuszewskiego „Stanowisko Mickiewicza w literaturze wszechświatowej"), tak samo historyczne, gdzie położono słusznie nacisk na zabytki przeszłości (Dr. K. Bąkowski „Wnętrze domów krakowskich"). Do najlepszych jednakże należą prace o zakroju i charakterze ogólnym, bardzo bogate w myśli i treść, np. B. Lutomskiego „Indywidualiści i samotnicy", Dra O. Hewelkego „Z zasad wychowawczych", Wł. Jabłonowskiego „Artyści i publiczność". Całość każdego zeszytu dopełniają oceny książek, oraz krótka kronika ogólna, obejmująca najważniejsze sprawy nasze i obce. Dobór rycin, których *Tygodnik* pomieszcza nieskończoną ilość, w ogólności przynajmniej dobry, wykonanie także nie gorsze.

Drugi tygodnik warszawski, *Wędrowiec*, jakkolwiek w roku zeszłym ożywił się wielce z powodu objęcia redakcyi przez Or-ota (Oppmana), nie może pod żadnym względem iść w zawody z *Tygodnikiem illustrowanym*. Pismo ma ten sam program, jak tamto, silniejszy tylko nacisk został położony na ilość utworów belletrystycznych. Ale jakość ich nie dorównuje takimże pracom drukowanym w *Tygodniku*. To samo tyczy się innych artykułów. Ilustracyi mniej znacznie, a wykonanie ich o wiele, wiele gorsze.

Biesiada literacka znowu jest sobie najzwyczajniejszym *Familienblattem*, jest tygodnikiem dla wszystkich rodzin polskich. Skutkiem tego też przedstawia się bardzo marnie pod każdym względem. Wszystko tu liche, począwszy od powieści a skończywszy na artykułach historycznych i illustracyach. Wyjątek stanowią tylko felietony Sępa (Wł. Maleszewskiego), pełne niejednokrotnie trafnych poglądów. Tygodnika tego nie można nazwać rozsadnikiem innej kultury, jak przedpotopowej.

Inne pismo, *Illustracya polska* postawiło sobie za zadanie wytrącić z rąk publiczności polskiej przeróżne ilustrowane *Blatty* niemieckie, i tego rodzaju zagraniczne pisma informacyjne. Plan został przeprowa-

dzony, bo zdołało oddać w rycinach wszystkie ważniejsze wydarzenia życia naszego w r. ub., opatrując je krótkim komentarzem. Dział belletrystyki miał stale dwa utwory: jeden oryginalny, drugi tłumaczony.

Ponadto mieliśmy jeszcze dwa pisma illustrowane: *Echo muzyczne i teatralne*, którego tytuł mówi za samą treść, oraz popularny tygodnik poznański *Pracę*, przeznaczony dla klasy niższej, a więc rzemieślników i handlarzy drobnych, mało inteligentnego mieszczaństwa i wieśniaków.

Przechodzimy do grupy pism tygodniowych nieilustrowanych. Co do wartości prym wiodą warszawskie tygodniki: *Prawda*, *Przegląd tygodniowy* i *Głos* w tym porządku, w jakim je wymieniłem. Powiem o nich wszystkich razem z tego względu, że nie różnią się od siebie ani programem ani zasadami. Co się tyczy tedy najprzód zasad — wszystkie są niby postępowe, czasem nawet za czerwone. W programie mają sprawy społeczne, literackie i polityczne. Te ostatnie są traktowane oryginalnie, tak samo ma się też przeważnie z działem, omawiającym sprawy społeczne, który stoi przeważnie artykułami samodzielnymi. Artykuły jednak literackie są zazwyczaj ocenami współcześnie ukazujących się dzieł belletrystycznych i naukowych. W pierwszych dwu działach jest naturalnie uprawiana stale pewna tendencya, właściwa temu lub owemu pismu. Wszystkie one wreszcie są judofilskie i antyreligijne przesadnie i śmiesznie. Walczyć z tego miejsca z zasadami tych pism niepodobna z wielu względów, oceniać zaś oceny dzieł trudno. To tylko powiem, że artykuły literackie *Prawdy*, pisane przeważnie przez A. Drogoszewskiego, są najlepsze.

Bez porównania lepiej zapowiada się nowy tygodnik warszawski, *Ogniwo*, którego program jest bardzo szeroki, częściowo z zakrojem czysto informacyjnym. Lwią część miejsca zajmuje tutaj literatura, która ma takich przedstawicieli, jak: Brückner, Chmielowski i inni.

Przechodzimy do czasopism fachowych. Zaczynamy pedagogiką. Piśmiennictwo peryodyczne, przeznaczone dla małych dzieci, jest u nas słabo rozwinięte. Trzy pisma, jakie istnieją: *Mały światek* i *Wiek młody* (Lwów), oraz *Moje pisemko* (Warszawa) mają wprawdzie bardzo wielką liczbę prenumeratorów, ale nie podnoszą się należycie, nie rozwijają się wcale, jakby tego wymagała chwila obecna, oraz doświadczenia, poczynione przez redakcyę. Mimo tego trudnoby zaprzeczyć im wartości i zmysłu w sprawie oddziaływania na dziecięce umysły. Treść ich dobrze odpowiada stopniowi rozwoju pacholąt, tylko, na miły Bóg! większej staranności w ilustracyach oraz wierszykach! Proszę wziąć

ryciny *Małego światka*, istne karykatury, bez krzty talentu, ot tak, aby tylko zaczernić czemkolwiekbądź bibułę. I czyż one mają oddziaływać na obudzenie się poczucia estetycznego w dzieciach, czyż one raczej nie przytłumią tego drzemiącego zmysłu? Podawanie tak nędznych ilustracyi, to już — powiem — rzecz sumienia. Za dobre pieniądze, składane przez rodziców w prenumeracie, ma się prawo żądać od redakcyi rzeczy dobrych, a jeśli nie stać jej na nie, niechaj wyrzuci całkiem ilustracye, wtedy przynajmniej zmysł estetyczny dziecka nie popsuje się! Toż samo trzeba powiedzieć o znacznej części „wierszyków". A te wierszyki takie słodkie, karmelkowate, że nudzą, jak lukrecya. Jest to przemysł artystyczny (?!) w najpodlejszem tego słowa znaczeniu. Wprawdzie nie mamy wielu takich, jak Or-ot, którzyby tak dobrze umieli przemówić do duszy dziecięcia. Więc, jeśli ich nie mamy, piszmy raczej prozą, a dobrze, zamiast klecić wiersze *à la* Zagłoba Sienkiewicza, chociaż on miał stanowczo lepsze. Bo takie wiersze, jakie napotykamy w tych pisemkach dla dzieci, chyba mogą tylko obrzydzić wszystko, co nosi etykietę — „poezya". Sympatycznie przedstawia się wydawany w Krakowie *Anioł-Stróż*.

Mamy dalej dwa pisma miesięczne, oba wychodzące we Lwowie, dla młodzieży szkół średnich i wyższych po części. Mówię o *Tece* i o *Promieniu*. Pierwsze z nich o barwie narodowo-demokratycznej, wydaje mi się ekspozyturą *Przeglądu wszechpolskiego*. Drugie—to pismo o zakroju socyalistycznym — więc nie potrzebuję bliżej określać jego tendencyi. W obydwu piszą artykuły polityczno-społeczne akademicy i uczniowie szkół średnich. Niechaj to powiedzenie starczy za ocenę wartościową wewnętrzną obydwu czasopism.

Poważnem pismem jest warszawski tygodnik *Przegląd pedagogiczny*, którego program obejmuje przeważnie wychowanie dzieci do lat 15. Artykuły oraz recenzye książek dla młodzieży pisane są przez ludzi fachowych. Tygodnik znowu *Szkoła* (Lwów), jako organ Towarzystwa pedagogicznego, poświęcony jest cały szkolnictwu ludowemu, a redagowany bardzo starannie. Jest jeszcze inne pismo z tym samym programem *Szkolnictwo*, ale ono nie ma ani wielkiego wpływu na nauczycielstwo ludowe, ani wartości. Program jego właściwie jest zupełnie wypaczony: ono widzi wszędzie tylko krzywdę i bezprawie, coś w guście *Monitora*, tylko pedagogicznego. Najpoważniejszem polskiem pismem pedagogicznem jest lwowski miesięcznik *Muzeum*. Program jego jest tak obszerny, jak żadnego z pism pedagogicznych niemieckich lub francuskich. Staranność redakcyi o dobór prac jest wprost zadziwiająca,

bo oprócz artykułów fachowych, tyczących się metodyki nauczania w gimnazyum, znajdujemy tutaj prace ogólne, jak np. Dra M. Warmskiego „Wychowanie a szkoła“, z historyi pedagogiki np. Dra A. Danysza „Jezuicki kanon lektury autorów starożytnych“ i Dra A. Karbowiaka „Wychowanie fizyczne Komisyi edukacyi narodowej w świetle historyi pedagogii“, opisy zakładów zagranicznych w „Wrażeniach z wycieczki pedagogicznej“ E. Dworskiego. Poza tem mamy tu mnóstwo recenzyi prac pedagogicznych i niepedagogicznych, programów szkolnych, rozmaite wiadomości, tyczące się szkolnictwa, tak starannie zebrane, jak w żadnem piśmie zagranicznem. Reformy, jakim uległo *Muzeum* od nowego roku pozwalają się spodziewać, że w roku bież. sukces, jaki to pismo odniesie, będzie jeszcze większy.

Sprawie samouctwa miał być poświęcony krakowski miesięcznik, *Pogląd na świat.* Z braku prenumeratorów przestał z końcem roku ubiegłego wychodzić zupełnie. Pośród prac w nim zamieszczonych na uwagę zasługują: St. Kramsztyka „Słówko o charakterach naukowych“, M. Łopuszańskiego „Typ kobiety współczesnej w najnowszej powieści polskiej“ i P. Chmielowskiego „Historya w powieściach naszych“.

Organ jedynego polskiego Towarzystwa historycznego, *Kwartalnik historyczny* zakończył właśnie rocznik XVI pod niestrudzoną redakcyą Dra Aleksandra Semkowicza. Tych 16 tomów (obejmujących przeciętnie po 50 arkuszy druku każdy) stanowi nieprzebraną skarbnicę prac i materyałów nietylko z dziedziny historyi naszej politycznej. Często znaleźć tu można cenne przyczynki do historyi literatury, sztuki i kultury, a pomiędzy recenzyami takie, które dają więcej nowych twierdzeń i szczegółów, niż niejedna z omówionych prac. Nie było, śmiało rzec można, żadnego wybitniejszego historyka, któryby nie był współpracownikiem *Kwartalnika.* To też dla przykładu powiem, że ostatni rocznik przyniósł prace tak znamienitych uczonych, jak Wł. Abrahama, prof. Askenazego, prof. L. Birkenmaiera, prof. Brücknera, Chmielowskiego, Chrzanowskiego, prof. Dembińskiego, Dra Hirschberga, Jabłonowskiego, Korzona, Lepszego, prof. Nehringa, prof. Potkańskiego, prof. Ptaszyckiego, prof. T. Wojciechowskiego, żeby już dłużej nie wyliczać. Prace obszerniejsze, jakie zawiera ten rocznik, tyczą się rozmaitych epok i czasów. Mamy tu zatem Potkańskiego „O pochodzeniu Słowian“, Wojciechowskiego „Najdawniejszy znany obecnie polski akt książęcy z r. 1081—1086“, prof. Abrahama „Biskupstwa łacińskie w Mołdawii w wieku XIV i XV“, Dra A. Prochaski „Rokosz lwowski z r. 1537“, J. Leszczyńskiego „Cesya wschodnio-galicyjska na rzecz Rosyi“, a nadto

dwie rozprawy, tyczące się historyi szkół: „W sprawie Akademii Kijowsko-Mohilańskiej“ Jabłonowskiego, i „Zakłady naukowe w guberniach zachodnich do utworzenia wileńskiego okręgu naukowego“ Dra J. Bielińskiego, autora cennej trzytomowej monografii o uniwersytecie wileńskim. Historyi kościelnej dotyczy praca G. Manteuffla „Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandyi“. Z pomiędzy notatek drobnych do najciekawszych należą: prof. Askenazego „Na marginesie Kordyana“, St. Ptaszyckiego „Gdzie się przechowywały i przechowują obecnie akta unii Litwy z Polską?“, Dra W. Tokarza przyczynki do dziejów księstwa warszawskiego i Dra Wład. Semkowicza wyjaśnienie herbów „Doliwa, Dołęga, Doraja“. Ogromny nacisk, jak zawsze, tak też i w tym roczniku, położono na recenzye dzieł polskich i obcych, mających związek z naszemi dziejami, których jest setka z górą, niejednokrotnie bardzo obszernych i wyczerpujących. Prace tyczące się historyi powszechnej ocenione zostały w krótkich notatkach „Przeglądu literatury“, którego dokonali pp. Jankowski Wł., Drowie Władysław i Aleksander Semkowicze. Tych krótkich treściwych ocen zamieścił *Kwartalnik* około 400 tak, że literatura historyi starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej została w całości wyczerpana. Każdy zeszyt nadto przyniósł „Kronikę“, opracowaną sumiennie przez Dra E. Barwińskiego, w której znalazły zregestrowanie posiedzenia naukowych towarzystw, nowe wykopaliska i t. p. szczegóły, ginące przeważnie niepostrzeżenie w bibule dziennikarskiej. Rubryka ta jest bardzo pożyteczna, bo z niej przynajmniej można uzyskać przegląd ruchu naukowego u nas i zagranicą, oraz dowiedzieć się o wielu ważniejszych odkryciach. Ostatni dział, „Bibliografia historyi polskiej“ w opracowaniu tegoż autora, zamykał każdy zeszyt.

A kiedy wspomniałem o bibliografii, niepodobna pominąć milczeniem *Przewodnika bibliograficznego*, którego zadaniem jest notowanie wychodzących współcześnie książek i broszur polskich. Od zgonu ś. p. Dra Wł. Wisłockiego, po ustąpieniu ze stanowiska kierownika Dra Adama Chmiela, pochylił się ten miesięcznik ku upadkowi. Jeszcze jako tako z nim było, gdy redakcyę prowadził Dr. Koneczny, ale gdy i ten ustąpił, *Przewodnik* stał się czemś, graniczącem z zwyczajnym katalogiem księgarskim. Wielu dzieł tam brakło. Jeśli *Przewodnik* ma być zupełny, (naturalnie o drobnych brakach nie mówię, bo te muszą być nawet w najlepszej bibliografii), to powinien mieć korespondentów we Lwowie, Cieszynie, Poznaniu i Warszawie. Sądząc z dotychczasowej zawartości tego miesięcznika, widzę, że tych korespondentów nie ma

wcale, a cała bibliografia robi się w Krakowie. Stąd też pochodzą ogromne braki i niedostatki, bo wielu broszur, choćby lwowskich, nie dostanie w Krakowie. Dobrą otuchą napełnia objęcie *Przewodnika* przez nowego redaktora, Dr. K. Hecka, który w ostatnich miesiącach z całą sumiennością spełnił wskazane wyżej desiderata i zreformował *Przewodnik* doskonale.

Pod koniec pragnęlibyśmy objąć w krótkim zarysie resztę najważniejszych pism specyalnych, fachowych, i zwrócić przytem uwagę na prace natury ogólniejszej w nich zawarte, któreby mogły obudzić interes w szerszych kołach czytelników.

Sporą ilość pism peryodycznych posiada teologia i życie religijne, żeby tylko wymienić: *Dzwonek częstochowski, Różę duchowną* (Lwów), *Homiletykę* (Warszawa), *Przegląd katolicki* (Warszawa), *Gazetę kościelną* (Lwów), *Dwutygodnik katechetyczny* (Tarnów), krakowskie *Misye katolickie, Kronikę rodzinną* (Warszawa), *Przegląd kościelny* (Lwów), oraz *Przegląd kościelny*, wychodzący w Poznaniu.

Pism poświęconych prawu i sprawom społecznym mamy także dosyć, a więc: *Przegląd prawa i administracyi, Gazetę handlową i geograficzną*, oraz *Reformę sądową* (Lwów), *Czasopismo prawnicze i ekonomiczne* (kwartalnik, Kraków), *Gazetę sądową warszawską* (tygodnik). Poza tem wychodzą w Warszawie jeszcze dwa pisma: kwartalnik *Ekonomista*, który w r. ub. pomieścił kilka prac ogólniejszej natury: A. Wierzchleyskiego „Wpływ ceł na gospodarstwo społeczne“ i St. Kutrzeby „Taryfy celne i polityka celna w Polsce od XIII do XV w.“, oraz miesięcznik *Przegląd polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa*, którego prace przeczyta każdy z przyjemnością. A prac, dostępnych szerszej publiczności wydrukowano tu sporo· Zenona Pietkiewicza „Pochód cywilizacyi“, „Siły i środki ludu naszego“, „Co i gdzie możemy wytwarzać?“, „Charakterystykę ekonomiczną wiosek“, Dra St. Grabskiego „Uprzemysłowienie Galicyi“, K. R. Żywickiego „Kwestyę włościańską“, L. Krzywickiego „Zaścianki szlacheckie“, „Typy zawodowe“, żeby już innych nie wymieniać.

Przyrodniczych i lekarskich czasopism jest najwięcej, ale wszystkie niewielkiej objętości z wyjątkiem *Kosmosu* (Lwów). Poza tem mamy *Chemika polskiego, Wszechświat, Gazetę lekarską, Medycynę, Przegląd dentystyczny, Krytykę lekarską, Lekarza - homeopatę* (wszystkie w Warszawie), *Przewodnik zdrowia* (Berlin), *Nowiny lekarskie* (Poznań), *Czasopismo lekarskie* (Łódź), *Przegląd hygieniczny, Polskie archiwum nauk biologicznych i lekarskich, Przegląd weterynarski* i *Czasopismo Towarzystwa*

aptekarskiego (Lwów), *Przegląd lekarski* i *Postęp okulistyczny* (Kraków). Jeden tylko miesięcznik warszawski, *Zdrowie* zamieszcza prace, przystępne szerszej publiczności. Rocznik ostatni przyniósł pomiędzy innemi: J. Frenkla „Hygiena a kuchnia", Dra J. Jaworskiego „Gruźlica a małżeństwo", M. Sobolewskiej „Śpiew w hygienie i hygiena w śpiewie".

Technika ma zaledwo trzy pisma: wspaniale wydawanego *Architekta* (Kraków), *Czasopismo techniczne* (Lwów) i *Przegląd techniczny* (Warszawa). Silniej rozwinięte jest piśmiennictwo gospodarcze z *Rolnikiem, Hodowcą drobiu, Pszczelarzem i ogrodnikiem, Sylwanem, Łowcem*, i *Rolnikiem i hodowcą*. Ażeby być o ile możności kompletnym, wymienię jeszcze: *Poradnik dla czytających książki*, dziś już niewychodzący dwutygodnik informacyjno-krytyczny, oraz pismo poświęcone geografi i krajoznawstwu: *Na około świata*.

Jeżeli porównamy ilość naszych czasopism z ilością pism wielu z pokrewnych nam narodów, zobaczymy bez trudu, że przodujemy im, że kilkakrotnie przewyższamy je pod tym względem. To przeświadczenie, że potrafiliśmy w tak ciężkich warunkach zostać na tem polu pierwszymi, krzepi ducha wielce, bo wskazuje, że jest u nas siła, która zdziałaćby mogła jeszcze znacznie więcej w każdym kierunku, gdybyśmy...

Dr. Stanisław Zdziarski.

Biblioteka Warszawska. Pismo miesięczne, poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym. Warszawa 1902.

Wybitne piętno na treści tego rocznika wycisnęły nauki społeczne, prawne i ekonomiczne. Ten dział najsilniej może reprezentowany. Zaraz w tomie I mamy artykułów z tego zakresu 4. Jeden z nich roztacza przed czytelnikiem położenie ekonomiczne mocarnej w świecie handlowym Wielkiej Brytanii i zapowiada „Schyłek ekonomicznego pierwszeństwa Anglii". Dr. M. E. Nekanda Trepka dowodzi statystycznie, że zapotrzebowanie angielskich wyrobów się zmniejsza, że marynarka handlowa angielska coraz mniejszą ma klientelę, a wszystko to dzieje się na korzyść „tu Japończyków, tam Niemców, a wszędzie Amerykanów". Obrazowi temu towarzyszy przedstawienie wzrostu i rozmiarów „inwazyi amerykańskiej". „Nasze stosunki handlowe z Niemcami" t. j. stosunki Rosyi i Niemiec również liczbami i słowem przedstawia A. Donimirski. Nie najwięcej biorą Niemcy od Rosyi, skoro tylko żyta wychodzi do ziem niemieckich tyle z cesarstwa rosyjskiego, co do innych krajów razem. Natomiast import niemiecki jest w staty-

styce zaraz po angielskim. Wobec projektu Niemiec podniesienia cła na artykuły spożywcze z obszarów Rosyi należy ruch handlowy skierować przez porty ku Anglii. Najtrudniej zaś w Rosyi byłoby wyrugować koks niemiecki. Sądzi jednak autor, że kopalnie austryackie mogłyby tu zastąpić pruskich dostawców. Piękny, ale więcej poetycko-filozoficzny, niż ściśle naukowy jest artykuł Wojciecha Dzieduszyckiego p. n. „Demokracya". Królewiacy zapoznają się w nim nieco z ustrojem i parlamentaryzmem austryackim. Artykuł pisany w dyalogach, przypominających np. Salomona polskiego „Rozmowy Artaksesa z Ewandrem". Sprawą najbardziej miejscową zajmuje się Białokur w swoich uwagach „W przededniu reformy sądów gminnych", które są dalszym ciągiem myśli wypowiadanych już w zeszycie listopadowym rocznika poprzedniego.

Niezwykle cenną rzecz dla historyków naszych ogłosił Aleksander Kraushar. Tym cennym nabytkiem jest „Pamiętnik Niemcewicza", znaleziony w książnicy petersburskiej. Treścią jest opis przygotowań do kampanii austryackiej 1809 w Księstwie Warszawskiem w latach 1807—1809. Przedstawiony stan kraju, skreślone są charakterystyki wybitnych mężów, oświetlone sprawy dotąd ciemne. Pan Smólski, który zwiedził naukowo Pomorze, przypomina społeczeństwu polskiemu „Ostatnich Mohikanów polskich", którąto nazwą oznacza niedobitki ewangelickich Kaszubów na Pomorzu (Kabetków, Słowińców i Łebskich Kaszubów). Chwytając się sposobności, rozwodzi się nad piśmiennictwem kaszubskiem, które właściwie jest polskiem, gwarowem, za jakie je też uważa, podaje kilka prób i wzorów języka tego z różnych zabytków i czasów, przy statystyce spiera się o liczby z Ramułtem, Nadmorskim i innymi uczonymi. Słusznie żali się nasz publicysta, że zapomnieliśmy o swoich rodakach, gdy Niemcy „ustawiają fonografy na zgliszczach i rumowiskach kaszubskich, by schwycić jeszcze wczas dźwięki zamierającej gwary", które kiedyś „z grobu odzywać się będą dla użytku uczonych badaczy... a nam... szumieć będą w uszach przekleństwem, nam i całej Słowiańszczyźnie", którzyśmy ich na ofiarę molochowi zostawili. Niezbyt wesołe też „Stosunki polityczne w Poznańskiem" przedstawia jakiś bezimienny Poznańczyk.

Interesujący jest artykuł d-ra Józefa Nusbauma z dziedziny przyrody, mianowicie jego „Biologia głębin morskich". W najświeższych latach rozwinęła się nowa nauka, zwana baty-biologią czyli biologią głębin oceanu. Dowiedzieliśmy się niedawno dopiero, że w otchłaniach wodnych żyje bogata i swoista fauna, a na jej odkrycie naprowadziło

przerwanie się kabelu atlantyckiego. Autor szczegółowo opisuje największą i najważniejszą wyprawę naukową angielską na pokładzie „Challengera“ po Atlantyku. Badania namorskie i głębinowe trwały 791 dni po różnych szlakach wodnych od brzegów Afryki i Europy po krańce lądu amerykańskiego. Wydobyto liczne okazy królestwa oceanicznego, zbadano je i opisano ich życie, budowę i przystosowanie iście cudowne do tak szczególnych warunków życiowych.

Jest tu także i poezya i literatura. Są poezye Skirmunta, Tetmajera i Przysieckiego, są i powieści, jak „Autor“ Walewskiej i dokończenie (z poprzedniego tomu) dramatu Maciejowskiego (Sewera) „Duch czasu“. Piórem literackiem skreślił prof. Kallenbach obraz pracy naukowej Antoniego Małeckiego“ i wydał kilka nieznanych listów Słowackiego, pisanych w r. 1846 do Zygmunta, tworzącego właściwie wtedy „Psalm żalu“ i „Psalm dobrej woli“. Pogadankę artystyczną o „Maksie Klingerze i nowych dążeniach w sztuce“ ogłosił tu Stefan Popowski. To tom I.

W tomie II mamy 3 piękne, dotąd nieznane wiersze Krasińskiego (z r. 1840), perły liryki. W towarzystwo poezyi dostały się „Posągi“ „szkic nienaukowy“ K. M. Górskiego, szkic istotnie nienaukowy, bo zawiera rozmowę posągów dwu bogiń, greckiej i rzymskiej, o swych losach, nim dostały się do muzeum lichej mieściny niemieckiej.

Jubileusz Konopnickiej uczciły dwa pióra. Przepysznie odczuwa wdzięk jej poezyi twórca trylogii, przy ciemniejszych zaś stronach tej twórczości stara się być pobłażliwym, nawet trochę niefortunnie analogią Pisma św. wymówić ją usiłuje. H. Galle przedstawił obszernie i krytycznie „Twórczość poetycką Maryi Konopnickiej w ciągu dwudziestu pięciu lat“, gdzie znowu przy ciemniejszych stronach jest niekrytyczny. Podobnie oddał cześć należną „Wojciechowi Gersonowi“ artysta malarz Chełmoński, uczeń wielkiego mistrza. Z krótkich słów jego nowiną dla nas, że Gerson lekceważył swe mistrzowstwo w malowaniu pejzażów, a pierwszeństwo oddawał obrazom figur ludzkich i zwierzęcych. Artysta nasz przejęty był czcią dla Leonarda da Vinci i z przełożonego przez siebie jego dzieła o malarstwie, liczne wyjątki lubiał przytaczać swym uczniom. Wychowanków swych zawsze upominał, że malując ziemię trzeba i o niebie równocześnie pamiętać. Z życzliwością też odwiedzał uczniów swych w ich „norach nadwiślańskich“. Prof. Brückner opowiada, co było „Na zaraniu literatury“ naszej. Było wiele pieśni zwłaszcza nabożnych, liczne się znajdowały psałterze i modlitewniki, których istnienie i powstanie niewiastom pol-

skim przyznaje. To wszystko było już pod Rejem. Ale i Reja nieco oświetlił uczony berliński, wskazał dwoistość jego natury złożonej jakby z Zagłoby i Skargi, dowiódł, że Rej w psałterzu równie świetnie władał prozą, jak w wierszach rymami. Interesujący przedmiot porusza A. Drogoszewski w artykule „Filozofia rytmu". Zastanawia się nad stosunkiem i zależnością rytmiki poetyckiej, przedewszystkiem heksametru, od pulsu i oddychania. Szkoda, że praca jest tylko krytyką dziełka Stanisława Mleczki „Serce a heksametr". Jako artykuł krytyczny jest jednak koniecznem dopełnienia i poprawienia wspomnianego dzieła. Podobnym tematem u nas się zajmował tylko Zagórski, Rowiński i Jenike i to tylko przygodnie. W zeszycie kwietniowym daje W. Bogusławski sprawozdanie krytyczne z ruchu artystycznego, jak zwykle, kwartalne p. n. „Teatr i muzyka", a prof. Struve ogłosił swój odczyt o „Znaczeniu filozofii w życiu umysłowem narodu", który wygłosił w marcu zeszłego roku w auli Wszechnicy Jagiellońskiej.

Dr. Bronisław Łoziński obrał sobie za przedmiot najświeższych swych badań rok 1846 w Galicyi. Do tej chwili odnosi się „Głos niemiecki z roku i o roku 1846" ogłoszony w *Przewodniku naukowym i literackim*. Do tych dziejów należą „Dwa upiory historyczne", którymi byli: generał Benedek, osławiony rzezią i „masakrą" młodzieży krakowskiej pod Gdowem i tarnowski starosta Breinl, który wypłacał krwawe premie. Pamiętnik Breinla przygotowuje do druku prof. Loserth z Gracu i on też użyczył rękopisu naszemu historykowi. Benedeka zapiski i listy już są wydane, a w nich się znajduje potwierdzenie, iż urzędnicy w r. 1846 pomagali ruchowi smutnemu. W szkicu „W przededniu katastrofy" (w tomie III) dał tło ówczesnego ustroju państwowego w Austryi i stosunków galicyjskich, a tych kilka kartek to jasny pogląd na czarny biurokratyzm owej doby.

Jeden jest tylko artykuł polityczny, zwie się „O ziemię", autorem jego A. Donimirski. O ziemię walczą Polacy i Prusacy w Poznańskiem. Obliczono, że komisya kolonizacyjna wydała do końca r. 1901 okrągłe 175 milionów marek, z czego co najmniej połowa marnie stracona, a jedynym owocem to przyrost 20 000 ludności niemieckiej na wykupionych ziemiach. Br. Bouffałł daje nam kilka rysów „samorządu ziemskiego" w ziemiach cesarstwa rosyjskiego. Jak się przedstawia „Rozwój ekonomiczny Królestwa Kongresowego" (1815—1530), na to w głównych rysach odpowiada artykuł Henryka Radziszewskiego. Rozwój ten był świetny, a zawdzięczaliśmy go Towarzystwu Królewskiemu gospodarczo-rolniczemu. Szeroko działała też Dyrekcya główna górnicza

hojnie wyposażona. W rolnictwie epokę stanowi przekład książki Thaera, zaczem teorya systemu trójpolówki ustąpiła miejsca teoryi płodozmianu. Gospodarstwo i hodowla inwentarza się podniosła i skarb też się wzbogacił pod rządami Lubeckiego. Dla dokładności wspomnijmy jeszcze artykuł St. Kramsztyka o „atomie elektrycznym“, z którego najprostszy laik choć tyle się dowiedzieć musi, że składniki soli kuchennej w wodzie rozpuszczone, to nie są atomy pierwiastków zwyczajne, ale atomy, opatrzone ładunkiem elektrycznym.

A teraz wolno nam zajrzeć do tomu III.

Na czele „Pamiętnik“ generała Jana Weysenhoffa, wydany przez Józefa Weysenhoffa. Są to zapiski regularnego żołnierza od Sejmu wielkiego aż do powstania listopadowego, a więc z czasów Kościuszkowskich i Napoleońskich. Jedno źródło zatem dziejowe więcej. Jeszcze nie skończone. „Zabiegi dyplomatyczne polskie 1830—1831“ przedstawił pięknym językiem prof. Askenazy. Jakież niezgrabne były te zabiegi, ale nie mogły być inne, skoro ks. Czartoryski nie był politykiem, na ludziach się nie znał: wysyłał nieudolne siły do obcych dworów. Konsul pruski pośredniczył na wszystkie strony, wszędzie z zyskiem własnym. Wielopolski, młody nowicyusz, wyprawiony był do Londynu a do Paryża wysłano Wolickiego, małą i śmieszną figurkę. W Berlinie miał misyę spełniać Raczyński, mąż, który „kochał swą społeczność, zacnie służył jej na swój sposób, ale nie miał do niej zaufania“. W Wiedniu miał ks. Konstanty Czartoryski podsuwać kandydaturę arcyksięcia Karola na tron polski. W sążnistym artykule na temat „Oświata a dobrobyt w Galicyi“ tłumaczy dr. Feliks Koneczny, że z winy rządu głównego w Galicyi praca nad odrodzeniem społeczeństwa rozpoczętą została od oświaty a nie od podniesienia dobrobytu. Czasem głęboko skreśli rys ludności galicyjskiej i tak np.: „niema większego wstydu w tym ubogim kraju, jak uchodzić za ubogiego“. Dalej poucza czytelników z zakordonu, jakie stronnictwa polityczne mamy w Galicyi i jakie są ich cechy i barwy. Kazimierz Kaszewski odzywa się do rodziców, aby pielęgnowali z poświęceniem swe dzieci, skoro im dali życie. Brückner znowu ocenia i porównywa obie historye literatury polskiej, dzieła Chmielowskiego i Tarnowskiego i przyznaje wawrzyn estecie krakowskiemu nad pracownikiem warszawskim. Obszerny przyczynek do dziejów satyry polskiej w. XVIII dał Ignacy Chrzanowski w studyum krytycznem „Ks. Gracyan Piotrowski i jego ‚Satyr‘. „Ksiądz Gracyan urodzony 1735 r. w Sandomierzu, zmarły 1785, był wychowankiem, później profesorem w szkołach pijarskich, wreszcie

proboszczem w Lisku. Do boju przeciwko wadom społeczeństwa wystąpił razem z Bohomolcem, Naruszewiczem i Krasickim i za wzorem Jana z Czarnolasu napisał swego „Satyra".

Przeważna część artykułów tomu IV łączy się treścią swą z dziejami dni dzisiejszych. Z rocznicą śpiewaka ukraińskiego spokrewnione jest studyum Konopnickiej „O Bohdanie Zaleskim", studyum na wskroś poetyckie, pióra pieśniarki o melodyjnym śpiewaku. Pogadanka artystyczna zajmuje się drugą wystawą Krakowskiego Towarzystwa sztuki stosowanej. M. T. S. daje znowu obszerne sprawozdanie z „nowych prac o malarzach włoskiego odrodzenia", mianowicie z dzieł Berensona. Z chwilą również współczesną w związku jest Adama Krasińskiego zarys monograficzny „Ludwik Górski", dający sylwetkę działalności poważnego i zasłużonego jubilata. Dr. Kazimierz Rakowski omawia „Wychodztwo polskie w Niemczech", daje ogólny pogląd na rozwój i charakter tego objawu w życiu polskiem pod panowaniem niemieckiem, określa różnice między emigracyą stałą a sezonową i dzieli wychodztwo na 3 grupy. Część udaje się nad Ren, znaczna ilość do miast wielkich, a reszta rozbiega się po innych krajach niemieckich. Każdej z tych grup poświęca rozdział osobny. Około 200 000 Polaków walczy z germanizacyą nad samym tylko Renem. Ogółem zaś wychodztwo (w r. 1901) oblicza Rakowski na 400—450 tysięcy Polaków. Powrót do ojczyzny zabezpieczyłby biednych emigrantów od zniemczenia się, cóż kiedy obawa pogorszenia bytu materyalnego i obawa przed ograniczeniem wolności osobistej w stosunku do pracodawcy w kraju wstrzymuje ich od progów ziemi macierzystej. Utrzymać polskość tych tysięcy mogą biblioteki polskie, zakładane w obczyźnie, opieka duchowna, częste wiece i szerzenie elementarzy i śpiewników polskich. L. Krzywicki w czarnych barwach, ale rzeczywistych utyskuje na „nasze potrzeby i środki naukowe". Spóźniamy się we wszystkich gałęziach wiedzy. Na uznanie zasługuje u nas wielki rozwój samouctwa w ostatnich latach — dodać jednak należy, że niestety nie zawsze szczęśliwie prowadzonego. Za niefortunnym „Poradnikiem dla samouków" powtarza autor, jakich dzieł obcych przekłady są dla nas koniecznością chwili. Czego nam brak, tłumaczmy z obcych czemprędzej. Grono osób z kapitałem niech wyda te przekłady, zadowalniając się skromnemi odsetki. Żeby tylko tłumaczono z doborem, bo te warszawskie tłumaczenia wprowadzają chaos pojęć. „Ochrona własności polnej" w Królestwie nie będzie tak długo zapewnioną, dopóki — zdaniem Józefa Białokura — nie nastąpi stanowcza i słuszna reforma w trzech dziedzinach: służe-

bności, szachownic polnych (co i u nas w Galicyi jest rzeczą konieczną) i dróg publicznych. Sprawą, obchodzącą żywo naszych rodaków za kordonem, zajmuje się S. Krzeczkowski w artykule „Próbna pomoc lekarska dla ludu w gubernii płockiej". Z punktu widzenia ekonomii państwowej i potrzeb miejscowych wychodząc, zastanawia się nad tem, dlaczego zorganizowana niedawno w Płockiem próbna pomoc lekarska nie odpowiada i odpowiedzieć nie zdoła swemu zadaniu. Nastręcza się tu porównanie z instytucyami zagranicznemi niemieckiemi. W Niemczech pomoc ta rozciąga się na $^1/_3$ ludności, dotyczy pracowników, którzy mają poniżej 2000 marek rocznego zarobku i ogranicza się do 13 tygodni. Czynnikiem podstawowym jest tu konieczność i sprawiedliwość społeczna, gdy w Płockiem kierowano się filantropią, objęto całą ludność bez żadnych ograniczeń, a nie założono fundamentów materyalnych odpowiednich.

Zostaje nam jeszcze studyum prof. Kallenbacha „Kraj lat dziecinnych" twórcy „Pana Tadeusza". Uczony podróżuje po okolicy Nowogródka i szuka śladów bytności Mickiewicza tam, gdzie notatki lub opisy z dzieł poety wskazywać je mogą.

Taką jest treść tego rocznika. Byłaby pożądaną większa jednolitość kierunku redakcyjnego w przekonaniach filozoficznych i etycznych, pod względem zaś technicznym, większa obfitość działu krytycznego.

J. Fr. Magiera.

Przegląd Polski. Rok XXXVI—XXXVII. Ogólnego zbioru tomy 143—146. W Krakowie. 1902.

Treść i zawartość tego rocznika jest wielką tak, że ciężką jest rzeczą dać sprawozdanie dokładne, jeśli ono ma być krótkie. Mimo to spróbujmy, zaczynając porządkiem chronologicznym.

Tom 143 rozpoczyna żywot jenerała Piotra Szembeka (1788—1866). Piękne to wspomnienie, poświęcone bohaterowi z roku 1831, skreślił porucznik bateryi z powstania listopadowego, Józef Głębocki. Rękopis jego spoczywał w ukryciu od r. 1866. Dopiero teraz ogłosiła go Marya z Fredrów Szembekowa, zdobiąc wspomnienie portretem jenerała. Życiorys mówi najobszerniej o udziale Szembeka w potrzebie Grochowskiej. Wydawczyni dodała jeszcze kilkanaście dokumentów źródłowych, jak listy i rozkazy wojenne innych wodzów, oświetlające jenerała w dobie wcześniejszej i czasach późniejszych. W liczbie artykułów mamy treściwe sprawozdanie o „najnowszych odkryciach archeologicznych w Rzymie" podane przez N. Jest to krótka pogadanka,

uwita ze wspomnień osobistych autora i z zapisków archeologicznych, głównie Lancianiego. Autor, który na temat podobny już przedtem pisał na stronicach *Przeglądu Polskiego*, obiecuje jeszcze powrócić do miłej pogawędki, jeśli mu danem będzie znów „zaspokoić *desiderium Romae*. „O sztuce stosowanej" rzuciła garść myśli p. Helena d'Abancourt. Stwierdza, że nowy prąd w sztuce wyszedł od Anglików, za nimi poszli Francuzi i reszta Zachodu, że my tu jesteśmy najmłodsi. Następne słowa poświęca zdobnictwu zakopiańskiemu, szkole rzeźbiarskiej i ocenia znaczenie Towarzystwa Sztuki stosowanej polskiej, które nie jest małe, ma bowiem stowarzyszenie to być ważnym czynnikiem w rozwoju i postępie w naszej sztuce. Dr. Józef Flach omawia szereg utworów najmłodszych twórców niemieckich jak Bahr, Ernst, Fulda, Halbe, Hauptman, Hirschfeld i Schnitzler w artykule p. n. „Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec". Jest to artykuł trzeci z rzędu pod tym samym nagłówkiem. Tu oceniona „Bliźniacza siostra" Fuldy, „Zasłona Beatryczy" Schnitzlera, Hauptmanna „Czerwony kogut" i t. d. Autor zaznacza, że dramat niemiecki najnowszy jest mniej historyczny, więcej współczesny z tendencyą polityczno-satyryczną, że brak dramatów robotniczych, natomiast znajdzie się utwór („Streik" Sommerlanda) zwrócony przeciw agitatorom socyalistycznym. W porównaniu z poezyą patryotyczną naszego dramatu, utwory niemieckie okazują się czystem poetyzowaniem lub czystą krytyką bez patryotyzmu, choć nie są ani bezwzględnie fantastyczne ani bezwzględnie naturalistyczne. Dziejów zagranicy dotyczy także szkic o „Wnuku pani de Sévigne" (przez A. M. L.). Krótki to życiorys i charakterystyka margrabiego Ademara de Grignan, upragnionego i wypieszczonego sławnej pani de Sévigné. Na nim wygasł ród jego, choć wszystkie zabiegi ambitnej matki i ambitniejszej jeszcze babki zdążały do uświetnienia rodu Grignan i przekazania jego sławy jak najdalszej potomności. Obszerne dzieło poświęcił temu rycerzowi Ludwika XIV p. Fryderyk Masson (Paryż 1901).

Sprawami Polski zajmuje się Benon Janowski w studyum „Polska i Hanza do r. 1411". Znaczenie związku handlowego, znanego pod nanazwą Hanzy, wielkie było dla postępu niemieckości, a nie było też bez wpływu i na dzieje nasze. Podwaliną hanzy w Polsce była kolonizacya niemiecka wybrzeża morza Bałtyckiego, silna już w połowie XII wieku. Hanza szerzyła germanizacyę, należał do niej i Kraków; królowie polscy musieli baczne zwracać oko, aby w stosunkach miast naszych z Hanzą za korzyściami handlowemi nie przyszły niekorzyści polityczne. Wielce interesującą jest praca d-ra Stanisława Grabskiego

„Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831". Dziełu swemu nadał uczony ekonomista wielkie ramy, że do końca jeszcze w najbliższym nawet roczniku daleko, to zaś, co dotychczas (do r. 1903) autor ogłosił, obejmuje zaledwie epokę od rozbioru pierwszego do trzeciego, a stanowi już spory tom, który się w osobnem odbiciu świeżo ukazał. W tymże samym tomie rozpoczął prof. Zdziechowski swe poważne studyum „Odrodzenie Chorwacyi w poezyi wieku XIX", które już w zeszycie lipcowym zostało ukończone i w odbitce zajęło 217 stron druku. Wspomnijmy przy sposobności, że autor urządził dwa wydania swego dzieła, jedno dla ogółu, drugie cenzuralne dla rodaków z za kordonu.

Tom 144. Na czele bezimienny artykulik polityczny o „Lidze narodowej i jej organach". Jako oświetlenie krytyki zapatrywań prasy „wszechpolskiej" *(Przegląd Wszechpolski, Polak, Słowo Polskie)* dodany przedruk słów Klaczki z r. 1859 (w *Wiadomościach Polskich*) pod imieniem „Konspiracya i jawne działanie". Piękny szkic psychologiczno-literacki p. t. „Balzac i pani Hańska" skreślił dr. Tadeusz Grabowski. Powieści pisarza francuskiego działały ogromnie na umysły wrażliwe. Wpływ ich na dwudziestosześcioletnią siostrę polskiego Homera szlachetczyzny był tak wielki, że wyrazy swego uwielbienia przesłała listownie genialnemu autorowi za pośrednictwem Henryetty Borel, bony u państwa Hańskich. List wywarł wrażenie na Balzaku, rozpoczęła się zwolna odsłaniać tajemnica wielbicielki, przyszło do wzajemnego poznania i wyznania i przysięgi ślubnej, jaka nastąpiła po śmierci Hańskiego. Hańska wpłynęła też silnie na kreacye powieściowe Balzaka. Dr. Flach, niestrudzony pośrednik między życiem duchowem niemieckiem a polskiem, oprowadza czytelnika polskiego po „niemieckich Atenach" w szkicu „Weimar", Są to wspomnienia z podróży własnej; na każdym prawie kroku inaczej się podróżnemu przedstawia dzisiejszy Weimar, niż go sobie wyobrażał. Zatrzymuje się przy miejscach, unieśmiertelnionych imieniem Schillera, Goethego, Wielanda i innych znakomitości i przy sposobności odświeża dawne dzieje starego „Musenstadt". Prof. Brückner rzucił tu szereg uwag na „najnowsze studya krytyczne i biograficzne nad polskimi autorami wieku XVI i XVII". Z dumą stwierdza profesor berliński, że w ostatniej dziesiątce lat pogłębiła się daleko nasza znajomość ojczystego piśmiennictwa, a sąd swój opiera na licznych i cennych monografiach pisarzy dawnych, w dobie najświeższej. W formie rozprawki napisał prof. Tarnowski obszerną i głębszą ocenę „Literatury polskiej" Brücknera, napisanej

dla zagranicy po niemiecku (obecnie wychodzi opracowanie polskie, znacznie rozszerzone). W dziedzinę nauk fizycznych wprowadza nas krótki artykuł d-ra Natansona p. t. „Inercya i koercya, dwa pojęcia ogólne w teoryi zjawisk fizycznych". Inercya to bezwładność, koercya to opór wewnętrzny, czynny zawsze w materyi. W każdem zjawisku materyalnem — powiada nasz uczony — mamy koercyę i inercyę, a ich stosunek ilościowy bywa rozmaity. Koercyi pozbawiona jest tylko próżnia czyli eter powszechny. „Każde zjawisko, które odbywa się w czystym eterze, jest grą nieokiełznanej inercyi".

Tak głęboko naukową treść *Przeglądu Polskiego* okrasza piękne i gładkie opowiadanie Maryi Szembekowej pod imieniem „Winowajca". Winowajca, to robotnik polski, który w otoczeniu niemieckiem przemienia się w Niemca, żeni się z Niemką protestantką, synów wychowuje na Niemców, w otoczeniu młodego redaka z ojczystych stron odczuwa tętno serca polskiego, zabija w gospodzie Niemca, szydzącego z polskości, za co dostaje się do więzienia. Dla większej rozmaitości otworzyła redakcya swe wrota i dla innych prądów literackich, które na stronice *Przeglądu Polskiego* przyniosły poemat w 4 aktach M. Szukiewicza „Arf". W łańcuchu symbolów usiłuje autor przedstawić walkę między wiarą ludzką w zwycięstwo ducha i ostateczną błogość a niemożnością zakosztowania tego szczęścia w życiu fizycznem, ba nawet określenia tej błogości. Pytanie Prometeusza i Fausta. Jak symbole poety są niejasne, dowodzi choćby to, że musiał utwór poprzedzić wstępem objaśniającym. Do krytyki „młodych" rzeczy nie czuję w sobie siły, więc też na tem wyznaniu poprzestać wolę, zwłaszcza że mam przed sobą więcej mię zajmujący „Pamiętnik Andrzeja hr. Zamojskiego o czasach powstania listopadowego (1830—1831)" zatytułowany „Moje przeprawy", wydany z rękopisu przez Alkara. Pamiętnik jeszcze nie skończony; dotąd wydrukowana część jego opowiada zajmujące szczegóły o przeprawie Zamojskiego do Wiednia, jak dostał się do Meternicha i przedstawił mu memoryały o sprawie polskiej, jak usiłował nakłonić ministra austryackiego do interwencyi w sprawie naszej i t. d. Pamiętnik obfituje w długie rozdziały francuskie, które pod linią wydawca przekłada na mowę ojczystą. Źródło do dziejów r. 1831 wielkiej wagi. — „W sprawie okopów św. Trójcy" przemawia prof. Tarnowski i wzywa społeczeństwo polskie do ocalenia i podparcia kościółka św. Trójcy i okopów fortecznych, mówiących tak wiele o Sobieskim i Turkach, Pułaskim i Konfederatach. Z powodu prac prof. Sternbacha zajmującego się epoką aleksandryjską z rozmiłowaniem po-

dziwienia godnem, rzuca prof. Morawski luźne uwagi o „nowszych kierunkach na polu filologii klasycznej“. Dawniej u filologii klasycznej szukano nauki i rozkoszy, dziś szuka się historyi, „pościg za pięknością ustąpił miejsca pościgowi za prawdą“.

W tomie 146 na naczelnem miejscu uczcił dr. Tadeusz Grabowski jubileusz Maryi Konopnickiej. Jubilat znowu Adam Bełcikowski umieścił tu część pierwszą swej historyi szlacheckiej, „na scenę w 5 obrazach przeniesionej“ p. t. „Pan Pasek“. Utwór to znany z przedstawienia uroczystego na cześć sędziwego uczonego i literata. Dokończenie druku nastąpiło dopiero w tomie najbliższym. Sześćdziesiątą rocznicę pracy na polu gospodarstwa narodowego. Ludwika Górskiego sławi pióro prof. Tarnowskiego. Znaczenie i sławę Virchowa, męża, który „w wieku swego łonie całą jego myśl zawiera“, uczcił i podniósł w szczerym hołdzie dr. Stanisław Ciechanowski, nie zapominając jednak wielkiemu uczonemu niewielkich jego zapatrywań politycznych. Wspomniećby się jeszcze godziło, że jak w *Przeglądzie Powszechnym* Mazanowski ogłosił swe obszerne studyum o Gorkim, tak znowu w *Przeglądzie Polskim* Teresa Wodzicka umieściła szkic swój o tym tak modnym dzisiaj pisarzu rosyjskim, którego nawet jako bohatera dramatu wybrał sobie jakiś bezimiennik rosyjski. Do liczby rozpraw naukowych, rozpoczętych w niniejszym tomie omawianego wydawnictwa należą d-ra Józefa Buzeka „Podstawy organizacyjne angielskiego samorządu“ i d-ra K. Paygerta garść drobnych rozdziałów pod ogólną nazwą „Podstawy do określenia żądań Galicyi na polu polityki handlowej“. Tym sposobem osobne tomy wydawnictwa stanowią jednolitą całość złączoną ogniwami prac, na szereg części rozerwanych.

Do stałych rubryk *Przeglądu Polskiego* należy kronika literacka, omawiająca dzieła polskie i obce, krytyka literatury powieściowej, gdzie znaczny obszar zajmują recenzye i sprawozdania z dzieł francuskich i niemieckich, wreszcie „Teatr krakowski“ stale przez d-ra F. Konecznego zapełniany kącik i „Przegląd polityczny“. Od czasu do czasu pojawia się na końcowych stronicach zeszytu „List z Poznania“ przez Świdwę i wspomnienia pośmiertne znakomitszych osobistości polskich, w r. 1902 Blocha, Wielopolskiego, Ledóchowskiego, Siemiradzkiego, Chłapowskiego i Wodzickiego. Większą ich część skreśliło pióro St. Tarnowskiego. Od r. 1900 wprowadzono dział oceny krytyczny dzieł poświęconych naszej *Almae Matri* w jej pamiętnym roku jubileuszowym. Dotychczas poddano krytyce 30 prac naukowych tego rodzaju, z tych 5 w roczniku ostatnim, Krzyżanowskiego „Poselstwo Kazimie-

rza W. do Awinionu", Antoniewicza „Świątynia zagadkowa Leonarda da Vinci", Madejskiego *Studien zur Rechtsprechung des Reichsgerichtes*, Mycielskiego „Antoni Van Dyck 1599—1641" i Sokołowskiego „Studya do historyi rzeźby w Polsce w XV i XVI w. Snycerskość".

Oto w zarysie bladym treść *Przeglądu Polskiego* z r. 1902.

J. Fr. Magiera.

Pamiętnik literacki. Czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej. Lwów. Rocznik I.

Był to po prostu wstyd, że historycy literatury polskiej nie mają swego organu. Mieli go historycy, przyrodnicy, technicy, lekarze, etnografowie, pedagogowie, mieli go nawet filologowie klasyczni — tylko badacze literatury polskiej go nie mieli. Wreszcie szczęśliwsze losy zaświtały i nad tym działem.

To też należy się przypatrzyć pierwszemu rocznikowi takiego pisma bardzo uważnie, wskazać jego zalety i wady, i wyciągnąć naukę na przyszłość.

Pamiętnik zaprowadził u siebie pięć działów (polemiki nie zaliczamy do działów pisma): rozprawy, notatki, materyały, recenzyę, bibliografię literacką czasopism za rok ubiegły. Trzeba je przejść kolejno, i przynajmniej ważniejsze rzeczy omówić.

Rozprawy. Jedna z rozpraw wkracza w zakres filozofii literatury. Jedyna też ten kierunek badań w *Pamiętniku* reprezentuje. Jest to H. Struvego „Przedmiot i metoda historyi literatury polskiej" (str. 373—378). Żeby prawdę powiedzieć, to nie tego spodziewaliśmy się od rozprawy, co ona daje. Jest ona zbiorem najzwyklejszych spostrzeżeń, opowiada rzeczy, znane każdemu, kto się choć trochę historyą literatury zajmował. Są to rzeczy stare, jak historya literatury, i wszystkie wyjaśnione (nawet w polskiej nauce) głębiej i lepiej.

Cztery prace poświęcone są rozpatrywaniu ogólniejszych objawów literackich, pewnych grup, rodzajów.

„Z dziejów dawnego teatru polskiego" prof. Al. Brücknera (str. 539—556) wywołane zostało rozprawą St. Windakiewicza „Teatr ludowy w dawnej Polsce". Jest to rodzaj obszernej, gruntownej recenzyi, w której prof. Brückner staje na innem stanowisku, niż autor „Teatru ludowego", a to swoje stanowisko popiera licznymi dowodami, między nimi zaś są takie, które dotąd historyi literatury nie były znane. Prof. Brückner przeczy istnieniu teatru ludowego w dawnej Polsce; rzeczy zaś, które p. Windakiewicz włączył do repertoaru tego teatru, zalicza

do teatru szkolnego, przedewszystkiem jezuickiego. Praca niezawodnie bardzo ważna, daje mnóstwo szczegółów, podanych — jak zwykle — bez miłosierdzia dla czytelnika. Do sprawy, poruszonej w tej pracy, przyjdziemy później w sprawozdaniu z dzieła d-ra Windakiewicza.

Jedną z najciekawszych rozpraw w *Pamiętniku* jest z pewnością rozprawa p. Chmielowskiego: „Znaczniejsze teorye dramatu w literaturze, polskiej“ (str. 52—69 i 570—611). Praca tem bardziej zajmująca, że jest bardzo „na czasie“: wszak dzisiaj myśli się i mówi o dramacie polskim, pragnie się go i spodziewa, tak samo, jak w epoce klasycyzmu, wszak dzisiaj Wyspiański usiłuje stworzyć nową formę dramatu polskiego. Zaznaczamy tę pracę, a nie wdajemy się w jej treść i ocenę, bo, wobec tego, że Chmielowski pracę tę wcielił w swoją książkę o krytyce literackiej, przy ocenie tej książki będzie sposobniejsze miejsce.

Rozprawa A. Potockiego „Sejmiki literackie w dobie romantyzmu“ (O noworocznikach i almanachach literackich w pierwszej połowie XIX wieku) (str. 379—411) odznacza się żywem, pięknem i bardzo zajmującem przedstawieniem rzeczy. Niestety, nie jest ukończona; bo choć zewnętrznie wygląda jako całość, treść obejmuje tylko almanachy przed noworocznikiem „Melitele“, więc nie dochodzi nawet do r. 1830. Ciekawe są uwagi o ogólnych typowych formach, które dla życia narodu w pewnej epoce (w naszym wypadku dla życia literackiego) są najbardziej charakterystyczne. Takiemi formami-typami dla naszego romantyzmu są almanachy, których historyę aż do „Meliteli“ autor przedstawia, poprzedziwszy ją poglądem na almanachy francuskie, jako te, które wywołały i były wzorem dla polskich. Wspomina też autor o ówczesnych kawiarniach literackich, zwraca uwagę na to, jaką one stanowiły wówczas nowość i w jakim to życie było związku z noworocznikami i almanachami. Praca omawiająca materyał znaczny, zebrany pracowicie, a opracowany bardzo powabnie, tak że się go w pierwszej chwili po prostu nie odczuwa; jest zaś ważna i z tego względu, że pod tym kątem widzenia jeszcze się ówczesnej literaturze nie przypatrywano.

Porębowicza „Polska poezya nowego stulecia“ (str. 70—78) nie jest także skończona, daje tylko część pierwszą; ale ta część stanowi dla siebie pewną całość. Nosi napis „Teorya“; jej zadaniem jest pokazanie, jakie teorye, jakie poglądy filozoficzno-artystyczne są podstawą najnowszej naszej poezyi. Zadanie niełatwe wogóle, a w szczególności trudne do przedstawienia i omówienia na dziewięciu stronicach, skoro Matuszewski poświęcił tej kwestyi sporą książkę i kwestyi mimo to

nie wyczerpał. Ostatecznie dochodzi autor do wniosku, że *credo* artystyczne tej poezyi (jak wogóle poezyi najnowszej europejskiej) jest mniej więcej powtórzeniem haseł i zasad romantyzmu (str. 75—77). Dla literatur europejskich sztandarem programowym są teorye Maeterlincka, Verlaine'a i Morice'a; dla polskiej — oprócz tamtych — Przybyszewski („Confiteor"). Zdaje mi się, że takie, powiedzmy, ścieśnianie najnowszej poezyi nie jest usprawiedliwione praktyką, dziełami poetów. Przyjmując takie założenie autor stworzył sobie sam ogromną trudność dla drugiej części studyum: bo jak pod ten wspólny mianownik podciągnie Kasprowicza, Konopnicką (możnaby ją uważać za należącą do innej epoki, ale autor sam ją tutaj mieści), Tetmajera, Wyspiańskiego, Rydla, Daniłowskiego, Staffa — to jest tajemnicą. Nasuwa się też pytanie, ciągle różnie rozwiązywane, czy i w jakim stopniu hasła teoretyczne wpływają na twórczość poetycką i jej kierunek; odpowiedzi (w zastosowaniu do najnowszej poezyi polskiej) czekamy oczywiście do drugiej części studyum.

Cała reszta rozpraw poświęcona jest poszczególnym autorom. Przejdźmy je chronologicznie.

Na czele idzie bardzo ciekawa, i jak wszystkie prace jej autora, pisana pięknie rzecz d-ra Windakiewicza „Erotyk Kochanowskiego" (str. 3—13 i 193—209). Przedmiot wymagałby recenzyi na wielkie rozmiary, recenzyi, któraby już była samodzielną rozprawą. Nie mogąc się tak rozszerzać, zwrócimy uwagę tylko na kilka punktów.

Dwa główne momenta odróżniam w tej rozprawie: uporządkowanie, usystematyzowanie miłosnych wierszy Kochanowskiego, połączenie ich z „Bezimienną", i odbudowanie na tej podstawie przebiegu miłości; wykazanie wpływu Petrarki i wogóle Canzoniera włoskiego na naszego poetę.

Otóż moment pierwszy jest sporny, i zdaje się, że spornym pozostanie jeszcze czas długi. Erotyki Kochanowskiego pozbawione są w wysokim stopniu tych zewnętrznych przypadłości, z którychbyśmy mogli dokładniej oznaczyć czas i miejsce ich powstania, osoby, do których się odnoszą, wogóle bardzo mało dają zewnętrznych punktów zaczepienia, z których mogłoby wyjść ich badanie. Jest to zresztą jedna z zewnętrznych właściwości przeważnej liczby utworów mniejszych Kochanowskiego. Do tego dołącza się brak ścisłych a obfitych wiadomości o życiu poety. To wszystko sprawia, że w uporządkowaniu chronologicznem, geograficznem i jakiemkolwiek innem tych utworów badacze zmuszeni są opierać się na ich właściwościach wewnętrz-

nych. Droga to powabna i pociągająca, ale niezwykle ślizka, i łatwo na niej dojść do wniosków fantastycznych. Doskonałym przykładem jest historya badań pieśni „Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary". Podobieństwo jej wyrażeń i obrazów z Psałterzem, ogromna jej wartość i doskonałość poetycka, skłoniły Chmielowskiego i Brücknera do przesunięcia jej w późniejsze lata Kochanowskiego; tymczasem znaleziono rękopis Osmólskiego, i z niego przekonano się, że jednakże pieśń ta napisana była przed rokiem 1564. Otóż i Windakiewicz postępuje tą samą drogą, stąd argumenta jego za takiem, jakie podaje, a nie innem uporządkowaniem erotyków nie są niewzruszone; nasuwa się kilka wątpliwości bardzo poważnych. W szczegóły jednakże zapuszczać się nie możemy, odkładając je sobie do pracy osobnej.

Natomiast wielką ozdobą pracy i wielką zdobyczą naukową jest wykazanie wpływu Canzoniera i bardzo misterne, bardzo piękne pokazanie, jakie były tego wpływu skutki. Ten wpływ objawia się w wyidealizowaniu, w uszlachetnieniu uczucia, w formie zaś: w ujmowaniu uczuć lirycznych w postaci bardziej nowożytne, w poemaciki „krótkie, zgrabne i nastrojowe", — w czem elegicy łacińscy pomocą być nie mogli. Najczęściej pokazując wpływ jednego poety na drugiego, krytycy nasi zadawalniają się skonstatowaniem miejsc wspólnych, pożyczek i t. p.; Windakiewicz pokazuje bardzo pięknie, jak się te wpływy połączyły z naturą poety i co z tego połączenia wynikło, pokazuje tych wpływów produkt dalszy.

Wogóle całe studyum o Kochanowskim napisane jest bardzo pięknie, jasno, i jest prawdziwą ozdobą rocznika.

Wieku siedemnastego dotyka rozprawa Al. Brücknera, „Znakomitsi pisarze wieku XVII. I. Łukasz Opaliński" (str. 210—223). Jedna z długiego pocztu prac prof. Brücknera, poświęconych odgrzebaniu po prostu i rehabilitacyi literatury wieku XVII. W Łukaszu Opalińskim, marszałku nadwornym, bracie Krzysztofa, prof. Brückner widzi autora trzech bardzo ciekawych dzieł o wysokiej wartości. Są to: polityczna broszura „Rozmowa plebana z ziemianinem", jedno z najlepszych pism politycznych w wieku XVII, satyra „Coś nowego", i pierwsza poetyka polska „Poeta". Nadto Łukasz Opaliński ma być, zdaniem autora, tłumaczem francuskiego romansu „Historya barzo ucieszna" i t. d. Autor stawia Opalińskiego bardzo wysoko, widzi w nim „typ magnata-dyletanta, przewyższającego rozumem, wiedzą i smakiem artystycznym wszystkich Kochowskich, Twardowskich, a choćby i Potockich".

Rozprawa Chrzanowskiego „O satyrach Naruszewicza" (str. 14—23

i 224—256) wyszła także osobno, osobno więc zdawaliśmy z niej sprawę (p. *Przegląd Powszechny,* styczeń 1903). Tu tylko dodamy, że jest to jedna z najlepszych rozpraw *Pamiętnika.*

Górskiego „Karpiński w Wiedniu“ (str. 24—43) jest, jak autor zaznacza, „ustępem z obszernej biograficzno-krytycznej pracy o Karpińskim“. Pierwsze rozdziały tej pracy pojawiły się w r. 1891. Wnosząc z dotychczasowych rozmiarów, będzie to praca istotnie obszerna.

Obok dokładnego opisywania wypadków z życia Karpińskiego, wpływów, jakie na niego działały, duchowych przejść, jakim podlegał, autor raczy nas często poglądami ogólnymi, otwiera niejednokrotnie dalekie perspektywy na tamte czasy i na tamtych ludzi. To daje szczegółowemu studyum wartość większą, ogólną.

„Nieznane utwory francuskie Zygmunta Krasińskiego“. (Na podstawie autografów) omawia prof. Kallenbach (str. 44—51 i 412—420). Są to fragmenta przeważnie drobne, ale bardzo ważne dla poznania historyi ówczesnych duchowych przejść poety. Pochodzą przeważnie z r. 1830, kilka z 31 i 32. Prof. Kallenbach wylicza te autografy wszystkie, a następnie daje do nich komentarz, który jest właśnie historyą owych przejść duchowych poety, jego zwątpień i porywów, szamotań się i uspokojeń; zwraca też uwagę na ich związek z późniejszemi dziełami Krasińskiego, pokazuje, jak zjawiają się tutaj te myśli i pojęcia, nawet te obrazy, które się później odezwą czy to w „Nieboskiej Komedyi“, czy w „Legendzie“. Praca napisana istotnie bardzo pięknie a głęboko; zyskałaby może zewnętrznie, gdyby ją rozdzielono na dwie części, i wyliczenie katalogowe autografów umieszczono osobno, np. w „Materyałach“.

Prof. Tarnowski daje dwa wizerunki literackie w studyum „Stanisław i Jan Koźmianowie“ (str. 557—569), w studyum, które jest ustępem z drukującego się szóstego tomu „Historyi literatury polskiej“. Napisane ze zwykłą autorowi świetnością pióra, podkreśla w działalności literackiej Koźmianów także jej stronę obywatelską, jej służbę sprawie publicznej. Zajmujące jest zestawienie i porównanie (na początku rozprawy) Stanisława Koźmiana z Siemieńskim. Rozprawa prof. Tarnowskiego wydobywa na jaw portrety dwóch ludzi, którzy w życiu duchowem jednej z prowincyi polskich mieli wielkie znaczenie, z których jeden zasłużył się literaturze polskiej zwłaszcza doskonałym przekładem Szekspira.

Tak przeszliśmy wszystkie rozprawy, pomieszczone w pierwszym roczniku *Pamiętnika.*

Notatki, Materyały, Recenzye, Bibliografia. Zaznaczyliśmy poprzednio, że przez stworzenie *Pamiętnika* bezdomne dotąd drobne notatki, objaśnienia, przyczynki do naszej znajomości literatury znalazły dach nad głową. Uznając całą ważność rozpraw, powiedziałbym jednakże, że pismo takie, jak *Pamiętnik*, jeszcze większą opieką powinnoby otaczać właśnie takie notatki. W omawianym roczniku znajdujemy ich poczet bardzo okazały. Szczegółowo oczywiście omawiać ich nie będziemy, jedne są lepsze, drugie gorsze, jedne więcej, drugie mniej ciekawe, wszystkie są ważne i potrzebne. Dziwnym trafem złożyło się, że niemal wszystkie, ze znikającymi ilościowo wyjątkami, odnoszą się do wieku XVI i XIX.

W „Materyałach“ są rzeczy, które niepotrzebnie zajmują miejsce, o czem niżej, ale są też i rzeczy bardzo ciekawe, np. podana przez A. M. Kurpiela „Autobiografia Bronisława Trętowskiego“.

Z recenzyi godne uwagi, czasem podziwu, są doskonałe: Chmielowskiego (z Brücknera *Geschichte der poln. Litteratur)*, Porębowicza (z Chmielowskiego „Dramat polski doby najnowszej“ i „Najnowsze prądy w poezyi naszej“, z Hirschbanda „Dante Alighieri“), Piniego (z „Poszukiwań Mickiewiczowskich“ różnych autorów), Kurpiela (z Tretiaka „Ignacy Krasicki“), Gubrynowicza (z Windakiewicza „Teatr ludowy“). Oczywiście byłoby pożądanem, aby recenzye takiego pisma były obrazem i sądem całego zasobu dzieł krytycznych o literaturze z ubiegłego roku, — ale wiadoma rzecz, jak o recenzye trudno.

Bibliografia literacka czasopism polskich za r. 1901 jest rubryką nadzwyczajnie pożyteczną. Wykonana też nadzwyczajnie pracowicie. Podaje naprzód literaturę piękną, następnie przekłady z literatury pięknej obcych narodów, wreszcie artykuły krytyczne. Rzecz ciekawa, a z tej bibliografii bijąca w oczy, jaka masa się u nas pisze nowel, powieści, poezyi, a jak mało artykułów krytycznych; dalej w przekładach: lwią część zajmują francuskie, ale przeważnie rzeczy bez wartości, wcale dużo z rosyjskiej (tyleż prawie, co z niemieckiej). Ale nie powinno się zapominać, że oprócz czasopism mamy i dzieła osobno wydawane; któż poda ich bibliografię, jeżeli nie *Pamiętnik?* a tej niema, należałoby ją w następnym roczniku zaprowadzić koniecznie. Trzebaby też podawać rzeczy pisane w obcych językach, odnoszące się do literatury polskiej.

* * *

Tak się przedstawia rocznik pierwszy *Pamiętnika literackiego.* To jest tak się przedstawia w nich to, co dali autorowie. Cóż powiedzieć o piśmie jako piśmie, o redakcyi?

Redakcya powinna się starać o dobór artykułów, o rzeczy dobre. Że jedne z nich będą lepsze, drugie gorsze, to już nie jest jej winą, bo redakcya wszystkiego stworzyć nie może. Redakcya *Pamiętnika* zasługuje pod tym względem na bardzo wielką pochwałę. W całem piśmie widać doskonałe zrozumienie jego zadania, widać umiejętny dobór i rozkład materyału. Jeżeli poniżej zrobimy kilka zastrzeżeń, to one tych wyrazów uznania w niczem nie osłabią.

I tak naprzód brak nam w pierwszym roczniku *Pamiętnika* jednej rzeczy, która jest we wszystkich lepszych pismach naukowych. Brak indeksu, tak rzeczy, jak osób. Wiadoma to rzecz każdemu, kto robił jakiekolwiek poszukiwania naukowe, ile taki indeks oszczędza czasu i pracy, jakie ogromne oddaje usługi.

Co do recenzyi: widzimy między niemi kilka takich, które do pisma literackiego nie należą, raczej do innego. Możnaby także wyrazić życzenie, aby jakość recenzyi była na nieco wyższym stopniu. Niektóre są istotnie wzorowe, ale też jest wiele zbyt pobieżnych. Nie powinno się wreszcie dawać recenzyi, które autor umieszczał poprzednio już w kilku pismach, i które do tego są spóźnione.

Jeszcze jedno małe zastrzeżenie. W notatkach i materyałach Lwów ma przewagę znaczną. Ponieważ zaś na razie Lwów jeszcze nie jest środkiem studyów nad literaturą polską, więc chyba wchodzą tu w grę stosunki towarzyskie, koleżeńskie. Otóż nie byłoby to rzeczą zbyt pożądaną, gdyby *Pamiętnik* miał się stać organem literatów lwowskich, zamiast polskich.

Tyle tedy życzeń mielibyśmy do zanotowania pod adresem redakcyi. Oby dalsze roczniki wzniosły się jeszcze wyżej. A gdyby to było trudne, to niech chociaż zostaną na poziomie pierwszego.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Kwartalnik teologiczny. Czasopismo poświęcone wiedzy katolickiej. I rocznik. Warszawa. 1902.

Przegląd Kościelny. Pismo miesięczne poświęcone nauce i sprawom Kościoła katolickiego. I rocznik. 1902. Poznań.

Pod koniec roku 1901 rozniosły dzienniki wiadomość, że w Poznaniu i Warszawie mają wychodzić nowe czasopisma teologiczno-kościelne. Ten i ów znający bliżej stosunki nasze, z powątpiewaniem

wyrażał się o tego rodzaju przedsiębiorstwie. Zdawać się mogło, że społeczeństwo nasze nie dorosło jeszcze tej chwili, aby iść w zawody z ościennymi narodami pod względem ruchu teologiczno-naukowego, że tego rodzaju wydawnictwa będą skazane na częsty post czy to artykułów, czy może prenumeratorów. Tymczasem rzeczywistość zaprzeczyła przedwczesnym obawom. Ze styczniem 1902 r. począł zaraz w Poznaniu regularnie wychodzić miesięcznik p. t.: *Przegląd Kościelny;* zapowiedziany w Warszawie *Kwartalnik teologiczny* dopiero w kwietniu (czy maju) 1902 zdołał uzyskać rządowe pozwolenie, a pod koniec sierpnia, jakby chcąc nadrobić czas bez swej winy stracony, wyszedł w zdwojonej objętości jako zeszyt I i II; z początkiem zaś roku 1903 ukazał się drugi tom, znów podwójnej objętości jako zeszyt III i IV pierwszego rocznika.

Jakże się przedstawiają pierwsze roczniki tych dwóch wydawnictw?

Przegląd Kościelny ma oczywiście o wiele łatwiejsze zadanie (bo znośniejsze warunki bytu), niż *Kwartalnik teologiczny.* Naprzód cenzura rządowa nie krępuje tak jego działalności, powtóre jest miesięcznikiem i może wychodzić regularnie, a to także wpływa bardzo na pomyślny stan pisma i liczbę prenumeratorów. Wreszcie bardzo poważne siły naukowe (głównie teologiczne) całej Polski obiecały pospieszyć mu z pomocą i ofiarowały mu swe współpracownictwo, gdyż wieść o zamiarze założenia *Przeglądu* o wiele wcześniej rozeszła się po polskich dzielnicach, niż o *Kwartalniku.*

To wszystko trzeba mieć na uwadze, gdy się ocenia *Przegląd* i *Kwartalnik.* Możemy więc więcej wymagać od *Przeglądu,* niż od *Kwartalnika.*

Co nam przyniósł *Przegląd Kościelny* w ubiegłym roku? Co miesiąc podawał on na 5 arkuszach druku artykuły dłuższe i krótsze rozprawki *(miscellanea),* co miesiąc zdawał sprawę z ruchu katolickiego i literackiego.

Najpoważniej przedstawia się dział historyi kościelnej. Spotykamy tu gruntowne studya ks. Dr. Jana Fiałka o Pawle Wołodkowiczu i zakonie krzyżackim i o kulcie Matki Boskiej w Polsce średniowiecznej; Najprz. ks. Biskup Likowski ogłasza po raz pierwszy dwa ważne źródła do historyi Kościoła polskiego w latach rozbiorowych; ks. Dr. Warmiński podaje przyczynek do dziejów dyecezyi poznańskiej, a ks. Gapczyński wielce oryginalną rozprawę archeologiczną o dzwonach w Wielkiem Księstwie Poznańskiem; ks. Dr. Tadeusz Trzciński zastanawia się nad pytaniem, czy istniało biskupstwo kruszwickie.

Z działu Pisma św. i egzegez wypada wspomnieć o artykułach księży Hozakowskiego i Bernackiego. Pierwszy rozbiera najnowsze prace katolickie nad greckim tekstem Nowego Testamentu i pięknie a gruntownie komentuje słowa Jezusowe: *Ecce agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi,* drugi zaś bada opowiadanie mojżeszowe o patryarchach przed potopem wobec dzisiejszego stanu nauki.

Z dziedziny prawa kościelnego i teologii moralnej zasługują na wzmiankę prace ks. Dr. Dalbora o dyspensach od przeszkód małżeńskich, ks. Dr. Jedzinka o istocie moralności, i ks. I. o stypendyach mszalnych.

O kwestyi socyalnej pisze dobrze ks. Z. i ks. A. J., a o towarzystwach robotników ks. Karol Zimerman. Z chlubą wymienić należy dwie uzupełniające się nawzajem a ciekawe rozprawy: „O pauperyzmie w Starym Zakonie“ ks. Dr. Bernackiego i „Kwestya pauperyzmu w Kościele katolickim“ przez ks. A. J. Z teologii dogmatycznej nie podał *Przegląd* w roku ubiegłym żadnego artykułu; najnowsze studyum ks. Dr. Fr. Gabryla: „O powstaniu mowy ludzkiej“ należy raczej do dziedziny filozoficznej, niż do dogmatu.

Miscellanea poruszały zwykle kwestye praktyczne z teologii moralnej lub prawa kanonicznego. Przegląd „ruchu katolickiego“ i „ruchu literackiego“ mógłby być bardziej ożywiony.

Jakże więc wypadnie ogólny sąd o wartości całego rocznika *Przeglądu?* Uznając wartość naukową wielu prac, jak i umiejętność redakcyjnej techniki, trzeba jednak zaznaczyć, że *Przegląd Kościelny* za mało uwzględniał kwestye aktualne, literaturę teologiczną zagranicy, a niektóre działy teologii po macoszemu traktował na korzyść innych, głównie historyi. Zewnętrzna forma wydawnictwa przedstawia się wcale poprawnie.

Jeśli zważymy wielkie trudności cenzuralne w Królestwie, gdzie każde niemal czasopismo katolickie musi walki staczać, by ocalić niewinne nawet artykuły religijne, to nie można się oprzeć zdziwieniu, gdy się patrzy na roczny dorobek warszawskiego wydawnictwa. Pod skromną nazwą *Kwartalnika teologicznego* przynosi ono nam na 37 arkuszach druku cały szereg (30) rozpraw, mających znaczenie i wartość nie tylko dla teologów i duchowieństwa, lecz także dla wszystkich wykształconych katolików. Czasopismo to w ścisłem znaczeniu tego słowa jest „poświęcone wiedzy katolickiej“ w całej jej rozciągłości.

Z pomiędzy krótszych prac, niepozbawionych wartości czy to naukowej czy literackiej zasługują na chlubną wzmiankę rozprawy:

ks. Dr. Knapińskiego: „Teorya Dr. Nettelera o Kanonie biblijnym Starego Testamentu“, ks. Brykczyńskiego: „Kronika zgromadzenia Panien Bernardynek w Przasnyżu“, ks. Konstantego Czaykowskiego: „O erach świata“, ks. St Chodyńskiego: „Królewskie nominacye Biskupów“, ks. J. Rokosznego: „Stare druki w bibliotece seminaryjnej w Sandomierzu“, Jana Piotrowskiego: „Międzynarodowy kongres maryański we Fryburgu szwajcarskim“, ks. A. Błachuta: „Nieznany czciciel Matki Bożej, Stanisław Kaźmierczyk“, ks. Wł. Szcześniaka: „Chrystyanizm u Słowian nadłabskich“, ks. W. Bogackiego: „O wymowie i kaznodziejstwie“, ks. R. Filipskiego: „Jubileusze w XIX wieku“, ks. A. D.: „Przyczynek do biografii ś. p. ks. Biskupa M. Wołonczewskiego“, ks. K.: „Całun turyński w świetle krytyki“, ks. S. Ch.: „Medycy kapituły włocławskiej“, i t. d.

Na szczególniejszą uwagę i rozbiór zasługują artykuły poważniejsze i dłuższe. Do nich przedewszystkiem zaliczyć należy pracę samego redaktora *Kwartalnika*, ks. Antoniego Szaniawskiego pod tyt. *Didache ton dodeka Apostolon* (Nauka dwunastu Apostołów). O ile z dwóch artykułów dotychczas ogłoszonych wnioskować można, studyum to zapowiada się jako poważne i źródłowe dzieło. We wstępie rzuca autor ogólny pogląd na dziwne dzieje słynnej *Didache* i podaje sam tekst cennego dokumentu w potrójnym języku: greckim, łacińskim i polskim. (Przekład poprawny nic nie pozostawia do życzenia). Następuje część I, w której autor zamierza omawiać starożytne kompilacye nauki XII Apostołów, a głównie cztery cenne zabytki starochrześcijańskie, t. j. t. zw. list Barnaby Ap., Kanony kościelne Apostołów, konstytucye apostolskie i Pasterza Hermasa. W pomienionym artykule zdołał autor poddać rozbiorowi list Barnaby, a przedewszystkiem jego genezę i dzieje, autora, czas powstania listu, i podać jego tekst (znowu w trzech językach: greckim, łacińskim i polskim). To, co autor dotychczas nam ofiarował, przedstawia się nader dodatnio. Jest to praca nadzwyczaj sumienna, dokładna i źródłowa. Autorowi znaną jest prawie cała dość obszerna literatura, która w ostatnich dwóch dziesiątkach lat wytworzyła się koło i nad *Didachą*. Jeśli skołatane zdrowie dozwoli autorowi ukończyć swą pracę, będzie to cenny nabytek na polu patrologii, chrześcijańskiej archeologii, egzegezy, historyi starochrześcijańskiej a nawet dogmatu katolickiego, który z *Didache* poczyna coraz częściej czerpać swe dowody.

Podobnie szeroki zakrój założył ks. Władysław Szczepański dla swej pracy p. t. „Nowy Indeks książek zakazanych, oraz jego uza-

sadnienie, dzieje i nowe prawo". U nas nowy Indeks i wogóle całe nowe prawo książkowe, które Kościół w ostatnich 5 latach wydał, jest rzeczą prawie nieznaną — i dlatego tem przewrotniej i niesprawiedliwiej przedstawianą ogółowi czytających — podczas gdy za granicą powstała na tle tego przedmiotu bardzo obszerna literatura. A przecież kwestya ta jest obecnie bardzo na czasie i przez Leona XIII wszystkim katolikom szczególnie poleconą. Dla jasnego ugrupowania rozlicznych kwestyi, autor podzielił swe studyum na dwie części. I-sza dogmatyczno-historyczna „ma za zadanie przygotować fundament pod właściwą rozprawę prawniczą". W niej to omawia autor w dwóch działach najpierw stosunek książek niebezpiecznych do prawa natury, do prawa Bożego pozytywnego, wreszcie do prawa kościelnego. Wykazawszy, że Kościół katolicki ma prawo i obowiązek zakazywania książek i pism niebezpiecznych, przechodzi autor w drugim dziale do krótkiego szkicu historycznego całej kwestyi Indeksowej. Tutaj także podaje tekst (tak w oryginale łacińskim, jak i w przekładzie polskim) całego prawa książkowego, które dzisiaj obowiązuje", t. j. konstyt. Benedykta XIV: *Sollicita ac provida*, konst. Leona XIII: *Officiorum ac munerum* (z roku 1897) i brewe Leona XIII: *Romani Pontifices* (r. 1900). W dalszych artykułach, jak to widzimy z przedmowy, zamierza autor omówić szerzej nowy Indeks i podać II część swego dzieła: prawniczo-moralną, a w niej rozebrać relacye, przymioty, cel i ducha nowej ustawy, i poddać dokładnemu badaniu samą konstytucyę *Officiorum*, rozdział za rozdziałem, paragraf za paragrafem, przyczem przeprowadzi porównanie dawnego prawa z nowem.

Podczas gdy powyższe dwie prace mają głównie znaczenie dla teologów i fachowców (chociaż i dla wykształconego ogółu czytelników nie będą bez korzyści) — to inne rozprawy *Kwartalnika* mogą przedewszystkiem zająć filozofów. Chlubnie znany autor pierwszych w Polsce podręczników filozofii, zasługujących na to imię, ks. Dr. Fr. Gabryl, profesor uniwersytetu krakowskiego zamieścił w łamach *Kwartalnika* dwie prace. Jedna p. t. „O nieskończoności" wyjaśnia naprzód samo pojęcie nieskończoności, następnie źródło tego pojęcia i jego rodzaje, wkońcu zajmuje się trudną i sporną kwestyą, czy możliwą jest ilość aktualnie nieskończona. Drugie studyum tegoż autora omawia: „Analityczny charakter prawa przyczynowości". Po wyłożeniu istoty przyczyny sprawczej zastanawia się autor nad tem, skąd to w umyśle ludzkim bierze się pojęcie przyczyny sprawczej. Wykazawszy słusznie, że ani wewnętrzne ani zewnętrzne doświadczenie samo nie wystarcza,

że to pojęcie nie jest wrodzonem, odpowiada ostatecznie (zgodnie ze scholastyką), że powstaje ono drogą myślnej abstrakcyi, wspartej na doświadczeniu zmysłowem. Wreszcie zastanawia się, czy ogólność i konieczność prawa przyczynowości posiada swe źródło w syntezie, czy w analizie.

Zajmującą jest rozprawa J. Piotrowskiego: „Nowe odkrycia na forum Romanum. S. Maria Antiqua". Autor dzieli się z czytelnikiem odkryciami, które w najnowszych czasach poczyniono na forum rzymskiem, a jego szczegółowa i sumienna praca wypełnia przykrą lukę w naszej literaturze archeologicznej.

Historycy prócz kilku krótszych rozpraw, znajdą w pracy ks. S. Stuczenia „Kilka przyczynków do historyi klasztoru Premonstratenzów w Krzyżanowicach" — nowe szczegóły dotychczas im może nieznane; filologowie w rozprawie Józefa Wabnera: „Nauki klasyczne w świetle chrześcijaństwa", różne poglądy wprawdzie nie nowe, ale trafnie zestawione o znaczeniu i cywilizacyjnym wpływie starożytności klasycznej; — wszyscy wreszcie nie bez pożytku mogą przeczytać dłuższe a pełne podniosłych myśli artykuły naukowo-ascetyczne ks. J. Jarosińskiego: „O godności stanu kapłańskiego i wypływających stąd obowiązkach kapłana" i ks. W. Rozwadowskiego: „Ku czci Baranka, który gładzi grzechy świata".

Kwartalnik teologiczny pragnie także zaznajamiać ogół swych czytelników z nowemi a ważniejszemi encyklikami papieskiemi. To też w jego roczniku znajdujemy oprócz wyżej wymienionej konstytucyi: *Officiorum ac munerum* i *Romani Pontifices*, także list apost. Leona XIII z okazyi 25-letniego jubileuszu.

Jeśli już część naukowo-literacka *Kwartalnika* przedstawia się urozmaiconą artykułami różnorodnej treści, to dział krytyki i bibliografii jest prawdziwie cennym i niezrównanym. *Kwartalnik* wprowadza w piśmiennictwo polskie nowość, rzadko dotychczas u nas praktykowaną, a bardzo korzystną. Jest nią treść wszystkich znaczniejszych czasopism świata o najróżnorodniejszych kierunkach naukowych lub społecznych. Widzimy tu więc sprawozdania z czasopism polskich, francuskich, belgijskich, angielskich, amerykańskich, hiszpańskich, włoskich, portugalskich, niemieckich, a nawet łacińskich. Zbyteczną i żmudną byłoby rzeczą je wyliczać. Obok działu krytyki podaje wreszcie *Kwartalnik* doborowy spis nowych a lepszych dzieł, które w ostatnim roku w jakichkolwiek językach się ukazały z dziedziny teologii (katolickiej i niekatolickiej), filozofii, pedagogiki, językoznaw-

stwa, prawa, dziejów (powszechnych i kościelnych), nauk społecznych i socyalnych, sztuki i t. d.

Wobec tak obfitej, różnorodnej, prawie zawsze sumiennej a często głęboko naukowej treści *Kwartalnika*, zaczerpniętej ze wszystkich prawie działów wiedzy katolickiej i kościelnej, trudno nie przyznać, że pierwszy rocznik *Kwartalnika teologicznego* w zupełności ziścił nadzieje, jakie doń przywiązywano, i odrazu sobie zdobył poważne stanowisko wśród polskiego katolickiego piśmiennictwa, niestety dość ubogiego. Nie potrzeba chyba dodawać, że doborowej treści odpowiada w zupełności forma zewnętrzna wydawnictwa, nadzwyczaj staranna a zdobna w liczne winiety, które przenoszą nas najczęściej do katakomb, lub przedstawiają ważniejsze odkrycia archeologii chrześcijańskiej. Jednej tylko rzeczy życzyćby należało szanownej Redakcyi, aby mimo licznych przeszkód i trudności cenzuralnych, regularnie co kwartał mogła wydawać swe cenne czasopismo, a nawet, jeśli można, przemieniła je na miesięcznik lub przynajmniej dwumiesięcznik.

N. T.

Z czasopism słowiańskich w roku ubiegłym.

Slovanský Přehled, sbornik statí, dopisův a zpráv ze života slovanského. Majitel, vydavatel a redaktor Adolf Černý. Rocznik IV. Praga 1902.

Vlasť (Ojczyzna), časopis pro poučeni a zabavu. Organ towarzystwa *Vlasť*. Redaktor Tomaš Škrdle. Praga 1902. Rocznik XVIII.

Naše Doba revue pro vědu, uměni a život socialní. Vydavatel Jan Laichter. Redaktor prof. dr. T. G. Masaryk. Praga 1902. Rocznik IX.

Česká Revue, organ klubu narodní strany svobodomyslné. Redaktor prof. Dr. E. Frida i prof. Dr. B. Rayman. Vydavatel Edw. Beaufort. Praga 1901—2. Rocznik V.

Nový Život. Měsíčník pro umění, vzdělání a zábavu. Vede a vydává Karel Dostál Lutinov. Rocznik VII. Nový Jičín 1902.

Czasopiśmiennictwo czeskie o wiele jest od naszego bogatsze. W samej Pradze liczba miesięczników literackich i literacko-społecznych wynosi około 30, a cóż dopiero cała rzesza tygodników, rosnąca co chwila skutkiem przemieniania się miesięczników w tygodniki i półmiesięczniki. Przednie i poważne miejsce zajmują w tem gronie wydawnictw czasopisma *Maj, Zvon, Moderní Revue, Květy, Rozhledy* oraz poniżej omówione pisma peryodyczne.

Na podstawie najszerszej opiera się pismo jedyne wszechsłowiań-

skie uczciwe t. j. *Slovanský Přehled*, miesięcznik literacki, obok którego staje z nowym rokiem *Slovanský Obzor*, pismo polityczne ogólno-słowiańskie. *Przegląd słowiański* zakończył chlubnie już czwarty rok swego istnienia i jak lat poprzednich, był i obecnie zwierciadłem dziejów słowiańszczyzny. Celem zapoznania swych czytelników z rozwojem piśmiennictw wszystkich narodów słowiańskich, podał ostatni rocznik tego pisma przegląd za rok 1901 literatur bułgarskiej, słowieńskiej, polskiej i małoruskiej (B. Łepkiego, drukow. w *Przegl. powsz.*). Na stronicach *Przeglądu słowiańskiego* wypowiedziało też zdanie swe o żywotnej sprawie śląskiej trzech znawców stosunków czesko-polskich: ś. p. Ignacy Horzica, Zawiliński i prof. Polivka. Ostatni bada spór obu narodowości na Śląsku z punktu filologicznego (tamci politycznego) i opierając się na pracach uczonych polskich (Bystroń, Malinowski) i czeskich (Šembera), kreśli granicę dyalektyczną obu języków. Podobną mapkę etnograficzną dodano do artykułów o łużyckich Serbach pióra Łużyczanina G. Świeli i Adolfa Černego.

Spore miejsce w każdym zeszycie zajmują drobne wiadomości z życia Słowieńców. Rocznik ostatni ma jednak i ważniejsze prace tego narodu dotyczące, mianowicie Fr. Ilešic'a „Wzajemność czesko-słowieńska w przeszłości“ i Jamy, o słowieńskich sztukach pięknych, zwłaszcza o ich malarstwie. Znany chorwacki literat, stały współpracownik wielu czasopism czeskich, Szczepan Radić, przedstawił życie i działalność wielkiego przedstawiciela wzajemności słowiańskiej, Jerzego Križanića, chorwackiego kapłana z w. XVII, którego ideałem i marzeniem było zjednoczenie Kościoła wschodniego z zachodnim. Idealista ten ze szczególnem zamiłowaniem studyował wschodnich teologów, z Rosyanami w Rzymie chętnie obcował, celem popierania unii wysłany na Ruś polską, bawił tu 1659 r., aż w Moskwie ujęty przez Moskali, wysłany został na Sybir. Z polskich pisarzy znał najlepiej dzieła Starowolskiego. Sam pisał dziwną mieszaniną czterech języków słowiańskich, polskiego, czeskiego, chorwackiego i rosyjskiego.

Również dla każdego zajmującym i interesującym jest artykuł P. Nováka *O potřebě slovanských národopisů*. Autor wychodzi z założenia, że Włosi i Niemcy już się zjednoczyli, pora więc teraz na spojenie się Słowian. Pierwszym krokiem do tego być mają dzieła etnograficzne, przedstawiające dzieje duchowe i światowe każdego narodu, stworzone przez przedstawicieli każdego z narodów, a napisane wszystkie w jednym i tym samym języku. Autorowi oczywiście chodzi, aby

to było w mowie czeskiej i zdanie swoje głównie ziomkom swoim do spełnienia poleca.

Z Polaków w dziale rozpraw prócz Zawilińskiego wziął udział i Zdziechowski swą rozprawką o Mażuraniću jako liryku.

Przegląd słowiański dał też w r. 1902 bogate wyimki z poezyi słowiańskiej w przekładach czeskich, z krótkimi życiorysami dotyczących pieśniarzy. Z naszych rymotwórców doczekali się tutaj tłumaczów Dębicki Zdz., Konopnicka, Lange, Leszczyński, Pierzyński, Staff i Zawistowska. Pośredniczył między oryginałem a przekładem talent znanego polonofila Fr. Kvapila i pani Maternowej. Są i przekłady pieśni słowieńskich (z Cankara), muzy małoruskiej (z Łepkiego), utworów chorwackich (Nikolić) i bułgarskich (Grozev, Veličkov), i z poezyi rosyjskiej (Mereżkowskij, Minskij).

Korespondencyi z ziem słowiańskich o doli i niedoli pobratymców otrzymał w tym roku redaktor *Przeglądu słowiańskiego* liczbę sporą, najwięcej z Chorwacyi i z Ks. Poznańskiego, gdzie stosunki narodowościowe dostarczały materyału bez wyczerpania. Stosunkowo do lat poprzednich zwiększyła się liczba notatek z galicyjskiej Rusi, gdyż secesyoniści lwowscy, przeniósłszy się nad Wełtawę, szukali upływu dla swych myśli tłumnie w czasopismach czeskich.

Bogaty dział przeglądu wydarzeń ważniejszych z żywota słowiańskiego, liczne recenzye naukowe dopełniają treści rocznika, ozdobionej podobiznami 25 pisarzy i obrazami 5 widoków architektonicznych.

W XVIII roczniku *Vlasti* ogłosił Jan Vyhlidal ciąg dalszy zajmującej swej pracy o Śląsku p. t. *Naše Slezsko.* Opisał tu autor obrzędy weselne, pogrzebowe i chrzciny u ludu śląskiego, głównie księstwa opawskiego. Śpiewki i piosnki, ilustrujące opisy zwyczajów, opatrzone są nutami. Ciekawą jest rzeczą i charakterystyczną, że drużbowie śląscy śpiewają na weselu naszą kolędę „Mesyasz przyszedł na świat prawdziwy“ — oczywiście po czesku, ale całkiem dosłownie. I inne pieśni znajdzie tu ludoznawca podobne do polskich, np. *Malinovsky mosteček ohyba se* (polska: „Zielony mosteczek ugina się...).

Niemniej zajmujący dla czytelnika polskiego jest opis podróży do Petersburga dra Wł. Mladějowskiego. Warszawa robi na czeskim lekarzu bardzo miłe wrażenie i przypomina mu ogromnie Pragę ilością kościołów, Łazienki zaś przywodzą mu na pamięć pragską Stromówkę. Krótko ale jędrnie skreślone są stosunki polsko-rosyjskie, jak je po-

dróżny poznał z rozmów z Polakami. Podobny opis podróży swej do Bawaryi, Tyrolu i Solnogrodu ogłosił tu redaktor czasopisma, ks. Škrdle. Historyę i geografię bośniackiego ustronia Kreszewo, gdzie znajduje się znany klasztor franciszkański, w którym do niedawna przebywał chorwacki Homer, Fra Grga Martić, przedstawił we *Vlasti* Jan Freštik.

Z rzeczy więcej oryginalnych o zakroju naukowym wymienić nie wiele musimy, bo tylko Filipa Konečnego „O moralnem uświadomieniu ludu", Drbohleva o humanizmie i artykuł o dążnościach husytyzmu. Z dziedziny sztuki zajmującą jest rozprawka o czeskim muzyku Dworzaku i jego znaczeniu w czeskiej muzyce.

Vlast podaje dość szczegółowe i liczne wiadomości z życia literackiego i ruchu naukowego powszechnego. W tym jednak roczniku stwierdzić musimy, że piśmiennictwo nasze zupełnie pominięto, nie znajdujemy tu oceny ani jednego dzieła polskiego, choć ocenione są nawet słoweńskie, łużyckie i inne. Z rzeczy polskich, zwanych zwykle *polonica*, ledwie dwa wspomnienia, poświęcone Ledóchowskiemu i Siemiradzkiemu znaleźliśmy. A wyznać się godzi, że dawniej się redakcya *Vlasti* więcej nami zajmowała.

Naše Doba zajmuje się w IX roczniku ważną kwestyą teologiczno-naukową. Na zaproszenie redakcyi przedstawił bezimienny autor w świetle katolickiem postęp i wyniki nowszych badań naukowych w dziedzinie teologii. Na ten sam temat dał pogląd z punktu protestanckiego Fr. Žilka w rozprawce podobnie jak praca poprzedniego autora zatytułowanej: *Z vyvoje a výsledka moderni vědy bohoslovecké.* Uzupełnił myśli obu autorów Zarnekij swym artykułem „Przegląd rozwoju religijnych dziejów rosyjskich". W dziedzinę teologiczno-literacką wkracza też praca Machara: *Katolicka moderna* (Modernizm katolicki). Z innych artykułów *Naszej Doby* na uwagę zasługują: Hajka *Moderni Japan* (Japonia), referat Dr. Buliřa o VIII międzynarodowym zjeździe przeciwalkoholicznym w Wiedniu i ciekawa pedagogiczna rozprawka *Duch lidoveho školstvi ve Francouzsku.*

Znajdujemy i tutaj studyum o zaludnieniu Śląska, dalej artykuły o potrzebie szkół dla idyotów, o śmiertelności w warstwach robotniczych w Czechach i o czeskich uniwersytetach ludowych. Z zakresu literackiej krytyki trzy zaledwie prace w roczniku tym pomieszczono, Krejčiho o pieśniarce niemieckiej z połowy minionego stulecia, Maryi Ebnerowej z Eschenbachu, tegoż autora studyum o Ruskinie jako

socyologu, i Hofmana szkic okolicznościowy, poświęcony niemieckiemu romantykowi, Lenau'owi.

W dziale oceny literackiej znajdujemy recenzye kilkunastu dzieł polskich tak naukowych (Brückner) jak i beletrystycznych (Przybyszewski, Sienkiewicz, Zapolska), a także utworów z innych piśmiennictw przeważnie jednak tych, które wyszły w czeskich przekładach. Bogato też przedstawia się i rubryka sprawozdań z życia naukowego i postępu wynalazków. Najobfitszy jednak dział stanowi przegląd polityki współczesnej, gospodarstwa narodowego i państwowego, oraz wiadomości z dziedziny rolnictwa, handlu i przemysłu. Szkolnictwu poświęcone są także spore stronice i karty. Krótko mówiąc, życie socyalne ma w miesięczniku *Nasza Doba* obraz swój i odbicie jasne.

Česká Revue, pismo w duchu wolnomyślnym, zawiera kilka rozpraw przeważnie z dziedziny nauk społecznych. Jest tu praca o „agrarnych reformach w Tyrolu", o stowarzyszeniach we Francyi, Dr. R. Maršana *Z narodnostnich boju v Poznańsku*. Znany chorwacki pisarz i polityk, Szczepan Radić zabiera w *Czeskim Przeglądzie* głos dwukrotnie. W jednym artykule daje szkic dziejów wyrównania finansowego między Chorwacyą a Węgrami. Drugim razem kreśli przyczyny najświeższego konfliktu między Bułgarami a Serbami w Macedonii.

Nas interesuje i dotyczy poniekąd rzecz Dra Jarosława Pluhaŕa: *České uzemi na Těšinsku dle sčitaní lidu 1900*. Autor zajmuje się statystyką ludności księstwa Cieszyńskiego i dochodzi do wyniku, że Czesi zaludniają cały obwód frydecki, połowę bogumińskiego, szóstą część frysztackiego, a dziesiątą zaledwie cieszyńskiego okręgu. Przekonywa się badacz, że, choć żywioł czeski odporniejszy przeciw bałwanom germańskim niż żywioł polski, przecież odsetkowo w ostatnim lat dziesiątku nieco się zmniejszył. Wprawdzie w 1890 było w Cieszyńskiem Czechów 73.897, a w r. 1900 więcej, bo 85.648, w roku jednak 1890 stanowili 26·1% obywateli, gdy przed dwu laty tylko 24·3% ludności.

Między światem polskim a *Czeskim Przeglądem* stale i żywo pośredniczą dwaj wybitni literaci: Dr. Prusik i Dr. Karásek. Dłuższą wzmiankę, okraszoną własnemi myślami, poświęcił Karásek artykułowi R. Zawilińskiego: „My i oni" (z *Przeglądu powszechnego*) oraz klubowi słowiańskiemu w Krakowie. Ich pióra skreśliły tu szereg sylwetek naszych pisarzy (Małecki, Nehring, Bełcikowski, Maciejowski, Zaleski). Piękne wspomnienie poświęcono Dygasińskiemu. Mamy tu i przegląd

polskiej beletrystyki za rok 1901, obraz działalności Towarzystwa oświaty ludowej we Lwowie i ocenę ważniejszych pojawów literackich u nas np. „Młoda Polska“ Mazanowskiego, Szablowskiego „Z ojczyzny pobratymców“ i t. d. Cóż dopiero mówić o całym szeregu drobnych sprawozdań i wiadomości z polskiej nauki, czasopiśmiennictwa i dziennikarstwa. *Česká Revue* zajmuje się życiem naszem duchowem nie mniej niż my sami.

Wspaniałem wydawnictwem, bogato i artystycznie ilustrowanem, jest miesięcznik *Nový Život*, wychodzący już lat 7 w Nowym Jičinie na Morawach. Jest to pismo modernistyczne w rodzaju naszej *Chimery*, ale bez „chimery“, stojące na podstawie katolickiej. Stąd też treść obfituje w prace religijno-naukowe. W ostatnim roczniku pismo to szczególnie się zajmowało stosunkiem religii i sztuki wzajemnym. Znajdujemy też tutaj myśli „O katolickiej literaturze i sztuce“ Dr. Ehrhardta, tłumaczenie dwu broszur prof. Zdziechowskiego, mianowicie „Katolicyzm a sztuka“ i „Idea chrześcijańska w społeczeństwie polskiem“. Ciekawy jest artykuł redaktora *Nowego Żywota* p. n. „Co to jest katolicki modernizm czeski?“. Za autorem krótko powtórzymy, że jest to „reformacyjny prąd głównie młodszego duchowieństwa i katolickiej inteligencyi świeckiej, kupiącej się około czasopism: *Nový Život, Hlidka, Rozvoj, Rozkvět, Mane, Bilý prapor (Biały sztandar* w przeciwieństwie do „czerwonego“) i t. p. Program tego kierunku, który dziś już bardzo silny jest, da się krótko określić zdaniem: „stosownemi reformami nową dobę (sztuki) zespolić z wiarą katolicką“.

W duchu katolickim pisane są i inne prace jak „O chrześcijaństwie i katolicyzmie“, „chrześcijaństwie Chrystusowem“, „chrześcijaństwie i jego walkach“. Polemika z prądem i kierunkiem prof. Masaryka zajmuje też sporo miejsca w VII roczniku *Nowego Żywota*. Polemika jednak przeprowadzona naukowo, więc też pouczająca.

Pióro redakcyjne skreśliło tu jeszcze piękne wspomnienie, poświęcone niedawno zmarłemu ks. Krausowi, znawcy sztuki chrześcijańskiej i katakomb.

Z zeszytem styczniowym (1903) rozpoczyna *Nowy Żywot* ósmy rok życia pięknego. Na pochwałę pisma nie możemy nic lepszego powiedzieć, jak: obyśmy jak najprędzej podobne pismo mogli zobaczyć w języku polskim na stołach polskich i w rękach polskich czytelników.

Jan Magiera.

Vienac zabavi i pouci. Tečaj XXXIV. Uredili dr. Gjuro Arnold, dr. Stjepan Bosanac i dr. Milan Šenoa. Izdaje „Matica Hrvatska". Zagreb 1902. („Wieniec" czasopismo poświęcone rozrywce i nauce. Rocznik XXXIV. Wydaje „Macierz Chorwacka").

Jak działalność czeskiej „Macierzy szkolnej" bogatą jest w owoce, którymi są liczne szkoły średnie i niższe narodowe, tak znowu „Matica Hrvatska" ogromną uwagę zwraca na wydawnictwa tanie a pożyteczne. Świadczą o tem cenne i liczne książki naukowej i literackiej treści, jakie „Macierz" corocznie swym członkom rozsyła. Za rok np. zeszły wyszło takich dzieł 9. O treści ich będziemy mieli jeszcze sposobność pomówić. Nadto wydaje bogato obrazkowany tygodnik *Vienac*, rodzaj naszego *Tygodnika illustrowanego*, a przedpłata tego czasopisma wynosi tylko 14 K. rocznie z przesyłką.

Wieniec poezyi rocznika najnowszego uwity z kwiecia bardzo wielu pieśniarzy. W ich liczbie i sędziwy Iwan Truski i młodszy Trešić Paviczić („Elizejskie pola", „Modlitwa Sokratesa") i najmłodszy V. Badalić, poświęcający tu melodyę muzy swej niezapomnianej pamięci ojcu, poecie Hugo Badalićowi. Widnieje tu i imię Nikolića Mihovila, Miletića i Kranjevića, którego wysoko cenią młodsi, którego pieśni w przekładzie polskim (choć jeszcze w rękopisie) czytać miałem sposobność. Są i przekłady rymów obcych i tak ułamki z „Fausta", które w spuściźnie pośmiertnej pozostawił Hugo Badalić. Hranilović przełożył pieśń Konopnickiej „A na co wam?"

O wiele więcej obok prozy oryginalnej mamy przekładów prozaicznych. Są tłumaczenia Daudeta, Maupassanta, ze słowiańskich: Czecha Swatopluka, Zeyera (El Cristo de la Luz), Czechowa, Danczenki, Potapenki („Sześcioro") i Sieroszewskiego „Na wygnaniu" (U Progoustvu) w przekładzie J. Maticy, który świeżo co wydał przekład Kraszewskiego „Morituri" i „Resurrecturi".

Wśród szkiców, artykułów i rozprawek treści naukowej dwie rzeczy zwracają uwagę czytelnika polskiego M. Šarić pisze o St. Szczepanowskim i daje wcale szeroki obraz jego działalności. Stjepan Radić, umysł głęboki i znany chorwacki idealista, poświęca dłuższy artykuł p. n. *Neobična pojava u poljskom pjesništvu* (Niezwyczajny objaw w poezyi polskiej) rozbiorowi i ocenie poematów polskiego rymotwórcy Lumira (Eysmonta) wydanych w 1900—1902 w 4 tomikach zwłaszcza zaś jego utworowi dramatycznemu „słowianopolskiemu": „Walka idei". Marzyciel południowo-słowiański cieszy się, że wśród narodu, uważanego za „przedstawiciela słowiańskiego partykularyzmu" znalazł się

pieśniarz, który podniósł ideę Kollara. „Walkę idei“ uważa Radić za „najwierniejszy obraz zapasów słowiańsko-germańskich przez całe 1000 lat na szerokiej równinie między Łabą a Wisłą“. Twórca poematu postawiony tu jest bardzo wysoko, dla jego myśli krytyk niema słów zapału. Dzieło Lumira podobno z wielkiem zajęciem czyta najlepszy znawca prawa słowiańskiego prof. Franjo Spevec, jak nas krytyk powiadamia. U nas jeno nie czytamy nigdzie dokładniejszej wzmianki o tych poematach.

Nie mówimy tu o rycinach i ilustracyach, w jakie bogaty jest *Vienac*. Wspomnimy tylko, że liczne są sprawozdania z ruchu naukowego i artystycznego chorwackiego i innych narodów. Wyjmijmy to, co nas dotyczy.

Oprócz krótkiego przeglądu czasopiśmiennictwa naszego w Warszawie dał *Vienac* swoim czytelnikom pełną garść wiadomości drobnych z życia umysłowego polskiego. Czytamy wzmianki o „Jeńcach“ Rydla z wyimkami przytoczonymi, o Ostaszewskiego „Z krainy 100 wysp“, Szabłowskiego „Z ojczyzny pobratymców“, recenzye dzieła Matlakowskiego, Mazanowskiego „Młodej Polski“, kilka uwag o „Legendach“ Niemojewskiego z punktu katolickiego wypowiedzianych i t. p. Szereg dłuższych wiadomości i sprawozdań, poświęconych jest dziełu prof. Zdziechowskiego „Odrodzenie Chorwacyi w. XIX“. W miarę bowiem, jak praca ta ukazywała się częściami w *Przeglądzie Polskim*, sprawozdawca z każdego ustępu podawał informacye osobno. Oczywiście, że żaden odczyt w klubie słowiańskim naszym nie pozostał bez echa w *Viencu*, zdarzenie takie, jak jubileusz któregoś z naszych pisarzy lub śmierci jakiego z polskich autorów, znalazły tu swoje echo. Ze sztuki naszej spotykamy reprodukcye tylko dwu obrazów Siemiradzkiego i jednego Matejki.

Objętości rocznika (843 stronic folio) odpowiada bogata treść, treść wcale rozmaita, interesująca i polskiego czytelnika.

J. M.

Dom in svet. List s podobami za leposlovje in znanstvo. Uredila dr. M. Opeka in dr. Eu. Lampe. Letnik XV. Ljubljani 1902. („Ojczyzna i świat“ czasopismo obrazkowe, poświęcone piśmiennictwu i nauce, pod redakcyą dr. M. O. i dr. E. L. Rocznik XV. Lublana 1902).

Krótki rzut oka na rocznik XV tego wydawnictwa mówi nam, że autorów i pieśniarzy, którzy tu „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“ złożyli, już znamy. Imiona to te same, które czytaliśmy

w roczniku przedostatnim. Pieśni Antoniego Medweda zajmują sporą wiązankę w wieńcu lirycznym *Dom in sveta.* Z 49 krótszych utworów uwite są jego *Trtje in povrtje* (Polne i ogrodowe krzaki). Woła wprawdzie poeta przed pieśnią:

Vina mi natoči
dragi prijatelj moj!

Pieśń jego przecież jest bardzo poważna i dotyka wątków poważnych. Myśl jego na różnem tle spoczywa, narodowem, politycznem, muza jego czepia się i życia codziennego, czasem jej słowa i krytyczną lub satyryczną solą zaprawione np. kiedy się pyta:

Ali ni več poezije?
Ali smo privezali
Pegaza v temotno stajo?

czasem pieśniarz jest i dowcipny jak w kalemburycznej pieśni XXXIII o języku, ośle i owcy, złączonych w nazwie językoznawcy (po słowieńsku *(jezik, osel, ovče — jezikoslovče).*

Znany nam już i Silviu Sardenko wyśpiewał tu długi szereg pieśni, ulotnych i dłuższych, jak *Svetonočne romance* i *Nove stopinje.* Treścią jednych i drugich uczucie religijne. „Nowe stopnie" zaczynają się 11 wierszową „Pieśnią moich pieśni". Każdy z tych wierszy jest następnie napisem pojedynczych hymnów i pieśni.

Podawać treści lub nazwy powieści, powiastek i scenicznych utworów, których liczba spora w tym roczniku, uważamy za rzecz zbyteczną, podnieść jednak należy to, co nas może więcej zająć i obchodzić. I tak mamy tu obszerny opis ziem i krain *Od Save do Bosfora.* Autor Iwan Knific, odbył podróż etnograficzną i geograficzną przez Serbię, Bułgaryę, Rumunię aż do Carogrodu i opisał ją czytelnikom *Dom in svetu,* zdobiąc swe opowiadanie obrazkami ważniejszych widoków. Prace i studya z różnych dziedzin nauki tu mamy, nawet tak specyalne jak botaniczna rozprawka, w której spory jest słowniczek roślinnych nazw łacińskich i słowieńskich. Wielka to zasługa pisma względem języka ojczystego, skoro się zważy, że Słowieńcy nie posiadają naukowych wydawnictw tego rodzaju, jak np. nasze wydawnictwa akademii. Dla nauki słowieńskiej też ma wartość znaczną rozprawka o „słowieńszczyźnie w seminaryach". Rzecz znowu ważna, skoro język ten nie kształci się w szkołach wyższych, a od niedawna zaczęto się nim posługiwać naukowo w średnich, gdy w seminaryach duchownych od dawna w mowie tej nauki podawano. Etymologią imion miejscowości krainy zajmuje się artykuł *Slovar slovenskih krajevnih imen.*

Kollara *Slavy dcera* (Córka sławy) ma tu rozbiór i ocenę krytyczną. Fr. Ks. G. skreślił sylwetkę Korolenki, Steklasa dał portret historyczny bana chorwackiego Jelačića (1801—1859). Piękne i dłuższe studyum literackie poświęcił Milan Pajk matce swej Paulinie Pajkowej (1854—1901), czynnej bardzo i zasłużonej pisarce słowieńskiej.

Obszerne ustronie wyznaczono na przegląd piśmiennictw słowiańskich i innych oraz na drobniejsze wiadomości. Czytamy tu o naszej wszechnicy ludowej, o Harmonii krakowskiej, jest coś i o polskiem Towarzystwie Przyjaciół sztuk pięknych, nawet sylwetki i życiorysy okolicznościowe Małeckiego, Zaleskiego, Konopnickiej, słów parę o Popielu, Ajdukiewiczu i Nenckim. Jest i sprawozdanie z wystawy technicznej lwowskiej. Aforyzmy Szczepanowskiego znalazły nawet tłumacza. Istotnie wiadomości nawet drobnych więcej tu o nas, niż u nas o nich. Z jakąż to radością (niezasłużoną) czyta się artykuł *Poljaki o Slovencih*. Autor chwali nas, że klub słowiański w Krakowie zajmuje się Słowieńcami, że członkowie jego i czasopisma nasze zapoznają Polaków ze światem słowiańskim. Zachwycony tem powiada: „Tak w krótkim czasie wytworzyła się żywa i stała łączność między Polakami a Słowieńcami. Aby ta łączność miała jeszcze obfitsze owoce, musimy się bardziej, niż dotąd, zająć Polakami i ich wysoko rozkwitłą kulturą i sztuką narodową".

J. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

ZWIĄZEK KATOLICKIEJ PRASY W BAWARYI.

O potrzebie katolickiej prasy wielu nie wątpi, nie postępuje się jednak wszędzie z teoryi do czynu. To też budzące się w tym kierunku życie katolickiej Bawaryi każdy nieuprzedzony powitać musi z radością. I tam, — jak świadczy odezwa, zachęcająca wszystkich katolików do przyłączenia się do związku katolickiej prasy, — rozporządza wrogo dla Kościoła usposobiona prasa daleko liczniejszem gronem czytelników, o wiele większym rozgłosem się cieszy, niż prasa katolicka. Ustawiczne napaści i oszczerstwa przeciw katolicyzmowi, a szczególniej ataki przeciw Sakramentowi spowiedzi, przekonały wreszcie katolików Bawaryi, że już czas obmyśleć środki obrony, bo złe szerzy się w sposób zastraszający, nawet w tych wsiach i zakątkach górskich, gdzie dotąd nigdy jeszcze nie zawitał żaden dziennik, czy broszura. Oto przyczyna i uzasadnienie powstania związku katolickiej prasy w Bawaryi. Podwójny cel założyło sobie to stowarzyszenie: „popierać katolicką prasę i bronić się przeciw wrogo dla Kościoła usposobionym pismom“. Praktycznie obmyślano środki, do tego celu wiodące, a mianowicie: 1) rozszerzanie istniejących katolickich dzienników lub czasopism i w ogóle wszystkich katolickich wydawnictw wśród

osób prywatnych, w gospodach, dworcach kolejowych i czytelniach publicznych, 2) popieranie katolickich pism przez prenumeratę, udzielanie ogłoszeń, współpracownictwo, 3) jeżeli potrzeba tego wymagać będzie, pomoc przy zakładaniu nowych lub reformie istniejących dzienników katolickich. Cel wytyczony jasno a zwięźle, środki istotnie trafne i szczegółowe.

A działalność? Ekonomiczne poparcie istniejących wydawnictw katolickich w Bawaryi uchodzi z natury rzeczy oka niewtajemniczonego sprawozdawcy, ale i poza tem zbyt widoczną jest czynność związku w założeniu parlamentarnego biura korespondencyjnego dla centrum bawarskiego sejmu; zasługą jest też związku, że coraz bardziej wyplenia się w składach księgarskich na dworcach kolejowych bezwyznaniową tandetę literacką, a jej miejsce coraz liczniej zajmują wyborowe wydawnictwa katolickie.

Działalność związku występuje także na jaw na licznych zgromadzeniach publicznych, zwołanych w tym celu, aby coraz szersze koła katolików przekonać o potrzebie, a zachęcić do czynnego poparcia prasy katolickiej. Na jednem z takich zgromadzeń, w lecie roku ubiegłego, generalny wikaryusz z Eichstätt, dr. Triller doskonale skreślił usposobienie czytającej publiczności w Bawaryi i wykazał źródło powodzenia bezwyznaniowej prasy. Nie od rzeczy będzie bliższe zaznajomienie się z tą doniosłą dla związku mową, bo niejeden szczegół zastosować się da jota w jotę do ogółu czytelników naszych polskich wydawnictw.

Zdaniem dra Trillera, wielki procent ludności bawarskiej nie ma swego własnego, niezależnego sądu, zupełnie jest obojętny na znaczenie i kierunek przekonań poszczególnych pism. Aksyomatem tych ludzi jest zdanie: „Wszystko mi jedno, co czytam, byle to tylko mało kosztowało“. Jak bezwyznaniowa prasa wyzyskać umiała to usposobienie czytelników, dowodzi powodzenie gazety *Münchener Extrablatt* i ludowego jej organu *Hallodri*. Żydowskie towarzystwo akcyjne, którego własnością są oba te dzienniki, wszędzie rozesłało swych agentów, ofiarując im rabat wynoszący z początku połowę, a później tylko

trzecią część prenumeraty. Prenumerata tygodniowa wynosiła z początku 10, później 15 fen. Owocem działalności agentów była w krótkim czasie osiągnięta liczba 100.000 prenumeratorów. Nagle ukazuje się ten dziennik w najodleglejszych wioskach, w najuboższych nawet dzielnicach, gdzie nigdy jeszcze przedtem gazet nie widziano. To skutki spekulacyi na niedoświadczonych i nieobliczających, ile też razem na roczną prenumeratę wydają, prostaczkach, którym w zamian ofiarowuje się pismo zawierające niemoralne obrazy i ogłoszenia polecające książki niemoralne i przeciw-religijne. Taksamo postępuje współzawodnik pierwszego, tej samej co i on wartości, dziennik *Münchener Zeitung*. Jako środek zaradczy na to szerzące się złe, poleca mowca ustanowienie w każdej bawarskiej parafii członka związku katolickiej prasy, któryby i sam i w łączności z innymi członkami paraliżować potrafił zgubną działalność agentów wrogiej kościołowi prasy. Wzywa następnie wszystkich katolików do domagania się w restauracyach, zajazdach i dworcach kolejowych pism o uznanym katolickim charakterze. Największem wreszcie źródłem potęgi dzienników są o g ł o s z e n i a, ponieważ one to przynoszą największe dochody i przysparzają czytelników. Chcąc więc mieć katolicką prasę, należy ogłoszenia polecać nie innym, ale tylko katolickim dziennikom. Całą nędzę katolickiej prasy w Bawaryi wyświetla jasno fakt, że niemal wszystkie ogłoszenia rządowe pojawiają się tylko w nie-katolickich dziennikach. Inicyatywa zmiany tych stosunków musi wyjść z ogółu katolickiego ludu. Jeżeli dzienniki katolickie uzyskają odpowiednią liczbę czytelników, jeżeli ich zewsząd domagać się będą, to i rząd z pewnością tym tylko dziennikom powierzać będzie swe ogłoszenia.

Oprócz tego powaga dzienników bezwyznaniowych opiera się głównie na rozprawach uczonych współpracowników. Całe szeregi profesorów uniwersytetów umieszcza w nich swe prace. Jeżeli więc za ich przykładem katoliccy profesorzy najważniejsze zagadnienia społeczne omawiać będą w dziennikach katolickich, wzmoże się ich wpływ i liczba czytelników.

Znamiennym nadto objawem działalności związku katoli-

ckiej prasy jest założenie czytelń katolickich w licznych już okręgach. Z rozmaitych stron dochodzą głosy wdzięczności i uznania za rozszerzenie literatury katolickiej. Ze zdziwieniem przekonywa się coraz szersza publiczność, że i po stronie katolickiej rozwija się i kwitnie nauka. Jeden z uczonych czytelników, prawnik, przyznaje, że nie czytał jeszcze bardziej zajmującego a gruntownego opracowania kwestyi socyalnej jak w dodatkach do *Stimmen aus Maria-Laach.*

Jak praktycznem jest wewnętrzne urządzenie czytelń związku, świadczy o tem okólnik czytelni z Neumarkt. Dowiadujemy się z niego, że każde czasopismo obiega kolejno w przeciągu 8—12 tygodni tych członków, którzy wyrazili życzenie, aby im je przysyłano, i to porządkiem oznaczonym wyciągniętym numerem losu. Zamawiając naprzykład trzy czasopisma i wyciągnąwszy los w pierwszem 3, w drugiem 11, w trzeciem czasopiśmie 1, otrzymuje się pierwsze w trzecim tygodniu po ukazaniu się najnowszego numeru, drugie w jedynastym, trzecie w pierwszym zaraz tygodniu. Czasopisma przeczytane przechodzą losem na własność biblioteki ludowej lub parafialnej w danym okręgu.

Wreszcie praca nad wykształceniem ludu przez ludowe biblioteki, czytelnie, wykłady jest polem działalności, a zarazem i zasługi związku katolickiej prasy. Tem większa daje się odczuwać potrzeba pracy katolików na tem polu, gdy się zważy, do jak świetnych rezultatów dochodzą w tym właśnie kierunku nieprzyjaciele Kościoła, zyskując wpływ i poparcie zamiarów swoich poszczególnych stronnictw. Berlińskie np. stowarzyszenie oświaty ludowej, popierane od r. 1899 rocznym zasiłkiem ministeryum oświaty w kwocie 50—70.000 marek, w samym Berlinie wypożyczyło w ubiegłym roku milion tomów; w jednej tylko dzielnicy robotniczej jedna biblioteka wypożyczyła 123.000 książek. Towarzystwo to z końcem roku 1901 liczyło 6.237 członków, a w poszczególnych swoich związkach ma rocznie do 15.000 odczytów. Odczyty te, jak donosi sprawozdanie tegoż Towarzystwa, rozszerzyły się nawet po najmniejszych wioskach. W rozmaitych częściach państwa założyło to stowarzyszenie

538 bibliotek ludowych nowych i uposażyło je 29.859 książkami i uzupełniło 683 biblioteki 15.108 książkami; to było owocem działalności w jednym tylko roku. Napróżno wśród tych, pokarmu duchowego dostarczających ludowi, książek i czasopism szukalibyśmy dzieł katolickich; zresztą słowa protestanckiego pastora hannowerskiego, dra Pfannkuche przekonywują nas, że najulubieńszą lekturą robotnika północno-niemieckiego są takie książki jak romanse Zoli, Bebla *die Frau* i Corwin'a *Pfaffenspiegel.* Ostatnie to dzieło sam pastor uważa za „plugawy paszkwil najpodlejszego gatunku". Ostatni więc czas na obronę katolickiej sprawy. Skutki zgubnej dla Kościoła działalności i potrzeba skutecznej obrony katolicyzmu podobne u nas, jak i w Bawaryi, więc i środki zaradcze nie inne też być powinny.

NOWE USTAWODAWSTWO ANGIELSKIE W SPRAWIE SZKÓŁ LUDOWYCH.

Skupionej i silnej organizacyi, dzielnej obronie swego posterunku i praw sobie należnych ma do zawdzięczenia kościół angielski nowe zwycięstwo nad stronnictwem sekciarskiem i bezwyznaniowem. Skreślono już na tem miejscu[1] obraz dotychczasowych stosunków na polu niższego szkolnictwa angielskiego, wskazano na upośledzone stanowisko szkół wyznaniowych wogóle, a katolickich w szczególności, na dzielną akcyę katolików w sprawie wniosku Balfoura, polepszającego bądź co bądź, pomimo niektóre usterki, stanowisko szkół katolickich, a przez to i całego Kościoła. Ostatni miesiąc ubiegłego roku przyniósł ostateczne przyjęcie wniosku rządowego, a przez to zaznaczył się chlubnie w dziejach oświaty nowszych czasów, wyzwolił miliony katolików z niewoli bezwyznaniowego despotyzmu.

Przez cały rok ubiegły toczyły się spory między stronnictwami w parlamencie i w prasie w kwestyi nowego bilu Balfoura. Katolicy z początku z niedowierzaniem patrzyli na wnioskodawcę, bo i poprzednia jego sława jako filozofa nie mogła wzbudzać w nich ufności i wniosek sam dopiero po rozmaitych

[1] *Przegląd Powszechny*, t. LXXV, str. 263 i n.

uzupełnieniach i poprawkach mógł pozyskać uznanie i poparcie katolickiego stronnictwa. Wreszcie przechylił się episkopat a za nim cały świat katolicki na stronę wniosku, który zapewnia równouprawnienie i opiekę państwa wszystkim szkołom bez względu na to, czy zawdzięczają one swe istnienie dobrowolnym składkom, czy też subwencyom rządowym, czy są szkołami wyznaniowemi czy bezwyznaniowemi. Prawo miało zabezpieczyć swobodny rozwój pierwszym, liczącym 3,054.709 dzieci, równie jak popierało dotąd drugie, daleko mniejszą cieszące się liczbą uczniów, bo tylko 2,703.434. Wystarczy przypomnieć, że dotąd te ostatnie, prócz innych jeszcze licznych dodatków państwowych, otrzymywały od rządu za każde kształcące się dziecko o $14^1/_2$ sh. więcej.

Z natury rzeczy przeciwnikami takiego wniosku prawnego byli obrońcy dawnego porządku rzeczy, więc liberalni posłowie i t. zw. „nonkonformiści“; wreszcie, rzecz niezwykła, oświadczyli się przeciw polepszającemu stan katolicyzmu prawu — niektórzy irlandzcy posłowie katoliccy. Przez pewien czas zdawało się, że przeciwnicy wniosku gorliwszą rozwijają działalność, niż jego obrońcy. Najwpływowsze dzienniki, jak *Nineteenth Century, Contemporary Review* i *Fortnigthly Review*, jakby na dany z góry znak, w czambuł potępiły i odrzuciły nowe prawo. W parlamencie każdy poszczególny ustęp prawa poddawano surowej krytyce, uzupełniano rozlicznemi poprawkami, w tym niedość utajonym zamiarze, aby istotę rzeczy zupełnie pognębić. W wystosowanym w lipcu do *Times'a* liście, potępia kard. Vaughan tę taktykę, zwalcza w szczególności wniosek Cowper-Temple'a, ograniczający naukę religii w szkołach ludowych na dwie tylko godziny tygodniowo. Poparło go w tej obronie słusznych katolickich praw walne zgromadzenie stowarzyszenia Catholic Truth Society. Wpływowy znawca stosunków szkolnictwa ludowego, sir John Gorst wystąpił w październikowym zeszycie *Nineteenth Century* z gruntownymi wywodami, popierającymi wniosek rządowy, a zwłaszcza tę tak nienawistną liberałom i nonkonformistom klauzulę, oddającą zabudowania szkół wyznaniowych państwu, ale przyznającą przytem przedstawicielom poszczególnych

wyznań prawo dowolnego doboru sił nauczycielskich. Że państwo przytem żadnego nie ponosi uszczerbku, dowodzi fakt, iż zabudowania wyznaniowych szkół przedstawiają łączną wartość 40 milionów funtów sterl., a już prawo przyrodzone przyznaje rodzicom prawo wyboru nauczycieli i wychowawców swych dzieci. Uchwalono wreszcie w maju bil Balfoura w drugiem czytaniu przeważną większością 213 głosów, i wspomnianą klauzulę 7ą większością 118 głosów.

Usługę niemałą oddał nowemu prawu minister kolonij, Chamberlain, dowodząc w Birmingham zgromadzeniu liberalnych unionistów, że odrzucenie bilu sprowadzi za sobą upadek całego ministeryum.

Jakżeż jednak mogli sprzeciwiać się nowemu prawu irlandzcy, katoliccy posłowie?

Nic nie wskórały głosy angielskiego i irlandzkiego episkopatu. Wystąpienie irlandzkiego posła, Dillon'a, podającego w wątpliwość wyznaniowy charakter szkół, groziło blizkiem obaleniem prawa. Energiczne wystąpienie Balfour'a zażegnało niebezpieczeństwo, ale większość rządowa spadła tylko na 44 głosy. I z samego irlandzkiego grona gorącej obrony podjął się taki człowiek, jak poseł Healy, wybitny mowca, uczony i dyplomata. Stanowisko swoje określił w tych krótkich słowach: „Gdybym mógł przez odrzucenie tego prawa zapewnić samorząd mej ojczyźnie (Home Rule), pozbawiłbym ją tej korzyści, i nie pragnąłbym wolności jej okupywać zdaniem na łaskę i niełaskę duszy najbiedniejszego dziecięcia irlandzkiego". Było to wyznanie prawdziwego katolika, które oddźwięk znalazło w sercach wszystkich bez wyjątku posłów.

Towarzyszem Dillon'a, w sprawie odrzucenia bilu, był irlandzki poseł Davitt, który zbijał nowe prawo czysto z punktu narodowo-irlandzkiej polityki, odsuwając sprawy religijne na drugi plan. Zarzucał on biskupom angielskim i irlandzkim niegodziwe intencye w popieraniu bilu ministeryalnego. Wobec tego publicznego zarzutu nie mógł już milczeć kard. Vaughan, i w otwartym liście do irlandzkiego posła Redmond'a wzywa posłów tego nieszczęśliwego kraju do opamiętania się, odwo-

łuje się do ich stale i śmiało wyznawanych uczuć i przekonań katolickich. Całą kwestyę sporną ujmuje on w krótkiem i zwięzłem pytaniu: czy angielskiej ludności przysługuje swoboda uczenia w publicznych szkołach ludowych, na dogmatach opartej, nauki chrześcijańskiej? Zbija następnie wygórowane co najmniej żądanie „nonkonformistów“, aby szkolnictwo w Anglii stosowało się we wszystkiem do ich uprzedzeń, podnosi znaczenie nowego prawa jako obrony i warowni wolności i chrystyanizmu.

Jednomyślnie złączyli głos swój z głosem kardynała biskupi irlandzcy i cały kler niższy irlandzki, pracujący w Anglii. Liczne kongresy, a zwłaszcza odezwanie się kard. arcybiskupa Logue z Armagh potępiły zachowanie się garstki posłów irlandzkich, wyświetliły ich pobudki. Redmond nie odpowiedział na serdeczny list Vaughan'a, z przyjaciółmi swoimi opuścił Anglię przed uchwaleniem bilu. Za jego przykładem uparcie stali na swem stanowisku i inni irlandzcy przeciwnicy prawa szkolnego. Wprawdzie rząd angielski ciężko zawinił względem Irlandczyków, pozostawiając sprawę irlandzkich uniwersytetów w tem samem stadyum, w jakiem była przed 50 laty, nie uwzględnił słusznych ich a licznych zażaleń, czy to z względów politycznych, czy wiedziony religijnym fanatyzmem. A jednak Irlandya pogarsza jeszcze bardziej swe położenie polityczne, z lekceważenia katolickich interesów Anglii kując sobie broń zaczepną przeciw rządowi.

W ostatniem już stadyum obrad nad wnioskiem rządowym, dla obrony słusznych praw katolickich, widział się episkopat angielski zmuszonym do zażądania trzech uzupełnień i poprawek w bilu szkolnym. 4 grudnia wnoszą biskupi do Izby wyższej następującą prośbę: 1) Według bilu, państwo ma prawo wyznaczyć urzędników z obowiązkiem nadzoru nauki religii w szkole wyznaniowej. Katolicy jednak zezwolić nie mogą na to, aby obca władza mieszała się do sposobu uczenia katolickiej religii. 2) Prawo poleca kierownikom szkół katolickich ponosić koszta odnowień zabudowań szkolnych, które przechodzą na własność państwa. Przeciw temu niesprawiedliwemu żą-

daniu zastrzegają się biskupi. 3) Prawo szkolne z r. 1870 nie dość zabezpiecza mniejszości ludności (a więc w szczególności katolikom) udział w władzy nadzorczej szkół ludowych, prawo obecne punkt ten bardziej jeszcze zaciemnia, i wobec tego w praktyce udaremnia. Na pierwszą z tych poprawek nie zgodziła się Izba lordów, przyjmując drugą i trzecią. O ważności pierwszej poprawki nie może być wątpliwości, gdy się zważy, że z 8 członków, składających nadzorczą władzę, połowę stanowią wybrani członkowie rad miejskich, a drugą zaledwie połowę mają stanowić przedstawiciele tego wyznania, którego własnością była dotąd szkoła; gdy więc większość ludności stanowią anglikanie, z nich przeważnie składać się będzie władza nadzorcza, ona czuwać ma nad nauką religii katolickiej. Ważności drugiego uzupełnienia, wymaganego przez episkopat angielski, dowodzi okoliczność, że w samej tylko np. dyecezyi Salford naprawy zabudowań szkolnych kosztowały dotąd rocznie do 5.000 funtów szt. Długo już takich kosztów ponosićby nie mogła ofiarność prywatnych osób, którym na sercu leży rozwój katolicyzmu, a następstwem nieuniknionem byłoby zamknięcie wielu szkół katolickich. W sprawie trzeciej poprawki, wyjaśnienia dotyczącego ustępu prawa szkolnego, przyjęto wniosek Llandaff'a, aby powoływano na członków władzy nadzorczej, według ustaw związków szkół, radców kierujących dotąd szkolnictwem państwowem. Nakoniec zwołane w tym celu osobne zgromadzenie posłów irlandzkich, naprawiając błąd swych rodaków, usilnie poparło nowe prawo wraz z poprawkami przyjętemi przez Izbę lordów.

Istota nowego tego szkolnego ustawodawstwa leży w ustanowieniach dotyczących zawiadowania i zarządu szkół ludowych. Przewodnią jego myślą jest to, że wszystkie dzieci, do któregokolwiek wyznania należą, w równym stopniu cieszyć się mają opieką i poparciem władz państwowych. Wprawdzie władza i wpływ państwa na szkoły wzmogły się z uchwaleniem nowego prawa, ale prawo Kościoła, gmin i prywatnych osób, ich swoboda w zakładaniu nowych szkół publicznych pozostają nienaruszone. Naród angielski nie myśli, i słyszeć nawet nie

chce o monopolu państwowym w szkolnictwie, do którego np. dąży rząd francuzki.

Prawo to nie we wszystkiem jeszcze odpowiada słusznym pragnieniom i żądaniom katolików. Gdyby jednak irlandzcy posłowie katoliccy wszyscy byli popierali nowe prawo, z pewnością taka np. poprawka pierwsza, żądana przez episkopat, o której wyżej mówiliśmy, z pewnością nie mogłaby być odrzuconą.

Nie poprzestając na odniesionem na ustawodawczej drodze zwycięstwie, czuwają gorliwie katolicy nad wykonaniem nowego bilu. Każda dyecezya, opierając się na nowem prawie, ustanowiła u siebie związek szkolny, którego przedstawiciele obmyślają już z kard. Vaughan na czele sposoby zastosowania prawa szkolnego w praktyce. Leżeć im musi na sercu przedewszystkiem sprawa wyboru radców szkolnych w poszczególnych okręgach, zwłaszcza że i anglikanie pod wodzą biskupa Londynu wielkie już ku temu celowi czynią przygotowania.

Zresztą prawo samo tyle przysporzy katolikom korzyści, ile oni sami prawnymi środkami wykorzystać z niego potrafią.

Ks. K. Krokoszyński.

Ze świata nauk i wynalazków.

Telegraf bez drutu. Jego rozwój i przyszłość. — Resonancya optyczna. — Nowa teorya barw skrzydeł motyli. — X-pierwiastki.

Zdumiewająco szybki rozwój telegrafu bez drutu jest w swoim rodzaju jedynym przykładem w dziejach nauki. Przypomnijmy sobie, że nie tak dawno, boć już w roku 1896, a więc niespełna siedm lat temu, rozeszła się senzacyjna, przez wielu z niedowierzaniem przyjęta wiadomość, że włoskiemu elektrotechnikowi Marconiemu udało się przesłać depeszę za pomocą telegrafu bez drutu na przestrzeń niespełna dwóch kilometrów. Dziś zaś tą samą metodą łączy się nowym węzłem Ameryka z Europą, fale elektryczne przebiegają drogę dwóch tysięcy mil. Nadzwyczajne te rezultaty przypisać należy żelaznej, niezmordo-

wanej pracy i energii Marconiego, któremu obecnie naród włoski słusznie wyraża podziękowanie i uznanie w imieniu całego świata cywilizowanego. Wśród ciągłych badań i prac, wśród nieprzeliczonych nieudałych i udałych prób, wśród ustawicznych przeszkód stawianych mu nie tylko ze złej woli, z chciwości i z obawy przed konkurencyą, lecz także w dobrej wierze przez wielu ludzi nauki, niestrudzony ten pracownik z każdym rokiem coraz to dalej posuwał metę swych depesz i można powiedzieć, że wyniki jego pracy najśmielsze nawet przeszły oczekiwania. Jakie one są, to każdy wie z pism codziennych. Dziś stoimy już w początku epoki, kiedy telegraf bez drutu wchodzi w szereg zwykłych środków komunikacyi. Dobrze więc będzie rzucić okiem na całość systemu telegrafu bez drutu Marconiego, na jego zalety i wady i zebrać zdania fachowych, czego ludzkość z tego wynalazku spodziewać się może.

Mówić tu będziemy o systemie Marconiego, bo choć za przykładem tego badacza poszło wielu innych mniej lub więcej powołanych wynalazców i niema dziś prawie państwa cywilizowanego, jak pisze londyńska *Nature*, gdzieby nie istniało kilka lub więcej patentów, na rozmaitego rodzaju systemy telegrafy bez drutu, to przecież nad wszystkimi odniósł stanowcze zwycięstwo Marconi i na razie przynajmniej jego tylko system wchodzi w rachubę w międzynarodowych stosunkach. Jasną jest rzeczą, że w ciągu tych lat dziewięciu system Marconiego ciągłym podlegał przemianom. Pierwsze dalsze dystanse, jakie Marconi osiągnął, zawdzięcza on przedewszystkiem temu, że przyrząd tak odbierający jak i nadający łączył z bardzo wysoko, bo przeszło 100 metrów w górę sterczącymi drutami. Zadaniem tychże jest skuteczniejsze pochwytywanie i silniejsze wzbudzanie fal elektrycznych w eterze. Im dłuższe druty, tem działanie silniejsze, jednak przekonano się wkrótce, że w tym kierunku nie można iść bez końca; gdy druty przedłużono nad pewną miarę, dalsze ich powiększanie nie dawało już pomyślnych rezultatów. Marconi zwrócił więc następnie swą uwagę w inną stronę, mianowicie starał się ile możności powiększyć siłę pradu wzbudzającego fale elektryczne. To też najnowsze jego stacye nadawcze operują maszynami elektrycznemi o sile kilkudziesięciu koni. Łatwo zrozumieć, że im silniejszy prąd, tem też i fale elektryczne silniejsze, a więc tem dalej przesłać je można. Zdawałoby się, że takiemu powiększaniu siły elektrycznej nic nie może stanąć na przeszkodzie, boć przecież średnie już zakłady elektryczne, jak np. tramwaje w niewielkich miastach, rozporządzają maszynami elektrycznemi o sile kilkuset koni. Jednak napotyka się tu

trudności z innego względu. Najpierw wiadomo, że do przesłania każdego znaku z osobna trzeba przerywać prąd a takie szybkie otwieranie i zamykanie bardzo silnego prądu w praktyce niezmierne sprawia trudności; powtóre jasną jest rzeczą, że stacye o bardzo wielkiej sile prądu zakładać można tylko na lądzie, natomiast okręty, pociągi i t. p. urządzeń takich mieć nie mogą, to też zadowolnić się one muszą przesyłaniem depesz na mniejszą odległość, co najwyżej kilkuset mil.

Ważniejszą może jeszcze w praktyce kwestyą było wynalezienie czułego przyrządu, któryby odkrywał już bardzo słabe fale elektryczne, wzbudzone w eterze z jakiejś odległej stacyi. Z początku używano t. zw. koherera, t. j. rurki napełnionej opiłkami, lub kawałeczkami drobnymi metalu. Opiłki takie, które w zwykłych warunkach stawiają wielki opór prądowi elektrycznemu, pod działaniem fal elektrycznych stają się bardzo dobrymi przewodnikami. Później używał Marconi koherera wynalezionego przez telegrafistę marynarki włoskiej Castellego. W przyrządzie tym zamiast opiłek znajduje się kropla rtęci. Gdy fale elektryczne uderzą na taką kroplę, rtęć natychmiast zbliża się do przytykających do niej elektrod, przez co zmniejsza się opór elektryczny całego przyrządu. Gdy fale działać przestają, kropla przybiera swój kształt pierwotny. Z tym to właśnie przyrządem czynił Marconi swoje pierwsze tak głośne doświadczenia z telegrafowaniem do Ameryki. Niesłychanie ważnym krokiem naprzód był wynaleziony następnie przez Marconiego t. zw. detektor, wykrywacz magnetyczny, którego używa się odtąd w miejsce koherera z wielkiem powodzeniem. Polega on na tym fakcie, że żelazo pod działaniem fal elektrycznych zmienia swe własności magnetyczne. Przyrząd ten jest, jak się zdaje najczulszym ze wszystkich dotychczas znanych i oddaje też niezmierne usługi.

Z temi ulepszeniami telegraf bez drutu może już rzeczywiście być stosowanym w praktyce na szeroką skalę, jednak trzeba przyznać, że dalekim jest on jeszcze od doskonałości; bo najpierw nie wiadomo, czy i o ile wpływy atmosferyczne oddziaływać będą na przesyłanie depesz. Że takie wpływy muszą znaczną odgrywać rolę, to od razu jest widocznem i nawet, jak Marconi się przekonał, pora dnia nie jest obojętną; noc na stacyi nadawczej daleko więcej sprzyja rozchodzeniu się fal, aniżeli dzień. Dalej ta zasadnicza kwestya synchronizmu czyli współbrzmienia, polegająca na tem, żeby depesze wysłane odebrać mogła tylko ta stacya, dla której są przeznaczone. Wprawdzie Marconi twierdził, że kwestyę tę udało mu się pomyślnie rozwiązać i nawet

w liście otwartym wezwał jednego z krytyków swoich, znakomitego fizyka angielskiego Lodge'a, ażeby próbował pochwycić jakąkolwiek z wysłanych przezeń depesz i ofiarował w tym celu uczonemu profesorowi jednę ze swych stacyi telegraficznych, znajdującą się w pobliżu stacyi głównej w Poldhu. Na wezwanie to odpowiedział inny elektrotechnik Maskelyne, który przejął depesze wysłane do okrętu Carlo Alberto, jadącego do Włoch, wykazując tem samem nieprawdziwość zapewnień Marconiego. Tymczasem, jeżeli chodzi o telegrafy zamorskie, mianowicie o walkę zwycięską z kablami podmorskimi, jest rzeczą bezwarunkowo konieczną, by znaki przesyłane dostawać się mogły tylko do rąk powołanych. Jeżeli natomiast chodzi o telegrafowanie na mniejsze odległości, a zwłaszcza porozumiewanie się z okrętami, to synchronizm taki wcale nie byłby użytecznym, owszem daleko więcej pożądaną jest rzeczą, ażeby okręt znajdujący się na pełnem morza mógł porozumiewać się z którąkolwiek najbliższą stacyą telegraficzną.

Wiele się obecnie mówi o tem, jakie zadanie ma przed sobą telegraf bez drutu. Czy zdoła on wyprzeć zupełnie lub prawie zupełnie telegraf zwykłego systemu, to dziś trudno przewidzieć. Prawdopodobnie nie, a to z tego powodu, że manipulowanie przy przesyłaniu depesz telegrafem drutowym jest bez porównania szybszem, t. zn. bez porównania więcej słów wysłać można w minucie telegrafem zwykłym, niż telegrafem bez drutu. Zresztą nie mamy jeszcze właściwie pojęcia, na jakie przeszkody napotka telegraf bez drutu w praktyce, gdy zastosowanym zostanie na większą skalę. Przedewszystkiem zachodzi obawa, że jeżeli ponad oceany przesyłane będą potężne fale elektryczne, to może to uniemożliwi, a przynajmniej bardzo przeszkadzać będzie w porozumiewaniu się na bliższą odległość za pomocą fal znacznie słabszych; wtedy zaś niema wątpliwości, że telegrafy bez drutu zamorskie ustąpić muszą, gdyż z krajami zamorskimi porozumiewać się można za pomocą istniejących już kablów, gdy tymczasem dla okrętów, pociągów i stacyi wogóle ruchomych telegraf bez drutu jest jedynym i nieocenionym środkiem komunikacyi. Co się tyczy taniości, to już dzisiaj telegraf bez drutu zawiódł oczekiwania, i tak np. w Kanadzie towarzystwo telegraficzne kablowe niższe przedłożyło rządowi oferty, niż to uczynić zdołał Marconi. Wogóle cała praktyczna strona wynalazku jest jeszcze zupełnie nie zbadaną, bo jak wielokrotne pouczyły już doświadczenia, wynalazki od zielonego stolika najidealniej wyglądające, w praktyce coraz to nowe i nie dające się z góry przewidzieć sprawiały niespodzianki. Dość przypomnieć tramwaje, telefony i wodociągi. W każdym razie na od-

powiedź nie będziemy czekali długo, bo system Marconiego już teraz niezmiernie szerokie znajduje zastosowanie tak na lądzie, jak zwłaszcza na okrętach, z których dziś już wiele zaopatrzonych jest w przyrządy Marconiego i z pomocą tychże porozumiewają się między sobą i ze stacyami nadbrzeżnemi. Jak doświadczenia pokazały, okręt znajdujący się na dwa dni drogi od wybrzeża, może już przesyłać i odbierać z lądu depesze.

Niemałą zapewne z nowego tego wynalazku odniesie korzyść i nauka, zwłaszcza ta jej gałąź, która zupełnie prawie zależy od otrzymywania szybkich i równoczesnych wiadomości z jak największej ilości punktów na kuli ziemskiej, t. j. meteorologia. Wiadomo, że obecnie znaczna część powierzchni ziemi, bo oceany, z pod jej kontroli się usuwają. Otóż za pomocą telegrafu bez drutu można będzie otrzymywać wiadomości o stanie barometru, termometru kierunku wiatrów i t. p. ze wszystkich prawie punktów mórz, gdzie tylko znajdować się będą okręty i to nie, jak dotychczas, po kilku lub kilkunastu dniach, lecz natychmiast. Można też będzie w zamian przestrzedz okręty o zbliżających się burzach i zmianach pogody. Także zapewne niejedno niebezpieczeństwo w komunikacyi czy to morskiej czy lądowej da się za pomocą telegrafu bez drutu usunąć, że tylko wspomniemy zderzenie się pociągów lub okrętów w czasie mgły. W Ameryce czyniono już w tym kierunku próby i pokazało się, że na dziesięć do piętnastu minut przed przyjściem do stacyi pociąg mógł się ze stacyą porozumiewać. Na razie przeszkodą do porozumiewania się na dalszą odległość jest tu okoliczność, że wstrząśnienia, jakie w pociągu panują, nie dozwalają na używanie przyrządów najczulszych. W każdym razie, zważywszy, że w ciągu dziesięciu minut i najszybszy pociąg wstrzymać można, nie ulega wątpliwości, że za pomocą telegrafu bez drutu dałoby się uniknąć niejednego nieszczęścia w czasie ruchu.

Przybywa więc ludzkości nowy środek postępu i dobrobytu, nowy węzeł połączy fizycznie najdalsze zakątki ziemi. Oby tylko przyczynił się do zaciśnięcia węzłów moralnych i nie stał się, jak już tyle innych owoców wysiłków umysłu ludzkiego i nauki, owemi ramionami polipa, któremi kapitalizm i prawo silniejszego wyssysa soki społeczeństw i narodów słabszych.

Wspomnieliśmy w poprzednim ustępie, że Marconi posługuje się przy swym telegrafie t. zw. synchronizmem, czyli resonancyą elektryczną. Tem zjawiskiem chcielibyśmy się pod innym względem zająć tu

szczegółowo, gdyż właśnie w ostatnich czasach wchodzi ono na porządek dzienny po laboratoryach fizycznych i przyrodniczych. Nazwa resonancyi mogłaby tu wprowadzić łatwo w błąd, gdyż nie mamy tu do czynienia z jakiemś brzmieniem, czy dźwiękiem muzycznym, lecz wyłącznie ze zjawiskiem elektrycznem i optycznem. Używa się jej zaś tutaj tylko przez analogię, do określenia faktu znanego powszechnie w akustyce i nazwanego tamże współbrzmieniem. Wiadomo, że jeżeli postawimy na stole dwoje widełek strojowych, nastrojonych dokładnie na ten sam ton, i jedne z nich przez pociągnięcie smyczkiem wprawimy w silne drganie, to drugie widełki, chociaż zupełnie nietknięte, zaczynają wydawać dźwięk coraz głośniejszy, jak gdyby same ze siebie. Pochodzi to stąd, że fale głosowe, wywołane w powietrzu przez pierwsze widełki, uderzają o widełki drugie. Te uderzenia są wprawdzie bardzo słabe, jednak skutki ich sumują się i wkrótce pod ich wpływem widełki drugie rozbujają się na dobre, podobnie jak dzwon, który nawet słabe dziecko może silnie rozmachać, byle tylko regularnie i w stosownej chwili pociągało za linę. Istotną jest jednakże rzeczą w całem tem zjawisku, ażeby obie pary widełek były bardzo dokładnie nastrojone na ten sam ton. To jest jasne, bo tylko wtedy słabe uderzenia fal powietrznych będą się mogły sumować i wprawić w drganie olbrzymią stosunkowo masę widełek metalowych, gdy widełki same przez się wydają dźwięk o tym samym okresie. Podobnie i człowiek, jeżeli chce rozmachać wielki dzwon, nie może szarpać liną jakkolwiek, lecz zawsze w regularnych odstępach czasu, gdy dzwon znajduje się w odpowiedniem położeniu, inaczej bowiem jedno szarpnięcie znosiłoby drugie, i dzwon wisiałby spokojnie, albo poruszałby się lekko i nieregularnie, nie wydając żadnego dźwięku. Mówimy inaczej, że widełki każde, czyli każdy resonator odpowiada tylko na ton swój własny, t. j. na ten, na który jest nastrojony.

Przypomnijmy sobie teraz, jak powstaje światło. Oto cząstki ciała wykonują, podobnie, jak widełki wydające dźwięk, bardzo szybki ruch drgający, regularny, tam i napowrót; drganie to wzbudza w sposób dotychczas niewytłumaczony fale w eterze, które dochodząc do oka, wywołują wrażenie światła. Zupełnie tak samo tłumaczymy sobie obecnie fale elektryczne, gdyż między jednemi a drugiemi niema żadnej różnicy, jak tylko ta, że fale optyczne są znacznie krótsze. Otóż już dawniej stawiali sobie fizycy pytanie, czy nie możnaby podobnie jak w akustyce wywołać i w optyce takiego zjawiska współbrzmienia, albo raczej mówiąc ściślej, współdrgania cząstek ciał, i wywołać przez to fale

świetlne i elektryczne. Oczywiście, ponieważ fale wywołujące współbrzmienie muszą mieć ten sam okres, t. j. równie często po sobie następować, jak fale, które mają być przez resonator odbite, więc takie współdrganie, albo jak nazwano, resonancyą optyczną, można tylko wywołać zapomocą fal w eterze, a więc fal optycznych i elektrycznych. Tutaj więc, że powrócimy jeszcze raz do obrazu akustycznego, widełkami niejako, które mają wywołać współdrganie, będą cząstki ciała świecącego, np. cząstki słońca. Widełki zaś, które mają wydawać współbrzmienie, są to cząstki jakiegokolwiek ciała, tylko cząstki te muszą być niesłychanie drobne, bo drganie ich ma być nadzwyczaj szybkie, a pamiętać trzeba, że im ton wyższy, tem, wogóle mówiąc, widełki stroikowe muszą być mniejsze. W tem też leżała trudność tego doświadczenia, jak takie cząstki drobne otrzymać, albo raczej, jak je otrzymać w takiej formie, by je można dokładnie i wygodnie badać. Dopiero w ostatnich paru miesiącach angielski fizyk Wood [1], a przedewszystkiem rosyjski fizyk w Kijowie, Kossonogoff [2] pomyślnie to zadanie rozwiązali. Pokazało się, że cząstkami takiemi, które pod wpływem światła wprawiane być mogą w drganie, i przez to na odwrót wywołać wrażenie barwy, czyli takimi resonatorami optycznymi mogą być cząstki metalu, które otrzymywano w sposób następujący:

Do obszernej rurki szklanej wkładał Wood kawałeczek metalicznego sodu, następnie z rurki tej wypompowywał powietrze i ją zatapiał. Teraz powoli nad płomieniem gazowym rurkę poczęto ogrzewać, przez co sód metaliczny w niej zamknięty wyparował i osadzał się na ścianach rurki w postaci bardzo cienkiej warstwy o wspaniałych niebieskich lub czerwonych barwach. Pod mikroskopem pokazało się, że warstwy te składają się z bardzo drobnych cząstek metalu. Po bardzo żmudnych i dokładnych badaniach przekonano się, że barwa tej warstwy pochodziła stąd, że cząstki owe pod wpływem białego światła dziennego, które, jak wiadomo, jest mieszaniną wszystkich barw, pobudzane zostały do drgania o okresie, a więc o barwie odpowiedniej do swej wielkości.

Później warstwy takie nauczono się otrzymywać nie tylko ze sodu, lecz z innych metali, jak: złota, srebra i platyny. Kossonogoff sporządzał je w sposób rozmaity, i tak sole tych metali rozpuszczał w wodzie lub alkoholu, i roztwór ten rozpryskiwał na powierzchnię

---

[1] *Philosophical Magazine*, 1902, p. 396, 425.

[2] *Phisykalische Zeitschrift*, 1903, p. 208, 258.

mocno ogrzanego zwierciadła. Woda lub alkohol szybko odparowały, a na zwierciadle pozostała warstewka soli metalicznej z początku niewidzialna, którą pod wpływem dalszego ogrzewania rozkładano na pojedyncze, niezmiernie drobne ziarneczka metalu. Otrzymywał też Kossonogoff warstwy metalu w ten sposób, że z danego metalu sporządzał katodę w rurce Crookes'a, która, jak wiadomo, pod wpływem prądu zostaje rozpylana.

Taką warstwę metalu poddawał Kossonogoff rozmaitym badaniom, których główne rezultaty są następujące: Przedewszystkiem przekonano się, że barwa takiej warstwy nie zależy od natury metalu, lecz owszem z tego samego metalu można sporządzać warstwy o rozmaitych barwach. Nadto, gdy warstwy te ogrzewano lub oziębiano, barwa ich zmieniała się wraz z temperaturą, oczywiście, gdyż przez to zmieniała się także wielkość owych subtelnych ziarneczek. Gdy ziarenka te zbadano pod mikroskopem, pokazało się, że im barwa warstwy była o szybszem drganiu, tem ziarenka były mniejsze i tak największe były ziarenka warstw czerwonych, większe od zielonych, te zaś większe od niebieskich.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły licznych, bardzo skrupulatnie prowadzonych badań polaryzacyjnych i spektroskopicznych, jakie tak Wood, jak i Kossonogoff nad zjawiskiem tych barw dokonywali. Nadmienimy tylko, że wszystkie potwierdzają zdanie, iż przyczyną barw tych jest t. zw. resonancya optyczna. Mianowicie w świetle białem są wszystkie barwy, stąd na cząstki metalu podają fale o różnych okresach. Cząstki te jednak odpowiadają niejako na fale o długości odpowiedniej ich wielkości i stąd stają się na odwrót źródłem jednej tylko barwy. Ażeby to lepiej zrozumieć, wyobraźmy sobie, że mamy szereg widełek strojowych czyli resonatorów, nastrojonych na pewien ton. Gdy przy nich wzbudzimy szereg rozmaitych dźwięków, to resonatory te odpowiadać będą tylko na dźwięki odpowiednie ich wielkości, to jest na te, na które są nastrojone. I podobnie jak słuchającemu z boku, nieobeznanemu, zdawałoby się, że te resonatory wydają same z siebie pewien ton, tak wydaje się, że ta warstwa metalu ma pewne zabarwienie własne. Ona tymczasem sama jest, jak się pokazało, niawidzialną, a barwa jej, to tylko silne odbicie, resonancya, jednej barwy składowej światła białego.

Więcej jeszcze interesującym jest wniosek, jaki z tego odkrycia wyciągnął Kossonogoff. Oto przypuszcza on, że barwy skrzydeł motyli

i innych owadów tak bardzo zbliżone swym przepysznym połyskiem i żywością do barw dopiero co opisanych owych warstw metalicznych są właśnie spowodowane taką resonancyą optyczną. Dotychczas panowała pod tym względem inna teorya, t. zw. teorya barw interferencyjnych. Jednak hipotezę tą trudno było dostosować do wszystkich wypadków; natomiast hipoteza Kossonogoffa nadaje się do wielu przynajmniej motyli bardzo dobrze. Miejsca zabarwione na skrzydłach motyli uważane pod silnie powiększającym mikroskopem, pokryte są jak gdyby łuskami, z których każda jednym ostro zwężonym końcem tkwi w błonie skrzydła. Gdy łuskom tym przypatrzymy się dokładniej, dostrzeżemy, że wzdłuż nich ciągną się jak gdyby bruzdy, wśród których rozsiane są drobne bardzo ziarenka. Otóż te właśnie ziarenka wydają ze siebie według przypuszczeń Kossonogoffa, pod wpływem padających nań fal świetlnych, drgania, sprawiające owe barwy resonancyjne. Ażeby rzecz tę dokładntej zbadać, poddawał Kossonogoff ziarenka te ze skrzydeł motyli o różnych barwach, dokładnym pomiarom mikroskopicznym i stwierdził ten niezmiernie interesujący fakt, że przekrój tych ziarenek jest rozmaity, mianowicie mniej więcej równy długości fali tej barwy, jaką na odpowiedniem miejscu skrzydła motyla widzimy. Ażeby dać wyobrażenie o wielkościach, z jakiemi tu mamy do czynienia, przytoczymy kilka cyfr. I tak przekrój ziarenka, wzięty ze skrzydła czerwonego wynosi 796 milionowych części milimetra, a więc mniej więcej tak się ma do wielkości główki od szpilki, jak ta do kuli o średnicy 1 metra. Przekrój ziarenka z miejsca pomarańczowego 616 milionowych milimetra, z miejsca fioletowego 409, natomiast ziarenka z miejsc czarnych są najmniejsze, bo wynoszą tylko 395 milionowych — odpowiednio zupełnie do teoryi. Zapewne za śmiałem jest przypuszczenie Kossonogoffa, że tą teoryą barw resonancyjnych wytłumaczyć będzie można barwy wszystkich bez wyjątku owadów, a nawet barwy wszystkich ciał. Lecz w każdym razie hipoteza ta w wielu wypadkach mniej napotka trudności, niż dotychczasowa teorya barw interferencyjnych, a bądź co bądź, choćby swoją oryginalnością żywe już wywołała zainteresowanie.

Lat temu niewiele Röntgen, odkrywając swe promienie, uderzony ich zagadkową naturą, nazwał je promieniami X. Nazwa ta po części już się zatarła, gdyż świat naukowy nazwał te promienie imieniem ich wynalazcy, natomiast owo tajemnicze X występuje znowu we fizyce, wprawdzie nie w towarzystwie promieni, lecz w więcej realnem to-

warzystwie pierwiastków. Mieliśmy X-promienie, teraz otrzymujemy X-pierwiastki. Czem one są i skąd ta ich nazwa, będziemy się starali pokrótce opowiedzieć.

Wiadomo, że owe klasyczne cztery elementy, z których według podań filozofów greckich świat cały miał być utworzonym, rozpadły się pod wpływem nowoczesnej nauki na niezliczoną ilość ciał, zwanych związkami chemicznymi, które drogą analizy chemicznej udało się znowu rozłożyć, albo raczej sprowadzić do ciał nie dających się już w żaden sposób podzielić. Ciała te niedziałkie nazywamy pierwiastkami, a jest ich obecnie przeszło siedmdziesiąt. Przy takim rozkładzie połączeń chemicznych na owe pierwiastki, drogowskazem były prawie wyłącznie własności chemiczne ciał. Weźmy np. powietrze, które, jak wiemy, nie jest nawet związkiem chemicznym, lecz tylko mieszaniną rozmaitych pierwiastków, jak przedewszystkiem tlenu i azotu, a następnie argonu, neonu, kryptonu i innych gazów, a które także aż prawie do XVIII w. uważano za pierwiastek. Otóż łatwo jest powietrze takie rozłożyć na pojedyncze pierwiastki, te jednak, jakkolwiek na nich już potem będziemy działali, natury swojej nie zmienią. Mogą wprawdzie wchodzić w połączenia chemiczne z innemi ciałami, np. tlen z żelazem, ale jakkolwiek będziemy na tlen oddziaływali, zawsze on pozostanie tlenem, t. zn. własności swych nie zmieni. Mówimy, własności, rozumiejąc jednak przy tem tylko własności chemiczne. Tymczasem w ostatnich czasach przekonano się, że ciała prócz własności chemicznych posiadają jeszcze zdolność wysyłania ze siebie promieni dla oka niewidzialnych, bardzo analogicznych do promieni Röntgena, a objawiających się w ten sposób, że działają na płytę fotograficzną i rozładowują ciała naelektryzowane. Substancye obdarzone temi własnościami nazywamy radyoaktywnemi.

Połączmy jakąś płytę lub kulę metalową izolowaną z elektrometrem i dajmy jej jakiś ładunek elektryczny; zobaczymy, że ładunek ten długi czas pozostaje niezmieniony. Rozładowanie wprawdzie następuje, lecz bardzo powoli, o czem przekonywujemy się z bardzo wolnego ruchu wskazówki elektrometru, tak, że jeszcze po kilku godzinach elektrometr pokazywać będzie, że ciało ładunku swego nie straciło. Jeżeli jednak do takiej kuli zbliżymy na pewną odległość sole, zawierające w sobie uran, bizmut lub radium, uderzyć nas musi nieporównanie szybszy ruch wskazówki elektrometru i w krótkim bardzo czasie, nie raz już po kilkudziesięciu sekundach, cały ładunek elektryczności znika. Ten sam skutek wywierają także promienie Röntgena,

katodowe i pozafiołkowe, a także istnieje wiele innych ciał tą samą obdarzonych własnością, tylko u różnych ciał siła tego działania jest różną. Podobnie, gdy do takich ciał zbliżymy w ciemności płytę fotograficzną, otrzymamy skutek taki sam, jak gdybyśmy ją wystawili na działanie promieni światła zwykłego. Łatwo zrozumieć, że zapomocą elektrometru możemy porównywać ciała i przekonywać się, które z nich jest więcej, a które mniej radyoaktywnem. Będzie to więc klasyfikacya ciał według własności dotychczas przez analizę chemiczną nieuwzględnianych.

Poddając związki uranu, toru i bizmutu odpowiednim reakcyom chemicznym i badając otrzymane stąd substancye w sposób powyżej opisany elektrometrem, przekonamy się, że można otrzymać substancye, które odznaczają się bardzo silną radyoaktywnością. Tą drogą właśnie, jak już trzy lata temu donosiliśmy, udało się państwu Curie wykryć pierwiastek nowy, który oni nazwali radium, a o którym zapomocą analizy spektralnej i badań chemicznych wiemy już dziś na pewne, że jest on nowym, to zn. dotychczas nieznanym pierwiastkiem. Obecnie pracuje pani Curie nad otrzymaniem w większej ilości i ile możności w chemicznie czystym stanie innego pierwiastka, owego polonium, o którym także obszernie wspominaliśmy.

Jest nadzieja, że usiłowania te pomyślnym zostaną uwieńczone skutkiem, chociaż berliński prof. Marckwald przypuszcza, że substancya ta nie jest nowym pierwiastkiem, lecz jakimś związkiem bizmutu. Kilka tygodni temu pani Curie przypuszczeniu temu zaprzeczyła i doniosła, że udało się jej już otrzymać związek polonium, który 30 tysięcy razy silniej jest radyoktywnym, aniżeli metaliczny uran, który także do ciał radyoaktywnych należy.

Tą samą drogą kilka lat temu znany fizyk angielski Crookes znalazł w uranie substancyę silnie radyoaktywną, której nadał nazwę X-uranium, z tego powodu, że wysyła on ze siebie, jak widzieliśmy, owe promienie o własnościach tak bardzo zbliżonych do promieni Röntgena czyli do promieni X. W najświeższym czasie[1] udało się znowu profesorowi Rutherfordowi wydobyć z toru ciało, które w wysokim stopniu jest radyoaktywnem. Jeżeli mianowicie do azotanu toru dolejemy amoniaku, zostanie strąconym w postaci proszku związek zwany wodorotlenkiem toru. Gdy następnie pozostały płyn odparujemy, otrzymamy z niego substancyę, zawierającą zaledwie ślady toru, która jednak około

[1] *Philosophical Magazine* 1902.

tysiąc razy silniej jest radyoaktywną, niż tor, z którego tę substancyę otrzymano. O substancyi tej przypuszcza Rutherford, że jest tu także nowy jakiś nieznany dotychczas pierwiastek i nadał mu nazwę tor-X, którą oznacza, jak to jest w chemii zwyczajem, przez ThX. Nowe to ciało ThX różni się także od toru własnościami chemicznemi, i tak np., jak już widzieliśmy, tor, pod wpływem amoniaku zostaje strącony, czyli wyparty ze związku ze swojej soli, natomiast na ThX amoniak żadnego wpływu nie wywiera. Także żadne działanie fizyczne, jak rozpuszczanie w płynach, żarzenie, oziębianie, oddziaływanie chemiczne innych ciał, nie pozbawia ThX tej jego silnej radyoaktywności. Jeden tylko ząb czasu pozostawia na nim swe ślady: ThX po kilkunastu dniach utraca powoli swą siłę tajemniczą coraz więcej, nie zmieniając jednak przytem swej natury chemicznej. Mamy tu więc do czynienia z faktem podwójnie ciekawym. Spotykamy się, nową kierując się myślą przewodnią, t. j. radyoktywnością, z nieznanym dotychczas pierwiastkiem otrzymanym z toru, który to tor dotychczas także za pierwiastek, a więc za ciało nie dające się rozłożyć był uważanym. Powtóre zaś nowe to ciało tem jest szczególne, że po pewnym czasie traci ową charakterystyczną własność radyoaktywności, która nas na odkrycie jego naprowadziła, a mimo to natury swej chemicznej nie zmienia. Okoliczność ostatnia skłoniła Rutherforda do przypuszczenia, że wewnątrz atomów tego ThX zachodzić muszą jakieś przemiany, których jednak chemia żadnym dotychczasowym sposobem wykryć nie jest w stanie.

Jak już wspomnieliśmy, prócz wyżej wymienionych pierwiastków jest jeszcze wiele innych ciał, wysyłających ze siebie owe promienie, podobne do promieni Röntgena, jak np. cynk, srebro, ołów, miedź. platyna, aluminium, tylko różnią się znacznie co do siły. Np. według obliczeń Strutta [1], radium jest 100 tysięcy razy silniej radyoaktywne, niż brom, a ten znowu 3 tysiące razy silniejszy od platyny. Otóż zachodzi pytanie, skąd pochodzi ta ich siła, i czy może w nich także nie znajdują się jakieś dotychczas nieznane X-pierwiastki. Widzimy, że otwiera się tu dla nauki zupełnie nowe pole do badania, całe mnóstwo nowych zagadek, których istnienia lat temu może jeszcze dziesięć nawet nie przeczuwano.

[1] *Nature* 1903. Febr. p. 369.

Ks. F. Hortyński.

Z życia i prasy.

Pojęcie i obrona honoru w armii. — *Czas* o publicznej żebraninie.

Pojęcie i obrona honoru w armii. Dwa lata z górą upłynęły od chwili, w której krzyczący fakt niesprawiedliwości w austryackiej armii wywołał głosy oburzenia i protestu opinii publicznej ze strony całego, nie tylko już po katolicku myślącego, społeczeństwa. Głosy te oburzenia przeminęły przeważnie bezowocnie, sprawa hr. Józefa Ledóchowskiego przeszła już w zapomnienie. Poprzestano na kilkunastu śmielszych protestach w prasie, kilku interpelacyach w parlamencie. A przecież sam fakt degradacyi oficera już nie za odrzucenie wyzwania, ale za wyrażenie swego przekonania w sprawie pojedynkowej nasuwał doskonałą sposobność do uniemożliwienia na przyszłość takiego rażącego bezprawia, do usunięcia na drodze ustawodawczej przymusu pojedynkowego, niewoli przekonań w armii. Odpowiedź ministra obrony krajowej, choć zręcznie, dyplomatycznie budziła nadzieję poparcia ze strony armii ruchu przeciwpojedynkowego w społeczeństwie, przecież nie dawała żadnych gwarancyi; tem mniej wzburzoną opinię publiczną uspokoić mogły i powinny były słowa ministra wojny, odróżniające pojęcie honoru oficerskiego od pojęcia honoru urzędnika cywilnego, adwokata czy lekarza. Tymczasem, rzecz dziwna, i opinia publiczna i jej przedstawiciele w Izbach ochłódli wkrótce w swym zapale oburzenia, zadowolniono się gołosłowną już nie obietnicą, ale cieniem jakiejś nadziei.

I oto sposobna pora przeminęła bez żadnych pozytywnych rezultatów. Przymus pojedynkowy pozostał w armii w dawnej mocy, liga przeciwpojedynkowa nie mogła się spodziewać poparcia kół wojskowych, choć mogła i, po enuncyacyi przedstawiciela armii w parlamencie wiedeńskim, miała prawo oczekiwać tymczasowo przynajmniej biernego zachowania się władz wojskowych.

Niestety, poufny okólnik ministeryum wojny do oficerów rezerwowych zadał kłam powszechnemu zrozumieniu słów Welsersheimba, rozwiał ten cień nadziei, że najwyższe władze wojskowe z życzliwością patrzą a z czasem i poprą ruch przeciwpojedynkowy. W okólniku tym, w zakazie i jego uzasadnieniu ujawniło się najwyraźniej rzeczywiste stanowisko najwyższych kół wojskowych w sprawie pojedynków, różnica pojęć o honorze i jego obronie wśród sfer wojskowych a cywil-

nych, zaznaczona w delegacyach 7 czerwca ubiegłego roku. Minister wojny, zawiadomiony przez ligę przeciwpojedynkową o jej celu i ustawach, zakazuje wszystkim oficerom, a w szczególności oficerom rezerwowym, — którzy, nie inaczej jak całe społeczeństwo tłumacząc sobie mowę Welsersheimba, przystąpili do ligi — wszelkiego w niej udziału. To główna myśl owego poufnego okólnika. Ale autor jego, wobec znanej mowy przedstawiciela armii, uznał, że w tym wypadku nie można poprzestać na samem *sic volo, sic iubeo,* usiłuje uzasadnić swój zakaz. Za pozór uzasadnienia służą tu sądy honorowe, ustanowione przez ligę antypojedynkową. Zdaniem autora okólnika, oficerowie, czynni czy nieczynni, nie mogą nad sobą uznawać innego sądu, jak tylko wojskowy; tylko ten może załatwiać ich sprawy honorowe.

W tym wypadku zupełnie zawiodła znana taktyka podszywania się pod literę prawa I sam zakaz źle ukrywa właściwe zamiary władz wojskowych, i jego uzasadnienie bynajmniej nie trafne ani świadczące o pomysłowości swego autora. Jak słusznie odpowiada na to *Dziennik polski* [1], rada honorowa wojskowa rozstrzyga tylko o tem, czy w danym wypadku narażony jest honor stanu oficerskiego, podczas gdy sądy honorowe ligi załatwiają obrazy honoru w sposób pokojowy, albo odpowiedniem zadośćuczynieniem. Więc oba te sądy nietylko się nie wykluczają, ale nawet raczej uzupełniają się wzajemnie. Po orzeczeniu rady honorowej oficerskiej, sąd ligi dostarcza obrażonemu zupełnej satysfakcyi. To jest odpowiedź rzeczowa na argument okólnika. A wyrażone w nim zdanie, że oficerowie nieczynni t y l k o sądom wojskowym mogą podlegać w sprawach honoru, naraża wprost na śmieszność swego autora, gdy przecież wiadomą jest ogólnie rzeczą, że oficerowie rezerwowi, jako np. lekarze, adwokaci, podlegają radom dyscyplinarnym tych korporacyi, a nadto wszyscy sądom dyscyplinarnym i cywilnym sądom karnym państwowym. Zresztą nie tylko ustawy, na których brzmienie powołuje się zakaz ministeryalny, nie zawierają wcale polecenia, aby „jedynie i wyłącznie“ władze wojskowe miały rozstrzygać w sprawie honoru oficera rezerwowego, ale nawet §. 7 tych ustaw wyraźnie dozwala oficerowi domagać się śledztwa rady honorowej, „o ile nie istnieją inne do stanu odpowiednie środki gwoli obrony honoru“. Więc sąd honorowy wojskowy nie jest „jedynym i wyłącznym“ środkiem obrony honoru, jedynym trybunałem spraw obrazy czci. Autorowi tego zakazu, tak skwapliwie powołującemu się na paragrafy

[1] Nr. 147. z dnia 29 marca.

ustawy wojskowej, przypomnieć zresztą można § 437 wojskowego kodeksu karnego, nazywający pojedynek „zbrodnią".

Nie ulega więc, zdaje się, wątpliwości wrogie przeciw ruchowi przeciwpojedynkowemu usposobienie władzy wojskowej. Widzi to teraz jasno każdy nieuprzedzony. Inne jest pojęcie o honorze w sferach wojskowych a cywilnych, inne nawet w sferach wojskowych austryackich a wojskowych np. angielskich. Tam może każdy wojskowy śmiało wyznawać, że pojedynek jest niedorzecznym, barbarzyńskim, że krew obrażonego nie zmyje jego obrazy, tam oficer-katolik otwarcie wyznawać może swoje katolickie przekonania o pojedynku, może swobodnie stosować się do zakazów Kościoła, niema w jego sumieniu kolizyi między prawem przez Boga ustanowionego Kościoła a prawem czysto ludzkiem. Tu jest odwrotnie. Choć rozum i wiara katolicka potępia pojedynek, choć prawo nawet samo nazywa go „zbrodnią", oficerowi-katolikowi ani przekonania swego publicznie wypowiedzieć nie wolno, ani, jeżeli jest nawet w służbie nieczynnej, nie wolno szukać sprawiedliwości, obrony honoru w katolickiej lidze. A gdy władze wojskowe, co tak często niestety się zdarza, orzekną, że tylko osławiony ten pojedynek zmyć potrafi hańbę, musi oficer-katolik, wbrew głosowi wiary i rozsądku, wbrew najgłębszym swym przekonaniom, przyjąć wyzwanie lub sam wyzwać przeciwnika. Inaczej, najniesłuszniej a najpewniej spotka go wykluczenie z armii, jakby wyrzutka społeczeństwa; honor jego jest splamiony, on sam przynosi wstyd stanowi wojskowemu, bo wyznaje zasady katolickie i według nich postępuje. Oto na jak straszną walkę wewnętrzną naraża, jaką niewolę wprowadza i jak niesłychanych ofiar domaga się od oficera austryackiego niedorzeczna, a przedewszystkiem przeciw państwowej religii wprost wrogo występująca wola najwyższych władz wojskowych.

Niewola przekonań panująca jeszcze w wieku XX! Stokroć cięższa to nieraz niewola, niż, takie piętno hańby ściągająca na minione wieki, niewola cielesna. Już czas najwyższy położyć jej ostateczny koniec! Jedna sposobna do tego chwila przeminęła bez pozytywnego rezultatu, teraźniejsza nie powinna ujść bezowocnie. Obowiązek ten ciąży przedewszystkiem na katolikach całej Austryi, zwłaszcza na ich przedstawicielach w parlamencie. Smutne doświadczenie dowiodło teraz raz jeszcze, że na samych słowach układnych polegać nie można, trzeba pewnego zupełnie zabezpieczenia na przyszłość — zniesienia niewoli!

«Czas» o publicznej żebraninie. W artykule „Publiczna żebranina", zamieszczonym w numerze z 26 lutego b. r. wystąpił *Czas* z gwałtowną filipiką, przeciwko wszelkim zachętom i odezwom o składki na cele, które nie mają charakteru ściśle narodowego, ani też nie należą do kategoryi czystej filantropii. Szczególniej oburza się na to, że „gdziekolwiek okaże się potrzeba wspólnego pokrycia kosztów, wzywa się do udziału wszystkich, choćby w tem mieli taki tylko interes, jakim jest przyjemność, odczuwana na widok powodzenia bliźnich". „W naturze asocyacyi leży, czytamy tam, ażeby była wynikiem odczucia pewnej potrzeby i dążyła do jej zaspokojenia własnemi siłami i własnymi środkami. Gdzie tych dwóch znamion niema, nie może być mowy o asocyacyi, a przyczynianie się do takiego dzieła jest wypływem miłosierdzia, nawoływanie zaś do udziału prostem żebractwem". I co najgorsza, jest to podatek nakładany zawsze na tych samych ludzi, którzy muszą należeć zawsze do wszystkiego.

Tyle *Czas*. Dziwna rzecz, że artykuł ten pojawił się właśnie w chwili, gdy ze strony episkopatu wyszedł apel do wszystkich ludzi dobrej woli, ażeby zajęli się pracą nad polepszeniem bytu warstw uboższych, gdy więc można przypuścić, że ożywi się u nas akcya na polu socyalnem. Wtedy to tylko składki filantropijne i narodowe nazywa się żebraniną, milczeniem natomiast pomija się instytucye społeczne, a tylko dla wyjaśnienia rzeczy nadmienia się przykładowo, że „chorobą społeczną" jest żądanie, ażeby „grupie osób, złączonej przez jednakowy zawód lub przez inne związki", która tworzy stowarzyszenie, przyszli z pomocą ludzie bezpośrednio niezainteresowani. Ci, jak mówi *Czas*, mogą się cieszyć, jeżeli ta akcya się uda, ale przyłączyć się do niej — to rzecz zupełnie inna.

Zwracamy uwagę na ten artykuł, gdyż należy do tych, którzy mieszając prawdę z błędem i ubierając tendencyę mylną w pozory słuszności, mogą być bardzo szkodliwe. Niewątpliwie publiczna żebranina jest objawem niezdrowym, który według sił należy wykorzeniać, a i to musi się przyznać, że u nas ten system zbyt się rozwielmożnił. Istotnie też żebraniną i powiększaniem tylko bezużytecznych wydatków są odezwy o składki na założenie jakiegoś klubu lub o odpłatne zapisywanie się do stowarzyszeń czysto towarzyskich; do tej samej kategoryi należy rozsyłanie list składkowych na urządzenie jakiegoś obiadu, albo przyjęcia; festyny lub koncerty na koszta zakupienia przyborów dla amatorskich teatrów, albo apel do gminy, kraju czy państwa o podtrzymanie subwencyą prywatnego przedsiębiorstwa. Lecz w kwestyach

społecznych podobna droga przedstawia się zupełnie inaczej. Wezwanie do udziału pieniężnego nie jest żebraniną lecz przypomnieniem obowiązku, jest rzeczywiście żądaniem uiszczenia podatku społecznego, którego wprawdzie nie można wymusić egzekucyą, który jednak niemniej, a może właśnie tem prędzej zapłacić należy. A jeżeli *Czas* powiada ironizując, że interes społeczeństwa w owem stowarzyszeniu polega tylko na przyjemności, którą sprawia widok cudzego szczęścia — to pytamy, czy rzeczywiście nie byłoby żadnego interesu własnego dla tych wszystkich, „którzy wszędzie należeć muszą“ — gdyby dzięki stowarzyszeniom wszystkich pomyślność stała się powszechną? Czy taki pokój społeczny, takie idealne stosunki należałyby także do rzędu osobistych tylko potrzeb stowarzyszonych, których koszta mają pokryć wyłącznie ich własne fundusze“?

I jeszcze jedno. Dwa tygodnie przedtem, ten sam *Czas,* tłumacząc na swój sposób list ks. arcybiskupa Bilczewskiego, przyznaje jednak, że demokracya chrześcijańska jest to „miłość, gotowa zawsze na trudy i ofiary dla współbraci“. Tymczasem zdaje się, że ten wysiłek ma się ograniczyć do przyjemności przyglądania się, jak samopomoc doskonale działa.

A Arcypasterz lwowski woła: „Nie kurczcie serca i mieszków. Chodzi o to, abyśmy się wszyscy opodatkowali wedle sumienia na sprawy Boże i społeczne“

Ta zasada niechaj będzie odpowiedzią na wywody o „publicznej żebraninie“.

Druk ukończono 31 marca 1903 r.

NA KONGRESIE W MONACHIUM.

Chrześcijańska organizacya zawodowa w Niemczech.

Znamienną cechą dzisiejszego rozwoju społeczno-ekonomicznego jest ożywiony i potężny ruch organizacyjny, który w drugiej połowie, a zwłaszcza pod koniec ubiegłego wieku począł się rozwijać z ogromną szybkością pomiędzy robotnikami po wszystkich prawie krajach cywilizowanego świata. Organizacya ta, obejmująca na razie robotników tylko przemysłowych, w proporcyonalnym stoi stosunku do rozwoju wielkiego przemysłu tak, że im więcej kraj jaki ma charakter przemysłowy, tem liczniejsze są zwarte szeregi zawodowej organizacyi robotników. I tak z pośród krajów Europy na przodzie kroczy Anglia, licząca 1 664 591 zorganizowanych robotników, potem idą Niemcy, liczące około 900 000, Belgia, Austrya, Włochy i tak dalej.

Z wyjątkiem Anglii, ogromna większość tych robotników, według zawodów zorganizowanych, do socyalistycznego zalicza się obozu. Jest to potężna armia, która obok socyalistycznych stronnictw politycznych na gruncie ekonomicznym rozpoczęła wytrwałą i często zwycięską walkę klasową z przedsiębiorcami przemysłowymi, aby polepszyć swoją dolę, wznieść się na wyższy stopień kulturalnego życia i przedewszystkiem dopomódz socyalizmowi do zwycięstwa. Z drugiej strony jednak nie brak

też w obozie chrześcijańskim licznych i potężnych organizacyi ekonomicznych, które opierając się na zasadach encykliki *Rerum novarum* Leona XIII, w ostatnich latach wielką okazują żywotność i z ogromną szybkością rosną w liczbę i potęgę przedewszystkiem w Niemczech, Włoszech, Belgii i Szwajcaryi. Najświeższym dowodem tego ruchu antysocyalistycznego w Niemczech jest świeżo wydane sprawozdanie z kongresu chrześcijańskiej organizacyi zawodowej, odbytego ubiegłego roku w Monachium, które pozwala zmierzyć nam siły i żywotność tego ruchu i zrozumieć lepiej jego zadania i cele pod względem społecznym i ekonomicznym.

Pierwsze chrześcijańskie stowarzyszenie zawodowe — czytamy w sprawozdaniu — zawiązało się w r. 1897 w Monachium. W pięć lat później rozrosła się organizacya ta w samej Bawaryi w potężne już drzewo, liczące 35 000 członków, a w całych Niemczech 175 079 członków, związanych w 35 ogniskach centralnych i więcej niż 1000 stowarzyszeniach. Stan finansowy młodej organizacyi przedstawia się jak na początek wcale pomyślnie. Dochód płynący z drobnych 10—20 fenigowych wkładek tygodniowych członków wynosi 454 672·78 mk., rozchód 254 547 51 mk. Z tych wydano na strejki i zapomogi pokrzywdzonych przez przedsiębiorców robotników 75 177·58 mk. Liczby wcale pokaźne, skoro się zważy, że wkładki to najgłówniejszy szkopuł, o który rozbijają się częstokroć, zwłaszcza na początku, najrozumniejsze i pełne zapału i ofiarności usiłowania organizacyjne. Ostatnie sprawozdanie pod względem statystyki wielkie jeszcze przedstawia braki, bo, jak się tłumaczy przewodniczący wydziału związkowego „ustawiczne zmiany w organizacyi, które nastąpiły wskutek postępującej centralizacyi, utrudniły bardzo porównanie statystyczne z latami dawniejszemi. W wielu organizacyach dokonywają się wewnętrzne przeobrażenia: podwyższono wkładki, ulepszono prowadzenie kas i ksiąg rachunkowych, pracuje się nad udoskonaleniem organizacyi i t. d. W przyszłym roku dopiero spodziewamy się, że będziemy mogli naszą statystykę szerzej rozwinąć i dokładniejsze podać liczby“.

Wzrost liczby członków w ubiegłym roku był mniejszy, niż w latach dawniejszych. Zyskano tylko 14307 nowych członków, i to przeważnie przez przystąpienie do związku centralnego robotników kolejowych, dużo zaś stowarzyszeń poniosło pewne straty w członkach w ciągu ostatniego roku. Ubytek ten jest wprawdzie drobny bardzo, zwłaszcza w czasie przesilenia przemysłowego, które przeszło burzą w roku ubiegłym po Niemczech i dużo organizacyi zawodowych nawet tak silnych i zwartych jak socyalistyczne, osłabiło i finansowo poderwało.

Na podstawie tego ubytku wywiązała się po sprawozdaniu przewodniczącego zajmująca dyskusya o przyczynach powolnego rozwoju ruchu zawodowego pomiędzy chrześcijańskimi robotnikami w Niemczech.

I tak naprzód zaznaczono ciekawy ten fakt, że nie we wszystkich gałęziach przemysłu, dotkniętych ciężkiem przesileniem ekonomicznem, zwolniał ruch organizacyjny, lecz przeciwnie w tym właśnie czasie organizacye robotników metalurgicznych (Duisburg), organizacye tkaczy i robotników zatrudnionych w przemyśle drzewnym i konfekcyjnym dużo zyskały nowych członków i rozrosły się potężnie. Drobne straty pojawiły się przedewszystkiem w organizacyach robotników kolejowych i tramwajowych, kamieniarzy i ceglarzy, robotników zatrudnionych w hutach szklanych i fabrykach cygar.

Przyczyna zaś tego ubytku leży w tem, że przeważnie organizacye te są za małe, żeby mogły pomyślnie się rozwijać. Są one za słabe, mówiono, żeby się z niemi liczyli przedsiębiorcy, patrzący zwyczajnie krzywem okiem na organizujących się robotników; nie mają dostatecznych funduszów, żeby przetrwać strejk, niekiedy konieczny, i zaprowadzić u siebie te urządzenia, bez których żadna organizacya zawodowa ani zdrowo się rozwijać ani długo nawet istnieć nie może. Niekiedy samo podwyższenie wkładek tygodniowych już wzmacnia organizacyę i stawia ją na nogi. Organizacya np. krawców w Monachium suchotniczy wiodła żywot, dopóki wkładki były niskie. Skoro zaś wkładki tygodniowe podwyższono, liczba członków się powiększyła i organizacya rozrosła się w siłę.

— Druga ważniejsza przyczyna powolnego rozwoju ruchu organizacyjnego polega na braku ludzi zdolnych do kierownictwa stowarzyszeń i agitacyi pomiędzy robotnikami. Dla braku światłego kierownika, mówiono, upadło niejedno stowarzyszenie, które w początkach swoich najpiękniejsze rokowało nadzieje pomyślnego rozwoju. Trzeba więc przedewszystkiem wychować sobie i wyszkolić wodzów i agitatorów. Nasza organizacya tkaczy, mówi jeden z delegatów, liczy 15000 członków, a są uzasadnione widoki, że wkrótce znacznie się powiększy. Ale też „nasz związek ma 5 wolnych od innych zajęć agitatorów. I rezultaty osiągnięte pod tym względem są bardzo dobre. Agitatorzy bowiem nie tylko pracują nad utrzymaniem wysokiej liczby członków, ale nadto mają i powinni nowych pozyskiwać członków. Sądzę, że liczymy się z tem za mało. Gdy chcemy nową otworzyć posadę, przedstawiają nam stan rzeczy w strasznie czarnych kolorach. Przypatrzywszy się atoli dokładniej stosunkom, trzeba dojść do innego przekonania. Jeżeli wogóle wolny taki agitator pozyska co roku 200—300 nowych członków, to już cała jego pensya wróciła się; zorganizowanym zaś pracownikom można wtedy przyjść z pomocą. I my nieraz ociągaliśmy się stworzyć nową posadę dla agitatora, a jednak to uczyniliśmy. Za to też mamy dziś przyrost wynoszący 800 członków.

Mniejsze stowarzyszenia mogłyby wspólnemi siłami opłacić agitatora. Przytem potrzeba w pierwszych latach przedewszystkiem na to kłaść główny nacisk, aby związek jak najbardziej się rozszerzył; do rozwinięcia zaś strony materyalnej związku można później przystąpić. Tylko agitatorzy powinni w sposób koleżeński dopomagać też do organizacyi innych zawodów. Oczywiście wtedy też mniejsze organizacye, które stać na to dobrze, powinny pokryć po koleżeńsku koszta podróżne podczas agitacyi. Pod tym względem dużo pozostaje do życzenia. Niejeden chętnieby dopomógł mniejszym stowarzyszeniom, ale nie jest w stanie, bo się boi kosztów, których nikt mu nie wróci“.

Od taktyki organizacyjnej, omawianej pokrótce na kongresie, dużo ważniejsze są zasady podstawowe, na których

chrześcijańska organizacya zawodowa w Niemczech oparła swój byt i swoją żywotność. Zasady te od samego początku chrześcijańskiego ruchu zawodowego były przedmiotem zaciętych i długich sporów: sprzeczano się o politykę, czy organizacya zawodowa ma się trzymać zdala od polityki, czy też iść w służbę jakiejś partyi politycznej; sprzeczano się o wyznaniowość, czy katolicyzm ma być duszą i podstawą organizacyi, czy też organizacya ma być dostępną dla protestantów, którzy w przeciwieństwie do socyalistów radziby oprzeć polepszenie swego bytu na zasadach sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Spory te, których ze względów taktycznych nie wywlekano na widok publiczny, ale które raz po raz pod rozmaitemi formami już to w prasie, już to na kongresach młodej organizacyi się pojawiały, znalazły ostatecznie swoje rozwiązanie na kongresie w Monachium przez wykluczenie bezwarunkowe z ogólnego związku organizacyi jednego z najruchliwszych i najbardziej wojowniczych wodzów, i stojącej za nim potężnej organizacyi w razie dalszego solidaryzowania się z nim. Dziś już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zawodowa organizacya chrześcijańskich robotników w Niemczech w przeciwieństwie do socyalistów stanęła na gruncie chrześcijańskim międzywyznaniowym i wykluczyła z programu swego wszelką politykę. Politykę zaś dlatego, ażeby się uchylić z pod wpływu i kierownictwa narzucających się partyi politycznych. Ani centrum katolickie, ani protestancka partya konserwatywna, ani agraryusze, ani narodowo liberalni nie mają się współubiegać o pozyskanie sobie armii robotniczej, nie mają narzucać im swoich wodzów, bo robotnicy właśnie wykluczyli z swojej organizacyi wszelką politykę, bo oni potrzebują być w zgodzie z wszystkimi i pomocy wszystkich, ażeby polepszyć swój byt, a względnie zdobyć sobie dobrobyt.

Z kwestyi ekonomicznych, które wytoczono na stół obrad wiecowych, zasługują przedewszystkiem na uwagę referaty o kooperatywach, o pracy i organizacyi kobiet we fabrykach, i o organizacyi robotników rolnych.

Zacznijmy od spółek.

Spółki tak produkcyjne jak spożywcze — czytamy w referacie p. Pescha — w ostatnich latach pomyślnie poczęły się rozwijać w Niemczech. W r. 1890 było spółek spożywczych w Niemczech 984, liczących 215.420 członków — dziś jest ich prawie półtora tysiąca a członków więcej, jak milion. Związek niemieckich spółek gospodarczych i zarobkowych liczący 534 spółek ma rocznego zysku 11 milionów marek. Suma to znaczna, choć rozłożyć ją na członków przypadnie na każdego czystego zysku nie więcej jak 45 fenigów tygodniowo.

Spółek zaś produkcyjnych wykazuje statystyka z r. 1900-go 203, które sprzedały towarów za $1^4/_5$ mil. m. i miały czystego zysku 109.000 marek.

W toku dyskusyi zwrócono uwagę na to, że spółki produkcyjne mogą stać się potężnym środkiem i bronią w walce z twardymi uciążliwościami przemysłu domowego na rachunek przedsiębiorcy. „Tak, tylko nie trzeba zapominać o tem — odpowiada jeden z delegatów p. Giesbert z M. Gladbach — że w gałęzi przemysłu skazanego na ruinę spółka produkcyjna niewiele pomoże. Nieraz przedsiębiorcy tylko dlatego wytrzymują konkurencyę, że płacą robotników bardzo licho. Spółka produkcyjna ma tylko wtedy warunki bytu i rozwoju, gdy może współzawodniczyć z przedsiębiorstwami prywatnemi i gdy się zastosuje do wymagań targowych na rynku. Warunki jej pomyślnego rozwoju zależą dalej od tego, czy robotnicy w skład jej wchodzący są inteligentni czy rozporządzają wystarczającym kapitałem a przedewszystkiem decydującem jest tu wykształcenie kupieckie kierowników spółki, ich sumienność w spekulacyi i zapewniony rynek zbytu“.

Mówiono przed chwilą, że w przemyśle szewskim mogłaby spółka dużo dobrego zdziałać. Ale „właśnie w przemyśle szewskim konkurencya jest nieuczciwą do tego stopnia, że nikt już nie wierzy gdy się mówi: „to jest rzetelne obuwie“. Proponowałem, żeby fabrykanci razem z zawodowemi stowarzyszeniami wprowadzili dla swoich wyrobów markę ochronną, jak to częstokroć w Anglii i Ameryce z pomyślnym skutkiem się praktykuje. Ale fabrykanci nie chcą o tem nic wiedzieć“.

„Dalej zauważono, że przy zakładaniu spółek nie trzeba spuszczać z oka interesów innych stanów, jestem tego samego zdania, jednak zdaje mi się, że stan przekupniów i drobnych handlarzy przy zakładaniu spółek nie zasługuje na takie względy. Gdy dobrze płatni urzędnicy na imię swej żony otwierają przedsiębiorstwa lub kto inny uzna za potrzebne w dzielnicy robotniczej otworzyć sklepik, ażeby kosztem najbiedniejszych konsumentów i drożyzną towarów wynieść się do stanu średniego, to tego rodzaju interesów my nie powinniśmy uwzględniać. Rzetelni i dzielni kupcy, mojem zdaniem, wytrzymają dobrze i w przyszłości konkurencyę spółek spożywczych. Osobiste zalety, inteligencya i zmysł przedsiębiorczy, główne i konieczne warunki, żeby być dobrym kupcem, odniosą zawsze zwycięstwo nad spółkami spożywczemi, kierowanemi siłami zbiorowemi. Sądzę też, że w miastach, gdzie przez wzajemną konkurencyę prywatnych sklepów ceny towarowe nie są wysokie, spółki spożywcze nie wielkie przyniosą korzyści ekonomiczne. Ale i tu częstokroć tani towar wystawiony w oknie służy tylko za ponętę i publiczność musi za to przy innych artykułach krwawo odcierpieć. I po miastach spółki spożywcze przynoszą ze sobą wszystkie pośrednie korzyści dla robotników, mianowicie przyuczają ich do płacenia gotówką i do gospodarności, regulują ceny towarów i chronią konsumentów przed wyzyskiem polegającym na dostarczaniu lichego i drogiego towaru. Zresztą nie wolno nam opierać się prądowi ekonomicznemu, który wskutek rozwiniętej komunikacyi coraz więcej w dziedzinie handlu dąży do centralizacyi tak jak to już w dziedzinie produkcyi się stało. Jeżeli nie zechcemy iść razem z ruchem rozwoju spółek spożywczych, pole to zagarnie dla siebie wielki kapitał. Obawa, że na tem stan średni ucierpi jest bezpodstawna. Urzędnicy nowi, którzy lepszą pobierają pensyę w spółkach, niźli pomocnicy handlowi w przedsiębiorstwach prywatnych wytworzą nowy dział w szeregu stanu średniego".

„Z drugiej jednak strony chciałbym przestrzedz przed zakładaniem przedsiębiorstw tam, gdzie czas nie jest po temu. Również dobro organizacyi zawodowej nie powinno na tem cier-

pieć. A przecież dzieje się częstokroć niestety tak, że dzielni skądinąd agitatorzy, których z trudem wykształciliśmy dla pracy w dziedzinie organizacyi zawodowej, przerzucają się wyłącznie w dziedzinę spółek spożywczych. Organizacya zawodowa powinna zawsze na pierwszem być miejscu".

Po dyskusyi uchwalono następujące rezolucye:

Chcąc polepszyć położenie ekonomiczne robotnika, potrzeba nie tylko zdobyć sobie korzystne warunki płacy i pracy, ale i korzystnie użyć swój zarobek. Cel ten najprędzej osiągnąć można przez łączenie robotników w spółki spożywcze i zakładanie spółek mających na celu zakupno artykułów żywności. Korzyści istotne, które osiągnąć można ze spółek spożywczych są następujące:

1) spółki umożliwiają zakupno rzetelnych towarów, chronią członków przed wyzyskiem polegającym na żądaniu cen wysokich i potęgują siłę ekonomiczną robotnika;

2) w spółkach można rozciągnąć surową kontrolę nad jakością artykułów żywności, a tem samem uchronić konsumentów od lichych i szkodliwych zdrowiu towarów;

3) spółki zwalczają szkodliwy system kredytowy, przyzwyczajają robotników do płacenia gotówką i mają tem samem znaczenie wychowawcze.

Dla tych tedy powodów... poleca IV kongres chrześcijańskiej organizacyi zawodowej w Niemczech zakładać spółki spożywcze, jako doniosły środek do polepszenia ekonomicznego położenia robotników.

Co się zaś tyczy fabryk spółkowych, założonych przez niektóre stowarzyszenia zawodowe, oświadcza kongres, że robotnicy mają niewątpliwie prawo ująć w swoje ręce wspólnemi siłami produkcyę tam, gdzie przedsiębiorstwa takie są wskazane i do przeprowadzenia możliwe. Przy wprowadzaniu w życie spółek produkcyjnych zachować należy jak największą ostrożność i przezorność, gdyż nieudałe próby w tej mierze niekorzystnie odbiłby się musiały na całym ruchu zawodowej organizacyi. Kongres spodziewa się też, że przy zakładaniu spółek spożywczych i produkcyjnych zaniedbywać się nie będzie praca agitacyjna i praca organizacyjna, gdyż i nadal wzmacnianie i rozszerzanie organizacyi zawodowej uważane będą jako najpilniejsze i najkonieczniejsze zadanie chrześcijańskiej organizacyi zawodowej.

Dalszym punktem obrad była ochrona kobiet zatrudnionych w przemyśle i organizacya robotników rolnych.

W Niemczech liczba kobiet zatrudnionych w przemyśle i handlu w ostatnich lat dziesiątkach ogromnie wzrosła. Wykazy ludności z r. 1882 i 1845 dowodzą, że w tym międzyczasie liczba kobiet zatrudnionych w przemyśle wzrosła o 79%, w handlu zaś o 178·4%.

W roku 1895 szukało zarobku w dziedzinie handlu i przemysłu razem 1,000.000 kobiet. W ostatnich więc dwu dziesiątkach lat liczba pracujących kobiet pomnożyła się więcej, niż w dwójnasób, podczas gdy liczba robotników w ciągu tego samego czasu wzrosła tylko o 50%.

Różne z tego nadmiernego wzrostu płyną niedogodności, z których najważniejszą jest ta, że matka idąc do fabryki na robotę, odrywa się od dzieci i przez swoje współzawodnictwo obniża zarobek mężczyznom. Chcąc tej biedzie zaradzić większość mowców na kongresie domagała się stanowczo zupełnego wykluczenia kobiet z fabryki.

„Zło trzeba wyrwać z korzeniem, dowodzi jeden z tkaczy. Fabrykanci mówią: my nie możemy się obejść bez pracy kobiet zamężnych. My odpowiadamy: my również nie możemy się obejść bez kobiety w domu. My chrześcijańscy robotnicy nie głosimy walki klasowej i uznajemy różnicę stanów, wiedząc, że robotnicy i chlebodawcy zawsze na świecie będą, domagamy się jednak, żeby robotnik znalazł równouprawnienie. Jeżeli w górnych sferach kobieta ma 3—4 sług do pomocy, to oczywista, że kobieta ma prawo zajmować się wychowaniem dzieci. Kto posyła kobietę do fabryki, staje się winnym zdziczenia młodzieży. Starajmy się o to, żeby umożliwić moralne wychowanie dzieci, żeby matkę dziecku oddać. Nie jest wcale koniecznem, żeby tyle kobiet pracowało we fabrykach. W roku 1895 mieliśmy w przemyśle tkackim 70.000, a w r. 1899 już 112.000 kobiet — wyłącznie tylko w przemyśle tkackim. Skoro wogóle praca kobiet tak wzrosła, czegóż to dowodzi? Sądzę, że przemysł niemiecki mógłby się bardzo dobrze obejść bez kobiet. Dlaczego atoli kobiety cieszą się takimi względami? Ponieważ one odznaczają się cierpliwością, i nieraz zadowalniają się tem, na co mężczyźni odpowiedzieliby oburzeniem. Właśnie w tych fabrykach w naszym okręgu, gdzie płaca jest najlichsza, praca kobiet najwięcej się szerzy. Na jedno jeszcze chciałbym zwrócić uwagę: t. j. na konieczność opieki prawnej nad kobietami pracującemi w przemyśle domowym. Pracuję w domu w przemyśle tkackim, i znam stosunki nasze. To też usilniebym nalegał, żeby prze-

pisy ustawy przemysłowej rozciągnięto również na robotników pracujących w przemyśle domowym. Kobiety bowiem muszą pracować aż do chwili rozwiązania, a w dwa tygodnie po połogu już znowu siedzą przy krosnach".

Inny dowodzi, że przez wykluczenie kobiet zamężnych przemysł żadnej nie odniesie szkody. „W fabryce, w której pracuję, było dawniej 3000 robotników i robotnic. Przed trzema czy czterema laty, gdy organizacya zawodowa się zawiązała, przyszliśmy do przekonania, że zamężna kobieta powinna być wykluczoną z fabryki. Wydział w tej sprawie wszedł w układy z właścielem fabryki i uzyskał, że odtąd żadna kobieta zamężna nie znajdzie zatrudnienia w fabryce. Z dniem, kiedy wchodzi w związki małżeńskie, kończy się jej praca w fabryce. Przemysł przecież żadnej z powodu tego nie doznał szkody. Że fabryki w ciągu tych lat wytrzymały konkurencyę jak dawniej, dowodzą miliony, które w tym czasie zyskano. Co możliwem było u nas, możliwem będzie i gdzieindziej. Chciałbym tylko tu skonstatować, że przemysł po wykluczeniu kobiet zamężnych z fabryk żadnej nie poniesie straty".

Inny delegat skarży się na wyzysk robotnic zatrudnionych w niektórych fabrykach cygar w południowych Niemczech i dodaje, że częstokroć przyczyna, dla której kobiety pracują w fabrykach, jest brak zamiłowania gospodarstwa domowego. „W Badenii pracuje w fabrykach cygar 22.000 robotnic. Ale tam ponadto fabrykanci jeszcze dają robotnicom robotę do domu, tak, że są zmuszone pracować do godziny 2 w nocy. O godzinie 10 wieczorem pracują tam jeszcze dzieci. Nie tylko kobieta ma dosyć do roboty, ale i również mąż. I to się działo wtedy, gdy dwa tygodnie później w większej części fabryk tylko 4 godziny pracowano. Tu był czas odpowiedni wykluczyć zupełnie kobiety z fabryk".

„Wszelako nie tylko konieczność zmusza kobietę do pracy w fabryce. Częstokroć też zdarza się, że kobieta idzie na robotę do fabryki dla tego, że nie czuje zamiłowania do gospodarstwa domowego. Jeszcze dzieckiem będąc, od roku dwunastego już ona musiała pomagać w pracy, o wychowaniu domowem pod

okiem matki nie było można myśleć, gdyż matka również na robotę do fabryki chodziła. Po opuszczeniu szkoły już fabryka cygar dała jej zupełne zatrudnienie. Tu ona zobojętniała i zdziczała — fabryki cygar mieszczą w sobie szczególne niebezpieczeństwa pod względem moralnym. I tak nie troszczy się taka dziewczyna zgoła nic o rzeczy domowe...

Praca kobiet też obniża płacę. W fabrykach cygar w Brunświgu płacą 8·50 mk. za tysiąc, w Badenii tylko 3 mk., bo w Brunświgu dużo mniej zamężnych kobiet pracuje. Stąd też pochodzi, że spotykamy reklamy, zachwalające nam tanie cygara z południowych Niemiec. Ha, bo płaca jest tam niższa".

Z drugiej jednak strony nie brakło też mowców, którzy przestrzegali przed zupełnem wykluczeniem kobiet z fabryk.

„Co się tyczy celu — mówi delegat Mumm z Berlina, któremu jako nieukwalifikowanemu robotnikowi osobną uchwałą zgromadzenie udzieliło prawa głosu — zgoda najzupełniejsza, że należy wykluczyć z fabryk kobiety zamężne. Ale my nie mamy w ręku władzy ustawodawczej. Naszą bronią jest samopomoc i organizacya. Trzeba tu wziąć pod uwagę, że przy zupełnem wyrugowaniu kobiet zamężnych z fabryk inne skutki się okażą, niż te, które zamierzaliśmy osiągnąć. Czyż z takiego zakazu przedewszystkiem w czasie przesilenia ekonomicznego, jakie teraz przechodzimy, nie należałoby się obawiać takich skutków, jak tajnego dzieciobójstwa, separacyi małżeństw innych niedomagań moralnych. Nie znalazł się ani jeden inspektor przemysłowy, któryby w obecnych warunkach się poważył wypowiedzieć takie zdanie: kobiety zamężne należy wykluczyć z fabryki. To przecież dosyć znaczące, żeby drogą ustawową nie domagać się zupełnego zakazu pracy fabrycznej kobiet zamężnych".

A inny delegat dodaje: „Mam wrażenie, że kierujemy się raczej uczuciem, niż praktyczną rozwagą. Wprowadzenie 8 godzinnego dnia roboczego dla robotnic zamężnych z stopniowem, dalszem ograniczeniem czasu pracy aż do zupełnego wykluczenia kobiet zamężnych z fabryk uważam na razie za postulat nie dający się w życie wprowadzić. Raczej oświadczyłbym się za ograniczeniem czasu pracy dla kobiet w ten sposób, żeby wpro-

wadzono półdniową pracę, oczywiście i wtedy obawiałbym się, że napływ kobiet zamężnych do fabryk zwiększyłby się".

Prócz pracy kobiet zajmowano się też na kongresie organizacyą zawodową robotnic. Że organizacya taka jest konieczną, dziś już chyba nikt nie wątpi, a przedewszystkiem w tych działach przemysłu, które kobiety wzięły jakby w swoje posiadanie. Tylko że w praktyce organizacya taka zawsze okazała się bardzo trudną do przeprowadzenia. Dlaczego? Naprzód kobiety a względnie dziewczęta są zawsze do poważnej i świadomej celu pracy w stowarzyszeniach, zwłaszcza ekonomicznych, mniej podatne i zdolne niż mężczyźni. Organizacya zawodowa jest rodzajem walki, walki wprawdzie legalnej, ale bądź co bądź wymagającej dużo ofiarności i poświęcenia dla dobra ogółu, walki nieraz zaciętej, a zawsze wytrwałej i przezornej, żeby sobie zdobyć lepsze warunki pracy i płacy. Kobieta zaś dopóki nie wzniesie się na wyżyny doskonałości ewangelicznej, nie lubi się poświęcać dla idei, lęka się walki. Powtóre dziewczęta pracę swoją zarobkową uważają tylko za stan przejściowy, który prędzej czy później uwieńczony będzie małżeństwem. Czyż warto więc należeć do organizacyi, która niepotrzebnie głowę zajmuje i wymaga regularnych wkładek pieniężnych? To też w roku 1899 w całych Niemczech w stowarzyszeniach zawodowych liczymy razem tylko 19.000 robotnic. W przemyśle tkackim, który więcej zatrudnia kobiet niż mężczyzm, pięć razy więcej mężczyzn należy do organizacyi, niż kobiet. Tak samo rzecz się ma w fabrykach tytoniu. Największą zaś szkodę wskutek tej obojętności na sprawy zawodowe kobiet ponoszą mężczyźni, których usiłowania są bezsilne wobec większości robotnic luzem idących.

Jakże więc zwalczać tę obojętność dziewcząt, jak przezwyciężyć tę odporność kobiet, nie umiejących się zdobyć na odrobinę ofiarności i karności, potrzebnej do zawiązania stowaszyszenia zawodowego? Jakiej metody trzymać się należy, aby na przyszłość praca organizacyjna pomiędzy kobietami pomyślny wydała plon?

W odpowiedź na te pytania różni różne podawali plany.

Delegatka pracownic konfekcyjnych z Berlina utrzymuje, że robotnice samodzielną powinny mieć organizacyę. „Trzeba założyć samodzielne organizacye kobiet obok organizacyi mężczyzn i takowe również w związek połączyć centralny. Uważam za nieprawdopodobne, aby można robotnice i robotników połączyć w jedną organizacyę. W Berlinie przekonałyśmy się, że robotnice wystąpiłyby ze stowarzyszeń, gdyby razem z mężczyznami miały należeć do tej samej organizacyi. Nadto jest różnica pomiędzy charakterem kobiecym a charakterem mężczyzn. My możemy samodzielnie zdążać do naszego celu, ale według naszego sposobu. W sekcyi też berlińskich robotnic, zatrudnionych w przemyśle domowym uchwaliłyśmy, aby na zebraniach śpiewano pieśni pobożne i wspólną odmawiano modlitwę i to na życzenie ogólne stowarzyszenia. I oburzonoby się powszechnie, gdyby powiedziano: mężczyźni mówią, że tego nie wolno czynić. Zwyczaj ten nie powinien oczywiście naruszać charakteru międzywyznaniowego. Niech kobiety trzymają się swego sposobu".

Inny delegat przyznaje, że „dotychczasowe niepowodzenie w pracy organizacyjnej nad robotnicami należy przypisać temu, iż nie zastosowano się do wymagań i potrzeb kobiecej natury. Na kongresie stuttgarckim wolnych (t. j. socyalistycznych) stowarzyszeń zawodowych również wyrażono przekonanie, że kobiety tylko przez kobiety należy organizować. I dlatego proponuję, żeby kobiety oddzielnie organizowano, tylko obawiam się z drugiej strony, że one na tyle jeszcze nie będą miały samodzielności, żeby same mogły kierować organizacyą. Dlatego organizacya kobiet musi być podporządkowaną pod organizacyę mężczyzn, a to tem bardziej, że kobiety w przeważnie wszystkich sprawach zawodowych muszą iść razem z mężczyznami. Zresztą kierownictwo w obrębie organizacyi kobiecej powinny ująć w swoje ręce z pomiędzy pracownic „kobiety zaufania". Stowarzyszenia powinny również zwrócić uwagę na właściwe kobiecie zadanie, wychować dziewczęta odpowiednio do ich powołania, na matki i gospodynie domu. Robotnice wogóle rugować z pracy, to już stało się niemożliwem. Powinniśmy atoli powiedzieć robotnicom: Twoim obowiązkiem jest przygotować

się również do twego przyszłego zawodu jako matka i gospodyni domu".

Po dyskusyi przyjęto w sprawie robotnic następujące rezolucye:

Zważywszy że pracę fabryczną kobiet ze względów higienicznych, moralnych i ekonomicznych należy ograniczyć... uważa kongres za konieczne ustawy odnoszące się do ochrony kobiet więcej rozwinąć i udoskonalić.

I tak: czas maksymalny pracy należy z 11 godzin dla robotnic powyżej 16 lat ograniczyć do 8 godzin. Skrócenie to dziennej roboty należy przeprowadzić w interesie przemysłu stopniowo, np. co roku możnaby skrócić czas roboczy o pół godziny. Przerwa obiadowa ma wynosić dla wszystkich robotnic co najmniej półtorej godziny.

Pracę kobiet w kopalniach, hutach i przemyśle budowlanym oraz we wszystkich przedsiębiorstwach, które szkodliwie wpływają na zdrowie i moralność kobiet, należy ustawą zakazać.

Przepisy ustawy przemysłowej i wszystkie zarządzenia tyczące się ochrony kobiet należy o ile możności też rozciągnąć do przemysłu domowego. Również należy pracodawcom zabronić robotnicom zajętym w przemyśle po skończonym dniu roboczym ponadto dawać robotę do domu.

Zważywszy, że dotychczasowy czas połogowy unormowany ustawą, wynoszący 4 do 6 tygodni nie jest dostateczny... domaga się kongres, żeby kobiet 2 do 4 tygodnie przed i 8 tygodni po rozwiązaniu nie przyjmowano do pracy.

Kongres dalej stanowczo oświadcza się za zupełnem usunięciem kobiet zamężnych z fabryk. Nasamprzód należy tu wprowadzić ośmiogodzinny maksymalny dzień roboczy, który następnie przez stopniowe i powolne skrócenia należałoby zamienić na półdniowy dzień roboczy. Te zaś kobiety, które nie mają gospodarstwa domowego, albo które żyją z własnej pracy lub mają rodzinę do utrzymania (wdowy i t. d.) mają podlegać tym samym przepisom, które obowiązują kobiety niezamężne.

Kongres wielką kładzie wagę na rozległą i dokładną działalność inspektorów przemysłowych. Ponieważ zaś liczba urzędników odpowiednio do zmienionych stosunków przemysłowych i rosnących wymagań stawianych inspektorom przemysłowym nie wystarcza, należy inspektorom dać do pomocy asystentów i asystentki, z grona robotników i robotnic.

Kongres uważa zawodową organizacyę robotnic zatrudnionych w przemyśle za nieodzowną konieczność tak ze względów moralnych jak ekonomicznych. Konieczność ta występuje w tych przedewszystkiem zawodach, do których wcisnęły się kobiety w wielkiej ilości, obniżając wartość pracy mężczyzn, jak np. w przemyśle tkackim, w przemyśle tytuniowym i w dziedzinie konfekcyi. Organizacya postawiła sobie za

zasadę: „Ta sama praca, ta sama płaca“. I tę zasadę należy o ile możności w życie wprowadzić. Organizacye robotnic mają zrazu bezpośrednio, później atoli tylko pośrednio być związane z odpowiednią organizacyą zawodową mężczyzn, t. j. mają posiadać pewną samodzielność. Przy agitacyi wszelako, którą w celu wywołania żywszego ruchu organizacyjnego wśród robotnic rozwinąć trzeba, należy tak ze względów zasadniczych jak taktycznych uwzględnić jak najszerzej stanowisko moralne kobiety w społeczeństwie i przedewszystkiem w rodzinie i mieć delikatne wyrozumienie dla właściwych robotnicom potrzeb. Wskazanem też jest bardzo zamianować jak najrychlej w obrębie organizacyi odpowiednią ilość kobiet zasługujących na zaufanie, któreby dopomagały zarządom w pracy i kierownictwie organizacyjnem.

Ciekawy był następny referat delegata Giesbertsa (M. Gladbach) w sprawie organizacyi robotników rolnych tak ze względu na wielką doniosłość samego przedmiotu, jak i dlatego, że omawiano w nim położenie obieżysasów, a więc i naszych robotników.

Organizacya robotników rolnych, czytamy tam, jest zarówno konieczna i uzasadniona rozwojem stosunków społecznych tak samo jak ruch organizacyjny wszystkich innych zawodów. Dawna ustawa zaś zabraniająca robotnikom rolnym łączyć się w stowarzyszenia mające na celu zdobycie sobie lepszych warunków życia i pracy jest niesprawiedliwa i koniecznie usunąć ją należy.

Prawda, przedstawiciele rolnictwa gwałtownie opierać się będą zniesieniu tej ustawy. Właściciele ziemscy wobec ludzi sobie podwładnych trzymają się dawnej rutyny, oni nie mogą oswoić się z myślą, żeby podwładni robotnicy i służba mogła mieć jakieś pretensye do samodzielności. Ale to są przesądy, nie mamy powodu liczyć się z nimi. Dzisiejszy rozwój ekonomiczno-społeczny — mówi referent — uczynił już wyłom potężny w rolniczym „patryarchalizmie“. Więcej niż organizacye dopomogły robotnikom rolnym i służbie do polepszenia ich położenia współzawodnictwo przemysłu w połączeniu z wolnością przesiedlania się. Nadzieja, że w przemyśle znajdą się lepsze warunki życia, popychają masami robotników rolnych do ognisk przemysłowych, tak że w szerokich okręgach zabrakło robotników rolnych i służby domowej. Wielu zapewne zawiodło się w nadziei swojej, ale o tem inni nie wiedzą. Z drugiej

też strony nie podpada wątpliwości, że chętny i karny, nieprzywykły do sprzeciwiania się robotnik, jest chętnie przyjmowany i poszukiwany tam, gdzie praca jest ciężka i nieprzyjemna, czyto jako wyrobnik dzienny, czy też do robót pomocniczych w przemyśle. I w ten sposób większa część robotników właśnie dla tej niestrudzonej siły roboczej i cierpliwej rezygnacyi podniosła się również znacznie pod względem ekonomicznym i socyalnym. Te też przymioty sprawiły, że raz po raz napływający do ognisk przemysłowych robotnicy rolni dotkliwie dali się we znaki robotnikom przemysłowym przez swoją konkurencyę. I ten rozwój stosunków był powodem, że tak w płacy jak i traktowaniu służby domowej i robotników rolnych nastąpiła zmiana na lepsze. Pokazało to się najdobitniej w okręgach rolniczych graniczących z okręgami przemysłowymi. Ale mimo tej zmiany wogóle społeczne i ekonomiczne położenie robotników rolnych jest niewątpliwie dużo gorsze od położenia robotników przemysłowych".

I ta okoliczność właśnie jest powodem innego zarzutu przeciwko wprowadzeniu prawa koalicyi. Właściciele ziemscy, mówi się, nie są w stanie płacić tak wysokich zarobków, jak przemysłowcy. Strejki wzniecone dla zdobycia sobie wyższej płacy przyprawiłyby rolnictwo do ruiny przedewszystkiem w czasie żniw i zasiewów.

„O ile rolnictwo może współzawodniczyć z przemysłem co do wysokości płacy, nie będę bliżej roztrząsał tego pytania. Pewną wszelako jest rzeczą, że polepszenie stosunków życiowych dla robotników rolnych nie należy ani wyłącznie ani przeważnie od wysokiego zarobku dziennego. Zapewne zorganizowani robotnicy rolni domagać się będą wyższych płac i lepszych warunków pracy. Czy atoli strejk będzie tu decydującym środkiem, to jeszcze pytanie, i z pewnością nie będzie tam, gdzie robotnicy rolni zorganizują się na zasadach chrześcijańskich, gdzie nie będzie się czekało bezczynnie, aż socyaliści przyjdą i socyalistyczne tendencye walki kastowej zapuszczą korzenie pomiędzy ludem. Zorganizowani robotnicy rolni domagać się będą przedewszystkiem reformy stosunków akordowych i kontrakto-

wych. Najlepszym zaś środkiem przeciwko niedotrzymaniu kontraktu iest zawarcie ugody z organizacyą. Ugody taryfowe, które w przemyśle np. drukarskim, w przemyśle drzewnym i murarskim coraz więcej się upowszechniają, przestrzegane są ściśle przez zorganizowanych robotników. Organizacya zawodowa ma to za sprawę honoru, żeby robotnicy przestrzegali zawarte umowy. Gdyby rolnicy zamiast układać się z robotnikiem albo z agentami, jak to w niektórych okolicach Niemiec co do obieżysasów i robotników akordowych się dzieje — działalność tych agentów częstokroć bardzo jest podobna do handlu ludźmi — gdyby rolnicy, mówię, układali się z organizacyami robotniczemi, mogliby być pewni, że kontrakty rzetelniej byłyby zachowane, niż dzisiaj. Dziś uważa robotnik rolny, który przez agentów zwerbowany pięknemi obietnicami, przekona się niebawem, że rzeczywistość inaczej się przedstawia, niż sobie wyobraził, kontrakt za ciężkie jarzmo, z pod którego usiłuje się uchylić jak najprędzej, skoro tylko nadarzą mu się lepsze warunki pracy. Tak samo rzecz się ma z kontraktem zawieranym z robotnikiem dworskim. On zawiera ugodę, bo nie ma innego wyboru. Nie mając atoli żadnego trwałego wpływu na ukształtowanie się kontraktu, uważa on go za stosunek przymusowy, któremu się w bezmyślnej rezygnacyi poddaje, ale przy pierwszej lepszej sposobności od niego uchylić się próbuje, skoro tylko lepsze nadarzą się warunki pracy. Organizacya zaś robotnicza zmieniłaby w tym kierunku stosunki na lepsze i nałożyłaby na robotników obowiązek przestrzegania zawartej ugody. Zarzuty zatem, jakie w tej mierze podnoszą przedsiębiorcy rolni, uważam za bezpodstawne. Jest to i pozostanie niesprawiedliwością odmawiać robotnikom rolnym prawa koalicyi. Ale inne równie ważne narzuca się tu pytanie: o ile wogóle organizacya robotników rolnych jest możliwa".

Jest wielka różnica pomiędzy organizacyą robotników przemysłowych i organizacyą robotników rolnych. Cel pozostanie zawsze ten sam, t. j. podniesienie robotnika pod względem duchowym i ekonomicznym, ale środki prowadzące do celu są różne. Organizacya robotników rolnych musi się przystosować do

stosunków życiowych i ekonomicznych i społecznych robotników rolnych. Ażeby więc odpowiedzieć na pytanie, czy organizacya robotników rolnych wogóle jest możliwą do przeprowadzenia, przechodzi najpierw referent rozmaite typy gospodarstw rolnych i robotników na nich zatrudnionych. Badania w tym kierunku stowarzyszenia *Verein für Sozialpolitik* i kongresu ewangelicko-społecznego dostarczyły mu ciekawego materyału naukowego.

W gospodarstwach drobnych i średnich np. różnice klasowe pomiędzy właścicielami i proletaryatem nie występują tak jaskrawo jak w przemyśle. Robotnicy tam zatrudnieni, służba domowa i podwórkowa są jakby w stadyum przejściowem: chłopacy marzą o zdobyciu sobie kawałka gruntu, dziewczęta o zamążpójściu. Wyrobnicy zaś w przeważnej części mają tam trochę ziemi czyto w dzierżawie czy na własność. Takie są stosunki w zachodnich Niemczech. Oczywiście organizacya takich robotników musiałaby wytknąć sobie inne zadania i cele, niż stowarzyszenia zawodowe w przemyśle. Inaczej rzecz się przedstawia, gdzie idzie o wielką własność. Tu występuje już społeczne przeciwieństwo pomiędzy właścicielami a robotnikami. W okręgach, w których tylko średnia i drobna własność istnieje, robotnik ma widoki i możność zdobycia sobie kawałek ziemi a tem samem wzniesienia się na wyższy szczebel społecznego życia. Tam zaś, gdzie robotnik znajduje się tylko wobec obszaru dworskiego droga do tego raju jest dla niego zagrodzona. Czem zaś różni się bezdomny i bezrolny robotnik rolny od proletaryusza miejskiego? Praca jest inna, prawda, ale węzły zależności, które go łączą z chlebodawcą te same. Bo stosunek patryarchalny, który ongi polegał na płacy w naturaliach i opiece moralnej i materyalnej dworu nad chatą już dawno rozwiał się pod naciskiem rozwoju ekonomiczno-społecznego — z dawnej idealnej rodziny gminnej, w której dziedzic był zarazem panem i ojcem swojej czeladki, pozostał tylko cień bez treści, bez realnej podstawy ekonomicznej.

„Oczywiście przedewszystkiem w obrębie wielkich obszarów dworskich każda organizacya i akcya energiczna, zmierzająca do polepszenia stosunków płacy i pracy, na ogromne na-

potka trudności. Wielka zależność robotnika od dworu, decentralizacya w rolnictwie, która połączenie się robotników ogromnie utrudnia, nizki stan kulturalny tej klasy robotniczej — wszystko to wielkie stanowi trudności dla samodzielnej organizacyi. Choć ostatecznie i z drugiej strony siła robocza w rolnictwie w obecnych stosunkach jest tak poszukiwana i konieczna, że wielka własność na przyszłość i z organizacyą robotników rolnych pogodzić się musi".

Z rozmaitych kategoryi robotników rolnych, które kolejno omawia referent, zajmują nas przedewszystkiem obieżysasi.

Z wprowadzeniem maszyn do gospodarstwa rolnego przybrało rolnictwo tu i ówdzie charakter przemysłu sezonowego. Główna robota, wymagająca dużo robotników, jest w czasie żniw i zasiewów. A tu robotników brak wielki, gdyż miejscowi, nie mogąc znaleźć stałego zarobku na folwarku, szukają go sobie w przemyśle. Właściciel ziemski więc zmuszony jest sprowadzić sobie obcych robotników. Stosunek zaś robotników takich do właściciela różny przybiera charakter. „Przeważnie zamawia sobie zarząd dworski przez agentów potrzebną ilość robotników, którzy przez dłuższy czas stale znajdują zatrudnienie na folwarku. Dozór i kierownictwo należy zwyczajnie do agentów. W najświeższym atoli czasie upowszechnia się również zwyczaj, że zarząd dworski oddaje całą robotę na akord agentom. Ci zaś zamawiają sobie odpowiednią ilość robotników i rozdają im pracę na własne ich ryzyko. Agent taki jest zwyczajnie najgorszym wyzyskiwaczem robotników. Nie różni on się pod tym względem niczem od osławionych i pasożytnych pośredników w przemyśle domowym".

Wogóle praca ta wędrownych robotników jest charakterystycznym objawem dzisiejszego ruchu ludności. Podczas gdy z wschodniej prowincyi, ze Śląska, z Poznańskiego, Prus zachodnich robotnicy zwabieni przez agentów, masami napływają do prowincyi zachodnich, właściciele ziemscy na Śląsku i w Poznańskim zmuszeni są sprowadzać sobie robotników z Galicyi i z Rosyi, ażeby luki poczynione w szeregach miejscowych robotników, wypełnić. Ogólną liczbę zagranicznych robotników

i robotnic, zatrudniowych w wschodnich pograniczach, podają na 150.000. Ale nie koniec na tem. Robotnicy z wschodnich prowincyi wciskają się również do przemysłu. „Przedsiębiorcy przemysłowi w czasie korzystnej konjunktury przywabiali systematycznie przez swoich agentów wielką ilość robotników rolnych do pracy fabrycznej. Skutek zaś był ten, że sparaliżowano w ten sposób usiłowania robotników przemysłowych, zmierzające do polepszenia warunków płacy i pracy. Chociaż część robotników rolnych z pogorszeniem się konjunktury znowu powróciła do pracy rolnej, to większość jednak pozostała w przemyśle, zadawalniając się przy prymitywnych wymaganiach i znanej bierności najniższą płacą". I te stosunki niezdrowe, wytworzone przez obieżysasów, są dla robotników przemysłowych niemałą klęską. To też zabierając się do pracy organizacyjnej, należałoby najpierw obieżysasów ująć w karby organizacyi. „Przedewszystkiem należałoby tu usunąć ów system najmu przez p o ś r e d n i k ó w i a g e n t ó w. Organizacya robotnicza powinna zawierać ugody z przedsiębiorcami rolnymi. Lepiejby było oczywiście, i rzeczą bardzo pożądaną, wytworzyć w owych prowincyach takie stosunki, aby robotnicy nie potrzebowali szukać pracy w dalekich prowincyach".

Taka jest treść referatu doniosłego zarówno jak bogatego w zdrowe i śmiałe plany pracy organizacyjnej nad robotnikami rolnymi. Rezolucye określające pracę praktyczną nad robotnikami rolnymi na najbliższą przyszłość są następujące:

1) Potężny ruch robotników rolnych do miast przemysłowych i zastąpienie ich robotnikami zagranicznymi jest stanem niezdrowym, przynoszącym szkodę całemu gospodarstwu narodowemu. Cierpią wskutek tego dotkliwie przedewszystkiem robotnicy fabryczni, którzy wskutek napływu niezorganizowanych i politycznie niewykształconych robotników rolnych, nie mogą osiągnąć lepszych warunków płacy i pracy. Co więcej przez ten napływ bezładny robotników zagranicznych psuje się równowaga na ogólnym rynku pracy, a w czasach ekonomicznego przesilenia powiększa się armia robotników pozbawionych pracy i pogarsza się ekonomiczne położenie wszystkich robotników w Niemczech.

2) Przyczyny tego napływu robotników rolnych do ognisk przemysłowych należy przedewszystkiem szukać w wielkiej zawisłości ekonomicznej od przedsiębiorców rolnych, w lichych zarobkach i lichych mieszkaniach, t. j. w stosunkach, które częstokroć dziś jeszcze po

wsiach panują. Skutek zaś jest ten, że robotnik rolny spodziewa się w przemyśle w każdym razie polepszyć swój byt, znaleźć większą wolność i te przyjemności kulturalne, których robotnik rolny z natury rzeczy jest pozbawiony.

Aby nadmierny ten prąd robotników rolnych powstrzymać, uważa kongres za rzecz konieczną założyć organizacyę zawodową pomiędzy robotnikami rolnymi, któraby oparta na zasadach chrześcijańskich postarała się o ekonomiczne, duchowe i moralne podniesienie robotników rolnych. Ażeby taką organizacyę zawodową umożliwić, domaga się kongres z wielkim naciskiem zniesienia zakazu koalicyi obowiązującego jeszcze dotąd robotników rolnych... i uważa za konieczne po wsiach na wzór stowarzyszeń robotników fabrycznych założyć również stowarzyszenia dla robotników rolnych, któreby sobie postawiły za najprzedniejsze zadanie:

a) podnieść pod względem duchowym i moralnym stan robotniczy przez urządzanie pouczających wykładów i pielęgnowanie rozwoju umysłowego;

b) dopomagać robotnikom rolnym przy zawieraniu kontraktów i podejmowaniu się pracy akordowej udzielając im wskazówek prawnych i popierając ich w odpowiedni sposób, żeby o ile możności stali na straży swoich interesów ekonomicznych;

c) zakładać kasy i instytucye dobroczynne w celu polepszenia stosunków życiowych i mieszkań (spółki spożywcze, spółki dla budowy mieszkań i zakupna ziemi);

d) kongres upatruje nadto w położeniu wyjątkowem robotników rolnych nie objętych ustawodawstwem ochronnem i asekuracyjnem nieusprawiedliwioną uciążliwość dla tychże robotników. Należy zatem do tego dążyć, żeby tę nierówność usunięto. Jako najważniejszą i najtrudniejszą reformę należy, obok zniesienia zakazu koalicyi uważać, rozszerzenie w odpowiedni sposób obowiązkowego ubezpieczenia od choroby na robotników rolnych, służbę dworską i leśną, tudzież zakaz pracy niedzielnej wyjąwszy pracy około bydła i wypadków w razie naglącej potrzeby.

Kongres zwraca się do ludzi wszystkich stanów, przejętych duchem socyalnym, aby wedle możności i stanowiska swego zajęli się ciężką dolą robotników rolnych i przyczynili się do wprowadzenia w życie wskazanych reform.

Ostatni z kolei referat poświęcony był sprawie szerzenia oświaty pomiędzy robotnikami. Jak organizacya chrześcijańskich robotników pojmuje oświatę, jakie wykreśla jej zadania i cele w obrębie organizacyi zawodowej, objaśniają nas następujące rezolucye, uchwalone w tej sprawie:

Popieranie oświaty uważa kongres... za ważne zadanie chrześcijańskiego ruchu robotniczego. Oświata bowiem jest istotnym czynni-

kiem, zdolnym podnieść klasę robotniczą pod względem społecznym, ekonomicznym i moralnym, oraz doniosłym środkiem w rozwoju ruchu zawodowego.

Działalność stowarzyszeń zawodowych na polu oświaty jest określona celem samej organizacyi zawodowej, a więc poznać życie ekonomiczne wogóle, obznajomić się z socyalnem ustawodawstwem i ruchem organizacyi zawodowej w obrębie Niemiec i w innych krajach, obznajomić się z poszczególnemi zadaniami samopomocy i pomocy państwowej, wreszcie kształcić się pod względem fachowym przez zakładanie bibliotek, przez szerzenie pism i korzystanie z kursów popularnych.

W dwu głównych kierunkach rozwijają się stosunki ekonomiczno-społeczne w Niemczech. W miarę jak wielki przemysł i handel skupiają się w coraz większych ogniskach i coraz wyraźniej przybierają znamiona centralistyczne, łączą się bezdomni i bezrolni robotnicy w obronie swoich interesów zawodowych i stanowych w coraz liczniejsze i potężniejsze szeregi. Organizacya zawodowa stała się obecnie dla robotnika wyśmienitą szkołą pracy zawodowej i życia społecznego, szańcem obronnym jego wolności i godności wobec despotycznego i butnego przedsiębiorcy, dźwignią potężną społecznego postępu i upowszechnienia kultury pomiędzy najniższemi warstwami ludności. Potrzeba tylko, żeby prąd wiary powiał po tych sercach prostych a częstokroć jeszcze dzikich, żeby Duch Boży uświęcił te usiłowania szlachetne i ideały rozumne, a organizacya zawodowa robotników stanie się również przyczyną i bodźcem potężnym ogólnego odrodzenia religijnego i moralnego w społeczeństwie dzisiejszem. Oby początkiem takiego odrodzenia stała się chrześcijańska organizacya robotników w Niemczech. „Bo największą wartość mają te usiłowania zmierzające do podniesienia moralnego i religijnego robotników, które pochodzą od nich samych — mówi słusznie w ostatniem sprawozdaniu rocznem jeden z niemieckich inspektorów przemysłowych. — Siedliskiem zaś takich usiłowań są stowarzyszenia i organizacye robotników, które tem większą rozwijają żywotność, im więcej działalność wszelka z ich własnej pochodzi inicyatywy".

Ks. Leonard Lipke.

„ZATOPIONY DZWON“ HAUPTMANNA A NIETZSCHE.

Pod znakiem anarchii na wszystkich polach umiejętności zrodził się i powstał wiek XX. Bo cóż stoi wogóle dziś jeszcze stale i niewzruszenie, i nie podlega wątpliwościom, zaczepkom i sporom? Wszak wszędzie widoczne są zmiany i przewroty, rozwój prędki i szybszy od niego upadek, sceptycyzm i powątpiewanie bez końca i granic. Jutro stanie się fałszem i niedorzecznością to, co dziś jest pewnikiem i prawdą. Co dziś przyjmują za rzecz konieczną, stałą i niewątpliwą, odrzucą jutro z równem przekonaniem jako rzecz minioną, przejściową. Wiedza nowoczesna niezależna wypisała niejako na swoim sztandarze owe banalne lecz zarazem rozpaczliwe słowa Du Bois Reymonda: *Ignoramus et ignorabimus.* Szuka się bowiem i bada, szpera i kombinuje, stawia hypotezę na hypotezie, a gdy przyjdzie zebrać owoce tych badań w całokształt wiedzy i wysnuć z nich ostatnie wnioski, otwierają się przed oczyma zdumionych badaczy jakieś mroczne tajemnice i bezdenne głębiny, na których widok ograniczony rozumek, pełen otuchy, że jednym zamachem dotrze do jądra prawdy, kapituluje i cofa się w zwątpieniu. Tak upokorzony zwraca się wprawdzie znów na inne tory, szuka innego wyjścia, innego rozwiązania tajemniczych zagadek — lecz nie znajduje go nigdzie.

Do tego więc przyszło, że nam ta wiedza bez Boga na najważniejsze zagadnienia ludzkości nic odpowiedzieć nie umie

Nie pytaj jej o to, po co żyjesz na ziemi, lub jaki twój cel ostateczny, o problemy życia lub s t a ł e i przekonywujące zasady dla życia jednostek i ludzkości, bo to są dla wiedzy ateistycznej niezgłębione przepaści, w które nawet spojrzeć nie ma odwagi; sama też przyznać musi szczerze, że patrzy wokoło siebie na kwestye, pytajniki i zagadki, a żadnego rozwiązania dać nie umie. „Gdzież są dzisiaj — pyta się słusznie Dunkmann [1] — uczeni, którzy jeszcze swobodnie wierzą w swoją naukę, owszem, którzy rzeczywiście z przekonania własnego popierają i wyznają jako pewne, zasady o życiu i świecie? Jakaś ponura rezygnacya opanowała umysły. Snadź niema już wielu do tyla naiwnych jak on, rzutki zresztą, badacz z Jeny, Haeckel, którzyby śmieli bez skrupułu przeskoczyć wszystkie zagadnienia świata i chwalić się potem, że je wszystkie rozwiązali“. „Jest to wręcz nieprawdą — czytamy w jednem z najnowszych dzieł religijno-filozoficznych [2] — że nam dziś jeszcze imponują prawa, idee i ideały; już niepodobna nam znaleźć ostatecznej prawdy w idealnej uniwersalności pojęć i wniosków i w filozoficznych systemach. Zaczynamy wreszcie przekonywać się o tem, że chcąc znaleźć ‚prawdę‘ bytu w czczych myślach o bycie, dochodzimy do nieprawdy, że obok aktualnej rzeczywistości nie masz takiej prawdy, od którejby rzeczywistość treść swojego życia otrzymywała jako lenno. Ta przepaść między ‚rzeczywistością‘ a jej ‚poznaniem‘, między ‚światem‘ a jego ‚pojmowaniem‘, staje się nam nieznośną. Słowem, rzecz ma się tak: Intellektualizm znaczy tyle co urojenie, ułuda lub fałsz; intellektualizm jest nieprawdą. Jakże więc znaleźć prawdę drogą intellektualizmu, jeśli ta droga jest właśnie nieprawdą? Nie to stanowi jeszcze naszą kompletną niewiadomość, żeśmy dotąd do celu nie dotarli, lecz to, że wogóle ‚celu‘ szukamy w rzeczach i myślach“.

Tak więc dorobkiem i dziedzicznym spadkiem modernistycznej wiedzy bez Boga są nietknięte problematy, rozpaczliwe

[1] K. Dunkmann: *Moderne Hoffnungslosigkeit in Wissenschaft, Kunst und Moral.* Stolp. 1901. Str. 13, 14.

[2] H. Kutter: *Das Unmittelbare.* Eine Menschheitsfrage. Berlin. 1902. Str. 64, 65.

pytajniki, zapylone gruzy, drogowskazy ku mrocznym a bezdennym przepaściom tajemnic wiodące, bez nadziei rzucenia kiedykolwiek przez nie pomostu i ich wyświetlenia. „Stoimy tedy — mówi Paulsen — przy końcu XIX wieku wzbogaceni wszystkiemi zdobyczami dziejów, opływający we wszystko, czego nam natura udzielić mogła, a przecież świadomi swej niewiadomości, niepewności i próżni życia umysłowego. Pracujemy i pracujemy, a nie wiemy po co i na co“.

Tę umysłową czczość i próżnię sprowadził właśnie materyalizm, odrzuciwszy wszystko, co dla wierzącego było w życiu ideałem, dla rozumu pochodnią prowadzącą go przez ciemności życia, osłodą w cierpieniu. Te tak pełne znaczenia, powagi i doniosłości wyrazy: Bóg, Opatrzność, nieśmiertelność, wolność woli, dusza, sumienie, obowiązek i odpowiedzialność, zeszły w oczach wolnej i niczem nie krępującej się wiedzy do marnego zera i mocą jej postulatów skazane zostały na wygnanie z ziemi żyjących jako czcze i urojone pojęcia[1]. To zaś, czego uczą niezależne i w nieomylność swą wierzące katedry uniwersyteckie w imię postępu i wiedzy, pożerają chciwie głodne nowości masy społeczeństw i po krótkiej rozprawie z sumieniem adoptują je jako swoją własność. Z początku „bronimy wprawdzie tego, co stare i dawne, ale wiara w nie już osłabła; oburzamy się na nowoczesne prądy i dążenia, które oślepły na wszystko, co nie jest interesem materyalnym, a przecież i nas krępują te same więzy; silimy się może powstać i podźwignąć, próbujemy ostatnich rozpaczliwych wysiłków w obronie bledniejących w oczach naszych ideałów, ale napróżno! Przeszły już one, przeminęły! Zniknęły nie tylko z naszego czasu, ale także i z serca“[2]. Stoi więc dziś wiedza bez Boga nad swoim grobem, własnemi rękoma sobie usypanym, z smętną rezygnacyą, tym jedynym rezultatem swych badań i zabiegów.

Na co się pytać, skąd się wzięliśmy, i dokąd idziemy, gdy

[1] Por. pouczający artykuł O. W. Cathreina T. J.: *Die moderne evolutionistische Weltanschauung in ihren Konsequenzen. St. aus M.-Laach.* 1903. II Heft.

[2] Kutter l. c. str. 224.

to wszystko trud daremny, gdy odpowiedzi spodziewać się nie można? Jedna rzecz jest pewna: to, że żyjemy i czujemy potrzebę życia. Uczujmy się zatem dziećmi tej ziemi i zrywajmy róże, póki nie zwiędną. Do takiego przekonania doszła ostatecznie ludzkość wśród tej powodzi niepokojących ją wątpliwości. Trafnie odmalował Schiller rozwój ten w głębokim a wielce poetycznym wierszu *Der Spaziergang:*

Da zerrint vor dem wundernden Blick der Nebel des Wahnes,
Und die Gebilde der Nacht weichen dem tagenden Licht.
Seine Fesseln zerbricht der Mensch. Der Beglückte! Zerriss'er
Mit den Fesseln der Furcht nur nicht den Zügel der Scham!
Freiheit ruft die Vernunft, Freiheit die wilde Begierde,
Von der heiligen Natur ringen sie lüstern sich los.
Ach, da reissen im Sturm die Anker, die an dem Ufer
Warnend ihn hielten, ihn fasst mächtig der flutende Strom;
Ins Unendliche reisst er ihn hin, die Küste verschwindet,
Hoch auf der Fluten Gebirg wiegt sich entmastet der Kahn;
Hinter Wolken erlöschen des Wagens beharrliche Sterne,
Bleibend ist nichts mehr, es irrt selbst in dem Busen der Gott.

— Wolność! Wolność! woła jednostka, zrywając wszelkie pęta — zbudził się człowiek-zwierzę, samolubna bestya. Symptom życia nie nowy, a przecież nowy! Wszak po wsze czasy, odkąd ludzkość istnieje, wrzała zacięta walka o hegemonię między zmysłową, zepsutą i niższą naturą człowieka a rozumem i jego lepszymi, wznioślejszymi postulatami. W kolei czasów wciąż na nowo odpadał człowiek od swego wysokiego przeznaczenia, a puszczał się na manowce. Atoli jak olbrzymia różnica jest między dawnym poglądem człowieka na swój upadek a dzisiejszem jego pojmowaniem? Dawniej widziano w upadku to, co rzeczywiście w nim tkwiło, to jest zdrożność, zboczenie z prawej drogi. Dawniej widziano w służbie niskich namiętności poniżenie ludzkiej istoty, stworzonej dla wyższych celów; była przytem świadomość własnej winy. Dziś inaczej się dzieje! Wyrazy: wina i grzech wymazano z życia i czynów społeczeństwa; wszystko, czego się natura domaga, jest nie tylko rzeczą dozwoloną i uprawnioną, ale nawet słuszną i godziwą, nie ubliżającą ludzkiej naturze, ale konieczną do jej całości cząstką. Wiedza zatem bezbożna dokonała tego, że „grzech“, to stra-

szydło zakłócające dawniej spokój sumienia, wygnany został ze świata, jak długi i szeroki. Dziś czuje się człowiek w swem niezaprzeczonem prawie, jako indywiduum wolne, nieodpowiedzialne. Na tej właśnie bezwinności jako na fundamencie zbudował sobie gmach życia człowiek autonomiczny i dyktuje światu swe prawa i zasady. Głosem tysiącznych fanfar dolatują do uszu naszych hejnały na cześć nowego ideału ludzkości, a tysiączne wydawnictwa rozrzucane wśród tłumu, ilustrują w szumnych frazesach i z zachwytem opiewają wierszem i prozą tę zdobycz ostatnich lat. Dziś to nastał upragniony dzień, w którym człowiek odmieniony po tysiącletniej niewoli, odzyskał stracony żywot i odkrył szczęśliwie kłamstwa minionych wieków.

Literatura nowoczesna, to zwierciadło społecznego życia, jest najlepszym na to dowodem, żeśmy tego obrazu społecznego nie zdjęli z obłoków. Daje się, co prawda, w najnowszych dziełach dostrzedz jakaś tęsknota za czemś lepszem i wznioślejszem, ale są to obrazy tak niewyraźne i zatarte, tak obciążone pyłem i prochem tej ziemi, iż wielkiej nie budzą nadziei. Żąda się kompromisu, bo chce się zostać człowiekiem bez żadnego uszczerbku, czuć się w każdej fazie życia człowiekiem, wyżyć i przeżyć swoją indywidualność a przytem dążyć do czegoś lepszego [1]; z tem wszystkiem jednak biorą górę barwy ciemne i odstraszające. Przywódcy pięknej literatury są przedstawicielami tego nowego niezależnego i całkiem w doczesności rozpływającego się kierunku i proklamują nowy ideał albo też głośne zawodzą żale nad spodleniem moralnem ludzi w ostatniej dobie. Zmysłowy element erotyczny jest tą przewodnią czerwoną nicią, wijącą się prawie wyłącznie i dominująco przez całą modernistyczną literaturę. W tysiącznych romansach i dramatach, wszędy i wciąż przebija to pełzanie w prochu i kale, to rozdzieranie ropiącej rany społeczeństwa: gangreny moralnej, ten pociąg i ta skłonność do tego, co poziome, podłe i zwierzęce, co trąci alkoholem lub pachnie lazaretem. Treści i wątku myśli dostarczają

[1] Por. np. Kutter: *Das Unmittelbare*. Berlin 1902.

modernistycznej poezyi głównie zbrodniarze większej miary, bohaterzy moralnie zbankrutowani, postacie pożerające się wzajemną żądzą i chełpiące się bezczelnie z swojej podłości przed światem. Smutne to, ale prawdziwe! Wiara w pierwiastek dobry, tkwiący w naturze człowieka, ta zasadnicza myśl dawnej klasycznej poezyi, ustąpiła dziś miejsca przekonaniu, że człowiek jest li tylko igraszką okrutnego a chytrego losu, piłką w ręku jakiegoś ślepego fatum, że zwierzęca chuć w człowieku jest taką potęgą jego natury, że się jej żaden śmiertelnik oprzeć nie może. Jeśli się zaś kiedyś opisuje walkę między złem a dobrem, dzieje się to zwykle bez nadziei w zwycięstwo dobra, a ostatecznym wynikiem jest przeraźliwy zgrzyt czy ton fałszywy i rozpaczliwy pesymizm. Zola np. rozważa pierwiastek zwierzęcy w człowieku z punktu teoryi dziedziczności. Zdaniem jego *la bête humaine* jest produktem naturalnym, atawistycznym popędem skojarzonym z okrucieństwem, żądzą mordu i demoniczną siłą zniszczenia. Tołstoj, Maupassant, Dumas młodszy, Björnson, Ibsen, Strindberg i inni nie mają dość barw, aby jak najjaskrawiej przedstawić zwyrodnienie społeczeństwa. Według ich mniemania wyzwala zmysłowość w człowieku zwierzę z ciążących na niem kajdan i budzi najbrutalniejszy egoizm, który wnet w potworny anarchizm się wyradza. Wnioski i konsekwencye tego wyzwolenia takie, że człowiek staje się najniebezpieczniejszą bestyą na ziemi. Nic go już teraz nie powstrzyma; jego jedyną normą i miarą jest popęd nizkich instynktów[1].

Przewódcą całego tego nowoczesnego kierunku jest Nietzsche. On jest teoretykiem wszystkich tych dążności współczesnych, on ich ostatnim wyrazem. Jego nadczłowiek to bezwzględny okrutnik, nieubłagany samolub, który uważa to wszystko za złe i szaleństwo, co dotychczas uchodziło za dobre i cnotę, i uwielbia tylko to, czem dotychczas gardzono, jako rzeczą podłą i występkiem. Zasadą tego nadczłowieka „owego zwierzęcia drapieżnego, owej wspaniałej, za łupem i zwycięstwem pożądli-

[1] Cfr. Schultze: *Der Zeitgeist der modernen Litteratur Europas.* Halle 1897, p. 33.

wie wałęsającej się jasnowłosej bestyi“ jest: „Nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone“. Dlatego też „chełpi się z wielkiego grzechu, jako z swojej wielkiej pociechy“, bo on winien stać „poza dobrem i złem“ *(Jenseits von Gut u. Böse)*.

Cóż więc dziwnego, że część ludzkiego społeczeństwa, która zerwała zupełnie z wiarą i moralnością, powitała z zapałem tę nową gwiazdę i ujrzała w nim od razu proroka nowej szczęśliwej przyszłości, że obrała go sobie za wodza i mistrza a jego naukę przyswoiła sobie jako zasady fundamentalne nowego prądu? Przedewszystkiem obrało sobie Nietzschego wodzem młodsze pokolenie.

W Nietzschem widzi ono swą podporę, na której się oprzeć i którą się zastawiać może; widzi pana i zwycięzcę, który pierwszy tak śmiało wskazał i utorował drogę życia, schlebiającą jego nizkim instynktom. Tak tedy rośnie i rozwija się w literaturze kierunek nowy, a jego zasadniczym motywem jest ubóstwienie własnego „ja“, używanie i nadczłowieczeństwo.

W rzędzie dramatyków, otwarcie proklamujących zasady Nietzschego, stoi na pierwszem miejscu Gerhard Hauptmann ze swojem najsławniejszem dziełem: „Zatopiony dzwon“; baśń dramatyczna. I u nas w Polsce należy ten dramat do najwięcej znanych i lubianych na scenie. Ponieważ zaś większość widzów nie zdaje sobie zapewne sprawy z tego, jakiego kierunku płodem jest ten dramat, sądzimy, że nie od rzeczy będzie zastanowić się nad przewodnią jego myślą.

Głównym bohaterem utworu jest odlewacz dzwonów Henryk, człowiek zacny i pobożny, kochany od Magdy, swej małżonki i swoich dzieci, ceniony od współobywateli. Żyje on skromnie, z pewnym pietyzmem oddany swej sztuce, którą poświęcił całą na usługi Kościoła.

Ze sto dzwonów z raźną, wesołą odlał skrzętnością; „z stu wież brzmią teraz jego chwałą, jak z czar, tak duszy swej głębokie piękno leją na pola i łąki“ [1]. Bo też mistrz Henryk, to

[1] G. Hauptmann: „Dzwon zatopiony“. Przekład J. Kasprowicza. Warszawa 1899, p. 57.

bogacz, co wiele dać z siebie może. Wkłada on w serca swych dzwonów coś z własnego serca i dlatego brzmią te spiżowe dzieła jego ręki srebrzystemi głosy ponad całą okolicą na chwałę Bożą i na radość ludziom. Prawda, że ludzie go chwalą i wynoszą, ale on sam niezadowolony z dzieł sztuki swej; on wie dobrze, że te dzwony nie są tak doskonałe, jak się wydają, że nie odpowiadają jego myśli i ideałom. Czuje bowiem w sobie niejasne wprawdzie, ale silne porywy do czegoś lepszego, wyższego. Nawet jego ostatnie wielkie dzieło go nie zadowala. Ulał dzwon wielki, wspaniały dla kościoła, który budowano wysoko w górach, dzieło wysławione, nienaganne, o dźwięku tak czystym, srebrzystym; „by chóry anielskie śpiewa dzwon mistrza“, tak mówili wszyscy, gdy zawieszony na próbę pomiędzy drzewami, swój uroczysty podniósł głos ku niebu (56). Cieszą się więc wszyscy, że „tak wspaniale będzie dźwięczał w górach“, tylko mistrz nie. Nazwali go szczęśliwym, on jednak czuł się nieszczęśliwym, bo wśród niewymownych udręczeń szukał daremnie urzeczywistnienia swych uczuć, swego ideału. Dlatego też z „ścieśnionem sercem“ postępuje za wozem, kiedy wloką z wielkim mozołem to nowe arcydzieło po stromych uboczach, po głazach i łozach ponad przepaściami, aby je zawiesić na wieży, dopiero co w górach zbudowanego kościoła. Ale to nie wsmak złym duchom i mocom, które zaludniają górskie lasy i szczyty. Z strachem i nienawiścią widzą one, jak nad krawędzią urwiską kościół nowy dumnie ku niebu sterczy, a teraz w dodatku ma ich jeszcze płoszyć i dręczyć ten dzwon-potwór. Rozjątrzony myślą o zemście, najzłośliwszy, najzuchwalszy z leśnych duchów Waldschwat, kiedy wóz nad przepaścią trzeszczał pod ciężarem, schwycił koło, szarpnął, a dzwon hucząc w szalonych skokach toczył się ze skał na skały, aż go pochłonęła toń u stóp góry. Mistrz Henryk zrozpaczony rzuca się za dziełem swojem i spada w przepaść. Ciężko ranny, potłuczony z trudem dowlókł się do polany i wołając o pomoc, padł nieprzytomny na ziemię. Budzi się w świecie fantastycznym, w świecie baśni i czarów. Rozgląda się i niespokojny pyta, gdzie jest, nie wie, czy marzy we śnie, czy na jawie; to mu jest tylko jasnem, że zjawiająca się nad

nim postać piękna, złotowłosa, rusałka Rautendelein nie jest mu zupełnie obcą, że o niej marzył, jak o słodkiej, miłej baśni, że jej głos srebrny słyszał, że na dnie duszy jego ten głos wciąż dzwonił, ale wie też, że daremnie usiłował dźwięk głosu tego zakląć w spiż swoich dzwonów:

> Jakaś ty słodka! — Zostań! ręka moja
> zbożna, a święta ty jesteś! ja ciebie
> gdzieś już widziałem... Ale gdzie? o ciebiem
> walczył... o ciebie służyłem... jak długo?...
> Głos twój pragnąłem zakląć w kruszec dzwonu,
> pragnąłem z złotem słonecznego święta
> głos ten skojarzyć. Lecz to arcydzieło
> nie udawało mi się nigdy... (16)

Z tych słów jasno wynika, że Rautendelein nie jest zwykłą postacią, której rola kończy się na tem, że nieszczęśliwego mistrza krzepi i wybawia od śmierci, lecz że ma symboliczne znaczenie, tak samo jak mistrz Henryk i jego upadek w przepaść, że oboje są przedstawicielami i wyrazem pewnych przez poetę zamierzonych idei. Za takie symboliczne postacie pojmują ich też zgodnie wszyscy krytycy.

Jakie więc mają znaczenie Henryk i Rautendelein i jaki stosunek rusałki do mistrza?

W myśl poety, Henryk jest przedstawicielem całej ludzkości, a zwłaszcza typem genialnego mistrza, w którego duszy wre to wiecznie stare i wiecznie nowe przeciwieństwo między wymarzonym swym ideałem a rzeczywistością; ma on coś wspólnego z naturą Fausta, która go rwie ku wyżynom, która szuka zaspokojenia swych porywów i dążeń nadludzkich. W nim ucieleśniona jest owa tęsknota mistrza za oddaniem tego w rzeczywistości, co w jego duszy tkwi jako ideał, i tem właśnie go dręczy i trapi, że w całej doskonałości wyrazić go w sztuce nie potrafi. Henryk czuje z całą świadomością, przygniatającą go ciężarem głazu, tę tragikę swej mistrzowskiej natury, czuje, że słusznie powiedziała stara Wittich:

> On wie najlepiej, czego braknie dzwonom,
> wie, że najlepsze mają błędy swoje. (30)

Przekonało go również o tem doświadczenie ostatnich dni. Kiedy bowiem odlał to ostatnie arcydzieło, w które tchnął cały artyzm swego geniuszu, dzwon, według zdania wieśniaków, „śpiewał jak chóry anielskie“. Mimoto i to dzieło nie wytrzymało próby; więc mistrz sam też spadł z wyżyn ideału, ku którym bezskutecznie dążył.

Powtarzam:
nie udało się me ostatnie dzieło...
Z ścieśnionem sercem wlokłem się za nimi,
gdy klnąc i niszcząc pchali dzwon ku wyży,
i, widzisz, dzwon mój stoczył się w głębinę,
w przepaść na jakie sto sążni się stoczył
i leży w stawie... Tam! w jeziorze górskiem
leży ostatni owoc mojej siły
i mojej sztuki... Całe życie moje
lepszego z siebie nie dało owocu
i dać nie mogło... więc je strąciłem
w ślad za mem dziełem chybionem... Dziś życie
leży w jeziorze, gdy ja tu przeżuwam
jedynie resztki posępnego bytu... (58)

Ten dzwon, który miał z przeznaczenia mistrza wspaniale dźwięczeć w górach, „dźwięczy niestety tylko w dolinach“ (56).

Złe było dzieło moje! dzwon, co upadł
w otchłań, dla wyżyn nie był on stworzony!
nie byłby dzwon ten budził ech po wirchach. (55)

Dla tego też rozpacza Henryk i chce umrzeć.

Lecz nie! Umrzeć jeszcze nie może, nie może zniszczyć swej mistrzowskiej istoty. Odkąd bowiem stanęła przed nim jego muza Rautendelein, po owem strasznem runięciu w przepaść, i wzmocniła go na duchu, odkąd zbudził się w nim dawny głos geniuszu i tam w owej krainie fantastycznej ozwała się żądza twórcza, i on począł stąpać, choć na pół we śnie, ku wyżynom swego artyzmu. Nabiera znów otuchy i twórcza jego siła sztuki znów chce działać, lecz nie już, jak przedtem, w dolinach. Głosy starego dzwonu już go nie nęcą, już mu one zbrzydły, jak całe jego dawne życie.

Biada! me życie w ten sposób pojęte,
to wór zgryzoty, skruchy i szaleństwa,

żółci i octu, ciemności i błędu.
Ale ja tak go nie pojmę... Doliny
już mnie nie nęcą, ażeby im służyć;
cisza ich wrzącej krwi mej nie ukoi,
jak było ongi! (58)

Jedna myśl go tylko ożywia i podnosi, tęsknota do wyżyn:

Od owej godziny,
gdym był na szczycie, wszystko, co jest we mnie,
rwie się ku wyżom, pragnie wśród błękitów
kroczyć nad morzem sinych mgieł i dzieła
z szczytów jedynie wysnuwać potęgi. (58, 59).

Lecz choć czuje nieprzepartą jakąś tęsknotę za życiem nowem, brak mu jednak jeszcze odwagi tytanicznej do porzucenia życia na nizinach.

Aby żyć dalej, musiałbym odmłodnieć,
z gór bajecznego dziwo-kwiecia nowy
musiałbym owoc wydać — o tak, inny,
z innego kwiecia owoc. W sercu mojem
musiałbym znowu uczuć siły rzeźwość,
jędrność w ramionach i żelazo w żyłach,
i do nowego rzutu, do nowego,
niesłychanego dzieła rozszalałą
żądzę zwycięzcy!
A że ja, będąc takim, jakim jestem,
wykonać tego nie mogę, więc więdnę. (59).

W tej krytycznej chwili staje znów przed jego śmiertelnem łożem wybawicielka, Rautendelein, która mimo przestrogi Nickelmana ulega skłonności ku nieznajomemu człowiekowi. Pocałowaniem oczu jego otwiera jego źrenicę i teraz poznaje ją, widzi jej wzrok promienny i czuje w sobie tę siłę twórczą, o której dopiero co marzył; moc ciała i ducha wraca.

Zjawisko słodkie,
dla mnie w ostatniej zesłane godzinie!
Różdżko kwitnąca, gdzieś w dalekiej wiośnie
zerwana Boga ojcowską prawicą!
Dziecię swobody!
O ślepy byłem! dzisiaj, pełen światła,
mocą przeczucia po ten świat twój sięgam.
Tak! w miarę tego, jak cię wchłaniam w siebie,

jak się upajam tobą, zagadkowy,
luby obrazie, uczuwam, że widzę! (68).

Coraz potężniejszym strumieniem tryska w nim poczucie siły i żądza działania; rusałka uzdrawia go zupełnie i teraz już chce żyć naprawdę.

Cóż to się ze mną zdarzyło?... Z jakiego
snu się ja budzę? Jakiego poranka
wciska się słońce przez okno otwarte,
rękę mi złocąc! O ranne powiewy!
Jeśli, niebiosa, waszą to jest wolą,
jeśli ta siła, co działa przezemnie —
to płomieniste, nowe wrzenie w piersi
zrodziło-li się na znak waszej woli,
to chciałbym znowu, raz jeszcze powstawszy,
na drogę zejścia zwrócić swoje kroki,
raz jeszcze pragnąć, dążyć, mieć nadzieję
i tworzyć, tworzyć... (70).

Urokiem rusałki uwiedziony, opuszcza Henryk żonę i dzieci, a idzie za nią w góry, gdzie na nowo ma rozwinąć odzyskaną twórczość i wraz z nią rozpocząć nowy, szczęśliwy żywot.

Przypatrzmy się temu odmienionemu mistrzowi, jak tam wysoko w górach uprawia swoją sztukę. Pod wpływem rusałki stał się Henryk jakimś innym zgoła człowiekiem, jakimś kulturtregerem, którego zadaniem jest dać początek nowej kulturze, stworzyć nową religię i nową sztukę.

Jakże wygląda ta religia przyszłości, która ma ludzkość odnowić i uszczęśliwić? Stajemy tu niewątpliwie u jądra dramatu i jego przewodniej idei, której charakterystycznem odbiciem i wyrazem jest nowoczesna oświata. Tą ideą jest walka dwóch z gruntu przeciwnych sobie obozów, starego chrześcijańskiego i modernistycznej religii *fin de siècle,* której autor w tym dramacie chce stanowczą wywalczyć przewagę. Ta walka jest kluczem do zrozumienia i rozwiązania tego zagadkowego dramatu.

(Dok. nast.).

Ks. M. Kohlsdorfer.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

IV.

Panowanie Kazimierza Jagiellończyka najwięcej zyskało na ruchu historyograficznym ostatnich lat.

Nową zupełnie dla historyi polskiej rzecz ogłosił ś. p. prof. Lewicki w rozprawie p. t. „Przymierze Zygmunta, Wielkiego księcia litewskiego z królem rzymskim Albrechtem II“. Dotychczas bowiem całkiem nawet nie wiedziano, że przymierze podobne istniało. Tylko szperający wprost w samych źródłach wiedział o istnieniu kilku aktów, wydanych w t. zw. „Kodeksie listów XV wieku“, nie umiano ich jednakże interpretować. Autor pozyskał następnie nowe jeszcze przyczynki źródłowe, z archiwum królewieckiego, na podstawie których twierdzi, że Zygmunt Kiejstutowicz, młodszy brat Witołda, zaraz po swem wyniesieniu na tron litewski, nosił się z myślą buntu przeciwko Polsce, której tron zawdzięczał, łączył się z królem rzymskim Albrechtem, dzierżącym równocześnie koronę czeską i węgierską, i z Zakonem niemieckim. Zanosiło się wtedy na powtórzenie podobnego stanu rzeczy w Polsce, jak za buntu Świdrygiełły, a książę, który tamten bunt pomagał był stłumić, i poskromieniu Świdrygiełły zawdzięczał swe wyniesienie, począł kroczyć śladami dawnego swego przeciwnika. Szukając powodów tego zwrotu wśród współczesnych stosunków, nie znajdujemy innego powodu, jak, że panowie polscy nie kwapili się ze zwrotem Łucka Litwie.

Gdy po śmierci cesarza Zygmunta Polska wystąpiła przeciw Albrechtowi II, łączyła się przeciw niemu z książętami niemieckimi, a na tron czeski popierano królewicza Kazimierza Jagiellończyka przeciw Albrechtowi, wtenczas zdawała się chwila stosowną, ażeby wywrzeć nacisk na sfery decydujące polskie okazaniem własnej woli, że książę litewski nie musi być tylko prostym trabantem około polityki panów polskich. Rozpoczęły się rzeczywiście rokowania o przymierze, ono samo nie doszło jednak wcale do skutku. Krzyżacy zawarli już byli z Polską pokój brzeski, a przeciw Wielkiemu Mistrzowi powstała w Niemczech gwałtowna opozycya, na której czele stanął z urzędu t. zw. *Deutschmeister*, naczelnik Zakonu krzyżackiego w Niemczech i zastępca jego podczas wakansu. Statut Zakonu niemieckiego przepisywał wyraźnie, że gdyby Wielki Mistrz działał na szkodę Zakonu, *Deutschmeister* ma temu się sprzeciwić, dbając o dobro całości Zakonu. Rozpuszczono tedy po całych Niemczech głosy, że pokój brzeski podrywa samo istnienie Zakonu, a niemiecki oddział Zakonu protestował i nie chciał pokoju uznać. Gotowano się jakoby do wojny domowej w łonie Zakonu krzyżackiego, podczas gdy równocześnie w Inflanciech nastały niepokoje przez podwójny wybór tamtejszego Landmistrza.

Wśród takich stosunków nie mógł oczywiście Russdorf, ówczesny Wielki Mistrz, narażać się na nową wojnę z Polską; natenczas Albrecht II nawiązał stosunki z landmistrzem Inflant, Owerbegiem, wybranym właśnie wbrew Russdorfowi. Dla stosunków polsko-litewskich od pokoju brzeskiego decydującym był nie tyle pruski, ile inflancki oddział Zakonu. Książę Zygmunt wchodził w porozumienie z Owerbegiem, ale tu sprzeciwili się temu panowie litewscy, nie chcąc widocznie kraju narażać na nową zawieruchę wojenną.

Wkrótce potem Zygmunt Kiejstutowicz wznowił ugodę z Polską. To przedstawienie toku sprawy przez autora uzupełnić należy uwagą, że na Litwie zawsze były dwa stronnictwa, jedno gotowe przyjmować wszystkie warunki, jakie podyktuje Polska, i zgadzające się na podrzędne wobec korony polskiej stanowisko, drugie zaś gotowe tylko do sojuszu z Polską, za cenę

zupełnej równorzędności politycznej. Zdaje się, że po poskromieniu buntu Świdrygiełły, stronnictwo drugie miało jeszcze swych przedstawicieli w otoczeniu nowego Wielkiego księcia, nie wszystkich bowiem stronników Świdrygiełły pokonano siłą; drugie tyle pozyskano polityką pojednawczą. Wszak i w Polsce były dwa prądy; jedni żądali wprost uwięzienia Świdrygiełły i to dożywotnio, podczas gdy inni zezwalali na oddanie mu Kijowa. Ten drugi prąd zwyciężył. Nie chcąc zrażać sobie nowych zwolenników, dopiero co ugłaskanych, nie mógł nowy Wielki książę stanąć w jaskrawem przeciwieństwie przeciw ich przekonaniom politycznym, a porozumiewanie się jego z Albrechtem i Zakonem, tłumaczyć sobie trzeba lawirowaniem pomiędzy stronnictwami. Gdy się stosunki ułożyły i namiętności uspokoiły, zerwały się też stosunki Wilna z Niemcami; w jaki zaś sposób burzę uśmierzono, to jeszcze nie jest wyjaśnione.

Jakiejkolwiek tknąć sprawy w dziejach tego okresu, zawsze wypadnie spotkać się z Zakonem niemieckim. Bo też w średnich wiekach najważniejszą sprawą północno-wschodniej Europy było załatwienie sprawy pruskiej, czyli zatarg polsko-krzyżacki. Zakon krzyżacki związany był licznymi interesami nie tylko na Zachodzie, ale też na Wschodzie, a po papieskim był Malborg najbardziej europejskim dworem na północy, i zarazem polityki europejskiej największym zbiornikiem. W archiwach krzyżackich zbierały się najlepsze informacye dyplomatyczne i polityczne z całej Europy; nie brakło ich nigdy pomiędzy Malborgiem a ważniejszemi ogniskami władzy lub handlu, nie brakło pomiędzy Malborgiem a Londynem, tem częściej tedy były i ważniejsze stosunki Malborga z Pragą.

W zapasach o wybrzeże Bałtyku stanowisko korony czeskiej miało wielkie znaczenie, a było rozmaite, już to za nami, już to przeciwko nam. Zależało to oczywiście od względów ani nie krzyżackich, ani nie polskich, lecz czeskich. Dla historyka polskiego ciekawe zawsze było, w czem i jak Czesi upatrywali swoją korzyść wśród sporów polsko-krzyżackich; niedokładna znajomość tych spraw była też luką w historyografii polskiej, usunął ją dopiero najwybitniejszy obecnie historyk czeski, prof.

Jarosław Goll w znakomitej swej książce „Czechy i Prusy w wiekach średnich“, wydanej po czesku w roku 1897. Autor zaczyna słusznie od św. Wojciecha, pierwszego apostoła Prus, polskiego patrona a rodowitego Czecha, a następnie wspomina drugiego misyonarza czeskiego, biskupa Henryka Zdika, poczem przechodzi pragmatycznie dzieje wzajemnych stosunków, a obszerniejszy ustęp poświęca krucyatom pruskim Przemyślidy Ottokara II. Zdaniem autora, zamierzał ten król podbić Litwę i Jadźwingów, ażeby poddać ich nie Krzyżakom, lecz swej czeskiej koronie; krainy te miały być przydzielone stolicy biskupiej w Ołomuńcu, a pod względem politycznym miały być czeskiemi lennami pod władzą piastowskich książąt. W drugim rozdziale opowiada nam o ostatnich dwóch królach z dynastyi Przemyślidów, tudzież o pierwszych Luksemburczykach Janie i Karolu IV. Ten, potrzebując Kazimierza W. przeciwko bawarskiemu stronnictwu w Rzeszy niemieckiej, obiecał Polsce dopomódz przeciwko Krzyżakom, ale było to już po pokoju kaliskim, kiedy wiedziano, że Kazimierz wojny już, przynajmniej w najbliższych latach, prowadzić nie będzie. Książka staje się tem ciekawszą, im bardziej posuwa się chronologia. W rozdziale III zajmuje się początkiem unii litewskiej aż do roku 1414. Od roku 1398 zaczyna się przymierze z Polską króla Wacława, ale w r. 1410 król naraz zmienia stanowisko. Pod Grunwaldem walczą Czesi, jako zaciężni, po obydwóch stronach. Prof. Goll, zbadawszy te stosunki szczegółowo, dochodzi do przekonania, że dopiero przez „wielką wojnę“ wzrosła w Czechach sympatya do Polaków, a przez zwycięstwo pod Grunwaldem zapuściła korzenie w znacznej części społeczeństwa czeskiego, ale nigdy w całym czeskim narodzie. W r. 1414 Zakon miał jeszcze zaciężnych czeskich, ale już niewielu. Czescy żołnierze woleli zaciągać się pod polskie sztandary. Polityka królów czeskich pozostaje nadal jeszcze zmienna, ale wśród społeczeństwa czeskiego szerzą się coraz bardziej sympatye do Polski.

Najciekawsze dla nas są oczywiście stosunki wzajemne podczas sprawy husyckiej; okazuje się, że nawet wtenczas sprawa pruska rozstrzygała kilkakrotnie o stosunkach poli-

tycznych polsko-czeskich. Witołd pragnie utrzymać Żmujdź, Jagiełło zaś występował przeciwko Zygmuntowi głównie dlatego, że on, cesarz i następnie król czeski, gotów był popierać Zakon. Stanowisko dworu polskiego wobec Czech waha się często, bo wpływa na nie wzgląd na sprawę pomorską. Obok tej zasadniczej uwagi obszernie motywowanej, znajdujemy znaczną wiązankę nowych szczegółów, dotyczących różnych spraw tego okresu, a zwłaszcza do misyi Korybuta. Zupełnie zgodzić się należy z autorem w tem, że w ruchu husyckim bez porównania więcej było sekciarstwa, aniżeli ruchu narodowego; Polacy zaś Czechom sprzyjali, jako narodowi, lecz nie husytyzmowi. W Czechach poczucie narodowe rozbudziło się wprawdzie, lecz póki poczucie sekciarskie nad niem górowało, nie mogła Polska przystąpić do wspólnej akcyi i wywrzeć rozstrzygającego wpływu na przebieg wojen „husyckich". Prof. Goll jest pierwszym Czechem, który należycie tę kwestyę osądził, i zgodnie z dawnem zapatrywaniem niektórych naszych historyków ją przeprowadził. Około r. 1430 nie było wśród Husytów zdaniem autora, wcale stronnictwa polskiego; tę kwestyę możnaby jeszcze uważać za wątpliwą, wszak we dwa lata później stanęło przymierze czesko-polskie i to przeciw „całej nacyi niemieckiej".

Prof. Goll nie omija tej kwestyi, twierdzi jednakże, że przymierze to zaczęło się i skończyło zarazem na wyprawie Sierotek do Prus. Ani wówczas nie brakowało czeskich zaciężnych po stronie krzyżackiej. Tutaj autor zanadto wielką wagę przywiązuje do zarobkowych wędrówek zaciężnych. Tego nie można mierzyć miarą dzisiejszych pojęć; zaciężni byli rzemieślnikami i pracowali dla tego, kto u nich towar zamówił, a że towarem była własna krew, to już należy do krytyki ówczesnych pojęć, lecz nie jest sprawą polityczną. Możnaby natomiast wskazać nieraz, że garnięto się chętniej pod polskie sztandary, aniżeli pod krzyżackie, tylko że Polska rzadko kiedy najmowała zaciężnych, i to niewielu. Zmienia się to podczas wojny 13-toletniej, gdy zaciężni czescy cieszą się wielce z tego, że stosunki składają się w ten sposób, ażeby mogli służbę krzyżacką za-

mienić na polską. Przedewszystkiem jednakże trwać trzeba na tem stanowisku, że w ruchu zaciężnych nie było nigdy żadnej politycznej myśli przewodniej. Król czeski, Jerzy Podiebradzki kierował się wówczas względem na dwór papieski, który był po stronie Zakonu; chciał więc pośredniczyć, ażeby państwo krzyżackie ocalić i zasłużyć się w ten sposób papieżowi. Politykę czeską Kazimierza Jagiellończyka wyjaśnia autor tem, że dom Jagielloński pragnął korony czeskiej, po wyklętym Jerzym Podiebradzkim; to wyjaśnia jednak znacznie lepiej cenna rozprawa Dra Prochaski „Król Jerzyk", znana dobrze czytelnikom *Przeglądu Powszechnego*. Samo zakończenie książki prof. Golla podaję dosłownie: „Ani nawet ostateczne wypełnienie pokoju toruńskiego nie wydało szczęśliwego dla Polski załatwienia sprawy pruskiej. Zakon stracił Prusy, ale tradycya jego polityki przeszła na jego spadkobierców. W nowoczesnem pruskiem państwie zwyciężył on ostatecznie Polskę. A zanim jeszcze upadło krzyżackie panowanie w Prusiech, wcześnie bardzo okazało się, co stanie się pogromem polskiego państwa, zbudowanego przez wieki XIV i XV, opierającego się na unii litewskiej i pokoju toruńskim: oto spółka Prus z Moskwą. Prusy zwyciężyły Polskę, a Moskwa Litwę. Ale też takie ostateczne załatwienie sprawy pruskiej nie jest również szczęśliwem dla Słowiańszczyzny".

Książka prof. Golla wyjaśnia cały szereg zajmujących spraw z nowego punktu widzenia, a historyk polski znajdzie tam nie tylko podane rozmaite zagadnienia, które, dzięki autorowi, wchodzą obecnie także do historyografii polskiej, rozszerzając jej zakres, ale też znajdzie dużo faktów dotychczas nie znanych, lub też obojętnie przeoczanych. Ma ona jednak jeszcze inne znaczenie, jako dokładna historya stosunków polsko-czeskich w średnich wiekach na tle europejskiem, wśród rozległych zawikłań politycznych. Tytuł „Czechy i Prusy" tem się tłumaczy, że węzeł tej politycznej plątaniny polsko-czeskiej, niemieckiej, węgierskiej, a wreszcie także moskiewskiej, tkwił prawie zawsze w Malborgu, i daleka napozór sprawa pruska wpływała nieraz rozstrzygająco na wiele innych, i daje się ponad innemi odszukać.

Stosunki Czech i Polski zależały często nie od spraw polskich i czeskich, ale od spraw dalekich, lecz takich, z któremi i Polska i Czechy liczyć się musiały. Sympatye były swoją drogą, a swoją drogą o politycznych stosunkach dwóch z koron rozstrzygały najczęściej bardziej oddalone sprawy i polityka czeska rozchodziła się z polską, jeśli wobec pruskich interesów Polska i Czechy nie były zgodne. I faktem jest, że Czechy stosunkowo znacznie dopomogły do wzmożenia się krzyżackiej potęgi. W przedmowie słusznie powiada autor: „dzisiejszy praktyczny polityk mógłby z tych rozdziałów wysnuć naukę, że pokrewieństwo narodów i wynikająca z tego wzajemna przyjaźń narodów nie starczą, gdy się do tego nie przyłączą jeszcze inne wspólne interesy". Od siebie dodaję, że przebieg sprawy pruskiej dał się w końcu i Czechom we znaki i dobrze byłoby, gdyby na przyszłość właśnie sprawa „pruska" stała się nową osią stosunków polsko-czeskich; natenczas nie zabraknie nam na jej tle wspólnych interesów. Co zaś do średnich wieków, zwracam uwagę, że doniosłość sprawy pruskiej dla Czech tłumaczy się po prostu względami handlowymi. Bałtyk był niezmiernie ważną drogą handlu międzynarodowego, i dotyczył często bezpośrednio spraw ekonomicznych czeskich, te zaś nie zawsze szły w parze z interesami ekonomicznymi Polski. Na tę sprawę czeski autor nie zwrócił jeszcze uwagi, to też temat o „Czechach i Prusach w wiekach średnich" wymaga jeszcze opracowania z tego drugiego punktu widzenia.

Do ostatniego 12-lecia Kazimierza Jagiellończyka jest pod prasą cenna rozprawa d-ra Fryd. Papéego p. t. „Litwa w ostatnich 12 leciech Kazimierza Jagiellończyka". Autor zwraca słusznie uwagę, że ustrój państwowy Litwy nie polegał na centralizmie, jak raczej na feudalizmie, przyczem władza monarsza ograniczoną była zjazdami oligarchów. Główną sprawą polityki wewnętrznej była sprawa Wielkiego Nowogrodu, który nie mógł już utrzymać swej niepodległości, i musiał przypaść albo Litwie albo Moskwie. Gdyby pokusić się o zerwanie traktatu z r. 1449, w razie powodzenia przybyłoby państwu litewskiemu jeszcze bardziej żywiołu ruskiego, i to o wysokim stopniu kultury. Nowo-

gród przysłał projekt przymierza, król jednakowoż pozostał wiernym dawnym układom z Moskwą, szachowano się tylko nawzajem Tatarami; Kazimierz Jagiellończyk podburzył Ordę nadwołżańską przeciwko Moskwie, a Iwan III poruszył krymskich Tatarów, którzy poczynali być państwową potęgą pod Mendligirejem. W r. 1479 wyjeżdża król na Litwę i przebywa tam przez szereg lat stale, bo cała wschodnia granica Litwy mogła być w każdej chwili zagrożoną. Zgłosili się do niego zaraz młodsi bracia Iwana III, dopominając się niezawisłości swych dzielnic rodowych, han Achmet i Zakon inflancki. Zanosiło się na groźną koalicyę przeciw Moskwie, ale Wielki Mistrz krzyżacki zgodził się na sojusz tylko pod warunkiem zwrotu Prus Królewskich, przyznając tylko protektorat nad pruskim i inflanckim oddziałem Zakonu królom polskim. Bracia Iwana III przesiedlili już swe rodziny na Litwę, a wojska ich odbywały jakieś ruchy wojenne na litewskiej granicy, w końcu jednak pogodzili się z Wielkim Księciem w roku 1480, kiedy w sam raz han Achmet stanął nad rzeką Ugrą. Zawsze tak było, że nie brakowało ani Litwie sojuszników wśród poddanych moskiewskich, ani też Wielkim kniaziom wśród litewskich poddanych; i tym razem również uknuto spisek wśród kniaziów ruskich przeciw Kazimierzowi Jagiellończykowi, który następnego roku dojrzał, i zamienił się wprost na spisek godzący na życie króla. Pozoru dostarczyła sprawa kijowska. W r. 1474 zniósł Kazimierz Jagiellończyk księstwo kijowskie, przeniósłszy Olelkowiczów na małe księstwo słuckie, Kijowszczyznę zaś zamienił na województwo; pierwszym wojewodą był Marcin Gasztołd, po nim zaś Iwan Chodkowicz. Wtedy to dojrzewa spisek: Olelkowicze z Holsztyńskimi i Bielskimi postanawiają wymordować rodzinę królewską, wchodzą w porozumienie z Moskwą; Michał Olelkowicz, książe słucki, miał zostać wielkim księciem litewskim z ramienia Iwana III. Zamach oznaczono na wczesną wiosnę 1481 r., kiedy król przed Wielkanocą odbywał wielkie łowy, spisek jednakże się wydał, Michał Olelkowicz i Iwan Holszański przypłacili głową, straceni w Wilnie 3 sierpnia 1481 r. W rok później Mendligirej zdobył Kijów, nie bez porozumienia z Iwa-

nem III. Zwołano pospolite ruszenie, którego część ruszyła na południe, na naprawę grodów tamtejszych, zniszczonych napadami tatarskimi, podczas gdy 10.000 wojska ustawiło się na północy w Smoleńsku. Moskwa jednakże zaczepnie nie wystąpiła, a Kazimierz Jagiellończyk trzymał się niewzruszenie zasady, żeby samemu Moskwy nie zaczepiać. Pod koniec życia postanowił król, ażeby Litwa miała osobnego Wielkiego Księcia, któryby traktat pokojowy utwierdził małżeństwem z jaką księżniczką moskiewską. Autor staje w obronie t. zw. testamentu Kazimierza Jagiellończyka, uważanego dotychczas tylko za podanie. Fakta te, po raz pierwszy szczegółowo przez autora omówione, stanowią nader cenny przyczynek do politycznej charakterystyki tych lat. Zwrócić trzeba jednakże uwagę, że polityka rezygnacyi wobec Moskwy zaczyna się nie od roku 1479, ale już o 30 lat wcześniej w r. 1449. Dr. Papée usprawiedliwia Kazimierza Jagiellończyka tem, że równocześnie prowadził z całą energią politykę dążącą do zajęcia czarnomorskich wybrzeży, którą uważa za zupełnie słuszną w przeciwieństwie znów do Lewickiego, który to uważał za „awanturnicze“ przedsięwzięcie. Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że już kardynał Oleśnicki był tego zdania, że tylko przez wojnę turecką wiedzie droga do pokonania Moskwy, że najpierw trzeba rozprawić się z Turkiem, a potem dopiero z Moskwą. Nie może zaś ulegać najmniejszej wątpliwości, że sprawa czarnomorska była kwestyą życia dla ówczesnej Polski, bo tylko pozyskanie brzegów morskich mogło Polsce zapewnić fundament wszelkiej niepodległości, t. j. niepodległość ekonomiczną, bez której polityczna na słabych tylko opiera się podstawach, a często nawet złudzeniem się staje.

Z Jagiellończyków najmniej wiedzieliśmy o św. Kazimierzu, dopiero w r. 1895 stwierdził dr. Fryderyk Papée, że „osobistość ta nie tylko w żywotach świętych powinna być zapisana, ale także w księdze historyi“. Krótki, lecz pełen treści artykuł „Święty Kazimierz“ (*Ateneum* 1896, marzec), okazuje nam tę drogą postać w wyraźnym konturze. Nieszczęśliwa wyprawa 13-letniego królewicza po koronę węgierską w r. 1471 nie była wcale powodem do usunięcia się od świata, jak mylnie sądzi

historyk niemiecki Caro. Słusznie podnosi dr. Papée, że Kazimierz na tej wyprawie „nie był prowadzącym, tylko prowadzonym“ i zbyt młodym, żeby to chybione przedsięwzięcie miało wywrzeć stanowczy wpływ na dalsze całe jego życie. Uczył się więc dalej pod Długoszem, o którego środkach pedagogicznych kursują niczem nie usprawiedliwione anegdoty. Ukończywszy nauki, był od początku r. 1475 ciągle przy ojcu wraz z młodszym o rok Olbrachtem. Jako najstarszy, uchodził za następcę tronu, to też kształcił się na monarchę i sposobił do rządów. W Wilnie bywał przy uroczystych audyencyach obcych poselstw, pojechał z ojcem na zjazd z Wielkim Mistrzem krzyżackim do Malborga r. 1476, a w styczniu 1478 on sam tylko był z ojcem na sejmie piotrkowskim, podczas gdy bracia pozostali w Radomiu. Z końcem r. 1479 przeniósł się wraz z ojcem na Litwę i bawił tu do lata 1481. W połowie mniej więcej tego roku wraca do Korony, jako współrządca z władzą namiestniczą. Sprawował rządy niespełna dwa lata; w połowie 1483 r. wyjechał znowu na Litwę, dotknięty piersiową chorobą. Umarł dnia 4 marca 1484 (dotychczas sądzono mylnie, że 1483). Cnotą odznaczał się zawsze, ale mylne jest mniemanie, jakoby zawsze oddany był wyłącznie praktykom religijnym; to nastąpiło dopiero podczas choroby. Wszyscy współcześni, i swoi i obcy, przypisywali mu niepomierne zdolności i wielką mądrość. Za świętego uważany był wnet po śmierci; już w r. 1502 jest na to dowód źródłowy. Kanonizowany w r. 1521 za staraniem Zygmunta Starego. Wiadomości te są istną niespodzianką; tak się przyzwyczailiśmy widzieć w św. Kazimierzu tylko cichego ascetę. Słusznie powiada autor: „A nie straci na tem zaiste szlachetna postać św. Kazimierza, jeżeli z poza rąbków legendy wychyli się książe z krwi i kości, potomek Jagiellońskiego rodu, obdarzony wybitną zdolnością na panującego“.

Do spraw wewnętrznych XIV i XV wieku wyszła jeszcze w r. 1894 świetna rozprawa J. A. Linniczenki p. t. *Czerty is istorii sosłowij w jugo zapadnoj (halickoj) Rusi XIV—XV w.*

Rozprawa uczonego Rosyanina zapełnia w sam raz dotkliwą lukę, a pisana objektywnie, przynosi rzeczywiście sporo

ważnych nawet szczegółów do historyi ludu polskiego. Na Rusi byli bojarowie właściwi i tak zwani „rzędowi“. Znaczna część drobniejszego bojarstwa przeszła następnie w stan „służski“ na t. zw. *servitores* (t. zw. bojarstwo „putne“ na Litwie), podczas gdy z drugiej strony za Jagiełły wielu chłopów przemyciło się do stanu szlacheckiego. Prawo „służskie“ obowiązywało na Rusi Czerwonej aż do r. 1435. Jeszcze na 10 lat przedtem, kiedy Jagiełło kazał ziemianom tamtejszym ruszyć nad Dunaj na pomoc Zygmuntowi Luksemburskiemu przeciwko Turkom, a gdy oni zażądali za to po 5 grzywien od włóczni, nie tylko im odmówiono, ale zagrożono surowemi karami i konfiskatą dóbr. Wynagrodzenie za wyprawy zagraniczne należało się bowiem na podstawie prawa polskiego, które wówczas jeszcze na Rusi Czerwonej wprowadzone nie było. Pierwsze ustępstwa poczyniono dopiero przywilejem jedlneńskim. Immigracyi polskiej było zrazu niewiele. Prawo służskie odstręczało też szlachtę polską od przenoszenia się na Ruś; pustki dawano zresztą tylko posiadaczom znaczniejszych kapitałów, a w Małopolsce nie ziemi wówczas brakowało, lecz rąk. W rok po wprowadzeniu prawa polskiego, powstała konfederacya przeciw każdemu, któryby chciał ukrócić t. zw. „wolności“, a więc przeciw miejscowemu możnowładztwu. Swoją drogą długo jeszcze pozostały resztki prawa służskiego i lenna z drugiej ręki, t. zw. „maństwa“.

Najbardziej znać różnicę prawa polskiego i służskiego na doli ludu wiejskiego, i tu stoimy przed zasadniczą kwestyą. Bardzo wielu historyków dało się zmylić stosunkami ruskimi i litewskimi i wysnuli z nich wniosek o niewolnictwie ludu polskiego w Polsce w średnich wiekach. Tymczasem te stosunki były zupełnie odrębne i jedne od drugich stanowczo trzeba odróżnić. Z początku Polska wywierała pod tym względem zbawienny wpływ na prowincye wschodnie, nadszedł jednakże później czas prądu przeciwnego. Dola ludu wiejskiego na bojarskiej służbie była nader ciężką. Niewolnych były rozmaite rodzaje, w które to szczegóły tutaj wdawać się nie można. Chłopi mówili wyraźnie, że wolą jarzmo tatarskie, jak bojarską służbę. Ponieważ zaś prawo polskie w XIV wieku i aż pod koniec XV

zapewniało wieśniakowi zupełną swobodę, rok 1435, rok wprowadzenia prawa polskiego, dał się bardzo we znaki interesom bojarskim, i oni od siebie powiadali znów, że wolą panowanie tatarskie, niż polskie. Rozpoczęła się gromadna kolonizacya polska, zwłaszcza mazurska. Wielu z drobnej szlachty a także zamożnych kmieciów, korzystało z darowizn pustek udzielonych na prawie „żołnierskiem“, które przeszło niebawem w prawo szlacheckie. W tento sposób niejeden kmieć wyszedł na Rusi na szlachcica. Ale bywało też i przeciwnie. Olbrzymie bowiem posiadłości możnowładcze można było zagospodarować tylko systemem dzierżawnym; zakładanie folwarków było wprawdzie w Polsce właściwej już rozpowszechnione, na wschodzie jednak nie było jeszcze o tem mowy, a rozwój gospodarski Rusi Czerwonej pozostaje jeszcze przynajmniej o jakie 150 lat w tyle za Polską. Co za Łokietka było w Wielkopolsce, to za Kazimierza Jagiellończyka powtarzało się na Rusi: gorączkowe poszukiwanie kmiecych dzierżawców. Niejeden ubogi szlachcic, zwłaszcza z Mazowsza, emigruje na Ruś, a nie mogąc dostać ziemi na własność od króla, brał dzierżawę od wielkiego pana, przystawał na kmiecia, a potomkowie jego schłopili się. Ziemiaństwo ruskie nie bardzo chętne było reformom w stosunkach agrarnych, wprowadzanym przez prawo polskie. Polscy przybysze udzielali chętnie swobód swoim kmieciom, rozumiejąc wybornie własny w tem interes; ludność opuszczała ruskich bojarów i garnęła się do polskich właścicieli. Uregulowanie stosunków kmiecych nastąpiło na wiecu sądowym w Haliczu tegoż roku 1435 na wzór Małopolski. Oznaczono na Boże Narodzenie termin wypowiadania i opuszczania dzierżaw z warunkiem zapłacenia kopy groszy, pewnej miary pszenicy, owsa, pozostawienie wozu siana, drzewa, 4 serów i kur. Kto uczynił zadość temu przepisowi, mógł bezwarunkowo po wypowiedzeniu grunt opuścić, a gdyby go gwałtem chciano zatrzymać, miał prawo skargi sądowej, przyczem właściciel ziemi narażał się na zapłacenie 6 grzywien, po połowie sądowi i powodowi. Była to na owe czasy niezmiernie ciężka kara pieniężna. Później stosunki pogorszyły się; zastrzeżono, że tylko każdemu jedenastemu włościaninowi wolno

odejść na Boże Narodzenie, a co najgorsze, że tylko do wsi lokowanej na tem samem prawie, a zatem nie wolno było z prawa służskiego przenieść się na polskie, wołoskie lub niemieckie. I uchwała ta jest widocznem ustępstwem na rzecz miejscowych ruskich właścicieli ziemi. Nie we wszystkiem jednak można było przystać na dawne bojarskie prawo zwyczajowe, tak np. jeszcze w drugiej połowie XV wieku zastajemy na Rusi t. zw. „umorki", zniesione w Polsce już za Kazimierza Wielkiego, a polegające na tem, że właściciele mieli prawo zabierać znaczną część pozostałości po zmarłym kmieciu. Zniósł to sejmik w r. 1477. Jeszcze też w owych czasach mieli kmiecie prawo stawania w sądach i posiadania własności nie tylko ruchomej, ale też nieruchomej, a zatem możność przenoszenia się na „prawo żołnierskie", i pomnażali szeregi szlachty. Nie ulega też wątpliwości, że o ile w wielu szlacheckich rodach polskich płynie krew kmieca, o tyle bez porównanie więcej chłopskiej krwi jest w szlachcie prowincyi ruskich. Średnia miara powinności kmiecych z łanu, t. j. z 30 morgów, była w XV wieku na Czerwonej Rusi, taka: grzywnę czynszu, dwie miary chleba, 2 kury, 12 jaj, 6 groszy dziesięciny i 2 miary chleba dla plebana, 2 grosze podymnego, co wszystko razem czyniło na pieniądze około 7 grzywien groszy polskich. Przy gospodarce trzechpolowej wynosił plon z trzeciej części łanu około 50 korcy, a z tego wynika, że wszystkie swoje powinności załatwiali kmiecie $^1/_3$ oziminy, a pozostawała im cała jarzyna i jeszcze $^2/_3$ części oziminy. Trzeba przyznać, że stosunki były bardzo dobre.

Do rozprawy Linniczenki dodał szereg bardzo cennych uwag dr. Prochaska w IX tomie *Kwartalnika historycznego*, w artykule pod tytułem „Nowsze poglądy na stosunki wewnętrzne Rusi XV-go wieku". W jednem jednakże się myli, odnosząc mowę krakowskiego profesora Jana z Ludziska do obejmującego rządy Kazimierza Jagiellończyka o niewoli ludu wiejskiego, do ludu polskiego, podczas gdy ona dotyczy ludu w państwie litewskiem i jest demonstracyą za zniesieniem tam niewoli, za wprowadzeniem polskiego prawa agrarnego na Litwę.

Do samych początków XVI w. odnosi się nie duża, ale

cenna praca Dra Franciszka Bujaka p. t.: „Kallimach i znajomość państwa tureckiego w Polsce około początku XVI wieku". Pod koniec XV w. wzmogło się oczywiście niezmiernie zaciekawienie Turcyą, i powstała osobna „turecka" literatura, której głównym pierwszym przedstawicielem był Kallimach. Autor zajmuje się bliżej osobą tego humanisty i urywa nieco listków z wieńca jego sławy. Pokazuje się, że np. w żywocie Grzegorza z Sanoka ustęp o pochodzeniu Polaków jest zaczerpnięty z Germanii Tacyta, a podobnież w żywocie Zbigniewa Oleśnickiego nie brak fantastycznych pomysłów etnograficznych. Wielką wartość posiada natomiast opis bitwy pod Warną, w głównem dziele Kallimacha *Historia rerum gestarum in Hungaria.* Kallimach miał ambicyę nie tylko poetycką, jak każdy humanista, ale też polityczną, i zajmował stanowisko u nas jako specyalista od sprawy wschodniej; już przedtem bawił na Wschodzie, gdzie nawet zamierzał wstąpić w służbę sułtana, a pobyt u Grzegorza z Sanoka był mu także dobrą szkołą. Kallimach napisał informacyę obszerną o Tatarach dla rządu weneckiego, p. t.: *De Tartarorum moribus,* której streszczenie wyszło w osobnej pracy p. t.: *De his, quae a Venetis contra Turcos tentata sunt.* W r. 1490 wypowiada słynną swą mowę do Inocentego VIII z projektem sojuszu papieża z Polską przeciw Turkom. Kallimach wykazuje niemożliwość wielkich koalicyi, wskazuje na Polskę, jako na jedynego możliwego pogromcę Turcyi, i stara się przekonać, że państwo sułtana nie takie potężne, jak powszechnie się przypuszcza. Z pracą Kallimacha łączą się treścią t. zw. Pamiętniki Janczara, pochodzące od Michała Konstantynowicza z Ostrowicy. Zdaniem Dra Bujaka nie jest to właściwie pamiętnik, bo osobiste wspomnienia pozostają tam na drugim planie, lecz traktat geograficzno-polityczny; dziś nazwalibyśmy to memoryałem w kwestyi wschodniej. Autor występuje, podobnie jak Kallimach, z projektem wyprawy przeciw Turkom pod przewodem Polski, i w tym celu pragnie polskich polityków zapoznać dokładnie ze stosunkami i urządzeniem państwa tureckiego. Stąd krótki obraz historyi tureckiej, ustęp o administracyi, o stosunkach wśród poddanych, o zasobach

wojennych i t. p. Dużo tu opisów topograficznych, ale nie są dokładne.

Trzeciem dziełem tego rodzaju jest *Descriptio potentiae Turcicae;* jest to praca zbiorowa, a mianowicie w kancelaryi królewskiej zredagowano ten memoryał na podstawie informacyi dostarczonych przez służbę dyplomatyczną. W r. 1514 zawiózł go do Rzymu Modzelewski. Memoryał ten świadczy, że posłowie nasi nie tracili napróżno czasu, przebywając w Turcyi; zadziwia tu wielka ilość szczegółów i zupełna wolność od wszelkiej przesady. Rozprawa zajmuje się oczywiście przedewszystkiem stosunkami wojskowymi, uwzględniając także Tatarów, Mołdawię, Multany i etnograficzną różnorodność państwa tureckiego. Tutaj znajdujemy też podane po raz pierwszy wiadomości o dochodach skarbu tureckiego.

Zygmuntowskie czasy pozostają ciągle kopciuszkiem polskiej historyografii; ani tym razem nie przybyła żadna większa publikacya do dziejów „złotego okresu“ i nikt nie oddaje się specyalnym studyom nad panowaniem dwóch ostatnich Jagiellonów. Niewiele też jest do opowiedzenia „nowin“.

Pierwsze lata po wcieleniu Mazowsza do Korony, znalazły częściowe opracowanie w rozprawie prof. Balzera p. t.: „W sprawie sankcyi statutu mazowieckiego pierwszego z roku 1532“. Najpierw określono przywilejem z 27 grudnia 1529 r. stosunek prawno-polityczny Mazowsza do Korony, orzekając zupełne wcielenie, jako zwykłego województwa, wbrew dążeniom wielu z Mazowszan; zachowano jednak odrębność prawa sądowego, i przystąpiono do jego kodyfikacyi; tych mamy trzy: projekt sejmu mazowieckiego w r. 1531, potwierdzony w roku następnym, drugą wydaną w roku 1540, i trzecią uchwaloną na sejmach w r. 1566, a zatwierdzoną w 1567. Jest kwestya sporna, czy statut pierwszy był zatwierdzony przez króla, czy nie. Prof. Balzer stara się wykazać, że zatwierdzenie nastąpiło. Sejm mazowiecki nie uchwalił wprawdzie pewnych dodatków, wsuniętych przez wojewodę mazowieckiego Prażmowskiego, ale też sejm ten mógł uchwalić tylko projekt statutu i udzielić pewnych informacyi sejmowi walnemu, który jedynie miał już władzę

ustawodawczą wobec Mazowsza, podczas gdy sejm mazowiecki mógł mieć tylko znaczenie postulatowe. Praca Prażmowskiego wyjaśnia się także tem, że równocześnie pracowano nad t. zw. korrekturą praw koronnych, a wojewodów wezwano do udzielania informacyi o prawie zwyczajowem. Później powstała między Mazowszanami opozycya przeciw temu statutowi, w roku 1532 nie było jednak jeszcze żadnych tego rodzaju przeszkód i statut został ogłoszony, a nawet wykonywano go w praktyce aż do roku 1540, kiedy powstał statut drugi. Były trzy projekty do owego drugiego statutu; odbyły się dwa sejmy mazowieckie w tej sprawie pod przewodem wojewody Piotra Goryńskiego, zwyczajnego karyerowicza, nie posiadającego najmniejszych zasług. Niedawno na Mazowsze przybywszy, nie znał też tamtejszego prawa zwyczajowego; autor protestuje też przeciwko oznaczaniu drugiego statutu jego imieniem.

Na te lata posuchy dziejopisarskiej do Zygmuntowskich czasów wita się z przyjemnością nawet przyczynki biograficzne. Lata szkolne Jana Zamojskiego poddał szczegółowej rewizyi p. Witołd Nowodworski i sprostował wiele mylnych szczegółów. Urodził się wielki kanclerz i hetman nie w r. 1541 lecz 42, prawdopodobnie dnia 19 marca starego stylu. Za granicę wyjechał w końcu 1556 lub na początku 1557 r. do Paryża, gdzie uczył się pod najlepszymi filologami i filozofami współczesnymi, i przywiózł sobie stamtąd zamiłowanie do Arystotelesa pod wpływem słynnego Charpentiera. Po czterech latach studyów wrócił na krótki czas do domu rodzicielskiego; wyjechał niebawem powtórnie do Strassburga, a następnie do Padwy, dokąd przybył albo z końcem 1560 lub na początku 1561 r. Tutaj trafił na spór Pendasia z Piccolominim o nieśmiertelność duszy, a zająwszy się tą kwestyą, jął się lektury dzieł poważnych, z czego powoli wyrastało coraz większe zaciekawienie do kwestyi religijnych, aż rozwój ten doszedł do tego, że młody Zamojski nawrócił się na katolicyzm, już podczas tego pobytu w Padwie. Znaną jest już z dawniejszych badań obrona Sygoniusza przez Zamojskiego przeciw Robertellemu. W tej to sprawie jeździł nawet do Wenecyi, do Senatu. Tutaj też napisał

dzieło o senacie rzymskim, nie wiadomo jednakże było, że napisał jeszcze drugie dzieło p. t. *De perfecto senatore.*

Do dziejów króla Batorego i początków samego Zygmunta III jest przyczynek w rozprawie podpisanego referenta p. t. „Jan III Waza i misya szwedzka Possewina“, z której atoli nie potrzeba tu zdawać sprawy, gdyż była w całości w naszym *Przeglądzie* drukowana.

W jednej atoli sprawie mamy do zapisania rzecz zasadniczą, zmieniającą dotychczasowe poglądy, a mianowicie w kwestyi zaludnienia ówczesnej Polski.

Przed 6 laty zwracałem uwagę na prace prof. Pawińskiego z Warszawy, dokonane wraz z Aleksandrem Jabłonowskim nad statystyką dziejową ziem polskich. Była to pierwsza próba w tym kierunku, i to nie tylko, że u nas pierwsza, ale co do rozległości badań, pierwsza w literaturze naukowej. Źródła do dziejów polskich, niedostateczne pod niejednym względem, celują jednakowoż w tym właśnie kierunku, a historya żadnego z narodów i państw europejskich nie posiada tak dobrego i dobrze dochowanego materyału do statystyki ubiegłych wieków, jak właśnie historya polska. Nowy przedmiot badań dziejowych wymaga jednak udoskonalenia metody, a pierwsze prace w tym kierunku nie mogły oczywiście być doskonałemi. Wszak w nauce nie dochodzi się nigdy do prawdy po linii prostej, nigdy nie udało się jeszcze żadnemu pokoleniu uczonych dojść do prawdy bezpośrednio; postęp odbywa się zawsze po linii zygzakowatej. Podjętą przez Pawińskiego sprawę bada dalej metodycznie prof. Czerkawski. Wytyka przedewszystkiem Pawińskiemu, że obrał sobie za cel uzyskanie t. z. cyfr minimalnych. Pawińskiemu chodziło o to, ażeby zaludnienia i wogóle obrazu Polski z XVI wieku nie przedstawiać w przesadnie dobrem świetle i postanowił sobie raczej powiedzieć za mało, aniżeli za wiele. Statystyka dążyć oczywiście musi do tego, żeby zbliżyć się jak najbardziej do rzeczywistego obrazu życia, i nie jej bawić się w skromność. W naszych źródłach mamy do czynienia przedewszystkiem z wykazami poborowymi, które uwzględniają oczywiście nie wszystkich mieszkańców, lecz tylko t. zw. jednostki

podatkowe, t. j. właścicieli przedmiotów, na których spoczywa tytuł podatku. Zdarzało się często, że osada jakaś nie płaciła podatków dla jakichkolwiek powodów, np. ponieważ była zniszczona najazdem nieprzyjacielskim, poborca mógł jej natenczas nie uwzględnić w swych spisach, albo też umieścić tylko dopisek, że jest np. po pożarze, że zwolniona, opuszczona, że uzyskała zwłokę i t. p. Z opuszczenia nie zawsze wynika, żeby tam wcale nie miało być ludności. Prof. Czerkawski porównał wykazy województwa sieradzkiego z kilku lat sąsiednich, i rzeczywiście okazało się, że zachodziły tego rodzaju wypadki. Słusznem jest, żeby wyniki takiej statystyki dziejowej opierały się nie na spisie z jednego roku, choćby spisanym najdokładniej, lecz na metodycznem zestawieniu spisów z szeregu lat, bo różnice pomiędzy jednym a drugim rokiem bywają w zakresie wydatności podatków nieraz bardzo znaczne. Bezpieczniej jest dla każdego miejsca z osobna wykombinować osobną cyfrę średnią. Bliższe poznanie źródeł doprowadziło do innego jeszcze wniosku, a mianowicie, że zestawienie sumaryusza ksiąg skarbowych są zawsze niższe od ogólnej sumy liczb szczególnych, a zwłaszcza co do ludności zagrodniczej, komorniczej i rzemieślniczej. W województwie krakowskiem, według Pawińskiego, miało być rodzin zagrodniczych i chłopskich 5407, podczas gdy było ich według ogłoszonego wykazu podatków 9402; jeszcze większe różnice zachodziły przy rodzinach komorniczych, których ilość 2806 poprawia Czerkawski na 8219, rzemieślniczej zaś ze skromnej liczby 780 na 2144. Tak wielkie zachodziły różnice między zestawieniami podatkowemi a rzeczywistością!

Podnieść też znacznie należy liczbę szlachty zagrodowej. Gospodarstwa ich bywały mniejsze, aniżeli pół łana, tak że średnio wypadało przynajmniej 5 szlacheckich rodzin na 2 łany, a licząc wraz ze służbą po 7 głów na rodzinę, otrzyma się na łan ziemi t. j. około dzisiejszych 30 morgów, gęstość zaludnienia 17 do 18 osób, podczas gdy Pawiński doliczył się tylko 11 osób. Co do stosunków majątkowych szlachty, ciekawym jest fakt, że w powiecie przemyskim było w XVI wieku 128 gospodarstw szlacheckich, nie mających nawet po całych 5 morgów.

Ponad 5 morgów do 10 było ich 205, następnie 350 obszarów od 10 do 20 morgów. Równocześnie było w powiecie ciechanowskim na 412 łanach zagród szlacheckich 1063. Liczba ludności wieśniaczej była również znacznie wyższą, niż przypuszczał Pawiński; w niektórych powiatach mamy dokładne wykazy i rodzin kmiecych i łanów przez nich dzierżawionych. W sandomierskiem, sieradzkiem, lubelskiem, łęczyckiem, w ruskiem województwie, wypada około 14 głów zaludnienia na łan, podczas gdy Pawiński liczy tylko 11. Pawiński przyjmował dla rodziny zagrodniczej, komorniczej i rzemieślniczej 4 osoby na rodzinę; jest to widocznie za mało, zwłaszcza, że rzemieślnicy trzymali przecież pomocników, przebywających stale w ich rodzinach, kmiecie zaś służbę rolną.

Największą trudność sprawia obliczenie ludności miejskiej. Tu bowiem ograniczali się poborcy do podania samej tylko sumy opłaconych podatków. Źródłem głównem są tu wykazy t. zw. „szosu", podatku tylko miejskiego. Pawiński przypuszczał, że 24 mieszkańców miasta składało się mniej więcej na 1 złp. i na tej podstawie twierdził, że mieszczaństwo polskie Polski właściwej w XVI wieku wynosiło 400.000 głów. Błąd polega tu na tem, że szos należący się od pewnego miasta był ilością stałą, bez względu na ruch ludności, której mogło ubywać, ale częściej przybywało. Obliczenie oparte na liczbie domów i rzemieślników daje też inne rezultaty. W województwie mazowieckiem było 33 królewskich miast, których lustracyi dokonano 1564 roku. Nie licząc domów szlacheckich i osób duchownych i przyjmując, że w jednym domu, z którego opłacało się podatki, przebywało mieszkańców średnio 6 osób, wypadnie na samo województwo mazowieckie 69.972 mieszczaństwa, podczas gdy opierając się na szosie, wypadło metodą Pawińskiego 25.880. W podobny sposób należy w 27 miastach województwa poznańskiego podnieść tę liczbę z 9.826 na 13.852, w województwie zaś łęczyckiem z 13.200 na 25.000.

Obliczywszy ludność całej właściwej Polski XVI wieku, t. j. Małopolski nawet bez województwa ruskiego, Wielkopolski i Mazowsza, doszedł prof. Czerkawski według swej metody do

liczby 2,400.000 ludności wiejskiej i 800.000 miejskiej, podczas gdy ś. p. Pawiński otrzymał 1,700.000 i 400.000.

Zajął się prof. Czerkawski także zaludnieniem Wołynia z końcem XVI wieku, opracowawszy tę sprawę ponownie na podstawie XIX tomu „Źródeł dziejowych“ Pawińskiego. Kombinując zestawienia podatkowe z rozmaitych lat w okresie 1570—1583 r. dochodzi autor do przekonania, że było wówczas na Wołyniu 1891 wsi, łanów uprawnych (po 30 morgów mniej więcej) 14.670, zagrodników 15.496 i 1.723 komorników, około 1.000 rzemieślników, a 630 karczem i gorzelni. Gęstość zaludnienia wynosiła 509 dusz na milę kwadratową, ogólną zaś ilość ludności przyjąć należy (według najniższego prawdopodobnego rachunku) na 384.078 mieszkańców, z czego na miasta wypada 80.103, a na wsie 303.975 mieszkańców. Miast było 76, a w nich 11.028 opodatkowanych domów. Bojarów osiedlonych w mieście było 28, księży schizmatyckich 164, żydowskich zaś rodzin 1.335. Tabela statyczna ludności miejskiej tak się przedstawia:

Kmieci	29.341	rodzin, a	176.040	głów
Zagrodników i komorników	17.219	„ „	77.486	„
Rzemieślników i przemysłowców . .	2.270	„ „	11.480	„
Bojarów	2.354	„ „	14.124	„
Duchowieństwa i jego służby. . . .	1.080	„ „	6.480	„
Ludności folwarcznej i luźnej . . .	5.673	„ „	28.365	„

Probostw rzymsko-katolickich było mniej więcej tyle, ile miast. Schizmatycka parafia wypada średnio na półczwartej wsi, w posiadłościach szlacheckich jednak (nie w latyfundyach) niemal na co drugą wieś. Nowy dowód, jak szlachta, w znacznej większości już katolicka, fundowała gęsto cerkwie, nie myśląc wcale o „latynizacyi“ Rusi. Przykre sprawia wrażenie obliczenie stosunku ilości rzemieślników do obszaru kraju. Wszak to wypada zaledwie jeden rzemieślnik na 2 wsie! Ludności wiejskiej wystarczali więc zupełnie partacze, których oczywiście nie brakowało, nie uważali jednak rzemiosła za swój główny zawód. Z przyjemnością natomiast czyta się, że jedna karczma lub gorzelnia wypadała w tych czasach ledwie na trzy wsie. Początków pijactwa szukać tedy należy najwcześniej dopiero w XVII wieku.

(D. c. n.).

Dr. Feliks Koneczny.

DELITZSCH'A „BABEL UND BIBEL".

„Wozu diese Mühen im fernen, unwirtlichen, gefahrvollen Lande? Wozu dieses kostspielige Umwühlen vieltausend-jährigen Schuttes, bis hinab auf das Grundwasser wo doch kein Gold und kein Silber zu finden? Wozu der Wetteifer der Nationen, sich je mehr, je lieber von diesen öden Hügeln für die Grabung zu sichern? Und woher andererseits das immer steigende, opferfreudige, Interesse, das diesseits und jenseits des Ozeans den Grabungen in Babylonien-Assyrien zuteil wird...?"

Temi słowy zaczyna Fryderyk Delitzsch swój odczyt *Babel und Bibel*, miany po raz pierwszy w Berlinie dnia 13 stycznia zeszłego roku, w obecności cesarza Wilhelma, powtórzony na tegoż życzenie 1 lutego w cesarskim pałacu.

Bynajmniej nie jest przesadzony stan rzeczy opisany tym szeregiem retorycznych pytań. Od chwili kiedy w r. 1802 Grotefend zdołał odczytać pierwszy klinowy napis, gdy w r. 1843 francuski konsul w Mossulu Emil Botta wydobył na jaw pierwszy assyryjski pałac, wzmiankowanego u Izajasza, władcy Niniwy Sargona — zwróciła się uwaga uczonego świata na daleki wschód ku dolinom Eufratu i Tygrysu.

Uwaga wnet zmieniła się w natężony interes, interes ustąpił miejsca prawdziwej gorączce.

Amerykańskie, angielskie, francuskie, od r. 1899 i niemieckie Towarzystwa, złożone z całego szeregu pierwszorzędnych uczonych, zaczęły wydobywać na jaw rzeczy niesłychane. Z pod ziemi, ż pod nagich kopców i pagórków usypanych przez wieki, deptanych nogami Persów, Greków, Arabów, Turków — wy-

chodził nowy, nieznany świat. Z pod gruzów i piasku wydostawały się powoli olbrzymie stolice wieków minionych, Babilon i Niniwa; wstawały z martwych pokolenia władców zamierzchłej przeszłości, aż hen gdzieś o czwarte i piąte tysiącolecie przed narodzeniem Chrystusa; okazywała się zdumionym oczom cywilizacya potężna o rozwiniętym handlu, o wysoko stojącej sztuce, znakomitej organizacyi państwowej, prawodawczej i militarnej; odsłaniały się zabytki piśmienne rozległej treści od prywatnych listów i depesz, od rachunków kupieckich i zadań szkolnych z poprawkami profesora, do historyi, ksiąg religijnych, utworów literackich, dzieł poświęconych matematyce i astronomii.

Jednem słowem, jak duchy wywołane z za świata magicznem zaklęciem, tak wstają dziś z grobów dawno wymarłe ludy, aby przed okiem naszem jeszcze raz odegrać na chwilę dramat swego żywota, aby nam się pokazać w swem życiu publicznem i prywatnem, w pokoju i w wojnie, w swych cnotach i zbrodniach, przy religijnym kulcie i przy zabawie, w swej sztuce i naukowej pracy.

Było więc czem wstrząsnąć umysły.

Lecz do interesu czysto historycznego, wnet przyłączył się interes inny, a tego rodzaju, że zdolny do wzruszenia daleko silniejszego w warstwach daleko szerszych. Świat, który odkrywały babilońskie i assyryjskie wykopaliska, lubo bardzo mało znany, nie był jednak aż dotąd całkiem obcym. Wszakże Pismo św. na wielu miejscach wspomina o Babilonie i Niniwie, o władcach ze wschodu, począwszy od Amrafela i Chodorlahomora, z którymi walczył Abraham, aż do Sennaheryba i Nabuchodonozora, potrąca nieraz o ich historyę różnie splecioną z dziejami wybranego narodu. A Pismo św. już bez tego było przedmiotem kolosalnej walki, napaści z jednej strony, z drugiej usilnej obrony. Cóż tedy przyniosą odkrycia? Czy nowo otwarte źródła historyczne będą z biblią w harmonii? Czy może uda się kłam zadać Pismu św. i przez to już na pewno je obedrzeć z uroku świętości i Bożego początku? Gorączka opanowała obie strony walczące.

Zrazu tryumf Pisma św. zdawał się zupełny. Gdy w r. 1872 Jerzy Smith odkrył fragmenta, klinowem pismem opisanego potopu, gdy później na babilońskich i assyryjskich cegiełkach wyczytano czy to fakta zgodnie opowiedziane z tekstem biblijnym, czy to nazwiska miejscowości i ludzi, dotąd tylko z biblii znajome, radość wierzących nie miała granic. Zdawało się, że raz na zawsze umilknąć musi niewiara, do tej cichej mowy, wygrzebanych z pod ziemi głazów stosowano słowa: „jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą".

Lecz radość, choć usprawiedliwiona, była trochę przedwczesna. W wykopaliskach wprawdzie nie znaleziono nic — absolutnie nic, coby się sprzeciwiało brzmieniu Pisma św., ale zaszła rzecz inna. Oto w napisach babilońskich odnaleziono mnóstwo podobnych opowiadań o tych samych zdarzeniach, o stworzeniu świata, o potopie i t. d., a te opowiadania były, jak udowodniono, daleko starsze, niż najstarsze części Pisma św. A zatem, taki się nasunął wniosek — później zobaczymy, o ile słuszny — a zatem Pismo św. czerpało swoją treść z babilońskich źródeł, w Piśmie św. przechowała nam się babilońska mytologia.

I z tem odkryciem, czy pseudoodkryciem assyryologia weszła na nowe tory. Już się nie ograniczono na odnajdywaniu, odczytywaniu dawnych zabytków, ale użyto ich treści do budowania niesłychanie śmiałych historycznych i historyczno religijnych teoryj. W pewnem kole berlińskich uczonych powstało zapatrywanie, które prof. Budde trafnie charakteryzuje jako panbabilonizm, i ten panbabilonizm, jak dalej mówi tenże sam autor *hat seine Riesenfaust auf das alte Testament gelegt.* Grunt był przygotowany. Od 30 lat grasowała już po uczonym świecie szkoła Wellhausena, już potrafiła w znacznej części przeprowadzić swój główny dogmat, że historyczne czasy Żydów zaczynają się z chwilą, kiedy do ziemi Kanaan wtargnęły dzikie plemiona Nomadów z wodzem Jozuą na czele. Te plemiona to późniejszy naród izraelski, a Mojżesz, a Józef, a Jakób, a Abraham, a Noe, a Adam — słowem cała historya Izraela od stworzenia świata do wejścia do ziemi obiecanej — to kraina

baśni i mytów. Hugo Winckler stworzył nawet dość skomplikowany, ale dokładny schemat mytologiczny, wedle którego rozwija się i układa cykl pseudohistorycznych zdarzeń i osób. U Wincklera mytologia ciągnie się aż do Dawida i Salomona, urywa się dopiero na Roboamie. Rozumie się samo przez się, że w tym pojęciu starego testamentu nasuwało się pytanie, skąd się wzięły owe barwne, a tak rozmaite myty żydowskie. Tę zagadkę podjęła się rozwiązać assyryologia, w szczególności Fryderyk Delitzsch. Źródłem tych mytów ma być stary Babilon. Stąd tytuł odczytu Delitzscha *Babel und Bibel.*

Babel und Bibel jestto odczyt przeznaczony dla szerszej publiczności, obliczony na to, aby interes dla wykopalisk na wschodzie obudzić. Szybko, jakby od niechcenia naszkicowany następuje obraz po obrazie, a szczegóły tak dobrano, tak zręcznie ugrupowano, że po niewielu słowach całe epoki historyi nabierają światła i życia.

Rzecz jest i pod innym względem popularna, nie ściśle naukowa. Oto odczyt Delitzscha nie przyniósł ani jednej wiadomości, ani jednego szczegółu, któryby uczonym nie był znany przynajmniej od lat trzech. „Z wyjątkiem kilku śmiałych i do udowodnienia niepodobnych twierdzeń, wszystko, co Delitzsch przyniósł było już od dawna znane", mówi prof. Hommel. „Co się mnie tyczy — powiada prof. Budde — znalazłem w odczycie Delitzscha dobry tuzin nieznanych mi dotąd rycin, ale prócz dodanego do nich tu i ówdzie komentarza, ani jednego faktu, ani jednego zapatrywania, z którembym się pierwej nie był spotkał". Jeszcze dobitniej powtarza to samo słynny assyryolog Jensen: „Prof. Delitzsch mówił z zapałem, chwilami z entuzyazmem lub nawet z silną przesadą o rzeczach, które wtajemniczonym od dawna były znane i to jako hypotezy jużto źle uzasadnione, jużto niemożliwe, a to co ze swego dołożył trzeba do ostatniej kategoryi zaliczyć". Nie chcę już cytować innych. Ta skarga uczonych powtarza się chórem, że Delitzsch absolutnie nic nowego nie przyniósł.

Więc skądże ten kolosalny rozgłos? Jak się to dzieje, że w ciągu roku niespełna 35.000 egzemplarzy wcale nie taniej

Delitzschowskiej broszury mogło się rozejść po świecie, że po dziś dzień końca nie ma krytykom, odpowiedziom, i znowu odprawom i replikom, odczytom, które od roku wstrząsają naukowym i nienaukowym światem? Zapewne, że wpłynęły na to i zewnętrzne warunki, obecność cesarza na odczycie, powtórzenie odczytu w cesarskim pałacu, notabene przed Oberkirchenratem — ale na ten niesłychany rozgłos wpłynęło co innego — mianowicie sam duch rozprawy. Myliłby się, ktoby sądził, że Delitzsch miał na oku jedynie popularyzowanie babilońskich odkryć; on nie chciał mówić o Babilonii. On dążył do ściśle wytkniętego celu, do obalenia biblii przez Babilon, a wraz z Pismem św. do podkopania całej i wszelkiej religii objawionej. Ten plan, ta tendencya przebija na każdym kroku z pod pięknej, misternej formy Delitzschowskiego wykładu; owszem, kto mu się przyjrzy uważnie, pozna niezawodnie, że do tego celu zmierza i mistrzowskie prawdziwie grupowanie faktów i wystudyowana gra logicznych, psychologicznych i literackich efektów. Zresztą, co w pierwszym zeszłorocznym odczycie było jeszcze ukryte, nie całkiem wyraźne, to w odczycie tegorocznym, który spowodował znane oświadczenie cesarza Wilhelma, wystąpiło zupełnie otwarcie. Delitzsch zdjął maskę.

Times cytuje następujące zdania z drugiego odczytu wyjęte. „Najgrubszy błąd umysłu ludzkiego to sądzić, że w biblii mamy do czynienia z objawieniem osobistego Boga; to zapatrywanie stoi w sprzeczności z samą treścią biblii. Naukowa teologia już dawno wykazała, że biblia powstała przez długoletnią rekonstrukcyę i adaptacyę najróżniejszych literackich utworów. Już się nawet poniekąd udało wysortować z biblii te różne składniki. Powiedzmy szczerze: objawienie dobrego każdy człowiek znajduje w sobie samym; innego objawienia nam nie trzeba". A w przypisku do najnowszego wydania powiada z żalem głębokim: „Nasze religijne pojęcia od młodości paczono przez naukę o natchnieniu Bożem w pismach Starego Zakonu. Tylko prawowierny protestantyzm, katolicki Kościół i żydowstwo tak uparcie trzyma się natchnienia staro-hebrajskiej lite-

ratury i z takim nierozumnym fanatyzmem zwalcza wszelkie naukowo-krytyczne zapatrywania na Stary Testament".

Ale i to byłaby gruba pomyłka sądzić, że Delitzsch się ogranicza na odrzuceniu Starego Testamentu. On idzie daleko dalej, jemu chodzi o podkopanie wszelkiej pozytywnej religii. Celem, który Delitzsch ma na oku, jest: „wydzielenie wielu babilońskich elementów, które za pośrednictwem biblii do naszych religijnych pojęć przywarły". „A do tej babilońskiej spuścizny — powiada prof. Oettli „należą nie tylko najważniejsze czynniki, które wpłynęły na oświatę dawnych Izraelitów, ale pojęcia biblijne o początku świata, o grzechu pierworodnym, o potopie, o losach człowieka przed śmiercią i po niej, o aniołach, demonach i czartach, dalej wraz z szabatem znaczna część starozakonnych ofiarnych i kapłańskich instytucyj, nareszcie imię i kult samego Jahweh wraz z mniej lub więcej wyrobionym monoteizmem".

Że Delitzsch to wszystko istotnie wydziela z naszych religijnych pojęć o tem się sami przekonamy w ciągu tej pracy. Zresztą czego nie dopowiada Delitzsch, to całkiem wyraźnie mówi drugi panbabilonizmu apostoł Winckler: „Jeżeli życie umysłowe ludów, które wogóle zaczęły sobie zdawać sprawę ze swego bytu, dotknięte zostało babilońskim wpływem, to koniec końców dwa tylko światopoglądy rozróżnić nam przyjdzie, które panowały w ciągu historycznego rozwoju ludzkości: starobabiloński i nowożytny empiryczno-przyrodniczy. Ten ostatni przechodzi dopiero dobę rozwoju i w obecnej chwili walczy z poprzednim na wielu polach społecznego życia". A więc dwa tylko istnieją światopoglądy w dziejach ludzkości. Starobabiloński, który powoli ustępuje z pola i nowożytny empiryczno-przyrodniczy. One jeszcze walczą ze sobą, ale niewątpliwie drugi odniesie zwycięstwo. Babiloński światopogląd przeniesie się do przeszłości, ciekawym będzie jedynie z historycznego punktu widzenia. Do babilońskich mytów należą przedewszystkiem wszystkie formy pozytywnej religii. A Chrystyanizm? Na niego składają się po części babilońskie pojęcia, po części nauki idealnego człowieka, kwiatu ewolucyi, Jezusa. Nowa religia De-

litzscha jest właśnie tą, *die im erhabensten Sinne Jesus gelehrt.* Ogromna luka, którą nosiła w sobie materyalistyczna filozofia jest już wypełniona. Nie wiedziano skąd się wzięły w mózgach ludzkich te pojęcia o Bogu, o życiu zagrobowem, o nieśmiertelności duszy. Panbabilonizm wykazał, że one się zrodziły w wyobraźni starych mieszkańców dolin Eufratu i Tygrysu. Teraz światopogląd już zupełny. Za ludzkością myty babilońskie, przed nią nie wiadomo co, może Spencer ma racyę, może Schopenhauer, może Hartmann.

Oto duch, który wieje z *Babel und Bibel*, oto powód niesłychanego rozgłosu. Poznali się na tym duchu krytycy nie tylko katoliccy i protestanccy, ale i żydowscy, zrozumieli, że ta mała broszura, to gwałtowny atak na wszelką pozytywną religię.

W odczycie Delitzscha, jak pięknie mówi Kaulen, wstał z martwych ten wieczny przeciwnik królestwa Bożego, stary Babilon wzniósł się raz jeszcze z gruzów i popiołów, aby walczyć w duszach ludzkich z królestwem światła. Tendencyą Dalitzscha, jak mówi ten sam autor, jest: „przez babiloniologię zastąpić Boże objawienie". „Charakterem jego odczytu — powiada Keil — jest intenzywna niechęć do wszelkiej pozytywnej religii". Protestant, z pewnością nie zacofany, prof. Kittel, tak określa *statum quaestionis* walki o *Babel und Bibel:* „Nacisk spoczywa na tem pytaniu, czy to, cośmy mieli dotąd za światopogląd biblijny, w rzeczywistości nie jest niczem więcej, jak babilońskim światopoglądem". Drugi protestant prof. Oettli tak znów mówi: „Nie chodzi tu o poszczególne, sporadyczne pożyczki, które ludy starożytne mogły u Babilończyków zaciągnąć i chrześcijańskiemu światu przekazać. Pytanie sięga samych korzeni naszych zapatrywań na świat i życie, nie tylko budzi interes religijno-historyczny, ale wstrząsa samem uczuciem chrześcijańskiem i religijnem. Musimy wiedzieć, czy nasze pojęcia o rzeczach Bożych na biblii wykarmione aż dotąd bez naszej wiedzy, nosiły w swem łonie pogańskie pierwiastki, których wydzielenie, gdyby nie było podkopaniem wszelkiej religii, musiałoby znaczeniem dorównać nowej reformacyi". „Religia nie tylko jest zagrożona, ale już upada", tak pisał po odczy-

cie Delitzscha żydowski korespondent do rabina Rosenthal'a w pruskim Stargardzie: „Kult dla biblii już przeminął; pobożne dusze wstrząśnięte są do głębi".

A kiedy jeden z fachowych uczonych, nawet nie Izraelita, przeciw Delitzschowi wystąpił, drukowała co następuje *Deutsche israelitische Zeitung:* „Po stronie żydowskiej stracono mowę wobec tak gwałtownej napaści. Proszę więc przyjąć moje najszczersze dzięki, że Pan ochronił cześć naszej świętej Tory i wziął w obronę świętość i powagę naszego Bożego objawienia".

Nie omyliliśmy się więc, twierdząc, że swoim odczytem rzucił Delitzsch rękawicę wszelkiej pozytywnej religii.

A teraz do samej rzeczy.

Doniosłości swego przedsięwzięcia wcale Delitzsch nie tai ani przed sobą, ani przed swem audytoryum. Przekonany jest głęboko, „że wyniki wykopalisk assyryjsko-babilońskich są powołane do otwarcia nowej epoki w zapatrywaniach na Stary Testament, że, kiedy te zdobycze z pracowni uczonych wydostaną się na świat szeroki, wnikną do szkół i kościołów, to życie ludzi i narodów głębiej zostanie wstrząśnięte i popchnięte na drogę znaczniejszego postępu niż przez wszystkie obecne odkrycia nauk przyrodniczych razem wzięte".

Na czem ta nowa epoka w pojmowaniu Pisma św. ma polegać — już wiemy.

Dwadzieścia pięć pierwszych stron służy namalowaniu tła, na którem ma później tem żywiej właściwy obraz wystąpić. Pokazują nam cały, zamieszkały przez semickie ludy ogromny kwadrat ziemi, między morzem Śródziemnem i Perską zatoką, armeńskimi górami a Etyopią. Aż dotąd jedno tylko istniało źródło wiadomości o dawnych dziejach tych krain i ludów — biblia, źródło skąpe i ciemne. Dziś, gdy się otwarły egipskie piramidy i wydały na jaw swoje tajemnice assyryjskie pałace, przeszłość wiekowa zaczyna jaśnieć nowym niesłychanym blaskiem. Dawniej nawet i wielkie umysły ulegały tajemniczemu czarowi starożytności księgi Mojżesza, przyjmowały z wiarą wiadomości o Salomonie, Dawidzie, Mojżeszu, Abrahamie, dziś

pokazało się, że hebrajska literatura jest najmłodszym płodem wśród utworów pobratymczych narodów.

Następuje przechadzka wśród odkryć babilońskich i assyryjskich. Tu pałac i podobizna Sargona zdobywcy Samaryi, tam pieczęć Daryusza lub Sargona I., tajemniczego władcy Babilonu na 3 lub 4000 lat przed narodzeniem Chrystusa, ówdzie wyrzezany w kamieniu współczesny Abrahamowi wielki król Hammurabi, lub Sardanapal, mierzący się ze lwem z konia, z wozu albo nawet i pieszo. „Spieszny, prędko przyjdzie, a nie będzie drzemał, ani spał", tak opowiada Izajasz w proroczem widzeniu nadejście wojsk assyryjskich. „Strzały jego ostre, a wszystkie łuki jego naciągnione, kopyta koni jego jako krzemień, a koła jego, jako gwałt burzy. Ryk jego jako lwa, będzie ryczał jako lwie szczenięta i będzie zgrzytał, a będzie łup trzymał a obejmie, a nie będzie ktoby wyrwał". I dotąd nie znaliśmy skądinąd strasznej assyryjskiej armii. A oto teraz widzimy na oczy wizerunki owych srogich assyryjskich jeźdźców, piechotę i łuczników, jak wychodzą z obozu w bojowym ordynku, jak taranami uderzają na miasto albo uprowadzają łupy, widzimy oficerów poważnych o sztucznie trefionych brodach. Za chwilę znów obraz się zmienia. Staje przed oczyma dwór królewski. Tu paziowie niosący tron, tam przygotowania do uczty, tam znowu król z królową spoczywają na sofach w altance ocienionej winem, eunuchowie powiewają ogromnymi wachlarzami, a zdala dochodzi głos cytry.

Opuszczamy Niniwę, wchodzimy do Babilonu. Pokazują nam z przed 40 wieków ślady cywilizacyi prawdziwie zdumiewającej. W kodeksie prawnym króla Hammurabi unormowano stosunki pracodawcy do robotnika, czeladnika do majstra, właściciela gruntu do dzierżawcy, subjekta sklepowego do pryncypała. Tak np. istnieje prawo, że subjekt oddający pryncypałowi pieniądze za sprzedany towar, ma od niego kwit odebrać; dzierżawca gruntu ma prawo żądać opuszczenia tenuty dzierżawnej w razie szkód wyrządzonych czy to przez zwierzęta, czy przez niepogodę. Służba wojskowa obowiązuje wszystkich mężczyzn zdolnych do boju; prawo do ulgi przysługuje jedynie

starym rodom kapłańskim i pasterzom potrzebnym do hodowli bydła. O bardzo wydoskonalonych środkach komunikacyi świadczy mnóstwo listów pisanych w sprawach nieznacznych. Tak żona donosi mężowi, że dzieci zdrowe i pyta o radę, co ma czynić w takiej a takiej okoliczności domowej. Syn prosi ojca o przysłanie obiecanych pieniędzy, w zamian za co ze swej strony obiecuje modlitwy. Wiadomo, że astronomów po dziś dzień wprawiają w podziwienie matematyczne i astronomiczne Babilończyków wiadomości. Wspaniałe budowle, rozwinięty handel, świadczą o wielkiem bogactwie. Wszak Jeremiasz prorok nazywa Babilon złotym puharem w ręce Jehowy, upajającym wszystką ziemię, a św. Jan w Objawieniu każe płakać i żałować kupcom ziemi, że upadła Babilonia wielka, miasto owe mocne, które było obleczone w bisior i w szarłat i w karmazyn, i było uzłocone złotem i kamieniem drogim. A wpływ Babilonu nie ograniczał się do dolin Eufratu i Tygrysu. W r. 1887 w Egipcie między Tebami a Memfis w Tell El Amarna, odkryto 300 tabliczek zawierających listy namiestników egipskich miast Jeruzalem, Tyru, Sydonu, Askalonu, Akko, pisane do Faraonów Amenofisa III i IV. A te listy obcokrajowców do obcokrajowców na 1500 lat przed Chrystusem pisane są babilońskim i językiem i pismem.

Zbliżamy się już do końca pierwszej części. O to tylko Delitzschowi chodziło, aby w barwach o ile możności najżywszych przedstawić wielkość Babilonu i doniosłość jego wpływu na całą Azyę zachodnią. „Od schyłku trzeciego tysiącolecia przed Chrystusem był Babilon centrum oświaty, nauki, literatury, był „mózgiem" Azyi zachodniej". Tak jest, Babilon mózgiem Azyi zachodniej. Delitzschowi było to koniecznie potrzebnem, bo przecież w drugiej części wykazuje, że ten mózg za całą Azyę zachodnią czuł i myślał i karmił inne narody, głównie żydowski, produktami tych własnych myśli i uczuć. „Bezgraniczny panbabilonizm — mówi prof. Budde — każe w ten sposób zaprzeczyć i zniweczyć wszystkie inne indywidualności narodowe".

Przedewszystkiem ziemia Kanaan wedle Delitzscha stała

najzupełniej pod wpływem babilońskiej oświaty i literatury. Czemu było kłaść na ten szczegół tak wielki nacisk? Rzecz jasna, boć przecież tam, w ziemi Kanaan miały się napić plemiona izraelskie babilońskich wpływów, miały utworzyć swoje religijne pojęcia na babilońskich mytach. „Gdy wtargnęły do Kanaan żydowskie plemiona, dostały się do kraju, który był w zupełności pod wpływem oświaty babilońskiej". I teraz zwrot prawdziwie mistrzowski. Można się było spodziewać, że nam Delitzsch pokaże, jakiemi drogami szło to babilonizowanie izraelskich plemion, jak je pogodzić z biblijnem opowiadaniem, które Żydom wszelkiej styczności z mieszkańcami ziemi obiecanej zakazuje. Z tego wszystkiego niema literalnie nic a nic. Podany jest jeden szczegół z księgi Jozuego, że po zdobyciu miasta Jerycho „babiloński" płaszcz skusił Achana, aby wbrew zakazowi zachował sobie coś z łupów nieprzyjacielskich. Że Achana za to ukamienowano a mienie jego spalono — o tem niema wzmianki. Pewnie to jest późniejszy dodatek kapłańskiego kodeksu. Ale ten płaszcz babiloński w Jerycho znaleziony już uprawnia Delitzscha do wniosku, że Żydzi zupełnie nasiąkli babilońską oświatą. To też nie troszcząc się o nic więcej, wraca do Babilonu i pokazuje, „że cały szereg biblijnych opowiadań w pierwotnym swym kształcie z nocy babilońskich mogił na jaw występuje".

Prawdziwie zdumiewające! Co tu twierdzeń odrazu. Kanaanici zbabilonizowani, Żydzi temu samemu losowi ulegają, babilońskie myty dostają się do biblii, ale ulegają w niej spaczeniu, na cegiełkach babilońskich przechowują się nieskażenie, a więc tu odnajdujemy „pierwotny kształt biblijnych opowiadań". Kto czyta uważnie, ten widzi naocznie niegodną uczonego grę wyobraźni, ale broszura Delitzscha jest obliczona na mało myślące szersze koła! Tam mało kto pozna się na zręcznym manewrze, ale konkluzye mu utkwią w pamięci, ale myty babilońskie, których opowieść wypełnia resztę odczytu, będzie istotnie uważał za pierwotny kształt biblijnych opowiadań. A z tem cel Delitzscha osiągnięty.

Właściwe *Babel und Bibel* zaczyna się dopiero tutaj. Aby

lepiej dać poznać całą metodę Delitzscha, zręczne grupowanie faktów, rzucanie hypotezami, które na następnej stronie już jako tezy występują, przemilczanie rzeczy z własną teoryą niezgodnych, a w tem wszystkiem kolosalną pewność siebie *eine verblüffende Sicherheit*, jak mówi dr. Selbst, wstrzymam się na razie od krytycznych uwag i pozwolę, oczywiście w skróceniu, samemu Delitzschowi przyjść do słowa. W tem, co powie, gdzieniegdzie znajdą się rzeczy dziwne, człowiek nawet silnie wierzący mimowoli się wzdrygnie i zawaha.

Z początku legenda starobabilońska rzucona od niechcenia, bez wniosków, bez objaśnień. Król Sargon I. ów władca z czwartego przed Chrystusem tysiącolecia miał wedle podania przyjść na świat po śmierci ojca. Owdowiała matka, że była w wielkiej biedzie sporządziła plecionkę z sitowia, omaczała ją smołą, włożyła w nią dziecię i puściła je na fale Eufratu. Wody poniosły swój ciężar w dół. Znalazł dziecinę ubogi człowiek imieniem Akki i wziął ją na wychowanie. Szczęściem ujrzała chłopca Isztar, córka króla nieba, wzięła je do siebie i obdarzyła królewską godnością. Objaśnień, jak mówiłem, żadnych — mowca biegnie dalej, wnioski pozostawia słuchaczom.

O początkach szabatu samo Pismo św. nie umie dać nam wyraźnej wskazówki (Exod. 20, 11 wywodzi szabat od stworzenia świata; Deuter. 5, 15 opowiada osobne przykazanie, dotyczące szabatu, dane po wyjściu z Egiptu). Babilońskie odkrycia rzuciły i na tę kwestyę jasne światło. Znajdujemy tam bardzo stare przepisy, które w 7-ym 14, 21, 28 dnia miesiąca zabraniają wielu zajęć codziennych, dla przebłagania bogów. Owszem udało się i nazwę tego dnia odszukać, bardzo podobnie brzmiącą do nazwy biblijnej s z a b a t t u. Lecz przedewszystkiem pierwotne podania, które wypełniają 10 pierwszych rozdziałów Genezy, najdokładniej opowiedziały klinowem pismem zapisane cegiełki. Wedle epopei opiewającej kosmogonię na początku panował ciemny, wodnisty chaos Tiamat, pojęty jako rodzaj olbrzymiego węża czy potworu. Gdy bogowie postanowili urządzić świat, sprzeciwił się Tiamat temu przedsięwzięciu i podniósł bunt przeciw bogom. Bóg światła Marduk

wybrany został przez inne bogi do walki z potworem i jego potomstwem. Opis walki zawieleby czasu nam zajął. Koniec końców Bóg światła pokonał siły ciemności, Tiamat zwyciężony został przecięty na dwoje, z jego cielska buduje Marduk niebo i ziemię. Następnie dzieli wody dolne od górnych, na niebie osadza słońce, księżyc i gwiazdy, na ziemi rośliny i zwierzęta, nareszcie pierwszą parę ludzi tworzy z gliny zmieszanej z krwią bogów. Czyż nie widoczny wpływ tej opowieści na biblijny opis stworzenia? Wprawdzie kapłan żydowski, który Gen. I-um zapewne w czasie babilońskiego wygnania skomponował, starał się usilnie odjąć mytowi polyteistyczne zabarwienie, ale tło zostało, owszem przez nieuwagę redaktora wkradły się w tekst biblijny takie pozostałości wielobóstwa, jak np. liczba mnoga w zdaniu: Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze. Lecz nie dość na tem. Bohaterska walka między potworem Tiamat a bogiem światła, oczywiście raz po raz powraca w babilońskiej literaturze a nawet i sztuce. Cóż więc dziwnego, że prorocy i poeci żydowscy też o tej walce wspominają? Różnica jest tylko ta, że bohaterskie czyny Marduka wprost przenoszą na swego Jehowę? Tak, obok Joba i autora psalmów Izajasz w następujący sposób do Boga przemawia: Powstań, powstań, oblecz się w moc, ramię Jehowy powstań jako za dni dawnych, za pokoleń odwiecznych! Izaliś nie ty zranił smoka i pobił potwora? „Takie, jak ten, ustępy — powiada Delitzsch „wyglądają zupełnie na objaśnienie znalezionego przez naszą ekspedycyę małego wizerunku: bożek Marduk obleczony w chwałę i majestat, a u jego stóp pokonany potworny władca chaosu". Jest nareszcie i apostrofa do Nowego Testamentu! „Co ciekawsze, to że echo zapasów Marduka z potworem Tiamat jeszcze i w Nowym Testamencie rozbrzmiewa w Objawieniu św. Jana, w opowiadaniu o walce Michała Archanioła ze smokiem, z wężem odwiecznym, który się tam zowie czartem i szatanem".

Pojęciem, które w Piśmie św. Starego Zakonu nad innymi góruje i przygnębiająco wpływa na cały biblijny horyzont — to grzech. Śmierć, choroby, wszystkie cierpienia ludzkie są tam

pojęte jako kara za grzech, za obrazę bogów. Wiadomo, że początek grzechu na ziemi tłumaczy biblia owem pięknem opowiadaniem o niewieście uwiedzionej przez węża do pożywania owocu z zakazanego drzewa. Rzecz już sama z siebie ma babiloński charakter, znów występuje wąż podburzający do walki z bogami. Więc cóż powiedzieć, gdy udało się w Babilonii odnaleźć mały gliniany cylinder przedstawiający drzewo, pod drzewem mężczyzna i kobieta z rękoma wyciągniętemi po zwisające owoce, za kobietą stoi wąż? „Czy przypadkiem niema jakiegoś związku między tym starobabilońskim wizerunkiem a biblijnem opowiadaniem o grzechu pierworodnym"? Tak pyta Delitzsch, ale pod zamieszczoną w tekscie illustracyą śmiało umieszcza napis: Grzech pierworodny w babilońskiem przedstawieniu. Przedewszystkiem babiloński opis potopu, spisany na 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa prawie co do joty zgadza się z opisem biblijnym. Dla ciekawości podaję go jeszcze obszerniej niż Delitzsch w dosłownym przekładzie.

Co następuje jest opowiadaniem samego babilońskiego Noego, którego nazwisko prawdopodobnie czytać należy Parnapisztim. Uwzględniamy tylko ważniejsze momenta. Zrazu opis postanowienia bogów zesłania potopu na ziemię. Bożek Ea zdradza ten zamiar Parnapisztimowi i każe mu budować okręt, aby na nim ocalił życie. Okręt już gotów. „Wszystko, co miałem wprowadziłem do statku. Wniosłem doń wszystko złoto i srebro, wszystkie które miałem żyjące istoty. Całej rodzinie i całemu domowi kazałem wsiąść do wnętrza statku, wprowadziłem doń zwierzęta czworonogie i polne i czeladź roboczą. Szamasz był mi oznaczył termin: „Władca ciemności zeszle w nocy gwałtowny deszcz, wtedy wsiadaj na okręt i drzwi zamknij za sobą". Nadeszła chwila. Władca ciemności zesłał w nocy gwałtowny deszcz. Patrzałem na powstający wicher, lecz strach mię zdjął, wszedłem do statku i zawarłem drzwi za sobą. Statek wraz ze wszystkiem co zawierał, powierzyłem Puzurbelowi, sternikowi świadomemu morza. Z pierwszym brzaskiem dnia weszła na niebo czarna chmura. Adad grzmi w jej łonie, Nabu i Marduk pędzą przed nią, jak szybkie posły prze-

biegają góry i doliny. Uragal zrywa kotwicę, spieszy Ninib, burza wybucha. Anunaki wywijają pochodniami, ich blaskiem oświecają najdalsze strony. Trąba powietrzna Adada wali się z nieba ku ziemi, światłość ustępuje miejsca ciemności. Już brat nie poznaje brata, nie poznają się wzajem mieszkańcy nieba. Bogowie przerażeni potopem cofają się wtył, uciekają w górę aż do nieba Anu. Bogowie jak psy zgarbieni przykucają na niebieskich progach. Isztara podnosi okropny krzyk, jak niewiasta w bólach rodzenia, pani bogów narzeka głośnem wołaniem: „Rodzaj ludzki przemienił się w glinę odkąd mu złorzeczyłam, w zgromadzeniu bogów, odkąd żądałam na jego zgubę wichru! Gdzież są ci, którychem zrodziła? Jak płód ryb, tak napełniają morze". Płaczą wraz z nią Anunaki, bogowie we łzach siedzą skuleni, zaciskając wargi. Sześć dni i sześć nocy szalała burza, potop zalał krainę. Gdy wszedł dzień siódmy, zatrzymał się wicher, stanęła burza, która walczyła dotąd, jak potężne wojsko. Uspokoiło się morze i ustąpiło; ustąpił wicher i potop. Spojrzałem na morze, zawołałem głośno, ale wszyscy ludzie byli zamienieni w glinę. Zamiast pól rozciągała się przedemną otchłań wodna. Otwarłem okienko, światło padło na moje oblicze. Schyliłem się, usiadłem i zacząłem płakać; po moich licach spływały łzy moje. Spojrzałem na świat, wszystko było morzem. Po dwunastu (dniach?) ukazał się ląd. Okręt zaczął się posuwać ku ziemi Nisir. Grzbiet gór ziemi Nisir zatrzymał statek i nie pozwolił mu się kołysać. Pierwszego dnia, drugiego dnia góra Nisir, trzeciego dnia, czwartego dnia góra Nisir; piątego dnia, szóstego dnia góra Nisir. Gdy wszedł dzień siódmy wypuściłem gołębia, gołąb poleciał i krążył, ale nie znalazł miejsca spoczynku, więc powrócił. Wypuściłem jaskółkę i ona poleciała i krążyła, ale wnet powróciła, gdyż nie znalazła miejsca spoczynku. Wypuściłem kruka. Poleciał kruk, popatrzał na opadające wody, jadł i brodził naokoło, krakał i nie powrócił więcej. Wtedy wszystko wyprowadziłem na cztery wiatry, złożyłem ofiarę, na szczycie góry ofiarowałem libacyę, postawiłem siedm kadzielnic i pod niemi nagromadziłem trzciny i cedrowego drzewa. Bogowie poczuli woń, bogowie poczuli miłą woń,

bogowie jak muchy zebrali się nad ofiarnikiem... Tu się kończą analogie z biblią, dalszy opis znów się pogrąża w mitologiczną pomrokę. Kilka innych szczegółów dostarczają inne fragmentarycznie zachowane wersye tego samego opisu tak klinowe, jak grecka dawniej już znana przez Beroza. U Beroza Parnapisztim nazywa się Xisutros.

Oto opowiadanie istotnie dziwnie zgodne z biblijnem. Żeby zaś ktoś przypadkiem nie wpadł na myśl, że oba opisy opowiadają jedno i to samo zdarzenie, t. j. prawdziwy potop za karę na ludzkość zesłany, dodaje Delitzsch natychmiast swój komentarz. Oto Babilonia jest krajem podległym wielkim wylewom morza. Jeszcze w r. 1876 podobna powódź srożyła się w krajach nad zatoką Bengalską leżących. Przerażający orkan zbliżał się do lądu w porze odpływu morza. Chwycił powracające fale i popchnął je napowrót do brzegu z taką siłą, że 141 mil kwadratowych odrazu pokryła woda na wysokość 45 stóp, że 215.000 ludzi znalazło śmierć w nurtach morza, aż fale rozbiły się o wyżej położone miejscowości. Taka sama powódź w bardzo dawnych czasach musiała Babilonię nawiedzić, a jej opis przechował się w podaniu o potopie. To podanie zawędrowało do ziemi Kanaan i tam wystąpiło w znanej nam formie biblijnego opowiadania. Różnica leży tylko w tem, że w babilońskiej wersyi głównym czynnikiem jest morze; w biblijnym opisie odmienne ukształtowanie wybrzeży nie dopuszczające morskich wylewów kazało większy nacisk położyć na deszcz.

Dwunasta tablica długiej epopei Gilgamesz zawiera opis babilońskiego nieba. Duchy pobożnych zmarłych leżą na łożach i piją czystą wodę. Berlińskie muzeum posiada też kubek z trumny wydobyty, z wypisaną klinowem pismem prośbą, aby znalazca tej trumny z miejsca jej nie ruszał. Prośba kończy się życzeniem, aby imię tego, który to pragnienie zmarłego wypełni, błogosławionem było na ziemi, a po śmierci, aby duch jego pił w niebie czystą wodę. Następuje rozumowanie Delitzscha. Jeżeli dla pobożnych nagrodą miało być picie czystej wody, to karą dla niepobożnych zapewne było picie mętnej wody — a może pragnienie? Istotnie tak być musiało, bo u innych semickich

ludów stopniowo wyrabia się pojęcie o piekle, jako miejscu najpierw gorąca, potem ognia. Tak np. Job przeciwstawia upał piekła przeznaczonego dla grzesznych, rozkosznemu ogrodowi o czystej chłodnej wodzie, miejscu pobytu pobożnych.

„A w Nowym Testamencie, który owe pojęcia dziwnym sposobem z ostatnim wierszem Izajasza powiązał, czytamy już o ognistem piekle, gdzie kona z pragnienia bogacz i o ogrodzie dla Łazarza, pełnym świeżej czystej wody. (Ewangelia mówi tylko o „łonie Abrahama"). Co zaś od tej pory nie zrobili z piekła i raju malarze i poeci, ojcowie Kościoła i księża, a nareszcie Mohamet, prorok — to powszechnie wiadomo... Oto ostatnia konsekwencya prostej wiary Babilończyków w czystą wodę, którą w szeol piją pobożni. A jednak te pojęcia o mękach piekielnych i rajskich rozkoszach, jeszcze dziś panują niezliczonym milionom!"

Że wiara w aniołów, w duchy posłańcze Boga jest babilońskiego pochodzenia, to wątpliwości nie ulega. Najlepszy dowód, że np. Egipt nic o aniołach nie wie. Skąd to pojęcie wziąć się mogło nie trudno wytłumaczyć. Władca Babilonu rozporządzał całą armią posłańców, którzy z królewskimi rozkazami biegli na wsze strony. Cóż więc prostszego nad to, że bogom podobnych posłańców dodano za sługi i towarzyszy? Że głównym ich przymiotem była szybkość, malowano aniołów ze skrzydłami. Do dziś dnia zachowały się rzeźby zupełnie tak przedstawiające aniołów, jak my dziś ich przedstawiamy. Zresztą słowo kerub jest babilońskiego pochodzenia. Jak aniołów, tak znał stary Babilon i szatanów, owszem przedstawiał ich jak dzisiaj z rogami na głowie, ze szponami u palców. „Dla jasnych i miłych postaci aniołów — powiada Delitzsch — które dzięki sztuce stały nam się tak bliskiemi, zawsze zachowamy życzliwe uczucie w sercu; ale demonów i czartów, jakkolwiekby ich można pomyśleć, czy to jako wrogów Boga czy człowieka, powinnibyśmy już na zawsze się pozbyć, bo przecież nie hołdujemy staroperskiemu dualizmowi".

Przechodzimy z kolei do ostatniej wielkiej pożyczki, którą żydowska religia w Babilonie zaciągnęła — do monoteizmu.

Z imienia Boga el-ilu, usiłuje Delitzsch udowodnić, że wiara w jednego Boga nie była obcą mieszkańcom Babilonii. Owszem trzy gliniane tabliczki dziś w Britisch Muzeum przechowane, pozwalają wnosić, że nie było nieznanem nawet to święte imię Boże Jahweh, którego objawienie opowiada księga wyjścia. Noszą bowiem te trzy tabliczki, trzy imiona Jaawe ilu, Jave ilu, Jaum ilu, dosłownie Jahweh jest bogiem. Ta wiara w jednego Boga wnet u Babilończyków wyrodziła się w wielobóstwo, a u Izraelitów została zmieszaną z wielu antropomorficznymi pojęciami — nawet z pogańską instytucyą ofiarnictwa. Nareszcie zaczął się chylić do upadku przesiąknięty babilonizmem Stary Zakon, a zaświtała era nowa i z nią głoszone przez Jezusa dążenie do uwewnętrznienia religii, do chwalenia Boga w duchu i prawdzie.

Ex oriente lux, tak kończy Delitzsch swój wykład. Na wschodzie wznosi się dzisiaj przez babilońskie wykopaliska jasne słońce, które ma ową religię przez Jezusa głoszoną do zupełnej czystości doprowadzić, usuwając z niej pogańskie, babilońskie pierwiastki. Że to wszystko trzeba odrzucić, czego babilońskie pochodzenie wykazał — nie mówi wyraźnie — ale między wierszami nie trudno to wyczytać. Zresztą w drugim odczycie znajdujemy takie zdanie: „Czyż komu będzie się śniło, że babilońskie prawa są Boskiego pochodzenia? Jak prawa babilońskie ludzki mają początek, tak samo prawa Mojżesza". Równie niedorzecznem jest myśleć, że Boskiego pochodzenia są i inne pojęcia z Babilonu przeszczepione do biblii. A więc to wszystko, a więc i wiarę w jednego osobistego Boga usunąć należy, by dojść do czystej wewnętrznej religii.

Przed oczyma otwiera się ciemność i przepaść, ale Delitzsch idzie naprzód z tem śmiałem hasłem: *Auch wir bekennen uns zu dem Geschlecht das aus dem Dunkeln ins Helle strebt.*

Teraz nam trzeba zbadać od fundamentów tę budowę pełną nie tylko już fałszu, ale wprost nienawiści prawdy.

(Dok. nast.)

X. T. J.

POŻEGNALNY WYSTĘP HERBERTA SPENCERA.

(Dokończenie).

Kiedy Spencer tłumaczy rozwój ludzkości, nie wprowadza bezustannego i jednolitego postępu. Ród ludzki z poglądami swoimi odbywa ruch wahadłowy: raz przesadnie wynosi pod obłoki zdobycze prawdy i dzieła myślicieli, drugi raz strąca je w przepaść i zapomina o nich. Niesiony falami przewodnich myśli, raz w górę płynie na szczyt chwilowej fali, raz z jej wierzchołka spada w głębinę. Tę drogę kolejno w górę i na dół odbywa ród ludzki w ciągu niezliczonych stuleci, nim dopłynie do spokojnej przystani. Wzrost szlachetnych popędów i kolejny ich zanik trwać mogą setki lat, nim rozkołysana nawa społeczna przebędzie dobę rozstroju albo rozkwitu.

Otóż na obecną chwilę Spencer zwraca swój zmysł spostrzegawczy, aby zbadać, czy płyniemy w górę, czy w dół: dochodzi do wyniku, że źle z nami i że na coraz gorsze stosunki zakrawa.

Po drodze do tego wniosku, Spencer wpadł na trop odpowiedni dla swojego umysłu: na przeróżne pola zwrócił oko i wypatrzył na nich różnorodne objawy, których związek mało kogo uderza. Zmysłem spostrzegawczym wiedziony wysnuł z tych objawów myśl, która stanowi główną treść książki.

Na widok zasad przyjętych w sprawach pieniężnych, uważny myśliciel dostrzega, że wszelkie ugody i umowy o sprzedaż i kupno, pisemnie zawierane przy świadkach i zatwierdzane

w urzędzie, świadczą oczywiście o braku wzajemnej wiary między ludźmi. Tu już nie panuje zasada filozofów o szlachetnym i prawym człowieku, niezdolnym złamać słowo, ale przeciwnie, doświadczone społeczeństwo każe tak postępować przy ugodzie, jakby ludzie nawzajem upatrywali w sobie możliwych oszustów. I wypadki każą za słuszne uznać to wzajemne niedowiarstwo grzecznie wyznawane przy sprawach pieniężnych: widzimy setki przeniewierstw, popełnianych przez osoby, na pozór najgodniejsze wiary. Nie! — wnosi stąd Spencer, — ani o sercu ludzkiem nie powinniśmy rozpaczać, jakoby nadewszystko zdradzać umiało, ani o niem nie można twierdzić, że złem nie jest i że na niem trzeba polegać. Między oboma przeciwieństwami drogę toruje rozum. Zawsze musimy pamiętać, że przy tych okazach ludzkiej przyrody, jakie obecnie istnieją, czyny złe nastąpią pewnie z biegiem czasu, jeżeli tylko znajdą sposobną chwilę, i jedynie ten działa roztropnie, kto przewiduje chwile sposobne do złego i wczas im zapobiega.

Jeszcze dokładniej roztrząsa Spencer inne zjawisko a przecie jeszcze mniej zagłębia myśl w jego przyczynie. Barwnie zdaje sprawę z różnicy między widokiem świata nowożytnego a szczątkami jego zewnętrznej postaci, dochowanemi z wieków ubiegłych. Tracą ludzkie siedziby coraz bardziej swój urok; odsuwają od siebie coraz dalej wdzięk przyrody; zamiast ogrodów ze świeżem powietrzem mnożą miejsca rozrywek przesiąkłe wyziewami; zamiast zdobić ulice zielenią drzew szpecą je drutami tramwajów; zamiast podnosić oko na czysty błękit pokrywają niebo wyziewami i dymem: zamiast ognisk domowych z ciepłymi śladami przodków i z wymową pamiątek rodzinnych, stawiają dla jednych klatki jak groby zimne, dla drugich nieme budowle z przepychem bez duszy. Jeszcze stara Europa nie zdążyła tak, jak Nowy Świat za Atlantykiem, przyodziać swoich miast jednostajną szatą młyna czy kuźni. Wrażliwa w tym względzie Amerykanka powiedziała Spencerowi po dłuższym pobycie w Anglii: okolica bez zwalisk zamku albo opactwa nie zasługuje, żeby w niej żyć. Dodaje Spencer: „Zupełnie zrozumiałem, co ta Amerykanka czuła, i w znacznej mierze posiadam jej na-

strój, chociaż jako człowiek na wskroś nowożytny z niewielkim zapałem czczę stare pojęcia i zwyczaje...“

I znowu w jednym z następnych rozdziałów Spencer zwraca uwagę na prąd, którym popłynęła obecna myśl muzyczna, chwyta tedy na gorącym uczynku zarówno społeczeństwo jak kompozytorów, i wykazuje, jak często dziś oklaski nagradzają nie utwór muzyczny zdolny poruszyć serce, tylko ten, którego wykonawca musi najbieglej władać instrumentem muzycznym. Rozum tu podziwia wprawę wykonawcy, ale serce nic nie odczuwa. W związku z tą uwagą o muzyce Spencer spostrzega, że także poezya, malarstwo i wogóle sztuki piękne nie o pięknie mówią dziś, tylko zimną strawą karmią rozum. Nakoniec ogólniej śledzi obecny prąd umysłowy, zwłaszcza w dziedzinie wychowawczej, i wszędzie czuje zimny powiew rozumu, w którym serce zwarzone zanika. Wszędzie słyszy zasadę, że przez oświatę, jaką uczelnie szerzą, można według woli nagiąć dzieci i młodzież. Tu wypowiada znów zasadę sprzeczną z poglądami mnóstwa filozofów nowożytnych: „Uchodzi to za pewnik bezsprzeczny, że kiedy ludzie wiedzą, co dobre, czynić będą dobrze, — że za przepisem uznanym przez rozum wiernie idą obyczaje. Wszakże temu pewnikowi, sprzecznemu ze wszystkiem, czego codzień doświadczamy, zadaje kłam także nauka codzień, kiedy wykazuje, że każdą władzę musimy ćwiczyć, aby ją wyrobić: ćwiczyć rozumowe władze przez rozumową pracę, władze obyczajowe przez wprawę w czynach obyczajnych...“ Doszedł tedy Spencer do prawdy, znanej dobrze wychowawcom chrześcijańskim.

Upór przy raz powziętych poglądach nie pozwala Spencerowi zmieniać układu pojęć, nad którym pracował przez pół stulecia, nie pozwala zwłaszcza opuszczać stanowiska pogardliwego wobec chrześcijaństwa. Ale chrześcijanin skutkiem tej wady Spencera może tem skuteczniej jego dowodami przekonywać bezwyznaniowców; im jaskrawiej te dowody okazują niechęć do Kościoła, tem wyraźniej okazują, że sam tylko zmysł spostrzegawczy naprowadził Spencera na wnioski zgodne z wiarą. I tak, spotkałby u niego niektóre zarzuty znakomite przeciw wychowawczemu przymusowi i nadzorowi wolnomyślnego pań-

stwa, chociaż znalazłby i mniej udatne wywody, że np. powszechny przymus wychowawczy podnieca w rolniku i warstwie rzemieślniczej nadzieje poprawy bytu, potomstwu ich obiecuje wyższy szczebel społeczny, a tymczasem, rozumuje Spencer, raz po raz zawód wykoleja młodzież ze spokojnej drogi skromnych przodków i niejednego sadza na ławie zbrodniarzy. Jeżeli czem, podług Spencera, państwo wolnomyślne uzbraja przeciw sobie zwolenników przewrotu, to przymusową nauką. Obciąża obywateli podatkiem i zabiera im kwiat dojrzałej młodzieży do koszar; utrzymuje wielką część mieszkańców Europy w stanie naprężonym. Na ten zapalny żywioł rzuca iskrę początkowej nauki bez wpływu na wolę; daje niezrównoważonym sercom książki i dzienniki; błyskawicznie zasypuje tłumy nowinami o wszelakich wybrykach i zbrodniach: nakoniec pragnie zachowawczych zasad u obywateli, których wychowuje na przewrotowców, i to za ich własne pieniądze.

Dalej ciągnie Spencer: możemy na pewno twierdzić, że oświecony człowiek, łatwiej aniżeli nieuk, odkrywa swoje wnętrze i dogadza popędom. Gdyby we wnętrzu swojem i w popędach człowiek pałał do dobrego prędzej, niż ulega złemu, tedy zyskiwałby na oświecie. Gdyby przynajmniej równoważył postępy w dobrem z upadkami w złe, tedy nie traciłby przez oświatę. Ale bezsprzecznie ustrój ludzkiego jestestwa pochopniej rusza na dół, niż w górę: świadczy o tem każde zbiorowisko ludzi natychmiast, ledwo przestanie czuć władzę nad sobą. Stąd oświata, przy której człowiekowi łatwiej wywnętrzać swój stan, zwiększa przewagę złego nad dobrem, osłabia tamę, którą dobro stawia przeciw złemu. Oświecie zawdzięczają gładszą drogę społeczne przewroty i klęski.

„Tak tedy dla sprawy bezpieczeństwa społecznego mamy utrzymywać lud w nieuctwie?“ — zarzuca sobie Spencer i znowu utyka na odpowiedzi wykrętnej, bo nie dostrzega, że na ten zarzut jeden tylko Kościół daje odprawę właściwą. Kościół także odmawia państwu wyłącznych praw do szkoły, bo nie do państwa tylko do rodziców należy praca wychowawcza; w pierwszym rzędzie Kościół także wytyka zgubny wpływ szkoły bez-

wyznaniowej. Ale nie szkołę Kościół obwinia ani nie oświatę potępia, jak to możnaby zrozumieć u Spencera, tylko żąda nauki chrześcijańskiej. Ta nauka zapobiegłaby złym następstwom dzisiejszego ustroju wychowawczego. Tej odpowiedzi nie mógł dać Spencer: odpiera zarzut ogólnikiem, że mamy albo coś dobrego uradzić albo zapobiedz złemu, a nie mamy z założonemi rękoma czekać, co samo nastąpi. Państwo nie poczytuje za swój obowiązek dostarczyć pomocy rodzinom, którym zabiera ich siły robocze, synów, do koszar, gdzie uczy ich nie pracować, tylko strzelać na ludzi; dlaczegóż państwo poczytuje sobie za obowiązek dostarczać pomocy ródzicom do nauki ich dzieci wbrew ich chęciom, a nieraz wbrew ich potrzebom? Niech państwo udziela opieki rodzicom na ich prośbę; na to zupełna zgoda. Niech ułatwi biednej a zdolnej do nauk młodzieży pobyt w uczelniach niższych i wyższych, a następnie dla niej posadę: w takim razie zaopatrzy społeczeństwo w siły zdatne i ochotne do pracy; dziś mnoży tylko liczbę półgłówków i nieuków, nieprzydatnych na nic, chyba na burzycieli.

I znowu potem błyskiem pióra, godnym spostrzegawczego umysłu, Spencer zakończył wywody o rządach stronniczych. W państwie nowożytnem nie cały naród korzysta ze swoich praw: cały ma prawo do wyboru swoich przedstawicieli, cały ich głosem ma prawo przemówić o swoich potrzebach, wypowiedzieć rzeczowo wolę ludu; ale nie cały naród przemawia w sejmach i w izbach poselskich; nie cały naród zabiera głos w izbach, tylko ta jego część, która obrała swoich przedstawicieli po myśli stronnictw naczelnych. Stąd uchwały ciała ustawodawczego sprzyjają członkom stronnictw przewodnich i ich przyjaciołom osobistym: tych wybrańców uwalniają od niejednego ciężaru, zwalonego na plecy stronnictwa przeciwnego. Cóż począć tedy? Jaką drogę otworzyć dla woli ludu, deptanej wolą rządów stronniczych? Jak działać żeby lepiej było? Smutno Spencer odpowiada: obecnie niema prawdopodobieństwa, żeby lepiej było, tylko prawdopodobieństwo, że gorzej będzie. W tył cofają się warstwy naczelne, aby stłumić wojowniczy ruch spo-

łeczny: słabsi nie unikną kajdan coraz cięższych ze strony stronnictw przewodnich, ulgi nic nie zapowiada.

I na tej uwadze nie chce Spencer urwać; chce ją pogłębić w paru następnych rozdziałach... ale nie może dojść do końca... bo nie bada źródła, które dostarcza nowszemu społeczeństwu coraz więcej władców bezwzględnych i samowolnych panów zamiast ojców narodu i obrońców nędzarza wyzutego z praw. Lekko tylko drasnął Spencer prawdę i zaraz cofnął rękę, kiedy zagrał na nazwie „ministrów", czyli urzędników potrzebnych do „usługi" społeczeństwa. Zamiast służyć, ministrowie za obowiązek swój poczytują nakładać swoją wolę społeczeństwu. Wytyka Spencer naszym czasom porządek przewrócony, ale nie zapuszcza wzroku w dobę, która widziała ten porządek w stanie, jakiego Spencer pożąda. Słusznie Spencer nazwał spaczonem pojęcie władzy dziś urobione i pragnie pojęcia, jakie kwitło w chrześcijaństwie: ale pragnie skutku a odrzuca przyczynę. Bez zwrotu do chrześcijańskiego pojęcia władzy, musi róść w społeczeństwie duch, któremu Spencer daje nazwy imperyalizmu, rebarbaryzacyi i regimentacyi: słusznie Spencer przepowiada, że dziś nastała już pół-niewola, a świat ją sobie doprowadzi do całej niewoli, ale na nią sam sobie zasłuży.

Na dowód, że narody żyją w jarzmie, i że w całym swoim samorządzie dostały tylko bańkę mydlaną, Spencer zestawia w odpowiedniem świetle wypadki wogóle znane, ale nie rozpatrywane zwykle dokładnie. Wypadkiem najgłówniejszym dla Spencera przy tym jego zamiarze był widok Anglii prowadzonej na pasku przez jej sekretarza stanu. Ten to ambitny despota, mówi Spencer, miał swoje zamysły w południowej Afryce, które sprawiły wojnę. Dwóch ministrów obiecało uroczyście, że nie wmieszamy się w sprawy wnętrzne Transvaalu; mimo tych obietnic, dalej nalegaliśmy na zmianę ich ustawy wyborczej, a odmowną ich odpowiedź usłyszała Anglia tak przedstawioną, jakoby Boerzy szukali zaczepki. Dzień po dniu rząd ogłaszał o wojnie w południowej Afryce wieści pełne wymysłów, przesady, dwuznaczników; mnóstwo ich podrobił, mnóstwo zniszczył. Przychodziły opisy zwycięskich pochodów angielskich, z Trans-

vaalu wysyłane przez naocznych świadków, którzy w październiku widzieli tam jesień, chociaż właśnie tam kwitnie wiosna w tym czasie. Z Ladysmyth listy przemycane donosiły o popłochu mieszkańców oblężonych, wieści rządowe o męstwie ich niewyczerpanem. W Kimberley kule Boerów słały Anglików trupami, rząd donosił, że Boerzy nie umieją strzelać. O Boerach angielscy żołnierze i oficerzy z powrotem jednogłośnie świadczą, jako o dobrych ludziach, niektórzy dochodzą do pochwał, że nie znają narodu cnotliwszego: rządowe pisma donosiły jak o łotrach bez czci i wiary, o tchórzach, o półdzikich istotach. Obecnie rząd nie może zamknąć ust żołnierzom, którzy opowiadają, że Boerzy w ciągu wojny nie żyli, tylko na katuszy powolnej konali pod stopą angielską, że Anglia, gdyby nie była oszukiwana przez rząd, nigdyby nie pozwoliła tak prowadzić wojny. Marszałek polowy, Sir Neville Chamberlain otwarcie dziś świadczy, że nigdy przedtem żadne wojsko brytańskie nie popełniło nic podobnego do okrucieństw, z jakiemi teraz bez miłosierdzia wycinało w pień całe rodziny. A sześć milionów egzemplarzy dzienników płatnych przez rząd, ukrywało prawdę i szerzyło wierutne kłamstwa między narodem angielskim przez blisko trzy lata... A plonem tych oszustw: dwie rzeczypospolite osierocone z tysięcy obywateli, mnóstwo rodzin w nędzy, niezliczone gospodarstwa zburzone, kraj wyniszczony, praca przemysłowa wstrzymana, społeczeństwo w zupełnym rozstroju. Z drugiej strony Anglia zebrała z pola bitwy 25 000 trupów i 60 000 kalek, dźwiga niezmierne ciężary wydatków wojennych, widzi ruch przemysłowy osłabiony a wzrost dzikich popędów w tłumie niezadowolnionym, znajduje coraz mniej przyjaźni w Europie i traci tę chorągiew obrończyni swobody i ludów, w której przed tą wojną szukała chluby: a wszystko to czyjem dziełem? człowiek to jeden wypływał w górę, skorzystał ze swojego stanowiska przy sterze rządu i umiał Anglię ze związanemi oczyma tędy prowadzić, gdzie z jej stu tysięcy padłych na pobojowisku, z nieobliczonych jej strat pieniężnych i duchowych oczekiwał pożytku własnego.

Na takich wypadkach Spencer opiera wniosek, że nowo-

czesny świat ciągnie jarzmo stronnictw naczelnych, durzony pustą nazwą swobodnych obywateli. Spencer za Sibbonem powtarza, że już cesarz August rozumiał, jak ród ludzki oddaje rządy nad sobą władzy szumnych słów; i nie doznał zawodu, kiedy oczekiwał, że senat i naród przystaną na niewolę, byle tylko słyszeli od niego słowa pełne czci dla nich. W tych słowach znajdą zapowiedź spokojnego żywota w dawnej swobodzie, dadzą niewoli nazwę swobody i klękną przed bożyszczem Cezarów. Pojęli to także dzisiejsi poskromiciele ludów. Nazwali pańszczyznę podatkiem, swobodą brak opieki nad słabymi przed przemocą silnych, a udziałem w rządach nazwali głos na posła do izby ustawodawczej. Więc jestem wolnym obywatelem! woła dumnie wieśniak uwłaszczony — jestem równy mieszczanom i szlachcicom! Tak... odpowiada Spencer... dawniej człowiecze odrabiałeś dworowi swoje dnie w tygodniu, a dziś odrabiasz swój dług podatkowy... I już przed kilku latami Guyot obliczył, że we Francyi ciężary podatkowe i wojskowe pochłaniają blisko trzecią część sił i pracy wydatnej narodu, więc obciążają tak samo, jak gdyby każdy Francuz odrabiał co tydzień dwa dni pańszczyzny na łanach rządowych. A Francya nie dorównywa innym państwom ani podatkową stopą ani wojskową odsetką: przeciętnie każdy Europejczyk pracuje dla państwa przez pół tygodni, wielu przez cztery, albo nawet czasem pięć dni co tydzień. Ale odrabia tę pańszczyznę pod nazwą mniej nienawistną, jakby szlachetniejszą: pod nazwą podatku.

I radośnie czuje swoje prawa swobodnego obywatela: może tak samo jechać pierwszą klasą jak król giełdowy, jeżeli chce sprzedać chatę i dobytek na taką jazdę i potem iść z torbami; może tak samo jak wielki przemysłowiec założyć sklep za długi, albo na jakiembądź polu stanąć z dziesięciu palcami rękodzielnika w zapasy z mocarzem pieniężnym; kiedy wyrobem ręcznym sprosta robocie zakładów poruszanych elektryką: zostanie bogaczem bez przeszkody z niczyjej strony. A jak z dwiema rękoma nie sprosta siłom pary i elektryki, jak w walce padnie, sam sobie kopał grób... państwo szanowało jego swobodę, nie

narzuciło opieki, nie zagrodziło drogi do przedsiębiorstw szalonych...

A najdumniej czuje swoje prawo i dostojeństwo wolnego obywatela, kto oddaje swój głos przy wyborach poselskich. „Jakżeż, czy ja nie wolny obywatel, jeżeli mój głos przechyla szalę przy wyborze przedstawiciela narodu? Odemnie zależy, kto uchwalać będzie ustawy, rozstrzygać w sprawach wojny i pokoju, zawierać przymierza z obcemi mocarstwami!“ I z miejsca wyborów spieszy do urzędu płacić grzywnę, iż nie posłał dziecka na naukę, bo nie miał z kim innym puścić bydła na paszę. Ale jego dziecko musi dostać pieczęć rozumu podług miary państwowej.. nie jak rodzice chcą i potrzebują, ale jak garstka naczelna każe, tak obywatele wolni muszą wychowywać dzieci.

Mógłby kto przypuszczać, że Spencer, rozpędzony z taranem na wszechwładzę rządową, uderzy w ten wybryk samowoli ukoronowanej, jakiego nie może nie widzieć przed sobą w Londynie. Wszak przed oczyma ma władcę, u którego stóp naród składa rządy nad swojem sumieniem. Podatkowy ucisk, przymus szkolny albo wojskowa niewola: to w oczach Spencera jarzmo niegodne wolnych obywateli. Ale ci obywatele znajdą jeszcze rozumną przyczynę, dla której państwo wybiera podatki i żąda obrońców ojczyzny: nie znajdą przecież przyczyny rozumnej, dlaczego świecki władzca przywłaszcza sobie duchowne nad nimi zwierzchnictwo. Stąd to miliony coraz liczniejsze w Anglii wyznają królowi, że w obronie władzy jego świeckiej ochotnie pójdą krew przelewać, ale nie wydadzą sumienia w pęta służalstwa. Dla tej też przyczyny miliony Anglików zwycięską walkę toczą, aby rządowi z rąk wydrzeć monopol szkolny, i już wkrótce oczekują, że rodzicom zabezpieczą głos stanowczy w sprawie wychowawczej. Widok strącanego jarzma rządowego przez wolne sumienia i wolne szkoły, jakże usposabia Spencera?

Zamiast sprzymierzeńca znaleźć w Spencerze, wyznaniowy ruch przeciw wszechwładzy rządowej znajduje w antymetafizyku otwartego przeciwnika. Naprzód u niego spotykamy zgryźliwe uwagi o zwrocie anglikanizmu ku pojęciu kapłaństwa i hierarchicznemu związkowi z Kościołem Powszechnym. Ruch ten

podług Spencera, wskazuje na zmianę społeczeństwa w duchu wstecznym: rebarbaryzacyę. Następuje powrót ku niewoli pod władzą jakiegoś kapłaństwa, co oznacza barbarzyńskie ustroje społeczne. Rokosz Kościoła przeciw władzy świeckiej jest jakąś oznaką tęsknoty za tym układem stosunków, które kiedyś królów robiły poddanymi papieża. Wśród hierarchii panuje zamiar wzmocnienia kapłaństwa; tajemnicy w tem niema; głosy hierarchiczne, proszone żeby postawiły tamę zwyczajom, które nadają Kościołowi anglikańskiemu podobieństwo do rzymskiego, odpowiadają półsłówkami.

W tym samym duchu co ten ustęp, brzmią różne wycieczki Spencera, zwrócone przeciw głupocie, ślepocie i ciemnocie teologii, przeciw filozofii metafizyków, przeciw uczelniom wyznaniowym. Nie może darować, że od roku 1897 chrześcijańscy rodzice przez swoich posłów wymogli od rządu zasiłek roczny ośmiuset tysięcy funt. szterl. na naukę chrześcijańską dla dzieci: przez to — narzeka Spencer — uczelnie wyznaniowe nabrały sił do współzawodnictwa z państwowemi, przez to Kościół wzrósł w potęgę. Tak przeciwnik wszechwładzy rządu narzeka na uszczerbek jego wpływów i żałuje jego uczelni, kiedy widzi żywszy ruch wyznaniowy w narodzie.

Ta jego niechęć do rozwoju myśli wyznaniowej przeziera z nadmienionych ustępów książki, ale znajduje swój wyraz dokładny dopiero w przedostatnim rozdziale. Tu Spencer roztrząsa, co miałby sceptyk mówić wierzącemu? Odpowiada, że etyka czysto rozumowa mało znajduje umysłów, zdolnych ocenić jej oderwane dowody, więc nie rychło wywrze wpływ na obyczaje pospólstwa. Gdyby kto stąd wnosił, że trzeba pospólstwu zostawić wiarę, wtedy dowiódłby, że nie umie spoglądać po świecie. Kto widzi, co wszędzie wyprawiają chrześcijanie, tego zdumi niemoc teologii. Albo wystarczy rzucić w tył okiem na minione stulecia z niegodziwem zarówno pospólstwem, jak szlachtą, królami i papieżami: widok ten okaże iście niezrozumiałe niedołęstwo wiary. Jeżeli przypiszemy brak skutków wiary odpustom i urojonym władzom kapłańskim, przecie rzut oka na Anglię protestancką okaże, że gdzie te przewrotne wpływy nie

działały, tam bojaźń piekła i nadzieja nieba wpływały na obyczaje ludzkie w stopniu niepojęcie małym. Te groźby i obietnice kar i nagród wyglądają najczęściej mniej skuteczne od rozumowych dowodów etyki przyrodzonej. Mogłoby być pożytecznem łączyć dowody przyrodzone z uważanymi za nadprzyrodzone.

Ale z ludźmi wyuzdanymi możnaby nie zaczynać rozmowy.

Nadto bywają nastroje wrażliwe o bujnej wyobraźni. Mnóstwo między nimi spędza żywot przejęty trwogą o przyszłą dolę; w sędziwym wieku, kiedy ich umysł tępieje, wyobraźnia pełna strachu wmawia w nich, że już zaczęli cierpieć owe kary wiekuiste. W dawnych czasach wielu musiało szaleć z tego powodu; i dziś niejedna książka, pełna barwnego opisu owych katuszy, zdoła narazić jeszcze na utratę zmysłów. Takim ludziom wypadałoby wybijać z głowy ową straszliwą wiarę i okazywać, że to bluźnierstwo, przypuszczać, jakoby Potęga, objawiona pięćdziesięciu milionami słońc z ich światami, miała w przyrodzie swojej mściwe okrucieństwo, które w ludzkiem jestestwie budziłoby odrazę. Kosmiczny proces, obmyślany przez jakąś Nieznaną Potęgę, chociaż daleki od jakiejś myśli miłosnej, przecie nie da w sobie odkryć śladu popędów mściwych.

Nakoniec bywają szczęśliwsze nastroje umysłów, dla których pociechę stanowi nadzieja szczęścia po smutkach, w których żyją. Współczucie każe wobec nich milczeć; nic dobrego nie wyniknie dla nich ze zmiany w poglądach.

Tak Spencer współczuje z tymi szczęśliwszymi umysłami, ale dla nich nie robi wyjątku, nie uznaje choćby dla nich potrzeby wpływów Kościoła i uczelni wyznaniowych...

Z jakimże pożytkiem dla tysięcy czytelników Spencer ułożył książkę najnowszą? Zaciemnił pojęcie ostatecznych przyczyn, nazwał Boga Niepoznalnym, poczytał śmierć za rozkład ciała i duszy, wyznaczył stanowisko zacofańców wyznawcom nauki Chrystusa, wolnym myślicielom przyznał jedyne hasło rozumne. W tej mierze nic nowego nie odkrył. Ale podniósł myśl w świecie wolnomyślnym niedość rozumianą, i tę myśl głównie rozwija w znaczniejszej części najlepszych wywodów: wytyka nowoży-

tnemu społeczeństwu nastrój coraz dzikszy, powrót do obyczajów pogańskich. Spencer oczywiście nie nazywa upadku obyczajów powrotem społeczeństwa do doby przedchrześcijańskiej, bo nie umie dostrzedz zasługi Kościoła w poprawie rodu ludzkiego. Ale umie dobitnie zwrócić uwagę na dzisiejszy zanik zmysłu szlachetnego a rozwój dzikich popędów.

Można zebrać wielkopański majątek z rozsprzedaży dzieł, czytanych we wszystkich częściach świata; można takiego majątku ciągle używać na dalszą pracę źródłową i drogo opłacać wszelką pomoc przy pisarstwie, a dla siebie nie złożyć prawie nic, można jednak przez pięćdziesiąt lat pracy usilnej i szczodrych wydatków na pomoc źródłową, odkryć prawdę w jednej tylko, i to mniej wydatnej, kopalni a nie dostrzedz jej tuż obok na niezmierzonych, przystępnych, złotodajnych równinach. Spencer nie zabezpieczył sam sobie wielkich dochodów z pieniędzy zebranych po latach pracy wydatnej: łożył ciągle na pomocników, którym polecał badać źródła. Mimo pracy i wydatków nie wyczytał prawdy w chrześcijaństwie. Nie zauważył świadectw, wyrytych na najdawniejszych pomnikach piśmiennictwa, które donoszą, że ród ludzki pierwej z wrodzonego popędu dążył ku prawdzie i szlachetną myślą wzlatywał ku pięknu, potem słabł w swoim polocie i pozwalał zmysłowym ponętom opalać skrzydła swoje; wtedy górę bierze ciało i jego wygodom zaczyna służyć nauka; z biegiem czasu zwygodniały świat wpada coraz sromotniej w dolę przekwitu oświaty a wzniosłe porywy nikną coraz powszechniej...

Wtenczas na widownię dziejów wychodzą narody zdrowe, nie odwykłe jeszcze od twardej pracy i walki z przyrodą, nie zarażone zgnilizną oświaty przekwitłej. Z tych narodów nowe żywioły świeżym powiewem odmładzają krainę myśli i odradzają ród ludzki, aby znowu potoczyć społeczeństwo kolejami rozkwitu i przekwitu, nim młody prąd nie odrodzi pokoleń zgrzybiałych.

Ale społeczeństwo sobie zostawione wyczerpać musi w końcu te zarodki ducha, które od czasu do czasu oczyszczają świat ze stęchłych wyziewów i dźwigają ducha z upadku... Kiedy tych

zdrowych szczepów zabraknie dla zdziczałego pnia, który rodzi płonki, co za potęga odrodzi strupieszałego człowieka?

Nad Eufratem duch ludzki tworzył najstarsze pieśni, wznosił niebotyczne budowle, gwiazdom biegi wyznaczał; ale niedługo podołał ciężarowi własnego ciała: spadł z wyżyn nauki, nie bohaterów do boju pieśnią zapalał, tylko do pląsów przygrywał zniewieściałemu światu. Skarlały potomek rodu rycerskiego ustąpił miejsca pogromcy, który z gór i puszcz leśnych przywiódł lud bitny, do trudów nawykły. Ale i w jego potomkach wygodny żywot ubezwładni ducha: zgnuśniały Pers nie dotrzyma pola świeżym zastępom sił greckich. I Grecy przeżyli swój czas: ich falangi prysnęły przed kohortami nowego władcy nad światem. Ale młode cesarstwo prędko objawiło stan ducha, zarażonego nieuleczalną chorobą... ród ludzki wyczerpał zdrowe pierwiastki, wydobył z siebie cały zasób sił męskich... z Platonem wzdychał do nadziemskiej pomocy.

Nadziemski pierwiastek spływa z Kalwaryi. Chrześcijański szczep odmładza serca i otwiera mędrcom oczy na prawdę... A kiedy wieki zaczną po dawnemu jałowić umysły i truć serca, postać jakby nadziemska jedna po drugiej, ożywiona łaską staje przed upadłem społeczeństwem, aby do pierwotnego ładu znowu dostroić ludzką myśl spaczoną i przynieść pokój do serc zdziczałych.

Tego lekarstwa dla schorzałego społeczeństwa nie zna Spencer: nie rozumie wymownej księgi dziejowej. Ale chorobę dzisiejszego społeczeństwa rozumie, jak rzadko który myśliciel: opisem jej w najnowszej książce zdobył rzetelną zasługę. Czy żałuje miłej barwy starych obrazów, czy utyskuje na zepsuty smak w muzyce albo sztuce, czy wytyka Anglikom ich język pisarski coraz mniej jędrny i mniej czysty, czy wprost uderza w podwaliny obecnego ustroju i naszych stosunków: zawsze umie pokazać rozkład, przedstawić rozumy nędznie paczone, serca w znacznej części już zwyrodniałe. Brzydota z prostactwem idą w zawody torem, którym wieki stąpały, aby ogładzić nas, okrzesać i przejąć ludzkim nastrojem. W domach ludzi o pokroju nowoczesnym urządzają wystawę rzemieślnicy ze sprzę-

tami i malowidłami pełnemi dziwactw, na stole leżą książki tłoczone czcionkami cudacznemi, pisane w słowach coraz mniej rodzimych, coraz przydatniejszych na międzynarodową gwarę kupiecką. W powietrzu czuć siarkę, pewną zapowiedź wybuchu, co jak rozpętany żywioł przerwie zapory i puści na wolę wyuzdane żądze. Ród ludzki zwierzęceje.

I po wymownych ustępach podobnej treści, smutnie rozsypanych bez związku ze sobą po różnych rozdziałach książki, Spencer nie umie nigdzie dojrzeć na ciemnym widnokręgu żadnego światełka nadziei. I za to zasługuje na pochwałę, iż ułudnem widziadłem ziemskiej otuchy nie mamił, kiedy ze serca i rozumu usunął myśl o Bogu. Bez Boga widzi świat na spadzistej drodze zbłąkany, nieporadny, własnym ciężarem ściągany na dół, coraz bliższy przygód okropnych. Opisał ten ponury widok i prawdę napisał o znacznej dziś części świata bez Boga.

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny homiletyczno-kaznodziejskiej.

Ks. Biskup dr. Józef Pelczar: „Zarys kaznodziejstwa“ III. — Ks. dr. Aloizy Jougan: 1) „Homilie polskie“. 2) „O kazaniach jubileuszowych w Polsce“. 3) „O kazaniach karcących“ II. — Ks. prof. Antoni Szlagowski: „Mowy pogrzebowe i przygodne ks. Fabiana Birkowskiego“ II (Biblioteka dzieł chrześcijańskich). — Ks. A. Syski: „Ks. Tomasza Młodzianowskiego cztery kazania adwentowe o grzechu“. — Ks. dr. Julian Bukowski: „Kazania pasyjne tudzież nauki w czasie ćwiczeń duchownych dla młodzieży gimnazyalnej z dodaniem kilku kazań przygodnych“. — Ks. dr. Adam Kopyciński: „Siedm kazań o męce Pana naszego Jezusa Chrystusa“. — Ks. Franciszek Walczyński: „Kazania eucharystyczne podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa“ Zeszyt I. — Ks. prał. Edward Podolski: „Czem jest kapłan?“— Ks. prał. Władysław Chotkowski: „Mowa w pięćdziesięcioletnią rocznicę śmierci ś. p. ks. Karola Antoniewicza T. J.“— Kazania i mowy ks. Wacława z Sulgostowa. ks. Antoniego Szlagowskiego, ks. Biskupa Karola Fischera, ks. prał. Smoczyńskiego, ks. Makowca. — Ks. dr. Jakób Górka: „O. Pawła Segneri kazania wielkopostne“. — O. Ravignan T. J.: „Dwie konferencye apologetyczne“. — Ks. Stefana Coubé T. J.: „Dwie mowy o Najśw. Maryi Pannie.

Ostatnie lata przyniosły niemały dorobek literaturze kaznodziejskiej polskiej. Nigdy jeszcze dotąd tak szerokiem nie płynęła korytem, jeśli weźmiemy pod uwagę ten wszechstronny w niej ruch, jaki właśnie zapanował, te prace tak różnorodne, jakie wydała obecnie. Nie był to na szczęście żaden chwilowy prąd ani poryw; składały się nań lata dążności i pracy. Przypomnijmy sobie tylko jak mniej więcej od połowy dopiero minionego wieku począł się budzić ruch literacki na

tem polu. Nie wzrastał on szybko, nie miał wielu zwolenników i badaczy, jak inne działy literatury, ale choć sporadyczny widocznie utrzymywał się, nie upadał. Pomnikiem tych dążności zostanie zawsze trochę artykułów i tłumaczeń rozrzuconych w Pamiętniku religijno-moralnym, oraz dzieła natury przeważnie szkolnej, jak Lipnickiego, Szpaderskiego, Hołowińskiego, obszerniejszych rozmiarów Mecherzyńskiego, wreszcie Ważyńskiego teoretyczne ściśle, ale będące fundamentem dalszej pracy, zachętą do niej. Prace ks. Krukowskiego stanowią ważny moment, już poza horyzontem szkolnym. Wyszedł z pod jego pióra cały szereg ścisłych monografii historyczno-literackich, wiążących literaturę kaznodziejską z ogólnym prądem badań literackich. Obok ks. Krukowskiego zaczęły się grupować monografie innego pióra, a ruch ten tak już szybko począł się wzmagać, że kiedy czcigodny ten kapłan-literat schodził do grobu, nie potrzeba było się już obawiać, że zejdzie z nim razem badanie literatury kaznodziejskiej. Podjęli jego myśl inni młodsi pracownicy, z rokiem każdym posuwając naprzód swoje dzieło. Dziś oprócz badań patrystycznych, żaden z działów kaznodziejstwa nie może stanąć bez swego przedstawiciela. Teorya ogólna kaznodziejska zyskała dzieło ks. Markiewicza i specyalne ks. Jougana, mamy historyę homiletyki polskiej, historyę kaznodziejstwa wszechświatowego, zyskaliśmy szereg monografii, mieliśmy nawet próbki polskiej konkordancyi kaznodziejskiej, a co więcej, doczekaliśmy się czasopisma specyalnie oddanego kaznodziejstwu.

Przeglądnijmyż prace, które obecną chwilę kaznodziejstwa zdobią.

Na przełomie dwóch wieków stanęło dzieło poważne swoim programem „Zarys dziejów kaznodziejstwa w kościele katolickim“ ks. biskupa Pelczara. Jeśli pierwszy i drugi tom nie przyniósł materyi nieznanej naszemu piśmiennictwu, znaleźliśmy przecież uwzględnione w nim już najnowsze badania literackie zastosowane do ogólnego poglądu. Trzeci tom tego dzieła pierwszy raz w polskim języku zaznajomił nas z europejską literaturą kaznodziejską. W szczupłych wprawdzie ramach pomieścił nader obszerny materyał, bo znajdujemy w nim grupy kaznodziejów ludów słowiańskich, romańskich i germańskich. Nie możemy się też spodziewać w nim wyczerpujących poglądów. Autor przeznaczył swe dzieło dla uczącej się duchownej młodzieży, aby łatwiej mogła wyjrzeć poza ściśle domowy horyzont wiedzy w danym kierunku. Zebrał też sumarycznie dużo wiadomości o kaznodziejach tych ludów, dając zawsze przed niemi obraz historyczny rozwoju literatury, a nawet niekiedy ważniejszych w niej epok. Nie potrzebujemy pisać, jak do

ogólnego wykształcenia kaznodziei koniecznemi są podobne wiadomości, kształcącym się poznanie niejednego wzoru mogą ułatwić, a ustrzedz od tracenia czasu na bezowocnem błąkaniu się w labiryncie zdawkowych płodów: dziś od każdego wymaga się coś więcej, jak ograniczenia swej wiedzy na kilku z ościennych, najbardziej znanych francuskich i niemieckich nazwisk. Ułatwienie więc tych wymagań zawdzięczamy niniejszemu dziełu. Z innego też względu jest ono bardzo pocieszającym objawem, że społeczeństwo już poznało choćby tylko potrzebę podobnego dzieła, a próba ta historyi literatury wszechświatowej kaznodziejskiej będzie pierwszym krokiem na tej drodze.

Nierównie ważnem dziełem jest historya polskiej homiletyki ks. Jougana. Już od dłuższego czasu odzywano się dużo o zaniedbaniu tej gałęzi kaznodziejstwa, a co gorsza wyrobiło się mniemanie, jakobyśmy nie mieli swoich homilii, chyba w bardzo odległych epokach. Czy słusznem to było? Oto odpowiedź na to pytanie jaskrawa swą dosadnością: dzieło poważne o 495 stronach druku „Homilie polskie". Dzieło składa się z pięciu części: w pierwszej omawia autor łacińskie rękopisy homilijne w Polsce: to początek naszego kaznodziejstwa w kraju, jako epokową chwilę możnaby przyjąć najodleglejszą datę r. 1285, t. j. synod w Łęczycy za arcyb. Świnki, w którym synod dopuszcza, aby, jeśliby się gdzie znalazł jaki zdolniejszy kapłan, mógł wykładać ewangelię czyniąc z niej zastosowanie moralne. Za granicą znane i drukowane homiliarze przedtem nie mogły mieć u nas jeszcze zastosowania raz dla braku kapłanów znających nasz język, a także dla początkowego zaledwo wykształcenia ludu. Odtąd jednak synody objawiają dążność do wprowadzenia pouczania wiernych o prawdach wiary z ewangelii, a pierwszą formą były homilie, postylle i t. zw. *sermones*. Badania biblioteczne przyczyniły się w ostatnich czasach bardziej jeszcze do rozświetlenia tej epoki kaznodziejstwa a pp. Brückner, Erzepki i Malinowski niemałą zasługę tu położyli. Kiedy dużo luźnego materyału naukowego gromadzi się w jakimś fachu, koniecznem jest od czasu do czasu zrobić jego syntezę i tośmy otrzymali głównie w tej pierwszej części dzieła. Reformacya wywołuje w Polsce reakcyę na korzyść krajowego piśmiennictwa, oczywiście w pierwszym rzędzie religijnego, zwrotem w tym ruchu zajmuje się część druga dzieła aż po wydanie postylli Wujka. Nie jest to tylko proste zestawienie dzieł homiletycznych katolickich, autor uwzględnił ich ducha i znaczenie narodowo-obyczajowe, nawiązując je do stosunków społecznych ówczesnych; owszem nie pominął nawet piśmiennictwa religijnego dyssyden-

tów, pilnie je w dopiskach uwzględniając. Nie przedstawił nam jednak jeszcze w tym rozdziale stanowczego rozkwitu polskiego kaznodziejstwa homiletycznego; tu rozpatruje raczej przyczyny jego, postanowienia synodalne, bo plon sam skąpy był i mało wydatny w tej epoce. Godny uwagi ustęp znajdujemy o zaginionych dziełach homilijnych i przekładach Pisma św. a znajomości Ojców Kościoła. Były też to dwie z głównych przyczyn rozwoju homilii u nas. Część trzecia się właśnie zajmuje homiliami już oddzielnie drukowanemi; część najobszerniejsza, bo objęła wszystkie homilie oddzielnie drukowane od XVI wieku aż po najnowsze czasy; dość powiedzieć, że mamy w niej historyę homilii polskich czterech wieków, a 63 autorów rozpatrzone dzieła. Każdy wiek poprzedza treściwy, ale bardzo zajmujący pogląd ogólny, a w nim klucz do lepszego zrozumienia epoki i usprawiedliwienia ducha homilii i ich dążności. Szereg homiletów naszych zaczyna Wujek. Bez wątpienia jest to najlepsze dotąd o nim studyum kaznodziejskie, owszem śmiało rzec można jedyne. Nie mogło też być inaczej, w kaznodziejstwie nikt jak Wujek nie należy tak ściśle do homiletów, tu więc znalazł opracowanie wyczerpujące tak pod względem bibliograficznym, jak i literacko-kaznodziejskim. Co do genezy powstania jego homilii łączy autor oba dotąd panujące zapatrywania: jedno przypisujące to dzieło namowom biskupa Karnkowskiego, drugie namowom Jana Leopolity: autor się domyśla, że wszystkie te wpływy łącznie skłoniły go do podjęcia tej pracy. Może dla niejednego niespodzianką, ale miłą, będzie, że spotka się wśród homiletów z nazwiskiem ks. Piotra Skargi. A przecież autor bez wahania uprzedza czytelnika: „żaden dział kaznodziejstwa polskiego a więc także i homilijny, nie byłby zupełny, nawet w złotym okresie Zygmuntowskim, gdyby mu zabrakło imienia tego kaznodziei, który połączył w sobie wszystkie przymioty mowców swego czasu“. Mowa tu być może tylko o Skargi kazaniach na niedziele i święta całego roku, one też wyłącznie mamy przed sobą. Skreślił przedewszystkiem autor historyę tego dzieła Skargi zaznaczając jego cel głównie praktyczny, skąd wyłonić się koniecznie musiał w nich element homiletyczny na tle perykopy ewangelijnej, zastosowania do życia codziennego, nauka moralna. Kazania te jeśli nie wprost co do formy, to niewątpliwie co do treści mimo licznych tematów dogmatycznych są przeważnie homilijnemi. Materyał homiletyczny w nich nie jest wprawdzie tak zupełny i skończony, jak u Wujka lub Białobrzeskiego, ale przecież podaje go sporo a, z naciskiem autor podkreśla, w formie nader wytwornej. Ustęp ten o Skardze rzuca zgoła nowe

światło na naszego polskiego Chryzostoma, a z poglądem tym każdy liczyć się będzie musiał. Słusznie też autor podnosząc tu homiletykę Skargi udowadnia swoje zapatrywanie rzutem oka na poszczególne kazania, a główniejsze jej objawy w nich.

Pomiędzy innemi należało się już dawno naszej literaturze kaznodziejskie opracowanie Birkowskiego. Nie będziemy się tu jednak dłużej nad niem zatrzymywać wobec tego, że nie mogło ono być tu zupełnem, uwzględniając wyłącznie tylko dział homilijny; rozprawa obszerna pióra ks. Szlagowskiego przy nowem wydaniu kazań Birkowskiego już uzupełniła i niniejsze studyum — to tylko powiemy, że w specyalnym swoim zakresie wybornie odzwierciedliło nam zdolności homiletyczne Birkowskiege i korzyści, jakie z nich odniósł na kazalnicy.

Ograniczamy się na specyalnych uwagach tylko co do tych trzech kaznodziei, nie jakoby inni pobieżniej byli opracowani, ale że wśród poprzednich rozpraw nie znaleźliśmy właśnie tego, co w tej książce opracowano dokładnie. Owszem autor usilnie się starał, aby jak najdokładniejszy obraz homiletów naszych przedstawić, a przekonaćby nas mogło o tem choćby to jedno, że nie pominął nawet przyswojonych homilii z obcych literatur, a nawet rzeczy, które nie wyszły ściśle jako płody kaznodziejskie, np. Ventura, Riedl. Dodał nadto do uzupełnienia swego dzieła osobną część czwartą o homiliach drukowanych sporadycznie i w czasopismach, oraz część piątą o przekładach homilii Ojców Kościoła. Jest to prawdziwa szkoła naszego kaznodziejstwa homiletycznego. Wszyscy kaznodzieje epoki Zygmuntowskiej kochali się w nich, czynili wyjątki, tłumaczyli i wcielali w swe dzieła kaznodziejskie. W XIX wieku zwrot ku Ojcom Kościoła widocznie się objawił, dowodem tego wcale spora garstka nowych tłumaczeń — ruch ten popierał dużo Pamiętnik religijno-moralny, a dziś Homiletyka. Jest nadzieja więc, że wyda on pożądany owoc w praktyce, że zakwitnie znowu na ambonie wymowa na tych wzorach wykształcona, a zawsze mieć winniśmy na oku, że duch ten wydał okres wymowy Zygmuntowskiej.

Tak się przedstawia całokształt dzieła ks. Dr. Jougana o Homiliach polskich — takie dzieła nie wychodzą codziennie, ale po latach pracy wspólnej, są jej syntezą, obrazem wyników długich badań.

Interesującą jest obszerna monografia tegoż samego autora o kazaniach jubileuszowych polskich. Dzieło to było, jak się mówi, „książką na czasie“, bo w roku miłościwego lata, ale i dziś nic nie straciło ze swojej naukowej wartości. Jubileusze należą do tych rzadkich oko-

liczności, które kaznodziejom dają szczególną sposobność objawienia całego bogactwa swoich zdolności kaznodziejskich, może też studyum nad tego rodzaju kazaniami być bardzo charakterystycznem. Na dwie części dzieli je autor: pierwsza traktuje o dawnych jubileuszach w Polsce i o kazaniach jubileuszowych w ogólności. Konstatując fakt, że z dawnych jubileuszów obchodzonych w Polsce znamy tylko poboczne źródła i luźne zapiski przydatne do historyi jubileuszów, kaznodziejskich zabytków zaś po wiek XVIII bardzo mało, rozwija autor kwestyę teoretyczną o różnicy kazań jubileuszowych a misyjnych, i rozporządzeniach polskich synodów dyecezyalnych dla jubileuszowych kaznodziejów. Oczywiście ustęp ten ściśle przeznaczony jest dla kapłanów, szerszy ogół za to zainteresować może, jakie znaczenie mają nasze kazania jubileuszowe pod względem literackim, cywilizacyjnym i ściśle religijnym, a można powiedzieć, że mają bardzo doniosłe znaczenie jako odbicie nietylko panującego smaku literackiego, ale wad i zabobonów ówczesnego społeczeństwa a przytem dostarczają choć w drobnych nieraz rysach ważnego materyału do historyi obchodów jubileuszowych u nas. To część dzieła ogólna. Druga specyalna zajmuje się zbiorem kazań jubileuszowych, jaki posiada nasza literatura kaznodziejska. Ułożono go porządkiem chronologicznym według autorów. I tu na wstępie spotykamy się zaraz z imieniem Skargi, z rozbiorem jego kazania na miłościwe lato, abo na jubileusz — jest to znowu jeden więcej rys do kaznodziejstwa Skargi. Nie wypadł on jednak tak szczęśliwie, jak zwykle dla Skargi: bo stwierdza, że kazanie to nie może należeć do zupełnie wzorowych, gdy układ nie odpowiada wiernie założeniu, a znaczenie miłościwego lata niedość jest pełno uwydatnione. Pod względem obyczajowo-historycznym nie jest zaś charakterystycznem, gdyż je zbyt uogólniono, z tą wyraźną tendencyą, aby mogło służyć jak najszerzej. Podstawę doń musiały przecież stanowić kazania, które Skarga wygłosił czasu miłościwego lata 1603 roku wobec króla i senatu; z tych jednak żadne się nie przechowało. Szczególnie wdzięcznego materyału dostarczyło autorowi ośmnaste miłościwe lato r. 1776. Na tle jego dwóch głównie występuje kaznodziejów: Michał Karpowicz i Wilhelm Kaliński, obydwaj zaszczyceni zaufaniem biskupa Massalskiego, byli podporą sławnych nabożeństw jubileuszowych, urządzonych podówczas w Wilnie. Karpowicz charakteryzuje doskonale nie tylko smak zepsuty kaznodziejski, ale ducha zgoła liberalnego, jaki wytworzył encyklopedyzm filozoficzny francuski, a występuje to niezmiernie jaskrawo u Karpowicza nie tylko w doborze tematów, ale w jego do-

wodach, przykładach z historyi i racyach rozumowych, które zresztą jedyną odgrywają w tych kazaniach rolę. Kaliński, przyjaciel Karpowicza, talent kaznodziejski wyższy od poprzedniego, oryginalniejszy i gruntowniejszy, zajmuje się przedmiotem teologicznym, zmierzając do jasno wytkniętego z góry celu, do wyniku praktycznego, stojąc na mownicy Chrystusowej zdaje się cały zapominać o sobie. Studyum to o dwóch współczesnych sobie sławach kaznodziejskich jest ozdobą niniejszej monografii, a przytem słusznie, wyczerpująco ozdobione rozbiorem poszczególnych kazań, ich właściwości, a porównaniem obudwóch talentów na tle ówczesnych stosunków i zapatrywań stanowi cenną dla siebie całość. Dzieło całe zamyka dorobek kaznodziejski ostatniego jubileuszu, a tak mamy najzupełniejszy obraz kaznodziejstwa jubileuszowego polskiego, obraz nie mało rozświetlający historyę naszej ambony, bo widzimy, że dział ten homiletyczny nie leżał u nas odłogiem, owszem w danych okolicznościach szeroko był wyzyskiwanym przez najpierwszych kaznodziejów, którzy weń włożyli nie mało wiedzy, zdolności, pracy. Dorobek to nie jednej epoki, więc ma dużo charakterystyki sobie właściwej; zwróciliśmy uwagę bliższą wprawdzie tylko na dwóch kaznodziejów XVIII wieku, ale dlatego, żeby dać miarę na tych dwóch przykładach o znaczeniu doniosłem okolicznościowych kazań ze względu na ogólny obraz wymowy kościelnej, a na ich dziełach właśnie najlepiej to widzieć można.

Studyum homiletyczne ks. Dr. Jougana o kazaniach karcących, należy do teoretycznej homiletyki, mówimy atoli o niem na tem miejscu, aby dla jednej książki nie tworzyć osobnego działu, a przytem, że należy do jednego autora. Kazania karcące ogranicza autor jedynie do tego tylko pojęcia, jakie się pomieścić zdoła w brzmieniu tego wyrazu, t. j. do tych kazań, w których kaznodzieja wyłącznie, a choćby po większej części powstaje w formie przygany wyraźnej, wyrzutu lub skarcenia, przeciw jakiemuś nadużyciu publicznemu, albo wadom powszechnym a gorszącym. Rozbiera autor trzy kwestye: teoretyczną, ściśle wykazując uprawnienie i uzasadnioną potrzebę głoszenia kazań karcących nie tylko ze względu na ogólne zadanie urzędu kaznodziejskiego, jak zarówno wynikającą z samej właściwości natury ludzkiej i znamion obecnego ducha czasu. Znajdujemy też tu bardzo na czasie ustęp wyrwany z domorosłego naszego duszpasterstwa, czy należy też z ambony gromić socyalistów? Zapatrywanie autora streszcza się w tych słowach: milczeć o socyalizmie i socyalistach na ambonie (tam, gdzie oni są), to znaczy wyświadczyć im największą usługę; a przeciwnie,

mówić, ale roztropnie i mądrze, i karcić ich czyny z pokojem i powagą, to najprzykrzejszą dla nich karą! W udowodnieniu tej części teoretycznej zużytkowany widzimy zapas argumentów z Pisma św. i tradycyi kościelnych, spotykamy się z naszemi także polskiemi przepisami synodalnemi.

Druga kwestya praktyczna zaznacza ważniejsze błędy, których przy głoszeniu kazań karcących należy się chronić, i podaje niektóre wskazówki, jak się je układać i wygłaszać powinno. Kwestya ta zupełnie tu obrobiona wyczerpująco; autor uwagi swoje czerpie nie tylko z praktyki, ale spożytkował do nich odnośną literaturę krajową i zagraniczną, streszczając z niej całość wypróbowaną doświadczeniem ogólnem. Znajdzie więc każdy kapłan w tem dziełku prawdziwego przyjaciela w zawodzie kaznodziejskim, szczerego doradcę, który, rozwiązując mnóstwo odnośnych kwestyi, i jemu niejedną wątpliwość usunie, i dobrze pokieruje.

Trzecia kwestya ma być historyczna, zestawi w niej autor ze szczególniejszem uwzględnieniem kaznodziejstwa polskiego, w krótkich szkicach wybitniejszych kaznodziejów, którzy dziedzinę homiletyki wzbogacili kazaniami treści karcącej i służyć mogą po dziś dzień za wzór pod względem treści i formy przy układaniu i głoszeniu kazań tego rodzaju. Oto program, jaki sobie autor zakreślił do uzupełnienia wszechstronnego swojego przedmiotu.

Zwrot ku dawnym dziełom kaznodziejskim objawił się dość silnie w tym okresie naszego kaznodziejstwa. Dopiero mieliśmy sposobność zwrócić uwagę na „Wezwanie do pokuty“ wydania ks. Nassalskiego [1], a dziś leżą jeszcze przed nami dwie prace charakteryzujące ten ruch.

Biblioteka dzieł chrześcijańskich podjęła myśl wydania kazań ks. Fabiana Birkowskiego, wydania popularnego, dostępnego najszerszym warstwom, a złożyła ją w doświadczone ręce ks. prof. A. Szlagowskiego. Jego więc pracy fachowej zawdzięczamy dwa tomy „Mów pogrzebowych i przygodnych O. Fabiana“. Wydanie to opatrzył ks. Szlagowski nie tylko obszerną krytyką literacko-homiletyczną, ale nadto każdą mowę osobnym wstępem i charakterystyką. W rozprawie zwraca uwagę przedewszystkiem żywot O. Fabiana, choć zwięzły, ale starannie opracowany z wyzyskaniem gruntownej znajomości dzieł jego

[1] W uzupełnieniu tylko notatki bibliograficznej co do tego rękopisu dziś już dodać możemy, że jest on w posiadaniu ks. Nassalskiego, i że go dostał z rąk prywatnych.

kaznodziejskich oraz część druga i trzecia rozprawy, w których znajdujemy najpierw porównanie Birkowskiego ze Skargą i charakterystykę kazań Birkowskiego co do treści i formy. Mamy więc skrzętnie zebrane dotychczasowe zdania i porównania obydwóch, analizę wspólnych a rozbieżnych właściwości ich kazań. Bardzo trafnie zaznacza autor odrębny charakter kazań Skargi a Birkowskiego, ze względu na odmienne okoliczności, w jakich się znajdowali. Stąd bowiem wypływa i treść i sposób przedstawienia, i język dużo odmienny Birkowskiego. Widocznie jednak boli bardzo autora, że Skarga dotąd wyższym jest od O. Fabiana, i choć nie bez wahania chciałby zdaje się w licznych porównaniach, jakie czyni, zrównoważyć obydwóch. Jest to oczywisty wynik pewnego pietyzmu, jaki piszący ma dla swojego bohatera.

Pozwoli autor, że posłużymy się tu zdaniem wytrawnem p. W. Gostomskiego: „Sądzę, — pisze on — że takie porównanie dwóch tak nierównych wielkości można przypuścić tylko nadmiernemu dla jednej z nich uwielbieniu. Takiem dla Birkowskiego powodowany uczuciem ks. Szlagowski zdaje się nie dostrzegać, że ani wielkością duszy, ani rozległością uczuć, myśli i dążeń, ani wreszcie siłą talentu nie może się on ze Skargą równać. Jest on nietylko ‚inny od Skargi', jak się wyraża ks. Szlagowski, ale nieskończenie od niego niższy, jak to dowolnie wykazał prof. Tarnowski. Nie znaczy to jednak, aby nie zajmował bardzo wysokiego w literaturze naszej stanowiska". Kiedy ks. Szlagowski rozróżnił nie bez podstawy rodzaj i charakter kazań Skargi i Birkowskiego, może nie pomylilibyśmy się, gdybyśmy, uważając Birkowskiego jako kaznodzieję obozowego, powiedzieli, że jest on w swoim rodzaju kazań przedstawicielem obozowej wymowy, nie porównując talentu kaznodziejskiego obydwóch, w czem Birkowski musiałby Skardze ustąpić. Niekoniecznie bowiem ktoś przedstawiający jakiś dział nauki, ma być równy zaraz zdolnością swemu koledze naukowemu na innem polu. Dowódca kawaleryi może być bardzo zdolny w wojnie i dobrze dowodzić, ale może się znaleźć dowódca artyleryi od niego genialniejszy, choć nie dowodzi równo z nim kawaleryą, któremu generalna komenda bezpieczniej mogłaby być oddaną niż poprzedniemu. I tak, sądzimy, chciał być autor rozprawy o ks. Birkowskim zrozumianym. Birkowskiego ze Skargą mamy także porównanie bardzo dobre u ks. Jougana w „Homiliach polskich" (str. 201), ale raczej ogranicza się ono na porównaniu ich do formy tylko zewnętrznej, w duszy jakby przychylając się do tego, że Birkowski zaczerpnął je ze szkoły Skargi z czytania jego kazań.

Poza tą pewną niejasnością w rozprawie ks. Szlagowskiego widzimy znakomity rozbiór krasomówczy, nie pomijając wad, właściwości mowczych Birkowskiego, treści jego kazań, kreśli interesujące studyum nad tekstami Pisma św., tłumaczenia samego Birkowskiego a porównanie ich z biblią Wujka i Leopolity, oraz nad charakterystyką erudycyi Birkowskiego. Spotykamy się nawet tu i ówdzie z niejedną kwestyą teoretyczną, którą zgrabnie autor przeplótł swą rozprawę, jak co właściwie jest w kaznodziejstwie makaronizmem, o ile można świeckiej erudycyi na ambonie używać, — dlaczego jednak apologetyzuje ozdobny styl na ambonie? Przecież nikt rozumny się z tego nie „gorszy“ — chyba, że ten styl ozdobny przechodzi w szumny i czczy, lub używa się go nie na miejscu. Wszystko to napisane jędrnie, owszem wytwornie zachęca tylko do przeczytania rozprawy, a przez to przyczyni się nie mało do poznania w szerszych kołach Birkowskiego. W dziedzinie zaś kaznodziejstwa obydwie rozprawy ks. Szlagowskiego i Jougana wzajemnie się dopełniają. Co do wydania kazań, zrobiono wszystko, by zadowolić nie tylko publiczność, ale i wymogi pewne naukowe, o korrektę językową upraszając p. Ignacego Chrzanowskiego, który dopełnił jej według zasad przestrzeganych przez Akademię krakowską przy wydawnictwie dzieł dawnych pisarzy polskich.

Innego rodzaju studyów nad dawnymi kaznodziejami mamy próbkę w ks. Tomasza Młodzianowskiego czterech kazaniach adwentowych o grzechu. Ks. Syski jak się wyraża, zmodernizował je w celu zupełnie praktycznym, by w czasie adwentu wypowiedzieć je w katedrze płockiej. Wszystkie mają za przedmiot powody obrzydzenia sobie grzechu, co więc u Młodzianowskiego stanowi części kazania, tu stanowi całość, a tak przedmiot homiletyczny wyczerpany mamy dopiero jakby w cyklu. Właściwości wymowy Młodzianowskiego musiały tu nieco ukryć się, a szkoda, że jeszcze nie więcej; jest jeszcze niejeden zwrot przestarzały, niejedno za rubaszne wyrażenie, niezbyt już licujące z obecnemi wymaganiami stylu kaznodziejskiego. Pozostały za to owe rzewne uczucia, silne ustępy prawdziwie grzmiące. Sądzimy, że podobne studya bardzoby się przydały zwłaszcza dla seminaryów kaznodziejskich, ale trzeba w doborze i rozmiarach zachować pewien wzgląd na dzisiejszego słuchacza, nie krępując się w nich tyle słowami, jak ducha ich, sposób jasny i dosadny, przedstawienie i treść mieć na oku — to co się nazywa synopsą (szkicem) kaznodziejską, a wtedy stanowiłyby one dla nas nabytek prawdziwie szacowny.

Słowo wstępne poświęcił autor krótko Młodzianowskiemu miano-

wicie znajomości jego kazań u nas. Szkoda, że nie mógł powołać się na rozprawę ks. Sasa, studyum ks. Jougana, bo możeby przyznał, że zamałoby było, gdyby nawet mury szkolne ograniczały się jeszcze dotąd na Hołowińskim lub Bartoszewiczu.

W dziedzinie praktycznego kaznodziejstwa mamy do zanotowania trzy większe zbiorki kazań. Powtórnie wydane kazania pasyjne ks. Dr. Juliana Bukowskiego oraz nauki w czasie ćwiczeń duchownych dla młodzieży gimnazyalnej. Dorzucił do nich autor kilka także kazań przygodnych i przemówienie przedślubne. O nich z przyjemnością powtórzyć możemy ocenę konsystorza krakowskiego, że odznaczają się jędrnością stylu, jasnym wykładem założonego przedmiotu i pięknemi zwrotami, do życia praktycznego zastosowanemi. Przemowa ślubna ma nadto dużo pięknych myśli i szerszy pewien pogląd, co dość rzadko się trafia, w podobnych przemowach. Ks. Dr. Kopyciński wzbogacił nas nowym cyklem kazań o Męce Pańskiej. Kazania są osnute na tle męki Pańskiej, której materyę umiejętnie wyzyskał; forma ich łatwa i przejrzysta, w stylu dziwnie harmonijnie połączył autor pewną wykwintność z prostotą, ustępy pełne piękności i siły krasomówczej, obok prostych serdecznych nauk i upomnień pasterskich, ale, co najpiękniejsze, że dużo wlał w nie uczucia rzewnej pobożności i miłości Bożej. Takie kazanie musi wywrzeć swój zbawczy skutek na słuchaczu, musi żywo do serca czytelnika przemawiać.

Wobec rozbudzonego ruchu eucharystycznego pożądaną niespodzianką są kazania eucharystyczne ks. Franciszka Walczyńskiego, przeznaczone głównie na czterdziestogodzinne nabożeństwo. Śliczny to zbiorek, a już pierwsze i drugie kazanie, ten rozbiór homiletyczny dwóch najużywańszych przy wystawieniu Eucharystyi pieśni „O Przenajświętsza Hostya“ i „Przed tak wielkim Sakramentem“ to prawdziwe cacko. I myśl nowa i forma ładna i uczucie a nauka zebrały się w tak piękną całość. Wogóle znamieniem całego zbiorku powiedzielibyśmy, to nader staranne, wyczerpujące objęcie przedmiotu, łatwe jego rozłożenie i ścisły stosunek z Pismem św. Styl nieco musiał ucierpieć na tem, na czem praktyczność ich zyskała, t. j. na uwydatnieniu zbyt jaskrawem szkicu kaznodziejskiego. Bądź co bądź, okazują te kazania talent wcale niezwykły i gruntowny.

Wśród drobniejszych wydawnictw kaznodziejskich przeważają mowy okolicznościowe, najpiękniejszą ich ozdobę stanowi „Mowa wypowiedziana przez ks. prałata Chotkowskiego w pięćdziesięcioletnią rocznicę śmierci ś. p. ks. Karola Antoniewicza“. Właściwością jej autora

to tło historyczne, a w spożytkowaniu jego na ambonie jest mistrzem. Nie przeciążając drobnemi faktami przedstawia rzecz jasno, interesująco, a jednak słuchacz widzi jej całość. Dar to zapewne niezwykły zastosować materyę historyczną do wymowy kościelnej, przecież każdy musi przyznać, że to słowo Boże, nie wykład świecki, że nie brak ani okrasy mowczej, ani jedności celu. Mowa ta nie tyle samą osobą ks. Antoniewicza się zajmuje, jak jego pracą misyjną zwracając uwagę słuchacza na owoce pracy w prawdziwej miłości bliźniego, z miłości Bożej płynącej.

O. Wacław Kapucyn zostawił kilka utworów kaznodziejskich okolicznościowych, a z tych i te dwa ostatnie: kazanie prymicyjne i na profesyi zakonnicy — będą nam one drogą pamiątką owego wewnętrznego, rzewną pobożnością z Bogiem połączonego, bo i to ich cechą, życia kapłana, patryoty. Tu działała głównie sama postać czcigodnego starca, jego żywe słowo pełne namaszczenia.

„Czem jest kapłan" ks. Edwarda Podolskiego w tej formie, jak dziś posiadamy właściwie ściśle już nie należy do ambony. Jest to wprawdzie kazanie wypowiedziane w archikatedrze lwowskiej z okazyi święceń kapłańskich, ale dużo rozszerzone i przerobione. Wszakże możemy z niego sądzić o sile porywającej gorącością wymowy, o ślicznym stylu kaznodziejskim, obfitym w zwroty krasomowcze, o treści budującej a ze wszech miar budzącej zajęcie, zdobnej umiejętnie erudycyą a mimo to opartej na Piśmie św. i Ojcach Kościoła. Na tle dziejów wykazuje kaznodzieja wzniosłe zadanie kapłana w społeczeństwie katolickiem, wskazując, czego spodziewa się Kościół i ojczyzna po młodych kapłanach.

Nie brakło nam i konferencyi religijnych. Na tem polu odznaczył się w ostatniej dobie przedewszystkiem ks. Antoni Szlagowski. Wydał już kilka ich seryi, z nich jedną mamy pod ręką: Wady i przymioty woli ludzkiej rozebrane na tle Męki Pańskiej w sześciu konferencyach pasyjnych. Rzecz ujęta w obrazach osób występujących w dziejach Męki Zbawiciela; są zaś te: 1) Słabość i moc, Judasz i łotr na krzyżu; 2) Nienawiść i miłość, Annasz i Paweł; 3) Zmysłowość i umartwienie, Herod i Magdalena; 4) Niewiara i wiara, Piłat i Nikodem; 5) Okrucieństwo i miłosierdzie, siepacze i niewiasty; 6) Obojętność i zapał, Longinus i Jan św. Układ więc konferencyi jasny: nie będzie tu wielu dowodów, nie będzie części i poddziałów, tylko studyum psychiczne występku i cnoty w charakterze danych osób i to trafnie jest uchwycone. W autorze tych konferencyi zespoliły się też

wszystkie dane dobrego kaznodziei: język piękny, nadzwyczaj obrazowy, wymowa obok żywości zwrotów krasomowczych bogata w figury, kontrasty i antytezy, łatwość inwencyi i układu. Lecz poza temi ozdobami pragnęlibyśmy widzieć w kaznodziei, zwłaszcza w tak poważnej materyi jak Męka Pańska, dużo uczucia i tego przejęcia udzielającego się wzajem słuchaczowi, pragnęlibyśmy nieraz pewnego zwrotu praktycznego do życia. Tego momentu autor dostatecznie nie wyzyskał, robi wprawdzie nieraz refleksyę moralną, ale w niej za mało wchodzi w życie i położenie słuchacza, dlatego po dość silnych kontrastach i antytezach wyglądają one jakby tylko assertum. Wpada przytem w pewną nienaturalność wyrażenia: niedługo, niedługo tu będzie popasał (str. 7), t. j. Judasz w gronie Apostołów, i wiele podobnych. Konferencya o zmysłowości i umartwieniu jest bardzo nierównomierna, o umartwieniu ledwo na końcu mamy wzmiankę. Obrał sobie wprawdzie autor formę konferencyi zostawiającą dużo swobody kaznodziei, ale ten przemawiając w kościele Bożym, w czasie tak poważnym, winien zawsze nawet w konferencyi upatrywać równie potężnego skutku religijnego dla słuchacza czyto w pouczeniu go w wierze czy w przyprowadzeniu do równowagi moralnej i do zdrojów Zbawicielowych. W tym razie forma, naszem zdaniem, ułatwia tylko kaznodziei dostęp do dusz zupełnie światowych, gdy cel zostaje zawsze jeden i ten sam. Mało słuchacza więc zachwycić, ale trzeba go podźwignąć i przyprowadzić.

Poza wymową ściśle kościelną, kaznodziejską mamy jeszcze kilka mów religijnych akademicznych na zebraniach. Taką jest „Ostatnie pięćdziesięciolecie“ przez ks. prof. A. Szlagowskiego, mowa wygłoszona w seminaryum warszawskiem z okazyi pięćdziesięcioletniego jubileuszu ks. arcyb. Popiela, bogata w styl i retorykę, treścią podniosła, wstęp do niej zwłaszcza może być wzorem dla przemawiających w podobnych okolicznościach. Więcej podobnych mów dostarczył nam srebrny jubileusz Pontyfikatu Leona XIII: tu należą dwie mowy ks. biskupa Karola Fischera miane w Przemyślu, ks. prałata Smoczyńskiego w Krakowie i ks. Wł. Makowca w Samborze. Wszystkie przedstawiają działalność Leona XIII. Ks. biskup Fischer dotyka ogólnej działalności papieża w pierwszej, w drugiej stosunku jego do Polski: odznaczają się prostotą i jasnością a jednak szlachetnością stylu, temi wybitnemi cechami wymowy dostojnego pasterza. Ks. prałat Smoczyński mówi o miłości Leona XIII do Polski i jego odwadze w bronieniu jej interesów. Mowę bogatą w szczegóły a zwroty literackie kończy podniosłym poematem: O Skało św. Piotra wykuta z granitu. Ks. Makowiec

dał nam wzór mowy ściśle akademicznej, a opracowaną starannie, dającą nam piękny obraz dzieł, których Leon XIII w służbie Kościoła i cywilizacyi dokonał w ciągu 25-letniego pontyfikatu.

Nie zapomnieliśmy i o przyswojeniu naszej literaturze także obcych wzorów, a dobór padł szczęśliwie na Segnerego i Ravignana.

Ks. profesor Górka przełożył *Quaresimale* Segnerego. Pierwszy raz ukazało się to dzieło w naszej literaturze a szczęśliwie. Samo imię Segnerego zaleca jego dzieło: jest ono chlubą i ozdobą włoskiego kaznodziejstwa. Kazania Segnerego uczą doskonałej argumentacyi, dostarczają wiele materyału zupełnie homiletycznie wyczerpującego i to dla nas główna z nich korzyść. Charakterystykę wymowy Segnerego, jego strony dodatnie i ujemne, żywot i cnoty przedstawił tłumacz zwięźle i jasno we wstępnej rozprawie. W tłumaczeniu opuścił gdzieniegdzie ustępy z dzisiejszym duchem kaznodziejskim nie licujące; tłumaczenie samo dał nam wierne i stylem polskim, jak w tłumaczeniu poprawnym.

Ravignana wyszły dopiero dwie konferencye apologetyczne, t. j. o charakterze Jezusa Chrystusa i o boskości nauki Chrystusowej. Nieprzeparta siła logiki, wiedza szeroka a gruntowna, dykcya poważna, wolna od próżności oratorskich — oto główne ich cechy. Będą więc one niejednemu w tym rodzaju kaznodziejstwa wzorem bardzo pożądanym.

Dodaćby można jeszcze wzmiankę o dwu mowach o Matce Najświętszej, jednego z najgłośniejszych współczesnych kaznodziejów francuskich, O. Stefana Coubé T. J. Kaznodziejstwo ojczyste otrzymało je za pośrednictwem kwartalnika *Sodalis Marianus,* któremu tłumaczenie ich ofiarował Karol hr. Scipio. Obydwa wypowiedziane na słynnych kongresach Maryańskich: Rycerze Najśw. P. Maryi, w Lyonie r. 1900, a Królowanie Maryi w niebie, na ziemi i w piekle, we Fryburgu szwajcarskim 1902 r. Z dwóch utworów trudno wprawdzie sądzić autora, ale zważywszy okoliczności i podniosłą chwilę i doborowego słuchacza, nie tylko z Francyi, ale z całego świata katolickiego, możemy być pewni, że wszystko co tylko mógł, tchnął w nie autor. Są one też tak pod względem treści świeżą myślą owianej, formy kaznodziejskiej przedziwnie wykwintnej, bogactwa zalet stylowych i retorycznych, jak ze względu na ducha Bożego i miłości serdecznej ku Bogurodzicy, a pożytek duchowny słuchacza, świadectwem jeśli nie geniuszu, to co najmniej wybitnie znakomitego talentu kaznodziejskiego. Obok tej ogólnej charakterystyki zaznaczyć możemy w nich: miłość kraju rodzinnego, umiejętność połączenia silnych wyrażeń i upomnień z szerokiem sercem

dla słuchacza. Wolne są nawet od tak częstej u Francuzów fantastyczności pomysłów i jakiejkolwiek maniery. Nic dziwnego, że O. Coubé nazywają kaznodzieją porywającym.

Oto rzut oka na ostatnie dni homiletyki u nas.

Ks. Jarosław Rejowicz.

O działaniach i dziełach Bismarcka. *Stanisław Koźmian.* Kraków. 1902.

W tem mnóstwie publikacyi, jakie pojawiły się o Bismarcku po jego zgonie we Francyi i w Niemczech, książka polskiego publicysty z pewnością nie znajdzie się na szarym końcu, lecz owszem odświeży sławę, którą Klaczko zdobył dla polskiego talentu publicystycznego szerokim horyzontem myśli, przenikliwością obserwacyi i subtelnością charakterystyki. Pod jednym względem w charakterystyce Bismarcka z pewnością Koźmian nie byłby prześcigniony, a może uchodziłby za niedoścignionego. Mamy tu na myśli szlachetny, godny historyka spokój, z jakim Koźmian uznał, ocenił i wszechstronnie przedstawił wielkość Bismarcka jako twórcy zjednoczonych Niemiec bez żadnej detrakcyi dla pokonanych przezeń przeciwników, owszem ze sprawiedliwem podniesieniem wszystkiego, co ich upadek objaśnia lub tłumaczy, co do Francyi nawet z żywą sympatyą dla wszystkiego, co mimo jej pogromu krzepić może otuchę, że pogrom ten nie pozbawił kultury wszechświatowej tak niezbędnego czynnika, jakim Francya nie tylko była w przeszłości, lecz pozostanie na przyszłość dla dobra tej kultury i ludzkości. Dla Niemców, nie znających granic w kulcie dla Bismarcka, a w dzisiejszem hakatystycznem zdziczeniu znęcających się w sposób niegodny narodu cywilizowanego nad wszystkimi, których Bismarck za życia nienawiścią swoją ścigał, więc w pierwszym rzędzie nad Polakami, byłaby to niespodzianka zawstydzająca — jeżeli tam o takiem zawstydzeniu myśleć można — gdyby poznać mogli, na jak wysokim piedestalu z aureolą geniuszu politycznego i z koroną patryotyzmu ustawił Bismarcka publicysta polski, i jak wypukle przedstawił publicysta ten wszystkie działania i dzieła żelaznego kanclerza na szerokiem tle dziejów współczesnych nie samych tylko Niemiec, lecz całej Europy. Tem większą byłaby ta niespodzianka dla Niemców, ile że nie mogliby tłumaczyć tego chłodnem traktowaniem krzywd, jakich polskość ze strony Bismarcka doznała. Koźmian bowiem łączy pogrom Francyi ściśle z klęskami sprawy polskiej, uważając rok 1863 za pierwszy krok niezdecydowanego Napoleona III na pochyłej drodze

ku upadkowi, a zarazem za pierwszy szczebel w wywyższeniu się Bismarcka, o wszystkich zaś ciosach wymierzonych przez Bismarcka na polskość mówi z głębokiem przejęciem i dobitnie. Oto np. jeden z licznych ustępów w tej mierze: „Bolesne wspomnienia łączyć się będą na zawsze dla Polaków z nazwiskiem Bismarcka. Był to wróg najzaciętszy ich bytu i narodowości. Nie tylko w polityce, w Kościele i w szkole, nie tylko banicyami i kolonizacyą polskość prześladował, ale chyba od rozbioru Polski nie było człowieka, któryby Polaków tak lżył, tak im urągał i ścigał ich nienawiścią, nie oszczędzając i polskiej niewiasty“ (str. 474). Rzecz naturalna, że przy takiej świadomości złowrogiego wpływu Bismarcka na losy społeczeństwa polskiego autor musiał się bardzo przezwyciężać, aby być sprawiedliwym w ocenieniu jego wielkości. Czytelnik może się jednak tylko domyślać, że tak było istotnie, bo sam autor wcale się z tem nie zdradza w całym toku swojego opowiadania, lecz dopiero zaznacza to w ostatnich wierszach książki temi słowy: „Kończąc pisać o Bismarcku, doznaje się ulgi. Albowiem mówiąc o nim, przyszło rozumowi staczać walkę z sumieniem“. Jak świetnie odbija ten przykład panowania nad uczuciami i poważnego spokoju ze strony publicysty polskiego wobec współczesnego szowinizmu niemieckiego, który tak opętał wszystkie umysły niemieckie, że mu oprzeć się nie zdołał nawet największy uczony, historyk i prawnik, blizko już dziewięćdziesięcioletni Mommsen!

Nie dla kontrastu samego, lecz dla związku rzeczy wypada nam zaraz po tej najświetniejszej stronie książki Koźmiana podnieść jej stronę najsłabszą. Co już niemile uderzało w poprzedniem wielkiem dziele Koźmiana („Rzecz o r. 1863“), to i w tem najświeższem występuje na jaw w formie może nie więcej rażącej na pierwszy rzut oka, ale za to w taki sposób, że dla krytyki złośliwej lub stronniczej otwiera się szerokie pole. Krótko mówiąc, książka Koźmiana nie stanowi dzieła z jednego odlewu, lecz kollekcyę szkiców wprawdzie przedmiotowo stanowiących całość, ale nie połączonych z sobą pod względem konstrukcyi literackiej w sposób nienaganny. Przedmowa, w której autor zaznacza, że książka jego stanowi pierwszy tom „prac i pism publicysty i dziennikarza, rozproszonych i zagubionych“, objaśnia ów błąd konstrukcyjny, ale go nie usprawiedliwia. Owe prace i pisma bowiem zostały w tej książce zestawione niezupełnie w pierwotnej formie, lecz, jak to widać w całym tekście, ze zmianami i uzupełnieniami. Można więc było pójść dalej w opracowaniu i pomyśleć o stworzeniu całości jednolitej. Autor tymczasem nie tylko nie zadał sobie

tego trudu, lecz nawet był nie dość oględnym w owych zmianach i uzupełnieniach, albo raczej w opuszczaniu tego, co w danej chwili, w artykule dziennikarskim mogło nie razić lub nawet mieć aktualne uzasadnienie, co jednak już w książce koniecznie opuścić należało. Tak np. w rozdziale o związku północno-niemieckim (str. 23) razi uwaga, że do pełnego obrazu tego związku autorowi (drukującemu książkę w r. 1902!) „brak materyałów i bliższej znajomości stosunków administracyjnych, ekonomicznych, wojskowych i finansowych". Albo weźmy ustęp o znanych wypadkach w Radzie państwa z r. 1897 (*lex* Falkenhayn). W danej chwili, w artykule dziennikarskim, uwaga ta, przypięta mechanicznie do uwag o walce Bismarcka z parlamentem pruskim, mogła uchodzić, powtórzona w książce o Bismarcku, nawet bez zastrzeżenia *si parva magnis comparare licet*, niemal wyzywa szyderstwo z Austryi i jej ówczesnego rządu, co pewnie nie leżało w zamiarach autora.

Wytknięcie tych błędów konstrukcyjnych wydało się nam koniecznem, żeby na karb ich położyć to, co w innym razie mogłoby być poczytane za błąd w samem ocenianiu działania i dzieł Bismarcka. Czytelnik bowiem widząc, że autor rozpoczyna dzieło swoje od roli Bismarcka w utworzeniu związku północno-niemieckiego, musi sobie najpierw zadać pytanie, czy to możliwe, aby taki publicysta, jak St. Koźmian, mógł w dziele o „działaniach" Bismarcka wysunąć na pierwszy plan dopiero ich późniejszą fazę, zamykającą się wprawdzie wielkiem, jeżeli nie największem „dziełem" żelaznego kanclerza, ale bynajmniej nie zaćmiewającą fazę pierwszą, okres walki z parlamentem pruskim i rządów bez budżetu, okres wielkich i decydujących przygotowań do wszystkich późniejszych dzieł i działań? Ta właśnie faza „działań" jest najciekawszą dla charakterystyki Bismarcka, a ważną, jeżeli nie najważniejszą dla zmierzenia wielkości „dzieł" jego. Wszakżeż wtedy właściwie wzniesiony został niewzruszony fundament dla wielkich Prus i zjednoczonych Niemiec.

Rzecz cała wyjaśnia się dopiero w końcowym rozdziale dzieła, właśnie owym błędem konstrukcyjnym. O tej pierwszej fazie działań Bismarcka pisał Koźmian dopiero w artykule, poświęconym po śmierci kanclerza ogólnej ocenie jego działalności. Artykuł ten wszedł w dzieło jako jego ostatni rozdział, związany z poprzednimi tylko węzłem, że tak powiemy, typograficznym. Zasłania on autora w oczach nieuprzedzonego krytyka przed zarzutem, jakoby go na tym punkcie zawiódł zmysł polityczny, jakoby oceniając pierwszą fazę działań Bismarcka

dopiero przy końcu, niejako tylko dla wypełnienia obrazu, dowiódł, iż nie objął ich doniosłości, ale wszystkich następstw błędu konstrukcyjnego już nie mógł naprawić. Czytelnik bowiem nie znający dokładnie historyi Prus i Niemiec z drugiej połowy XIX stulecia, mianowicie czytelnik, który należąc do młodszego już pokolenia, pamięcią nie obejmuje całej tej wielkiej epoki, odnieść musi z książki Koźmiana to wrażenie, że gwiazda Bismarcka weszła na horyzont historyczny dopiero razem ze związkiem północno-niemieckim.

Swoją drogą najlepiej na tem wyszedł Bismarck, gdyż obok niego w cieniu pozostali Roon i Moltke. Dopiero przy końcu książki mówi autor (str. 419): „Jednym z ważnych czynników pruskich powodzeń była zgodność trzech najznakomitszych w państwie ludzi: Roona, Moltkego i Bismarcka. Pierwszy stworzył i przygotował narzędzie wielkości Prus, armię, drugi je zastosował, trzeci zużytkował. Cel dopięty został w znacznej mierze dlatego, że oni zdążali do niego bez współzawodnictwa, bez zazdrości, wspierając się, nie szkodząc sobie. Rzadki w dziejach przykład".

Historya ugrupuje tych trzech twórców wielkości Prus i Niemiec nie tak, jak to uczynił publicysta piszący o Bismarcku w chwili, gdy jego towarzysze już dawno zeszli z widowni, a on, stojąc jeszcze na pierwszym planie świat cały wypełniał rozgłosem swojego geniuszu i trwogą swoich burzliwych pomysłów politycznych. Nie zdejmując wcale ze skroni Bismarcka wieńca olbrzymich zasług patryotycznych, ani nie zasłaniając aureoli jego geniuszu politycznego, historya w pierwszej, najgłówniejszej fazie wzrostu Prus postawi ministra wojny Roona i szefa wielkiego sztabu Moltkego w jednym rzędzie obok Bismarcka, który nie byłby się porwał do walki z parlamentem pruskim przed wojną duńską, gdyby nie miał był w „działaniach i dziełach" swoich towarzyszy, już wtedy w znacznej części dokonanych, rękojmi powodzenia. Także i cesarza Wilhelma I historya wysunie na pierwszy plan z tego podrzędnego niemal stanowiska, na jakiem go Koźmian postawił. Cesarz Wilhelm I był „fałszywym poczciwcem", który pod względem intellektualnym nie może być nawet porównywany ze swoimi wielkimi ministrami, ale posiadał przytem rzadką w świecie monarszym cnotę, którą powyższej wielkiej trójcy wojskowo-politycznej nie tylko ułatwił, lecz wprost umożliwił odegranie wielkiej roli dziejowej. Cesarz Wilhelm I z godną najwyższego uznania abnegacyą wprost podporządkował siebie pod tę trójcę i ponosił ciężkie nieraz ofiary ze swojego zdania a przedewszystkiem z dumy monarszej, aby tylko zachować

harmonię w tej trójcy. A nie była to rzecz łatwa, bo już z ogłoszonych dotąd zapisków pamiętnikarskich pokazuje się, że nieraz harmonia między przemożnym Bismarckiem a milczącym ale twardym w postanowieniach wojskowych Moltkem wisiała na włosku. Cesarz Wilhelm I był poprostu nieraz tyranizowany przez Bismarcka, a znosił to dla wielkości Prus i Niemiec.

Więcej Prusom niż Bismarckowi przypisuje Koźmian szczęście (str. 22), ów dla geniuszów militarnych i politycznych niezbędny czynnik powodzenia. Było to niezawodnie szczęściem dla Prus, że wydały szereg genialnych ludzi, nawzajem się uzupełniających w chwili, gdy w całej Europie przeważała mierność lub nawet nieudolność. Punktem kulminacyjnym tego szczęścia była Sadowa. Z niedawno ogłoszonych listów i pism Benedeka pokazuje się, że ten *generalissimus* austryacki dopiero przed samym wyjazdem na północny teatr wojny brał u kapitana sztabowego, a więc u swego podwładnego, na poczekaniu lekcye o wojskowej geografii Czech! A mimo to wszystko sam sztab pruski przyznawał, ze pod Sadową była chwila bardzo krytyczna. Mniej nieudolności ze strony austryackiego dowództwa, a karta Europy nie byłaby uległa zmianie i — nie byłoby tak wielkiego Bismarcka! Zresztą już nie tyle Prusy co Bismarcka faworyzowało szczęście w innych działaniach np. wtedy, gdy się tak zagalopował w walce z Kościołem, że go czekało wielkie upokorzenie, gdyby zmiana osób na Stolicy Apostolskiej nie była mu umożliwiła odwrotu upozorowanego racyą stanu. A stanowczo jest to już nie szczęściem Prus, lecz samego tylko Bismarcka, że dziś odwrót ten, stanowiący niewątpliwą klęskę, nawet Koźmian łagodzi, niemal upiększa temi słowy: „Nie danem było Bismarckowi w rozpoczętej walce działać choćby w imieniu protestantyzmu; musiał do końca prowadzić dzieło zniszczenia i podkopywania podstaw społecznych i jak tylu innych, dawszy popęd rzeczy, zostać przez nią porwanym lub zatrzymać się. I tu znowu podziwiać trzeba Bismarcka rozum i siłę woli; zapisać różnicę między nim a wielu innymi, którzy tych samych co on dosięgli wyżyn. I tu Bismarck zatrzymać się umiał; bez fałszywego wstydu; powiedziawszy, że nie pójdzie do Canossy, wszedł na drogę, prowadzącą do niej, odbył jej połowę, aż spotkał się z przejednanym przeciwnikiem. Już w r. 1878 Bismarck zmuszonym był w działaniach swoich wewnętrznych zbliżyć się, następnie oprzeć na konserwatystach oraz na stronnictwie katolickiem, centrum. Wskutek tego zwolna rozpoczął odwrót w wojnie religijnej. Minister Falk, twórca ustaw majowych, ustąpił. Na stolicy Piotrowej zasiadł nowy Papież

Leon XIII. Bismarck zaraz rozpoczął z nim układy; były one mozolne i trudne, przeciągały się. W r. 1880 nastąpiło pierwsze złagodzenie ustaw majowych. Bismarck prowadził rokowania o ostateczny pokój z nuncyuszem wiedeńskim, Jacobinim. Od roku 1880 ustawy majowe zostały stopniowo zmienione i rząd cofnął wiele rozporządzeń wydanych podczas walki. Pokój z Kościołem przywrócony, poseł niemiecki przy Ojcu św. mianowany został. Wreszcie Bismarck uwieńczył dzieło zgody w r. 1885, oddając pod sąd Papieża spór Niemiec z Hiszpanią o wyspy Karoliny. Była to w swoim rodzaju wspaniała niespodzianka, którą świat zadziwił" (str. 316). Prawda, że zadziwił świat, ale nie „rozumem i siłą woli", jak mówi Koźmian, lecz sprytem. Blizki kapitulacyi przed wyzwanym do walki światem katolickim Niemiec, przybrał pozę wrzekomo zmuszonego do walki przez Piusa IX, więc chętnego do zgody. A jak był blizkim bankructwa politycznego w tej walce, na to dowodem fakt, że się sumitował przed Leonem XIII, aby za jego wpływem przy ówczesnych wyborach pozyskać katolickie stronnictwo centrum.

Rozdział ten pisał autor w pierwszej chwili po powstaniu związku północno-niemieckiego, kiedy to za cesarzem Wilhelmem I każdy Niemiec nazywał Prusy z namaszczeniem „krajem bojaźni Boskiej i dobrych obyczajów". Szkoda, że autor ograniczył się w książce swojej tylko do zebrania drukowanych już artykułów, szkoda, że książki swojej nie zamknął świeżo napisanym rozdziałem, w którymby poziom moralny Prus i Niemiec z pierwszej fazy rządów Bismarcka porównany został z poziomem w chwili obecnej. Czterdziestoletni okres stanowi w życiu społeczeństwa krótką chwilę, a jednak jakie zmiany zaszły w tym czasie! Wprawdzie Bismarck na schyłku swoich rządów zapewniał solennie w parlamencie, że Niemcy nie boją się nikogo oprócz Boga, ale chociażby frazes ten miał stanowić szczere wynurzenie, to zawsze co do dobrych obyczajów musiałaby się była Koźmianowi nasunąć wątpliwość, jeżeli śledził bodaj w codziennych zapiskach dziennikarskich tak obfitą w ostatnich czasach kryminalną kronikę berlińską i wogóle niemiecką. Musiałby był niezawodnie stwierdzić fakt, że kraj „bojaźni Boskiej i dobrych obyczajów" już co najmniej nie wyróżnia się od reszty Europy tak, jak przed 40 laty w powyższem przedstawieniu. Przykładów nie przytaczamy, aby nie rozszerzać nadmiernie ram tego artykułu. Są to zresztą rzeczy świeże, dobrze znane i dobrze tkwiące w pamięci.

Czy z powyższej uwagi wypływałoby, że to obniżenie się po-

ziomu moralnego w społeczeństwie niemieckiem zapisać chcemy na rachunek rządów Bismarcka, a tem samem zarzucić Koźmianowi, że w rachunku tym pominął wielką pozycyę bierną? Tak jest rzeczywiście do pewnego stopnia. Za to zepsucie obyczajów, za to obniżenie poziomu moralnego w stosunkach prywatnych, które, jak historya na każdym kroku stwierdza, bywa następstwem pychy i oszołomienia po nadzwyczajnych powodzeniach, nie można oczywiście samego Bismarcka uznać odpowiedzialnym, chociaż nieszczęśliwy Napoleon III odpowiadać musi w historyi jako wrzekomy demoralizator Francyi za wszystko, co bez jego przyczynienia się zawiniło samo francuskie społeczeństwo, upojone pierwszymi wielkimi tryumfami wojennymi drugiego cesarstwa. Ale Bismarck był istnym demonem, siejącym demoralizacyę w zakresie stosunków międzynarodowych, państwowych, wogóle publicznych, a z jego posiewu wyrastać musiały chwasty, zanieczyszczające całą niwę społeczną. Zawsze niestety kredyt miała teza, że w polityce nie mają zastosowania nawet fundamentalne prawidła etyczne, że polityka kieruje się własną moralnością, w której korzyść stanowi motyw kierujący, skutek osiągnięty sankcyą nieodwołalną dla dowolności w wyborze środków, a siła rękojmią trwałości dzieła. Kiedy jednak dawniej bodaj w świecie naukowym śmiało wychylała się negacya tej tezy i dążność do poddania polityki bodaj pod kardynalne przykazania etyczne, to obecnie, po przyjęciu się posiewu Bismarckowskiego, za nieuleczalnego ideologa uchodzić musi pisarz, broniący takiej dążności Jakim cudem zaś w życiu społecznem polityka mogłaby być tak hermetycznie oddzielona od innych zakresów działania społecznego, żeby jad demoralizacyi prędzej lub później i tam się nie wcisnął, tego nie wyjaśnili dotąd obrońcy podwójnej etyki.

Po chwilowej rozłące zbliżamy się już teraz do stanowiska, zajętego przez Koźmiana. I on bowiem, chociaż na każdym kroku tak uwielbiający wyższość Bismarcka w całym świecie współczesnym, tak olśniony jego geniuszem, tak wreszcie wstrzemięźliwy w wyborze słów dosadnych na potępienie gwałtów i przewrotności żelaznego kanclerza, nie zawahał się nazwać go „najniesumienniejszym mężem stanu“ współczesnej doby (str. 281). Niesumiennem było wyzyskiwanie napoleońskiej zasady narodowości przy równoczesnem proklamowaniu zagłady narodowości polskiej, niesumiennem było wyprowadzenie Austryi w pole po kampanii duńskiej, niesumiennem było wogóle kolejne wyprowadzanie w pole wszystkich sprzymierzeńców zewnętrznych i wewnętrznych wśród walk parlamentarnych. Ale na tem nie koniec. W długiej

karyerze swojej Bismarck dokonał aktów, co do których powyższa kwalifikacya moralna jest za łagodna. Takim aktem jest owo słynne tajne porozumienie się z Rosyą poza plecyma Austryi *(Rückversicherung)*, a jeszcze więcej słynne przekręcenie znanej depeszy emskiej, nadanie jej takiego brzmienia, że wybuch wojny z Francyą stał się nieunikniony. Było to już proste fałszerstwo, pod względem moralnym zupełnie równe sprawkom, które w życiu prywatnem kodeks karny piętnuje nazwą oszustwa. Prawda, że pod tym względem Bismarck miał wielkiego ukoronowanego poprzednika, „starego Fryca", który w swoim czasie fałszywą monetą zalewał Polskę, ale i to nie zmienia moralnej cechy aktów. Fałszerze monet i fałszerze dokumentów stoją moralnie na równi.

W upadku charakter Bismarcka okazał się małym, jak przyznaje sam Koźmian, podnosząc jego dąsanie się na cesarza Wilhelma II, jego podjazdową walkę dziennikarską przeciw swoim następcom w urzędzie i t. p. Gdyby Bismarcka usunął był cesarz Fryderyk, to takie zachowanie się po dymisyi możnaby było nazwać wprost nikczemnem. Wobec Wilhelma II jednak Bismarck zasłużył na sąd pobłażliwszy, bo widok młodego niedoświadczonego monarchy, rwącego się do władzy z autokratycznemi zachciankami, jak dziecko do łakoci, i folgującego niepowściągliwej pasyi do oratorskich popisów, jakby jaki kandydat na posła wśród kampanii wyborczej, mógł długoletniego doradcę, niemal mentora poważnego i umiarkowanego Wilhelma I, wyprowadzić z równowagi.

W każdej fazie działalności Bismarcka poświęcił Koźmian sprawom Poznańskiego, sprawie polskiej wogóle, uwagi, które należą do najświetniejszych rzeczy w tej książce. Składają się one na pełny obraz tak niezmiernego naporu eksterminacyjnej dążności systemu pruskiego wogóle, a Bismarckowskiej polityki w szczególności, jak i wielkiej siły odpornej polskości, zahartowanej w zwycięsko stoczonej walce kościelnej, w t. zw. *Kulturkampf'ie*. Głębokim, trafnym, a zarazem na przyszłość otuchę wzbudzającym jest pogląd Koźmiana na poczucie polskości w ludzie wielkopolskim (str. 39—40).

Długie rządy Bismarcka stanowić będą w historyi polskości historyczny dowód jej niespożytej siły. W cztery lata po śmierci największego, najpotężniejszego i najbezwzględniejszego wroga narodu polskiego, cesarz Wilhelm II w oczach całej zdumionej Europy wezwał uroczyście całe społeczeństwo niemieckie do walki z „butą polską", a następca Bismarcka, kanclerz Bülow z berlińskiej trybuny parlamen

tarnej uznał sprawę polską za najważniejszą ze spraw prusko-niemieckich, za niebezpieczeństwo dla Niemiec.

Pomnik, który hakatyści wzniosą Bismarckowi w Poznaniu na znak, że jego polityka antipolska ma być niewzruszonym punktem w programie politycznym Prus i Niemiec, będzie zarazem wspomnieniem bezsilności tej polityki, dopóki społeczeństwo polskie w Poznańskiem wytrwa na dotychczasowej drodze odporu. Jeżeliby Polakom kazano przyczynić się do uświetnienia pomnika jakim napisem, to najwłaściwszym byłyby pamiętne słowa Starowolskiego: *Fortuna variabilis — Deus immutabilis!*

Dr. Bronisław Łoziński.

Zarys pojęć o narodzie. Opracował *I. Snitko (Stanisław Herburt Heybowicz).* We Lwowie. Nakładem autora. 1901.

Poważne, głęboko przemyślane, a starannie i na wskróś samodzielnie opracowane to dzieło naukowe, jak wszystkie u nas prace tego rodzaju, przeszło dość niepostrzeżenie, gdy przed dwoma laty po raz pierwszy się pojawiło, i dopiero w roku bieżącym doczekało się szerszego uznania. Spóźnione jednak to uznanie nie jest za późne. Wymienione dzieło posiada doniosłą i trwałą wartość naukową i jako takie nie tylko w ciągu dwóch lat, ale także w ciągu nierównie dłuższych okresów czasu na wartości swej stracić nic nie może, a tem godniejsze jest uwagi, że stanowi owoc całożyciowej pracy swego autora, który zmarł nagle na krótko przed wydaniem ukończonego dzieła i tylko kilka dłuższych z niego ustępów drukował przedtem w czasopismach galicyjskich.

Wydane zostało to dzieło tak, jak je zmarły autor do druku przygotował z pseudonimem I. Snitko na karcie tytułowej — obecnie wszakże słusznem jest dać poznać rzeczywiste nazwisko zasłużonego pracownika, którego śmierć nagła w sile wieku i w pełni działalności przez anewryzm serca spowodowana, niepowetowaną jest dla nauki naszej stratą. Ś. p. Heybowicz, oddany jej z wielkiem zamiłowaniem, pracujący sumiennie i wytrwale bez widoków korzyści materyalnej, ani sławy rozgłośnej, był rzadkim typem badacza i myśliciela, przejętego idealnemi zadaniami wiedzy i w nich czerpiącego jedyną pobudkę swej działalności.

Odznacza się dzieło to tem przedewszystkiem, że zapełnione jest treścią bardzo oderwaną, rozwiniętą z nieposzlakowaną przedmiotowością naukową, a jednak jak najściślej złączoną z bieżącą praktyką

życia i z najżywotniejszemi jej zagadnieniami, na które może wiele rzucić światła.

Sam tytuł dzieła dobitnie uwydatnia o co w niem chodzi. Chodzi w niem o wyjaśnienie panujących obecnie pojęć o narodzie przez ukazanie stopniowego ich kształtowania się i rozwoju. Takie ujęcie przedmiotu w historycznem jego oświetleniu w naszej literaturze naukowej stanowi zupełną nowość, a sądzę, że i w nauce ogólno-europejskiej niewiele możnaby wskazać badań w tym zakresie na szerszą przeprowadzonych skalę.

Oczywistem jest, że podejmując przedmiot tak rozległy i zawiły a naukowo dotąd mało opracowany, nie mógł go autor wyczerpać; dał nam tylko jego zarys, który określił w przedmowie, jako początek badań w tym kierunku. A jasną jest rzeczą jak doniosłe i żywotne znaczenie mają takie badania w epoce obecnej, napełnionej wzmagającemi się wciąż i często srożącemi się tak dziko we wszystkich społeczeństwach europejskich dążeniami nacyonalistycznemi, które polityka państw współczesnych podnieca sztucznie, aby przy ich pomocy zaprowadzić tak pożądaną dla niej mechaniczną jednostajność w zbiorowem życiu ludzkiem.

Owóż Heybowicz postawił sobie za zadanie oświetlić należycie podobne dążenia i przeciwstawić im „naturalne poczucie swobody, należnej każdej jednostce w rzeczach jej moralnego rozwoju, niekrępowanego przymusem nakładanym w imię rzekomych interesów tej lub owej warstwy społecznej".

To jest zasadniczy punkt widzenia autora, bardzo wyraźnie na wstępie zaznaczony, niewykluczający wszakże bezstronnego i przedmiotowo-historycznego ujęcia przedmiotu. Rozpoczyna on swój przegląd pojęć o narodzie od zamierzchłej starożytności, ale poświęca jej niewiele miejsca — tylko pierwszy rozdział swego dzieła. Starożytność nie wyrobiła, nie uświadomiła sobie pojęć o narodzie, jako o samoistnej i odrębnej zbiorowości społecznej; znała tylko państwo, gminę, plemię i t. p. objawy życia zbiorowego, z których stopniowo wyłaniał się byt narodowy, jako wynik dokonywającego się rozwoju. Zadanie badacza polegało tu na rozpoznawaniu i śledzeniu warunków tego rozwoju w ich różnych stosunkach i przejawach. W pierwszym rozdziale swego dzieła autor dokonywa tego w zastosowaniu do ludów starożytnego Wschodu oraz świata klasycznego. To samo w gruncie rzeczy zadanie ma drugi rozdział dzieła, zajmujący się badaniem rozwoju i wyrabiania stosunków narodowościowych na tle cywilizacyi średniowiecznej i nowo-

żytnej różnych krajów europejskich. Autor poświęca szczególną uwagę tym stosunkom w Polsce i w Anglii ze względu na wczesne wytworzenie się w tych krajach swobód publicznych, umożliwiających tem wyraźniejsze wystąpienie dążeń narodowych. Bliższem określeniem istoty tych dążeń oraz związanych z nimi pojęć narodu i ludu kończy się ten drugi rozdział dzieła, stanowiący wraz z pierwszym wstęp do właściwego przedmiotu.

Rozwija się on w całej pełni w rozdziale trzecim, który nas wprowadza na widownię polityczną XIX wieku, tej uprzywilejowanej epoki kształtujących się dążeń narodowych, oraz pojęć o nich, coraz szerzej uświadamianych w masach społecznych. Jako głównego przedstawiciela postępu w tym kierunku bierze Heybowicz słynnego myśliciela i patryotę niemieckiego Jana Bogumiła Fichtego, który swemi słynnemi „Mowami do narodu niemieckiego" *(Reden an die deutsche Nation)* wypowiedzianemi w Berlinie w zimie 1807/8, podczas gdy całe Niemcy ujarzmione były przez Napoleona, pobudził skutecznie patryotyzm swych współrodaków i stał się jednym ze sprawców późniejszego powstania narodowego. W obszernym rozbiorze tych mów wykazuje nasz autor ujawniające się w nich z jednej strony szlachetne porywy duchowych pragnień narodu, z drugiej wygórowane zapędy samolubstwa narodowego, które następnie w Niemczech tak wszechwładnie miało zapanować.

Rozdział czwarty zajmuje się politycznym rozwojem idei narodowościowej przed r. 1848 z uwzględnieniem szczególnem stosunków belgijskich i austryackich z powodu wyjątkowego w nich tej idei znaczenia. W rozdziale piątym zapoznaje nas autor z pojęciami i teoryami bardzo mało znanego myśliciela węgierskiego Eötvös'a, godnego ze wszech miar uwagi, tak ze względu na znamionującą go podniosłość i swobodę myśli, jako też z powodu wielkiego wpływu, jaki jego idee wywarły na późniejszy rozwój autonomiczny państwa austryackiego.

Rozdział szósty daje nam przegląd stosunków politycznych i społecznych, jak one się rozwijały po r. 1848 pod wpływem idei narodowościowej, poczem w następnych rozdziałach zwraca się autor do objawów tej idei w życiu umysłowem ludów europejskich: w ich nauce, literaturze i poezyi.

W przeglądzie różnorodnych prac i dzieł tej treści, zapełniającym trzy kolejno po sobie następujące rozdziały: 7, 8 i 9 okazuje Heybowicz godną podziwu erudycyę i skrzętną zabiegliwość, z jaką uwzględnia nie tylko znaczniejsze dzieła odpowiedniej treści we wszystkich

prawie językach europejskich, ale także wszelkie różnojęzyczne, niekiedy drobne rozmiarami i ukryte w foliałach prasy czasowej studya, rozprawy lub artykuły, mogące rzucić jakiekolwiek światło na badany przedmiot. Oczywiście najobszerniej i najbardziej wyczerpująco uwzględnioną jest w tym przeglądzie literatura polska (w rozdziale ósmym), którą autor nasz nie tylko zna i pojmuje dokładnie, ale także odczuwa głęboko w jej najistotniejszych dążeniach z idei narodowościowej wynikłych.

Z tych dążeń i tradycyi swojskich, w utworach naszych wielkich poetów i myślicieli rozwiniętych wysnuwa Heybowicz w ostatnim, 10-tym rozdziale swego dzieła wnioski o współczesnem zagadnieniu narodowościowem, pojętem przezeń w duchu szczerze humanitarnym i chrześcijańskim w przeciwieństwie do tak jaskrawo występujących ostatnimi czasy prądów tak zwanych nacyonalistycznych, będących oczywistem zaprzeczeniem wszelkich pojęć o narodzie, na gruncie chrześcijańskim opartych. Heybowicz nigdy tego gruntu nie opuszcza, zgodnie z całą naszą tradycyą narodową potępia stanowczo ów nowoczesny pogański nacyonalizm, a wszelki patryotyzm pojmuje i odczuwa w najściślejszym jego związku z chrześcijaństwem. Wobec szerzących się u nas obecnie zasad antychrześcijańskiej „etyki egoizmu narodowego“ sumienna i gruntowna praca przedwcześnie zgasłego myśliciela-patryoty tem bardziej zasługuje na uwagę i bardzo w porę się pojawia.

W. Gostomski.

Najnowsze prądy w poezyi naszej. *Piotr Chmielowski.* (*Wiedza i życie,* rok II, tom VI).

Dramat polski doby najnowszej. *Piotr Chmielowski.* We Lwowie. 1902.

Traktujemy obydwa pisma razem, bo one razem mogą stanowić jedną całość, uzupełniają się. Jest im też wspólna indywidualność ich autora, która musi wyglądać z poza wszelakich objektywności; wspólny punkt, z którego się patrzy na zjawiska literackie; wspólna metoda.

Poetów polskich doby ostatniej Chmielowski dzieli na poetów szukających nowych ideałów narodowych, piewców pesymizmu i wyznawców „sztuki czystej“. W pierwszej grupie omawia dzieła Konopnickiej, M... skiego, Nowickiego, Kasprowicza i Niemojewskiego; pesymistą jest Tetmajer; w grupie trzeciej wyróżnia znowu „symbolistów i wirtuozów słowa“ (Przesmycki, Lange), „intuicyonistów i nastrojowców“ (Żuławski, Jankowska, Sterling) i „indywidualistów krańcowych“ (Przybyszewski). Czytelnik patrzy z lekkiem podniesieniem

brwi na ten podział i na te przykłady. Z zaniepokojeniem widzi tutaj imiona Jankowskiej i Sterlinga, ma się w pierwszej chwili za ignoranta, że o tych typowych przedstawicielach intuicyonizmu i nastrojowości dotąd nie wiedział prawie nic, i że wogóle nie przypuszczał, jakoby ich można na seryo zamieszczać w dziele, poświęconem charakterystyce prądów. Dziwi się też nie mało, że brak tutaj wielu imion, więcej ważących od pani Jankowskiej i Sterlinga, a przedewszystkiem, że brak tu Asnyka; tom czwarty Asnyka, bardzo różny od poprzednich, wyszedł w r. 1894, więc wchodzi w ten okres czasu, o którym autor się rozpisuje. Podział zaś ogólny nie ma jednej zasady; symbolizm, nastrojowość, to przecież właściwości techniki, indywidualizm i intuicyonizm właściwości i kierunki myśli. Jest więc podział taki sam, jak gdybyśmy ludzi dzielili na blondynów i wesołych. Inna rzecz, że w związku z pewnymi kierunkami umysłów idą pewne kierunki techniki pisarskiej; ale naprzód w zasadzie podziału mieszać tych rzeczy w każdym razie nie należy, a powtóre ten związek należało nam pokazać, czego autor nie robi.

A w drugiem piśmie, o dramacie, jaki jest podział? Bo Chmielowski musi rzecz podzielić na drobniejsze części, z których każda dostaje odpowiedni tytuł. Otóż w dziele o dramacie po Wstępie następuje: 1. Sposępnienie nastroju. 2. Allegorya, symbol i cudowność w dramacie. 3. Realizm psychologiczny w zobrazowaniu społeczeństwa. 4. Umysłowość młodzieży odbita w dramacie. 5. Taniec miłości i śmierci. 6. Fantazya ponad wszystkiem. W tym podziale, przyznaję skruszony, jeszcze mi się trudniej wyznać, niż w pierwszym. Są to wszystko rzeczy nie trzymające się razem, nie złączone z sobą organicznie, jedynie łączą się zewnętrznie, mechanicznie, tem, że wszędzie jest mowa o dramatach.

Podziałów tych autor trzyma się bardzo ściśle, co dowodzi wprawdzie konsekwencyi, ale nie przynosi książkom pożytku. Bo tym sposobem pod rozdziałem „nastrojowcy“ znajdziemy Jankowską i Sterlinga, ale nie znajdziemy najwybitniejszego z nastrojowców, Tetmajera, bo ten musiał pójść do szufladki z napisem: pesymizm; w nawiasie mała uwaga: czy większa część czwartej seryi Tetmajera istotnie tutaj należy? chyba takie naprzykład *Qui amant* jako żywo nie! Wyspiański rozrzucony jest po różnych miejscach „Dramatu“ — czy takie rozrzucenie pomaga do lepszego zrozumienia dramatu polskiego doby najnowszej, albo do zrozumienia poety, to chyba wielkie pytanie.

Obydwa te podziały, czysto mechaniczne, odpowiadają dobrze

temu faktowi, że obydwa dzieła, o których mówimy, nie są tem, co mówią ich tytuły. To jest wielkie słowo „najnowsze prądy w poezyi naszej"; wielkie także „dramat polski doby najnowszej". Wielkie dlatego, że jeżeli w tytule słyszymy o prądach w poezyi, to chcielibyśmy widzieć w książce obraz tych prądów, ich początek, rozwój, ich wzajemne na siebie oddziaływanie, krzyżowanie się i przenikanie, chcielibyśmy, aby nam te prądy pokazano, wyjaśniono. Zamiast tego znajdujemy streszczenia myśli pojedynczych poetów. Prawda, są też ustępy tłumaczące, objaśniające: to rozdział pierwszy p. t. „modernizm a romantyzm", i pierwsza część rozdziału o pesymizmie. Essencyą porównania modernizmu z romantyzmem jest zrzędzenie na modernizm i modernistów, pokazywanie, że jest on niższy i gorszy od romantyzmu, w czem bez wątpienia wiele słuszności. Jedyną naukową zdobyczą z tego rozdziału jest pokazanie podobieństw między romantyzmem a modernizmem, dokonane jednak w sposób za mało głęboki i za mało objektywny. Jeżeli czytamy tytuł „Dramat polski doby najnowszej", to sądzimy, że w książce znajdziemy istotnie dramat polski doby najnowszej, jego związek z dramatem zachodnim, jego cechy w porównaniu z dramatem polskim doby dawniejszej, jego historyę, o ile tu można mówić o historyi, ewolucyę, czy ewolucye tego dramatu. Tego w książce nie znajdujemy — znajdujemy rozbiory pojedynczych dramatów, absolutnie nic więcej. Żadne z tych dwóch dzieł nie jest organiczną całością i żadne nie jest przedstawieniem, obrazem całości. W pierwszem nie widzimy prądów naszej najnowszej poezyi, w drugiem całości dzisiejszego naszego dramatu.

Ale jeżeli niema całości, to mogą jednakże być części i mogą być przedstawione doskonale? Innemi słowy: kierunków, prądów Chmielowski nie scharakteryzował, ale za to może tem lepiej ukażą się obrazy osobistości, indywiduów, albo wreszcie znajdziemy doskonałe rozbiory i spostrzeżenia nad pojedynczemi dziełami?

Tutaj, zaznaczmy odrazu, dzieło o dramacie ma wartość znacznie większą od pisma pierwszego. W dziele o najnowszych prądach w poezyi naszej, autor po określeniu modernizmu i jego podobieństwa do romantyzmu przechodzi rzekomo do kreślenia obrazu różnych kierunków. W rzeczywistości jednakże bierze jednego poetę za drugim i opowiada nam treść jego poezyi. Pokazuje, co ten poeta myśli. Dotąd jeszcze nic złego, boć przecież i to wiedzieć należy. Ale ponad to streszczenie myśli, autor od siebie nic nie dodaje. A raczej nie — dodaje, ale nie to, czegobyśmy się spodziewali. Autor polemizuje z poetami, wychwala

lub gani ich myśli, wykazuje ich pożyteczność lub szkodliwość. Zgoda na to, wiele też uwag, potępiających pesymizm lub rozwyzdrzenie „nagiej duszy“ bardzo trafnych, ale w ocenie poezyi i poety obok odpowiedzi na pytanie: co ten lub ów poeta powiedział? równie ważnem (dla mnie osobiście ważniejszem) jest pytanie: jak powiedział? Przecież dwóch poetów może wypowiadać te same myśli, ale że każdy z nich inaczej, przeto portret każdego z nich będzie inny. Więc krytyk, historyk literatury najpierw powinien dać odpowiedzi na te dwa pytania (nie potrzebuję dodawać, że to: jak? nie znaczy tylko, czy pięknie, czy nie), bo dopiero przez to może w umyśle czytelnika powstać obraz poety. Dopiero teraz, ale nie wcześniej, może, jeśli chce, z tym poetą polemizować, chwalić jego myśli lub ganić. Chmielowski tego nie robi — opowiada tylko, co ten lub ów poeta powiedział; na pytanie: jak? nie daje zgoła odpowiedzi (nie uważam za taką odpowiedź przygodnych, a nic nie mówiących: pięknie napisane, ileż prostego wdzięku i t. d., kołyszą nas łagodnie do marzeń — i t. p.). Z tego zaś skutek taki, że te postaci poetów nie odznaczają się właściwie niczem osobistem, niczem własnem. To jakieś automaty do wygłaszania takich a takich zapatrywań, poglądów na „wyniki wiedzy doświadczalnej“, na upojenia i męty w puharze i pojednanie, na melancholię, smutek, zniechęcenie, ale nie indywidua żyjące, nie jednostki, obdarzone rysami własnymi. Stąd też pochodzi, że w „Najnowszych prądach“ nie znajdziemy nigdzie należytego określenia artystycznej wartości poetów — Sterling i Jankowska wydają się takimi samymi wzrostem, jak Kasprowicz lub Konopnicka. Nie ma żadnego ustosunkowania wielkości i piękności.

Rozbiór wyłącznie myśli poety prowadzi oczywiście do tego, że się większą sympatyą obdziela tych, których poglądy zbliżają się do naszych i odwrotnie — proszę porównać pobłażliwość i sympatyę wobec Żuławskiego z surowym sądem, pod którym widoczna niechęć, wobec Rydla (w „Dramacie“). Stąd też przecenienie takiego np. Niemojewskiego. Konia z rzędem temu, kto (nie powodując się sympatyami społecznemi) wynajdzie w poezyach Niemojewskiego jeden piękny, prawdziwie artystyczny utwór, kto znajdzie w nich poezyę; są to może rymowane programy społeczne, rymowane artykuły dzienników mocno postępowych, ale nie poezya. Przy sposobności mała uwaga: poeci szukający nowych ideałów n a r o d o w y c h według autora, to wyłącznie społecznicy, szukający (nowych—nienowych) ideałów s p o ł e c z n y c h; można oczywiście i te ideały podciągnąć pod kategoryę narodowych, przeciw temu nic nie mówię, możnaby tylko żądać od autora, aby

w przedstawieniu rzeczy ten właśnie moment więcej podkreślił, więcej zaakcentował, a wtedy i sam kierunek stanie przed nami w świetle prawdziwszem i wyraźniejszem. Poetą, szukającym nowych ideałów narodowych, jest obecnie tylko Wyspiański; inni do tego bardzo gór nego nazwania prawa nie mają.

Tyle o „Najnowszych prądach". Z przykrością prawdziwą odkładam książkę, która tytułem obiecywała wiele, a dotrzymała bardzo ale to bardzo mało. Trzeba będzie obrazu najnowszych prądów w poezyi naszej poszukać gdzieindziej.

Przejdźmy teraz do „Dramatu". Już poprzednio zaznaczyliśmy, że to pismo ma większą od pierwszego wartość, i przy tem zdaniu zostajemy. Jest też to pismo cokolwiek inne; zdaje się, jakgdyby przeciąg czasu między „Najnowszemi prądami" a „Dramatem" wpłynął nieco na złagodzenie sądu autora o nowej poezyi. Zaletą dzieła ostatniego jest jego wielka dokładność, mamy w niej przegląd i rozbiór wielkiej ilości dramatów najnowszej doby, z podaniem dat, co może późniejszemu krytykowi, piszącemu o tej samej rzeczy, ułatwić zadanie. Podana też jest niemal wszędzie treść utworów.

Do tego jednak, ażeby zadowolić wymaganie, jakie stawiamy dziełu, pojętemu na szersze rozmiary, „Dramatowi" bardzo daleko. Już powiedzieliśmy, że dzieło to nie daje obrazu dramatu naszej doby, jako całości, widzimy w niem przesuwające się przed naszemi oczyma sylwetki pojedynczych dramatów, ale z poza nich nie wyglądają ani portrety ich twórców, poetów, ani rozwój całego dramatu. Ogólne spostrzeżenia (wsunięte zresztą niezbyt właściwie pod napis „Sposępnienie nastroju") nie są wystarczające i nie wnikają głębiej w istotę rzeczy, pomimo uwag o dramacie starogreckim i misteryach średniowiecznych, Maeterlincku i Ibsenie.

W ocenach pojedynczych dzieł są podobne właściwości, co w pierwszem piśmie. Prawda, że tu na artystyczne właściwości autor większą już zwraca uwagę. Ale dzieje się to raczej formalnie: po rozbiorze treści dramatu autor dodaje parę uwag o fakturze, o poetyczności figur i t. p. Artystycznej wartości za punkt wyjścia nie wziął — stąd na kartach „Dramatu" przewija się tyle powiedzmy po prostu śmieci, tyle efemeryd, które jednego dnia nie przeżyły, że ze zdumienia nie możemy wyjść, aby autor poważnie rzecz pojmujący, tak był niewybredny. Sympatye i antypatye autorskie tem więcej się tu uwydatniają, im większą ilość dzieł autor omawia. Niemojewski,

Feldman — to wielcy dramaturgowie według Chmielowskiego. Nie zazdrośćmy odkrycia.

Chmielowski z uporem, godniejszym lepszej sprawy, zajmuje się ciągle literaturą nowszą i najnowszą. Nie jest to jego teren. Ten leży gdzieindziej — a to na innem miejscu będę miał sposobność udowodnić.

Dr. St. Dobrzycki.

Z piśmiennictw obcych.

Notre devoir sociale. Questions pratiques de morale individuelle et sociale. *L'abbé Naudet.* Paris. Ernest Flammarion.

„Kwestya socyalna — to kwestya piekąca, to kwestya na czasie, to kwestya najważniejsza!" — słychać na wszystkie strony. Jedni tak, drudzy inaczej, ale mnóstwo stara się ją zbadać, określić i, jeśli się uda, rozwiązać. Nic też dziwnego, że wśród wierzących i gorących synów Kościoła spory szereg mężów pióra i czynu stara się wprowadzić w życie zasady Ojca św. Leona XIII, wygłoszone światu w encyklice *Rerum novarum*. W wiekopomnej tej odezwie do wiernych Kościoła wielki papież poruszył śmiało kwestyę socyalną, określił ją i dał podstawowe wskazówki do jej rozwiązania. W szczegóły wchodzić nie mógł, to też zostawił szerokie i obszerne pole działania dla ludzi dobrej woli. On otworzył źródło prawd płynące szerokiem korytem, z którego inni czerpać mają światło i zapał, aby poszczególne warunki społeczne bliżej oświecić lub płynące z nich wnioski do poszczególnych zastosować potrzeb.

Dzięki Bogu na wysiłkach, nieraz już skutkiem uwieńczonych, nie brak (np. *Le Pape, L'église et la question sociale*). Ale skierowanemi one były w jednym przeważnie kierunku, mianowicie w określeniu lub stosowaniu udziału, jaki w reformie społecznej przypada na państwo. Bardzo mało kto zajmował się zastosowaniem tychże zasad do życia jednostek. One co prawda reformy całkowitej same przeprowadzić nie mogą, ale mogą m n i e j l u b w i ę c e j zmniejszyć albo zwiększyć równowagę społeczną na korzyść lub niekorzyść „cierpiących maluczkich". Człowiek nie tylko za siebie odpowiadać będzie przed Panem Bogiem, ale i za tych wszystkich, z którymi się stykał i na których wpływ wywierał. Większość nawet dobrych i pobożnych katolików zapomina

o tem ostatniem i nieraz bez wiedzy i wbrew swej woli dopuszcza się krzyczących niesprawiedliwości.

Ks. Naudet, redaktor pisma *La justice sociale* postawił sobie za zadanie oświecać w tym kierunku wiernych a obecnie szerzone przez się zasady zebrał we wspomnianej książce. Pisze jasno, poglądowo i z właściwą Francuzom zdolnością trafienia w samo sedno rzeczy bez rozwlekłych przygotowań i niepotrzebnego rozwiązywania sprawy. Niejedna poruszona przez niego kwestya postawiona w formie listu z odpowiedzią, rozmowy lub przykładu od razu jest zrozumianą i rozwiązaną. Zaczyna ks. Naudet od uzasadnienia tej prawdy fundamentalnej, że każdy z nas jako człowiek ma nie tylko prawa ale i obowiązki, i że kto wyżej się znajduje na szczeblach drabiny społecznej, ten ma tem większe obowiązki. Stąd wielkie niebezpieczeństwo bogactw, sformułowane w owych wstrząsających słowach Zbawcy: „Biada wam bogaci!“ Nie są one potępieniem ale współczuciem nad tymi, co mając wielkie obowiązki, mało albo nic o nich nie myślą i stąd nędznie zginąć muszą.— Prawdziwie po mistrzowsku rozwija ks. Naudet pogląd Kościoła na bogactwo i zbytek, ciągnąc z niego zdrowe i praktyczne uwagi dla tych, co są bogatymi a chcą „zbawić siebie“.— Powinni uważać siebie za sługi sług Bożych, za szafarzy dóbr mających służyć nie tylko pojedynczym wybranym jednostkom, ale wszystkim ludziom. Dlatego też gromadzenie ogromnych fortun w rękach jednostek jest niesprawiedliwością najczęściej w sposobie ich nabycia, a najbardziej w sposobie użycia. Co ich wzbogaca, zubaża tysiące innych.

Dalej nasz autor stawia sobie pytanie: czy tak zwane dzieła dobroczynne, jakiemi jednostki starają się ulżyć nędzy swych współbraci, są zawsze praktycznie pożytecznemi społeczeństwu? Daje przeczącą odpowiedź, dlatego, że one starają się wyłącznie prawie zmniejszać złe skutki fałszywego ustroju społecznego, mało pracują nad przygotowaniem nowego, opartego na zdrowych zasadach. Przytulisko dla starców, — powiada — jest dobrem, ale odrywa ojca rodzinie i z tem tamuje źródło zasług i korzyści, jakie z pielęgnowaniem szanowanego i kochanego ojca rodziny jest związanem. Stąd lepiejby było, zamiast przytuliska, utworzyć fundusz dla popierania starców po domach. Naturalnie w pewnych wypadkach uznaje on potrzebę przytuliska, ale jako wyjątek. Podobnie w innych wypadkach. Przy tej sposobności porusza ks. Naudet kwestyę wychowania. Konstatuje fakt, że młodzieży dzisiejszej brak charakteru, czego skutkiem jest brak wytrwałości w zaczerpniętych po zakładach dobrych

zasadach. Praktyki religijne, najlepsze w sobie i niezbędne, obok niektórych drugorzędnych cnót, jak pokora i posłuszeństwo, oto do czego głównie zdążają starania pobożnych wychowawców. Ale wyrabianie charakteru, hartowanie woli przez podstawowe cnoty: męstwo, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość, zajmują drugorzędne miejsce. Stąd znane zjawisko, że z najkrnąbrniejszych po szkołach zwykle największa pociecha, bo mają charakter, — a z posłusznych i poddanych bezmyślnie, jak barany, nieraz się ma wielki zawód. Niestety! poglądy ks. Naudet w tem miejscu z punktu widzenia religijnego są zupełnie zdrowe, ale tak oryginalnie wyrażone, że łatwo fałszywie je zrozumieć można. Najwidoczniej goni on za paradoksem i wskutek tego przeholowuje... może mniej dla Francuzów, których miał na oku, ale więcej dla innych, co do tego rodzaju przesady retorycznej mniej są przyzwyczajeni. — „Trzeba być naprzód człowiekiem, powiada, a potem chrześcijaninem; naprzód nabyć cnót ludzkich a potem chrześcijańskich. W zakładach naukowych zaczynają od ostatnich a zaniedbują pierwsze". Otóż tak oderwane zdanie ks. Naudeta poprostu jest co najmniej błędne. Z kontekstu jednak widać jasno, że nie myśli on bynajmniej przeciwstawiać cnót czysto ludzkich, a więc tylko przyrodzonych cnotom nadprzyrodzonym, ale że chce zwrócić uwagę, że za mało się troszczy w wychowaniu o wyrabianie systematyczne cnót (naturalnie także nadprzyrodzonych), tak zwanych moralnych, na których czele stoją cnoty kardynalne. Jeszcze większy paradoks leży w jego tłumaczeniu słowa klerykalizm. Znaczy on według niego tyle, co nierozumny fanatyzm. Konkluzya, że i Gambetta był w pewnem znaczeniu klerykałem (!!).

Pominąwszy te pojedyncze usterki dzieła, praca ks. Naudeta jest nadzwyczaj ciekawą i pożyteczną, szczególnie dla klas posiadających i kierujących społeczeństwem. To też byłoby bardzo do życzenia, gdyby ktoś uprzystępnił je naszemu społeczeństwu, opuszczając parę napuszystych ustępów, tyczących się wyłącznie stosunków francuskich. *Ks. Aleks. Mohl.*

Napoleons Tod im Spiegel der zeitgenössischen Presse und Dichtung. Von *Paul Holzhausen*. Frankfurt a M. Verlag von Moritz Diesterweg. 1902.

Wprawdzie tytuł rozprawy jest zbyt obszerny, jednak i tak czyta się ją z pożytkiem. Pan Paweł Holzhausen uwzględnia tylko francuską,

angielską i niemiecką prasę peryodyczną; pierwsza zadziwia wprost nienawiścią lub pogardą, jaką ściga wielkiego imperatora nawet po śmierci; prawda, że cenzura krępowała dzienniki opozycyjne, niemniej jednak cytowane w broszurze artykuły legitymistycznej *Quotidienne* i *Gazette de France* domagały się odparcia ze szpalt pism bonapartystycznych. Dziwnem jest, że nawet angielska prasa wyraża się o zmarłym godniej, a w *Times* pojawia się po raz pierwszy, powtarzane potem w nieskończoność, zdanie, jak żałować należy, że Napoleon nie zechciał stać się dobroczyńcą ludzkości choćby częścią tej energii, której użył na to, aby być biczem świata. Inna gazeta, *Morning Chronicle*, inauguruje znowu, również częste później, narzekania liberałów, że Napoleon przeznaczony na bohatera wolności, stał się jej gwałcicielem i arystokratycznym zapędom hołdował (Börne i Heine wnet ten zarzut w Niemczech powtórzą). Prasa niemiecka albo jest w tej chwili bardzo ostrożna, albo widocznie nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z wielkości i znaczenia Napoleona. Z cytowanych przez autora dzienników tylko jeden berliński i dwa czy trzy południowo-niemieckie rzucają na świeży grób kilka sprawiedliwszych sądów.

W drugiej części p. Holzhausen zajmuje się echami w poezyi. I tu rzecz wykazuje dużo zalet i wad: do pierwszych zaliczamy przedewszystkiem wydobycie z archiwum i podanie w wyjątkach bardzo ciekawej paryskiej brukowej poezyi o śmierci Napoleona; natomiast wadliwem jest uwzględnienie tylko francuskiej, angielskiej i niemieckiej poezyi, z dodatkiem Manzoniego i Puszkina; nieodpowiedniem jest wreszcie cytowanie obcych poetów nie w oryginalnym ich języku lecz w tłumaczeniu niemieckiem. Poza temi uwagami trzeba stwierdzić bardzo zajmującą treść tego przeglądu poetyckiej literatury. Rozpoczyna ją Wiktor Hugo, wówczas jeszcze gorący rojalista, który w dwóch odach z r. 1821 i 1822 błotem nienawiści obrzuca trumnę „despoty, hydry, mordującej królów“, nazywając zmarłego nie inaczej, jak „Buonaparte“; dopiero w kilka lat potem pogodził się z cieniem cesarza, a już w r. 1825 stopniowo łagodnieje i w „Dwóch wyspach“ mówi o „Bonapartem“, aby w r. 1827 w odzie *A la Colonne*, uchylić przed nim czoła. Lamartine, również rojalista, wyraża także niechęć do Napoleona, tylko ton tu spokojniejszy, bo poeta jest starszy; najgwałtowniejszy tam, gdzie jest mowa o straceniu ks. d'Enghien. Delavigne i Lebrun są przedstawicielami przychylniejszej zmarłemu poezyi, ostatni ciekawy przez to, że jest niejako kodyfikatorem pierwszym napoleońskiej legendy, Delavigne charakterystyczny w drobnym szczególe:

mówi o Napoleonie, nie o Buona- lub Bonapartem. Ale uwielbienie dla „boga wojny“ ma dopiero Béranger, który w *Le cinq Mai* ożywił jego postać jako genialnego bohatera bitwy, bożyszcze obozu.

Poza Francyą najciekawszym jest Byron dlatego, że z powodu ogromnego rozgłosu jego poezyi pojawiło się przed i po r. 1821 kilka ulotnych pieśni wierszy i t. p. fałszywie pod jego nazwiskiem wydanych. To, co istotnie z jego ręki wyszło, zdradza dziwną sprzeczność; z jednej strony Byron, ten „nadczłowiek“, uwielbiał Napoleona tak, jak korzył się przed olbrzymem Goethe, z drugiej zaś strony żywy w Byronie liberał oburzał się na „gwałciciela wolności“ (np. w r. 1823 w poemacie *The age of bronze*). Bardziej jednolitym w elegijnem uczuciu zawiedzionych nadziei jest Shelley, Puszkin natomiast słabiej w ton liberalizmu, silniej w strunę rosyjskiego patryotyzmu uderza. Manzoniego *Il cinque Maggio* zajmuje osobne stanowisko i może być uważanym za klasyczny wiersz na śmierć Napoleona. Zdala od partyjnych pokrewieństw czy przeciwieństw, włoski poeta w klasycznej spokojnej formie sąd przekazuje potomności, sam zaś ujmuje przedmiot z wyżyn ogólno-ludzkiego uczucia, i dlatego to Goethe tak chwalił Manzoniego. Wpłynął on wogóle silnie na niemieckich poetów. Pan Holzhausen ten ustęp oczywiście szczególnie obszernie opracowywa, tutaj jednak wystarczy wspomnieć tylko Chamissa w szczerem ludzkiem uczuciu napisany dramatyczny poemat *Der Tod Napoleons* i patetyczne wiersze „Napoleon“ Grillparzera, który w wieku Metternicha słusznie lecz niebezpiecznie pytał: „czy z usunięciem tyrana znikła także tyrania?“

Dr. J. Flach.

Trzaji („Strzępy“). *Silvije Strahimir Kranjcevič.* 1902.

Kranjcevič jest obecnie w Chorwacyi jednym z najwyżej stawianych poetów. Kto spotkał się z poetami chorwackimi przedostatniej doby, np. z Preradovičem, piszącym nie dawniej, jak trzydzieści parę lat temu, uderzony był nie tylko olbrzymią różnicą w sposobie pisania, ale wielką zmianą i ubogaceniem języka; nie dość na tem: cudzoziemiec czytając współczesnych nawet poetów, przy każdym musi się z innym językiem obznajamiać. Każdy poeta chorwacki jest jeszcze niejako twórcą języka, którym włada, schodzi do źródeł, do narzeczy ludowych i stamtąd czerpie nowe wyrazy, by je przyswoić językowi literackiemu. Kranjcevič na tem polu położył wyjątkowo wielkie zasługi, jak to zauważył jeden z jego rodaków.

„Wilo pieśni mojej — mówi Kranjcevič — czemuś ty przyszła do

mnie? Kiedy mię matka moja mroczną rodziła nocą... ojcowie i matki możnych i szczęśliwych dzieci, może do siebie cię zwali... aleś ty przeszła mimo, nadmorską znalazłaś chatę... z starej mię wzięłaś kołyski, pocałunek twój szorstki i palący mojemu odjął mię kołu! Na wiekim został się obcym!"

Tak opisuje poeta wejście swoje w świat. „Na wieki został się obcym", a jednak książka jego stoi bardzo blizko ludzkości, może właśnie dlatego, że poeta czuje się obcym — nie obcym ludziom, ale obcym temu, co ludziom życie zapełnia — mając serce próżne żądz, które innym aż się z serca przelewają, ma w niem miejsce na uczucie bratnie. W piersi jego „śpiewają stare bóle, z ludzkości całej zeszły w pierś jedną na mieszkanie"; wprawdzie pyta: czy on ma jeden być ofiarą — ale nic nie pomoże, bo sam sobie w innem miejscu odpowiada: „tyś harfą tylko, przez którą tęskni świat". Gdyby o każdy kęs z ludźmi się szarpał, gdzieby się podziało owo współczucie, które jest wzrokiem poety?

„Nad brzegiem Adryatyku pośród kamieni i cierni kościół łask twoich osamotniony i tęskny stoi, przy nim rozbitek, miłośnik twój płacze". Po łzach wylewanych u drzwi zamkniętych chramu piękności, oczy poety stają się czystsze, jaśniej, wyraźniej widzi świat i ludzi. Po t a k i c h łzach, rodzą się t a k i e wiersze, jak „Chrystus dziecięciu w kościele": „Gdzieś ty zabłądziło dziecko? czemu na marmurowej posadzce męczysz twoje kolanka?", tu miejsce powagi i smutku, „idź, Ojciec twój do snu cię ułoży razem z motylem stubarwnym, ptakiem, złocistym chrabąszczem i białorunem jagnięciem?" — Kiedyś „kolejną gdy spijesz czarę... stojąc gdzie w kącie kościoła, widzieć będziesz przed sobą wyschłe moje męczeńskie oblicze, jak się na krzyżu skłoniło, zamiast modlitwy słyszeć będziesz chrzęst własnych załamywanych dłoni. Wtedy człowieczy męczenniku pojmiesz ból wielkiej miłości mojej, goryczy kurcz nauczy twe usta śmiertelne, jak się miłuje i jak się modli". Przytaczam tu ten wiersz w skróceniu, jak chciałoby się przytoczyć ich bardzo wiele, bo są tak głęboko ludzkie, że jest się wdzięcznym autorowi za oddźwięk, który w nas budzą, odczuwa się wtedy, że „jest Mistrz, co wszystkie serca nastroił do wtóru". Kranjcevič prawie niema wiersza, któryby nie występował z książki, nie stawał przed nami tak, jak tego autor chciał. Jaki np. wyrazisty i świeży obraz młodej ziemi: raju. „Mocno zapachło kwiecie barwnych ogrodów rajskich, kiedy po deszczu nagły powiew rozbujał kwiatów głowy, upajający oddech soczystych pędów majowych, pył lip kwia-

towy i róż i trawy...“ „Był młody i jasny, wielkie otwarte źrenice żądnie chłonęły barwę i kształt i bujanie wszystkiego wkoło, wszystko pieśń mu śpiewało“. Albo jak ładny w suchości konstrukcyi swojej wiersz „Igraszka śmierci“.

Pesymizm jest u Kranjceviča, jak zresztą u wszystkich prawie współczesnych poetów, lokalną niejako barwą, idzie więc nie o skonstatowanie go, ale o wskazanie źródła skąd płynie. U Kranjceviča nie jest to ani niewiara ani egoizm; zdaje mu się, że byłoby lepiej, gdyby miał serce troszeczkę mniejsze! Nie tylko ma on żal do... ziemi, do... ludzi, ale ma także żal ziemi i ludzi. „O jakże nudno widzieć cię ziemio w szarych i błotnych szatach!“ ale zaraz rzuca się ku niej wołając: „O matko ziemio przebacz! jakżem ja gorzko przemówił do Ciebie!“ — mówi, że „świat spogląda głupio i obojętnie“, że „nie wart ani być kochanym ani przeklinanym“, to znowu woła z żalem „coraz chłodniejszy dom twój, człowiecze bracie“. Za siebie spogląda wzrokiem tępym i obojętnym, wspomnienia „związane są szczęściem a oprawne w skórę oślą“. Ale znów wraca do wspomnień nocą cichą, bo jest wśród nich wspomnienie wyrządzonej krzywdy: „Czemu patrzysz na mnie z wyrzutem?... o, czemu pytasz o wieniec mój? — zwiądł... o Boże, podeptałem twoje kwiaty...“ z zażaleniem więc patrzy tak na ziemię i ludzi, jak i na siebie: „Rodziła mię śmiertelna matka, pogrzebią ludzie śmiertelni“, „ukochałem błoto, w którem utopiłem łzę, pieśń moją“. Człowiek „błyskawica, którą błoto dusi, a któraby mogła obłoki rozrywać“ — a szczęście ludzkie „na cierniuś mi zakwitło, a opaść w błoto masz“. Oto się skarży: „Jest miłość wszechsilna, miłość, która obejmuje wszystkie przestrzenie i czasy, duchy i ciała wszystkie! — to mi śpiewał jej uśmiech. Klęknąłem wołając: Wierzę ci, ty śnie mój nieśmiertelny! wszystkie róże i lilie rzuciłem jej pod stopy... Zrodziła nam się córka, którą nazwaliśmy duszą naszą. Raz... matka jej mi rzekła: teraz pożrę twą duszę, a krew gorętszą się stanie! Zgubiłem moją duszę, odszedłem od jej matki... i swojem łzy zagubił i widziałem, jako igra w każdem oku zdrada i w każdem sercu zwierzę!“

Analogicznie się nam przedstawia wiersz *Majales*, gdzie po kwiatach i słońcu powtarzających: „pięknyż bo żywot i świat“, te same słowa każe mówić drapieżnemu ptakowi, ocierającemu dziób o kwiaty po krwawej uczcie. „Wieczna myśli — mówi w innym wierszu — zastawiłaś stół miłości wszystkim ludziom, barwnym go kwieciem przytrząsłaś, czarę podałaś pokoju i kęs twego chleba — ale patrzaj, jak Judasz pieniącą słodką czarę za zdrowie świata pije!“ Ideał kocha on

a krzywda ideału to pesymizm Kranjceviča. Kocha go i broni przed innymi, przed sobą samym, a nawet na oślep bijąc się za ideał, broniłby go przeciw samemu Bogu, nie bacząc, że miłość ideału jest utajoną miłością Boga — w zapale swoim rzuca czasem słowa graniczące z bluźnierstwem: „Myśl ludzka ochrzczona w swobodzie ani się modli, ani prosi — ma swój ołtarz i swego kapłana. W poświęconej izbie czci siebie samą na krucyfiksie!“ — Ale tu za tłumacza stają znowu słowa poety: „Kiedy stanę przed twemi oczyma, sprawiedliwy Ojcze! śmiałą ręką pokażę ci swoje bóstwa mówiąc: Ojcze, patrz! oto te kochałem, kochałem i kochałem!... Ty się uśmiechniesz do mnie, jako żeś na mnie często patrzał poprzez łuk tęczy i przez obłok biały, kiedym, szalony, szukając prawdy rzucił utartą ścieżkę, błąkając się i wołając: na coś Ty ludziom dał rozum i na co ludzie, a przedewszystkiem, na co są łzy?“

Przegląd ten zakończę ostatnią strofką przeglądanej książki.

„A kiedy przyjdziesz — mówi do Chrystusa — a twoi nie poznają cię apostołowie, on (pieśniarz) pierwszy przed Tobą upadnie... Chwytając z ust Twoich, wieczna Żertwo i wieczna Myśli, zwiastowanie wiecznego pokoju, koniec burzom i nawałnicom — na łono Ci upadnie on, i harfa upadnie umarła, bo na cóż pieśniarz po Twojej wielkiej pieśni: Alleluja?!“

Nagoda Saryusz.

The Farringdons. By *Ellen Thorneycroft Powells.* Tauchnitz Edition, 2 vol. 1900. (Str. 272 i 256).

Powieść ładna, choć niezmiernie w akcyi powolna, miła dla czytelników szukających głębszych myśli i trafnych spostrzeżeń raczej niż wstrząsającej fabuły lub społecznych dygressyi. Jest też sporo religijności, niby na sosie metodystycznym, ale w rzeczywistości ogólnochrześcijańskiej. Główną treścią jest proces moralny w duszy dziewczyny pełnej fantazyi, zdolności i zarozumiałości, a doprowadzonej dopiero w 30 roku życia do równowagi. Elżbieta Farringdon jest siostrzenicą właścicielki wielkich fabryk żelaza, których istotny dziedzic — jak zwykle w angielskich powieściach — gdzieś w świecie zaginął. W rzeczywistości jest on na miejscu i wychowuje się pod przydanem nazwiskiem u dyrektora fabryk, nie chcącego z obawy utraty posady wyjawić pokątnego małżeństwa siostry z synem swego pryncypała. Oboje sieroty przylegają do siebie, tylko że Elżbieta radaby nad towarzyszem panować, a w głębi duszy odczuwa jego niezaprze-

czoną wyższość. Dumne a raczej próżne jej serce topnieje wobec każdej boleści, stopniałoby odrazu wobec Krzysztofa, gdyby ten okazał się biednym i słabym; chłopak jednak a potem młodzieniec nie lubi wzbudzać litości, nie może przemódz nad sobą, aby nie wykazać Elżbiecie niedorzeczności w jej umysłowych bujaniach: „Ty pytasz zawsze tylko, czy co jest dobrem i prawem — mówi mu raz dziewczyna — mnie zaś chodzi o to, aby było pięknem!". Z czasem też drogi ich rozchodzą się, pomimo że miłość tłumiona w sercu Krzysztofa, a nieprzyznana w sercu Elżbiety trwać nie przestaje. Ciotka umiera i zapisuje majątek Elżbiecie o tyle, o ile nie znajdzie się zaginiony dziedzic; Krzysztof jest egzekutorem. Wtedy młoda pani radaby z nim podzielić się swem mieniem i obraża się na dobre, gdy Krzysztof oświadcza jej, iż pierwszym jego obowiązkiem jest jechać do Australii w poszukiwaniu prawego właściciela. Wraca nie znalazłszy go, i dopiero w papierach zmarłego wuja znajduje dowody, iż jest nim on sam. Zachowuje wszakże milczenie, aby nie odbierać własności Elżbiecie, która przez ten czas rzuciła się w Londynie w wir działalności artystycznej i artystycznego świata. Wieść o ciężkiem zasłabnięciu Krzysztofa sprowadza ją napowrót na wieś, gdzie, szukając w jego biurku papieru potrzebnego dla spraw fabrycznych, znajduje list adresowany do siebie i otwiera. List miał być oddanym po jego śmierci; czytelnik jednak wdzięcznym jest autorce, iż go swojej heroinie każe odkryć na czas, aby się dowiedzieć o poświęceniu Krzysztofa i miłością dozgonną to poświęcenie nagrodzić. Obok tej głównej treści ciągną się i poboczne nitki bodaj czy nie mające więcej od niej wartości. Jest też rzecz, którą od czasów Szekspira w utworach angielskich zauważyć można: na pierwszym planie akcya poważnie-patetyczna lub romantyczna, a drugi plan trzymany w tonach prozaicznego komizmu. Nie zawsze to smaczne, ale w tym wypadku różnica nie zbyt odbija, a przeto nie razi.

T. W.

Was siehst du aber den Splitter?... *Karl Larssen.* Übersetzung von *Mathilde Mann.* Berlin und Stuttgard. Axel Juncker Verlag. 1903. (Str. 286).

Jestże to powieść czy psychologiczne studyum duńskiego autora? Bez wątpienia jedno i drugie, choć w niem żywioł psychologiczny stanowczo przeważa, a raczej posługuje się tylko formą powieści, aby swe myśli oblec w dotykalne ciało. Tytuł niejasny — chyba że ów

Splitter ma oznaczyć ewangeliczne źdźbło, które człowiek widzi w oku bliźniego. Tego się jednak można tylko domyślać i mimowolnie oskarża się tłumaczenie, iż niewyraźnie tekst duński oddało. Książka zawiera dwa pamiętniki: żony *Die Beichte einer Frau* i męża *Axel Halck's Aufzeichnungen,* oba opisujące z dwóch różnych punktów widzenia też same dzieje, tak iż się czasem zdaje, że dla dania obrazu całości powinnyby stać drukowane na równoległych kolumnach tej samej stronnicy. Forma to oryginalna a w tym wypadku szczęśliwie obrana, gdyż oba charaktery występują wyraźnie, plastycznie, w oświetleniu prostego, codziennego życia. Nie masz tam ani Ibsenowskich mgławic, ani tajemniczych blasków północnych zórz, niema podobnie natury — tak iż rzecz mogłaby równie dobrze dziać się w Augsburgu, Kolonii lub Monachium, jak w Kopenhadze. Cała więc uwaga skupia się na dwie główne figury cichego dramatu małżeńskiego pożycia. Pożycie to zaś na tle bezwyznaniowem jest polem walki dwóch wręcz odrębnych natur: gorącej, twardej, z szlachetnego materyału kilku ciosami siekiery wykutej natury żony, i gładkiej, wyrzeźbionej, wykwintnej natury męża. Ona działająca tylko z porywu; on do porywów niezdolny, silny swą łagodnością i spokojem, swą znajomością najdrobniejszych odcieni uczucia, o których ona nie ma nawet pojęcia. Dziedzic starej patrycyuszowskiej rodziny, Axel Halck zakochał się w córce zmarłego profesora wolnomyślnej filozofii, Viuma, bo jej postać zbyt koścista na regularną piękność, wydała mu się artystycznie charakterystyczną, a duch samowolny, chciwy czynu i wiedzy, wróżył silną indywidualność, typ „kobiety przyszłości", nie mający nic wspólnego z modnym przed laty typem bluszczowym. Widział był namiętną miłość Thory dla ojca, jej odrazę do miękkiej a zmysłowej natury matki, sam pomagał jej w szalonych na polu naukowem wysiłkach czynionych w celu zrozumienia i rozpowszechnienia dzieł ojca. Już wtedy spostrzegł, że dziewczę chwyta z wiedzy literę, a nie ducha, ale to przypisywał dzieciństwu. Po ślubie Thora oddała mu się zupełnie, nawet wspomnienie ojca zagasło w nawale nowych wysiłków, by każdą iskrę, każdy atom swojego j a zatopić w woli męża, poddać jego pragnieniom, upodobaniom, zachciankom. Axel zaś nie dostrzegł poświęcenia; po krótkim czasie jął sobie zdawać sprawę ze swego rozczarowania. Toż z owej silnej indywidualności, którą przeczuwał w żonie, nie widział ani śladu, nawet w urządzeniu domu, w powieszeniu każdego obrazka poznawał tylko swój gust, swój wybór, swoją wolę; Thora z siebie nie wydała nic. Nawet wobec jego amatorstwa sztuki zacho-

wywała się tylko posłusznie; wyuczyła się pilnie historyi wszelkich szkół, znała na pamięć wszystkie nazwiska i daty, ale istotne zajęcie jej budził jedynie stosunek sztuki do ogólnych dziejów — zawsze tylko fakt, a nie treść duchowa. Axel doprowadził ją do przedsionka świątyni, ale nie zdołał otworzyć jej wnętrza... Tyle widać z zapisków męża.

U żony przebudzenie nadeszło nieco później. Nastała jednak chwila, gdzie wzrok jej zmierzył boleśnie ogrom swego unicestwienia, a zarazem i wielkość rzekomego egoizmu męża, który to unicestwienie przyjmował, wchłaniał w swoje życie wszystkie jej moralne i fizyczne siły, czynił z niej użyteczny a dogodny sprzęt. Zarzucić mu nie mogła nic, bo był tak względem niej jak i drugich, w życiu prywatnem i publicznem zawsze równy, szlachetny i czysty; stosunek ich napozór nietknięty stał się wszakże dla obu stron chropawym i pracowitym, brakowało w nim cementu, mogącego wieczystą utworzyć spójnię. Przyjście na świat synka nie polepszyło sprawy. Thora rzuciła się w miłość macierzyńską z namiętnością niemal zwierzęcą; mały Ejnar stał się bożyszczem zaprzątającem każdą jej myśl, każdą chwilę nocy i dnia, a gdy z czasem mężowi udało się doprowadzić ją w zewnętrznem zachowaniu do pewnego umiarkowania, usłuchała go z goryczą w duszy, porównując się z kotką, której zabrano kocięta. Gorzej było, gdy Ejnar począł wyrastać i stawał się podobnym nie do matki, ale do ojca; Thora śledziła z zazdrością, a Axel z zachwytem, jak usiłował naśladować go na każdym kroku, jak z obrazków dziecinnych układał kollekcye, jak stawał się co dnia bardziej systematycznym, spokojnym i wytwornym. Wobec matki był czułym i wdzięcznym; podobnie jak mężowi, nie mogła mu nic zarzucić, a jednak czuła się samotną, podczas gdy ci dwaj szli pospołu. Winiła o to egoizm Axela, Axel zaś winił i ją i siebie, że dla miłego spokoju poświęcił istotne szczęście domowe, iż nie umiał swej aksamitnej dłoni oblec w żelazo, ni swej miłości odziać w błyskawice, by porwać i w proch przed sobą pogrążyć duszę namiętnej kobiety. On — przedmiot podziwu i zazdrości wielu, rosnący co dnia w dobrą sławę, zaszczyty i mienie, był dla niej zbyt małym, zbyt skończonym i zaokrąglonym w swej bezwyznaniowej cnocie. Thora instynktowo szukała dalej. Wróciła do pism ojca, a z niemi i do pism jego uczniów. W pośród tych był utwór niedokończony, przedśmiertne wyznanie człowieka, którego bóle żywota do stóp Krzyża spędziły. Thora długo z pogardą odrzucała tę książkę, aż wreszcie otwarła ją i raz otwarłszy, utkwiła w niej całą duszą: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście“ —

powtarzał umierający, a ona była tak śmiertelnie znużoną! Więc posłuchała wezwania i poszła, a do Krzyża doszedłszy, została, aż serce jej stopniało w łzach skruchy a dusza nieskończoną, wszechpotężną miłością porwana, znalazła spokój na wieki. Mąż wobec tej zmiany okazał się pozornie obojętnym: „Jesteś wolną — mówił. — Jest to rzecz dotycząca li tylko sumienia każdego człowieka“... W domu dla oczu ludzkich nie zmieniło się nic; Thora spełniała dalej wszystkie swe obowiązki, lecz poza niemi cały swój czas trawiła na modlitwie i służbie ubogich. Mąż i syn okazywali jej dawną uprzejmość; przepaść jednak między nimi a nią czyniła się coraz głębszą. Axel zapisywał, iż żona dla niego umarła, a kończąc, życzył synowi, by umiał lepiej od niego opanowywać kobiety.

Oto główne zarysy treści, jakie skupiając oba pamiętniki, wyciągnąć można. Zdanie autora wśród nich pozostaje ukrytem. Jeżeli nawrócenie Thory uważa za rzecz dobrą, nie powinien był kłaść jej równocześnie pod pióro tylu wyrazów goryczy, ani zwłaszcza kazać jej oddawać w ręce przygodnej przyjaciółki pamiętnika, będącego nie istotną spowiedzią, ale aktem oskarżenia na matkę i męża. Jeśli przeciwnie stoi po stronie wygodnej wolnomyślności Axela, czemu wykazuje jej braki, jej bezsilność w zaspokojeniu duszy ognistej a głodnej? Czyżby chciał w nowej formie wystawić tezę Feuillet'a w *La morte* i Bourget'a w *Le disciple*, stwierdzając iż ludzki honor poparty zamiłowaniem wiedzy lub sztuki wystarcza na utrzymanie w granicach cnoty natury bardzo spokojne, ale nie starczy dla natur namiętnych? Nieprzyjemnie jest zamykać książkę nad nierozwiązaną zagadką, a kto wie? może jej autor sam nie rozwiązał. W każdym razie dokazał bardzo nowomodnej sztuki: przeprowadził dramat duchowy bez żadnej akcyi zewnętrznej. Przypomina to pewną piosenkę francuską, trzymaną od początku do końca na jednej nucie i nabierającą wyrazu tylko od sposobu wymawiania słów lub zniżania głosu śpiewającego. Taki rozbrat z materyą może pod piórem wielkiego myśliciela wydać piękne owoce; zbyt powtarzany jednak jest niebezpiecznym, i pytanie, czyby Göthe znacznej części podobnych utworów nie zaliczył do tych, które nazywał: *ein Kunststück aber kein Kunstwerk.*

T. Wodzicka.

Z pism czasowych.

Przewodnik naukowy i literacki. Dodatek miesięczny do *Gazety Lwowskiej*. Rocznik XXX. 1902. Redaktor Adam Krechowiecki. Lwów 1902.

Treść XXX rocznika *Przewodnika* rozpościera się na sześć działów naukowych. Z działu „Historya i archeologia“ mamy tu ciekawą rozprawkę Aleksandra Kraushara o Barsie, palestrancie warszawskim i jego misyi politycznej we Francyi (1793—1800). Wyszła rzecz ta w osobnej książce, więc należy się jej oddzielne sprawozdanie.

Archeologicznej czysto treści jest Kazim. Pułaskiego praca p. n. „Stare osady w ziemi kamienieckiej i dziedziczące na nich rody podolskiej szlachty historycznej“. W dzisiejszej części gubernii podolskiej, gdzie Zbrucz, Żwańczyk i Smotrycz płyną równolegle ku Dniestrowi, w krainie kresowej, ocalałej od „ognia i miecza“, obecnie „Świat kłosami tylko płynie, — I w obszarach oko ginie“. Dawniej były tu warownie, zameczki, osady wielu „królewiąt“. Temi osadami zajmuje się autor i przedstawia ich dzieje i zmianę posiadaczy, a wątku do opowiadania dostarczają mu archiwa rękopiśmienne i drukowane. Dr. Tad. Troskolański dał w *Przewodniku* czwartą część monografii historycznej biskupa krakowskiego, Andrzeja Zebrzydowskiego, rzecz jednak nie jest jeszcze skończoną. Cenny przyczynek do rozświetlenia dziejów r. 1846 dał Bronisław Łoziński, ogłaszając zapiski Ferdynanda Hoscha, właściciela dóbr dominikalnych w Grybowskiem, obejmujące trzy memoryały jego do sfer wiedeńskich o stosunkach galicyjskich ówczesnych. Memoryały Hoscha przedstawiają sprawę zupełnie inaczej, niż relacye urzędowe starosty tarnowskiego. Jeden memoryał szlachetnego Niemca opowiada bez ogródki o krwawych premiach, jakie biurokrata tarnowski ofiarom intrygi wypłacał. Rzecz swą dr. Łoziński nazwał „Głos niemiecki z roku i o roku 1846“. Małą monografijkę miasta i starostwa „Telcze“ skreślił p. Brensztein. Fr. Rawita Gawroński poszukuje miejsca, gdzie leżał zameczek Rów, zrujnowany w czasie napadów XV wieku. Rów była to warownia przeciw Tatarom, zapisana już u Bielskiego, o której twierdzono, że gruzy jej stały się podstawą późniejszego Baru. Tak jednak nie jest, a błąd ten usuwa dopiero nasz autor, dowodząc, że mniemanie fałszywe powstało z niedokładnych wiadomości dokumentowych i „z niedość pilnego czytania dokumentów“.

Z rozpraw literackich dwie tylko znajdujemy tu prace, a to prof.

Brücknera szkic p. n. „Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III“ i d-ra Hahna o „Zapomnianych utworach łacińskich S. Szymonowicza“. Pierwszy na podstawie ulotnych pism i pisemek, dziś już nieznanych i nie każdemu dostępnych, usiłuje dać czytelnikowi wyobrażenie o walce, jaką niegdyś staczały różne wyznania w Polsce. Schizmatycy nienawidzili „luterów“, którzy odrzucają tradycyę, jako „zdradycyę“, ale łączą się z nimi przeciw katolickiemu obozowi. Z tej strony w pierwszej linii bojowej stoją Jezuici, walczą więcej z protestantyzmem, mniej zaś ucierają się ze schizmą. Cały bój odbywa się na papierze, a uzbrojenia— to pióro i drukarnia. Dr. Hahn przypomina dzisiejszym historykom piśmiennictwa 5 zapomnianych wierszy sielankopisarza *(Trophaeum, Thomae Zamosia)* i przedrukowuje teksty tychże pieśni. Do działu literackiego zaliczona jest „Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego“, którą w ciągu dalszym, jeszcze nie ukończonym, ogłasza syn poety, Dyonizy Zaleski. Korespondencyę tę równocześnie autor ogłasza w osobnych tomach (obecnie t. 3). Jest to wielkiej wagi materyał do poznania i dziejów rozwoju twórczości Bohdana i całej jego epoki. W roczniku obecnym zawarte są listy z lat 1856—1861. Są tu i obrazki z życia emigracyi, są i liczne ustępy, odnoszące się do Klaczki, Kalinki, znajdzie się tu i ówdzie sąd o młodych pieśniarzach jak Lenartowicz, uczonych jak Szajnocha i t. d. Oczekujemy skwapliwie całości dzieła, by o niem szerzej pomówić, a co najważniejsza, by z niego korzystać.

Nawet z tak specyalnej nauki jak geologia ma *Przewodnik* pracę, mianowicie opracowanie odczytu Walerego Łozińskiego p. t. „Rozwój geologii i geografii fizycznej“. Nie zajmuje się autor wiele poglądami filozofów starożytnych o pierwiastkach, z których ziemia powstała, większą natomiast uwagę zwraca na walkę uczonych późniejszych, jak Werner, Hutton i Humboldt. Ten ostatni uchodzi za twórcę geografii fizycznej jako nauki w znaczeniu nowoczesnem, zajmującej się ogółem zjawisk ziemskich, nie będącej wcale jakąś pomocniczą nauką. Obszernie uwzględniona i metoda Lyella, badająca procesy geologiczne na powierzchni ziemi i snująca stąd wnioski o epokach ubiegłych. Praca niewielka, przystępna a pouczająca bardzo. Pokrewnego rodzaju jest szkic d-ra W. Urbańskiego p. t. „Dzisiejsze Astrofilstwo w Ameryce a dawna Estetyka praktyczna w Europie“. Jest to uzupełnienie do zeszłorocznego szkicu „O postępach w astronomii i fizyce“ tego samego autora. Mamy tu zestawione ogromne ofiary i zapisy bogaczy amerykańskich na cele astronomiczne i fizyczne ze szczupłymi funduszami

i wyposażeniami, jakie otrzymują europejskie, a zwłaszcza nasze wszechnice i nasze obserwacye i gabinety.

Dwie jeszcze prace *Przewodnika* wspomnieć się tu godzi, a to studyum W. Lassoty p. n. „Z poglądów społecznych Lwa Tołstoja“ i ks. d-ra Jana Ciemniewskiego dłuższą rozprawę filozoficzną „Poznanie i kształcenie charakteru“. Rozprawa nie dobiegła jeszcze do swego kresu, a że sprawozdanie z ułamku byłoby bez znaczenia i wartości, przeto uważamy za odpowiednie zamknąć swe krótkie sprawozdanie treści XXX rocznika *Przewodnika naukowego i literackiego*. Skończmy życzeniem, by dział piśmiennictwa był bardziej ożywiony.

J. M.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Przez tajgi. *Władysław Trzciński.* Kraków. MCMIII. (Rzecz odznaczona na konkursie *Prawdy).*

Jest to cykl drobnych poezyi, opisujących pobyt na Syberyi, w „ziemi wygnania, nad Leny głębiną“, dwóch wygnańców. Maluje nam poeta uczucie bezbrzeżnego smutku i tęsknoty czy to w porze „lutej, jakuckiej zimy“, czy z nastaniem wiosny. Ale wesołość wiosny budzi w wygnańcach tylko tęsknotę do „rodzinnej ziemi i cmentarzy“, tęsknotę tak nieprzepartą, że wygnańcom

„oczy trysnęły płomieniem
Wspomnień i gorzkiej tęsknoty za [krajem,
A idąc za tym głosem czy natchnie- [niem
Milczący oba zeszliśmy wyrajem
W bezbrzeżną tajgę“.

Wspomnienia z lat ubiegłych. Listy do moich synów skreślił jenerał *Władysław hr. Poniński.* W Krakowie 1902. (16-ka duża, str. 241).

Mogli synowie, do których hr. Poniński skreślił swoje listy, zachować je w rękopisie albo w odbitce, doręczonej tylko członkom rodziny

„Nie dał spojrzeć na ojczyste niwy,
Ani na matki zapłakać mogile:
Bo gdym miał stąpić na zgliszcza mej [chaty
I upragnionej doczekać godziny,
Chwycił mię wrogi czarny duch skrzy- [dlaty,
Ponad te groby, ponad te ruiny,
I u obczyzny nowej rzucił proga“.

Lecz wygnaniec nie rozpacza, nie bluźni, nie złorzeczy, lecz pociesza i krzepi ducha

„jedynym pacierzem:
Niechaj się stanie święta Twoja wola“

i myślą, że łzy zamienią się „w promienie jaśniejszej przyszłości“.

Już z cytowanych wyjątków przekonać się można, że poeta daje w utworach swych myśli zdrowe, dobre, ubrane w szatę wprawdzie nie kosztowną, nie lśniącą złotem i perłami czarownego stylu, ale piękną, artystyczną. Myśli wyraża jasno, szykuje i wyprowadza jedną z drugiej logicznie i konsekwentnie. Nie widać też sztucznej pozy ani fałszywych tonów, owszem wieje świeżość i szczerość uczucia.

E. C.

Historya i polityka. Próba programu. Napisał *Nie-Stańczyk*. Lwów. (16-ka, str. 27).

Prócz polityki, o której *Przegląd Powszechny* milczy, także doniosłą sprawę etyczną porusza wymieniona broszurka. Sprawa ta dotyczy każdego narodu, który pozbawiony bytu państwowego, nie może odżałować stanowiska straconego między mocarstwami. Nie zawsze jednak taki naród boleje nad przyczynami upadku, chociaż tym zaradzić może jeszcze i powinien, bo w powodzi nieszczęść co roku tonąć będzie, kto raz już przecie nie wybuduje tamy bezpiecznej. Jaką tamę powinien taki naród wznieść sobie co rychlej, zamiast wywodzić płonne żale: o tem właśnie pisze Nie-Stańczyk, i w tej mierze dochodzi do wniosków, zdolnych przekonać nawet jego przeciwników politycznych: więc twierdzi, że w pierwszym rzędzie winniśmy dźwignąć moralność w naszym kraju i stawić zaporę siewcom bezwyznaniowych poglądów; następnie potrzebujemy zaprowadzić reformę etyczną: pogłębić poszanowanie prawa szerokich warstw i w tym kierunku lud uświadomić, dać ludowi lepiej obmyślany ustrój gminny i cały pęk reform agrarnych, zabrać się do gruntownego zbadania kwestyi żydowskiej, obudzić śpiącą opinię publiczną przez nagradzanie zasługi choćby niepopularnej a odpychanie od publicznych stanowisk gładkich wtrętów. *Ks. K. C.*

Złota księga szlachty polskiej. Rocznik XXV, jubileuszowy. *Teodor Żychliński.* Poznań. 1903. (W 8-ce wiek., str. 254).

Historyograf szlachty polskiej, niezmordowany w swojej pracy, w tym roku wydał już dwudziesty piąty tom swoich opracowań; jest to więc tom jubileuszowy i razem ćwierćwiekowy jubileusz gorliwej działalności i pracy szanownego autora, któremu należy się podziękowanie za tyloletnią gorliwość i usilne pracowanie w tym kierunku. Życzymy mu i nadal jeszcze długiej działalności, wołając: *ad multos annos!*

Tom ten składa się ze czterech części: w pierwszej (od str. 9—139) dwanaście monografii rodzin szlacheckich (Czarnockich h. Lis, Drwęskich h. Gozdawa, Górskich h. Nałęcz, Kalksteinów h. Koss, Karwosieckich h. Lubicz, Niezabitowskich h. Lubicz, Piechowskich h. Manstern, Pliszkowskich h. Pogonia IV, Serwatowskich h. Jastrzębiec odm., Skarbków h. Habdank, Zbrożków h. Poraj, i Duninów-Borkowskich h. Łabędź, gałązka podolska), liczne uzupełnienia, sprostowania, wywody genealogiczne (Kossakowskich h. Ślepowron, Mycielskich h. Dołęga); w drugiej (143—149) spis marszałków Koła rycerskiego na sejmikach woj. krakowskiego od roku 1572—1790 z dodatkiem marszałków Koła rycerskiego lubelskiego, 1668—1671; w trzeciej części (153—182) zwykłe w Złotych księgach sprostowania i uzupełnienia o rodzinach dawniej opracowanych, dział nekrologiczny (183—209), spisy i t. d.; w czwartej (221—254) monografia rodu Łuniewskich h. Łukocz z tablicą genealogiczną. *W.*

wnioski o epokach ubiegłych. Praca bardzo. Pokrewnego rodzaju jest „Dzisiejsze Astrofilstwo w Ameryce Europie“. Jest to uzupełnienie do ze- w astronomii i fizyce“ tego samego nne ofiary i zapisy bogaczy amery- fizyczne ze szczupłymi funduszami

ci potem kopnąć ją nogą i powiedzieć jej brutalnie: idź precz odemnie, już cię więcej na nic nie potrzebuję.

Tak postąpił sobie z bohaterką tej powieści panną Tecią, jakąś uczciwą dziewczyną studentką, poeta Palewski, który umiera na suchoty; tak też, tylko brutalniej, postąpił sobie z tą panienką autor tego dziennika, Dorycki. *Ks. H. H.*

Rapsody. *Józef St. Wierzbicki.* Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1901. (Str. 80).

Prócz rapsodów, które nadały cały tytuł całości, pomieścił autor w tym samym tomiku także „Sny Ballady" i pieśni o morzu. Główną wartość poezyi stanowią rapsody. Treść do nich czerpał autor ze starych kronik i podań, i jest to jego niemałą zasługą, że te piękne opowieści wydobywa z zapomnienia. Dotyka zaś w nich historyi walk Słowian zachodnich z Niemcami szerzącymi mordem i pożogą chrześcijaństwo w krajach słowiańskich, a przytem główny nacisk kładzie nie na opisy wojennych zapasów, ale na wzajemne usposobienie stron walczących, na ich uczucia i pragnienia. Są to więc rapsody o wybitnem znamieniu psychologicznem; typem ich „Śpiew rybaka-piraty" i „Płacz słowiański". Rapsody „Straszny rybak", „Król

Wspomnienia z lat ubiegłych. Listy do moich synów skreślił jenerał *Władysław hr. Poniński.* W Krakowie 1902. (16-ka duża, str. 241).

Mogli synowie, do których hr. Poniński skreślił swoje listy, zachować je w rękopisie albo w odbitce, doręczonej tylko członkom rodziny i osobistym znajomym nieboszczyka. W takim razie piśmiennictwo polskie nie odczułoby straty, iż posiada w obrocie księgarskim mniej szczegółów o rodowodzie nieboszczyka, o drogach, któremi ktoś z jego krewnych dochodził do zaręczyn, o potrawach dawanych na wielkich obiadach i o innych dziejach osobiście dla nieboszczyka ważnych albo dla jego rodziny nie obojętnych. Zwłaszcza nie obchodziły całej Polski poglądy jenerała na sprawy wyznaniowe i stosunki kościelne, o których wojak najdzielniejszy może mało wiedzieć; ani jenerałowi to nie ubliża, że słabo pojął stosunek Rzymu i papiestwa do króla sabaudzkiego i jego wojsk zaborczych.

Jedynie przygody czysto wojenne jenerała, żywo i barwnie, choć na tle samochwalstwa spisane, przecie mogą zająć młodzież, tem bardziej tedy wydawcy powinni byli poopuszczać ustępy niezdolne ani zaciekawić ani w katolickim duchu pouczyć czytelników „Chaty wuja Tomasza" czy „Robinsona". Z tymi utworami mogłyby na równi stać listy jenerała oczyszczone z niestosownych szczegółów i poglądów.

Ks. K. C.

Kroże. Wydanie czwarte. W Krakowie. Spółka wydawnicza polska. 1901. (16-ka większa, str. 65).

Nie przestaje Polska do tego czasu pamiętać o wypadkach zaszłych przed dziesięciu latami w Krożach. Z pomiędzy jednak kilku opisów krwawej przygody, najwięcej czytelników znalazła książeczka wymieniona w nagłówku. Służy to za dowód, że ogół polski myśli zdrowo: nie rozchwytuje opisów zabarwionych duchem służalczym ani zaprawionych żądzą zemsty; czyta świadectwo naocznego

świadka, który zdaje sprawę z wypadków w sposób godny narodu, uszlachetnionego walką męczeńską.

Ks. K. C.

Za wolność. *Kruk.* Poemat. Londyn. 1902. (32-ka, str. 30).

Gładkim wierszem poeta opisuje bojownika o wolność, ale nie zwykłej miary człowieka w nim widzi, bo „Tego nazwała świętym rodzina... Taki kochany!... Serce gołębie a dusza z płomienia! Swoi i obcy kochać go musieli... W oczach mu siadło dziwne zamyślenie...“ Jakby się patrzał „daleko, w zaświaty. Czasem mu w jasnem oku płomień strzelił I twarz pobladłą dziwnie rozweselił. Czasem na drżące wybiegło mu wargi Westchnienie głuche, ale nigdy skargi, Nigdy gorzkiego nie słyszano słowa... A zawsze dla ludzi Miał czas i serce i chętnie się trudzi Dla innych. Więc go kochali, garnęli Się zewsząd... Tak się wszystko stało, Jak przepowiedział idąc, on — nasz święty... Ale się, dzieci, modlić nam do niego...“

Walki o wolność ducha potrzebują takich bohaterów z orężem anielskiej słodyczy w dłoni. Miał ich Kościół podostatkiem i przez nich zdobywał świat pod chorągiew krzyża. Czy którego z nich opisał Kruk piórem wyrobionego poety?... Smutno odpowiedzieć, komu poeta oddał swoje pióro na służbę: przed obrazem świętego każe nam się modlić do... socyalisty!

Ks. K. C.

Ucieczka z Syberyi *Rufina Piotrowskiego.* W Krakowie. W księgarni Spółki Wyd. Polskiej. 1902. (16-ka, str. 343).

Wydawca oświadcza w przedmowie, że opuścił z rękopisu ustępy piąty tom swoich opracowań; jest to więc tom jubileuszowy i razem ćwierćwiekowy jubileusz gorliwej działalności i pracy szanownego autora, któremu należy się podziękowanie za tyloletnią gorliwość i usilne pracowanie w tym kierunku. Życzymy mu i nadal jeszcze długiej działalności, wołając: *ad multos annos!*

Tom ten składa się ze czterech części: w pierwszej (od str. 9—139) dwanaście monografii rodzin szlacheckich (Czarnockich h. Lis, Drwęskich h. Gozdawa, Górskich h. Nałęcz, Kalksteinów h. Koss, Karwosieckich h. Lubicz, Niezabitowskich h. Lubicz, Piechowskich h. Manstern, Pliszkowskich h. Pogonia IV, Serwatowskich h. Jastrzębiec odm., Skarbków h. Habdank, Zbrożków h. Poraj, i Duninów-Borkowskich h. Łabędź, gałązka podolska), liczne uzupełnienia, sprostowania, wywody genealogiczne (Kossakowskich h. Ślepowron, Mycielskich h. Dołęga); w drugiej (143—149) spis marszałków Koła rycerskiego na sejmikach woj. krakowskiego od roku 1572—1790 z dodatkiem marszałków Koła rycerskiego lubelskiego, 1668—1671; w trzeciej części (153—182) zwykłe w Złotych księgach sprostowania i uzupełnienia o rodzinach dawniej opracowanych, dział nekrologiczny (183—209), spisy i t. d.; w czwartej (221—254) monografia rodu Łuniewskich h. Łukocz z tablicą genealogiczną.

W.

[illegible] zwłaszcza psychologa, coś *à la* Bourget (bo i takie nieraz rodzą się w duszy zachcianki); a chcesz zanalizować w twej pracy duszę kobiety: to ci wolno w tym celu rozkochać w sobie i zbałamucić serce uczciwej dziewczyny, a wyssawszy z jej duszy wszystkie soki życia z uczuciem zadowolenia egoisty wampira, wolno

ci potem kopnąć ją nogą i powiedzieć jej brutalnie: idź precz odemnie, już cię więcej na nic nie potrzebuję.

Tak postąpił sobie z bohaterką tej powieści panną Tecią, jakąś uczciwą dziewczyną studentką, poeta Palewski, który umiera na suchoty; tak też, tylko brutalniej, postąpił sobie z tą panienką autor tego dziennika, Dorycki. *Ks. H. H.*

Rapsody. *Józef St. Wierzbicki.* Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1901. (Str. 80).

Prócz rapsodów, które nadały cały tytuł całości, pomieścił autor w tym samym tomiku także „Sny Ballady" i pieśni o morzu. Główną wartość poezyi stanowią rapsody. Treść do nich czerpał autor ze starych kronik i podań, i jest to jego niemałą zasługą, że te piękne opowieści wydobywa z zapomnienia. Dotyka zaś w nich historyi walk Słowian zachodnich z Niemcami szerzącymi mordem i pożogą chrześcijaństwo w krajach słowiańskich, a przytem główny nacisk kładzie nie na opisy wojennych zapasów, ale na wzajemne usposobienie stron walczących, na ich uczucia i pragnienia. Są to więc rapsody o wybitnem znamieniu psychologicznem; typem ich „Śpiew rybaka-piraty" i „Płacz słowiański". Rapsody „Straszny rybak", „Król Gothszalk", „Kmieć Prory" osnute są na podaniu ludowem, a zatem na temat, który chętnie biorą poeci za osnowę ballad.

Sny Ballady („Na zamku stargardzkim" i „Na stolpeńskiem żalisku") odnoszą się również do tej samej, co rapsody, przeszłości. Pierwszy wiersz przedstawia rycerza odepchniętego przez córkę Lutyków, która nie w związki małżeńskie, ale do klasztoru wstępuje, by płacz swego narodu do Boga nieść; drugi daje ogólny obraz walk owych krwawych. W obu tych wierszach opisuje autor własne sny (stąd wspólny ich tytuł „Sny Ballady"), — pomysł ani efektowny, ani podnoszący wartość treści.

Najsłabszymi wydają się nam dwa ostatnie wiersze „Syn morza" i „Pieśń o Mildzie" w dziale p. t. „Morze", — oba allegoryczne, ale tak nieokreślone, że można im różne nadawać znaczenie.

Panu Wierzbickiemu nie można zaprzeczyć talentu poetyckiego. Język jego jest jędrny, barwny i śmiały, szczerem jest odczucie losu gnębionych Słowian i wymownem wyrażenie ich uczuć i pragnień. Opisy, porównania, przenośnie tchną siłą i świeżością, forma wiersza wogóle udatna, zarzucićby jej tylko można brak swobody, płynności.

M. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

LONDYŃSKA OBRONA NAUKI KOŚCIOŁA O ODSETKACH.

Może mało kto pamięta, że Kościół dotychczas urzędowo nie przystał na zasadę wolnomyślnych ekonomistów, Benthama, Milla i całej szkoły *laissez-faire*, którzy to właśnie wprowadzili naukę, że każdemu wierzycielowi wolno zawsze i wszędzie pobierać od dłużnika odsetki z pożyczonych pieniędzy. Kiedy tę zasadę wymieniona szkoła postawiła, wałem stanęło duchowieństwo w obronie nauki Kościoła dawniejszej, która w prawie kanonicznem jako czystą lichwę piętnuje i potępia taki pobór odsetek, jakiego wymaga szkoła wolnomyślna. Pogląd tej szkoły spoczywa na błędzie, jakoby pożyczka pieniężna sama ze siebie stanowiąc przysługę, wymagała zawsze i wszędzie nagrody, uiszczanej przez wypłatę odsetek. Kanoniści i moraliści katoliccy stanowczo zbijali ten pogląd, jako ukrytą obronę lichwy, pełną następstw zgubnych dla gospodarki społecznej, a wymagali koniecznie, żeby pożyczka pociągała za sobą tak zwane *damnum emergens* albo *lucrum cessans*, jeżeli ma uprawniać wierzyciela do poboru odsetek.

Na te dowody wolnomyślni ekonomiści odpowiadali szyderstwem z nauki, którą mienili szalonem nieuctwem i niesprawiedliwą morałką teologów, kanonistów i spowiedników, wiernych nauce, w średnich wiekach przyjętej. Wobec powagi, zdobytej

wówczas przez poglądy wolnomyślne, mnóstwo oziębłych synów Kościoła chwyciło oburącz za tę zasadę nową, która pozwalała im łatwym sposobem przez pożyczkę zgarniać małe pieniążki do dużych. Spowiednicy, strwożeni, iż ich przestrogi przeciw lichwie nie znajdują posłuchu u tych zwolenników Milla i Benthama, przedstawiali swoje obawy w Rzymie raz po raz. Sprawa treści ekonomicznej nie znajduje w Rzymie odpowiedzi rychłej; do poglądów wolnomyślnych zaczęły nastawiać uszu nawet poważne osobistości w świecie naukowym; rostrzygać sprawę codzień zawilszą wobec nowoczesnych stosunków gospodarczych nie leżało w zamiarach rzymskiej kongregacyi, która nakoniec odpowiedziała bardzo oględnie na pytanie: co spowiednik ma robić z wierzycielami, którzy utrzymują, że wobec powagi ekonomistów uznają każdy pobór odsetek zawsze za sprawiedliwy? Rzym odpowiedział bardzo ostrożnie: nie trzeba niepokoić tych wierzycieli, tylko wymagać, żeby ulegli wyrokom, jakie w tej sprawie zapadną w swoim czasie. Tyle Rzym powiedział dla spokoju spowiedników, a ostatecznie wcale nie rozstrzygnął sprawy, ani nie orzekał, jakoby dawne ustawy przeciw odsetkom, pobieranym z pożyczki nie połączonej z żadną stratą, miały dziś ryczałtem uchodzić za przestarzałe.

Ale lata płynęły. Chrześcijański duch coraz świadomiej zdawał sobie sprawę, że gospodarka wolnomyślna pędzi w nędzę rzeszę biedaków, spędza ciągle pieniążki nędzarzy do worów bogaczy. Wskazówki dane przez Leona z rzymskiej stolicy szły w świat wzywać, zwłaszcza uczone duchowieństwo, do troski o naprawę stosunków, niesprawiedliwie urządzonych przez rządy wolnych myślicieli.

Zachęta ze strony następcy apostołów pchnęła na pole nauk bardzo głębokich młodego Henryka Irwina, który przed dziesięciu latami skończył szkołę w Stonyhurst z chlubnemi odznakami pierwszego uczucia; w rok później złożył egzamin na bakalaureat, po nim we dwa lata magistrem został na wydziale językoznawstwa, i znowu we dwa lata później magistrem nauk społecznych. Do doktoratu gotował się lat pięć, i uzyskał świeżo ten stopień za pracę o odsetkach.

Stopień doktora, udzielony na wszechnicy londyńskiej katolikowi, należy do wypadków nadzwyczajnych, a do niesłychanych w dziejach wypadków należy ten stopień, udzielony zakonnikowi. Irwin, w ciągu kiedy zdobywał te swoje stopnie naukowe i pilnował egzaminów, wstąpił do zakonu, skończył teologię, został księdzem i mimo tego piętna wstecznictwa taką rozprawę przeciw Benthamowi podał wszechnicy londyńskiej, że od zwolenników Benthama dostał przyznany sobie stopień doktora wydziału ekonomii społecznej. Odkąd ta wszechnica istnieje, nikomu takiego stopnia naukowego na tym wydziale nie przyznała — bo też bardzo wybredna w sądzie, wszystkich dotąd doktoratów udzieliła ledwo kilkanaście razem na wszystkich wydziałach.

Obrona nauki Kościoła, tak chlubnie zaszczycona przez jej przeciwników, idzie najściślej naukową drogą indukcyi, aby na świadectwach dziejów starożytnych okazać, co za straszną klęską w gospodarce społecznej był od wieków pobór odsetek od pieniędzy, pożyczanych bez żadnej straty dla wierzyciela — jedynie w tym zamiarze pożyczanych, aby zgarniały do siebie nowe pieniążki. Wnioskiem, do którego prowadzi nowy doktór nauk społecznych, jest to, że poglądy teologów i ustawodawców średniowiecznych były zasadniczo i zbawienne dla społeczeństwa, i oparte na silnych podstawach obyczajowych. Rozprawa ta dotychczas wyszła w nielicznych odbitkach dla użytku grona uczonych; Tablet oczekuje, że ta praca na nowo wydana do rąk ogółu dojdzie, jako jeden z najpożądańszych przyczynków do obrony Kościoła.

Kiedy Leon XIII wzywa nas do pracy nad poprawą każdego stosunku, z krzywdą nędzarzy połączonego z winy wolnomyślnych rządów — nie dziw, że Anglia katolicka wita radośnie naukowy występ księdza Irwina, zdolny zatkać pieniążkom nędzarzy drogę do kieszeni mocarzy pieniężnych.

PROŚBA O KATOLICKĄ OBRONĘ HINDUSÓW PRZED NIEWIARĄ.

Ostatnie miesiące ubiegłego roku widziały w Oxfordzie żywy ruch umysłowy między miłośnikami filozofii: pan of Balliol, zwolennik nowego hegelianizmu w Anglii, zamierzył wprowadzić w tamtejszy świat uczony pana

Brahmabandhava Upadhyaya, bramina, który przeszedł na łono Kościoła Powszechnego. Hindus katolik przedstawiony filozofom europejskim przez hegelianistę: był to związek pojęć niezwykły; zaciekawił też oxfordzkich uczonych i zebrał ich licznie na odczycie, z którym wystąpił pan Upadhyay. Treść jego odczytu była także niespodzianką bardzo ciekawą.

Hindus wystąpił z zarzutem przeciw angielskim przekładom i wykładom Vedanty, jako niewiernym i przekręconym przez językoznawców nie obeznanych z metafizyką. Odczyt podawał właściwą myśl, spaczoną w przekładach, i wywołał podziw u uczonych księży obecnych, którzy orzekli, że taka filozofia jest katolicką pod każdym względem. O tem to właśnie głęboko przekonany Hindus widzi we właściwej myśli filozoficznej swoich przodków drogę najgładszą, po której do jego rodaków dziś może iść Kościół Powszechny. W tej też myśli pan Upadhyay zaczął w *Tablecie* ogłaszać rozprawy pod nagłówkiem: Chrześcijaństwo w Indyach, i wskazuje pole, jak sądzi, nader żyzne dla posiewu nauki Chrystusowej.

Rozprawy te dotyczą zarówno metafizycznej myśli indyjskiej, jak też ich ustroju społecznego, czyli owych słynnych kast, o których, podług pana Upadhyaya, tak opacznie rozumują Europejczycy, jak niewiernie przełożyli Vedantę. Istotnie w metafizyce myśl indyjska miała dojść do wspaniałego teizmu, który w swoich wnioskach istotnych cudnie idzie w parze z filozofią św. Tomasza. Tę uwagę wyświeca wykład pojęcia „Mai“ [1], które służy, żeby przedstawić Boga jako pierwotną przyczynę świata, ale nie wystarcza do szczęścia ostatecznego: to wymaga już stosunków z Bogiem i jego widoku bez zasłony „Mai“. Przy tym wykładzie pan Upadhyay wprowadza Europejczyków w odrębny świat: co nasi filozofowie mgliście wyrażają przez wyrazy oderwane, to Hindus żywo obrazuje podobieństwami i przedstawia w blizkim związku z człowiekiem. Filozofia katolicka wyrażona wschodnią mową na wzór Vedanty nabiera dziwnego uroku.

---

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, t. XXXIII, str. 382.

Metafizyka bramińska głęboko wpaja w umysł Hindusa zasadę, że tylko sam widok Boga bezpośredni stanowi szczęście godne człowieka i zapłatę właściwą za trudy jego żywota: stąd to filozofia ich wkracza w obyczaje i stawia zapory do tych zdobyczy szczęścia ziemskiego, które u innych narodów uchodzą za zapłatę za żywot w pracy. Tak naprzykład w Europie wielu pracuje z myślą, że przez pracę już nie tylko w swoim stanie dolę poprawią i zdobędą dobrobyt, ale nawet postąpią na wyższy szczebel wśród warstw społecznych: o takiej to nagrodzie nie pozwala marzyć filozofia Hindusów. Bądź — uczy — każdy dobrym pracownikiem w swoim stanie; kochaj swój zawód szczerze i przykładaj sił, aby spełnić znakomicie obowiązek swój właściwy. Nie wyższego stanowiska szukaj w nagrodę, tylko na swoim stopniu społecznym wytrwaj chlubnie, a całą nagrodę wypatruj po śmierci, kiedy zobaczysz Boga.

Osobom niezwykle obdarzonym zasobami, które przerastają ich pole pracy zawodowej, ten filozoficzny ustrój zostawia drogę na wyższy szczebel, i to tem łatwiej, im mniej tych osób potrzeba wśród warstwy, przepełnionej już innemi. Ale wyjątki nie naruszają zasady: przeciętnie każdy Hindus trwa w swoim stanie i w nim przez pracę łączy duszę z Bogiem, którego pragnie jako nagrody jedynej.

Tak zdaje Hindus sprawę z przewodniej myśli swojego społeczeństwa i wzywa Kościół do jego obrony przed wolnomyślną oświatą, którą szerzy Anglia dzisiejsza. Ta Anglia wszczepia przez swoje uczelnie w umysły młodzieży pogardę dla całego świata rodzimej myśli indyjskiej, zaprząta umysły Darwinem i Spencerem, burzy ustrój społeczny i pędzi swoich wychowańców na pole wyścigów o złoto. Niższe i wyższe zakłady naukowe wydają wykolejonych niedowiarków, odartych z wszelkiej zasady obyczajowej i z wszelkiej czci dla Vedanty, zarówno jak dla Ewangelii. Przytuliskiem takich dusz zwichniętych nazywa pan Upadhyay buddaizm i w nim widzi bezbożną naukę rozstroju społecznego, którą porównuje z europejskim socyalizmem. Na ten stan groźny duszy indyjskiej uczony bramin wskazuje tylko jedno lekarstwo: wytężoną pracę Kościoła.

Do wywodów myśliciela indyjskiego znajdujemy wymowny przyczynek w piśmie Anglika, pana Huga Clifforda, który w *Spectator'ze* zdaje sprawę z wyznaniowych stosunków indyjskich. Mianowicie w ciągu dziesięciu lat 1891—1901 Hindusi stracili do sześciu kroć sta tysięcy współwyznawców, co na ich liczbę dwustu kilku milionów nie stanowi ani jednej całej odsetki. W tymże czasie Islam w Indyach wzrósł o 8%, buddaizm uzyskał blizko 26%, a Kościół nieco mniej od buddaizmu. Słowem na społeczeństwo indyjskie działają obecnie najsilniej dwa prądy: jeden rozkładowy, w rodzaju naszych chorągwi przewrotu, gotuje Hindusom potoki krwi, a w obronie przed temi klęskami jedno tylko chrześcijaństwo kroczy poważnie i wywiera wpływ znaczny na społeczeństwo.

Zakłady wychowawcze katolickie uderzają Hindusów jako ogniska oświaty, którym żadne inne uczelnie sprostać nie mogą. Wystarczy tu wspomnieć, że w Bengalu katolickie szkoły dostarczyły 43 uczniów uwieńczonych nagrodami rządowemi na liczbę 69 wszystkich. Wogóle na wszystkich ukończonych uczniów i słuchaczy wyższych uczelni, ośmdziesięciu na stu wypada uczni zakładów katolickich.

Poglądy myśliciela indyjskiego jednak niemile dotknęły Anglików, którzy umieścili już kilka odpowiedzi w *Tablecie* i zarzucają, że nie możebny to zamiar pogodzić Vedantę ze świętym Tomaszem. Zarzuty angielskie wyglądają przecie oparte na zwrotach Vedanty, branych ściśle i dosłownie, kiedy uczony Hindus wymaga dla nich wykładu przenośnego, zgodnego z obrazową mową wschodnich pisarzy.

CENTRUM HOLLENDERSKIE STRACIŁO SWOJEGO WINDHORSTA.

Czytelnicy *Przeglądu* wiedzą o rozwoju ducha katolickiego w Hollandyi, który wniknął głęboko w życie tego narodu i skłania nawet rząd protestancki do lepszych stosunków z papieżem[1]. Zwycięstwa odniesione w tym kraju przez Kościół, okryły chlubą imię księdza Schaepmana, pierwszego w latach obecnych holenderskiego poety

[1] Por. *Przegl. Powsz.* t. XXV, str. 293; t. XXIX, str. 295.

a co więcej, wodza katolickiego obozu, za co zdobył sobie nazwę holenderskiego Windhorsta. Rozpoczął swój zawód kapłański na profesurze w jednem ze seminaryum, ale okazał wkrótce taki zapał do spraw powszechnej wagi i rozwinął taki dar wymowy, że wkrótce zwrócił na swoje zalety uwagę ogólną i zyskał krzesło poselskie w Amsterdamie. Tu zjednał sobie cześć u wszystkich stronnictw poważnych i użył całego wpływu, aby na wzór Centrum niemieckiego zdobyć swoim współwiercom poważne stanowisko wobec rządu, jeszcze nieprzychylnego Kościołowi. Ufny w pomoc Bożą dla dobrej sprawy, założył pisma *Het Centrum* i *Noorder* i toczył w nich chlubne boje za prawdę. Nacierał na przeciwników w porę i nie w porę; za ten natarczywy sposób walki stracił na chwilę łaskę nawet u wielu współwyznawców, ale trwał na stanowisku, zachęcany do walki nieustannie listami Leona XIII. Dokonał też dzieła znakomitego w rozwoju Hollandyi: złączył przy sobie dostateczną liczbę i katolickich posłów i nawet protestanckich tak, że ich skojarzona siła obaliła przed paru latami rząd wolnomyślny i doprowadziła do ministeryum chrześcijańskiego. Dopiero ten owoc jego trudów przejednał księdzu Schaepmanowi umysły nieprzychylne między jego współwyznawcami i oddała pod jego duchowe przewodnictwo całą pracę katolicką. Widok ożywionego już w Hollandyi ruchu społecznego pod chorągwią demokracyi chrześcijańskiej dowiódł światu, do czego właściwie Kościół zmierza, kiedy dochodzi do udziału w ustawodawczej pracy: odrabia pole zachwaszczone przez gospodarkę wolnomyślnych sobków, więc dźwiga lud z nędzy i tem samem wywołuje przeciw sobie ruch śród socyalistów. Po zwycięstwie nad liberalizmem poprowadził tedy ks. Schaepman swoich rodaków do walki przeciw czerwonej chorągwi, — walki, jak wiadomo, toczonej dziś zacięcie w Hollandyi. Wódz katolicki zapragnął w tych zapasach pokrzepić ducha przy Leonie XIII; udał się do Rzymu, gdzie znalazł więcej, niż przypuszczał: świątobliwie skończył żywot zwycięski i poszedł po nagrodę.

Z protestanckiej strony *Standard*, pismo urzędowe Kuypersa, a nawet ze strony wolnomyślnej *Nieuwe Courant*, umie-

ściła bardzo pochlebne dla Kościoła pośmiertne uwagi o jego dzielnym obrońcy.

Niedługo katolicy hollenderscy czekali, aby znaleźć następcę po księdzu Schaepmanie: znowu połączyli siły ze zachowawczem stronnictwem protestanckiem przeciw liberałom i socyalistom, — i uchwalili wybór pana Aalbersego, doktora praw i wydawcę pisma *Katholick Sociaal Weekblad.* Z dobrą otuchą Hollandya spogląda na tego męża, który zasłynął już jako pisarz wybitny, zwłaszcza przez dzieło przeciw swobodnemu współzawodnictwu w przemyśle, wprowadzonemu przez szkołę manchesterską. Na niego też padł wybór na assesora spraw społecznych w Leyden: zaszczyt pierwszy raz od czasów reformacyi wyświadczony katolikowi.

STANOWISKO BISKUPA WŁOSKIEGO WOBEC STREJKU ROLNEGO.

We Włoszech nie przebrzmiał jeszcze głos księdza Jeremiego Bonomelli, biskupa z Kremony. Groza strejku, podniecanego przez socyalistów, natchnęła biskupa słowami, o których piśmiennictwo czerwone nie doniosło ani nie doniesie, bo widzi w tych słowach dowód oczywisty, jak odbiegło od prawdy daleko w swoich opisach duchowieństwa. *Vorwärtze, Naprzody, Avanti* i inne tego pokroju pisma ciągle szkalują duchowieństwo, jakoby popleczników bogaczy, wrogów nędzarzy: aż wobec grozy zatargu między warstwami biskup podnosi głos i wypowiada przestrogi najrozsądniejsze dla roboczego ludu, aby w nim wzbudzić głębszą rozwagę przed wybuchem zatargu, a z drugiej strony przemawia biskup do pracodawców słowami któremi przypomina rzeczywiście swojego patrona Jeremiasza.

„Właściciele i panowie, — gromko woła pasterz owczarni,— słuchajcie co wam powiadam w imieniu ludzkości i sprawiedliwości, w imieniu Bożem i dla waszego dobra.

„Nie wolno wam obcować szorstko, jak to bywa, z robotnikami najemnikami: wszak to ludzie, jak wy, to wasi bracia a może nawet lepsi od was w obliczu Bożem. Wasza mowa do nich, jeżeli brzmi jak rozkaz dumnie, groźnie, obelżywie, ubliża wam i upokarza was; przestańcie tak mówić. Biedny robotnik

także czuje obelgę, której dozna od was, a chociaż milczy, to nie obojętnie, nie nieczule, ale ze strachu, W jego sercu wzbiera i kipi gniew a może nienawiść ku wam. Po cóż ich obrażać, smucić, krzywdzić, często bez powodu? To niegodne was, ludzi i chrześcijan.

„Wasze wybryki was krzywdzą i zaostrzają walkę między waszą warstwą społeczną a ich stanem.

„Właściciele i panowie uiszczajcie się swoim ludziom ze zapłaty ugodzonej słusznie; mają prawo, i oni i ich rodziny, żyć godnie jako ludzie i jako chrześcijanie z pracy rąk. Do czegoż targi z nimi o kilka groszy, kiedy dla rozrywki, dla zachcianki trawicie setki na marne!

„Właściciele i panowie nie przeciążajcie robotników robotą nad miarę czy długą czy ciężką a zwłaszcza kobiet i dzieci. Nie wolno wam narażać zbyt ich sił, ani zdrowia, ani życia, wszak to nie niewolnicy, ale wolni obywatele, zależni od was co prawda, ale pomimo tego ludzie i godni czci.

„Właściciele i panowie! jesteście niesprawiedliwi, kiedy dostarczacie im ziarna i zmuszacie, żeby płacili szóstą część albo więcej plonu, każecie im tedy waszą pożyczkę opłacać podwójnie albo jeszcze drożej.

„Właściciele i panowie! jesteście twardzi i niesprawiedliwi, kiedy nie płacicie robotników na czas oznaczony, kiedy im wypłacacie ziarnem nadpsutem, kiedy im nie pokazujecie rachunków. Jesteście niesprawiedliwi, kiedy im narzucacie swoje własne przyrządy, korzystając z ich pracy i wyzyskując ich prawa.

„Jesteście niesprawiedliwi, kiedy zmuszacie ich do pracy w dzień święty; depczecie nogami ich sumienia, ani nie przyczyniacie im zapłaty.

„Właściciele i panowie! jesteście twardzi i niesprawiedliwi, kiedy mieścicie swoich ludzi w pomieszkaniach za ciasnych, bez światła, wilgotnych, dusznych i czasem przeznaczonych dla obu płci bez różnicy.

„Niech was nie razi swobodna mojego słowa: słów ewanielii nic nie wiąże, rzekł apostoł, a przemawiam skądinąd dla

waszego pożytku nie tylko wiekuistego, ale też doczesnego. Bóg widzi, że tylko troska o wasze dobro każe mi mówić.

„Jedną z klęsk naszego kraju bogatego — to mówiłem i powtarzam — są bezustanne podróże właścicieli. Nie łatwo to polubić ani dbać o to, czego kto nie widuje nigdy albo chyba rzadko. Jakże chcecie pokochać tych wieśniaków, zająć się nimi i ich sprawami, wspierać ich, jeżeli nie widujecie ich nigdy albo nie znacie ich nawet? Jeżeli nie możecie osiąść tutaj, na swojej roli i pośród swoich robotników, przynajmniej odwiedzajcie ich kilka razy w roku, przypatrzcie się im na własne oczy, dowiadujcie się prawdy. Obowiązek to święty, co na was cięży, nie mocą ustaw, ale z prawa obyczajów i z chrześcijańskiego zakonu. Pobyt wasz, odwiedziny wasze pocieszą ten lud i rozweselą, owszem was rozweselą samych. Bogacza otaczają dobre uczynki, a dobre uczynki zbliżą do was ten lud, który dziś żyje zupełnie poza wami. Ciągniecie ze swoich majątków dochody i dążycie gdzieindziej je wydać. Czy to przystoi? Czy to słuszne? Odpowiedźcie! kolej na was, bogaci właściciele. Jeżeli nie zdobędziecie się na przedsięwzięcie, aby zstąpić między lud, aby zbratać się z nim, aby iść do niego z miłością i pomocą dla ciała i duszy, lud wstąpi aż do was, a jak i którędy? to możecie sobie wyobrazić sami.

„Powiadam głośno: ruchu obecnego nie można opanować mocą; szaleniecby to myślał. Siła, która rozstrzyga wszelką sprawę, wszelką walkę, która unosi ze sobą, ta spoczywa w liczbie: chcę powiedzieć w ludzie. Póki lud nie znał swojej siły którą dzierży w swoim głosie wyborczym, a po części w mocy ramienia, wy, bogaci, mała liczbo, mogliście żyć spokojnie. Dzisiaj lud siebie już świadom; w świetle nauki ujrzał swoją siłę, potrzebę zgody, i znalazł sobie ludzi na przewodników. Władza już przeszła albo przejdzie w jego ręce; on już panem i jako taki, rozumiecie, nie łatwo przystanie na ubóstwo i posłuszeństwo.

„Czy orężnem wojskiem utrzymacie lud w posłuchu? Przeciw duchowi oręż ziemski tępieje, rdzewieje, i nakoniec wypada z ręki. Inną widzę broń przed klęską zawisłą nad nami: jedyną

broń ducha, który rozprasza przesądy, urządza królestwo miłości wzajemnej, tchnie ewanielią, utrzymuje tę równość, co sama możliwa i słuszna, jednoczy różnice przez miłość".

Na tych ustępach zmusza poprzestać brak czasu i miejsca. Ale czyż tych ustępów nie dość? Czytelnik polski widzi, że jego biskupi ze słowami pełnemi siły nie stoją odosobnieni wśród duchowieństwa w Europie.

KOŚCIÓŁ WE FRANCYI NIE ZNAJDUJE OBRONY STOSOWNEJ.

Dziś nie do wyjątków należą głosy biskupów odważnych i świadomych, czego od nich wymaga rozstrój stosunków. Nie całe duchowieństwo zasłużyło sobie na zarzut, iż wszędzie i zawsze nader przezornie i w każdem słówku oględnie wymierza małemi dawkami ewangeliczną prawdę, aby nie ściągnąć na siebie gniewu żadnej warstwy społecznej wobec grozy czerwonej chorągwi. Nie o całym obozie kościelnym można powtórzyć świadectwo, złożone w *Univers'ie* o części francuskiego społeczeństwa — wobec jednego z zamorskich kardynałów — słowami:

„Na naszej półkuli świata starego, Eminencyo, bywa i to, że ruch robotniczy (a nie o socyalizmie mówię) spotyka u wielu nieuleczalne przesądy; wszelki poryw warstw roboczych ku samorządowi w stosunkach społecznych i w dziedzinie ustawodawczej uchodzi wobec umysłów nader roztropnych za krok niewątpliwie zwrócony na tory socyalistów. I te przesądy, te wstręty, które aż nazbyt często przezierają u synów Kościoła najgodniejszych czci, sprawiają ten skutek bolesny, że całą rzeszę robotników odtrącają do obozów przeciwkościelnych i przewrotowych".

Ten lęk przed niebezpieczeństwem nowej walki, do której stosunki wzywają, dość odpowiada dziwnemu stanowi pojęć wśród katolików francuskich. Ci i owi narzekają, że oręż z dawnych czasów już im nie służy do zwycięstwa nad potęgami niewiary; niektórzy nawet wobec prześladowczych obozów, radykałów i socyalistów składają dowody bohaterskiej odwagi, ale do żadnej walki jednolitej nie skupiają sił. Codzień nowe ciosy, wymierzane przeciw Kościołowi, mogłyby otrząść umysły

z nieporadnego niedołęstwa: nieszczęściem ani jeszcze nie ocuciły lekkomyślnych, ani nie rokują nic lepszego na czasy najbliższe. Ostatni zeszyt *Correspondant* składa swoim rodakom smutne świadectwo: „Przechowamy w pamięci szlachetny opór, na kilku miejscach stawiany tyranii prześladowców Kościoła. Są to czyny jednostek a nie stanowią jeszcze tej walki obmyślanej i wytrwałej, której możnaby wymagać od narodu, zagrożonego w prawach najdroższych. Czemuż ta walka nie wybucha? Czemu, gdzie bezprawie oczywiste, kiedy jego wykonawcy w niem chluby szukają, nie wszczyna kraj rokoszu? Do tego przeszkadza najstraszniejsza rozterka. Kiedy prześladowcy idą wałem, ich przeciwnicy trawią czas na sporach, kto zawinił w nieszczęściu ogólnem, każdy sam winę strąca na drugich...“

Kto tak pojmuje swoje obowiązki w dzisiejszej dobie, ten niech sam zdaje sprawę za siebie i ze sposobu, jak pojmuje hasła, podnoszone dzisiaj w Kościele. Przecie nam w Polsce nie trudno rozumieć, do czego nas wzywają za głosem apostolskim Leona nasi Pasterze. Ostatnie miesiące w rozwoju Kościoła okazują, że w przeróżnych ludach już rośnie i rozkwita myśl na polu, na którem dziś Wiara ma odnosić główne zwycięstwa. Na polu nauk społecznych w obronie prastarych poglądów prawa kościelnego, Anglia dziś oklaskuje pracę Irwina, zdolną zawstydzić niejednego ekonomistę z pod chorągwi czerwonej. W zapasach z tą chorągwią Holandya święci pamięć niestrudzonego demokraty chrześcijańskiego. Włochy słyszą biskupa, zdolnego równie przerazić socyalistów, jak arcybiskup Bilczewski, na którego list towarzysze czerwonego znaku natychmiast wiecem odpowiedzieli osobnym. Aż po Indye sięga oczywista prawda, że dziś o społeczeństwo żadna potęga znaczniejsza nie idzie w zapasy z nikim, tylko hasło chrześcijańskie z hasłem przewrotu.

Ks. K. Czaykowski.

Pogadanka artystyczna.

Śmierć Siemiradzkiego. — Nowe stadyum Muzeum Narodowego. — Polemika o polichromie Tetmajera i Mehoffera. — Pomnik Jadwigi. — Pomnik Grottgera. — Biegas i Glicenstein. — Wystawy rysunków, rycin i fotografii. — Wyspiański, Kamieński, Stankiewiczówna. — Obrazy Ruszczyca. — Towarzystwo „Sztuka".

Henryka Siemiradzkiego, twórcę „Świeczników chrześcijaństwa" zwanych również „Żywemi pochodniami Nerona", artystę zasłużonej sławy, zabrała śmierć 24 sierpnia 1902 r. i zrobiła wielki, bo niepowetowany, wyłom w szeregach malarzy polskich — a myśl ta żałobna góruje nad innemi, gdy myślimy o sztuce polskiej, jej rozwoju i stratach w roku ubiegłym. Za wzorem Almy Tademy, więcej od niego akademiczny, umiłował on przedewszystkiem świat starożytnej Hellady i rzymskiej kultury, a następnie czerpał swoje tematy z historyi Nowego Zakonu. Nie był to talent w ścisłem pojęciu tego wyrazu czysto malarski — ale raczej ideowo-literacki, którego porywał temat wymarzony w snach poetycznych. Przy wykonaniu wielkiej myśli rozrzucał perły talentu na szerokiej płaszczyźnie obrazu i, jak przez pryzmat rozpryskał się pomysł zrodzony w głowie na pojedyncze barwy tęczy a nie ześrodkował myśli i wyrazu w jedno potężne ognisko, z któregoby biła łuna geniuszu, świeciła nad inne idea, którą wypisywał w tytule dzieła. To też stanąwszy przed wielką kompozycyą artysty w Muzeum Narodowem, blednie obraz, który powstaje w wyobraźni widza na wspomnienie strasznej grozy, którą wzbudza nazwa dzieła „Żywych pochodni Nerona", bo męczenników płomienne słupy gubią się w głębi, niknie bohaterstwo i porywający bezmiernem poświęceniem zapał, poświęcenie i ofiara życia dla najwznioślejszej idei — za wiarę; a natomiast lśnią się jasne marmury pałacu cezara, łamią się promienie światła w kryształach kamieni drogocennych, ześlizgują się po złotych okuciach wspaniałych klejnotów, lektyk czy puharów, bieleją ludzkie ciała obok ciemniejszych postaci dworzan. Wśród grup postaci, kwiecia, szat, masy perłowej i złota, ginie myśl przewodnia artysty, która świecić była powinna ponad wszystko. Siemiradzki jest prawdziwym i szczerym malarzem kiedy nie stawia wielkich zadań, kiedy założenie pomysłu nie wychodzi poza ramy jego talentu, kiedy maluje włoski pejzaż przycieniony drzew konarami, kiedy przez strop zielonych liści

przemykają słoneczne promienie i rzucają jasne plamy na ziemię, na omszone marmury, kwietniki pełne róż a z pod gałęzi odsłania się błękit pogodnego włoskiego nieba i lazur morza, wtedy to rozlewa się poezya na płótnie, a wykwintna linia kreśli z upodobaniem wymuskane kontury ciała ludzkiego. Pod tym ostatnim względem, wskutek nierachowania się z obyczajowymi postulatami, wywoływał czasem protest w społeczeństwie. Jego martwa natura po mistrzowsku ujęta i wybrana, olśniewa prawdą i jasnym kolorytem, choć obraz nie porywa dramatem ni też energią i życiem.

Serce u niego szlachetne, polskie, gorące i w dniach październikowych r. 1879 na uczcie jubileuszowej na cześć J. I. Kraszewskiego, gdy wznowiono myśl założenia Muzeum Narodowego — on wtedy powstał i w słowach nacechowanych skromnością i prostotą oddał iście królewski dar narodowi: „Pochodnie Nerona“ i rzucił pierwszą podwalinę pod Muzeum, które dziś zapowiada się być w całem tego słowa znaczeniu instytucyą narodową, którą się słusznie chlubić będziemy mogli. Rada miasta Krakowa postanowiła uczcić wiekopomne zasługi dobrego syna Polski złożeniem zwłok jego na Skałce.

I zdarza się właśnie, iż rok ubiegły stanowił o zamknięciu dawnej epoki dwudziestoletniego istnienia Muzeum Narodowego a rozpoczęcia nowej ery pod dyrekcyą d-ra Feliksa Kopery, który po ś. p. Władysławie Łuszczkiewiczu ujął w energiczną rękę ster instytucyi i w przeciągu niesłychanie krótkiego czasu, bo zaledwie w półtorarocznym odstępie zreorganizował zupełnie zbiory i zarząd muzealny. Muzeum Narodowe stało się odtąd prawdziwą ostoją kultury polskiej, w której skupiają się zabytki naszej przeszłości, a przy ożywionej ofiarności publicznej oraz obudzonem zainteresowaniu się losami Muzeum, spodziewać się mamy prawo, że Muzeum stanie się niezadługo pierwszorzędnej wartości zbiorem, którego znaczenie wychyli się poza granice kraju; dość powiedzieć, że liczba darów i depozytów złożonych w Muzeum za czasów nowego dyrektora przekroczyła liczbę 10.000 sztuk, jest to sukces wprost zdumiewający, ilustruje tę cyfrę jeszcze liczba zwiedzających, która w roku 1901 wynosiła 9.813 osób, zaś w 1902 r. podniosła się nagle do 25.826 osób, wreszcie dochody ze wstępów z 2000 K., podniosły się w r. 1902 do 10525 K. Są to cyfry, które same chwalą tego ducha energii i czynu, jaki wniósł z sobą do Muzeum Narodowego dr. Kopera, — ale to nie dosyć, bo i energia i wola dobra nie wystarczą tam, gdzieby nie było jasnego pojęcia o celach instytucyi, o jej względem społeczeństwa obowiązkach i gdyby

nie towarzyszyła tym przymiotom wyborna znajomość przedmiotu. Z krakowskich uczonych niewątpliwie nikt tak doskonale nie zna wszystkich europejskich muzeów, nikt tak nie zbadał fachowo, umiejętnie i z niesłychanem zamiłowaniem urządzeń zagranicznych, jak właśnie dr. Kopera, to też przy wrodzonem poczuciu piękna, wielkim zmyśle estetycznym potrafił urządzić sale muzealne z gustem, który zadowalnia najwybredniejszy smak. Nie powiem, żeby zadowolnił wszystkich bez wyjątku, bo już to pod względem tego, co nazywamy pięknem, panuje tysiące zdań, zawsze ze sobą sprzecznych, zajmujących jak dwa rozbieżne bieguny dyametralne stanowiska, zależne nie tylko od umysłowej kultury jednostki, ale również od miary boskiego pierwiastku, który spoczywa w duszy ludzkiej i wywołuje harmonijny oddźwięk na głos melodyi linii i barwy. Nie należy więc zbytniej przykładać wagi do wypadków takich, jak np. gdy malkontent ze sportu, węglarz krakowski lub humorysta — dziennikarz, prawdziwi bracia Epimeteusowi, zjawiwszy się na przeobrażonej sali muzealnej wszystko nicują krzykliwie i głośno wypowiadają pełne naiwności opinie, jak według ich pojęć byłoby składniej i ładniej, gdyby tylko ich zechciano posłuchać i im oddać ster przybytku piękna. Atoli wypadki takie należą do rzadkości i ogół z uznaniem oddaje hołd tej pracy, spełnianej z własnem zaparciem się i poświęceniem. Nie braknie też uznania obcych, bo czy uczony z Neapolu, czy szwedzki artysta ze Sztokholmu, pruski profesor sztuki z Berlina lub wysoki dygnitarz z Petersburga, co cały świat w swych podróżach obiegli, nie mają dosyć słów podziwu dla wykwintnego i pomysłowego urządzenia muzealnego — i słusznie też znany mecenas sztuki z Wiednia hr. L. nazwał sale muzealne Sukiennic prawdziwą nowożytną oazą kulturalną starego Krakowa.

Krakowskie zbiory, jak są, wykazują jeden kardynalny brak, — nie mają kontaktu bezpośredniego z wielką współczesną sztuką na Zachodzie. Wypełnić tę lukę zdołałby gdyby zechciał jeden tylko człowiek, który posiada te prawdziwe skarby Sezama daleko od nas, na wsi w Rogalinie, gdzie je mało kto zobaczyć może. Szczęśliwym ich właścicielem i twórcą jest mecenas i niepospolity znawca sztuki hr. Edward Raczyński, który, obdarzony najwykwintniejszym gustem, potrafił zebrać najpyszniejsze dzieła francuskiej sztuki, perły malarstwa polskiego. Gdyby więc tego magnata polskiego, który tak umiłował sztukę, natchnął geniusz dobry myślą przeniesienia swych zbiorów do Krakowa i gdyby uprzystępnił je całemu narodowi, wniósłby do pol-

skich Aten, w stary gród nasz nowe zarzewie kulturalne a zaskarbiłby sobie pamięć i wdzięczność wiekopomną narodu.

Niejednokrotnie na sąd nasz o dziele sztuki wywiera wpływ nie tylko odmienny punkt widzenia, wywołany poziomem wykształcenia humanitarnego, opatrzeniem się i większy lub mniejszy zasób wiadomości z zakresu dziejów sztuki, ale również temat sam i nasze gorące umiłowanie pomnika, z którym powiązane są najszlachetniejsze nasze uczucia miłości ojczyzny. Jakżeż różne były i są zdania o odnowieniach sędziwych i tak przez naród cały umiłowanych zabytków na dumnej królewskiej osiadłych skale Wawelu. Ileż snów naszych i marzeń miliony związało się z świątynią naszej narodowej sławy, ileż serc gorących bije na jej wspomnienie, a każdy z nas pragnąłby tę królowę widzieć promienną i ustrojoną w najpiękniejsze złociste szaty, pełne blasku i godności — ale powiedzmyż otwarcie każdy z nas widzi ją przez jakiś cudowny pryzmat własnej wyobraźni, która prześciga rzeczywistość i możliwość. Stąd pochodzi ta rozbieżność sądów, rozliczność zdań, odmienność stanowiska w poglądach na sprawę a porzucenie ostatecznie wobec tego chaosu opinii ściśle z góry unormowanego wiedzą archeologiczną i znajomością wspomnień historycznych zasadniczego i jedynie racyonalnego stanowiska. Hr. Karol Lanckoroński wydał w ostatnim czasie broszurkę: „Nieco o nowych robotach w katedrze na Wawelu“, w niej wytrawny i znany esteta, którego znawstwo i subtelność sądu ceni wysoko Wiedeń, zupełnie jasno i bardzo trafnie wypowiedział swe zdanie o zasadniczem stanowisku w sprawie restauracyi katedry, ale już w drugiej części broszury zapomniał o zasadach i poszedł za własną predylekcyą, tkwiącą w duszy każdego, sprzeniewierzył się w sądach własnej zasadzie i dał się ponieść uczuciom poza granice własnego zdania we wstępie wygłoszonego.

Przypatrzmy się sprawie bliżej, mianowicie co do polichromii kaplicy Zofii i skarbca katedralnego.

Kompozycya Włodzimierza Tetmajera w kaplicy królowej Zofii wyobraża Pana nad Pany królującego w majestacie w niebie. W dośrodkowem otoczeniu tego słońca światów wznoszą modły za wiarę i ojczyznę święci polscy w otoczeniu aniołków pojętych jako małe wiejskie dzieweczki z wianuszkami na głowach, w złocistych gorsetach, ze srebrnemi skrzydłami orłów polskich z różnych epok. Na dwunastu polach sklepiennych widnieje rozłożonych dwanaście grup religijno-narodowych. Św. Kinga wiedzie przed tron Najwyższego męża Bolesława Wstydliwego, św. Jadwiga śląska Przemka wielkopolskiego i Władysława

Łokietka. W następnem przęśle sklepiennem św. Wojciech prowadzi Mieszka, Dąbrówkę i Chrobrego, pojętych jako półkrólów a półchłopów w charakterystycznych bogatych krakowskich strojach: dalej wstępują ku górze Kazimierz Wielki, Jadwiga i Jagiełło. Po nich ze złotym wiekiem przybywają św. Kazimierz Jagiellończyk, wiodący Zygmunta I i Zygmunta Augusta A dalej św. Jacek i Batory, św. Jan z Dukli i Sobieski, św. Stanisław Kostka z Władysławem IV i Janem Kazimierzem. W dalszych kręgach podnoszą się przodownicy duchowi narodu: bł. Wincenty Kadłubek z Kopernikiem, Kochanowskim i Długoszem, św. Jan Kanty z Kościuszką, Mickiewiczem i Janem Matejką, te trzy wielkie polskie dusze, potem znów św. Stanisław Szczepanowski z ks. Piotrem Skargą, św. Szymon z Lipnicy z jenerałem Henrykiem Dąbrowskim, przedstawicielem obrońcy honoru ginącej Polski. Kompozycye tych polskich chórów zamykają jakby gotyckie wsporniki dwa archanioły, jeden w insygniach koronnych, drugi litewskich. Na ścianach bocznych wyobrażony najdroższy narodowi kult dla Najświętszej Panny, wyobrażony w obrazach Matki Boskiej częstochowskiej, ostrobramskiej, berdyczowskiej i kalwaryjskiej — których syntezę odnajdujemy na piątej płaszczyźnie w obrazie p. t. *Regina Regni Poloniae*, Matkę Boską na tronie, do którego stopni przynieśli dwaj archanieli postać królewską w czarnej szacie z pochwą zatraconego miecza, u jej głów orzeł biały, rycerz z Pogoni litewskiej i Michał Archanioł. Panna Najśw. błogosławi leżącą i zdaje się wypowiadać słowa, wypisane na całunie: *Non mortua sed dormit.* Poniżej anioł niby herold średniowieczny dmie w trąbę, na której zwieszającym się proporcu widnieje napis: *Surge!* Poniżej wspaniałe na ścianach pionowych ścielą się obrazy łączące kaplicę z postacią królowej Zonki Jagiełłowej, fundatorki kaplicy. Pod obrazem Ostrobramskiej widzimy królowę we wspaniałej sukni wzorzystej turkusowego koloru z synami, Warneńczykiem, dzierżącym miecz ogromny i Kazimierzem Jagiellończykiem. Dalej pod Matki Boskiej Częstochowskiej obrazem widzimy ślub Zonki z Władysławem Jagiełłą na Wawelu. Wreszcie na ostatnim polu świętej patronki postać: Zofii z trzema córkami, trzymającemi godła wiary, nadziei i miłości; ponad nią zaś unosi się Trójca Przenajświętsza otoczona falą płynącą aniołów, których smuga długa obejmuje naokół wolną przestrzeń nad ołtarzem. Dolne pola ścienne odgraniczone przepysznym fryzem o motywie srebrnych, jakby w szlachetnym białym kruszcu wykutych orłów stylizowanych, pokryte są powłoką czerwieni pompejańskiej, zaś

architektoniczne rozczłonkowania oznaczone pasami ornamentowanymi na sposób budowy.

Cała kompozycya polichromii rozumnie wiąże się w jedną harmonijną całość i z niezmierną szczerością uczucia pojęta zachowała przepiękną miarę w użyciu uszlachetnionych ludowych i narodowych motywów. Przy bardzo silnych kolorystycznych efektach jest w tem wszystkiem odbicie się tej pogody czystej duszy i gorącego serca, które śpiewa własną nutę a wierzy wiarą ufającego dziecka w bezwzględną prawdę i świętość narodowych ideałów, takiem natchniony uczuciem wypowiada autor świetnej tej polichromii myśli swoje w sposób artystycznie dojrzały, bezprzykładnie oryginalny i piękny.

Rozumiem dobrze, że ten pomysł tak wskroś religijno-polski, odbiegający od obcych wzorów, dostrojony kolorytem i sposobem artystycznego ujęcia w niesłychanie oryginalny sposób do malowań ruskich równorzędnej kaplicy świętokrzyskiej i gotyckiego otoczenia nie podoba się hr. Lanckorońskiemu lubownikowi włoskich i niemieckich mistrzów pendzla. Snać, że polichromia Tetmajerowska odbiega zbyt daleko swą oryginalnością i świeżością od dotychczasowych form artystycznych. Dzieło pozostanie dla swych niezwykle cennych zalet, swojem szczerem, swobodnem wypowiedzeniem się dziełem ducha polskiego i sztuki polskiej w polskiej katedrze i dlatego właśnie że jest wypływem istotnym serca polskiego, malującego nie według obcych wzorów tylko to, co czuje prawdziwie, i w co wierzy głęboko, ma znaczenie w rozwoju sztuki ogólno-światowej. Nie dziwię się, że do hr. L. nie przemówiły postacie kaplicy, i wpatrzywszy się w nie, ani zrozumiał, ani nie czuł nic, coby znalazło w duszy jego pokrewny oddźwięk, więc przeszedł nad niem do porządku dziennego, rzuciwszy słowa lekceważenia *Otez-moi ces magots là* — ale już prawie niezrozumiałem czyni jego sąd nieprzychylny, odnoszący się do wykonanej z prawdziwym talentem polichromii skarbca katedralnego przez prof. J. Mehofera, laureata paryskiego i zwycięzcę w konkursie międzynarodowym na witraże we Fryburgu. Dzieło godne podziwienia opanowaniem wybornem przestrzeni, równowagą, siłą i harmonią kolorytu, jakkolwiek pod względem świeżości pomysłu i artystycznej koncepcyi nie dorównywa polichromii Tetmajera. Na sklepieniu gotyckiem widać tu jakby drogę mleczną, przez którą mkną aniołów zastępy, siejąc gwiazdy złote na firmamencie szafirowym. Zaś na ścianach usymbolizowane uczucia chrześcijańskie i sploty kwiatów i liścia dopełniają wielkiej kompozycyi o nastroju religijnym ogólno ludzkim.

Wyraziłem się o poglądach autora dotyczących dzieł naszych malarzy ujemnie, bo mimo subtelności dowodzenia, ich racye nie przemawiają do przekonania i rażą wielką dozą uprzedzenia, która, wierzę, że z czasem, gdy autor częściej będzie trzymał za puls narodowej sztuki i będzie starał się wniknąć w nią i zrozumieć, zniknie zupełnie i przyjdzie chwila, że ją żywo odczuje, a literaturę ojczystą wzbogaci tworami swego świetnego umysłu i czynami serca, jak to uczynił, stawiając najbogobojniejszej z królowych polskich Jadwidze prześliczny pomnik, dzieło artysty Antoniego Madeyskiego, sumptem 28 000 koron w katedrze na Wawelu. Pomnik ten wspaniały wyrzeźbiony jest w marmurze, przepiękna leżąca postać królowej w koronie wykuta z najpyszniejszego serarezza (marmur obok Carrary) — nogi królowej spoczywaje oparte na charciczce, jako symbolu wierności. Królowa leży na płycie z napisem w otoku, który niestety, zniszczyć kazał hr. Lanckoroński, a zauważyć należy, iż napis wybornie harmonizował ornamentalnie z całością i stylem pomnika, dlatego bardzo żałujemy, że dla nieznanych nam bliżej powodów spaczono pierwotną myśl artysty, a pomnikowi odjęto jeden z jego rysów znamiennych. Pomnik Jadwigi jest skomponowany w duchu renesansu włoskiego z XIV wieku, w bardzo szlachetnych i prostoty pełnych liniach. Dodajmy, że sarkofag z fryzem orłów piastowskich wykuty został z jednego bloku marmuru kararyjskiego, zaś cokół zrobiony z wyśmienitego kamienia o przepięknym tonie, *gialio di Sienna.*

Rzeźba i rzeźbiarze nasi są kopciuszkami sztuki polskiej, a jednak tyle talentu prawdziwego napotykamy od czasu do czasu na wystawach naszych, a pożal się Boże, tak mało w tym właśnie dziale popytu i uznania. Prawda, że dla ocenienia rzeźby potrzeba bardziej wykształconego smaku artystycznego, żywego i świadomego poczucia formy, które rozkoszuje się samą bezbarwną skulpturą i poi oko harmonią linii w przestrzeni lub zakutym w bryle kamiennej porywem i wzlotem ducha. Akademia umiejętności rozdaje co roku z zapisu Barczewskiego nagrodę 2400 koron za najlepsze dzieło malarskie — na podobny zapis nagrodowy za najlepszą rzeźbę polską długo podobno jeszcze nam czekać wypadnie. Dyrekcya Muzeum narodowego, rozporządzająca bardzo skromnymi funduszami na zakupno dzieł sztuki, zwróciła baczną uwagę na rzeźbę i gdyby ofiarność publiczna poparła te usiłowania, wieleby w tym względzie, choćby skromnymi środkami, zrobić się dało.

W roku ubiegłym wzniesiono na plantacyach krakowskich pomnik

Artura Grottgera naprzeciw pałacu sztuk pięknych, dłuta Wacława Szymanowskiego. Wykonany z białego kamienia z półkolistą nawą, z popiersiem artysty na obelisku, którego podstawę zdobi od frontu brązowa płaskorzeźba, przedstawiająca rok 1863 w trzech symbolicznych figurach. Spokój, nastrój melancholijny lub liryczny, szlachetna linia, są przymiotami poprzedniego artysty, t. j. Madeyskiego, tymczasem Szymanowskiego znamionuje temperament, silny, niby wichrem szarpany motyw, gwałtowny ruchem i wyrazem.

Niepokój, znużenie, szał i wszystkie inne wrażenia i poruszenia duszy pragnie przyoblec w plastyczną formę Bolesław Biegas. Osobna wystawa jego dzieł, urządzona w pałacu sztuk pięknych dała nam poznać tego niepospolitego artystę w jego dziwacznych co prawda pomysłach, ale o wielkiej sile wyrazu, która nadzwyczajnością swoją, częstokroć potworną staje na samej granicy śmieszności. „Walka o byt", „Potężny Duch", „Rozmowa myśli", „Koniec świata" i t. p. nazwy towarzyszą kompozycyom, których otoczenie przeraża widza, zdaje mu się, że jakieś wizye go nękają, niepokoją — umyka od nich, by nie straszyły go jak widma pozagrobowe, i nie przyśniły się mu swym strasznym obrazem. Jakżeż innym jest melodyjny niemal w swych dziełach Henryk Glicenstein, którego wyborne plakiety przemawiają do nas mową jasną i potoczystą, formą płaskorzeźbioną zrozumiałą, śmiałą i harmonijną.

Zamiłowanie w rysunku, dla niego samego, nie było u nas nigdy dość silne, ale niewątpliwie rośnie ono, a świadectwem tego były wystawy, cieszące się w Krakowie wielkiem powodzeniem. Wystawa rysunków w Towarzystwie sztuk pięknych, zaś sztuki graficznej, oraz reprodukcyi z arcydzieł sztuk plastycznych w Sukiennicach, gdzie p. F. Jasieński i prof. Siedlecki wystawiali swe zbiory na widok publiczny, pouczały wyśmienicie naszą publiczność o znaczeniu rysunku, ryciny i fotografii. Są między artystami indywidualizmy, które w rysunku odnajdują właściwe sobie pole działania, a twórczość ich dopiero najlepiej i najkorzystniej w nich się wypowiada. Ogromnie charakterystyczny, wskroś samoistny nieraz potężny w wyrazie o niebywałem napięciu bywa Stanisław Wyspiański — linie jego ołówka dają nam czar poematu, są jakby strofami homerycznej pieśni. Ilustracye Wyspiańskiego do Iliady są mistrzowskie, jego każdy portret ołówkowy więzi duszę i chwyta najbardziej charakterystyczny rys osobnika. Portrety Kamieńskiego dają nam przedewszystkiem podobieństwo rysów ujętych z wyjątkową łatwością; jego portrety artystów: Podko-

wińskiego, Kurzawy, Boznańskiej, Fałata, Ruszczyca, Mehoffera, Wyspiańskiego i Witkiewicza, już samo przez się interesujące, odtwarzają z talentem i wiernie te postacie. W rysunku też i akwaforcie odnalazła malarka Stankiewiczówna właściwą drogę swej twórczości, jej ocienione wiejskie dworki, zadumane drzew grupy, chaty i pola są lekkie i pełne świeżej poezyi, budzą w nas poważny nastrój.

Akademia Umiejętności obdarzyła w roku zeszłym nagrodą im. Barczewskiego malarza pejzażystę Ferdynanda Ruszczyca, — laureat Akademii otrzymał nagrodę za obraz „Potok wiosenny". Siedząc na zapadłej wiosce ukraińskiej w Bohdanowie, umiłował artysta ten kraj baśni i zadumy, wydobył na płótnach swoich, apoteuzujących przyrodę ze świeżym i niepospolitym talentem cały swój wielki urok ziemi rodzinnej: Litwy, Rusi i Polski. Z techniczną brawurą odtwarza on „Ruiny zamku", przeglądające się w zwierciedle leniwo płynącej wody, to znów „Nad upustem" przy młynie rozświeca poświatą jasnej nocy księżycowej romantyczny pejżaż, z kłębiącą się i falami kołyszącą się wodą, lub w „Balladzie" o romantycznym zakroju snuje z wrażeń czerpanych z natury dramat zawisły w powietrzu krajobrazu i powtarza go zaludniając w swoich „Wychodźcach", tym tłumem biedaków, nędzą lub polityką nieubłaganą gnanych w nieznany świat, daleki od ojczystych zagonów. Ruszczyc smętną duszą współczuje głęboko z ludzką niedolą, wyborny obserwator natury, z którą się zżył i umiłował mimo pewnej skłonności do szkicowego opracowania, posiadł technikę, oddającą po mistrzowsku i prawdziwie półtony i blaski refleksów rozlewających się w pełnej powietrza przestrzeni widoków naszych polskich. W jego „Ziemi czarnej", znanej z premium Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych lwowskiego, tkwi siła wyrazu, apoteoza matki-żywicielki, z której leci zapach roli świeżo spłużonej mozolnie przez woły wieśniaka, w której zorane bruzdy padnie z ręki ludzkiej ziarno, zadatek plonu, zwilżą i ożywią dżdżyste krople, niesione przez ciężkie pędzone wiatrem chmury. Jednoczą się tutaj w jedno uczucie ziemia, powietrze i człowiek. Ruszczyc, jak poeta, nuci pieśń o ziemi naszej i wskazuje na cały urok zawarty czy w śnieżnem „Studyum zimowem", czy „Moście" przydrożnym, w „Kościółku wiejskim na Litwie" lub w owocowym „Sadzie", ze zwieszającemi się gałęźmi jabłoni ciężarnej cudnym urodzajem krągłych czerwieniących się jabłek. Ruszczyc, gdy Salon polski otwarto w Pradze, a potem w secesyi wiedeńskiej odniósł wielki sukces, nie tylko może dlatego, że tak wiernie podpatrzył efekta północnego nieba naszego klimatu, ale może i mieszanina rasy (matka

Ruszczyca jest Dunką) wpływa na organizacyę jego umysłu, przypominającą krainę elfów i balad ludowych, a daje mu tę dziwną moc wypowiadania dramatycznego i powtarzania najprostszych tematów naszej ziemi rodzinnej w sposób niezwykle piękny i prawdziwy.

Towarzystwo artystów polskich „Sztuka“, zorganizowane w ostatnim roku, dało dowody swej niezwykłej żywotności. Przewodzi mu Jacek Malczewski, ten dzisiaj pierwszy malarz polski. Towarzystwo „Sztuka“, urządziwszy wystawę okrężną, która obiegnie wszystkie znaczniejsze miasta polskie, zaczęło swój występ po Krakowie od zagranicy i wstępnym bojem zdobyło uznanie Wiednia. Oddział polski urządził w Secesyi wiedeńskiej i udekorował znany ze swych projektów na konkursach „Towarzystwa sztuki stosowanej“ Karol Tichy. W wystawie zaś wzięli udział najwybitniejsi z artystów polskich, więc: Malczewski, Wyspiański, Masłowski, Stabrowski, Laszczka, Mehofer, Ruszczyc, J. Czajkowski, Wyczółkowski, Tichy, Pankiewicz, Szymanowski, Aksentowicz, Stanisławski, Fałat, Weiss, Boznańska, Chełmoński i inni. A obok niezwykłego powodzenia moralnego, miała też „Sztuka“ i sukces materyalny, bo prawie wszystkie znaczniejsze dzieła znalazły nabywców, między innymi arcyksiążę Karol Stefan z Żywca nabył „Młyn“ Ruszczyca i pejzaż Stanisławskiego. Minister oświaty zakupił z przeznaczeniem dla Muzeum narodowego grupę Szymanowskiego, przedstawiającą omdlałego Mickiewicza po improwizacyi. Portret Laszczki, malowany przez Wyczółkowskiego nabył były minister Chłędowski i t. p. Publiczność wiedeńska przyjęła dzieła naszych malarzy życzliwie, z niezmiernem zaciekawieniem i uznaniem — to budzi otuchę w siłę dalszej twórczości polskiej.

Leonard Lepszy.

Ze świata muzyki.

Ksiądz Perosi we Lwowie.

W ostatnich zeszytach pomieścił *Przegląd Powszechny* znakomite studyum o Perosim, pióra ks. d-ra Surzyńskiego. Tam też odsyłamy czytelników po pogląd na historyę i istotę oratoryum, jakoteż po bliższe zapoznanie się z muzyką Perosi'ego. Po tem studyum możemy już swobodnie zdać sprawę tylko z odniesionych wrażeń na występach Perosi'ego we Lwowie.

O ósmej wieczorem początek. Estradę zapełniają powoli muzycy orkiestry Filharmonii lwowskiej, chór mieszany „Lutni“ i „Chór akademicki“, dwaj śpiewacy włoscy, a wreszcie ukazuje się *maestro* ks. Lorenzo Perosi, powitany tysiącem oklasków. Rozpoczyna się pierwszy numer programu: „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy“ oratoryum w dwóch częściach.

Muzyka rozpoczyna preludyum *pianissimo*. Akustyka wyborna. Wszystkich oczy zwrócone na dyrygenta. *Pianissimo* nieco wzrasta, on się przejmuje, zapala, cała jego dusza maluje się w każdem drgnieniu ręki, w mimice, to znów muzyka opada, cichnie, przechodzi w ledwo słyszalne melodye, jemu to jeszcze za mało, zda się prosić i błagać muzyków, by jeszcze ciszej i ciszej grali.

Po preludyum, „Wjazd Chrystusa“. Z dali słychać głosy zbliżającej się rzeszy ze swym Mesyaszem: *Benedictus, qui venit in nomine Domini.* Chór coraz bliższy, potężniejszy, mistrz się zapala, przyśpiesza, nagli muzyków, illustruje mile, bez przesady z szczerem przejęciem wszystko, co się w duszy jego dzieje, a co się w muzyce dziać winno, a rzesza już coraz bliższa, już w murach Syonu brzmi potężne *Hosanna! benedictus, qui venit* etc. I znów muzyka inna, słychać głosy Żydów: *Magister increpo discipulos* i odpowiedź Chrystusa: *Dico vobis, quia si hi tacuerint, lapides clamabunt,* a potem owo sławne: *Ierusalem quae occidis prophetas* etc. Orkiestra illustruje tekst, dramatyzuje, odzywają się dźwięki przecudowne, o których na razie trudno zdać sobie sprawę z jakich instrumentów pochodzą, wspaniała, logiczna instrumentacya, niema sadzenia się na efekty wyszukane, denerwujące, a jednak zewsząd tryska życie i fantazya z miarą i uspokojeniem, z prostotą i sztuką w parze.

Partyę solową Chrystusa odśpiewał G. La Puma historyka G. Polese, obaj Włosi, partye chórowe, oba wyżej wspomniane chóry. Jednak pod tym względem śmiało twierdzić można, że część wokalna nie stanęła na wysokości części instrumentalnej, nie tylko w wykonaniu i materyale głosowym, ale, zda się, i w samej kompozycyi, która główną wagę kładzie na orkiestrę, co więcej się jeszcze zaznaczyło w następnym numerze programu i w koncercie drugim.

Śpiewacy włoscy, jakkolwiek wyszkoleni i dobrze wykonujący swoje partye, jednak albo nie dorośli do kompozycyi i do roli im danej lub też już przerośli, czas ich wielkości minął. Więcej też spodziewano się i po chórach, choć i im zarzutów czynić nie można wobec poprawnego wykonania, zważywszy krótkość czasu i inne wa-

runki mniej sprzyjające dobremu przygotowaniu. Rozczarowanie to pewno wnet się zmieniło, zmuszając słuchaczów zwracać uwagę na samą muzykę, przez co sowicie wynagrodzeni zostali.

W następujących numerach programu rozwinął *maestro* Perosi całą potęgę swego talentu, mianowicie w preludyum i w trzeciej części „Mojżesza", „Przejście przez morze Czerwone". Utwór ten nie jest ściśle oratoryum; głosom mała rola przydzielona, a głównie orkiestra, jest zaś, jak sam autor nazwał, *poema simfonico-vocale.*

I rzeczywiście jest to jedna poezya tonów. Zdaje się, że widać rozstępujące się fale i lud wybrany idący po dnie morza a za nim goniących Egipcyan, a wreszcie słychać wzmaganie się fal i ryk olbrzymi i pogrążenie wojska w odmętach morza.

Tu uprzedzenia prysły, a rozczarowanie poprzedzające porwał gwałtownie czar liryki i tragiki tonów. Rzuciłem okiem po sali. Sztuka potężnie przemówiła do ogółu. Zapatrzony, zasłuchany, choć pewno nie cały i nie wszystko on rozumiał, dał się porwać bezwiednie natchnieniu i uczuciom mistrza.

Nie chcąc nikomu ubliżyć, wytłumaczyć się muszę z przypuszczenia poprzedzającego. I tak, po preludyum, jakie wykonano po „Wjeździe Chrystusa do Jerozolimy", byli tacy, co myśleli, że to się odnosi do „Wjazdu", inni, że to już „Mojżesz" a po wykonaniu 3-ciej części z „Mojżesza" sąsiad mój, nie mając w ręku programu a słysząc, że to „Mojżesza" grano, tłumaczy swemu koledze, że gwałty te, jakie się działy w orkiestrze, oznaczały pewno pioruny i burzę na górze Synai, podczas ogłaszania dekalogu.

Muzyka nie określa tak ściśle, jak inne sztuki swej idei, to też bliższe określenia są konieczne do jej zrozumienia, zwłaszcza w poemacie muzycznym, inaczej nie wywrą swej ogromnej siły kształcącej duszę ludzką, zostawiając w niej ogólne tylko wrażenie jakiegoś piękna, a często nawet nie robią żadnego wrażenia. Myślę przeto, że niesłychanie wyżejby się podniosło wrażenie z koncertów ks. Perosiego, gdyby tekst był słuchaczom podany, już nie tylko „Mojżesza", który po włosku pisany, ale i dwu innych oratoryów pisanych po łacinie. Śpiewacy bowiem, przyzwyczajeni do tego, że teksty są skądinąd znane — jak np. w operach, gdzie publiczność wprzód się w libretta zaopatruje, — nie starają się wcale o to, by byli zrozumiani, to też pomimo znajomości języka trzeba się było silić wszelkiemi sposobami, by na kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt słów parę jako tako połapać i domyśleć się reszty.

Na drugim koncercie wykonał ks. Perosi oratoryum *La Passione* w trzech częściach: Wieczerza, modlitwa w Ogrójcu a z męki samej słowa Chrystusa na krzyżu. Wrażenie mniejsze ogólnie mówiąc. W dyrygencie znać było pewne wyczerpanie i niepokój; przejęty do głębi duszy swym utworem, a czując jak ma być wszystko oddane, zdawał się być rzadko zadowolonym z wykonania. Sama kompozycya wydawała się być skróconą, nie wszystkie słowa Chrystusa były oddane, dramatycznych momentów niewiele, słabo działały. Spodziewano się czegoś wspanialszego od „Mesyasza", brak możności zrozumienia tekstu osobliwie w recitatiwach chóru, dawał się miejscami dotkliwie uczuwać.

Krytyka nasza wyraziła się o męce Chrystusa najmniej pochlebnie, pochlebniej znacznie o „Wjeździe" a najpochlebniej o „Mojżeszu", słysząc w nim wiele nowoczesnej a osobliwie wagnerowskiej muzyki a wśród fal Czerwonego morza widząc nawet płynące syreny — fantazmat wcale nie licujący z powagą tego rodzaju muzyki. — Zaprzeczyć nie można, że wiele nowej i wagneryańskiej muzyki jest w utworach ks. Perosiego, a dla tych, co myśleli, że usłyszą coś z kościelnej muzyki lub też coś zupełnie nowego, czemby oderwali ducha od znanej sobie sztuki, był pewien zawód, atoli wiedzieć należało, że ani krytyka ani sam ks. Perosi nie podaje się za kompozytora lub reformatora kościelnej muzyki. Co innego muzyka kościelna, liturgiczna, chorał gregoryański, arcydzieła Palestryny, Orlandów i t. d., a co innego muzyka nieliturgiczna, religijna — do jakiej przedewszystkiem oratorya należą.

Zresztą niewielkiego na to znawstwa potrzeba, by odnaleźć znaczne różnice pomiędzy muzyką operową i wogóle muzyką dzisiejszą świecką a muzyką religijną ks. Perosiego. Bujna to niwa poezyi tonów, lecz bez chwastów i pokrzyw, — widok bolejącego serca ale i balsam cudowny, kojący, — jęki i narzekania lecz nie skomlenie bez końca, ale rezygnacya bohaterska lub pełna nadziei ufność w lepszą przyszłość, — pasowanie się z przeciwnościami, ale i zwycięstwo, — niebo zachmurzone i gromy, ale w dali wciąż świeci słońce wieczności, choć go nie widzisz to czujesz duchem, że wciąż świeci, a gdy rozedrze chmury, witasz go całą potęgą uczucia i szczęścia, — wszędy przedziwna jedność, miara i spokój.

*X**.

Z dziedziny pedagogicznej.

Wystawa pedagogiczna w Wiedniu.

(5—26 kwietnia b. r.)

Jestto rzeczą niezaprzeczoną i powszechnie uznaną, że jeśli nauka w szkołach średnich ma w późniejszem życiu wydawać trwałe skutki i owoce, nie powinna tylko i jedynie mieć na oku rozwój pamięci i rozumu ucznia, lecz także dostarczać fantazyi obfitego karmu, posługując się w tem środkami pomocniczymi, jakimi są obrazy i wzory objaśniające naukowy przedmiot.

W ten sposób bowiem nauka łatwiej wnika w pamięć ucznia i w niej się utrwala. Zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach widoczny jest pod tym względem olbrzymi postęp, a doniosłość tego kierunku wzmaga się z dnia na dzień. Niedaleką zatem była też myśl urządzenia wystawy nowszych środków pomocniczych, używanych w szkołach średnich, aby w ten sposób nietylko szerszej publiczności, lecz przedewszystkiem ogółowi nauczycielskiego grona dać zbiorowy pogląd na środki, jakimi rozporządzają średnie szkoły i wywrzeć dodatni wpływ, oraz do dalszych działań na tem polu zachęcić. Kilku ludzi nauki miasta Wiednia postanowiło w ubiegłem lecie tę myśl urzeczywistnić i przygotować wystawę, na którą nadesłać miały austryackie szkoły średnie swe najnowsze i najodpowiedniejsze środki naukowe. Zamiar ten przyjęto z powszechnym zapałem i wystawa odbyła się w Wiedniu w czasie od 5. do 26. kwietnia bieżącego roku w c. k. austryackiem muzeum dla sztuki i przemysłu.

Wystawę podzielono na 15 sekcyi. Sekcya I—III obejmowała środki naukowe używane do pomocy nauki religii katolickiej, ewangielickiej i mojżeszowej, zwłaszcza wiele obrazów z starego i nowego Testamentu, jakoteż dzieł ilustrowanych o Palestynie i sztuce kościelnej.

W IV. sekcyi ustawiono środki pomocnicze klasycznej filologii — nawiasem mówiąc, zaopiekowano się tą sekcyą trochę po macoszemu. Znajdowały się w niej obok starych i dobrze znanych środków niektóre cenniejsze i nowsze jak n. p. figura pod stroje greckie i rzymskie, stosownie do niej przykrojone, zwój książkowy (volumen) i starożytne krosna; dalej galwano-plastyczne imitacye starożytności Mykeny i t. p.

W V. sekcyi był dział języka niemieckiego. Widzieliśmy tu mnóstwo tablic z zakresu gramatyki i lingwistyki, lecz bez donioślejszego

znaczenia, bo takie i tym podobne rzeczy każdy rozumny nauczyciel zwykle sam pisze kredą na tablicy.

Dalej wielka ilość ilustracyi, planów sytuacyjnych, portretów i t. p. rzeczy służących do wprowadzania ucznia w *milieu* przeczytanych utworów poezyi klasycznej. Wogóle mało co nowego. Podobnie przedstawiała się sekcya VI. dla nowoczesnej filologii. Najbogatszą była sekcya VII., obejmująca geografię i wszystkie jej oddziały wraz z środkami służącymi do ich objaśnienia. Były więc w szeregach ustawione wielkie karty, reliefs i mapy wypukłe, aparaty i ilustracye z działu fizykalnej i matematycznej geografii i geologii a zwłaszcza etnografii oraz zbiór numizmatyczny rozmaitych krajów i ludów.

W VIII. sekcyi historyi widać było najstaranniejsze zaopatrzenie się w nowoczesne środki, mianowicie zaś w rzeźby, obrazy i mapy ścienne, z pośród których wyróżniała się mapa ścienna do studyum o odkryciach i posiadłościach kolonialnych z czasów dzisiejszych (Mayera i Luksch a) oraz przejrzysta mapa Schwabego do historyi i rozwoju państwa rzymskiego i miasta Rzymu.

Bardzo pouczającą i bogatą była sekcya IX. matematyki i geometryi wykreślnej, dla licznych modelów w niej umieszczonych. Na chwalebną wzmiankę zasługuje zwłaszcza systematyczny zbiór modeli z geometryi wykreślnej sporządzonych przez majora Joachima Steinera, nauczyciela w c. k. akademii wojskowej w Wiener Neustadt.

W X. sekcyi fizyki miano widocznie więcej na oku wystawę licznych przyrządów nowszych i stąd bardzo pouczających. Najwięcej było ich z dziedziny elektryki. Całość zbioru dawała dokładny rzut oka na najgłówniejsze przyrządy, które w średnich szkołach mogą być z pożytkiem używane.

XI. sekcya obejmowała dział przyrodniczy t. j. botanikę, zoologię i mineralogię. Liczba anatomicznych preparatów, modeli i obrazów była wprawdzie poważna, lecz na nią składały się przeważnie środki powszechnie już znane i którymi się prawie każda lepiej uposażona szkoła średnia poszczycić może. Do więcej interesujących zaliczyć wypada np. przyrząd do demonstracyi siły ssącej pędu podczas transpiracyi, przyrząd do pokazania ilości wyparowanej wody, przyrząd do odnowienia siły transpiracyjnej przez wtłaczanie wody i przyrząd do demonstracyi ciśnienia korzeniowego.

Bardzo pouczającymi i wszystkim gimnazyom zalecenia godnymi były okazy firmy Müller-Fröbelhausa przedstawiające w kilku natural-

nych egzemplarzach powolne powstawanie ziemi rolnej z granitu, piasku i piaskowca, ziemi porcelanowej z porfiru.

Równie przejrzystą jak i pouczającą była sekcya XII. chemii, a reprezentowały ją przeważnie przyrządy nowszej doby.

XIII. sekcya obejmowała psychologię eksperymentalną. Ponieważ ten dział nauki należy do najmłodszych pod względem posługiwania się środkami pomocniczymi, liczba okazów była z natury rzeczy szczuplejsza, nie brakło jednak i tu przedmiotów cennych i budzących zainteresowanie.

W sekcyi XIV. dano nam próbkę wcale dobrą, jak można szkoły ozdabiać obrazami wartościowymi, pod względem sztuki, nowszych i dawniejszych malarzy i tak kształcić smak estetyczny młodzieży a w jej oko i serce wrażać uczucie piękna i artyzmu.

Na okazy z działu rysunkowego przeznaczono sekcyę XV. a zarazem ostatnią.

Nie miano tu tak na względzie nowych przyrządów i metod jak raczej rezultaty osiągnięte w tym fachu na podstawie istniejącego planu nauki. Widać było z pięknych i udatnych prac uczniów, które wypełniły program tej sekcyi, że rysowanie z natury nadało tej nauce kierunek wybitnie artystyczny.

W końcu nadmienić wypada, że dzięki licznym t. zw. diapozytywom, których nie brakło żadnej sekcyi, wystąpiło w pełnem świetle znaczenie najnowszego środka naukowego t. j. skioptikon.

Jeśli chodzi o ogólne wrażenie, przyznać należy, że wyniosło się dość przejrzysty i zaokrąglony obraz wielkiego postępu w zakresie tych środków naukowych. Nieraz wprawdzie spotykał zawód, zwłaszcza dlatego, że liczba nowych a oryginalnych środków nie przedstawiała się stosunkowo tak pokaźnie, jak się tego pedagog mógł spodziewać, powtóre dla tego, że wiele okazów było jakby specyalnie tylko na chwilę wystawy sporządzonych; — mimo to lustracya całokształtu wystawy nie mogła wypaść bezowocnie, a to dla wielu względów. Już ta okoliczność bowiem, że zwiedzający fachowiec miał sposobność porównać zbiór środków jakiegoś działu wiedzy ze środkami, jakimi sam rozporządza w nauce, ma wielkie znaczenie. Główną korzyścią na przyszłość będzie jednak to, że ta wystawa przyczyni się niemało do ulepszania lub stopniowego pogłębiania metody tak nauce pomocnej, do szukania nowych praktyczniejszych i upraszczających sposobów i dróg. Na tej nadziei oparty, przyznać musi każdy wielkie znaczenie wspomnianej wystawie, mimo wszystkie jej braki i niedostatki.

Mniej pocieszającym jest fakt, że właśnie galicyjskie gimnazya prawie wcale tam nie były reprezentowane. Nie jest to jednak wina naszych szkół i nie można ich posądzać o brak zainteresowania się wystawą. Owszem, ogół ich okazał się gotowym wzbogacić wystawę cenniejszymi wzorami, jakich nie brak w naszych szkołach. Wina w tem Komitetu i zarządu wystawy, który pod pozorem braku miejsca zgłaszającym się odmowne przysyłał odpowiedzi. Każdy jednak profesor czy dyrektor szkoły galicyjskiej średniej mógł z dumą skonstatować fakt, że szkoły nasze w bogactwie owych środków naukowych bynajmniej nie ustępują austryackim, że nietylko rozporządzają równymi okazami, ale co więcej, że niejedno gimnazyum mogłoby samo dla siebie podobną do wiedeńskiej wystawę urządzić.

Ks. M. Kohlsdorfer.

Druk ukończono 30 kwietnia 1903 r.

NOWE HASŁO SŁOWIAŃSKIE.

Pruski pastor Lesius, uzasadniając na jakiemś zgromadzeniu teologów niemieckich konieczność zniecestwienia prasy polskiej, wskazał, że zakaz drukowania jakichkolwiek pism polskich w granicach Cesarstwa byłby najskuteczniejszym środkiem, i dodał do tego, iż „Polacy powinni być traktowani jako heloci, i że wolno pozostawić im tylko trzy przywileje: płacenia podatków, dawania rekrutów i zamknięcia swoich pysków“ [1]. Przemówienie to, nagrodzone oklaskami, maluje dokładnie charakter dzisiejszego patryotyzmu niemieckiego, który na początku zeszłego stulecia, karmiąc się poezyą Schillera lub filozofią myślicieli tego poziomu co Herder i Fichte, był krzepiącem duchu marzeniem o jedności rozdzielonych i małosilnych cząstek wielkiej rodziny, a przeistoczył się po tryumfach 1870 roku w ślepą namiętność deptania i niszczenia narodów, któreby miały zuchwałość pragnąć czegoś innego, niż potulne wprzągnięcie się pod jarzmo „nadnarodu“. Bezpośrednim tej zaciekłej nienawiści przedmiotem jest świat słowiański, ofiarą tymczasem tylko — Polacy w Poznańskiem, ale przedstawiciele stronnictwa wszechniemieckiego nie wahają się otwarcie w przemówieniach i pismach głosić, iż los, który przypadł Polakom, stanie się w bliskiej przyszłości, gdy rozpadnie się monarchia Habsburgów,

[1] Por. A. Chéradame: *L'Allemagne, la France et la question d'Autriche.* Paris, 1902, na str. 50.

udziałem wszystkich osiadłych tam niemieckich narodów, a nad przyśpieszeniem tej chwili gorliwie pod ukrytą opieką rządu pruskiego pracuje pangermanizm, zorganizowany w potężnym *Alldeutscher Verband*. Zasługą to jest publicysty francuskiego, Andrzeja Chéradame, że umiejętnie zebrał w całość fakty świadczące o sile i niebezpieczeństwie tego ruchu i że podał je w wymownym obrazie w dwóch pracach, na które zbyt małą zwrócono u nas uwagę [1].

Widmo pangermanizmu i myśl o nieszczęściach grożących narodom słowiańskim w razie najazdu, którego charakter został już zawczasu określony przez nieśmiertelne słowa Wilhelma II *Pardon wird nicht gegeben, gefangene werden nicht genommen*, nie mogą nie sprzyjać powstaniu prądu panslawistycznego. Prąd ten od romantyzmu Herdera idący, łagodny przeto a szeroki w początkach swoich, ma z górą pół wieku za sobą i rozmaicie w rozmaitych krajach się objawiał. Zrazu ogarnął był Czechy, które mu dały najwybitniejszych teoretyków. Dziś jednak panslawizm teoretyczny ustał tam, Czesi zostali wtrąceni w sam wir walki z germanizmem zaciekłej, pochłaniającej ich siły; jeden zaś z myślicieli czeskich, prof. Masaryk czuje się zmuszonym ostrzegać rodaków swoich przed krańcowościami szowinizmu i nienawiści, która znieprawiła ducha niemieckiego.

W Polsce panslawizm nigdy rozwinąć się nie mógł z powodu stosunku do Rosyi, dopiero dziś ruch ten gotów byłby wybuchnąć w Poznańskiem i stamtąd rozszerzyć się po wszystkich ziemiach polskich, gdyby ruchu tego nie uniemożliwiała polityka rosyjska, ściśle się wzorująca według wzorów berlińskich. Co zaś do Rosyi, to powstał tam koło r. 1850 kierunek występujący pod nazwą słowianofilstwa, a pod hasłem „prawosławie i *samodierżawje*“, jednak pomimo tego tolerancyjnie zrazu usposobiony jeśli nie wobec Zachodu całego, to względem Słowian zachodnich, katolików z wyznania, a czci dla autokratyzmu nie rozumiejących. Ale wkrótce lepsze pierwiastki tego kierunku

---

[1] *L'Europe et la question d'Autriche*, 1901. — *L'Allemagne, la France et la question d'Autriche*, 1902.

zaniknęły pod złowrogim wpływem spadkobiercy pierwszych słowianofilów Iwana Aksakowa, który zlał słowianofilstwo w jedno z oficyalnym patryotyzmem i rusyfikacyjną polityką, propagowaną w 70 i 80-ych latach przez Katkowa.

Nieco później, uczeń i zwolennik Aksakowa, Sergiusz Szarapow począł pracować nad oczyszczeniem słowianofilstwa od szowinistycznych obrzydliwości, któremi je zakaził Aksakow, i nad wprowadzeniem idei sprawiedliwości do poglądów rosyjskich na sprawę polską, ale było to, jak się zdaje, raczej szlachetnym u pisarza tego popędem serca, niż uświadomionym celem dążenia. Przejęty wielkością Aksakowa, nie zdawał on sam sobie dokładnej sprawy z tego, że przewyższał go pod względem moralnym, kult Aksakowa trzymał na uwięzi najlepsze jego aspiracye. Wskutek tego nie był Szarapow dość wyraźny w poglądach swoich i nie wywarł też dostatecznego wrażenia, a zaznaczył się w ostatnich czasach w publicystyce i zyskał wpływ, nie jako słowianofil, ale jako przeciwnik i niezmordowany krytyk obecnej polityki finansowej Wittego. — Dziś, z pisma *Sławianskija Izwiestija* dowiadujemy się o najnowszem odrodzeniu słowianofilstwa pod kierunkiem niejakiego p. Gerasimowa, który wydał w roku zeszłym i w bieżącym trzy zbiorowe książki *(Zarja, Moskwa, Ruś)*, niestety jednak, o ile z podanego streszczenia wnosić można, nie jestto słowianofilstwo pierwotne, ale zwyrodnione w duchu Iw. Aksakowa, utożsamiające religię Chrystusa z kultem państwa, jako najwyższej świętości, głoszące politykę eksterminacyjną względem podwładnych Rosyi narodów, jako powinność chrześcijańską. Jeden ze współpracowników tego neosłowianofilstwa cynicznie zaliczył do objawów „nieuczciwych, złych i poniżających“ w życiu rosyjskiem „antynarodowy humanizm“, czyli te nawoływania do tolerancyi religijnej i politycznej, które dziś nieraz dają się słyszeć na szpaltach licznych uczciwych pism lub w przemówieniach publicznych.

Niedawno miałem sposobność zaznaczyć[1], że nuta słowiańska zadźwięczała w w. XIX nie najsilniej, ale najdźwięczniej

[1] Por. „Odrodzenie Chorwacyi w w. XIX“. Kraków, 1902.

w Chorwacyi. U Czechów uczucie plemienne brało górę nad uczuciem narodowem i prowadziło nieraz do marzeń o morzu rosyjskiem, w którem strumienie słowiańskie miały się zlać, wskutek tego nie umieli Czesi zająć w świecie słowiańskim zaszczytnego stanowiska pośredników i rozjemców w sporach słowiańskich, które im wyznaczał Mickiewicz. Myśl wieszcza naszego rozumieli i rozumieją tam dziś nieliczni a szlachetni, ale nie najwpływowsi, nie ci, za którymi naród idzie. Natomiast Słowianie południowi, stojąc jako widzowie bezstronni, daleko od najważniejszego w świecie słowiańskim sporu polsko-rosyjskiego, a z przedmiotem samym oswojeni, gdyż spór podobny toczy się w granicach ich ziemi, zdawaliby się powołani do pracy w kierunku, który Mickiewicz nakreślił Czechom, czyli do właściwego oświetlenia stosunków słowiańskich. W ziemiach, które zamieszkali, stykają się trzy światy — katolicki, prawosławny i muzułmański — i na tem się opierając, najznakomitsi przodonicy ich, a zwłaszcza Chorwatów, w w. XIX marzyli o wielkiem ich posłannictwie na widowni wiekowych zapasów Wschodu z Zachodem. Myślą tą kierował się Preradović, gdy tworzył swoją pieśń o świecie słowiańskim najwznioślejszą, jak ją słusznie określono, ze wszystkich, które idea słowiańska natchnęła. Czas więc już był myśl tę z zakresu poezyi przeprowadzić w dziedzinę bliższą życiu.

Podjął się tego obecnie p. Stefan Radić, jeden z najwykształceńszych i najsamoistniejszych publicystów chorwackich, były wychowaniec szkoły nauk politycznych w Paryżu, uczeń, wielbiciel i popularyzator poglądów obu szlachetnych tej szkoły kierowników: Alberta Sorel'a i Anatola Leroy-Beaulieu. Od lat kilku pilnie czytam jego pisma i wyznaję, że raził mię zawsze jego sentymentalizm słowiański z uwagą niemal wyłącznie zwróconą na jedność duchową l u d ó w słowiańskich, a nie uwzględniający tych przepaści, jakie bieg dziejów wytworzył pomiędzy n a r o d a m i słowiańskimi. Upatrywałem w tem pochyłość, po której Radić miał prędzej czy później stoczyć się w otchłań jakiegoś beztreściwego w istocie swej a politycznie nam szko-

dliwego panslawizmu. Z tego powodu miałem do niego uprzedzenie, ale rozwiało się ono natychmiast i bezpowrotnie, gdy się z nim osobiście w roku zeszłym zetknąłem. Podbił mię w pierwszej chwili i przywitaniem i dźwiękiem głosu, całem ujęciem swojem. Podległem urokowi serdecznego ciepła i głębokiej szczerości, który szedł nietyle ze słów jego, ile z całej osoby. Poznałem w nim człowieka, co gotów będąc iść w imię przekonań swoich choć na śmierć, wolny jest przytem całkowicie od jednostronności i fanatyzmu, tak często znamionującego ludzi idei — wolny, bo w sercu swem nosi miłość człowieka, czyniącą go zdolnym do rozumienia i odczuwania rozmaitych poglądów i rozmaitych charakterów. Radić jest ludowcem, ale w tem raczej znaczeniu, jakie wyraz ów ma w Rosyi *(narodniczestwo)*, nie zaś u nas; czyli lud nie jest dlań przedmiotem bałamutnej agitacyi w celu wytworzenia jakiegoś stronnictwa politycznego, ale przedmiotem religijnej prawie czci. Sam z ludu wyszedł, a patrząc nań okiem największego i najgłębszego z *narodnikow* rosyjskich — Lwa Tołstoja, widzi tam wzór tego życia zgodnego z prawdą religijną i wolą Bożą, które tak rzadko widzieć się daje w warstwach z wyższą kulturą. Głębokie wniknięcie w życie ludu skierowało przed laty Tołstoja na drogę religii, podobnież religijnym jest Radić, i w tym względzie jest nawet bliższym ludu, niż Tołstoj; wraz z ludem spełnia praktyki religijne, których unika pisarz rosyjski, i wraz z ludem się modli, gdyż wie, że na tej drodze najściślej się zjednoczy z tem, co stanowi wewnętrzną istotę duszy ludu.

Życie Radića składa się przeważnie z wędrówek dwojakiego rodzaju: po Słowiańszczyźnie i po więzieniach. Pierwsze są oczywiście dobrowolne: Radić zwiedza wszystkie kraje słowiańskie, o ile możności pieszo, aby tem lepiej poznać życie ludowe w różnorodnych jego odcieniach. Wrażenia z wędrówek i wyniki rozmyślań streszcza on potem w odczytach, pismach i wystąpieniach publicznych, których bezpośrednim skutkiem bywa nader często przymusowa podróż do więzienia.

Świeżo wydał Radić pierwszą seryę swoich wspomnień

więziennych[1], któreby bezwarunkowo zasługiwały na przekład polski, i w których postać autora przedstawia się z nader sympatycznej strony. Dotkliwe przykrości przebywania w więzieniu nie łamią go i nie wpychają w rozpacz, nie może bowiem, jak to sam gdzieś wygłasza, czuć się nieszczęśliwym człowiek, który sumienie ma spokojne. Otóż płynąca stąd harmonia wewnętrzna, jasny przytem pogląd na powinność człowieka, żywe uczucie miłości bliźniego i mocne przekonania religijne i polityczne dają mu ochotę i żar apostolstwa wśród skazańców, z którymi zetknęła go niedola więzienna — oraz moc wzmacniania ich w upadku ducha rozumnem słowem pociechy. W gronie towarzyszy tych szczególnie bolesne sprawia na nim wrażenie jakiś wykolejony i beznadziejną rozpaczą owładnięty kapłan, skazany za udział w sprawie, o której autor milczy.

Słowa tego nieszczęśliwego brzmią goryczą zniechęcenia: „Poświęcenie — mówi on — choćby za ojczyznę i naród nie ma sensu, gdy niema uczestników w pracy". — „Ale ojcze — autor na to — ja się wcale nie poświęcam; wszak widzicie, że mi tu jest wcale dobrze tak pod względem ducha, jak ciała, i gdyby nawet poczęto gorzej obchodzić się ze mną i pozbawiono książek, nie mogliby mi odebrać moich myśli, zasad, uczuć i nadziei. I właśnie tu, w zamknięciu rozjaśniają mi się myśli, wzmacniają zasady, uczucia stają się głębsze, nadzieje mocniejsze. W więzieniu siedziałem już kilkakrotnie, raz mię przetrzymano cztery miesiące i wówczas to dzięki temu, miałem czas przestudyować po czesku dzieje tego narodu, dzieje ich literatury, oraz ich prawo państwowe, przeczytałem prócz tego ze dwadzieścia dzieł w języku chorwackim i rosyjskim, i obmyśliłem treść do stu przynajmniej artykułów i do szeregu broszur i odczytów, które teraz posypią się jak z rękawa, skoro tylko nadarzy się sposobność. Wzmocniłem się nawet fizycznie, słowem, w żaden sposób powiedzieć nie mogę, bym cokolwiek przecierpiał, a tem bardziej, bym się poświęcał". Niemniej przeto widok nieszczęśliwego kapłana, jego rozumowania i prawdziwe opowiadania

[1] *Uzničke Uspomene*, Novi Sad, 1903.

o zepsuciu moralnem najwyżej postawionych osób, zepsuciu, na które sam patrzał i o którem niejedno już wiedział autor, działają przygnębiająco; sen go odbiegł, choć noc jest późna i ksiądz już śpi: „Wstałem — opowiada — umoczyłem ręcznik w wodzie i obwinąłem nim czoło, chcąc się ochłodzić cokolwiek. Aby zaś uspokoić się wewnętrznie, pogrążyłem się w jedną z tych modlitw niemych, w czasie których człowiek ani mówi, ani szepce, nawet nie myśli, ale tylko czuje, płonąc cały ogromną tęsknotą za dobrem i prawdą, której tak mało wśród ludzi. W ciągu modlitwy stanęła przedemną Chorwacya z całą Słowiańszczyzną, ale w chwili owej wydało mi się to czemś bardzo małem, powiedziałbym nawet z b y t e c z n e m, gdzie bowiem ludzie wysoko stojący oddają się w niewolę cielcowi złotemu, tam wytrwać trzeba tylko w wierze w Boga żywego, a w wierze tej zawiera się i Chorwacya, i Słowiańszczyzna, i ludzkość, i wszechświat, gdyż w niej tylko jest wieczność“...

To właśnie czucie nieskończoności i ideału, złączone z rozumieniem marnoty wszelkich zabiegów, gdy są w rozbracie z wieczystym celem człowieka, — czucie wogóle rzadkie, zupełnie zaś obce zacietrzewieńcom politycznym, których pełno w Chorwacyi, jak zresztą wszędzie, nadaje myślom autora powagę, planom zaś działania — znamię wysokiego idealizmu; wznosi go ponad powierzchowność religijną, właściwą ogromnej większości pisarzy słowiańskich. Niestety jednak czemś obcem dla niego jest Kościół, jako niezbędny łącznik człowieka z Bogiem, jako żywe ciało Chrystusowe, jako dziejowe środowisko, w którem, według plastycznego wyrażenia Wł. Sołowiewa, „niegodny proch ziemi zostaje przeobrażony z pomocą umiejętnych systemów ulepszania w płodonośny pokład do przyszłego królestwa Bożego“. Nie umie Radić ocenić, jak dobroczynnem narzędziem do moralnego rozwoju indywidualizmów narodowych jest uniwersalizm idei Kościoła, jednoczącej wszystkie cząstki wszechludzkiej społeczności wspólnością wielkich celów. Niedostatek ten przebija się niestety u Radića nader często, gdy dotyka spraw Kościoła.

Poglądy swoje wypracowywał Radić, jak to sam zaznacza,

nie tylko między czterema ścianami, wśród książek, ale, częściej i lepiej, w czasie wędrówek, na szerokiej widowni zapasów świata słowiańskiego z germańskim.

Jako Chorwat, pragnąłby on oczywiście przedewszystkiem własną ojczyznę zabezpieczyć od niszczycielskich zalewów germanizmu, lecz widzi jej bezsilność z powodu toczących ją wewnętrznych rozterek z Serbami i zobopólnej zaciekłości obu stron; to samo jest przyczyną bezsilności Serbów, bezsilności całej Słowiańszczyzny Południowej. Otóż jedyne zbawienie upatruje on w idei słowiańskiej; ona tylko pogodzić może powaśnionych braci: Chorwatów i Serbów. Przytacza autor słowa znakomitego historyka Chorwacyi X. Račkiego, iż „Chorwaci za nadto są Słowianami, ażeby byli w stanie wejść w przyjaźń z jakąś obcą, nie słowiańską potęgą, ale za mało, aby na roścież otworzyć wejście przed ideą południową słowiańską“ [1] czyli serbo-chorwackiej jedności. Dotąd w oczach przeciętnego Chorwata, mówi Radić, „Rosyanin jest niedźwiedziem, Czech muzykantem, Słowak druciarzem, a Polak głupim rewolucyonistą“.

W twierdzeniach autora o zbawczem znaczeniu idei słowiańskiej jest spora doza marzycielstwa nie uwzględniającego, iż ideę tę może każdy z narodów słowiańskich wyzyskać jako narzędzie do swoich samolubnych celów. Ale nierównie jaskrawiej objawia się, jak zobaczymy, marzycielstwo Radića tam, gdzie usiłuje on bliżej treść myśli swej wyłożyć. Rozumie on, iż nie może dziś być mowy o jedności Słowiańszczyzny, wobec ogromu przeciwieństw, dzielących ją na wzajemnie wrogo usposobione narody. Tłumaczy to tem, że ustroje polityczne słowiańskie wytworzyły się podług wzorów europejskich, czyli, że wszędzie warstwy wyższe bezwzględnie panują nad ludem i sprzeczne ich interesy tworzą sztuczne przeciwieństwa w interesach i dążeniach poszczególnych narodów słowiańskich i sztuczne między narodami tymi antypatye. I temu sztucznemu rozdziałowi przeciwstawia Radić jedność ludu słowiańskiego. Ażeby stworzyć podstawy do polityki słowiańskiej — mówi on —

[1] Por. *Hrvatska Misao*, 1903, nr. 2.

trzeba ich szukać w ludzie. Ten cel wytknął on sobie; pragnąłby dać wolną od wszelkiego subjektywizmu syntezę ducha ludu. Wyrazem pracy w tym kierunku ma być dzieło większych rozmiarów p. t. „Polityka słowiańska", obejmujące politykę zewnętrzną i wewnętrzną. Część pierwsza, poświęcona polityce słowiańskiej w monarchii Habsburgów, wyszła w roku zeszłym po czesku [1].

Mówią dziś, rozumuje autor, o polityce państwowej, a wszelką inną potępiają jako bezpodstawne marzenie. Ale co to polityka państwowa? Określają ją, jako politykę wyższych interesów. Lecz pod tą nazwą kryje się interes albo dynastyi albo stronnictw kierujących albo jakiejś wybitnej osobistości, która umiała ster spraw ująć w ręce swoje. Polityce tej dają też miano narodowej, podkreślając w ten sposób przeciwieństwo jej z polityką klasową. Cechą jednak wspólną tych wszystkich polityk niby realnych, tak bowiem sądzą ludzie, jest zupełna nierealność i graniczącą z naiwnością fantastyczność. Politykę państwową prowadzą w gabinetach dyplomatów, stronniczą — na sejmach, specyalnie narodową — na rynkach, klasową — na ulicach, indywidualną — pod oknami ulubieńca tłumu albo na grobie jego, jeśli umarł. W gabinetach najlepiej popłaca blaga, na sejmach — jak najdalej posunięta bezwzględność wobec przeciwników, na rynkach — umiejętność urządzania obchodów patryotycznych, na ulicy — wrzask, w redakcyach — gadulstwo i oszczerstwa. Wskutek tego wybijają się dziś na wierzch w polityce nie pierwiastki kulturalne w istotnem znaczeniu tego wyrazu, lecz krzykacze nieraz bez wykształcenia i sumienia, giełdziarze i oszuści. Polityka ta jest wytworem Europy zachodniej, stamtąd przedostała się do Słowian; mniej lub więcej silnie spojonym organizmom państwowym europejskim nie grozi ona tymczasem żadnem bezpośredniem niebezpieczeństwem, lecz dla

[1] Dr. Štěpan Radić: *Slovanska Politika w Habsburgské Monarchii.* Praga 1902.

Słowian, zwłaszcza w monarchii habsburskiej, pozbawionych niezależności narodowej, może w skutkach swoich być straszną.

Nie dziw, że do polityki takiej lud słowiański zaufania niema. Skarżą się na to i składają to na karb jego nieświadomości, a nie chcą uznać, że „tradycye ludu bez porównania są cenniejsze, niż wszystkie nasze doktryny i że trzyma się on zdala od stronnictw naszych, gdyż duch ich i organizacya sprzeciwiają się jego zdrowemu chłopskiemu rozumowi". Z tym zdrowym chłopskim rozumem ludu powinniśmy liczyć się, powinniśmy duszę jego poznać, a poznawszy, stworzyć i prowadzić politykę ludową. Jest to jedyna uczciwa polityka, jedyna logiczna, — i logiczna nie tylko w abstrakcyi, ale i w życiu, albowiem plemię słowiańskie jest przedewszystkiem rolnicze i lud u Słowian ma znaczenie nierównie większe niż w Europie Zachodniej.

Cała ta teorya polityki ludowej jest wynikiem marzycielskiego przejęcia się ideą słowiańską; zdaje się, że słyszymy odgłos rojeń Chomiakowa. „Jeśli braterstwo ludów — pisał twórca słowianofilstwa rosyjskiego — jeżeli uczucia prawdy i dobra nie są marą, lecz siłą żywą i nie umierającą, to zaczątki przyszłej cywilizacyi tkwią nie w plemieniu germańskiem, arystokratycznem i zdobywczem, lecz w Słowianach; Słowianin, rolnik i demokrata, ma przed sobą wzniosłe zadania i wielką przyszłość". I jak Chomiakow, tak chorwacki słowianofil Radić, opiera budowę swych myśli na tym samym typowym sylogizmie, znamionującym rozumowania polityków-marzycieli — sylogizmie, który u Radića daje się streścić w następującej formule: dobro urzeczywistnionem będzie, polityka zgodna z duchem ludu jest jedynie dobra, a zatem politykę tę przyjmą narody słowiańskie.

I to marzenie swoje zabarwił Radić domieszką mesyanizmu i idąc szlakiem, przez słowianofilów rosyjskich wydeptanym, przeciwstawił Europie zachodniej świat słowiański, wnoszący pierwiastki nowej a wyższej kultury. Tem się jednak od słowianofilów wyróżnił, że nie potępia bezwzględnie „zgnilizny" narodów zachodnich, ani wysławia Słowian, jako wyrazicieli ducha Wschodu i nie upatruje w nich narodu przez Boga wybranego. Przyswoił natomiast sobie ideę Preradowića o posłan-

nictwie Słowian, jako ogniwa pośredniczącego między Zachodem a Wschodem. „Kulturalnym ideałem polityki słowiańskiej wogóle — pisze on — szczególnie zaś w monarchii Habsburgów jest zharmonizowanie Wschodu z Zachodem, tem bardziej, że stanowi to zarazem zasadniczy warunek samego bytu Słowiańszczyzny". Należy przeto pracować nad wyzwoleniem ducha słowiańskiego od złowrogich wpływów tradycyi rzymskich i bizantyńskich, które ciążą nad całą Europą. W Niemczech zwłaszcza wcieliły się dziś światowładne dążenia dawnego Rzymu, gdy z drugiej strony „Turcya i Węgry uosabiają korupcyę bizantyńską".

Ale o Turkach i Madjarach nie warto nawet mówić. Za to obszerniej zastanawia się autor nad państwem niemieckiem; podkreśla w niem militaryzm i biurokratyzm, jako cechy najwydatniejsze, które tam swój wyraz najjaskrawszy i wykończony znalazły. Militaryzm nie wie co to prawo i sprawiedliwość, biurokratyzm niema zmysłu do swobód społecznych. Stosunek wojskowych i urzędników do reszty narodu jest stosunkiem panów do podwładnych. Zupełnem przeciwieństwem państwowych ideałów Zachodu jest lud słowiański, stanowiący jednolitą całość owianą duchem demokratycznego braterstwa i szerokiej tolerancyi, krócej mówiąc, duchem chrześcijańskim. Pokrewny duch ożywia też narody romańskie oraz — daleką Azyę. Słowem, z twierdzeń autora wynika, że Niemcy i sprzymierzeni z nimi w gnębieniu jego południowo-słowiańskiej ojczyzny Madjarzy i Turcy, są jakby wcieleniem Arymana w historyi; gdyby nie oni, sprawiedliwość panowałaby na świecie!...

Dowodem chrześcijańskości ducha Słowian jest fakt, że przodkowie ich przyjęli wiarę Chrystusa bez najmniejszego oporu. Chrześcijaństwo więc nie było dla nich czemś obcem, było raczej wykończonym systemem tych zasad, które na wpół świadomie żyły już w ich duszach. Okoliczność zaś, że apostołami Słowian byli święci Cyryl i Metody, którzy nie tylko głosili im słowo Boże w ich mowie ojczystej, lecz wprowadzili ją i do liturgii, — okoliczność ta dobroczynnie wpłynęła na ściślejsze zespolenie chrześcijaństwa z duchem ludu. Tem się też tłu-

maczy, zdaniem autora, fakt, że w krajach, do których święci nauczyciele nie zawitali, mianowicie w Polsce, szerzyła się latynizacya w życiu publicznem, a rozdział między ludem a warstwami wyższemi był i jest głębszy, niż gdzieindziej.

Dużo jest przesady w uidealizowanym obrazie „chrześcijańskości“ Słowian, który autor w dalszym ciągu roztacza. Zdaniem jego obcemi były duchowi słowiańskiemu spory między religią a narodowością, między Kościołem a państwem, obcym — tak klerykalizm jak antyklerykalizm, mało też wykazali oni upodobania do walk stronniczych, kastowość zaś, która powstawała u nich pod wpływem niemieckim, nie miała nigdy mocnego gruntu pod sobą. I jakby biorąc przykład z Mickiewicza, który tak energicznie zaznaczał idealny pierwiastek zasady *liberum veto*, Radić wystawia jako dodatnią stronę i oznakę wyższości duchowej to, że Słowianie nie okazali się zdolni do wytworzenia mocnej organizacyi państwowej według wzorów rzymsko-germańskiego centralizmu. W związku z wymienionymi szczegółami ma być też fakt, że, według zapewnień Radića, przeciwieństwa ludu i inteligencyi są u Słowian znacznie mniejsze, niż gdzieindziej. Wskutek zaś tego inaczej, niż na Zachodzie, objawił się u nich wpływ demokratycznych idei rewolucyi francuskiej. W Europie wywoływały one powstawanie coraz to nowych stronnictw oraz tajnych stowarzyszeń politycznych, w Słowiańszczyznie zaś, „od Uralu aż do Adryatyku“ sprowadziły one zmartwychwstanie narodów dzięki temu, że warstwy wykształcone szły do ludu, usiłując przejąć się duchem jego oraz interesami. Na to ostatnie kładzie autor szczególny nacisk, niesłusznie rozszerzając aż do Uralu ruch, który w rzeczywistości wyraził się w całej swej sile wśród południowo-zachodnich Słowian, a nie miał sposobności wybuchnąć żywszym płomieniem tam, gdzie świadomość narodowa była dostatecznie silną, jak w Polsce lub Rosyi.

Upojony marzeniem swojem Radić, stara się omijać wszystko, co poglądom jego mogłoby kłam zadać, i jak wszyscy prawie politycy słowiańscy, patrzy na Rosyę przez mgłę swych różowych rojeń. Potępiwszy Niemcy, jako typowe państwo mili-

tarno-biurokratyczne, które odziedziczyło po Rzymie jego światowładne dążenia, nie chce on widzieć, że militaryzm i biurokratyzm zapuściły korzenie w Rosyi równie głęboko i że państwo Rosyjskie ściślej, niż reszta Europy, związane jest z duchem starego Rzymu, związane — mianowicie przez swój bizantynizm. Nie uwzględnia Radić, iż Rosya jest, według teoryi słowianofilów, spadkobierczynią tego cesarstwa bizantyńskiego, które będąc bezpośrednio dalszym ciągiem Rzymu i wziąwszy stamtąd kult idei państwowej ubóstwionej w Boskiej osobie imperatora, kultowi temu, tkwiącemu w istocie dziejów politycznych świata starożytnego, dało wyraz ostateczny.

Poganizm zeszedł z widowni, jako religia państwowa, już w wieku IV, ale przetrwała i utrwaliła się w świadomości powszechnej pogańska idea wszechwładzy państwa we wszystkich dziedzinach, nie wyłączając religijnej, — i cesarze bizantyńscy, mając siebie za *pontifices maximi*, jakimi byli ich poprzednicy rzymscy, przywłaszczyli byli sobie nawet rozmaite atrybucye kapłaństwa[1]. To wszystko przechodzi potem do Moskwy. Konstantynopol pada prawie jednocześnie ze wzrostem potęgi książąt moskiewskich, którzy zrzucają jarzmo tatarskie i zadają stanowcze ciosy udzielnym księstewkom i Nowogrodowi. Iwan III poślubia w r. 1472 Zofię Paleolog, synowicę ostatniego cesarza Wschodu. Ta wprowadza na dwór moskiewski pyszny ceremoniał bizantyński i odtąd pod wpływem sprzyjających okoliczności szerzy się przeświadczenie o bizantyńskiem spadkobierstwie Moskwy. W r. 1492 metropolita moskiewski Zosima wysławia tegoż Iwana III, jako najpotężniejszego monarchę prawosławnego, tytułuje go „nowym carem Konstantynem nad nowym grodem Konstantynowym, t. j. nad Moskwą“[2]. Jedyny prawowierny monarcha jest oczywiście jedynym prawowitym następcą cesarzy Wschodu, ma więc prawo do panowania nad całym światem — i wkrótce powstaje teorya III-go Rzymu, którą na początku wieku XVI formułuje w pismach swoich mało znany

[1] Obszernie o tem traktuje Gasquet: *De l'autorité impériale a Byzance*, 1879, Peris.

[2] Por. Djakonow: *Właść Moskowskich gosudarej.*

skądinąd mnich Filoteusz w następującym lapidarnym zwrocie: *Dwa ubo Rima padosza, a tretij stoit, a czetwiortoma nie byti,* t. j. „Dwa Rzymy (t. j. Rzym i Konstantynopol) padły a trzeci (t. j. Moskwa) stoi, a czwartego nie będzie". Teorya ta daje klucz do zrozumienia i kwestyi wschodniej i stosunku Rosyi do Słowian. Na poparcie jej zjawia się szereg legend, które, zyskując sankcyę oficyalną, przytaczane odtąd bywają w dokumentach oficyalnych, w celu usprawiedliwienia rozmaitych roszczeń moskiewskich. Najcharakterystyczniejsza z nich wywodzi Rurykowiczów od cesarza Augusta. Niedługo potem idea caryzmu znajduje wykończone a straszne zarazem wcielenie w osobie Iwana IV Groźnego. W listach do kniazia Kurbskiego daje on wykład teoryi władzy monarszej. Wynika z niej, że car jest zastępcą Boga, że przeto ma Boga za sobą, że nikt, nawet Kościół, żadnej nad nim władzy nie posiada, że żadne rady nie są mu potrzebne, a pierwszą jego powinnością nie dać się nikomu kierować; bunt przeciw carowi jest najcięższym z grzechów; dobrze więc, bo zgodnie z wolą Boga czyni car, zamęczając krnąbrnych bojarów, których po ich mękach i śmierci cielesnej czeka wieczny ogień w piekle. I to upojenie majestatem dostojeństwa monarszego splata się w dziwacznej mieszaninie tak z cynizmem przechwałek, jak z obłudą, o poddanych mówi, niby o przedmiotach jakichś bezdusznych, to niewolnicy *(chołopy)*, wobec niego są oni poza prawem, wolno mu i łaskę im okazać, wolno i głowy ścinać *(A żałowati jesmi swoich chołopiej wolny, a i kazniti wolny jesmi).*

Na gruncie takich pojęć o władzy monarszej i takiej czci boskiej dla cara, zastępcy Boga, — cara, wzniesionego nad prawo, którego źródłem jedynem on jest, Piotr Wielki, drugi obok Iwana Groźnego. Krwawy gnębiciel Rosyi, zaszczepia ducha niemieckiego, t. j. niemiecką organizacyę i niemiecką bezwzględność. A ten duch bizantyńsko-niemiecki, militarny i biurokratyczny, który pochłonąwszy państwo rosyjskie, ogarnął szerokie warstwy społeczeństwa, jest właśnie krańcowem przeciwieństwem tolerancyjno-liberalnego demokratyzmu słowiańskiego, który wychwala Radić. Dodajmy jeszcze, że na wytworzenie typu rosyj-

skiego pod względem etnograficznym złożyły się prócz pierwiastków słowiańskich pierwiastki ugro-fińskie, azyatyckie; ich obecność z dumą dziś podkreślają niektórzy publicyści z księciem Uchtomskim na czele i na tej podstawie budują teoryę panazyatyzmu politycznego. Wraz z domieszką Azyi niewątpliwie weszła w głąb ducha rosyjskiego azyatycka bierna kontemplacyjność zapatrzona w nieskończoność wszechbytu, przejęta marnością ziemi i życia, szukająca wyższej prawdy metafizycznej. I dzieje Rosyi streszczają się w ciągłych walkach i ciągłych a nieudanych dotąd próbach pojednania i syntezy bizantyńsko-niemieckich naleciałości ze słowiańsko-azyatycką głębią. Chcąc więc mówić o duchu Rosyi, trzeba mieć na widoku dwie Rosye i dwa wzajemnie wykluczające się pierwiastki: bizantyńsko-niemiecki i słowiańsko-azyatycki. O tem zapomina autor, a raczej z dala patrząc na Rosyę nie widzi przepaści, jaka dzieli Rosyę Katkowa i Iwana Aksakowa, Gringmuta i Komarowa, od tej Rosyi, która promienieje imionami Bielińskiego i Granowskiego, Turgieniewa i Aleksego Tołstoja, Hercena i Lwa Tołstoja, Czaadajewa i Włodz. Sołowjewa, Kawelina i Cziczerina. Wszystko, co w Rosyi jest szlachetniejsze i wyższe płynie z pierwiastków słowiańskich lub azyatyckich, ale bizantyńskie i niemieckie naleciałości okazały się w życiu politycznem silniejszemi. Występuje przeto Rosya przed światem, jako państwo mocniej jeszcze spojone, niż Niemcy, bo łączące, jak już powiedziano, niemiecką organizacyę z bizantyńsko-religijną czcią dla monarchy. Dlatego robi ona wrażenie potężnej, jednolitej całości.

Ze sfery marzeń o dzisiejszej duchowej a przyszłej politycznej jedności Słowian, rozdzielonych na narody, lecz stanowiących jeden lud, autor przechodzi w drugiej części swej pracy do rzeczywistości, do spraw bieżących, do określenia stanowiska swoich współplemieńców i ich zadań w monarchii Habsburgów. Drogą do wypełnienia jego marzeń jest polityka słowiańska, ludowa t. j. z ducha ludu płynąca. Polityka ta musi przedewszystkiem być realną, t. j. liczyć się z faktami. Jakiż fakt

w dziejach państwa Habsburgów jest najznamienniejszy i najbardziej narzuca się uwadze każdego nieuprzedzonego widza? Ten, że żywioł niemiecki stale się cofa przed słowiańskim pomimo stuletniej polityki germanizacyjnej i wbrew trzydziestoletnim przeszło wysiłkom dualizmu, „który miał, jak nóż obosieczny, z budzących się narodów słowiańskich zrobić to, co przed tysiącem lat sojusz niemiecko-madjarski zrobił z zaczynających wytwarzać się wówczas państw słowiańskich“. Najjaskrawiej, według autora, dowodzi cofania się niemczyzny to, że dziś wszechniemcy w Austryi gotowi są dobrowolnie zrzec się Galicyi i Dalmacyi; pangermanizm więc nie jest wcale objawem siły, jest raczej spazmem zrozpaczenia. Słowem, narody słowiańskie mogą iść śmiało do walki, a polityka ich, wzmocniona otuchą w przyszłość i nadzieją zwycięstwa, powinna tem raźniej się skupić w dążeniu do strząśnięcia z siebie jarzma dualizmu, innemi słowy, do przekształcenia państwa Habsburgów w federacyę, w której osobną całość stanowić będą Słowianie.

Zastanawiając się nad środkami, prowadzącemi do celu, autor daje dowód realizmu politycznego, gdy twierdzi, że sprawę federacyi, o której marzy, należy uważać za sprawę wewnętrzną w monarchii habsburskiej i że nie wolno w nią wciągać Rosyi. Chociaż Radić określa w niektórych pismach swoich ideę słowiańską, jako wspólne miłowanie Rosyi przez wszystkich Słowian, w istocie jednak rzeczy nie jest wcale zwolennikiem płytkiego rusofilstwa, szerzonego przez liczne organy prasy słowiańskiej. Rusofilizm ten objawia się w głupiem płaszczeniu się przed wszystkiem, co z Rosyi idzie, szczególnie zaś przed szowinizmem nawet w tych jego wybrykach, które w imię siły przed prawem skierowane są ku gwałceniu prawa do bytu innych narodów, nie wyłączając współplemiennych. „Wewnętrzna polityka rosyjska — pisze autor — chyba najmniej jest zdolną natchnąć nas sympatyą do państwa rosyjskiego...“ „powierzchowność zaś graniczaca z nieuczciwością — wyraża się on nieco dalej — w sądach o wzajemnych stosunkach Polski, Rosyi i Rusi osłabia, nawet niszczy wszelkie znaczenie nasze wobec Rosyi“. Słowem, autor, który w I części swej pracy wpadał w nieco

sentymentalną przesadę w idealizowaniu ducha rosyjskiego, nie uwzględniającem niektórych sprzecznych jego pierwiastków, dostrzega i podkreśla w części drugiej sprzeczność między owym duchem ludu a polityką, którą jednostronnie zresztą tłumaczy wpływem dyplomacyi pruskiej. Ale mniejsza o to ostatnie, dość, że Radić, dzięki sile swego zmysłu moralnego, umiał wejść w sferę myśli prawie niedostępną ciasnym mózgom rozmaitych polityków słowiańskich i umiał zrozumieć, że bezkrytyczny rusofilizm demoralizuje i Słowian i Rosyan, gdyż z jednej strony poniża Słowian wobec Rosyi i pozbawia ich powagi moralnej, z drugiej zaś podsyca szowinizm niektórych stronnictw rosyjskich, daje mu pozory siły, dopomaga nawet do ujęcia steru polityki rosyjskiej, wskutek czego spodziewać się można, że ujrzymy w przyszłości, „zamiast kulturalnej rodziny słowiańskiej rosyjską gospodarkę polityczną, w której pełnić będziemy obowiązki nie równoprawnych członków, lecz wzgardzonych sług...“ „Istota zaś kwestyi słowiańskiej polega na tem, ażeby Słowianie umieli stanąć wobec Rosyi na stanowisku innem, niż Niemcy z poza Prus wobec państwa pruskiego“. Urzeczywistni się zaś to tylko wówczas gdy w państwie Habsburgów „zdołają oni własną siłą zdobyć równouprawnienie narodowe i te swobody polityczne, o których Słowianie rosyjscy mają zwykle odmienne wyobrażenia, niż wszyscy inni Słowianie...“ A zatem, rozumuje autor, jeśli zupełnie słuszną jest rzeczą, że nie chcemy być przednim posterunkiem Europy w walce przeciw Rosyi, to również nie bądźmy awangardą Rosyi przeciw Zachodowi: „Pragniemy stworzyć wielkie ognisko równoprawności narodów, w którem do dobrodziejów oświaty i wolności będą mieli równie wolny przystęp Słowianie i Niemcy, Madjarzy i Rumuni, a z czasem także Grecy, Albańczycy i Turcy“.

Myśl tę rozwijając, wkracza autor w dziedzinę marzeń dalekich do urzeczywistnienia. Przyszłą federacyę wyobraża on sobie jako pentarchię: Ziemie niemieckie, Czechy, Słowiańszczyzna południowa, Węgry i Galicya. Powołaniem Galicyi jest stać się kulturalnym Piemontem dla wszystkich Polaków i wszystkich Rusinów — i stworzyć wzór braterskiego współżycia dwóch po-

krewnych narodów. Podobnież Chorwacya powołaną jest do stworzenia jedności chorwacko-słowiańsko-serbskiej na południu słowiańskiem p. n. Banowiny. Ale szczególnie ważnym i stanowczym czynnikiem w Słowiańszczyznie pod berłem Habsburgów zostającej jest naród czeski, jako najliczniejszy, najbardziej energiczny, z uczuciem słowiańskiem najżywiej rozwiniętem, dzięki temu, zdaniem autora, najbezstronniejszy, zdaniem zaś naszem, tylko posiadający zadatki do bezstronnego sądzenia o rzeczach słowiańskich. Powagą stanowiska swego powinni Czesi umieć się przejąć, ale niechże zrozumieją to i inni Słowianie, aby im ich zadanie ułatwić. Zwartej sile germanizmu i madjaryzmu trzeba przeciwstawić nie rozdrobnienie słowiańskie budzące tylko śmiech wzgardy, lecz słowiańską, świadomą siebie i silną jedność. Ale znaleźć ona może żywy wyraz nie inaczej, jak w uznaniu jednego z języków słowiańskich językiem urzędowym całej Słowiańszczyzny w państwie Habsburgów.

Zaszczyt ten, zdaniem autora, należy się Czechom i nie tylko dzięki przymiotom ich oraz sile liczebnej, ale i z powodu okoliczności politycznych, wybór bowiem języka rosyjskiego rozdrażniłby do ostateczności i Niemców i Madjarów, przyznanie pierwszeństwa językowi polskiemu uważałaby Rosya za prowokacyę, język zaś Chorwatów i Serbów jest jakby rozłamany na dwie części wskutek dwóch alfabetów, któremi się posługuje i dwóch nazw, które nosi. Więc język czeski powinien stać się trzecim językiem państwowym obok niemieckiego i madjarskiego. Zwiększy to ogromnie powagę Słowian tak wobec innych żywiołów monarchii, jak wobec Rosyi i całego świata. Państwowość języka czeskiego określa Radić bliżej, jak następuje: monarcha obowiązany jest umieć po czesku i mowy tej używać w stosunkach urzędowych ze Słowianami, tenże obowiązek mają przedstawiciele dyplomatyczni, konsulowie i wyżsi oficerowie, począwszy od pułkowników; we wspólnych ministeryach i innych wspólnych instytucyach państwowych język czeski ma równe prawo z niemieckim i madjarskim; podobnież na monetach i banknotach państwa do tekstu niemieckiego i madjarskiego musi być dodany tekst czeski; wreszcie władze polityczne we wszy-

stkich trzech krajach słowiańskich monarchii (t. j. w Czechach, Galicyi i Banowinie) mają po czesku prowadzić korespondencyę z władzami centralnemi.

W tym pomyśle Radića zawiera się zupełnie nowe hasło do zjednoczenia Słowian. I zdaje się, że biorąc za punkt wyjścia w badaniu stosunków słowiańskich odczucie konieczności zespolenia luźnych części świata słowiańskiego w celu obrony od zagrażających mu potęg, łatwo dojść do podobnego wyniku. Chociaż bowiem żywioły słowiańskie wzrastają liczebnie a germanizm cofa się przed niemi, ale brak zrozumienia wspólności interesów pozbawia wszelkiego znaczenia siłę, którą Słowianie rozporządzają. „Ich dezorganizacya w monarchii Habsburgów — są słowa Radića — jest główną przyczyną zdziczenia stronnictw wszechniemieckich oraz bezwzględności madjarskiej polityki państwowej; gdyby zamiast gryzących się wzajemnie ‚narodków' słowiańskich stanął teraz na widowni 20-milionowy czynnik cywilizacyjny z określonym programem politycznym i społecznym natychmiast musiałaby ustąpić dzisiejsza niemiecko-madjarsko-żydowska hegemonia..." „Gdy wprowadzony został dualizm, politycy słowiańscy przepowiadali mu, że nie utrzyma się on nawet przez lat 24, jeśli skieruje swe ostrze przeciw żywotnym interesom Słowian, tymczasem widzimy, że święcił on już dawno swój ćwierćwiekowy jubileusz, i że wzmocnił się w ciągu tego czasu, chociaż im dalej, tem bardziej przytłaczał, nawet niszczył same podstawy narodowo-kulturalnej i politycznej indywidualności narodów słowiańskich; gdy zaś w czasach ostatnich dzisiejszy, w istocie swej antysłowiański system państwowy ujrzał się w niebezpieczeństwie, to nie z powodu nas Słowian, których jest przeszło 20 milionów, lecz z powodu garstki Niemców, pragnących przeistoczyć państwo Habsburgów w marchię pruską..."

Ten brak powagi i znaczenia, ta bezsilność Słowian stąd, zdaniem autora, pochodzi, że dzisiejsi ich politycy oddalili się od idei, która koło połowy wieku zeszłego wskrzesiła do nowego życia ludy słowiańskie. Wskutek tego współczesne programy słowiańskie paraliżują się wzajemnie, dowodów tego jest dużo, autor przytacza dwa najjaskrawsze: ten, że już do wiosek ru-

sińskich dochodzi zasada, iż lepiej iść z Niemcem, niż z Polakiem — i ten, że w Chorwacyi Serbowie stają się podporą wszelkich zapędów madjaryzmu.

Partykularyzm, w którym grzęzną narody słowiańskie, grozi tem większem niebezpieczeństwem, że jest w rażącej sprzeczności z duchem czasu, z zasadą kooperacyi przenikającą dziś wszystkie dziedziny życia publicznego, z powszechnem centralizowaniem się sił politycznych — wreszcie nawet z poglądami samych polityków słowiańskich, tak, że robią oni wrażenie aktorów zmuszonych do grania nieprzyjemnych dla nich ról.

Szerzenie świadomości słowiańskiej w tym celu, by ją z mgły marzeń wprowadzić w dziedzinę pracy narodowej i programów politycznych, jest jedynym skutecznym środkiem przeciw rozprószeniu sił słowiańskich i wobec grozy germanizmu. Do tego nawołuje autor w energicznych wyrazach na ostatnich stronach swej rozprawy.

Najlepsze chęci podyktowały Radićowi jego pogląd na politykę słowiańską, tak jaskrawie wyróżniający się wśród innych poglądów w tym przedmiocie silnem uwydatnieniem znaczenia narodu czeskiego. Pomimo jednak tego stoi na zawadzie urzeczywistnieniu pragnień autora siła rzeczy, siła wzajemnych uprzedzeń. Wszak autor sam zaznacza gdzieś, iż „Czech lubi dowodzić, że z własnej kieszeni utrzymuje Galicyę i Dalmacyę, Chorwat znowu chełpi się, że nie ma nic wspólnego z czesko-żydowską naturą, mając tu na myśli czeską oszczędność i pracowitość, a Polak wytyka Czechowi, że niby on nie miał i nic nie umiał, gdyby go nie nauczył i nie kierował nim Niemiec“ i t. d. Siłę zaś tych uprzedzeń starannie rozdmuchiwanych przez Niemców i innych wrogów Słowian zwiększa polityka poszczególnych narodów i stronnictw słowiańskich. Radić stale, przy każdej sposobności i we wszystkich pismach swoich zaznacza, że spierają się ze sobą nie ludy słowiańskie, ale tylko ich wyższe warstwy. „Inteligencya słowiańska — wyraża się on w artykule o pierwszym panslawiście Jerzym Križaniczu — w przeciwieństwie do inteligencyi innych krajów jest zwykle niezdolną do szerszego i głębszego pojmowania potrzeb i ide-

ałów narodowych i w tym względzie zostaje poza ludem". Lud stworzy tę świadomość słowiańską, za którą wzdycha autor.

Tego poglądu autora rzeczywistość nie potwierdza, mianowicie w Polsce. Widzimy, że najbardziej antysłowiańskie zabarwienie ma polityka tych żywiołów radykalnych, które z ludu wyszły i na ludzie się opierają. Jest to prostem następstwem reakcyi patryotycznej przeciw szowinizmowi rusyfikatorów, która ogarnia coraz szersze kręgi uświadamiającego się ludu. Dziś publicyści rosyjscy przyznają sami, że zbankrutowała polityka, która drogą gnębienia szlachty miała pociągnąć ku sobie lud. Poza tem antyslawizm polski potęguje się i przez to, że liczne pisma słowiańskie, przedewszystkiem zaś *Nar. Listy,* ten *Times* czeski, uchodzący za wyraz opinii narodu czeskiego, jest w poglądach swoich na sprawy słowiańskie niczem innem, jak filią polityki szerzonej przez szowinistyczne organy rosyjskie tego kierunku, co *Nowoje Wremia* lub *Świat.*

A potem, pomysł z językiem czeskim wprowadza w plan Radića pewną sprzeczność. Wedle tego pomysłu utworzyłaby się triarchia: ziemie słowiańskie, ziemie niemieckie i węgierskie. A przecież w planie Radića leży federacyjna pentarchia.

Słowem, wobec okoliczności dzisiejszych polityka słowiańska Radića jest tylko marzeniem, ale pamiętajmy, że i marzenia nieraz coś znaczą w historyi. Niedawno jeden z młodych publicystów chorwackich, pisząc w *Obzorze* o jego „Wspomnieniach z więzienia", podniósł moralne znaczenie ich autora. „Moralność w społeczeństwie naszem — wyraził się on — jest stugłową: innym jest człowiek w domu, innym na ulicy, innym w urzędzie, innym wobec wyższych, innym jeszcze w stosunku do podwładnych, otóż na przekór temu rozprzężeniu stugłowej moralności, Radić uosabia wzór jednolitej harmonii moralnej myśli, słowa i czynu; wskutek tego poczytywanym bywa przez wielu za zapaleńca niezdolnego do życia"... „ale już czas, aby zjawisko, któremu na imię Radić, przestało być dla nas tylko zajmującem, a stało się wychowawczym wzorem do tego uzdrowienia społecznego, które jest warunkiem naszej przyszłości". Otóż ta jednolitość moralna cechuje „politykę słowiańską" Radića. Nie-

podobna wymagać od autora, aby zajął stanowisko polskie; jest on przedewszystkiem Chorwatem — i niejeden szczegół w jego rozumowaniach może nas razić. Ale to mu przyznać trzeba, że wysokim poziomem pragnień, szlachetnym idealizmem w dążeniu, głębią przejęcia się ideą równoprawności narodów słowiańskich w ich przyszłym sojuszu, i upartem zasady tej podkreślaniem Radić korzystnie się wyróżnia od starych, a tem bardziej od nowych słowianofilów rosyjskich, którzy wpadli w wyznaniową i narodową wyłączność. Jest on spadkobiercą Preradovića. Ideały jego przeniósł on z poezyi w dziedzinę polityki. Od urzeczywistnienia są one bardzo dalekie, ale przenikając potrochę do tej polityki gabinetów, rynków, ulic, którą autor tak słusznie potępia, przyczynią się do oczyszczenia atmosfery moralnej, co nie jest rzeczą małoważną.

I już dziś dają się widzieć dodatnie wyniki szerzenia się po świecie słowiańskim tych poglądów, które sformułował Radić, a które stanowią wyraz idei słowiańskiej pojętej w duchu Mickiewicza — wyraz, mogący objawiać się w rozmaitych postaciach stosownie do warunków czasu i miejsca.

Sięgnę tu do wspomnień osobistych. Gdy przed dwoma laty, krytykując w referacie moim na zjeździe słowiańskim w Raguzie ujemne objawy pseudosłowianofilstwa w Rosyi, wymieniłem Włodz. Sołowjewa i Cziczerina, jako tych myślicieli rosyjskich, którzy wygłosili najrozumniejszy i prawdziwie chrześcijańskim duchem sprawiedliwości uszlachetniony pogląd na sprawy słowiańskie, słowa moje wywołały namiętny wybuch oburzenia i protestów ze strony obecnych tam publicystów, czerpiących natchnienia swoje w tych organach prasy rosyjskiej, które nienawiść do katolicyzmu i polskości poczytują za podstawę wszelkiego programu słowiańskiego. Pokazało się też przytem, że większości członków zjazdu zupełnie nieznanem było imię takiego olbrzyma wiedzy, jakim jest Cziczerin, niezaprzeczenie najgłębszy ze współczesnych filozofów i publicystów rosyjskich. I oto już w rok potem najgwałtowniejszy z moich oponentów, p. Wergun, uznał za stosowne podać w organie swoim *Sławianskij Wiek,* obszerne streszczenie poglądów

Cziczerina na Słowiańszczyznę. Wprawdzie w jednym z ostatnich wstępnych artykułów swoich tenże p. Wergun ubolewa nad obecną, jak się wyraża, „rozsypką słowiańską“, czyli nad sprzecznościami w kierunku dzisiejszych przedstawicieli slawizmu — ale właśnie ta „rozsypka“ dowodzi silniejszego niż przedtem ścierania się w Słowiańszczyznie dwóch przeciwnych programów: unifikacyjnego z federacyjnym, zwycięża zaś, wbrew marzeniom Iwana Aksakowa i jego następców, do których pana Werguna zaliczamy, idea związku wolnych z wolnymi. Rozdrażnia to redaktorów *Słow. Wieku*, niemniej przeto p. Wergun czuje się zmuszonym wyznać, że dziś już „są za ciasne te ramy prawosławia i autokratyzmu, w które słowianofile rosyjscy usiłowali wtłoczyć ideę słowiańską. Podobnież w temże piśmie p. Kamienskij występuje jako zwolennik równoprawności członków rodziny słowiańskiej, i na rzecz tejże idei czyni niejakie ustępstwa baron Taube, pomimo swej antypatyi do katolicyzmu. P. St. Forman, sekretarz klubu słowiańskiego w Pradze, energicznie głosi w dopiero co wydanej broszurze „Panslawizm“ konieczność swobodnego rozwoju wszystkich indywidualizmów narodowych w świecie słowiańskim, i przy tej sposobności potępia obecny pochód szowinistycznych organów prasy rosyjskiej przeciw nieszczęśliwej Finlandyi, jako objaw zasadniczo sprzeczny z duchem słowiańskim. Wreszcie osławione *Słow. Izwiestija* w Petersburgu zmieniły swój ton, choć nie zmieniły, jak się zdaje, poglądów swoich.

Nie przypisuję objawom tym znaczenia doniosłego, lecz bądź co bądź, świadczą o powolnem zwyciężaniu dobrej sprawy na świecie słowiańskim.

M. Zdziechowski.

NAJNOWSZE STANOWISKO SOCYALISTÓW WZGLĘDEM KOŚCIOŁA.

I. Przeciw Wierze czynnej na polu społecznem.

W ostatnich miesiącach socyaliści na nowe stanowisko weszli w swoich stosunkach z Kościołem. Obrali to stanowisko z powodu walki przeciw Kościołowi, toczonej przez rząd francuski. Po stronie rządu stanęła naprzeciw Kościoła znaczna część towarzyszy we Francyi. Krok ich zdziwił wielu innych, a w Niemczech najwięcej. Od czasów Bismarcka nigdy czerwona chorągiew obok rządu prześladowczego nie ruszała na walkę przeciw obrońcom Kościoła. Jako krzewiciele swobody i praw równych dla wszystkich obywateli, towarzysze głosowali wraz z Centrum przeciw uciskowi i wyjątkowym ustawom dla wolnych wyznawców wiary w Kościół Powszechny: każdą wiarę ogłosili sprawą osobistą, niepodległą państwu i jego przemocy. Na tej zasadzie oparci, towarzysze niemieccy zarzucili francuskim odmienny pogląd na stosunek socyalizmu do Kościoła. Na widok poróżnionych w tej mierze towarzyszów, jeden z nich, Andrzej Morizet, wezwał co wybitniejszych ze wszystkich narodów i oddziałów stronnictwa, żeby w dwutygodniku *Le Mouvement Socialiste* wyłożyli, jak rozumieją wytyczną w tej mierze zasadę o wierze jako sprawie osobistej. Długi ciąg odpowiedzi, w ostatnich miesiącach bieżącego roku, przyszedł do dwutygodnika z różnych stron i części świata: więc ze Stanów Zjednoczonych

w Ameryce i z europejskich krajów: z Niemiec, Danii, Belgii, Anglii, Hiszpanii, Włoch, Francyi i Austryi. Odpowiedzi te prawie jednomyślnie wykładają stanowisko socyalistów wobec Kościoła w sposób dotychczas nie znany.

Dla łatwiejszego przeglądu tych odpowiedzi wypada ustawić je w kilku rozdziałach według różnych haseł, z jakiemi socyaliści walczą; można zacząć obecnie od odpowiedzi o walce z Kościołem, jako z czynnikiem społecznym.

Cóż w nich czytelnicy znajdą nowego?

Najszerzej odpisał Karol Kautsky, naczelny redaktor *Neue Zeit:* nadesłał długą rozprawę, odbitą następnie osobno w niemieckim języku[1]. Przewodnią myśl jego można poznać z wyjątków następnych[2]:

„Nie możemy mówić o Kościele, nim wiemy, co znaczy religia.

„Można ustawić wszystkie określenia religii we dwóch od-

---

[1] Ocenę jej podał *Przegląd Kościelny.*

[2] Kautsky 2046:

... On ne peut parler de l'Église sans savoir, ce qu'on entend par religion. La chose n'est pas simple. L'idée de religion est très confuse, très variable...

On peut d'ailleurs ramener toutes les définitions de la religion à deux types. On ne les confond que trop, et cependant ils sont exclusifs l'un de l'autre. Schiller déjà les a caracterisés tous deux dans ses célèbres vers:

„Quelle religion je reconnais? Aucune de celles que tu me nommes. Et pourquoi aucune? Par religion!"

D'une part on désigne sous le nom de religion un certain sentiment individuel, la personnalité s'élevant au-dessus de ses intérêts actuels; c'est une espèce d'idéalisme moral, une exaltation. D'autre part on entend également par religion un phénomène historique collectif, un système de l'univers auquel les masses n'arrivent pas par leur propre réflexion, mais que, par un acte de foi, elles acceptent d'une autorité supérieure et dont elles font la règle de leurs pensées et de leurs actes.

La religion comprise au sens d'une affaire de sentiment, d'une affaire privée par suite, et les religions collectives, historiquement constituées, qui représentent un produit de la vie sociale, non seulement sont choses fort différentes, mais n'ont que trop souvent fait très mauvais ménage. La première, en effet, ne reconnait à son sentiment moral et métaphysique, d'autre guide que la conscience personnelle, les autres exigent la soumission de

działach. Schiller już napiętnował dwa te odrębne pojęcia w sławnych wierszach [1]:

Moja Wiara.

Wymień mi Kościół, czy nowy, czy stary:
W żaden nie wierzę; a nie wierzę z Wiary.

„Z jednej strony oznacza nazwa religii jakieś uczucie osobiste, kiedy kto podnosi się nad swoje potrzeby obecne; jest to rodzaj marzycielstwa w zakresie obyczajowym, jakiś zachwyt. Z drugiej strony rozumieją także przez religię zjawisko dziejowe

---

toute conscience à une autorité sociale qui se réclame de son autorité surhumaine.

Tamże str. 2054:

Les restes du communisme particulier que l'Église pratiquait à son origine, les différentes formes sous lesquelles elle secourt les pauvres et les malades et instruit la jeunesse, ne lui servent qu'à détacher des masses considérables de proletaires de leur mouvement de classe.

2054 dalej:

... on peut entendre la religion en un sens où elle corresponde à des tendences socialistes.

On peut se considérer comme un excellent chrétien et cependant (2055) prendre part la plus ardente à la lutte des classes. Cette observation s'applique mieux encore aux millions de ceux qui forment aujourd'hui la masse des chrétiens et ne restent que par habitude membres de leur Église sans avoir beaucoup réfléchi sur son rôle.

Là où il est impossible d'être en même temps un bon chrétien et un bon démocrate socialiste, la faute en est non à notre parti, mais au clergé... les traditions cléricales sont en contradiction trop accusée avec l'émancipation du prolétariat.

Tamże 2056:

Même là où le socialisme dit chrétien est pris au sérieux, ne se réduit pas à un charlatanisme démagogique, il ne peut jamais servir efficacement à la libération du prolétariat.

Dalej:

Ainsi donc, bien que la démocratie socialiste respecte toute conviction religieuse, bien qu'elle en ait fait l'affaire de chaque individu, bien que les doctrines de l'Évangile soient compatibles avec les buts que nous poursuivons, notre parti ne s'en heurte pas moins à l'hostilité de cette autorité qui domine dans la religion catholique considerée comme religion collective à l'hostilité du clergé.

[1] Gedichte der dritten Periode. Votivtafeln. Dystycha:

Mein Glaube.

Welche Religion ich bekenne? Keine von allen,
Die du mir nennst. Und warum keine? Aus Religion.

i zbiorowe, układ pojęć o świecie, do którego tłum nie dochodzi po uwadze własnej, ale za sprawą wiary przyjmuje tę religię od wyższych powag i tworzy z niej prawidło myśli i czynów.

„Religia pojęta jako sprawa uczucia, zatem sprawa osobista, i religie zbiorowe, dziejowo wprowadzane, które stanowią owoc żywota społecznego, nie tylko stanowią rzeczy bardzo różne, ale aż zanadto często źle ze sobą żyją. Pierwsza istotnie nie uznaje dla swoich uczuć obyczajowych i metafizycznych innego przewodnika, prócz osobistego sumienia; inne każą poddać wszelkie sumienie jakiejś powadze osobliwej, która przechwala się początkiem nadziemskim.

„Szczątki osobliwego wspólnictwa dóbr, znanego z początku Kościoła, rozmaite drogi, na których Kościół wspiera ubogich i chorych, i uczy młodzież, na nic w jego rękach nie służą, jak na to, aby oderwać znaczne tłumy proletaryuszów od ich walki przeciw warstwom naczelnym.

„Można rozumieć religię w myśli zgodnej ze zamiarami socyalistów.

„Można uważać się za znakomitego chrześcijanina, a przecie brać udział najgorliwiej w walce przeciw warstwom przewodnim. Tę uwagę jeszcze łatwiej zastosować do tych milionów, które stanowią dziś rzeszę chrześcijańską, a nie pozostają jak tylko ze zwyczaju członkami Kościoła, bez długich namysłów nad jego stanowiskiem. Proletaryat ustawiony w szyku bojowym, demokracya socyalna nie ma najmniejszego powodu, żeby usuwać podobne żywioły, które mogłyby i chciałyby toczyć walkę po naszej myśli.

„Tam, gdzie nie można razem być dobrym chrześcijaninem i dobrym demokratą socyalnym, wina nie leży po naszej stronie, tylko cięży na duchowieństwie. Odwieczne podania duchowieństwa stoją w jaskrawem przeciwieństwie z wyzwoleniem proletaryatu.

„Nawet tam, gdzie socyalizm zwany chrześcijańskim zajmuje umysły poważnie, nie schodzi na kuglarstwo demagogiczne, nawet tam nie może skutecznie służyć do wyzwolenia proletaryatu.

„Tak tedy, chociaż demokracya socyalna szanuje wszelkie poglądy religijne, chociaż pozostawia te poglądy między osobistemi każdego sprawami, chociaż nauki Ewangelii są zgodne ze zamiarami naszemi, nasze stronnictwo jednak zderza się z wrogiem w tej powadze, która panuje w Kościele Powszechnym, uważanym jako potęga zbiorowa, w potędze duchowieństwa".

Słowem: jaką wiarę zostawia Kautsky do woli każdemu, jako jego sprawę osobistą? Taką wiarę marzycielską, z jakiej Schiller nie wierzył w Kościół, albo taką wiarę martwą, z jaką miliony — a przynajmniej setki tysięcy niestety należą do Kościoła bez myśli o swoich obowiązkach i posłannictwie miłości uczynnej.

Ale kto żywo i szczerze pojmuje swoję Wiarę jako prawidło czynów, kto pod wodzą Kościoła poprawia w swoim zakresie stosunki i usuwa krzywdy, kto czynnie bierze udział w demokracyi chrześcijańskiej a nie po kuglarsku, ten przeszkadza dziełu nienawiści i przewrotowi społecznemu, zatem zostaje wrogiem socyalizmu, bo „nikt dobrym chrześcijaninem i dobrym socyalistą razem być nie może".

Tak Kautsky.

Cóż czytamy u innych?

Znany poseł belgijski, Vandervelde oświadczył[1], że „...so-

[1] Roczn. 4, str. 1928:

Au fond, tout le problème se ramène à ceci: „Quel est le but essentiel poursuivi par le Socialisme?"

Or à cette question, il n'est pas un socialiste qui puisse hésiter à répondre: C'est l'émancipation des travailleurs, l'affranchissement du prolétariat, l'abolition de toutes les servitudes qui pèsent sur lui, dans l'ordre spirituel aussi bien que dans l'ordre matériel.

Str. 1929:

Or, dans cette lutte, les prolétaires ne doivent guère compter sur les sentiments généreux, sur les concessions gracieuses des classes dirigentes; suivant l'inoubliable devise de l'Internationale — l'émancipation sera l'oeuvre des travailleurs eux-mêmes.

Il est donc indispensable que ces derniers se grouppent, en se fondant sur les intérêts communs et en écartant, autant que faire se peut, les dissentiments religieux et philosophiques qui sont de nature à diviser la classe ouvrière.

Str. 1931:

cyalizm, jako stronnictwo, wśród pracy w porządku doczesnym, aby ziścić zamiary polityczne i społeczne, powinien trzymać się zdaleka od zagadek czysto religijnych i dogmatycznych, ‚których królestwo nie jest z tego świata'.

„O ile religia nie wgląda w nic prócz spraw niebieskich, o ile nie zachciewa się jej rządzić na ziemi, możemy i powinniśmy, bo dobro proletaryatu tego wymaga, uważać religię za sprawę osobistą".

Mamy tedy u Vanderveldego powtórzony za Kautskim, chociaż innemi słowami, wykład zasady, że od wiary jako sprawy osobistej, socyalizm jako stronnictwo stoi na uboczu. Mianowicie Vandervelde zręcznie do zakresu tej sprawy osobistej zalicza prawdy Wiary, „których królestwo nie jest z tego świata". Prostaczek nie uważa, że o tyle może zacho-

---

C'est pourquoi nous estimons que le socialisme, en tant que parti, poursuivant dans l'ordre temporel, la réalisation d'un programme politique et économique, doit rester étranger aux questions purement religieuses et dogmatiques, „dont le royaume n'est pas de ce monde".

Pour autant que la religion ne concerne que les choses du ciel, sans prétendre régler les choses de la terre, nous pouvons et nous devons, car l'intérêt du prolétariat l'exige, la considérer comme une affaire privée, ou pour employer une expression qui nous parait préférable, comme une affaire de conscience.

Tamże str. 1926:

... dès à présent, ils constituent la principale force agissante de la démocratie, et d'autre part, l'Église apparait comme le plus solide boulevard des classes privilégiées: tandis que les autres partis (libéraux) bourgeois déclinent, s'affaissent, abdiquent ou disparaissent, les groupements catholiques s'organisent, s'accroissent et notamment en Belgique, manifestent une remarquable vitalité.

Tamże str. 1934.

... son action (du Parti socialiste) doit se borner à la défense de la société civile contre les empiétements de l'Église et laisser en dehors du débat, la question religieuse proprement dite.

Tamże str. 1936:

Comment un croyant sincère peut-il concilier son attachement à l'Église et son indépendance en matière sociale?

Ce n'est pas à nous qu'il appartient de répondre, mais étant donnée l'autorité, que les catholiques attachent à la parole du Pape, force nous est de conclure, que dans le domaine philosophique, entre le socialisme et l'Église la lutte est inévitable.

wać Wiarę w Kościół Powszechny, o ile ta Wiara podaje same prawdy o Niebie — a nie o ile Wiara zamierza co urządzać na ziemi. W tych słowach ostatnich nie odrazu czytelnik każdy spostrzega, o co idzie Vanderveldemu, który swoją myśl poprzednio wyjaśnia zasadniczym zamiarem socyalistów, żeby wyzwolić robotników z wszelakiego służalstwa pod względem doczesnym; wyzwolić ich mają socyaliści nie oparci o żadną pomoc szlachetnych serc; nie mają zawdzięczać nic dobrowolnym ustępstwom warstw naczelnych; według wiekopomnego hasła Międzynarodówki wyzwolenie robotników ma być dziełem robotników samych. Niech tedy Kościół nie podaje ręku robotnikom do naprawy stosunków, do obrony przed krzywdą; niech uczy wierzyć w prawdy niebieskie; o ile na tej nauce poprzestaje, niech ma swoich wyznawców między socyalistami, ale nie o ile wkracza w pracę społeczną i w pole walki o dobra doczesne.

W tej myśli Vandervelde stawia Kościół naprzeciwko socyalizmu i nie za pochwałę poczytuje, tylko za złe członkom Kościoła bierze ich związki i spółki, zakładane dla dobra robotników: „już — pisze — socyaliści stanowią główną siłę czynną demokracyi, a z drugiej strony związki katolickie urządzają się, rosną i zwłaszcza w Belgii okazują godną uwagi żywotność". Więc „przeciw tym to zamachom kościelnym na społeczeństwo świeckie w jego obronie musi powstać socyalizm przeciw Kościołowi, a pominąć bez sporu sprawę religii właściwą".

Wkońcu przytoczył Vandervelde ustęp z encykliki Leona XIII na dowód, że Papież Robotników schodzi z nieba na ziemię, zamiast ją zostawić socyalistom, i zadał sam sobie pytanie: „Jak może szczery i wierny członek Kościoła pogodzić swoje do niego przywiązanie ze swoją niezależnością w sprawie społecznej? Nie nam na to odpowiadać, ale wobec powagi, którą katolicy przywiązują do słowa papieskiego, trzeba nam wnosić, że w dziedzinie filozoficznej, jak też w politycznej między socyalizmem a Kościołem walki uniknąć nie można".

Biskup nasz polski z metropolii lwowskiej podniósł głos uroczysty, aby z żalem między innemi prawdami i tę prawdę

wytknąć ludziom martwej wiary, że stronnictwa i związki katolickie i mogły i powinny były wywalczyć niejedno dla warstw robotniczych, ale, nie urządzone dobrze i silnie, ustąpiły tej zasługi socyalistom. Vandervelde, gdyby o tem wiedział, nie jako gorzką dla wielu z nas prawdę podniósłby u niejednego między nami wiarę, leniwą do czynu, ale w kim taką wiarę martwą dostrzegłby, pochwaliłby ją, jako stan duszy zupełnie zgodny ze socyalizmem.

Jeszcze śmielej odpowiedział Leon Furnémont. Razem, ale to zupełnie razem bez najmniejszej przerwy łączy ze sobą dwie myśli wprost sprzeczne: twierdzi stanowczo, że żaden w świecie ustrój społeczny nie zabezpiecza nikomu jego wiary tak nietykalnie, jak socyalizm, i natychmiast dodaje, że kto przystanie do socyalizmu, tem samem odpada prawie zupełnie od wiary. Dowcip tedy Furnémont'a polega na szyderstwie ze zdrowego rozsądku, który z nienacka obalony na ziemię i po prostacku zdeptany, już ani nie wie sam, gdzie i jak odkrył niepojętą prawdę: że mianowicie socyalizm zabezpiecza tę wiarę, z której wyzuwa prawie zupełnie.

Aby przygotować tło do takiego dowcipu, Furnémont wprowadza najprzód paru najznakomitszych wodzów socyalizmu[1]: więc najprzód Cezara De Paepe, który
„pisał w 1863:

‚Coby o tem nie myślało wielu ze socyalistów i wielu z chrześcian, niema żadnego związku pokrewieństwa między poglądem chrześcijańskim, a poglądem socyalistów, między braterstwem ewanielicznem a sprawiedliwością równomierną, między wspólnictwem dóbr zakonnem a spółką przemysłową, między modlitwą a pracą, między teologią a nauką o gospodarce społecznej, między Kościołem a Przewrotem'.

---

[1] Tamże, roczn. 5, str, 23, 26:
Léon Furnémont:
César de Paepe écrivait en 1863: „Quoiqu'en pensent beaucoup de socialistes et beaucoup de chrétiens, il n'y a aucun lien de parenté entre l'idée chrétienne et l'idée socialiste, entre la fraternité évangélique et la justice égalitaire, entre la charité et la réciprocité des services, entre la

„I Bebel w rozprawie odbitej na nowo we *Vorwärtsie* z roku 1901-go, mówił:

‚Chrześcijaństwo, to wróg swobody i oświaty.

‚Ono to trzymało człowieczeństwo w niewoli i ucisku.

‚Państwo z Kościołem zawsze godziło się po bratersku, aby wyzyskiwać lud.

‚Chrześciaństwo a socyalizm? jedno sprzeczne z drugiem jak ogień i woda'.

„Vandervelde, z kolei, odpowiada“ i t d.

Po wstępie osnutym na słowach, równie poważnych dla socyalizmu, jak powyższe, Furnémont od siebie dodaje:

„Jakże możnaby pojąć stronnictwo, oparte na braterstwie i równości, w zgodzie ze zasadami obyczajów uległych i niewolniczych?“

Po kilku poglądach osnutych na tle przeciwieństwa między wiarą w Kościół Powszechny, a wiarą w słowa twórców socyalizmu, Furnémont pisze te słowa:

„Programy różnych stronnictw robotniczych dają skądinąd proletaryuszom jeszcze wierzącym rękojmię, że żaden przymus nie będzie zadany ich przekonaniom wnętrznym, ani swobodnym objawom ich uczuć religijnych. Żaden ustrój społeczny nie dał nigdy tego zapewnienia. Już przystąpić do socyalistów, aby upominać się o swoje prawa, stanowi to samo, co zerwać prawie zupełnie z dawnemi zasadami wiary“.

---

communauté religieuse et l'association industrielle, entre la prière et le travail, entre la théologie et la science de l'économie sociale, entre l'Église et la Revolution“.

Et Bebel, dans une étude éditée par le Vorwaerts en 1901, disait:

„Le Christianisme est l'ennemi de la liberté et de la civilisation.

„Il a maintenu l'Humanité dans l'esclavage et l'oppression.

„L'État et l'Église se sont toujours accordés fraternellement pour exploiter le peuple.

„Le Christianisme et le Socialisme sont vis-à-vis l'un de l'autre comme le feu et l'eau“.

... Comment pourrait-on concevoir une société fraternelle et égalitaire avec une morale de soumission et d'esclavage?

25. Les programmes des divers partis ouvriers donnent d'ailleurs aux prolétaires encore croyants la garantie qu'aucune contrainte ne sera

Po tych słowach pisze już Furnémont śmiało:

„Przewaga, a przynajmniej upór uczucia religijnego: ot co głównie przeszkadza, żeby proletaryat całkowicie stanął przy programie socyalistów.

„Trzeba dodać, że w Belgii Kościół z liczną obsadą swoją i niezmiernymi zasobami pieniężnemi: to jedyny czynnik poważny wstecznictwa pieniężnego...

„Jego dzieła społeczne stają naprzeciwko naszych; naszym pomocom wzajemnym odpowiadają jego wzajemne pomoce; z pożyczkowemi spółkami socyalistów idą w zawody prawie wszędzie pożyczkowe spółki chrześcijańskie: aż do syndykatów dochodzi, z których zdołali poodbijać dziwaczne podobizny, aby skuteczniej rozrywać warstwę robotniczą.

„A cóż to za cement w tej całej budowie pomysłów, które przekradają nasze wynalazki do Kościoła? Zasada Wiary. Ale zasada jakiej wiary? Która zacietrzewia w sposób najpospolitszy i ścieśnia rozum, jako szczątek średniowiecza, spadek po wrogach narodu.

„Czyż trzeba prowadzić wojnę przeciw Kościołowi? A prze-

---

exercée contre leurs convictions intimes, ni contre la libre manifestation de leurs sentiments réligieux. Aucun régime social ne donna jamais cette assurance. L'adhésion aux revendications socialistes constitue déjà, par elle-même, un détachement presque complet des anciennes idées religieuses.

26. ...la prédominance, ou tout au moins la persistance, des sentiments réligieux est le principal obstacle au ralliement total du prolétariat autour du programme socialiste.

Il faut ajouter qu'en Belgique, l'Église romaine, avec son nombreux personnel et ses immenses ressources pécuniaires, est le seul agent sérieux de la réaction capitaliste.

Ses oeuvres sociales se dressent en face des nôtres: à nos coopératives répondent leurs coopératives; les mutualités socialistes ont pour rivales, presque partout, les mutualités chrétiennes; il n'est point jusqu'aux syndicats, dont ils ne soyent parvenu, à faire d'étranges caricatures, afin de mieux diviser la classe ouvrière.

Quel est donc le ciment de toutes ces organisations de contrebande? L'idée réligieuse, et quelle idée réligieuse? Le fanatisme le plus grossier et le plus étroit, survivance du moyen âge, héritage de la domination espagnole.

Faut-il faire la guerre à l'Égise? Mais à qui donc devrions-nous la faire! Aux moulins à vent du doctrinarisme?

ciw komuż mielibyśmy ją prowadzić? przeciw wiatrakom pustej gadaniny!

„Trzeba prowadzić przeciw Kościołowi wojnę bez miłosierdzia, bo on to ustawia do boju znaczną część proletaryuszów przeciwko ich braciom“...

Do takich wniosków przeciwkościelnych dochodzi Furnémont ze zręcznie wyłożonej zasady, że socyalizm nic przeciw wierze nie uczy.

Do prawie takich samych wniosków doszedł znów inny socyalista, Belfort Bax, ale zupełnie inną drogą. Jako Anglik, szedł spokojnie, i dumnie a śmiało wyznał, że poczytuje chyba za piękny ogólnik zasadę o wierze jako osobistej sprawie, ale

---

Il faut faire à l'Église une guerre implacable, parce qu'elle organise contre leurs frères une notable partie des prolétaires...

27. Il faut à tout prix ravir à l'Église la puissance politique la rendant maîtresse de l'enseignement public, dont elle se sert pour corrompre les générations dont nous aurons besoin pour réaliser le socialisme.

Nous devons les combattre sans faiblesse, car elle est la seule puissance constituée internationallement ayant des dogmes, une hiérarchie, des richesses et des agents, dirigés systématiquement et formidablement contre nous.

Parce qu'encore ses doctrines économiques, sa politique, sa morale sont le contre-pied de nos principes et de notre idéal.

Perce qu'elle est la seule force contre-révolutionnaire effective en maintenant dans la servitude volontaire, la pire de toutes, les ouvriers chrétiens, dont on peut dire, selon la forte parole d'un penseur, qu'ils ont tout perdu dans les fers, jusqu'à l'envie d'en sortir.

Parce qu'enfin, comme l'écrivait Bebel:

„Le progrès humain exige que la guerre soit déclarée à tous les privilèges et à toute puissance autoritaire: l'Église n'exerce pas une moindre autorité sur le peuples que l'État. Il faut combattre tout ce qui, reposant sur l'autorité et la croyance aveugle, s'efforce d'anéantir ce que le Socialisme travaille à conserver, la Science et la Civilisation. Le Socialisme, qui est toute l'Humanité, réalisera les lois morales ayant, depuis dix huit siècles, servi d'enseigne à l'Église pour l'oppression et l'exploitation des masses. Il ne veut pas établir l'égalité universelle, l'universel amour des hommes, parce qu'un Boudha, un Jésus, un Mahomet l'ont prêché, mais parce qu'ils sont un but et un idéal vers lesquels l'humanité, sous toutes latitudes, quelles que fussent leurs constitutions religieuses et politiques, a tendus, sciemment ou instinctivement, mais qu'aucun Boudha, aucun Jésus, aucun Mahomet ne lui a donnés.

tę zasadę wolałby wręcz odrzucić, bo nie ufa jej w codziennych szczegółach żywota. Dodaje, że szczęściem socyaliści sami nie wiele sobie z tej zasady robią. Więc mówi [1]:

„Co do mnie osobiście: nigdy nie mogłem przystać całkowicie na zasadę, przyjętą w tej mierze do programu prawowiernych socyalistów. Może to ładny ogólnik, że wiara stanowi sprawę osobistą, ale ściśle przeprowadzić tę myśl aż do ostatecznych szczegółów znaczy wywołać niejedno niebezpieczeństwo. Szczęściem nie widzimy zachowanej tej zasady ściśle, bo znajdujemy w wielu pismach socyalistycznych napaście wyraźne albo ukryte na chrześcijaństwo".

Wkońcu Bax uznaje w tej zasadzie tylko wybieg wojenny, mało przeciw komu przydatny na przynętę, bo socyalizm zbyt istotnie występuje przeciw Kościołowi, więc kogo dopuszcza pod swoją chorągiew, w nim widzi umysł wyzwolony już prawie zupełnie z pod ciemięstwa wiary.

Nie mniej śmiało, jak Bax, wyraża swoją myśl członek francuskiej izby poselskiej, François de Pressensé. Choć nosi

---

[1] Bax 43:

Pour se qui me concerne, je n'ai jamais pu accepter pleinement la position prise dans cette question par le programme orthodoxe du socialisme. La théorie que la religion est une affaire personnelle peut être très belle, mais si elle est pousée logiquement à l'extrême, elle devient dangereuse à plus d'un point de vue... Heureurement que se principe n'est pas observé strictement, car nous trouvons dans maint organe socialiste des attaques plus ou moins ouvertes contre le christianisme. Ce principe a pour excuse que si le socialisme prenait une attitude antireligieuse, il détournerait bon nombre de personnes qui, sans cela, seraient de son côté.

Mais est-ce exact? J'en doute grandement... Ceux qui sont disposé à accepter les principes du socialisme, sont en général déjà émancipés de la tyrannie des dogmes cléricaux.

L'opposition entre le socialisme et le cléricalisme est incontestable, malgré les efforts de certains cercles chrétiens, en divers pays, pour établir une contre-façon du socialisme sur une base chrétienne. Le christianisme est dans son essence et dans ses origines un système individualiste par excellence, basé, avant tout, sur les relations de l'âme individuelle avec une divinité imaginaire, tandis que le socialisme repose sur les devoirs réciproques de la société humaine, comme telle, sans aucun égard d'une sanction divine.

nazwisko bardzo wykwintne, bardzo niewytwornie wyraża swoją myśl: rąbie piórem, jak siekierą, kiedy bez wykrętów oświadcza [1]:

„...nie trzeba otwartych drzwi wyłamywać, ani dowodzić, że socyalizm: to od urodzin wróg Kościoła; przeciw niemu sprawę wielką toczy o prawa rozumu i zasady obyczajów. Zastawia pojęcie sprawiedliwości przed pojęciem miłości. Wie, co to takiego wyzyskiwać bezczelnie nędzę, słabość, samą miłość w domach, którym nasze społeczeństwo mieszczańskie pozwala rościć prawa do nazwy dobroczynnych. Wie socyalizm, co to takiego te uczelnie, gdzie wyrabiają wszystko, byle nie obywateli, przejętych swojem prawem i zaciętych, kiedy prawa żądają".

Bardzo za to spokojnie odpowiedział amerykański socyalista A. M. Simons, wydawca *International Socialist Review* w Chicago. Krótko i węzłowato wyznał, że socyalizm za otwartego wroga poczytuje Kościół, że ze strony jego dostojników doświadcza przeszkód, stawianych z całym zasobem sił, że socyalizmu z Kościołem żaden wzgląd wspólny nie łączy [2].

Również inni chcą wepchnąć wiarę do kryjówek myśli, które nie mają nic wpływać na pracę społeczną. Niemiec Von Vollmar [3] pisze: „Niczyje poglądy wyznaniowe nie mają nic szukać w sprawach ustawodawczych i społecznych". Włoch

---

[1] François de Pressensé, tamże str. 128.

...pas n'est besoin d'enfoncer des portes ouvertes. Le socialisme est l'ennemi né de l'Église. Il a une grande querelle intellectuelle et morale engagée avec elle. Il oppose la notion de justice a celle de charité. Il sait ce que c'est que l'exploitation éhontée de la misère, de la faiblesse, de la charité même dans ces maisons auxquelles notre société bourgeoise a lâchement permis d'usurper les fonctions de l'assistance pnblique. Il sait ce que c'est que ces écoles où l'on forme tout, sauf des citoyens pénétrés de leur droit et résolus à l'exiger.

[2] A. M. Simons, tamże str. 227.

Aux États-Unis, comme partout, l'Église catholique a déclaré la guerre au socialisme, et la plupart de ses hauts dignitaires nous combattent de toutes leurs forces.

Je pense d'ailleurs, comme l'a affirmé recemment un haut dignitaire de l'Église protestante, l'Évêque Spalding, qu'il n'y a rien de commun entre le Socialisme et la religion.

[3] Tamże str. 1945.

Ferri[1] świadczy, że pod Bolonią dziennikarz zauważył podobizny socyalistów nad łóżkami wieśniaków, zamiast obrazów świętych; zapytał się, czy tam kto zwoływał jakie wiece przeciwkościelne? „Nie, odpowiedzieli wieśniacy, ale my socyaliści". Więc, wnosi Ferri, wystarczy wszczepić w serca socyalizm, aby wydrzeć wiarę w Kościół. Hiszpan Iglesias i żydówka Luxemburg prorokują śmiało[2], że duchowieństwo zniknie, kiedy socyalizm odzierży władzę. Anglik Quelch[3] nie widzi dla socyalistów postawy możebnej wobec Kościoła, jak tylko wrogą bez miłosierdzia. Pastor Goehre, członek niemieckiej demokracyi socyalnej[4], powtórzył, że socyalizm nie wyklucza żadnej wiary, ale zaraz odróżnił z naciskiem wiarę od Kościoła, i po bardzo niedościgle uczonych wywodach skończył sądem, że Kościół z wiarą stoją na przeciwnych biegunach, że jedno drugie wręcz wyklucza: więc socyalizm tem samem szanuje każdą wiarę, iż wyklucza wszelki Kościół. Duńczyk Knudsen[5] wymaga swobody wyznaniowej, ale tylko o ile Kościół jakibądź, czy Powszechny, czy narodowy, jak w Danii, nie usiłuje wywierać wpływów pod jakimbądź względem, bądź społecznym, bądź innym. Austryak Ellenbogen powtarza tę myśl w podobnych słowach[6], bo swobodę wyznaniową ścieśnia do zakresu prawd nieprzystępnych dla rozumu. Włoch Schiavi[7] opiera swoją odpowiedź na powadze własnego ziomka, profesora Antonio-Labriola, który podnosi, że podług księży nie to jeszcze stanowi katolika przystać na katolickie zasady i poglądy o stanowisku człowieka na ziemi i o przyszłym żywocie, ale co głównie rozstrzyga, to żywot czynny według praw tej wiary. (Aż powagi włoskiego profesora potrzeba było Schiaviemu, żeby uwierzył w taką zasadę księżowską!) Do czego księża nie doprowadzają ludzi z taką zasadą,

---

[1] Tamże str. 1948.
[2] Tamże str. 2044 i 28.
[3] Tamże, str. 2044.
[4] Tamże 38, 41.
[5] Tamże 119.
[6] Tamże 231.
[7] Tamże 525, 7.

to Schiavi wykłada opisem misyi w Eboli, gdzie po kazaniu długi pochód wieśniaków stanął na rynku, rozpalił *auto-da-fé*, na stosie zniszczył książki i obrazy sprośne, a nakoniec pooddawali broń, i całe rodziny, dotychczas w śmiertelnych walkach, padały sobie w ramiona na znak zgody. Otóż taka potęga księży istotnie wnika w stosunki społeczne, więc grozi niebezpieczeństwem proletaryuszom, jako zdolna wstrzymać ich pochód do wyzwolenia. Zatem socyalizm musi wyzuć Kościół z jego rozpanoszonej potęgi.

Tak tedy socyaliści oświadczyli, że pozwalają swoim towarzyszom wierzyć w Kościół Powszechny o tyle, o ile ta wiara w swoich zasadach podziwia prawdę — bezdusznie, i przed nią składa hołd — bez wysiłków, i objawia nabożeństwo — czysto zewnętrzne. Ta wiara nie przeszkadza samolubom iść na polu społecznem drogą, jaka komu wygodna. Samolub majątkowo silniejszy — słabszego wyzyska; równy — równemu poderwie zarobek; słabszy na mocniejszego czyha — dawniej zaczajony w Apeninach pod posągiem Madonny, nabijał broń kulą poświęconą, dzisiaj stoi na czatach pod chorągwią czerwoną, przekonany, że może dalej odmawiać brackie pacierze. Takiem nabożeństwem gardzi nasze przysłowie, jako błazeństwem; taką wiarę socyaliści szanują, jako nieszkodliwą, — poważają, jako nietykalną sprawę osobistą.

Taką wiarę Kościół z bólem widzi u wielu członków swoich, ale usiłuje wyplewić z ich samolubnych serc tę marzycielską wiarę w niebo bez pracy na ziemi: każe czynem wiarę wyznawać, każe mocarzom pieniężnym uwzględniać prawa biedaków, od których potrzebują pracy, a robotnikowi przez pracę sumienną zdobywać każe prawo do skarbców bogaczy, z których zapłatę wybiera.

Taką wiarę socyaliści napastują, jakoby szkodliwą dla swobodnego rozwoju społeczeństwa, — gardzą taką wiarą, jako przestarzałem wędzidłem dla wolnego dziś człowieka-samoluba.

Długo socyaliści uspokajali lud, że prowadzą biednych do majątku drogami, po których wiara katolicka iść nie zabrania.

niejednemu katolikowi jego osobista wiara nie broniła chodzić rozmaitemi ścieżkami, które nie rażą w obecnym rozstroju społecznych stosunków. Ale odkąd żywa wiara natchnęła swoich wyznawców hasłami Leona XIII i zmusiła do poprawy społecznej i naprawy stosunków, odtąd przestajemy słyszeć obietnice zgody między socyalizmem a Kościołem; odtąd brzmi hasło: precz z wiarą, która wymaga uczynków!

Ks. K. Czaykowski.

DELITZSCH'A „BABEL UND BIBEL".

(Dokończenie).

Całe *Babel und Bibel* przedstawia oku imponujący widok. Na pierwszym planie Babilon, oblany potokami rzęsistego światła, naokoło inne kraje i ludy w półcieniu; gdzieś w kącie mała, skurczona Palestyna z biblią i całym jej światem. Historya starożytnej Azyi zachodniej staje przed oczyma, jak żywa. Kilka mistrzowskich posunięć pendzla, a zapełniają się wieki, ba nawet tysiące lat dziejów. Tam, gdzie sterczały tu i owdzie samotne fakty, bez widocznego wzajemnego związku, bez dostatecznego tła historycznego, próżnia się zapełnia i zaludnia, a te szczegóły, które do zbudowania całej teoryi większej były wagi, występują tak jaskrawo i plastycznie, że gołem okiem, zda ci się, możesz odróżnić najdrobniejsze kontury. W głębi wreszcie obrazu, w perspektywie jasnej, choć z umysłu lekką mgłą przysłoniętej, rysuje się plan przyszłości, pogląd na religijne, filozoficzne i historyczne pojęcia, którym drogę toruje zestawienie Babilonu i biblii.

Patrząc na to zjawisko nie łatwo jest zdać sobie sprawę, że to w przeważnej części płód wyobraźni Delitzscha, że w objektywnem przedstawieniu zamiast pięknego malowidła powinny czernieć na płótnie nagie fakta, jak czarne punkciki nie powiązane nićmi zmyślonych teoryi, nie przystrojone w fałszywe światła i barwy. Spróbujemy choć na kilku przykładach zrekon-

struować tę szarą rzeczywistość, zmyć ostrożnie grubą warstwę sztucznych farb i świateł, albo przynajmniej należycie je rozłożyć. A gdy tego dokonamy, przekonamy się ze zdziwieniem, że w większości przypadków linie teoryi a tem bardziej wyprowadzone z całości wnioski same upadną, pozbawione pozornej podstawy, którą im dawały nie fakta, ale ich oświetlenie.

Przedewszystkiem samo się nasuwa pytanie, bardzo usprawiedliwione, jaką też jest pewność wyczytanych na cegiełkach napisów. Wszakże z owych cegiełek wytrysnąć miało to olśniewające światło, które z Babilonu spływając na biblię, jak, nie bez zręcznej suggestyi, powiada Delitzsch „na wskroś ją przenika i prześwieca".

Tu pora wspomnieć o niesłychanych trudnościach, z któremi walczyć musi assyryologia. Pismo assyryjsko-babilońskie nie jest alfabetycznem, jak greckie, rzymskie, hebrajskie, fenickie, które za pośrednictwem pisma hieratycznego, wyradzały się z egipskich hieroglifów, ale jest mieszaniną sylabo- i ideografii. I tego pisma początków szukać należy w hieroglifice, tutaj chaldejskiej, ale w ewolucyi swojej nigdy ono nie doszło do wyrugowania ideogramów, do rozłamania sylab na litery. Stąd ogromna liczba różnych znaków. Znaków pojedynczych znamy dziś około 600, a składanych czyli grup, już 6 lat temu Brünow zestawił blizko 15.000. Nadto jeden i ten sam znak może mieć różne, i sylabowe i pojęciowe wartości. Np. prosty horyzontalny klin jako znak sylaby może mieć wartość: *asz, rum, dil, til, ina;* jako znak pojęcia może służyć za: *aszaru,* święty; *aszru* lub *aszirtu,* miejsce święte; *aszszur,* bóg Assur; z dodaniem determinatiwu *ki* — Assyrya; w imionach osób prócz wymienionego znaczenia *aszszur,* może mieć znaczenie *aplu* albo *maru,* syn; może też być jakąś formą słowa *nadanu* — darować i t. d. i t. d: Trzy kliny o wspólnym wierzchołku, mogą stać za sylaby: *mat, kur, szat, lat, nat;* za pojęcia i słowa: *matu,* kraj; *kuru* lub *kurtu,* okolica; *szadu,* góra; *kaszadu,* posiadać, zdobywać; *kiszittu,* posiadłość; *napahu,* wznieść się; *nifu,* wschodzić i t. d.

Dodajmy do tego, że w przeciągu lat 4000 pismo assy-

ryjsko-babilońskie ulegało zmianom, choć bardzo powolnym Prócz morficznych zmian, widoczna jest, lubo nigdy nie urzeczywistniona tendencya od ideografii ku sylabografii. Dodajmy okoliczność, że kliny są ryte przeważnie pośpiesznie i niedbale, że tabliczki nie zawsze są dobrze zachowane, że sam język babiloński ma dla nas po dziś dzień wiele tajemnic, a będziemy mieli pojęcie czem jest praca assyryologa.

Pomimo to wszystko byłoby niesprawiedliwem i nienaukowem, ogólnie podawać w wątpliwość wyniki badań uczonych. Sto lat niezmordowanej pracy przezwyciężyło w znacznej części szalone trudności. Lecz do pełnego dnia na polu assyryologii, zdaniem Keil'a, którego uczoności sam Delitzsch hołd oddaje, bardzo jeszcze daleko. Aż nazbyt często się trafiają trzy źródła niewiadomości lub błędu, t. j. że kształtu samych znaków odtworzyć nie można dla złego zachowania cegiełki, że wartość znaków sylabiczna lub pojęciowa odkryć się nie da, że napis, zresztą należycie odczytany, z powodu nieznajomości języka nie da się na pewno przetłumaczyć.

Przejdźmy najwybitniejsze konkluzye Delitzscha, najpierw teologiczne, później inne, bardziej historycznej natury.

Delitzsch podaje jako fakt zupełnie pewny, że trzy tabliczki z czasów króla Hammurabi noszą napis: „Jahweh jest Bogiem", skąd wypływa oczywisty wniosek, że zmyślone jest opowiadanie o objawieniu świętego tetragrammaton, przechowane nam w księdze Wyjścia. Tymczasem to, co Delitzsch czyta jako *Ia-a've-ilu*, to czyta König jako *Ia'-u-ma-ilu* albo *Ia-a'-mi-ilu;* Hilprecht: *Ia'-u-ma-ilu*, Zimmern: *Ia-a'-u-ilu;* Ranke: *Ia-ah-pi-ilu*; Barth: *Ia-ach-ve-ilu;* Keil: *Ia-chu-um-ilu;* Bezold: *Ia'-a-bi-ilu* i t. d. i t. d. Słowem: *quot capita, tot sensus.* A prócz tych zatargów o sam sposób czytania tych nazwisk daleko większe są spory między uczonymi o ich znaczenie. To, co stoi przed *ilu*, mogłoby być imieniem własnem jakiegoś bożka, może być także formą rozmaitych słów, nic z Jahweh wspólnego nie mających, prócz podobnego brzmienia, i znaczyć w całości np. Bóg jest albo Bóg daje życie albo Bóg niweczy i t. d. i t. d. Delitzsch wprawdzie o tyle spuścił z tonu, że w przypiskach już tylko większe

prawdopodobieństwo swemu zdaniu przypisuje, ale bynajmniej nie zmodyfikował twierdzenia, że imię Jahweh było duchową własnością tych Nomadów, z których po 1000 lat wyjść miały pokolenia izraelskie.

Zresztą istnieje w katolickiej egzegezie od dawna bardzo poważne zdanie, że imię to bynajmniej nie było po raz pierwszy Mojżeszowi objawione, lecz że istniało już poprzednio w narodzie hebrajskim, a w owem objawieniu się Boga Mojżeszowi było tylko sankcyonowane. W ten sposób nawet składniej tłumaczy się fakt, że imię to zachodzi w Genezie, przed owem objawieniem, — co wielu autorów przeciwnego zdania tłumaczy tak, że Mojżesz pisząc Księgi święte po owem objawieniu, już używał tej nazwy i w ustępach, poprzedzających fakt objawienia, *scientia ex post.* Pośrednie między temi zdanie utrzymuje H. Barns, który pisząc o tem przed 10 laty w *Revue bibl.* zaznacza, że „forma *Jau* lub *Jao* była u Hebreów od Mojżesza starszą, owszem, że była używaną jako imię Boże, tylko, że nie wyłącznie własne". Przemawia także za tem i to, że imię to w skróceniu *(Jo)* i w złożeniu z innemi słowami było u Żydów, jako imię własne osób używane. Sama matka Mojżesza nazywała się przecież Jokhebed.

W ten sposób atak Delitzscha pozostaje bez skutku i znaczenia.

Wreszcie dowód na monoteizm czyto Babilończyków czy, wedle Delitzscha, starokananejskich plemion w Babilonii osiadłych, stąd zaczerpnięty, że imię Boże *el, ilu* znaczy cel, a cel może być tylko jeden, niema żadnych cech przekonywających. Bo najpierw zdanie de Lagarde'a, że *el* pierwotnie znaczyło cel, jest nieprawdopodobne i przez większość uczonych odrzucone; powtóre przejście od idei celu do monoteizmu wymaga filozoficznej spekulacyi, której wogóle trudno szukać u semickich ludów, a w szczególności w owej epoce; nakoniec wszystkie odkrycia tak jasno świadczą o wielobóstwie mieszkańców dawnego Babilonu, że wcale niema miejsca na ów wymarzony przez Delitzscha monoteizm i jasno się pokazuje, że *ilu* było imieniem nie indywidualnem, lecz ogólnem.

Drugie donioślejszej wagi twierdzenie odnosi się do dnia poświęconego czci Boga.

Delitzsch przedstawia jako rzecz zupełnie niewątpliwą, że szabat żydowski jest babilońskiego pochodzenia. Jakże wyglądają przesłanki tej śmiałej konkluzyi?

W sylabarzach czyli rodzaju babilońskich słowników, znajdujemy wyraz, który czytać można jużto *szabattu*, jużto *szapattu*, wyłożony jako *um nuch libbi*, dzień uspokojenia czyli przebłagania serca dom. bogów. Kiedy, ile razy do roku, czy wogóle takie dni obchodzono, o tem przy słowie *szabattu* niema wzmianki. Zupełnie niezależnie od tego odkrycia znaleziono w rodzaju dyrektoryum czy hemerologium na miesiąc Elul II wskazówkę, że 7, 14, 21, 28 dzień poświęcony czci pewnych bogów obchodzić należy wstrzymaniem się od takich a takich zajęć. Zestawmy przepisy tych dni z przepisami wydanymi na inne dni tego samego miesiąca.

„Drugi dzień: poświęcony Isztarati; pomyślny dzień. Król ma złożyć ofiarę Szamaszowi, Beltydzie, Sinowi, Rubat, ma ofiarować libacyę; a wzniesienie rąk jego przyjemnem będzie bogu".

„Trzeci dzień; poświęcony Mardukowi i Zarpanicie, pomyślny dzień. Wieczorem ma król złożyć dary Mardukowi i Isztarze i libacyę ofiarować. Wzniesienie rąk jego przyjemnem będzie bogu".

„Siódmy dzień; (te same przepisy stosują się do 14, 21, 28, i — co Delitzsch pominął milczeniem — do 19-go dnia tegoż miesiąca; tylko imiona bogów są inne) poświęcony Mardukowi i Zarpanicie; nieszczęśliwy dzień; pasterz ludów nie ma jeść mięsa pieczonego w ogniu; nie ma zmieniać odzieży, ani przyoblekać białej szaty, ani libacyi ofiarować, ani na wóz nie wsiadać, ani po królewsku nie mówić... Czarodziej nie ma przedsiębrać zaklinań; lekarz nie ma ręki kłaść na chorego, bo nie jest zdolny do zażegnania nieprzyjaznych mocy i t. d. i t. d.

I cóż tu upoważnia do twierdzenia, że szabat jest babilońskiego pochodzenia? Gdzież dowód, że te właśnie dni nazywano słowem szabattu? Na jakiej podstawie wolno nam przy-

puścić, że prócz miesiąca Elul i inne miesiące takież dni zawierały? Jak wytłumaczyć, że 19-ty dzień miesiąca ten sam ma charakter i te same przepisy rytualne?

Owszem są dowody, że niema związku między szabatem biblijnym a wymienionymi dniami babilońskiego hemerologium. Szabat biblijny jest dniem spoczynku, dniem błogosławieństwa, dniem Pańskim. Izajasz 58, 13 ogłasza wyrok Boży: „Nazowiesz szabat rozkosznym i świętym i Pańskim i chwalebnym". U Babilończyków 7, 14, 19, 21, 28 dni miesiąca Elul są najwyraźniej dniami nieszczęścia, *dies nefasti*. Istotą szabatu izraelskiego jest zupełny, absolutny spoczynek. Wszak analogicznie do szabatu ludzkiego ma i pole spoczywać w roku siódmym (Exod. 23, 10) i niewolnik Hebrejczyk siódmego roku ma odejść wolny (Exod. 21, 8). Czynności zakazane u Babilończyków wyraźnie noszą cechy zabobonnej bojaźni przed złem, bynajmniej nie spoczynku w pracy codziennej. Badania Lotza i Keila wykazały, że z 579 kontraktów kupieckich, zawartych za panowania Daryusza, których akta zachowały się nam do dziś dnia, zupełnie równa liczba wypada na te mniemane dni święte, jak i na inne. W każdym więc wypadku głębokie różnice oddzielają biblijny szabat od śladów jego w Babilonii znalezionych. Skutkiem tych uwag wydaje się prawdopodobnem, że i słowo *szabattu*, jeżeli wogóle oznacza wymienione dni miesiąca Elul, powinno się czytać *szapattu*. W tym wypadku nawet etymologicznie nie miałoby związku z hebrajskiem słowem *szabat* = odpoczął, ale ze słowem *szapat* = sądzić, karać, które to znaczenie łatwo mogło się rozszerzyć aż do pojęcia zadośćuczynienia i pokuty.

Wreszcie zapominać nie trzeba, że podział czasu na 7-dniowe okresy nie jest tylko własnością Babilończyków, ani nawet wogóle własnością semickich ludów. Ślady tygodnia znaleziono u starych Chińczyków i Peruanów, a Kern stwierdził u dawnych wyznawców Buddy co 7-dniowe święto zwane Uposatha. Widoczna więc, że liczba 7 w podziale czasu nadzwyczaj szerokie miała zastosowanie. Źródła zaś powszechnego niemal użycia siódemki przy rachubie czasu niewątpliwie szukać należy w fa-

zach, które co 7 dni przechodzi, naturalnie pociągający ludzką uwagę, najbliższy a jasny ziemi towarzysz — księżyc.

A w ostatecznym razie — cóżby w tem było dziwnego lub niemożebnego, żeby Bóg był podniósł do godności swojego dnia świętego dzień, który już przedtem w rachubie czasu miał swoje znaczenie? Czy w tym razie szabat, choćby skądinąd zapożyczony, nie oblókłby się w całkiem nowe formy, nie nabrałby nowej, nieznanej przedtem doniosłości? I cóż teraz powiedzieć o bałamutnem zdaniu Delitzscha, że „błogosławieństwa złączone ze święceniem szabatu i niedzieli zawdzięczamy ostatecznie mieszkańcom dolin Eufratu i Tygrysu?" Najwidoczniej panuje i tutaj sztuka dobrze znana i wypróbowana na zgoła innem polu, że do nogi, ba! nawet do palca domalowuje się korpus cały.

Warto na innym jeszcze przykładzie zobaczyć zastosowanie tej samej metody.

„Na dwunastej tablicy epopei Gilgamesz" — są słowa Delitzscha — „najdokładniej *(auf das genaueste)* opisano świat zagrobowy".

Proszę uważać, jak mało potrzeba Delitzschowi do dokładnego opisu. Cała wspomniana dwunasta tablica, zachowana w niewielkich fragmentach, przedstawia się jak następuje:

on spoczywa w komnacie (?) i	wiersz	1
pije czystą wodę	„	2
kto poległ w bitwie, ty widziałeś, ja widzę,	„	3
jego ojciec i jego matka głowę mu podnoszą,	„	4
i jego żona... na niego	„	5
czyj trup został na pole wyrzucony,	„	6
ty widziałeś, ja widzę.	„	7
jego ekimmu (?) nie spoczywa w ziemi	„	8
o czyje ekimmu nikt się nie troszczy	„	9
ty widziałeś, ja widzę	„	10
Pokarm zostawiony w garnku, resztki jadła,	„	11
które wyrzucono na ulicę, on spożywa	„	12

Oto wszystko w dosłownym przekładzie prof. Jensen. I to się nazywa „najdokładniejszym opisem zagrobowego świata"! Lecz do grubej tej fantasmagoryi wnet dołącza Delitzsch gruby żart, bo trudno inaczej nazwać, gdy z tego babilońskiego pojęcia o zagrobowem życiu wywodzi drogą ewolucyi i literac-

kich wpływów najpierw starozakonne, potem chrześcijańskie, nakoniec mahometańskie wyobrażenia o niebie i piekle. Fazy tej ewolucyi upatruje u Joba 24, 19, u Izajasza 66, 24, nareszcie w przypowieści o bogaczu i Łazarzu. W tej ostatniej dziwnym zbiegiem okoliczności, „łono Abrahama" zamieniło się w ogród rozkoszny, pełen czystej, świeżej wody. Następuje dla zupełnego już zabałamucenia pojęć piękny artystycznie opis mahometańskiego raju.

Chory Arab leży na stepie zostawiony przez karawanę i kona. Ręką kopie pod sobą grób w piasku pustyni, lecz nie żałuje życia, bo oto za chwilę mają się drzwi nieba przed nim otworzyć. Więc spieczone gorączką usta i gasnące oczy szeroko otwiera przed siebie, bo już tylko moment a ujrzy cieniste ogrody i kobierce łąk zielonych i przejrzyste jak kryształ rajskie rzeki, znajdzie się w gronie dziewic rajskich, które go otoczą ze słodkiem *selam* na ustach. Na końcu sceptyczna uwaga: „A jednakże po dziś dzień miliony ulegają wpływowi tych pojęć o mękach piekielnych i niebieskich rozkoszach".

Z historycznych twierdzeń Delitzscha nasuwa się najpierw kwestya o dawności babilońsko-assyryjskich odkryć. Wszak to głównie ciężarem owych setek i tysięcy lat wieku swojego przygniotły biblię assyryjsko-babilońskie zabytki!

Zaprzeczyć się nie da, że wykopaliska z nad Eufratu i Tygrysu pozwoliły nam wglądnąć w przeszłość niesłychanie dawną, tak dawną, że aż w oczach się mroczy. Tak np. Hilprecht w sprawozdaniu ze swoich prac na Wschodzie, napisanem dla uniwersytetu w Pensylwanii, początki świątyni Bela i innych budowli z Nippur zakłada na szóste i siódme tysiącolecie przed Chrystusem, a może jeszcze i dalej wstecz. Dominikanin O. Scheil wiek napisów odnalezionych w Suzie stanowczo oznacza na przeszło 4.000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Lecz te napisy znajdowano w głębokości piętnastu metrów. „Cóż więc powiedzieć — pyta Morgan, delegowany do wykopalisk w Suzie przez francuskie ministeryum oświaty — cóż powiedzieć o wieku napisów i dzieł sztuki odnajdywanych jeszcze o 20 m. głębiej? Jeżeli w ciągu 6.000 lat wysoko stojące cywilizacye, za pomocą

ogromnych budowli swoich, wytworzyły piętnastometrowe pokłady, ileż wieków było potrzeba do utworzenia owego dolnego dwudziestometrowego pokładu, w czasie, w którym człowiek skromniejsze wznosił mieszkania?" Odnalezione w Nippur rzeźby po prastarym, niesemickim ludzie Sumerów zdradzają sztukę tak wyrobioną, że, zdaniem prof. Kittla, w zachwyt wprawiać muszą każdego i dziś jeszcze przyniosłyby zaszczyt pracowni Begasa lub Donndorfa. Wiek tych arcydzieł, robionych z mieszaniny miedzi i antymonu czyli z rodzaju bronzu, obliczają na 4 do 5 tysięcy lat przed Chrystusem. Ileż więc wieków minęło zanim sztuka na tym stopniu rozwoju stanęła? Z jednej więc strony przeszłość odkrywa się przed nami tak dawna, że jej niepodobna pomieścić w ramach chronologii biblijnej, nie tylko już wedle Wulgaty, ale i wedle Septuaginta. Lecz z drugiej strony większe literackie pomniki, które tu głównie w grę wchodzą, zaledwie dalej wstecz sięgają jak do 2.000 lat przed Chrystusem, a do tego znane nam są przeważnie w kopiach sporządzonych w siódmym wieku dla biblioteki Assurbanipala w Niniwie.

Rozumie się, że i te cyfry zupełnie wystarczą do przeniesienia dawności literatury babilońskiej ponad pięcioksiąg Mojżeszowy, jeżeli się uważa za niezbity dogmat, że pentateuch w dzisiejszej swej formie zaledwie sięgający czasów Ezdrasza, w żadnej, nawet najstarszej swej części, po za czasy sędziów i Jozuego nie przechodzi. Ale czy to jest istotnie pewnik niezbity? Potrącamy o kwestyę trudną, o kwestyę pochodzenia pięciu ksiąg Mojżeszowych. Że one tak, jak dziś je mamy, nie wyszły z pod pióra prawodawcy Izraela, że nie są jednolitem dziełem, to przez nowszą katolicką egzegezę, co do pewnych ustępów pierwszej księgi jest uznanem, a co do dalszych ksiąg dyskutowanem. Lecz do tej chwili, żeby skromnie się wyrazić, bynajmniej nie wykazano, że główne jądro świętej tory nie jest dziełem Mojżesza. Nawet i najśmielsze hipotezy, na wewnętrznej krytyce budowane tą prawdą z jakiemkolwiek prawdopodobieństwem zachwiać nie mogą. Kto zaś z góry sobie nie powiedział, że pięcioksiąg musi być od Mojżesza młodszym, ten w Genezie

może przeczuwać znacznie starsze źródła, jakby warstwy utworzone przez starą ustnie, lub nawet piśmiennie przechowywaną tradycyę. Owe 10 toledot księgi Rodzaju zupełnie wyglądają na genealogiczno-historyczne dokumenta przechowywane w rodzinach patryarszych, podobne do owych familijnych kronik, jakie po dziś dzień znaleźć można w rodzinach arabskich. A jeżeli to przyjmiemy, czy jeszcze wiek babilońskich epopei będzie przewyższał wiek odpowiednich ustępów Genezy? Choćby tylko w czasy Abrahama przenieść pewne ustępy, gdzież się podzieje „dawniejszość" babilońskiej literatury?

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że ustępy pięcioksięgu w ten sposób i w tym czasie powstały. O tem dziś zgoła nic pewnego powiedzieć nie można. Faktem jest, że ten mech starości, którym Delitzsch na niekorzyść biblii babilońskie poezye przyozdobił, nie ma żadnej objektywnej podstawy, bo dotąd ani cienia dowodu nie dano, że biblijne analogie do babilońskich utworów istotnie są od nich młodsze.

Weźmy teraz jeden fakt szczegółowy, obrazek lśniący w przedstawieniu Delitzscha żywymi, jasnymi kolorami. Znamy już historyę znalezionego w Babilonie glinianego cylindra z rysunkiem drzewa z owocami, ludzi i węża.

Halevy, Eberhard Schrader, Tiele, Dillmann, Budde, Holzinger, König, Iensen, Wildeboer Cornill, Oettli, Barth, Knieschke, Kittel, Keil, Rosenthal i inni, bez względu na to, do jakich obozów należą, mniej lub więcej silnie kwestyonują związek tej rzeźby z biblijnem opowiadaniem o grzechu pierworodnym. Racye zaś mają wcale nie do pogardzenia. Nie wiadomo bowiem przedewszystkiem, czy owe dwie postacie są ludźmi, czy może bogami pożywającymi owoc z drzewa nieśmiertelności. Przypuściwszy, że są ludźmi, niewiadomo, czy są mężczyzną i kobietą. Mogą równie dobrze być dwoma mężczyznami, bo na innych babilońskich pomnikach nie tylko że spotkać można męskie postacie bez rogów na głowie, ale owszem z ubraniem głowy zupełnie podobnem do tego, które nosi mniemana kobieta. Niewiadomo dalej, czy wąż jest istotnie wężem. Holzinger i Keil uważają za prawdopodobne, że to nic więcej, tylko ornamenta-

cyjna kreska, wypełniająca próżną przestrzeń między kobietą a brzegiem ryciny. A zresztą choćby te wszystkie pytania w myśl Delitzscha rozwiązać się dały, ileż różnic, i to bardzo znaczących między tym obrazem a biblijnem opowiadaniem! Obie ludzkie postacie wygodnie siedzą pod drzewem na rodzaju stołków, obie są całkowicie ubrane, obie razem wyciągają rękę po owoce. Wąż nie stoi przed mniemaną niewiastą w postaci kusiciela, ale za nią, jak gdyby raczej straż trzymał około świętego drzewa. Pomijam już fakt, że babilońska literatura ma opowieść, która, nie co do szczegółów, bo nic nie wie ani o wężu, ani o owocach i drzewie, ale co do głębokiej myśli przewodniej, daleko lepiej niż nasz obrazek zgadza się z biblijnem opowiadaniem o pierwszym grzechu na ziemi. Delitzsch ignoruje te wszystkie wątpliwości. Pod naszą ryciną kładzie śmiało napis „grzech pierworodny w babilońskiem przedstawieniu" i przez nią chce zerwać zasłonę zakrywającą źródło owego pojęcia grzechu i gniewu, które ciąży nad starym testamentem. Wszelkie komentarze do tego rodzaju postępowania są zbyteczne.

Następujący efekt świetlny istotnie dość silne może zrobić wrażenie. Kiedy po opisie walki Marduka z potworem Tiamat, Delitzsch echa tej walki chce odnaleźć w starym testamencie i wyprowadza w pole znane nam już miejsce Izajasza, które Bogu przypisuje pokonanie jakiegoś smoka w dawnych, zamierzchłych wiekach. W pierwszej chwili człowiek się wzdrygnie i zamyśli; to zręczne zestawienie istotnie nie małą napozór zrodzi trudność. Lecz cóż to jest za smok i potwór, który uległ ramieniu Bożemu? Nie tylko katoliccy, ale protestanccy egzegeci zupełnie jednomyślnie mówią, że pod figurą potwora mówi tu prorok o Egipcie, który Bóg poraził 10 plagami i klęską Faraona w morzu. I w rzeczy samej zupełnie wyraźnie za tem znaczeniem przemawia i analogia innych podobnych miejsc pisma św. i sam kontekst naszego ustępu. Wyrazy, które Delitzsch tłumaczy jako *Drache* i *Ungeheuer*, brzmią w tekście hebrajskim *rahab* i *tannin*. Wulgata a za nią Wujek oddają pierwszy wyraz przymiotnikiem: „pyszny, *superbus*", drugi wyraz rzeczownikiem: „smok, *draco*". Wersya 70 nie wchodzi tu w rachubę z powodu

znacznych zmian, którym ten właśnie wiersz w niej uległ. Pierwszy wyraz *rahab* oznacza pierwotnie pychę i dumę *(tumor, impetus, ferocia, superbia,* powiada Knabenbauer, Trotz, Ungestüm— Gesenius) lecz właśnie z tego powodu *derivative* zaczęto tym wyrazem oznaczać już to Egipt, już to Faraona. Rzecz ta jest tak znana, że Geseniusz jako drugie znaczenie tego słowa podaje: *Eigenname Ägyptens.* W Psalmie 86, 4 zachował się nawet wyraz *rahab* w tekstach greckim, łacińskim, koptyjskim, polskim i innych. *Memor ero Rahab et Babilonis scientium me.* „Wspomnę na Rahab i na Babilon, którzy mię znają". Rzecz oczywista, że tu mowa o kraju, nie o smoku. Stąd chaldejski tłumacz na tem miejscu wprost mówi o Egipcie, a w Psalmie 88, 11 ten sam wyraz, który Wulgata znów tłumaczy *superbus,* oddaje słowem Farao.

Dane temu słowu przez Delitzscha znaczenie *Drache* zaliczyć trzeba w zupełności do kolorytu, który bez względu na prawdę rzeczom nadaje. Drugi wyraz, *tannin* istotnie znaczy smok, potwór i t. d. i tak też bywa powszechnie wykładany. Lecz cóż w tem dziwnego, żeby Egipt przenośnie nazwać smokiem, zwłaszcza w świetle pierwszego wyrazu, *rahab,* którego znaczenie wszystkim było jawne? Gdy Bóg każe mówić Ezechielowi, 29, 3, to mówi Pan Bóg: „oto ja na cię Faraonie, królu egipski, smoku wielki, który leżysz w pośrodku rzek twoich i mówisz: moja jest rzeka, i jam uczynił sam siebie" — „smok" oddany jest w tekście hebrajskim tem samem słowem *tannin.* A więc jasne jest jak słońce znaczenie cytowanego przez Delitzscha miejsca Izajasza.

Nakoniec sam kontekst wystarcza do rozwiązania wszystkich wątpliwości. Natychmiast po słowach: „iżaliś nie ty pobił(o) pysznego i zranił(o) smoka" następuje wiersz 10: „iżaliś nie ty wysuszył(o) morze... któryś uczynił głębokość morską drogą, aby przeszli wybawieni?" Tak więc pokonanie dumnego smoka łączy prorok w jedno z otwarciem dla Izraela drogi wśród fal morskich, bo smok ramieniem Bożem zraniony, jest właśnie tym potworem, z którego paszczy uszli Żydzi przez morze czerwone.

Applikacye tego samego motywu walki Tiamat z Mardu-

kiem do znanego opowiadania Apokalipsy św. Jana o walce św. Michała Archanioła z szatanem, lub do legendy o św. Jerzym i smoku, zaledwie na uśmiech politowania zasługują.

Oto maleńka próbka sposobu, w jaki Delitzsch szafuje w swem dziele barwami i światłem. Lecz z pod tych świateł i gry kolorów, która literalnie cały odczyt wypełnia, przeglądają miejscami czarne linie naukowych teoryi częścią przez samego Delitzscha stworzonych, częścią zapożyczonych u innych szkół i innych działów wiedzy.

Grunt i fundament wszystkiego stanowi materyalistyczny światopogląd. Pomimo, że Delitzsch w pierwszym odczycie dość jeszcze liczy się ze słowami, że drażliwsze miejsca w zręczny a dwuznaczny lub nic nie znaczący frazes przystroi, wychyla się co chwila na powierzchnię ciemny obraz umysłu, któremu dzieje świata są dziejami rozwoju materyi. Nie istnieje objawienie Boże; niema w historyi ludzkości żadnych wkroczeń zaświatowego, wszystko wiedzącego rozumu, ni wszechmocnej a opatrznej ręki; mniemane pismo św. to utwór literacki jak każdy inny, który powstawał i zmieniał się wedle zwykłych praw literackich zabytków; religia jest czemś, co potrzebuje oczyszczenia od pogańskich naleciałości, prawdziwa religia dopiero w przyszłości da się osiągnąć po wyrugowaniu zastarzałych uprzedzeń. Nie brak przytem i wycieczki *gegen die ungeheuere Macht einer festorganisierten Priesterschaft.*

Z historycznych teoryi, na których Delitzsch swoje misterne rysunki haftował, kilka zasługują na wzmiankę. Najpierw w zupełności przyjętym został w *Babel und Bibel* dogmat Wellhausena o początkach żydowskiej historyi. Że naród żydowski wytworzył się z dzikich plemion koczowniczych, które od niepamiętnych czasów wałęsały się po puszczy Synai i dopiero pod wodzą Jozuego wpadły do ziemi Kanaan, aby tam nasiąknąć babilońską oświatą — to wątpliwości nie ulega. Historya Izraela przed epoką sędziów należy do baśni i mytów. Jest rzeczą równie niewątpliwą, że ziemia Kanaan około r. 1500 przed Chrystusem była nawskróś przesiąkła babilońską kulturą. Obecność egipskich namiestników po wszystkich główniejszych miastach późniejszej Palestyny nic

Delitzschowi nie zawadza, nic nie przemawia za egipskim raczej wpływem. Płaszcz babiloński w Jerycho zdobyty i język babiloński używany w korespondencyi z Tell-El-Amarna, z nieprzepartą siłą robią z ziemi Kanaan *eine Domäne der babylonischen Kultur*. Świetność tej kultury tak zachwyciła i olśniła żydowskich przybyszów, że na gwałt rozpoczęli proces asymilacyi. Nie tylko, że przyjęli system wag, miar i t. d., ale wiarę w jednego Boga Jahweh, z babilońskich mytów wysnuli owe legendy, które później zapełnić miały 11 pierwszych rozdziałów Genezy. *Was für merkwürdige und rein phantastische Zickzacklinien werden uns da vorgezeichnet* — mówi prof. Hommel. Wymazane są te karty pisma św., które opisują walki Izraela z mieszkańcami ziemi Kanaan, usiłowania wodzów i proroków, by wszelkiej styczności Żydów z poganami zapobiedz.

To wszystko nie istnieje; zamiast tego widzimy ciemny lud Nomadów, który w tak zupełną duchową zależność się oddaje pokonanym Kanaanitom, że wszystko od nich zapożycza, nawet najbardziej zasadnicze momenta swej wiary.

Tego rodzaju historya z pod wszelkiej krytyki się usuwa.

Spieszno nam już do rozumowań, zapomocą których Delitzsch pragnie swoim wywodom nadać aktualną i praktyczną doniosłość. Te rozumowania zmierzają ku dwom konkluzyom, które Delitzsch w ciągu całego wykładu już to mniej, już to więcej wyraźnie powtarza, już to tak zręcznie narzuca i przygotowuje, że sam czytelnik musi je wyciągnąć. Pierwsza konkluzya brzmi: a więc Geneza jest zbiorem babilońskich mytów; druga: a więc wyrugować nam trzeba z religii wszystkie zapomocą biblii odziedziczone babilońskie pierwiastki.

Wartość drugiej konkluzyi najoczywiściej od wartości pierwszej zawisła. Czy i o ile pierwsza konkluzya jest usprawiedliwioną, o tem nas pouczy odpowiedź na pytanie, czy i o ile z analogii między biblią a babilońską literaturą wnosić można na zależność biblii od tej ostatniej. Pytanie jest ogólne, lecz da się dobrze rozebrać na jednym poszczególnym przykładzie, mianowicie, na opisie potopu. Zdaniem wszystkich assyryologów, podobieństwo do biblii jest tu największe. Obieramy więc pole

dla zwolenników zależności pisma św. najkorzystniejsze. Stąd będzie widocznem, co sądzić o innych analogiach, czy to już odkrytych, czy odkryć się mających w przyszłości, czy nawet istniejących jedynie w wyobraźni assyryologów. Ostatnia ta kategorya w odczycie Delitzscha wcale nie jest ubogą.

Podobieństwa obu opisów potopu są istotnie uderzające, Zgadzają się nawet takie szczegóły, jak rozkaz budowania arki. wprowadzenie do niej zwierząt, wypuszczenie ptactwa, złożenie ofiary po potopie, „powonienie" dymu ofiary tu przez Boga, tam przez bogów. Przypuśćmy nadto jako pewne, że opis babiloński sięga początków drugiego tysiącolecia przed Chrystusem. I cóż tu upoważnia do wniosku, że biblijny opis jest od babilońskiego zależny? Podobieństwo musi mieć oczywiście swoją racyę, bo nie może być wynikiem czystego przypadku. Ale czyż tą racyą musi być zależność wzajemna? Czy nie wystarczy zależność obu opisów, nie od siebie, ale od jednej objektywnej prawdy, która mogła nam się przechować w dwóch podobnych opowiadaniach? I czemuż tego rodzaju zależności przyjąć nie chcą zwolennicy panbabilonizmu? Bo znaną metodą z góry zanegowali prawdę faktu. Wtedy rzecz jasna, opis potopu jest poetyczną legendą, a na podobieństwo dwóch poetyckich fikcyi, oczywiście niema innego tłumaczenia, jak zależność. Lecz przypatrzmy się tylko naszym opowiadaniom. Cóż w nich jest wspólnego? Wspólne są tylko, że tak powiem, materyalno-historyczne szczegóły. Lecz obramienie, w którem te szczegóły występują, całe tło obu opowiadań, duch, który je przenika, różne są o całe niebo.

Tu ścisły monoteizm; jedyny, wszechmocny, sprawiedliwy a zarazem miłosierny Bóg używa potopu za narzędzie kary na grzeszną ludzkość; wybawia sprawiedliwego Noego, aby z jego krwi rodzaj ludzki odnowić. Tam mnóstwo bogów o najpodlejszych namiętnościach, pełnych gniewu, zdrady, złości; potop zsyłają dla fantazyi, później sami tego żałują, przerażeni szalejącą burzą żywiołów, uciekają do nieba „zgarbieni, przykucają jak psy na progach niebieskich"; nad ofiarą zbierają się tłumnie a chciwie „jak muchy". Nie wolno jest wprawdzie krytyki

czysto wewnętrznej nadużywać do budowania historyi literackich pomników. Środek to jest, który zemścił się tak strasznie na protestanckiej egzegezie. Lecz samo pobieżne zestawienie tych dwóch opowiadań czyż nie rzuca jasnego światła na ogólny przynajmniej zarys ich dziejów? Czyż nie widoczna, że mamy do czynienia z pierwotnie jednym opisem, który żyjąc w dwóch odmiennych środowiskach przyoblekł się tutaj w fantastyczne szaty mytyzmu, ówdzie pozostał w pierwotnej prostocie.

Wogóle cała sprawa zależnosci jakiegoś dzieła jednej kultury od wpływów kultury drugiej, ma już dzisiaj ustaloną swoją metodę. Ciekawiśmy, jakieby to sprawiło w świecie naukowym wrażenie, gdyby ktoś w literackich studyach, w wykazywaniu wpływów jednej literatury na drugą, posługiwał się wnioskowaniem Delitzscha. Na tej drodze nic łatwiejszego, jak napisać studyum o całkowitej zależności literatury polskiej od chińskiej, bo ostatecznie jakieś wspólne, ogólno-ludzkie cechy wszystkim literaturom są właściwe. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać wszelkiego wpływu kultury babilońskiej na izraelską, wpływy takie w pewnych szczegółach były i przed Delitzschem uznane i bynajmniej Boskiemu pochodzeniu biblii nie ujmują. Ale w tego rodzaju studyach, w stawianiu hipotez i wniosków, ogromnej potrzeba ostrożności i dokładności. Przy cechach wspólnych trzeba się dokładnie oglądnąć dokoła, czy wspólność ta nie płynie ze wspólnego źródła, nie można też przeoczać tych szczerb i różnic, które wśród podobieństw się mieszczą, bo one właśnie są tem, co stanowi odrębność każdej kultury. Bez zachowania tych i tym podobnych metodycznych wskazówek, rzecz cała zmieni się w marną igraszkę dowolnych, nienaukowych hipotez, która przy zbiegu szczęśliwych okoliczności może wywołać kilkudniową senzacyę, ale nic trwałego nie zbuduje.

Istota zaś trudności polega w tem, że wykopaliska Wschodu i studya nad niemi nie doszły jeszcze do tego stadyum, w którem zdobyć się można na dokładną porównawczą syntezę. Synteza taka wymaga przedewszystkiem wszechstronnego objęcia szczegółów. W tym stanie, jak dziś, można naprzeciw bezpodstawnym twierdzeniom Delitzscha stawiać inne, daleko idące

przypuszczenia, w których te twierdzenia się nie spełniają — najrozumniejszą jednak w tych warunkach jest ta droga, żeby każdy szczegół poddać krytyce i wykazać, że nie dowodzi tego, co zamierzał.

Ataki takie, jak Delitzscha, w pierwszym rzędzie godzą w protestantyzm. Nic na świecie nie zdoła utrzymać Pisma św. na piedestale świętości, dopóki obok niego i nad niem niema żywego słowa, które płynie z ust do ust kanałem tradycyi niosąc ze sobą i gwarancyę i wykład tego, co w martwej literze zawarte.

X. T. J.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

V.

Sprawy wewnętrzne. Stefan Batory.

Ważną rozprawą jest niedługa, lecz źródłowo i dobrze napisana praca D-ra Kazimierza Rakowskiego, wydana jako habilitacyjna po niemiecku p. t. *Die Entstehung des Grossgrundbesitzes im XV und XVI Jahrh. in Polen* (wydanie drugie, Poznań 1899). Po raz pierwszy w pracy monograficznej znajdujemy tu wyraźnie określone zapatrywanie, że stosunek chłopa do dziedzica zmieniał się stopniowo na stanowisko dzierżawcy dziedzicznego. Aż dziwić się wypada, że tak długo trzeba było czekać, nim uczonym polskim wniosek ten nasunął się, jakkolwiek w źródłach on wprost się narzuca. Dodajmy tu jeszcze, że stosunek ten nie wyrabiał się stopniowo, lecz, że on takim od początku był, a w XVI wieku stopniowo w sam raz być nim przestawał. Stanowisko Dr. Rakowskiego jest jeszcze czemś pośredniem pomiędzy starą teoryą, że lud wiejski z początku był w niewoli, a nową, że zrazu zupełnie był wolny. Źródła XV wieku świadczą o niewątpliwej wolności osobistej i rzeczowej, wszak wolno kmieciom nabywać dobra ziemskie i wszak z końcem XV w. słychać na nich skargi, że zaciągają u mieszczan długi, ubierają się kosztownie i żyją wystawnie. Źródła tego okresu sprzeciwiają się więc przyjęciu początkowej zupełnej niewoli. W takim razie trzebaby też przypuścić, że dola ludu wiejskiego

u nas poprawiała się stale od Bolesława I do Kazimierza Jagiellończyka, na to żadnych danych nie mamy. Przeciwnie, są już w XV wieku świadectwa rozpowszechniania się robocizny, a poczyna się ona w drugiej połowie XIII w. Autor twierdzi, że gospodarstwo i ustrój ekonomiczny rolnictwa polskiego były w XIII i XIV wieku bardzo podobne do urządzeń angielskich z XII i XIII wieku, a zatem oparte na stosunku dzierżawnym. Jedna jednak okoliczność stanowi zasadniczą różnicę: że u nas nie było systemu feudalnego. To, co wieśniak angielski winien był swemu feudalnemu panu, to oddawał u nas sołtysowi, szlachcicowi zaś następnie nie dlatego, że był szlachcicem i dziedzicem, lecz tylko dlatego, że szlachta skupywała sołtystwa. Zaprowadzenie niewoli ludu wiejskiego w Polsce tłumaczy się przedewszystkiem tem, że prawa sołtysów na dziedziców przeszły. Odkąd dziedzic stał się naczelnikiem administracyi i sądownictwa wiejskiego, los wieśniaka był i tak w znacznej części w jego ręku. Dodać należy jeszcze jednę okoliczność, na którą zresztą zwrócił uwagę już Tadeusz Lubomirski w dawniejszych czasach, a mianowicie, że wieśniak nie stanowił wobec władzy samodzielnej indywidualności podatkowej, lecz przydany był tylko dziedzicowi „do pomocy“ *(in auxilium)* w uiszczaniu podatków ze wsi. W drugiej połowie XV wieku rzadko kiedy dawano już ziemię bez pańszczyzny. W jaki zaś sposób podnosiła się wartość ziemi, najlepiej wykazuje ten fakt, że za Kazimierza Wielkiego opiekun składał rachunki tylko z czynszów, trzód i stadniny, a ustawa z roku 1566 żąda już rachunków z obrotu dochodu, „gdyż rolnictwo i pokrewne mu gałęzie gospodarstwa niosą teraz znacznie więcej dochodu, aniżeli czynsze i stadniny“; znaczy to, że folwark kilkułanowy dawał więcej od wszystkich czynszów. Powinien był autor wysnuć z tego wniosek, że chłopska dzierżawa była nadzwyczaj tania, że czynsze nie pozostawały w żadnej proporcyi do dochodów, a więc kmiecie mieli się bardzo dobrze pod względem materyalnym. Nie można się też dziwić, że szlachta nie chciała już dalej wydzierżawiać gruntów kmieciom i dążyła do jak największego powiększania folwarków.

Do historyi reformacyi w Polsce pojawiło się ważne i obszerne dzieło docenta praskiego uniwersytetu, D-ra Jarosława Bidlo p. t. *Jednota Bratrska v prvnim vyhnanstvi (1548—1561)* („Bractwo czeskie na pierwszem wygnaniu"). Tematem tym nie zajmował się nikt od roku 1835, kiedy to wyszła książka Józefa Łukaszewicza „O kościołach Braci czeskich w dawnej Wielkopolsce", jedna z najlepszych jego prac. Od tego czasu przybyło sporo nowych źródeł i wiadomości do spraw pokrewnych, sam zaś autor odbywał podróże archiwalne, toteż podaje mnóstwo nowych wiadomości. Sam autor uważa tę książkę za uzupełnienie, jak gdyby *pendant* do dzieła rosyjskiego profesora Ljubowicza „Historya reformacyi w Polsce", która wyszła w Warszawie jeszcze w 1883 roku. Ljubowicz zajął się głównie kalwinami i aryanami, a czeską Jednotą tylko incydentalnie. Badał też przedewszystkiem polityczną i ekonomiczną stronę reformacyi, Bidlo zaś bada dokładnie wewnętrzny rozwój spraw religijnych i zajmuje się dokładniej symboliką dogmatyczną różnowierców. Na tę stronę przedmiotu zwracano dotychczas nie wiele uwagi, to zaś jest właśnie rzeczą najważniejszą, a historyk, który nie zdaje sobie dokładnie sprawy z dogmatycznych odcieni, dojdzie też pod innymi względami do mylnych wniosków. Tak też dotychczas bywało. Niestety, w naszej polskiej historyografii wiele jest jeszcze ciągle pod tym względem niedokładności. Czytając dzieła polskich uczonych do tych czasów, odnosi się wrażenie, jak gdyby nikt z naszych nie zadał sobie trudu przestudyować symbolikę chrześcijańską. Dzieło czeskiego autora jest pod tym względem dobrym dla nas wzorem. Wszystkie niemal zachodnie odcienia różnowieczne znajdowały także w Polsce echo, toteż autor zastanawia się dokładnie nad różnicą pomiędzy szwajcarską reformacyą w Genewie, a w Zurychu; później dopiero bowiem kalwinizm w Szwajcaryi zwyciężył, i w Polsce wstępnym bojem zaczął zdobywać sobie szerokie pole. Autor różni się znacznie od dotychczasowych poglądów na stanowisko i działalność Jana Łaskiego w Polsce, nowe też są poglądy na stosunek Lismanina do Jednoty. Przypisuje też Braciom Czeskim znaczny wpływ na politykę sejmową szlachty polskiej, twierdząc,

że wpływ Jednoty w walce protestantów o urzędowe ich uznanie był negatywny, szkodliwy. Jednota wpłynęła bardzo na negatywny rezultat sejmu z roku 1558/59; pod tym względem autor wyzyskał dawne archiwa Jednoty, obecnie znajdujące się w Herrnhucie. Ljubowicz używał ich wprawdzie, ale tylko, o ile akta spisane były w łacińskim języku. Archiwum kapituły poznańskiej dostarczyło też wielu źródeł do rozwoju reformacyi w Wielkopolsce.

Bracia czescy dwa razy musieli iść na wygnanie z Czech; po wojnie szmalkaldzkiej w roku 1548, i drugi raz po bitwie na Białej Górce 1620 r. Za każdym razem zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa. Pierwsze wygnanie stało się im odrodzeniem, ocaliło ich przed zeświecczeniem, pogłębiło ich podstawy etyczne, wskutek czego przedewszystkiem wyznanie ich tak się rozszerzyło w Polsce. Kiedy około roku 1620 poczęli powtórnie opuszczać Czechy całemi gromadami, łudzili się, że powtórne wygnanie wyjdzie im również na dobre, jak pierwsze, ale było to już strasznem złudzeniem, gdyż wtenczas cała Jednota musiała emigrować, a w Polsce natrafiła na czas odrodzenia katolickiego ducha, tak, że jak sam autor przyznaje, trzymała się przez czas jakiś tylko wskutek swobód obywatelskich szlachty polskiej. Podczas pierwszego wygnania, w drugiej połowie XVI wieku, korzenie Jednoty pozostają w Czechach na gruncie rodzimym, i nastaje tylko rozgałęzienie się drzewa na sąsiednią Polskę. Historya pierwszego wygnania ciekawą jest i dla Polski i dla Czech; wszak w Czechach stała się Jednota najważniejszym czynnikiem czeskiego kulturalnego rozwoju. Książka obejmuje tylko 13 pierwszych lat emigracyi Brackiej, od roku 1548 do 1561, kiedy to położono w Polsce właśnie fundamenta pod założenie „czeskiego“ Kościoła, kiedy Jednota sama wzmogła się wydoskonaliła, i doszła do tego stopnia rozwoju, na którym przez szereg lat utrzymywała się, jako na swym punkcie kulminacyjnym. Tutaj w Polsce ustaliły się jej stosunki do wyznań protestantów szwajcarskich i niemieckich. Autor zamierza dalej pracować nad tym przedmiotem i zastrzega się, że nie podaje jeszcze syntezy, ponieważ uważa za przedwczesne przy-

stępować do niej, nim całe dzieje tego okresu Jednoty będą opracowane. Wtenczas dopiero nastanie kolej na krytyczne rozpatrzenie kwestyj rozmaitych kulturalnych, pozostających w związku z tym przedmiotem, a zwłaszcza ciekawej kwestyi słowiańskiej wzajemności, która wysuwała się w tych latach coraz bardziej. Badając przedmiot ściśle analitycznie, podaje autor trzykrotnie ogólny przegląd stanu Jednoty, mianowicie po wojnie szmalkaldzkiej i bezpośrednio przed emigracyą, potem około 1555 r., i znów około 1557. Drugorzędną kwestyą dla autora są stosunki Jednoty w Czechach i Morawach; zajmuje się przedewszystkiem stanem Bractwa w Polsce.

Jednota opierała się w znacznej mierze o sprawy wyznaniowe Prus, toteż książka ta ma pierwszorzędne znaczenie dla historyi reformacyi w Prusiech, tak, że należy pod tym względem do najważniejszych wogóle publikacyi.

Propaganda Bractwa czeskiego zaczęła się w Polsce jeszcze za panowania Zygmunta Starego, gdyż w Wittenberdze na studyach spotykało się wielu Polaków ze zwolennikami Jednoty. Kiedy po wojnie szmalkaldzkiej nastało prześladowanie Jednoty, w r. 1547 i 48, wyszły trzy mandaty Karola V i Ferdynanda I przeciwko nim. Prześladowanie to odbiło się przykrem echem w Polsce. Już 25 maja 1548 r. stanęło w Krakowie dwóch posłów Jednoty. Rząd polski miał jednak wiele wątpliwości, czy pozwolić na osiedlenie ich w Polsce i narazić się przez to Habsburgom. Pobyt ich w Poznaniu nie trwał też długo, nie przeszkadzano natomiast księciu pruskiemu, ażeby nimi zajął się gorliwie. Wszak książę sam brał udział w wojnie szmalkaldzkiej. Umówiono się o warunki imigracyi, żądając zarazem pewnego wyznania wiary. Po Wielkiejnocy 1548 r. odbył się formalny egzamin wybitnych duchownych Jednoty przed pruskimi teologami, poczem poruczono dwom dostojnikom pruskiego protestantyzmu uregulowanie stosunków Jednoty do protestanckiej hierarchii pruskiej. Ludność miejscowa, zwłaszcza niemiecka, zachowywała się jednak nieprzyjaźnie względem przybyszów a stosunki materyalne Braci czeskich w Prusiech były niepomyślne. Opinia publiczna zwróciła się przeciw nim, gdyż poglądy ich

religijne różniły się znacznie od oficyalnego protestantyzmu, a ze względów ekonomicznych mogli się stać łatwo niebezpieczni, zwłaszcza dla obywatelstwa Prus Książęcych. Tymczasem po śmierci Zygmunta Starego rozwinęła się na nowo osada bracka w Poznaniu, a wkrótce w Toruniu. Z Czech przybył Brat Jerzy Izrael, jako starszy nad gminami Jednoty w królestwie polskiem. Bawił w Poznaniu na Wielkanoc 1551 r. Po nim drugą wizytacyę odbywał Brat Ciklowsky w Prusiech i Polsce. Poczęły się już przyjmować niektóre luterskie obrzędy wśród Jednoty, a wielu Braci wzięło udział w sporach wyznaniowych wszczętych przez reformatora pruskiego Osyandra. Ostrorogowie i Górkowie stali się głównymi opiekunami Bractwa, w listopadzie zaś 1553 r. przeniósł się Brat Izrael na stałe mieszkanie do Ostroroga i chociaż 1554 r. były prześladowania Jednoty w Poznaniu, pomimo to rozrastała się ona coraz widoczniej. Wielu Polaków w podróżach na Zachód poznawało członków Bractwa w Czechach i na Morawach. Poznano w nich wielką siłę organizacyjną i chciano też ich użyć do ogólnej organizacyi polskiego protestantyzmu, co jeszcze uważano za wykonalne. Superintendent Feliks Kruciger starał się o unię z Jednotą, w czem pomagał mu Jakób z Ostroroga i Hieronim Filipowski. W połowie marca 1555 r. odbyła się narada w Chrzęcicach, a na sejmie w kwietniu 1555 r. wystąpili niektórzy posłowie jawnie jako zwolennicy Jednoty. Równocześnie odbywał się synod protestancki w Pińczowie. Do zupełnej zgody nie doszło jednak, a Jednota zmuszona była polegać najbardziej znowu na księciu pruskim. Książę wysłuchał próśb posłów Jednoty o poprawę stosunków czeskich imigrantów w Prusiech, zaprosił ich do swojego domu i stołu i zdecydował się wreszcie być obecnym na ich nabożeństwach. Wywarło to wpływ na protestantów w Koronie, dla których książę pruski był zawsze rodzajem patrona. Układano się znowu na synodzie w Koźminku w sierpniu 1555, gdzie Bracia czescy podali warunki ugody. Ugodę przedyskutowano jeszcze na synodzie małopolskim w Pińczowie, zatwierdzono w Gołuchowie, trafiono jednak na nowe przeszkody. Choć Małopolanie okazali dużo ochoty zjednoczenia się z Braćmi cze-

skimi, najbliższy synod pińczowski w kwietniu 1556 r., dał rezultaty ujemne; tymczasem howiem zwiększył się wpływ Lismanina, który stanowczo przeciw Bractwu wystąpił. Byli jednak popularnymi na tyle, że kiedy po przybyciu nuncyusza Lipomana wydano przeciw nim edykt, szlachta sprzeciwiła się wykonaniu przepisów. Nastąpił okres nowych zjazdów i narad. Liczono wiele na przyjazd Jana Łaskiego, ale unia koźminiecka już się rwała. Izrael zjechał się z Lismaninem, ale nie mogli porozumieć się co do nauki o eucharystyi, że zaś Lismaninowi oddano ugodę koźminiecką do wyrażenia swojej opinii, sprawa stała krucho.

Dnia 15 czerwca 1557 r. odbył się zjazd „starszych" we Włodzisławiu, na który przybyli również posłowie Jednoty. Łaski usilnie starał się o zgodę w materyi eucharystyi, Jednota chciała się zbliżyć do jakiegoś wspólnego ogólnego wyznania protestantów polskich; wnet jednak okazało się, że trzebaby zbyt wiele ustąpić z nauki Bractwa. Łaski okazał się zwolennikiem szwajcarskiego protestantyzmu. W gminach protestanckich małopolskich weszły na pierwszy plan świeckie żywioły. Na to Bracia przystać nie chcieli i już synod pińczowski we wrześniu 1557 r. zwrócił się za to przeciw nim. Lismanin dolewał oliwy do ognia, podczas gdy Vergerio bronił Jednoty, starając się na próżno zjednać konfesyi brackiej ogólne uznanie w Polsce. Wśród takich stosunków został brat Izrael z początkiem r. 1558 „biskupem" Jednoty w Polsce. Nie zdołał przeszkodzić coraz większemu naprężeniu stosunków między Jednotą a małopolskimi protestantami, aż wreszcie po sejmie piotrkowskim w styczniu 1559 r. stosunki te uległy zerwaniu. Po śmierci Łaskiego nie wzywali już Małopolanie wyznawców Jednoty do wspólnej organizacyi, co więcej, posyłali do Kalwina skargi na nich. Przedstawiciele Jednoty wybrali się do Szwajcaryi, odwiedzając Kalwina i wszystkich wybitniejszych tamtejszych reformatorów. Na synodzie generalnym w Książu 15 października 1560 r. jeszcze raz próbowano przynajmniej dysputować, ale rzecz rozbiła się znowu o naukę o stosunku władzy duchownej do władzy świeckiej. Osobno odbyła Jednota swój synod w Poznaniu 15 listo-

pada 1560 r. Ciągle jeszcze popularna, ale w Małopolsce miała jedną już tylko życzliwą wybitną osobę, a mianowicie kasztelana bieckiego Jana Bonara. Na jeneralnym synodzie pińczowskim 25 stycznia 1561 r. nastąpiła reakcya przeciwko przewadze żywiołu świeckiego w organizacyi gmin protestanckich. Dzięki temu odbył się znowu zjazd Bractwa z Małopolanami i stanęła t. zw. ugoda bużenińska. Z początkiem 1562 r. posłano małopolskim zborom nowo ułożoną konfesyę bracką. Zdawało się, że tym razem nastanie zgoda na dobre, skoro żywioły duchowne poczęły zyskiwać przewagę w organizacyi protestantyzmu w Małopolsce. Nagle jednak wzmógł się w tej dzielnicy prąd aryański, a nadto nastał między protestantami w Małopolsce rozdźwięk. Jednota oświadczyła się po stronie Sarnickiego. Na sejmie warszawskim 1563 r. podano Zygmuntowi Augustowi konfesyę bracką, spodziewając się oficyalnego uznania dla tej organizacyi i zupełnej wolności wyznaniowej. Ugoda bużenińska straciła jednak już zupełnie wartość, odkąd w Małopolsce dwa stronnictwa protestanckie wiodły ze sobą zażartą walkę, a nadto rozsadzał jeszcze całą organizacyę szerzący się gwałtownie aryanizm. Król przyjął jednak łaskawie reprezentantów polskich Bractwa, a mianowicie Jakóba Ostroroga, Rafała Leszczyńskiego i Wojciecha Marszowskiego na audyencyi 31 października 1563 r. wobec licznych senatorów i kapłana brackiego Jana Lorenza. Król powiedział: „Konfesyę waszą, którąście nam przedłożyli, przejrzeliśmy, przeczytali i chętnie rozważyli i widzimy, że niema w niej żadnych błędów przeciwnych podstawom chrześcijaństwa a zwłaszcza przeciw głównym artykułom wiary katolickiej o Trójcy przenajświętszej, przeciw którym błądzą inni. Konfesya wasza zgodna jest zupełnie z ogólną wiarą chrześcijańską. Wyznawajcież ją więc wy i wasi współwyznawcy w spokoju!“ W ten sposób osiągnęła Jednota wolność wyznania, oczywiście dla szlachty tylko o tyle przynajmniej, jak w Czechach w r. 1535. Odtąd inni protestanci starają się na nowo usilnie o dobre stosunki z Jednotą, tak, że w r. 1565 stanęła ugoda pomiędzy Jednotą a kalwinami na Kujawach, z którymi dotychczas miewali Bracia najcięższe przeprawy. Przystąpił do Bractwa Jędrze

Prażmowski, pastor w Radziejowie, podobnież Jakób Niemojewski. Kiedy wkrótce potem stanął 1570 roku t. zw. konsens sandomierski, głównymi podporami tej unii wyznaniowej byli kalwini i Bracia czescy. Jednota stała się najsilniejszem wyznaniem protestanckiem w Polsce. Pomimo to uległa jednakże wpływowi mniej licznego kalwinizmu, tak, że z końcem XVI i początkiem XVII wieku zupełnie się skalwinizowała, aż 1628 Jednota złączyła się z kujawskim Kościołem kalwińskim. Na zewnątrz uważano odtąd jedno i drugie za to samo, jakkolwiek formalnie istnieje do dziś dnia osobny seniorat Jednoty, obejmujący jeszcze 5 gmin brackich w Wielkopolsce, a mianowicie: Orzeszkowo, Waszkowo, Lasocice, Leszno i Poznań (przy kościele św. Piotra).

Źródła dziejowe leżą u nas nader długo odłogiem, jakkolwiek są wydane, i to w sposób czyniący zadość wszelkim wymogom krytyki wydawniczej. Już w r. 1878 ze zbioru „Aktów historycznych“ Akademii Umiejętności wydał ś. p. Wisłocki korespondencyę Andrzeja Zebrzydowskiego, a dopiero w r. 1899 wyszła część pierwsza opracowania tych źródeł, a mianowicie Dr. Tadeusza Troskolańskiego „Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup włocławski i krakowski (1496—1560); monografia historyczna“. Dwadzieścia jeden więc lat minęło, zanim doczekano się jakiegoś owocu z kosztownego wydania źródeł do życia osoby, o której każdy, kto tylko dotknie się dziejów drugiej połowy XVI wieku, pisać coś musi. Najlepszy to dowód, jak niewielu jest historyków, jak w powolnem nader tempie praca historyograficzna u nas postępuje. Powitano też z radością pojawienie się monografii, jakkolwiek ona nie w zupełności zadowalnia.

Andrzej Zebrzydowski był synem rodzonej siostry Andrzeja Krzyckiego, a siostrzenicy Piotra Tomickiego. Pochodził tedy niejako z możnowładczej rodziny kościelnej; był z góry przeznaczony na dygnitarza w polskim Kościele, skoro jeden z jego wujów był prymasem, a drugi biskupem przemyskim, następnie krakowskim, i podkanclerzem koronnym. Słusznie powiada autor, że miał to zapewnione „bez względu na to, czy istotnie byłby godzien poparcia, czy nie“. Wychowany w szkole utrzymywanej

przez Tomickiego na biskupim krakowskim dworze, gdzie wykształcił się już był Krzycki i Samuel Maciejowski, miał tam za korepetytora starszego o kilka lat Hozyusza. W zimowem półroczu r. 1517 zapisał się na wydział teologiczny, „ponieważ to studyum zapewniało zamożnej młodzieży najlepszą karyerę“ wówczas. Mentorem Andrzeja podczas lat akademickich był słynny uwieńczony poeta angielski Leonard Coxe, który się właśnie w r. 1518 wpisał na nasz uniwersytet. Z nim następnie wybrał się w podróż zagranicę. Oczywiście wstąpiono po drodze odwiedzić bożyszcze humanistów, Erazma Roterdamczyka. W roku 1526 bawił Zebrzydowski we Włoszech, potem znów w Paryżu, a za drugim zawodem zamieszkał przy Erazmie w Bazylei, w r. 1528. Autor podaje charakterystykę Roterdamczyka, tak, jak się to przyjęło, jakoby poganina, pod zewnętrznemi chrześcijanina pozorami. Podpisany referent z przykrością stwierdzić już musiał nieraz, że w naszej literaturze kursują o największym z humanistów sądy, oparte wyłącznie na materyale z drugiej, a nawet z trzeciej ręki. Wystarcza przeczytać kilka pism Erazma, rozejrzeć się w zbiorze jego foliantów chociażby z grubsza, ażeby się przekonać, jak sąd historyczny o Erazmie wymaga zupełnej rewizyi. Nie tego-to mistrza pięknej formy winą, że nadużyto jego kultury umysłowej! Całem nieszczęściem Roterdamczyka było, że żył w tem pokoleniu; gdyby był o jedno pokolenie wcześniej na świat przyszedł, a żył i pisał tak samo, byłby zaliczony nie tylko do najświetniejszych umysłów, ale uważany byłby nawet za filar czysto katolickich dążeń do reformy urządzeń kościelnych. Był w tym człowieku materyał na Ximenesa.

Wróciwszy z zagranicy, objął Zebrzydowski zawód kapłański pod okiem wuja Krzyckiego, mając odrazu doskonałe prebendy; licząc zaledwie 35 lat wieku swego, miał w Płockiem wieś parafialną Gumin, był dziekanem kolegiaty łęczyckiej, kanonikiem kapituły krakowskiej, dostał w Krakowie kamienicę kapitulną, a z dóbr kościelnych wieś Łososkowice i nadto prebendę zw. „Topolska-krakowska“, do czego wszystkiego przyłączył jeszcze kanonię płocką. Drastyczny przykład, jak się

szafowało prebendami kościelnemi. Wnet został kapelanem królowej Bony, i odtąd szedł już szybko w górę. Wobec nowinek religijnych zachował się tak, jak olbrzymia większość współczesnych, t. j. sam będąc lichym teologiem, nie mogąc własnem zdaniem odróżnić, co jeszcze jest katolickiem, a co już niem nie jest, interpretował sobie samowolnie rozmaite kwestye, będąc przekonanym, że sobór powszechny połączy na nowo wszystkie sekty w jeden Kościół powszechny. Rzeczywiście bowiem nie tylko świeccy, ale i duchowieństwa znaczna większość wyobrażała sobie, że na powszechnym soborze będą się odbywały jakieś targi i kompromisy, że protestanci od niejednego ustąpią, ale i Kościół w niejednem przyzna im słuszność. Do wyjątków należały umysły głębsze, jak Hozyusz, przewidujący, że zanosi się na trwały rozłam w Kościele. Nikt a nikt nie uwzględnił dotychczas w naszej historyografii tej okoliczności, że zupełnie inaczej trzeba sądzić o rozterkach sumienia i o wątpliwościach religijnych do soboru trydenckiego, a inaczej po nim. Zebrzydowski pisał w r. 1546 list do rektora uniwersytetu królewieckiego, Jerzego Sabiny, że mu bardzo sprzyja, czego się przed nim nie wstydzi przyznać, bo powiada: „obojętną jest dla niego rzeczą, iż naukę Sabiny mają w podejrzeniu dla niejakiej odrębności w rzeczach religii, boć zresztą wierzy, iż kiedyś Bóg w tej mierze wyrówna wszystkie różnice, i kiedyś będziemy wszyscy myśleć jednako i dobrze". To wcale nie dowód akatolicyzmu, to tylko dowód, że biskup nie był biegłym w teologii, skoro nie rozumiał, że w sprawie wiary nie można „wyrównywać różnic". Nie godzi się jednak do ludzi owego pokolenia przykładać miary z czasów potrydenckich.

Karyerę biskupią (bo niestety można użyć tego wyrażenia do owych czasów) rozpoczyna Zebrzydowski, jak każdy prawie inny, od chudego biskupstwa kamienieckiego, dającego wszystkiego razem dochodu 40 dukatów rocznie. Dobra bowiem tego kościoła i cała zresztą jego dyecezya była wyniszczona ustawicznymi najazdami Wołoszy i Tatarów. Ale już w r. 1543 postąpił na biskupstwo chełmskie, dające dochodu sto dukatów. Zaraz potem został kapelanem młodego Zygmunta Augusta.

Tegoż roku posłował do króla Ferdynanda w sprawie królowej Izabelli Zapolskiej. Następnego roku posunął się na katedrę włocławską, która dawała dochodu około trzystu tysięcy złotych polskich, a więc w przeciągu trzech lat trzy biskupstwa jedno po drugiem! W tych warunkach nie mogło być oczywiście mowy o pasterzowaniu dyecezyi; żadnego biskupstwa nie brało się na seryo prócz dwóch: krakowskiego i prymasowstwa, wszystkie zaś inne miały tylko znaczenie, jako szczebel do osiągnięcia jednego z tamtych dwóch najcelniejszych. Publiczną było tajemnicą, że biskupstwa kupuje się u królowej Bony. Zarzucano Zebrzydowskiemu, że powiedział: „kupiłem, bo przedajne było". Można nadto Zebrzydowskiemu zarzucić co innego, a mianowicie niemoralne życie, ignorowanie obowiązków kapłańskich, chciwość pieniądza, gorszące pieniactwo, chociażby z własnymi proboszczami o granicę i t. p. Nie trzeba zupełnie sadzić się na wyszukiwanie zarzutów w ten sposób, jak czyni Dr. Troskolański, że wszystko a wszystko, co Zebrzydowski robi, obraca na nice. Niekrytyczny ten zapęd dochodzi do tego, że mu zarzucono „wybredny epikureizm", stąd, że w Wolborzu u stóp swego pałacu założył piękny ogród, i róże do niego sprowadził z Krakowa. Nie trzeba nigdy biskupom zarzucać takich rzeczy, jak np. że „miał zamiłowania wykwintnego humanisty", bo biskupowi wolno być człowiekiem kulturalnym i mającym zamiłowania wykwintne. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Hozyusz również nie miał zamiłowań prostackich, a róże lubił na równi z Zebrzydowskim. O to tylko chodzi, żeby wykwintność była środkiem do dobrego celu, a nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że zewnętrzny nawet polor może stać się walną bronią w ręku gorliwego kapłana, i to właśnie dla dobra Kościoła. Nie trzeba też obliczać skrupulatnie, kiedy Zebrzydowski unikał czy wcześniejszego wstania, czy nagłego wyjazdu, wogóle zmęczenia; był to bowiem człowiek bardzo słabego zdrowia, tak, że właściwie przez całe życie nigdy zdrowym nie był. Kursowały u współczesnych potworne wieści o biskupie, i to nie tylko o rozmaite przewinienia przeciw przyzwoitości publicznej, ale wprost o zabór nieprawny kosztowności po jednym mnichu,

Waleryanie z Gdańska, a nawet o otrucie proboszcza Othy, z którym przez jakiś czas się procesował. Niewątpliwie źle jest, że takie podejrzenia mogły istnieć; o biskupie porządnym nie byłyby się przyjęły takie wieści. Nie można sobie nawet wyobrazić, żeby ktokolwiek w całej Europie uwierzył był, gdyby np. Hozyuszowi coś podobnego zarzucano. Niemniej przeto daleko jeszcze stąd do wniosku, że Zebrzydowski naprawdę był zdziercą i trucicielem. Żaden okres dziejowy nie jest tak zawiłym, jak czasy t. zw. reformacyi, jeżeli chodzi o charakterystykę człowieka; tem ostrożniejszym więc być potrzeba. Najgorliwszym obrońcą papiestwa był Orzechowski, ten sam, który najwięcej dawał zgorszenia!! Czemuż nie wierzyć Zebrzydowskiemu, że do Kościoła jest przywiązany i pragnąłby zwycięstwa katolicyzmu? Inna rzecz, że to był charakter słaby, a głowa bałamutna, i że nie miał w sobie kapłańskiego powołania. To wystarczy. Napisać jego biografię mógłby dobrze tylko wytrawny znawca stosunków i umysłów XVI wieku. Książka p. Troskolańskiego ma jednak wielką wartość, jako zebranie materyału. Do spraw politycznych więcej w niej znajdziemy „nowin“, niż do kościelnych; np. po raz pierwszy przedstawiono w naszej literaturze dokładniej sprawę Izabelli węgierskiej. Ciekawe nader są ustępy o staraniach przedsiębranych z dworu królewskiego, żeby wpływać na sejmiki elekcyjne i mieć na sejmie posłów po myśli królewskiej. Drobnych szczegółów, nader charakterystycznych, sporo, ale syntezy brak.

Mocniej uderza serce, ile razy zdarzy się spotkać jakąś nową pracę o królu Stefanie Batorym. Miejmy nadzieję, że będzie to już teraz częściej się zdarzało, skoro zrobiono szczęśliwy początek i wyzyskano materyał spoczywający w t. zw. „Tekach rzymskich“, t. j. w odpisach archiwalnych sporządzonych w archiwach włoskich, zwłaszcza watykańskiem, przez ekspedycyę rzymską, urządzoną przez Akademię Umiejętności. Pierwszą pracą konstrukcyjną, opartą na „Tekach“, była praca podpisanego „Jan III Waza i misya szwedzka Possewina“, drugą z kolei jest książka Dr. Ludwika Boratyńskiego p. t. „Stefan Batory i plan ligi przeciw Turkom 1576—1584 r.“. Dotychczas zwracano

uwagę baczniejszą na ostatni okres wielkich planów królewskich, gdy już gotował się do ponownej (czwartej) wojny z Moskwą, ażeby ją zmusić do sojuszu przeciwko Turcyi, co było już pod koniec życia wielkiego króla; plan ten sformułował Batory dopiero w połowie 1584 r.; co przedtem było, o tem nie wiedzieliśmy dotychczas niemal nic. P. Boratyński rzuca pierwsze światło na tę sprawę. Rozprawa ta co dopiero wyszła; chcąc z nią zapoznać czytelników, trzeba przerwać nieco chronologiczny wątek referatu; lepiej jednak tego się dopuścić, niż opuścić rzecz niezmiernie cenną, a przytem pisaną bardzo dobrze.

Możnaby śmiało powiedzieć, że w całym długim okresie od XV wieku poznaje się ludzi wielkich w historyi po tem, że myśleli o wojnie z półksiężycem. Kolumba wiodła na poszukiwanie nowych dróg do Indyi myśl zgniecenia Islamu! Coraz trudniej było ją jednak wykonać, odkąd Luter głosił, że papież jest większym wrogiem od Turcyi, i odkąd Francya była w sojuszu z padyszachem. Najbardziej interesowana Wenecya trzymała się neutralności ze względów handlowych; rozruszał ją dopiero napad na Korfu w r. 1537. Wtenczas powstał plan ligi; układy trwały pięć miesięcy, ale ostatecznie rozbiły się. Wenecyanom chodziło o ich posiadłości na morzu Egejskiem, cesarzowi zaś o podboje w Afryce północnej. Wenecyanie zawarli pokój na własną rękę w roku 1539. W 31 lat potem stanęła Turcya na Cyprze w r. 1570; wtenczas papież Pius V występuje znów jako rzecznik całego chrześcijaństwa. Wenecya skłania się do ligi, ale chce stoczyć walkę stanowczą znów na dalekim wschodzie, na morzu, podczas gdy Hiszpania pragnie walki z Maurami. Odniesiono pod Lepanto świetne zwycięstwo nad flotą turecką, ale na lądzie nie wiodło się, zwłaszcza, że Filip II zazdrościł sławy swemu bratu i czekał, aż Wenecyanie wyczerpani walką, zdadzą się na jego wolę. Odtąd Wenecya wystrzega się wszelkich sojuszów przeciwko Turcyi, ażeby nie narażać się sułtanowi. Grzegorz XIII nie spoczął jednak.

Zygmunt Stary odmówił był dowództwa nad wielką wyprawą turecką, której plan osnuto podczas soboru laterańskiego za Leona X; również wymijające dawał odpowiedzi Klemen-

sowi VII i Pawłowi III. Nawet w czasie następnej ligi w roku 1570, sam Hozyusz doradzał Zygmuntowi Augustowi, żeby dotrzymać przymierza z Turcyą. Była w Polsce z dawna tradycya, z czasów arcybiskupa Jana Łaskiego, że przez unię z Węgrami należy dotrzeć do Turcyi. Teraz miano króla z Węgier. Stefan Batory rozpoczął panowanie niemal jako kandydat Porty otomańskiej do tronu polskiego. Batory przedtem wprawdzie, jako wojewoda siedmiogrodzki, szukał oparcia przeciw Turcyi w związku z Polską i Francyą, obecnie jednak rozpoczynał politykę swą zręcznym niezmiernie manewrem; występuje w ten sposób, że w Konstantynopolu uważano go zrazu niemal jakby swego hołdownika na polskim tronie. Zależało niezmiernie, ażeby wojna z Turcyą nie wybuchła przedwcześnie, ale miał też król i inne specyficznie węgierskie do tego powody. Batory był w najgorszych stosunkach z dynastyą habsburską. Kiedy jeszcze posłował do Wiednia w imieniu Jana Zygmunta Zapolyi, był więziony i przez trzy lata niemal trzymany pod ścisłym dozorem przez cesarza. Dynastya habsburska popierała przeciwko niemu Kaspra Bekiesza, pretendenta do księstwa siedmiogrodzkiego.

Na przedstawienia kuryi papieskiej odpowiedział król, że dom habsburski czyni walkę z Turcyą niemożliwą, bo oddaje Węgry Turcyi na pastwę, a zgoda z cesarzem jest niemożliwa. Osią polityki Batorego jest nieprzyjaźń do Habsburgów, a przyjaźń z Turcyą. Unikał król tylko wobec Porty łączenia interesów siedmiogrodzkich z polskiemi, aby nie dawać sposobności traktowania Polski na równi ze shołdowanym Siedmiogrodem. Myślał jednak o sprawie węgierskiej nieustannie.

Obawiał się król, żeby nie został zawikłanym w wojnę turecką przez samowolne napady kozackie na tureckie granice. Zdarzyło się, że ledwie ratyfikował rozejm z Turcyą, nastąpił napad Iwana Podkowy na Mołdawię. Stracenie Podkowy miało stanowić satysfakcyę dla Turcyi. Papież dąży do zgody pomiędzy Wiedniem a Krakowem, toczą się ciągle układy (zwłaszcza chodzi o Szatmar, posiadłość domową Batorych, zabraną przez cesarskich), wloką się jednak leniwo, i polityka Batorego sprawia nieraz wrażenie, jak gdyby król polski zasadniczo miał coś

przeciw Habsburgom. Udało się p. Boratyńskiemu wykazać dowodnie, że król Stefan dążył do korony węgierskiej. Miał ten zamiar od samego początku, nie chciał jednakże dochodzić do celu tą drogą, jak Zapoly'owie; za nic w świecie nie byłby sięgnął po tron ojczysty z tureckiemi posiłkami. Liczył na to, że po niedługiem, jak powszechnie sądzono, życiu słabowitego Rudolfa II, stanie się królem Węgier z wolnego wyboru. W roku 1578 pisze król do swego węgierskiego powiernika Megessy'ego „Trzeba czekać na sposobność i prosić Boga, aby dał mi powód i środki, bym się mógł przyczynić do dobra i utrzymania ojczyzny. Taką sposobnością byłoby, gdyby Bóg się zlitował i naszego cesarza i króla, którego znam jako bardzo chorowitego, zabrał z tego świata. Wtedy byłbym wolny i mielibyście bez rokoszu wolny wybór, świat nie lżyłby was, ani tego, któryby was wziął pod swoją opiekę. Inny powód, dlaczego nie zacząłem, jest ten, że Moskwa niepokoi mię, i w przyszłym roku na nią wyruszam. I Polacy nie pomogliby, gdyby mieli wroga z tyłu. Przyjdzie czas oswobodzenia Węgier. Spowiadam się z tajemnic serca mego". Wobec takiej polityki, liga turecka mogła stanowić dopiero koronę niejako królewskich zamysłów. Nuncyusz Caligari znalazł króla w zasadzie przychylnym myśli papieskiej, ale niepotrzebnie uważał nuncyusz dalekie królewskie plany, jako kontretne postanowienia na najbliższą już przyszłość i zmylił w ten sposób Stolicę apostolską. Zdawało się papieżowi, że wystarcza wyprawić umyślnego posła, żeby Batory pogodził się z Moskwą, która wtenczas zwróciłaby się także przeciw Turcyi. Króla hiszpańskiego uważano w kuryi papieskiej za zupełnie pewnego, również Wenecyę, o innych zaś książętach mniemano, „że uczynią *senza replica* to, czego zechce Jego Świątobliwość". Kardynał Como był przekonanym, że w tej chwili zbawienie świata chrześcijańskiego zależy tylko od woli Batorego, że on sam odzyska przytem nie tylko cały Siedmiogród, ale także Mołdawy, Wołoszczyznę, a może nawet sam Konstantynopol. Były to rzeczy w ówczesnej sytuacyi wręcz niemożliwe, a projekt ligi szwankował przez to, że łączono z nią pokój z Moskwą, na której tronie siedział taki Iwan Groźny. Nie spostrzeżono

się też w Rzymie, że Filip II nie interesuje się wcale wojną z Turcyą, zajęty projektami zdobycia Anglii i Portugalii! Nuncyusz chciał jechać za królem Batorym do Połocka, ale król radził czekać w Wilnie. Przedstawiono następnie nuncyuszowi, że na udział Moskwy w lidze nie można tak dalece liczyć, zwłaszcza że ona z żadnej strony nie graniczy z Turcyą. Podał też król warunki, pod którymi uważał ligę za wykonalną. Za główny warunek uważał zdobycie Węgier, jako najważniejszej podstawy operacyjnej. Odtąd przez resztę roku 1580 o lidze nie słychać.

Poruszył tę myśl sam król w lutym 1581 podczas przygotowań do trzeciej wyprawy moskiewskiej. Caligari dowiaduje się, że Batory ma stronnictwo na Węgrzech; w jednym ze swych listów donosi nawet, że w danym razie nawet Czesi Batorego wybiorą na tron po śmierci Rudolfa II. Sprawa ta stawiała kuryę w niemiłem położeniu wobec domu habsburskiego. Plany Batorego nie znalazły oddźwięku na dworze papieskim i w depeszach Caligari'ego znów przez dłuższy czas nie słychać nic o lidze. Zdrowie zaś cesarza Rudolfa poprawiło się znacznie.

Wysłano nowego nuncyusza Bolognettego, który spotkał się z królem po raz pierwszy dnia 10 sierpnia 1582 r. Nuncyusz był zachwycony, rozmowa z królem przeszła wszystkie jego nadzieje. Wtenczas właśnie Olbrycht Łaski zabierał się na awanturniczą wyprawę na Mołdawię po hospodarstwo; król wstrzymywał jednakże ten plan. Równoczesny spór ze Szwecyą wpłynął także na ochłodzenie zapałów. Tu wkracza w akcyę ponowna misya Possewina. Autor stwierdza na nowo, że Possewin był dyplomatą bardzo średnich zdolności, nie politykiem, lecz marzycielem, a przytem nadmiernie w sobie zaufany. Possewin przedstawiał, jakoby Iwan Groźny gotów był do ligi tureckiej, do Rzymu przesyłał gotowe jakoby jej plany, jakkolwiek od Batorego nie miał żadnej konkretnej propozycyi. Mylne też było zupełnie przypuszczenie, jakoby Possewin był zaufanym Batorego. Udało mu się skłonić króla polskiego i cesarza, że spór o Szatmar oddali w ręce papieskie, ale poruczenie tej sprawy jego akcyi prywatnej nie było wcale zleceniem oficyalnej misyi

do papieża ani do cesarza. Właśnie w Augsburgu na sejmie Rzeszy ponawiano papieskie zabiegi o ligę. Przybył tam poseł polski Rozdrażewski, o którym obiegały pogłoski, że nie tylko o Szatmar się będzie upominał, ale podniesie także pretensye do Śląska. Pogłoski były przesadne, legat papieski ochłonął więc z trwogi, ale wyłoniło się coś innego, a mianowicie cesarz sam wyraził podejrzenie, że Batory pragnie pozyskać dla siebie węgierską koronę. W ten sposób poselstwo Rozdrażewskiego stało się dla Possewina w Augsburgu klęską polityczną. W r. 1583 nie powiększył się też wpływ Possewina. Obmyślił on sobie plan ligi obronnej od Turcyi, która miała stanowić niejako przygotowanie do następnej zaczepnej, odłożonej na czas nieograniczony. Ale król hiszpański zajęty był sprawą niderlandzką, wobec czego kardynał-sekretarz stanu uważał wszelkie układy za niewczesne. Possewin rozpoczął jednak akcyę na własną rękę w Wenecyi. Batory nie życzył sobie wcale posła weneckiego w Krakowie i cała akcya skończyła się na tem, że w Rzymie spotkał się Possewin z ostrymi wyrzutami, że się miesza w sprawy nie swoje, przekraczając instrukcyę. Kardynał-sekretarz stanu nie wtajemniczał Possewina w nowe zupełnie plany papieskie. Pomiędzy Possewinem a Bolognettim były stosunki naprężone; żaden krok legata nie uszedł krytyki nuncyusza, nieraz zgryźliwej. Zostawiał mu jeszcze pole do działania, ale upadek Possewina był już tylko kwestyą czasu.

Stosunki króla polskiego do Turcyi po wojnie z Moskwą zmieniły się na korzyść Polski. Batory występował już w stosunku zupełnie równorzędnego sprzymierzeńca, a podczas gdy Possewinowi się zdawało, że sprawa ligi już zupełnie dojrzewa, odbywała się pomiędzy Krakowem a Konstantynopolem wymiana pism i poselstw, które wykazują, że stosunek Batorego do sułtana opierał się na wzajemnym interesie tak, że każdej chwili mógł się zwrócić przeciwko cesarzowi.

Kozacy mącili jednak te dobre stosunki. W drugiej połowie r. 1583 i z początkiem 1584 r. uległy one największemu naprężeniu, a równocześnie Stolica Apostolska podwaja swe zabiegi o ligę. Kozacy zburzyli Jahorlik, drewniany gródek,

postawiony przez Turków na polskiej granicy. Batory chciał najazd uprzedzić i wysłał kuryera Stosłowskiego do Konstantynopola. W tej chwili zjawia się Bolognetti na dworze królewskim w Brześciu Litewskim 7 listopada 1583 r. Sprawa ligi nie postąpiła tymczasem ani na krok w Hiszpanii i Wenecyi; tem bardziej zależało na królu polskim. Podczas 6-godzinnej audyencyi rozwinął król następujący plan: gdy stanie umowa pomiędzy papieżem, Hiszpanią, Rzeszą a Wenecyą, wtenczas zwoła król sejm walny, nie mówiąc na sejmikach wcale o wyprawie tureckiej, dochowując tajemnicy w zaufanem gronie aż do ostatniej chwili. Król był zdecydowany na wyprawę nawet w takim razie, gdyby nie uzyskał podatków; podjąłby wyprawę samowolnie z pomocą przyjaznych senatorów. Żądał jednakże dwóch warunków: że pieniądze powinny być przynajmniej na 6 lat przygotowane z góry, bo „ludzie na wojnie nie rodzą się lecz umierają“, a wojnę obliczył na lat sześć, jako szereg wypraw. Drugi warunek był, żeby Niemcy stanowczo wzięły udział w wyprawie. Na Moskwę (powiada król) liczyć nie można, ale zmieniłaby się zupełnie sytuacya, gdyby on kiedyś miał to państwo pod swą władzą; wtenczas mógłby niezawodnie Turcyę zniszczyć. Z planu królewskiego jedna rzecz była pewna, t. j. że Niemcy nie wezmą udziału w lidze, bo była właśnie t. zw. wojna kolońska, wojna domowa katolików z protestantami. Bolognetto długo próbował, żeby króla odwieść od tego warunku, wszystkie zabiegi jednak na nic się nie zdały. Bał się także wojny polsko-szwedzkiej; król uspokoił go jednakże, że gdyby nawet tej wojny uniknąć się nie dało, nicby to nie szkodziło, gdyż byłaby to mała tylko wojenka w porównaniu z turecką.

Rozpoczynały się nowe układy w Wenecyi i Madrycie, a tymczasem zaszedł fakt, który w jednej chwili mógł sprawę turecką postawić na ostrzu mieczu. Podlodowski, podkoniuszy króla, wysłany do Turcyi na zakupno koni, został zamordowany w pobliżu Adryanopola. Prawdopodobnie dopuścił się tego wezyr, ale stanowczo bez wiedzy sułtana. W Konstantynopolu bawił tymczasem kuryer Stosłowski i całą usilność zwrócił w tym kierunku, żeby wszystko załatwić pokojowo. Ani na krok nie od-

stępował król od niewzruszonej swej zasady, żeby utrzymać pokój z Turcyą, póki liga nie będzie zupełnie pewna i fundusze gotowe. Nie upierał się król wprawdzie przy tem, żeby z góry na sześć lat gotówka była zebrana, poprzestając tylko na zapewnieniach i poręczeniach, nie odstąpił jednak od warunku, że Niemcy muszą wziąć udział w wojnie. Cesarz zawarł atoli niedawno rozejm z Turcyą na 8 lat. Po misyi Stosłowskiego przybył do króla polskiego czausz Mustafa, renegat węgierski; wzięto go na polski żołd, wyznaczono mu pensyę 300 talarów rocznie ze skarbu królewskiego, Kozaków zaś, którzy zorganizowali napad na Jahorlik, ścięto wobec czausza we Lwowie, poprzestając ze swej strony na zapewnieniach, że zamordowanie Podlodowskiego było tylko przygodą od zwykłych rabusiów i pokój utrzymano.

Wśród takich okoliczności zażądał Bolognetto na wyraźne polecenie z Rzymu, nowej audyencyi, która odbyła się 24 maja i trwała 4 godziny. Król oświadczył, że pomocy od Moskwy spodziewać się nie można, gdyby jednakowoż udało się Moskwę zająć, wtenczas można rozpocząć wojnę turecką bez Niemców. Dodał też, że rozejm z Moskwą już zerwany i że już postanowił wyprawę celem zdobycia jej. Wtedy równocześnie staje się Batory w sprawie szatmarskiej nie tylko nieskłonnym do ustępstw, ale nawet wyzywającym; bo też to nie był zwykły spór graniczny, lecz spór o pierwszeństwo na Węgrzech. „Batory gotów był wszystko poświęcić, nawet własne życie, żeby wojować z Turcyą, lecz nie po to, żeby ojczyznę swą oddać pod panowanie Niemców". Słabowity Rudolf II niewiele rokował życia, a Stefan zamierzał się starać o tron po jego zgonie. Z tych dwóch powodów odstępował od warunku udziału Niemiec. Po raz pierwszy już 7 listopada 1583 r. łączył sprawę ligi z kwestyą opanowania Moskwy, nosił się więc z tą myślą jeszcze przed śmiercią Iwana Groźnego. Można wskazać jeszcze dawniejsze ślady tego pomysłu w planach królewskich, a mianowicie jeszcze w r. 1574, jako książę Siedmiogrodu, radził Polsce ułożyć się z Moskwą, a nawet wybrać królem Iwana i zwrócić się przeciw Turcyi, przyrzekając sam dopomagać w tej walce.

Obecnie śmierć Iwana Groźnego przyspieszyła decyzyę i król zrzekł się warunku co do Niemiec, w zamian za widoki zdobycia Moskwy. Nie przez Budę i Belgrad, ale przez Kremlin i Astrachań miała prowadzić droga do Konstantynopola. Batory uważał tę myśl za zupełnie wykonalną. „Należy do tych wyjątkowych jednostek, które wbrew wszelkim ludzkim obliczeniom czują w sobie siłę i są zdolne do nadania dziejom nowych kierunków". Ostatecznie przyszłość okazała, że złamać Turcyę mogły tylko państwa wschodnie, a nie zachodnie i że nie mogło to nastąpić inaczej, jak zjednoczonemi siłami Moskwy i Polski; stało się to niestety w ten sposób, że Moskwa poprowadziła tam w końcu poniewoli siły polskie, dokąd Batory byłby poprowadził moskiewskie. Ale Polska niosła z sobą unię, podczas gdy Moskwa tylko same ujemne skutki zaboru.

Dr. Feliks Koneczny.

Z KONGRESU LEKARSKIEGO W MADRYCIE.

Nizza 17 kwietnia 1903.

Uprzedzony o niewygodach podróży i pobytu w Hiszpanii, nabieram od kilku dni zapasu sił i odporności na francuskiej Riwierze. Niestety, stwierdzam z przykrością, że warunki bytu w tym tak bogato od natury uposażonym kraju psują się z każdym rokiem. Coraz więcej przyjezdnych, w znacznej części rastaquonerów i ich pięknych towarzyszek, dla których magnesem przyciągającym jest Monte-Carlo i złoto przesypywane po zielonych stołach, z tym metalicznym dźwiękiem, z tą siłą hypnotyzującą słabe dusze, podchwyconą tak świetnie w Ibsena „John Borkmanie". Coraz więcej automobilów... a jestto okoliczność na pozór drobna, w rzeczywistości dla nerwów i płuc zabójcza. Riwiera ma wybitną tendencyę do wytwarzania pyłu wapiennego, wciskającego się do oczu, do ust, do ogrodów i mieszkań. Wiemy, ile pyłu jest w stanie wydobyć z drogi czy ulicy jeden automobil; pomnóżmy tę ilość przez setki, a otrzymamy wynik: chmury, przez które trzeba się przebijać. Riwiera, zwłaszcza francuska, jest hałaśliwą: bo Francuzi wszędzie są głośni: na ulicy, w teatrze i w Kościele nawet; dodajmy do tego ryki trąbek automobilowych i tłuczenie motoru.

Dlaczego niektórzy interniści wysyłają piersiowych na Riwierę, jest dla mnie zagadką. Klimat nie zawsze obliczalny, często brak pieców, kuchnia, choć wykwintna (w lepszych ho-

telach) zwykle niezdrowa, dla nerwów otoczenie chorobliwej gorączki życia i używania, namiętności jak polyp niezliczonemi ramionami sięgającej z góry Karola po ofiary do Mentone, Cannes, Beaulien i Antibes, ten widok ludzi niezaspokojonych w szulerni koncesyonowanej i próbujących nowych kombinacyi na ruletkach hotelowych, lub odmiany szczęścia w bakaracie albo małych konikach — wszystko to żadną miarą do uzdrowienia nie może się przyczyniać.

Influenza króluje tu z całą wspaniałością... Polaka szczególnie wiele przykrych czeka tu chwil. Widok ziomków idących za radą żelaznego kanclerza i niosących resztki mienia do skarbca księcia Monaco, (wątpię, czy z zamiarem dostarczania środków na uczone badania głębin morskich), widok ziomków stale osiadłych w Nizzy dla gry, widok ziomków, którzy czują się Francuzami i żyją wyłącznie w towarzystwie międzynarodowem, a majątki w kraju pozostawione oddają w administracyę — Niemcom, umierając, zapisują milionowe fortuny krewnym — Francuzom; to nie podnosi ducha, nie dodaje otuchy ani nadziei. Czuć się tutaj dobrze, w tym świecie sztucznym, kłamstwa i blagi, przepychu i występku, indyferentyzmu i popędów zmysłowych — w tym świecie, w którym wielkości sztuki i nauki, rodu i majątku, rosną i znikają z dnia na dzień w miarę stosunków z przekupną prasą, na to trzeba się w tym świecie wychować, lub etycznie stępieć.

Barcelona 19 kwietnia.

Już u wstępu podróży spotykam się ze skutkami nieporadności i braku talentu organizacyjnego u Hiszpanów.

Członkom kongresu przyznała znaczna część linii kolejowych, zniżki, polegające na bezpłatnym powrocie — konieczną do tego była legitymacya, którą należało przy rozpoczęciu podróży przedstawić. Komitet madrycki przysłał mi legitymacyi takich trzy, ale żadnej należycie wystawionej — wszystkie zatem nieważne.

Od Cette począwszy, miałem się dostać pod opiekuńcze skrzydła francuskiego towarzystwa *Voyages pratiques*, które od dłuższego już czasu ofiarowywało swe usługi odnośnie do kon-

gresu madryckiego. Towarzystwo miało dostarczyć odpowiednich papierów do dalszej podróży, okazało się, że papierów tych nie było. Pociąg przepełniony, nie można znaleźć miejsca. Ruszamy, z okien wagonu roztacza się płaszczyzna przerywana małemi wzgórzami, pokryta winnicami, w oddali śnieżyste Pireneje.

W Port-Bou granica i rewizya celna, posługaczy tak mało, że rzeczy samemu nieść trzeba, pomocy ze strony *Voyages pratiques* ani śladu, rewizya niezwykle szczegółowa. Wreszcie zjawia się *mosso* (posługacz) i wnosi bagaże do *treno di lujo* (t. zw. pociąg luksusowy), który się tem odznacza, że w przedziale pierwszej klasy mieści się osób czasami osiem! Poza tem pędzi z szybkością pociągu osobowego.

Na którejś stacyi wsiada dwu Hiszpanów, rozpoczyna się ożywiona rozmowa, przeplatana ćwiczeniami lingwistycznemi, Hiszpanie tłumaczą, że literę j należy wymawiać jak ch, a więc *lujo* jak *lucho*. Francuzi nie mogą pochwycić tego dźwięku, stąd śmiech, pisk, hałas.

Do Barcelony dojeżdżamy z godzinnem opóźnieniem, koło 9-tej. Znowu żadnego *mosso*, muszę pakunki wyrzucać sam z wagonu, tym razem nie mogę ich nieść sam, bo z obawy pogubienia w Hiszpanii, zamiast oddać do wozu pakunkowego, zatrzymałem wszystkie przy sobie. Wołam więc — i czekam blizko pół godziny. Na stacyi zaczynają gasić światło, wreszcie zjawia się posługacz, któremu daję polecenia na migi. Tymczasem poodjeżdżały hotelowe omnibusy i dorożki, czekam dalsze pół godziny. Dorożka nadjeżdża, równocześnie ze mną rzuca się dwu Hiszpanów; nakoniec w drodze ugody udaje mi się zdobyć miejsce w wehikule. Towarzysze jazdy, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, wyrażają mi swoją sympatyę i zapewniają, że Barcelona będzie mi się podobać.

W Grand-Hotelu, dokąd muszę zajechać jako uczestnik *Voyages pratiques*, otrzymuję mały pokój na tył, bardzo skromnie umeblowany, za to zapewnienie, że będzie spokojny. Złudzenia: sąsiedztwo windy, porządki kuchenne na podwórzu i hiszpańskie owady nie pozwoliły mi spędzić nocy na wypoczynku.

Po śniadaniu zarządza Towarzystwo zwiedzanie miasta,

jako *cicerone* służy jakiś p. Davigaud, człowiek stary, trzęsący się, bez pamięci, który zadanie swe pojmuje w ten sposób, że przybywszy do parku, oświadcza uroczyście: *Messieurs, ce que vous voyez, c'est le parc.* W innych wypadkach dopytuje się przechodniów o znaczenie tego lub innego budynku, i udziela nam zdobytej przed chwilą informacyi.

Barcelona robi wrażenie miasta wielkiego, bardzo przemysłowego, zupełnie w stylu europejskim. Z hotelu znajdującego się przy najruchliwszej ulicy Rambla del Centro, przechodzimy przez targ kwiatów. Rambla (wyraz arabski) jest wyschłem korytem rzeki, przemienionem na bulwar o dwu rzędach platanów. Na prawo Plazza real — plac wysadzony palmami, otoczony wspaniałemi magazynami. Wązkiemi ulicami dostajemy się do katedry Santa Cruz, zwanej na cześć patronki miasta także Basilica de Santa Eulalia świetnego pomnika gotyki, tak niestety zasłoniętego budynkami, że trzeba go szukać, nawet w najbliższem będąc już sąsiedztwie.

Po południu przejażdżka po mieście do innego *municipale, casa de deputacion* z kaplicą św. Jerzego (pyszne stare ornaty, suto złotem tkane *antipodium),* po parku, do portu i powrót do hotelu.

Barcelona 21.

Z wzgórza Tibidabo (540 metrów nad powierzchnią morza) oglądam panoramę Barcelony. Miasto przecięte prostolinijnemi ulicami, morze, w pogodny dzień widać podobno Baleary. Z drugiej strony Pireneje.

Po przykrej przeprawie z hotelowym rachunkiem, zawierającym nieuzasadnione pozycye, wyjeżdżam. Na dworcu trudności językowe, urzędnicy kolejowi nie władają żadnym językiem prócz hiszpańskiego.

Miejsce w wagonie sypialnym, za które zapłaciłem (prócz karty jazdy) 26 pezetów (około 20 koron) stanowi zsunięte fotele...

W wagonie pełno dymu — w Hiszpanii palą wszędzie, w teatrach, muzeach — bez względu na tablice wyraźnie wzbraniające.

Madryt 24 kwietnia.

Towarzystwo *Voyages pratiques* wskazało mi Hotel Français. Na darmo go poszukiwałem — taki hotel nie istnieje, a Hotel de France, pokrewny nazwą, wypiera się jakichkolwiek stosunków z tą kompanią. Telegraficznie zerwałem związek z przedsiębiorstwem, które nie dostarczyło mi żadnej pomocy, a naraziło tylko na szereg niewygód i niemiłych niespodzianek... Zaraz po przybyciu udałem się do t. zw. Biblioteki (gmachu muzealnego) celem wyszukania biura komitetu polskiego.

W ogromnej sali muzealnej poprzedzielanej drewnianemi ściankami do połowy wysokości sali potworzono ubikacye dla komitetów. Komitet polski, czeski i chorwacki znalazł pomieszczenie w przedziale austro-węgierskim. W Rzymie, Paryżu, a nawet w Moskwie mieliśmy zawsze nasze osobne biuro, w którem można było swobodnie zgromadzać się i porozumiewać. W Madrycie inaczej — pierwsza przykrość dla poczucia godności i odrębności narodowej — nie miała być ostatnią.

Występując w Madrycie w charakterze przewodniczącego komitetu polskiego i delegata Uniwersytetu Jagiellońskiego, pragnąłem przemówić w imieniu polskiej nauki lekarskiej, a to tem więcej, że komitet organizacyjny zapowiedział z góry przemówienia przedstawicieli poszczególnych narodowości.

Celem zasięgnięcia wiadomości co do porządku mowców udałem się popołudniu do jeneralnego sekretarza D-ra Anjel Fer. Caro. Niesłychanie sympatyczny człowiek przedstawił mi przygotowany arkusz, zawierający spis delegatów według państw i narodowości. Po Austro-Węgrzech znalazłem: *Polonia, Bohemia,* wobec czego nie ulegało wątpliwości, że po przedstawicielu oficyalnym państwa przyjdzie kolej na reprezentantów polskiego i czeskiego narodu.

Otwarcie kongresu miało nastąpić 23 kwietnia o g. 3-ej po południu w teatrze królewskim.

Zaopatrzony w kokardę delegata i odpowiednią legitymacyę, dążę przed oznaczoną godziną do teatru, sądząc że, jak to wszędzie bywało, i tu osobne wejście dla delegatów ułatwi

mi dostanie się na estradę. Jakież było moje a także wielu innych zdziwienie, gdy nam wykazano wspólne dla wszystkich wejście. Dostaję się wreszcie do sali teatralnej już zapełnionej, i na razie ani podobna posuwać się dalej wobec tłumów. Za mną prof. M. z Rzymu, który błagającym głosem prosi, by mu zrobiono dostęp do trybuny, przekładając czysto włoskim akcentem po francusku: *Messieurs, je suis delegué du gouvernement, donc il faut que je parle, donc laissez moi passer.*

Zaczyna się powolna walka o każdy centymetr przestrzeni, by się dostać do estrady, będącej zarazem trybuną dla delegatów. Ze wszystkich stron wzajemne prośby i uspokajania. *Je suis delegué* i t. d., to znów *Un peu de bonne volenté, Messieurs et cela ira...* Wreszcie po upływie pół godziny dostajemy się spoceni, z pogniecionymi frakami na estradę. Na sali teatralnej i w lożach przystrojonych roi się od głów, barwnych strojów, mundurów. Na estradzie komitet organizacyjny z przedstawicielami narodów i państw. Przy stole prezydyalnym zasiedli ministrowie, biskup Madrytu, urzędowi delegaci: Niemiec (Leyden), Austryi (Schroetter), Francyi (Brouardel), i Włoch (Maragliano); przy stole bocznym biuro komitetu, prezes prof. Calleja i sekretarz dr. Caro.

Wejście młodego króla Alfonsa XIII i królowej-wdowy do loży położonej naprzeciw stołu komitetu organizacyjnego — powitała orkiestra marszem królewskim *(Marcha real)* a publiczność powstaniem.

Dr. Calleja otwierając kongres dał krótki pogląd na rozwój medycyny od ostatniego kongresu a dr. Caro przedstawił szczegóły dotyczące ilości członków kongresu i delegatów. Wedle tego sprawozdania było zapisanych członków 3499 a z damami około 7000. Z Niemiec 778, Francyi 826, Włoch 335, Austro-Węgier 258, Rosyi 290, Anglii i Irlandyi 233, Zjednoczonych Stanów Ameryki 193, Portugalii tylko 33 i t. d. Ze słowiańskich państw, prócz Rosyi, podano Serbię z 9, Bułgaryę z 4 i Bośnię z 3 członkami. Polacy, Czesi, Rusini, Litwini i. t. d. utonęli w państwach rozbiorowych.

Zaczęły się przemowy delegatów; między innymi Kobler

przedstawiał Bośnię, Petroff Bułgaryę i t. d.; na darmo czekaliśmy, kiedy przyjdzie kolej na Polonię i Bohemię.

Przebrzmiały liczne głosy dające świadectwo istnienia wielkich i małych narodów, takich, które łupem i grabieżą wzmocniły się i ustaliły sobie byt polityczny, jak i tych, które kiedyś ważną w historyi rolę odgrywały a dziś cieszą się pozorem tylko samodzielnego politycznego bytu, jak wreszcie i tych, które rwąc się do wolności, dzięki szczęśliwej konstellacyi politycznej, zdobyły sobie odrobinę swobody... ale głos Polski, Chorwacyi, która dość sporo przysłała swych reprezentantów, a z niemi i Bohemii wyeliminowano z tego koncertu narodowościowego. To też gdy na zakończenie przemówił jeszcze reprezentant stowarzyszenia międzynarodowej prasy lekarskiej dr. Blondel i gdy prezydent ministrów Silvela, odpowiadając na przemówienia poprzednie, w imieniu króla kongres ogłosił otwartym, opuściłem co prędzej ten przybytek sztuki z sercem przepełnionem goryczą.

Wszak przyjmując od komitetu organizującego kongres Madrycki zadanie utworzenia komitetu polskiego narodowego wyraźnie zaznaczyłem, że podejmę się tego zadania tylko pod tym warunkiem, że komitet ten będzie reprezentował wszystkie dzielnice polskie, na co się też w najuprzejmiejszy sposób w Madrycie zgodzono.

Postanowiłem zbadać przyczyny zmiany, która zaszła widocznie w ostatnich kilku godzinach, po rozmowie z d-rem Caro.

Nie mogąc zaraz, udałem się nazajutrz do p. Caro; dostęp utrudniony z powodu znacznej ilości interesentów. Generalny sekretarz zapytany o przyczynę, dlaczego nie dopuszczono do głosu ani mnie, ani prof. Hlavę z Pragi, tłumaczył się w najuprzejmiejszy sposób, że żadnej w tym kierunku nie ponosi winy.

Oto delegat austryacki prof. Schroetter widząc na liście, którą tak samo jak mnie dnia poprzedniego jemu Caro przedłożył, nazwiska „Bohemia“ i „Polonia“, oświadczył, że reprezentanci tych narodów przemawiać nie powinni, gdyżby to spowodować mogło konflikt polityczny. Na zapytanie d-ra Caro dlaczegoby miało nastąpić, Schroetter miał odpowiedzieć, że Polska, to nie jest żaden naród to tylko szczep przynależny do innych

państw. Ta definicya powtórzona w sposób nie dopuszczający żadnej wątpliwości, podrażniła moje uczucie patryotyczne w najwyższym stopniu.

Dałem temu wyraz pod adresem p. Schroettera, przedstawiając d-rowi Carowi zasadniczą różnicę zachodzącą między pojęciem narodu a państwa politycznego i podnosząc znaczenie narodu polskiego.

Sam fakt wygłoszenia kilku słów mniej lub więcej banalnych, bo są niemi prawie wszystkie tego rodzaju przemowy, to drobiazg, ale przykre motywa nie dopuszczające nas przy takich nawet sposobnościach do tego, byśmy naszą odrębność narodową wśród tych, którzy pracują dla podniesienia nauki czy sztuki zaznaczyć mogli, nie mogły pozostać bez odpowiedzi.

Odczuł to interpelowany, bo zapewniając, że ma najwyższą cześć *pour la grande et chevaleresque nation polonaise,* prosił, by go nie winić z powodu tego, co zaszło; dr. Schroetter całą odpowiedzialność przyjął na siebie i sam własnoręcznie wykreślił ze spisu na arkuszu wyrazy „Polonia", „Bohemia", kiedy dr. Caro wzbraniał się przed tem. Nie znałem osobiście p. Schroettera, lecz teraz zapragnąłem zyskać co prędzej sposobność do zrobienia tej znajomości.

Na razie uważałem za stosowne złożyć wizytę ambasadorowi austryackiemu, hr. Dubsky'emu, raz ze względów czysto światowych a powtóre w nadziei, że będę miał możność dowiedzenia się czegoś bliższego o motywach postępowania p. Schroettera, który, zdaniem mojem, nie mógł działać *proprio motu.* Każę się wieść na Calle de Segovia. Odległość bardzo wielka, ale obiecawszy woźnicy *una buona propina,* mam nadzieję, że tak zajadę, by zastać dyplomatę. Ale w tej stolicy Nowej Kastylii jakoś mi się nieszczególnie wiedzie — wszędzie jakieś przeszkody. Tu znowu natrafiam na zupełnie niespodziewaną: dorożka staje, wyglądam a tu przed nami orszak długi, pogrzebowy. Woźnica zawraca w inną stronę, by ominąć orszak i wyprzedzić, ale gdzie zajedzie zawsze znowu wstrzymać się musi, bo pochód wielki ciągnie przez całą Calle Alcala, która miasto prawie na dwie połowy dzieli. Wysiadam, by dowiedzieć się, kogo wiozą

na wieczny spoczynek z takim iście średniowiecznym, temu krajowi właściwym przepychem. Dowiaduję się, że to pogrzeb jakiegoś admirała, którego nazwisko niedość wyraźnie mi podano. Zachęcony propiną woźnica raz jeszcze usiłuje bocznemi uliczkami wyprzedzić pochód; dojeżdżamy taką uliczką w okolicę puerta del Sol, tego środka Madrytu, skąd niezwykła rozchodzi się ilość ulic, ależ znowu zatrzymujemy się przed orszakiem pogrzebowym. Wysiadam ponownie i wdaję się w układy z policyantem, który przyobiecał, iż mnie samego przeprowadzi przez szpalery wojska i policyi na drugą stronę Calle Alcala, ale dorożki niepodobna przepuścić. Zgodziwszy się na tę ostateczność dostałem się w towarzystwie stróża bezpieczeństwa na ulicę Segovia.

Godzina już późna na oficyalną wizytę, ale próbuję szczęścia. Pan ambasador przy śniadaniu; przyjmuje mnie bardzo uprzejmie. Po kilku ogólniejszych uwagach, z których dowiedziałem się, iż 24 lat urzęduje już w Madrycie a niebawem posterunek ten zamierza opuścić, potrąciłem o kwestyę niedopuszczenia mnie do głosu przy otwarciu kongresu. Hr. Dubsky nie zdradził najmniejszego z tego powodu zadziwienia a nawet dodał, iż to rzecz naturalna, bo tylko oficyalni reprezentanci państw mieli przemawiać. Na to zauważyłem, że komitet ogłosił przeciwnie, że zabiorą głos reprezentanci narodów, a zresztą, dodałem, przemawiał reprezentant Bośnii. *Ja wissen sie* — wtrącił ambasador — *Bosnien ist ja ein kleiner Staat,* i wcale przy tem nie przybrał miny ironicznej. Nie chcąc słowiańskiemu ludkowi ujmować znaczenia politycznego, jakie mu nadaje reprezentant Austro-Węgier, dorzuciłem uwagę, iż jeżeli już tylko delegaci państw mieli przemawiać, to nie rozumiem dlaczego dopuszczono jednak reprezentanta prasy lekarskiej. *Ja, wissen Sie, die Presse ist eine Macht* — odparł p. Dubsky. Była to uwaga, która nie mogła pozostać bez odpowiedzi: w miejsce reprezentacyi państw i narodów wstawiono inną: reprezentacyi państw tylko, a równocześnie dopuszczono prasę, jako „potęgę“, czyż z tego stanowiska naród dwudziestomilionowy nie mógł samoistnie wystąpić jako „potęga“, czy jest mniejszą „potęgą“ od prasy fachowej,

czy też prasa fachowa lekarska posiada samoistny byt polityczny? czy wreszcie kongres naukowy ma stanowić o losach Europy, jak kongres wiedeński lub berliński, by dopuszczać do głosu tylko mocarstwa, czy nie jest o wiele więcej uzasadnioną reprezentacya narodów, ze względu, że o charakterze partykularnym nauki rozstrzyga raczej narodowość, niż przypadkowa przynależność do państwa.

Nie znalazł na to odpowiedzi ambasador, przeszedł też zręcznie do innych kwestyi — rozmowa zostawiła jednak wrażenie, że w całej tej sprawie był on główną sprężyną. Postanowiłem zachować sobie do najbliższej sposobności dalsze badanie stanu rzeczy.

Wieczorem odbyło się przyjęcie dane przez zarząd miasta. Prezydent miasta, markiz des Portajo, podejmował bardzo licznych gości w pięknych salonach ratusza madryckiego przy dźwiękach doborowej kapeli. Wychodząc z rautu napotkałem znowu na dowód braku zmysłu organizacyjnego: garderoba jedna, z jednem wejściem założonem baryerą — z natury rzeczy powstały sceny w rodzaju znanym tym wszystkim, którzy w r. 1900 brali udział w raucie wydanym w Sukiennicach przez miasto Kraków z powodu jubileuszu uniwersyteckiego.

Ścisk, walka na łokcie i pięści, prowadzona przez ludzi, w których zniecierpliwienie i rozdrażnienie skutkiem gorąca brały górę nad kulturą, prośby lękliwych Francuzów: *ne poussez pas,* dzikie okrzyki kilku Anglików przedrzeźniających: *ne poussez pas,* a równocześnie ze zręcznością i brutalnością mistrzów w boksowaniu zdobywających miejsce — oto podnoszący obraz. Nie chcąc odbierać Anglikom palmy pierwszeństwa w tych zapasach, musiałem czekać godzinę, zanim doszedłem do zarzutki, bez której niepodobieństwo było wychodzić na ulicę wobec przenikliwego i w tej porze roku w Hiszpanii niezwykłego chłodu.

Opuszczając gmach municypalny spostrzegłem w dziedzińcu stoły zastawione przekąskami, przy których podawano hiszpańskie wino; widząc jednak tłumy cisnące się do bezpłatnego posiłku, nie chciałem narażać się na nową próbę wytrzymałości żeber, wolałem udać się do sąsiedniej restauracyi.

Wreszcie po odbyciu dość długiej przymusowej przechadzki na koniec Calle Alcala, znalazłem się w swojem mieszkaniu w domu prywatnym, bo doświadczeń z hotelami hiszpańskimi miałem już dość. Bramę otworzył mi przywołany stróż nocny Antonio, który sposobem średniowiecznym, utrzymującym się w Hiszpanii, choć w stolicach zbytecznym, uprzyjemniał mi noc — wywoływaniem godzin. Niektórzy stróże mają zwyczaj dołączania do tego produkcyi miłosnych lub komicznych piosenek, miłych dla ucha, gdy głos dopisuje, co jednak w Hiszpanii rzadziej się zdarza, niż we Włoszech.

Madryt 25 kwietnia.

W t. zw. biurze polskiem pozostawiłem wczoraj książeczkę skorowidzową z prośbą do przybyłych rodaków o zapisywanie się. Dziś jej nie znalazłem. Zdaje się, że ozdobna oprawa zniewoliła stróża porządku do jej usunięcia...

Na wyłożonym w jej miejsce arkuszu papieru zapisało się sporo Polaków; między innymi: dr. Pawiński i Goldflam z Warszawy, prof. Sieradzki ze Lwowa, prof. Reiss i dr. Buzdygan z Krakowa, dr. Rumszewicz z Kijowa, dr. Pręgowski z Heidelberga, dr. Karłowicz z Petersburga i t. d.; wogóle około czterdziestu osób. Ogólna dezorganizacya nie pozwoliła zejść się razem, jak to bywa zwykle na kongresach, biuro polskie w niczem nie mogło pośredniczyć, bo niczego do ostatniej chwili nie można się było dowiedzieć, programu nie wręczono nawet w samym dniu otwarcia kongresu. Ogłoszenia zresztą skąpe pojawiają się w języku hiszpańskim, rzadko kiedy francuskim. Sposób wyrażania się niemiecki: *es kommt mir das spanisch vor* — szczególnie jest tu na miejscu w czasie tego „międzynarodowego“ kongresu.

Dziś zaczęły się prace sekcyjne. Z dzienników tylko, nie z programu kongresowego dowiadujemy się, że sekcye będą pomieszczone w Bibliotece, a zatem w tym samym gmachu, w którym pomieszczono biura komitetu organizacyjnego i komitetów narodowych. Zdawałoby się, że już poprzednio powinniśmy byli spostrzedz gdzieś jakieś uwiadomienia czy wskazówki, skoro tak często w tych ubikacyach obracaliśmy się; nigdzie śladu

ogłoszenia. Po wielu staraniach dowiadujemy się, że sekcye porozmieszczano w salach muzealnych na piętrze. Szukam okulistycznej: po wielu peregrynacyach przeszedłszy szereg pięknych sal z wspaniałymi obrazami nowszych malarzy hiszpańskich, znajduję wreszcie sekcyę okulistyczną.

Powoli zaczynają się schodzić specyalni koledzy, dostaję do ręki spis zgłoszonych odczytów bardzo pokaźny, ale przeważnie hiszpańskich lekarzy. Komitet sekcyjny z prezydentem Santiago de los Albitos na czele, witał dalekich gości, a po zagajeniu posiedzenia przewodnictwo pierwszego zebrania powierzył prof. Fuchsowi z Wiednia.

Porządek obrad, czyli t. zw. dzienny doznał znacznej zmiany, bo większa część sprawozdawców nie stawiła się. Rozpoczynają się rozprawy. Z początku sprawa idzie dość dobrze, dopóki niezbyt wielka ilość gości należących do innych sekcyi, i za nimi szukających, zawitała do nas. Sąsiadujemy z jednej strony z sekcyą chirurgiczną, z drugiej z medycyną wewnętrzną, a prawdopodobnie żeby jak najwięcej módz korzystać, sekcye te nie są oddzielone drzwiami, tak, że dokładnie słychać przemówienie z jednej i drugiej strony. Z tego praktycznego urządzenia wynikło, że można było równocześnie słyszeć (czy zrozumieć, to inna rzecz) aż trzy wykłady, względnie rozprawy nad niemi. Kiedy jednak około 10-ej peregrynacye wzmagały się, a w sąsiednich sekcyach bardzo żywo dyskutowano i mowców darzono oklaskami, powstał taki zamęt, że niepodobna było ani rozumieć mówiących, ani być rozumianym. Odczułem to zwłaszcza dnia następnego w roli przewodniczącego, gdy wypadało celem prowadzenia dyskusyi uważać na każde słowo, i zapał żądnych mówienia łagodzić wśród nieopisanego zgiełku. Jeżeli już ta okoliczność utrudniała należyte traktowanie poruszonego przedmiotu, to nierównie więcej jeszcze strona językowa. Hiszpańscy członkowie, a tych oczywiście było najwięcej, pozwalali sobie rzecz przedstawiać w języku ojczystym, aby zaś innym nie posiadającym tego zresztą pięknego języka, ułatwić zrozumienie przedmiotu, podawano wkońcu zazwyczaj w języku francuskim t. zw. rezolucye, ale czytane tak, że treść niemal jeszcze mniej

mogła być pochwyconą. Z takiego traktowania spraw naukowych nie może wyniknąć wielka korzyść, a tak, zdaje się, było i w innych sekcyach.

Zamiast umożliwiać rozwiązywanie zagadnień naukowych na międzynarodowych kongresach, utrudniamy je przez to, iż coraz więcej języków dopuszcza się jako t. zw. oficyalne. Jeżeli trudno nam zgodzić się na jeden język, np. francuski (zwalczany przez Niemców ze względów szowinistycznych), to może byłoby na czasie zastanowić się poważnie nad wprowadzeniem speranta.

Zamiast oddalać się przez wprowadzenie wieży Babel, winniśmy zbliżyć się na polu wiedzy, bo w tem braterstwie naukowem szukać należy prawdziwego nie tylko postępu wiedzy i sztuki, ale złagodzenia przeciwieństw politycznych. Czy kiedy do tego dojdziemy?

Ten chaos językowy dał się właśnie na tym ostatnim kongresie wielu we znaki, to też słusznie dr. Pręgowski wniósł do komitetu kongresowego odnośną rezolucyę, wykazującą konieczność dążenia do ujednostajnienia sposobu porozumiewania się na kongresach międzynarodowych. Co komitet z wnioskiem tym zrobił, nie wiem.

Na godzinę trzecią tegoż dnia naznaczono przyjęcie w królewskim pałacu. W wspaniałych salach rezydencyi królewskiej zaczęli się gromadzić członkowie kongresu we frakach lub mundurach, a marszałek dworu grupował nas, jak mówiono, wedle narodowości, w istocie zaś według państw politycznych, i tak Austrya, Niemcy i Rosya w sali tronowej, Włochy i Anglia w Saleta di Gasparini, w przynależnej zaś Camara — Francya i tak dalej.

Polacy, należąc przeważnie do austryackiej monarchii, zgromadzili się wraz z Czechami w sali tronowej, gdzie utworzyli oddzielną grupę. Kilka minut po trzeciej zjawili się z bocznego apartamentu król z matką królową, wdową, i infantki Maria Theresia i Dona Izabella. Odnośni ambasadorowie przedstawiali kongresistów królewskiej rodzinie, która w uprzedzający sposób z znaczną ilością gości rozmawiała, umiejąc dla każdego znaleźć jakieś miłe słówko. Król, sam 17-letni sympatyczny

młodzieniec, rysami bardzo przypominający ojca swego, objawiał pewną nieśmiałość w wystąpieniu wobec tak licznego szeregu ludzi posiwiałych w nauce czy zajęciach zawodowych, ale ta nieśmiałość krasiła tę sympatyczną postać młodego monarchy, któremu pewnie nieraz korona ciężyć będzie wobec walk stronniczych w własnym kraju, wobec kłopotów w polityce zagranicznej. Królowę wdowę odznaczała niezwykła swoboda w rozmowie, do czego niewątpliwie przyczyniało się zajmowanie się wszystkiem, co medycyny dotyczy, a nadto osobista znajomość wielu z obecnych członków, a wspierała pamięć niepospolita. To też dla każdego znalazła miłe jakie słówko lub wspomnienie dotyczące osób wspólnie znanych. Kiedy piszący miał zaszczyt być jej przedstawionym, zagadnęła go po francusku, dodając, że Polacy wolą używać języka francuskiego, aniżeli niemieckiego. *Majesté nous n'avons aucun prejugé contre les langues* — pozwoliłem sobie zauważyć, na co się królowa uśmiechnęła, dopytując się o Kraków, który miłe pozostawił u królowej wspomnienie z czasów, kiedy brat jej arcyksiążę Fryderyk w Krakowie bawił.

Po skończonem *cercle* rozproszyła się powoli liczna rzesza medyków po przyległych kurytarzach, gdzie podziwialiśmy prześliczne tkaniny flamandzkie, wyrabiane dla Karola I i syna jego, Filipa II.

Tu znowu pokazała się niezwykła uprzejmość rodziny królewskiej. Gdy bowiem dr. Buzdygan w rozmowie z Doną Izabellą, do której miał polecenie z Krakowa, wspomniał o tych cennych zabytkach, których część była przedmiotem podziwu na wystawie paryskiej, zarządzono umyślnie dostępne ich wywieszenie na dzień właśnie przyjęcia gości kongresowych, by im dać sposobność zachwycania się temi arcydziełami pamiętającemi XVI stulecie, a odznaczającemi się nie tylko przecudnym rysunkiem, ale niezwykłą świeżością kolorów (wykonane wedle wzorów najpierwszych mistrzów malarstwa Włoch i Hiszpanii).

Mając umysł zaprzątnięty sprawą wyrządzonej nam Polakom krzywdy, nie pominąłem i tutaj sposobności, by w rozwiązaniu zagadki, a raczej w odsłonięciu tego, co z góry przypuszczałem, postąpić krok naprzód. Otóż wiedząc, iż p. Schroetter

znajduje się w gronie delegatów austryackich, postarałem się niebawem o zapoznanie się i interpelowałem o powód skreślenia z listy reprezentowanych narodów wyrazów Polonia, Bohemia, wraz z tegoż następstwami. Nieco zakłopotany p. Schroetter wyparł się wprost jakiegokolwiek wpływu na rzeczoną sprawę, a kiedy przytaczałem mu oświadczenie jeneralnego sekretarza, zaczął coś jeszcze przytaczać na swoje uniewinnienie, zarzucając Hiszpanom t. zn. dr-owi Caro, brak wiadomości geograficznych. Zakłopotanemu interpelacyą przyszedł w pomoc w sam czas ambasador przywołujący go do swego boku z powodu wejścia do sali rodziny królewskiej. Jasnem było, że znalazłem nitkę najbliższą kłębka intrygi, ale chcąc rozwiać wszelką wątpliwość, udałem się raz jeszcze nazajutrz do jeneralnego sekretarza, prosząc o wyjaśnienie wobec zaprzeczenia oficyalnego reprezentanta nauki austryackiej. Zmarszczyła się piękna twarz dumnego Hiszpana: *Mais Monsieur, je vous donne ma parole d'honneur, que les choses se sont passé comme, je vous ai dit... et du reste celui fait, qui en a un interêt* — uścisnął rękę, przepraszając za przykrość sprawioną mimowoli.

W przyszłości komitety polskie powinny, korzystając z tego doświadczenia, zastrzedz swe prawa należycie przed niewłaściwą interwencyą czynników niepowołanych, bo komitet lokalny zawsze może znaleźć się wobec takiego „mimowoli".

Nie mając na dzień ten żadnego wytkniętego planu, nie mogąc dla spóźnionej pory zwiedzać muzealnych zbiorów, wsiadam do dorożki, którą wziąłem *all'ora* dla poznania fizyonomii miasta. Wygląd miasta nie dorównuje nawet w przybliżeniu Barcelonie, pomimo różnicy w wielkości. Tam ulice proste, doskonale brukowane, tu, jak w każdem mieście starszem, nierówne, a nadto bruk przypominający wielce nasz krakowski. Asfalt spotyka się tylko w niewielu ulicach, grupujących się około puerta de Sol. Gmachy wspaniałe obok domów dość skromnych. Pomny na *carpe diem*, zwłaszcza wobec zamiaru opuszczenia Madrytu przed końcem kongresu, pragnąłbym widzieć jak najwięcej; cóż, kiedy woźnica hiszpański nie da się poruszyć niczem ze swej flegmy, i ochraniając rumaka, jedzie tak wolno, jak

ongi za mych akademickich czasów doróżkarz berliński, który wzdychał, ile razy miał przejechać z jednego krańca ul. Fryderykowskiej na drugi, i gdy mu się to śniło, zapewniał swą małżonkę, iż go jakieś nieszczęście spotka. Dziś te typy berlińskich doróżkarzy znikły, za to częstem są zjawiskiem wśród ognistych Hiszpanów Madrytu. Zniecierpliwiony wysiadam, a załatwiwszy niezbyt zresztą wygórowane pretensye mego woźnicy, posuwam się już *per pedes apostolorum* dalej po ulicach stolicy. Ależ tu znowu innego rodzaju przykrość. Nie można ujść kilku kroków, by nie zaskoczył to młody, to stary, to zdrowy, to kaleka, prosząc: *Signoritto, uno soldo.* Znowu przypomniał mi się nasz kochany Kraków z jego liczną drużyną żebraków, odpowiednim układem twarzy i głosu, pragnących przemówić do miłosierdzia, kiedy rozum nakazywałby młodocianych umieścić w domu poprawy, starszych w domach pracy przymusowej. Tu także tłumy takich żebrzących próżniaków silnych i zdrowych prześladuje przechodnia na każdym kroku.

Czystość miasta nie jest wprawdzie wzorową, ale ostatecznie w nowszych częściach z systemem jej utrzymania można się pogodzić. Urządzeń sanitarnych posiada Madryt wiele: instytut szczepienia ospy, radę zdrowia z ministrem dla spraw wewnętrznych jako prezesem na czele, odgrywającą ważną rolę; instytut seroterapii i bakteryologii znakomicie prowadzony przez znanego światu naukowemu dr. Santiago Ramon y Cajal, istniejący dopiero od r. 1899, zakład higieny wojskowej utworzony w r. 1885 w dawnym szpitalu wojskowym, szkołę weterynarską i odrębny fakultet farmacyi. Fakultet zaś medycyny utworzony w r. 1780 mieści się w wspaniałym gmachu od roku 1834; dziekanem jego jest prof. Julian Calleja, prezes zjazdu, zajmujący katedrę anatomii i embryologii.

Ciało profesorskie ostatniego zakładu składa się z 19 profesorów zwyczajnych czyli numerowych, 4 tymczasowych (dermatologia, laryngologia, oftalmologia i otyologia), 16 profesorów nadzwyczajnych *(auxiliares)* i 14 docentów. Dalej istnieje tutaj od r. 1732 akademia medycyny składająca się z 48 akademików i 100 członków korespondentów krajowych i zagranicznych.

Zakłady te podlegają ministerstwu dla publicznej oświaty i sztuk pięknych; dobrze urządzona pracownia dla medycyny sądowej podlega ministerstwu sprawiedliwości.

Szpitali posiada Madryt dość pokaźną ilość, atoli z tych, które widziałem, żaden nie zasługuje na szczególną uwagę. Nowa klinika okulistyczna stanowi piękny budynek, nie jest jednakże jeszcze wewnętrznie urządzona. Oftalmologia nie jest zresztą przedmiotem obowiązkowym w całej Hiszpanii i dlatego też fakultety nie posiadają katedr zwyczajnych. Pod tym względem nastąpi niebawem reforma a już dziś przygotowują się pierwsze pod tym względem kroki. W Barcelonie poważnym kandydatem jest dr. Menacho, zasłużony okulista, który założył przy pomocy kilku kolegów pierwsze specyalne pismo okulistyczne *Los archivos d'oftalmologia,* i który wybudował mały, ale pod względem czystości, porządku, składności i celowości prawdziwie idealny zakładzik. W Madrycie podobny, mniej ozdobny zakład posiada dr. Santiago de los Albitos. Oglądając zakład ten w towarzystwie jego kierownika, stanąłem przed okazałym portretem kobiety o pięknych rysach twarzy, jasnych blond włosach z aureolą nad głową a w rękach trzymającej na tacy wyjętych dwoje oczu. Zapytany gospodarz, kogo przedstawia portret, odpowiada mi dr. Albitos, że to św. Łucya, patronka niewidomych. Z zadowoleniem wyjaśniał gospodarz, że do obrazu świętej pozowała jego żona.

Pierwowzór świętej miałem sposobność wieczorem widzieć w teatrze lirycznym, gdzie na cześć kongresistów dawano „Carmen". Przyznaję, że prócz oczu podobnych do ócz św. Łucyi, wedle pomysłu Albitosa, i koloru włosów, nie mogłem dopatrzyć się wielkiego podobieństwa do świętej z obrazu. Pani Albitos jest jasną blondynką (choć pochodzi z samej Granady) podobnie jak św. Łucya.

25 kwietnia.

Po południu posiedzeń sekcyjnych niema, gdyż mają się odbywać posiedzenia publiczne. Ale gdzie? trudno się dowiedzieć. W tem samem położeniu było widocznie wielu, gdyż, jak

później się dowiedziałem, przybyło na pierwsze takie posiedzenie, na którem miał przemawiać znany anatom berliński Waldeyer, w wielkim amfiteatrze szkoły czyli fakultetu lekarskiego 15 słuchaczy. Jak to prelegenta musiało zniechęcić, łatwo pojąć, to też Waldeyer, jak wielu innych, nie czekał końca kongresu, ale najkrótszą drogą wracał do ojczyzny.

Korzystając z jedynego wolnego popołudnia, poświęciłem je zwiedzeniu tej galeryi obrazów, którą mi koledzy hiszpańscy z dumą narodową bardzo polecali. Być w Madrycie a nie widzieć *Museo de Pinturas* czyli krótko zwane *Prado*, równałoby się bytności w Rzymie bez widzenia papieża.

Muzeum zawiera drogocenny zbiór Murillów, Tintorettów, Rubensów, bardzo licznie reprezentowani są Rafael, Ribara, Tycyan, Paweł Veronese, ale chyba już najliczniejszą jest kolekcya Velasquesa, którego dzieła pomieszczono w osobnej wielkiej rotundzie, w której roi się od zwiedzających, przed każdem większem arcydziełem widzi się kopiujących tak świeckich jak i duchownych.

Wieczorem przyjęcie u prezesa ministrów, na które z powodu szczupłości miejsca wydano tylko 1200 zaproszeń. Znowu te same osobistości z piersiami błyszczącemi od gwiazd najróżnorodniejszych, wszędzie ścisk, zwłaszcza w pokoju, gdzie sam minister wita gości, boć próżność pragnie dostąpić szczęścia rozmowy z tym dostojnikiem. Przypatrzywszy się nieco temu ruchowi kalejdoskopowemu, nie czekając na bankiet, powróciłem do siebie.

26 kwietnia.

Niedziela wyłącza prace naukowe a poświęca się ją zwykle na wspólne wycieczki. Główny ruch dnia tego zwrócił się do Toledo. Wycieczka ta zorganizowana przez *voyages pratiques*, nie mogła mnie zachęcić do współudziału wobec doświadczeń poprzednich, zrobionych z tą sławetną kompanią, naśladującą nieudolnie znane firmy Cooka i t. p. Postanowiłem więc dzień ten poświęcić zwiedzeniu Escorialu, do czego, jak mnie zapewniano, potrzeba całego dnia.

Każdy ze znajomych, którego spotykałem stawiał mi pytanie, czy mam już bilet na „walkę byków", naznaczoną właśnie na niedzielę na godzinę 3-cią. Zrazu nie miałem zamiaru korzystać z tej sposobności, bo już w Paryżu w czasie wystawy r. 1899 brałem udział w takiem widowisku urządzonem dla 20 tysięcy widzów. „Tak — odpowiedziano — ale to co innego. Tam nie było wolno byka zabijać". — „W zabijaniu nie widzę ani nic ciekawego ani też estetycznego". — „To prawda — odpowiada mi jeden z interlokutorów ale warto raz przecie widzieć tę walkę tak, jak ją właśnie w Hiszpanii odbywają". Ostatecznie widząc to ogólne wśród kongresistów zajęcie, postanowiłem przypatrzeć się igrzysku na jego klasycznej ziemi, by mieć wyobrażenie o tem, za czem cały naród przepada i czego sobie nie da odebrać mimo tylu zakusów ze strony rządu. Przypadek zresztą sprzyjał wykonaniu planu, bo kiedy szedłem ulicą Sevilla zatrzymało mnie jakieś indywiduum, ofiarując bilety na dzień następny. Oczywiście przy kasie nie można ich już dostać. Cena 2.50 pesetów. Dziwię się, że tak mało, sądzę, że nieświetne miejsce, zaczynają się pertraktacye, które kończą się na tem, że z dodatkami zapłacić winienem za miejsce *sombra* t. j. w cieniu i *prima filura* (pierwszy rząd) nie 2.50 ale 12 pesetów. Później dowiedziałem się, że inni za takież miejsca płacili nawet 15 i 20 pesetów. Na wyzysk w podróży trzeba być filozoficznie przygotowanym.

Mało mając czasu do rozrządzenia, trzeba było przed walką byków zwiedzić Eskorial. Wybrałem się pierwszym pociągiem o godz. 8.45 z *estacion del Norte*. Pociąg wyjątkowo mało obsadzony przebiega zrazu żyzną nizinę, ale wkrótce oko spotyka się tylko z pustkowiem kastylijskich wyżyn, urozmaiconem zaledwie kiedy niekiedy to jakąś wilką to znowu winnicą. Po przebyciu małego tunelu kamieniołomy Collado Villalba, z daleka widoczna rezydencya kastylijska, przed nią w dali stada byków pasących się swobodnie, nieświadomych roli, jaką odgrywają w życiu kulturalnem Hiszpanii.

Zająwszy co prędzej miejsce w jednym z omnibusów na stacyi stojących, zaprzężonych w 6 mułów, dostaję się po 10-mi-

nutowej jeździe przed hotel La Miranda, tuż przy klasztorze położony. Bez straty czasu rozpoczynam zwiedzanie ogromu gmachów przyłączywszy się do towarzystwa kilku kolegów wiedeńskich (prof. Paltauf, Franke i t. d.) Escorial pochodzi od wyrazu *escoria* czyli żużel i wskazuje na górnictwo tutaj kiedyś kwitnące, czego jednak obecnie niema ani śladu.

Z początku napotykamy na jakieś trudności w zwiedzaniu osobliwości, do kościoła wejść nie pozwalają, bo obecnie nabożeństwo i t. d.; zrozumiałem, że w ten sposób, jeżeli w tem tempie załatwiać się będziemy, nie dojdziemy do celu. Ale sprzyjał mi przypadek. Spostrzegłem jednego z zakonników, przedstawiłem się mu i dowiaduję się, że to profesor języka niemieckiego w tamtejszym internacie dla młodzieży zamożnych obywateli. Porozumienie więc łatwe, bo ksiądz nieźle, chociaż jak na profesora przedmiotu nie bez trudu i błędów się wyrażał, — ale za to żywość i inteligencya przychodziły w pomoc w wysłowieniu. Zadziwił się śmiałości mego planu, by w tak krótkim czasie chcieć zwiedzić Escurial, ale przyrzekłszy być mi pomocnym, krokiem włoskich Bersaglierów przebiegał razem ze mną wszystko, co tylko budziło większe zajęcie. Wiadomo, że Filip II z polecenia ojca swego Karola V wzniósł go na pamiątkę zwycięstwa odniesionego pod St. Quentin 10 sierpnia 1557 r. a wyłożył na jego budowę około 5 milionów dukatów.

Przed mniej więcej 50 laty po raz pierwszy usłyszałem nazwę Eskorialu spoglądając na kartę Europy przedstawiającą prawie wyłącznie tylko stolice, większe góry i rzeki. Eskorial z Madrytem to dwa pojęcia, które wryły się w pamięć nierozdzielnie a dziś po pół wieku przyszło mi oglądać to, co fantazya dziecięca w wrażliwym umyśle sobie naszkicowała.

Stoję przed tym ogromem, przeprowadzonym w stylu renesansowym, silne robiącym wrażenie mimo usterek pod niejednym względem rażących. Otoczenie w tej zimnej, dzikiej prawie, martwej niemal okolicy nie dodaje uroku, przeciwnie zdaje się, że ta posępność i powaga zamku i klasztoru zaczerpnięta z miejscowych przyrody wzorów. Pod tem wrażeniem wstępuję z moim sympatycznym przewodnikiem najprzód do

świątyni Pańskiej. Widzimy *capilla mayor*, która mieści dwie ambony z alabastru, marmuru i spiżu, w środku potężny ołtarz, pod którym panteon królewski, po bokach loże królewskie a po prawej stronie wskazuje mi przewodnik miejsce, w którem modlił się Filip II, dalej pokój, w którym zakończył 13 września 1598 r. swój żywot. Przechodzimy do zakrystyi, gdzie podziwiam przepiękny sufit i ściany zawierające dzieła pierwszorzędnych malarzy: Ribery, Carbajala, Tycyana, Veronesego. Najwybitniejszy zaś obraz, to t. zw. *Santa forma* przedstawiająca procesyę na cześć Hostyi ofiarowanej przez cesarza Rudolfa Filipowi, Hostyi, która podeptana przez Zwinglistów w Gorkum w Hollandyi, miała krwawić. Artystą, który ten obraz wykonał, był Claudio Coello; osoby, które cześć oddają świętej postaci, portretowane z osób współczesnych. Udajemy się na obszerny, wysoko położony chór, w którym znajdują się stalle dla duchowieństwa; siadywał tutaj także Filip, własnoręcznie dzwoniąc ze swej stalli znajdującej się w kącie po prawej stronie. Tutaj odebrał, jak wieść niesie, wiadomość o bitwie pod Lepanto, gdzie, jak wiadomo, włosko-hiszpańska fiota w r. 1571 pod dowództwem Don Juana, syna Filipa, odniosła zwycięstwo nad Turkami, przez króla dzwonieniem obwieszczone ludowi. Poza chórem umieszczono krzyż, rzeźbiony przez Benvenuto Cellini w marmurze białym, darowany Filipowi przez księcia Toskany. W *Libreria del coro* znajdują się potężne księgi choralne, poruszalne za pomocą odpowiedniej maszyneryi. Ogrom każdej księgi tak wielki, że jedna stronica wymagała zużycia całej skóry jednego cielęcia.

Schodzimy osobnemi schodami do panteonu, gdzie w niszach dość znacznego ośmiobocznego przestworu, spoczywają w równiutkich trumnach po jednej stronie królowie, po drugiej matki królów. Infanci i infantki mają odrębne groby, tak zwany *Panthéon de los Infantes*. Tu znowu z pięknego białego marmuru pięknie ciosane sarkofagi, które jednak swą jednostajnością nie robią dodatniego wrażenia. Zwiedziwszy jeszcze klasztor, pałac i bibliotekę a zawsze przyśpieszonym krokiem, pożegnałem się ze znakomitym moim przewodnikiem, miałem jeszcze dość czasu,

by, posiliwszy się, zdążyć na *treno de lujo,* który dążąc z Paryża tutaj na minutę się zatrzymuje.

O godzinie trzeciej stanąłem w Madrycie a wsiadłszy do dorożki, kazałem się wieść wprost na plazza de Torros. Miałem prawie godzinę czasu, ale też obliczyłem, że tyle będzie potrzebował madrycki woźnica, by mnie przewieźć na przeciwny koniec miasta, w pobliże mego mieszkania.

Ruch powozów najrozmaitszego rodzaju a nawet przyśpieszony i wzmożony ruch elektrycznych tramwajów wskazuje, iż coś ciekawego ludzi skupia, i na kierunek, w którym się to coś ma odbywać. Staję przed ogromną rotundą, po chwili dostaję się na wskazane mi miejsce a rozpatrując się przed i wkoło siebie w amfiteatrze, widzę wokoło znacznej areny tysiące głów a także i w arenie samej wielu kroczących, rozmawiających lub szukających wejścia do działu miejsc literą i liczbą oznaczonego. Zabrzmiał sygnał trąbkowy, w mgnieniu oka arena opróżnia się wśród krzyku, pozostają tylko *chulosi,* piesi szermierze, mający drażnić wołu i doprowadzać go do wściekłości; wjeżdżają *picadores* w dawnych strojach hiszpańskich (pod którymi twardy pancerz), uzbrojeni w długie dzidy. Po chwili wpuszczają byka na arenę... Wspaniałe zwierzę w poczuciu swej siły, staje i rozgląda się, dziwiąc się niejako widowisku a upatrzywszy sobie jednego z ozdobnych *chulosów,* pędzi ku niemu z nastawionymi rogami — ale czerwony płaszcz *chulosy* myli szyki byka, który po chwili zwraca się znowu w inną stronę, ale równie niefortunnie.

Rozpoczyna się walka pikadorów, zwykle na lichych koniach zwracających się ku bykowi, by mu w chwili ataku zadać dzidą ranę w grzbiet. Zwierzę zazwyczaj jednym zamachem wpija rogi koniowi w brzuch, unosząc go wraz z jeźdźcem w górę. Jeździec przechyla się w tył pochwycony przez służbę a zasłonięty przed wściekłością zwierzęcia przez *chulosów* zwanych także *bandirelleros,* którzy zwierzę w inną zwabiają stronę. Zaraz w pierwszej walce padają trzy konie, które niejednokrotnie już z przebitym brzuchem i wypadniętemi wnętrznościami jeszcze dalej służbę muszą odbywać, by napad na byka powtó-

rzyć. Obraz wstrętny do najwyższego stopnia a niestety zyskujący wielki u zapalonych widzów poklask. Na dany znowu trąbką znak *pikadores* opuszczają arenę. Teraz podejmują ze zwierzęciem już nieco zmęczonem i osłabionem ubytkiem krwi *chulosi*, którzy, zwróciwszy byka na siebie i zarzuciwszy mu na łeb zarzutkę, swe ozdobne dzidy zwane *banderillas* o długości 60 ctm, wpychają ostrzem zaopatrzonem w hak w grzbiet. Gdy zwierzę zwróci się znowu ku napastnikowi tenże zręcznym ruchem lub skokiem wymija je, względnie przeskakuje przez baryerę. Gdy w ten sposób 5—6 dzid bykowi wepchnięto i już znacznie osłabiono, występuje na dany znak *espada* strojnie ubrany, tak jednak, że ruchów jego ciała nic nie krępuje a zręczność ich tem więcej się uwydatnia. W jednej ręce dziryt, w drugiej na stosownym krótkim pręcie *muleta* t. j. kawałek czerwonej jedwabnej materyi.

Espada winien w przeciągu pewnego czasu, zwabiając ku sobie *muletą* zwierzę, wepchnąć mu dziryt w pierś albo w grzbiet. Podziwiać tu trzeba tych *espadów*, którzy popisują się nie tylko niezwykłą odwagą, ale i szaloną zręcznością, umiejąc w ostatniej chwili uciec przed niechybną śmiercią. Gdy w pierwszej walce znany swego czasu ale już starszy *toreador* Mezzantini nie załatwił się szybko ze swem zadaniem, bo zwierzę zmęczone nie nastawiało się odważnie, publiczność poczęła się niecierpliwić, sykano, rzucano czapki na arenę i gwizdano. Odezwała się trąbka na znak, że w pięciu minutach śmiertelne ugodzenie wedle przepisów powinno nastąpić. Jeżeli to nie nastąpi, objaśniał mnie mój sąsiad, który nie opuści żadnej niedzieli tego igrzyska, *toreador* dostaje karę znaczną pieniężną, a gdy na powtórny znak jeszcze walki nie ukończy odprowadzają go do więzienia(?). Zirytowany już Mazzantini podchodzi pod trybunę, w której zasiada członek magistratu, jako prezes walki, tłumaczy mu coś i oświadcza, że na jego cześć śmiertelne poprowadzi pchnięcie dzirytem. Istotnie zanurza go w chwili, gdy byk podrażniony przez *chulosów* nastawia rogi na *espadę*, tak pomiędzy żebra, że tylko rękojeść sterczy z ciała. Zwierzę zalewa krwią z pyska się wydobywającą arenę i szuka schronienia pod baryerą. W tej

chwili dobiega *matador* i zadaje mu sztyletem cios w kark. Skończyła się walka pogromem śmiertelnym wspaniałego zwierzęcia; rozgorączkowana publiczność oddycha swobodniej oklaskując toreadorów, zwierzęcego trupa usuwa służba czwórkami mułów, zamiatając cielskiem arenę, która po chwili staje się znowu miejscem nowej walki. Bo oto wpuszczono znowu drugie, nierównie piękniejsze zwierzę. Ale zrazu uchodzi ono przed *pikadorami*, którzy mu tym razem zadali zręcznie kilka pchnięć dzidami bez żadnego znaczniejszego dla koni i siebie uszczerbku. Obiegając arenę szuka byk wyjścia, ale daremnie... po kilku nowych atakach nieudanych na *chulosów*, zwierzę czując nierówną dla siebie walkę, przeskakuje baryerę, ale niebawem otwiera się brama i zwierz wpada znowu na arenę, gdzie zastaje znów tych samych przeciwników. Publiczność zniecierpliwiona tym razem na zwierzę, które obdarza przydomkiem tchórza, pobudza *chulosów* do energiczniejszego nacierania, by zwierzę rozbestwić.

Istotnie zrozpaczony byk stacza wypowiedzianą mu walkę, zadaje śmiertelne ciosy czterem koniom *pikadorów*, z których niejeden mocno potłuczony opuszcza arenę i znowu koniec mniej więcej jak w poprzedniej walce, z tą różnicą, iż nowy *espada*, którego nazwiska nie pomnę, zręczniej się załatwił ze swem zadaniem, ale nie dorównał trzeciemu z rzędu espadzie nazwiskiem Bombita Chico, który w prawdziwy zapał wprawił hiszpańską publiczność swą niezwykłą brawurą. Igrał z bykiem z niezwykłą werwą i elastycznością ruchów, jak kot z myszą. Były chwile, że zwierzę zdawało się być w hypnozie. Toreador, wprawiwszy zwierzę w wściekłość, kiedy już, już z spuszczonymi rogami ma nań uderzyć, usuwa mu się z miejsca a gdy zwierzę ponownie staje do ataku, zmusza je do nieruchomości wzrokiem i odpowiednim ruchem dzirytu. To znów w podobnej chwili krytycznej odwraca się tyłem do byka, kłaniając się publiczności, która z entuzyazmu rzucała wieńce i czapki. Młody, bo zaledwie 22-letni, przystojny mężczyzna, nie pierwsze tego rodzaju odnosił tryumfy, o które niejednokrotnie dobijają się osoby z lepszych sfer towarzyskich, przyjmując stanowisko to-

readora nawet bezpłatnie. Zazwyczaj są toreadorowie doskonale płatni; imię dzielnego toreadora głośne jest w całej Hiszpanii. *Biblioteca taurina* podaje szczegółowe biografie znanych espadów, jak Fuentes, Quinito, Machaquita, Bonarillo, Moreno de Algesiras i tylu innych.

W czasie igrzyska, trwającego około 2 godzin, padło 6 byków i 18 do 20 koni. Wprawdzie konie to widocznie małej wartości, więc strata materyalna nie wielka, ale właśnie męczarnie tych stworzeń nad wyraz przykre na nieprzyzwyczajonego do tego rodzaju widowisk sprawia wrażenie. Wstrętne jest to znęcanie się nad zwierzęciem wprowadzonem na arenę na to, by wreszcie życia go pozbawić — a znęcanie się to dochodzi do tego stopnia, iż chulosi stosują nawet eksplodujące dzidy, t. zw. *banderillas de fuego*, ktore, utkwione w skórę zwierzęcia, zapalają się i powodują eksplozyę pęków, dzidę otaczających, co byka do rozjuszenia doprowadza.

Trudno pojąć, jak opiekuńczy rząd, który dbać winien o umoralnienie ludu, może tolerować tego rodzaju zabawy ludowe. Że je posiadały wieki starożytne, (jak wiadomo, były te walki ulubionem igrzyskiem w Grecyi i Tessalii a także u Rzymian, nie może dziwić, skoro znaleźli się widzowie dla pochodni Nerona), ale dziś w wieku sławionej oświaty, wieku stowarzyszeń opiekuńczych dla zwierząt, w wieku, w którym w celach naukowych oględnie podejmowane wiwisekcye znajdują zapalonych przeciwników, zabawy podobne namiętności budzące powinny zniknąć z widowni ludów cywilizowanych. Ale dzika natura ludzka wszędzie się objawia: tam za Pirenejami w walce z bykami, u sąsiada naszego, w państwie bojaźni Bożej, w znęcaniu się nad narodem kulturalnym, któremu, kłując go rozmaitego rodzaju szpilkami, zabiera się wolność, język, mienie, a pragnie się odebrać i wiarę, dającą siłę odporną.

Wieczorem podejmował obiadem grono delegatów austryackich ambasador hr. Dubsky. Tu dowiedzieliśmy się, że królowa objawiła życzenie przyjęcia raz jeszcze na osobnej audyencyi delegatów austryackich; na ten cel wyznaczono nam dzień następny o godz. 6.

Przyjęcie to, w którem wzięło udział około 12 osób, było nacechowane niezwykłą serdecznością i uprzejmością, którą nie często spotyka się na dworach. A zadziwia to tem więcej, że właśnie dwór hiszpański znany jest z przestrzegania form etykietalnych, posuniętych do rzeczy nawet drobiazgowych. Królowa w towarzystwie infantki przyjmowała każdego z nas osobno, a cała audyencya trwała przeszło dwie godziny. W rozmowie z piszącym objawiła królowa niezwykłe zainteresowanie się sprawami kongresu, nawet jego własnej sekcyi, dopytywała się, jaki był temat wykładu, o którym już wiedziała, następnie znowu naprowadziła rozmowę na Kraków, wyrażając się o nim znów z wielką życzliwością, a wkońcu po przedstawieniu młodemu monarsze, który właśnie był wszedł do pokoi królowej matki, zaprosiła do zejścia do apartamentów księżnej Mercedes, która znów z niezwykłym wdziękiem dopytywała się, jakie wrażenie sprawia pobyt w Hiszpanii, jaki był przebieg kongresu, jakich spodziewać się można po nim naukowych zysków.

Opuściłem pałac królewski pod wrażeniem, że naród posiadający taki dom panujący, który umie zbliżyć się do ludzi nauki, umie oddać cześć tej nauce, który objawia zajęcie się wszystkiem, co nędzę ludzkości złagodzić może, winien mieć do tego domu zaufanie, a jednak właśnie dzień ten był dniem przykrym dla rządu tej monarchii i dla dynastyi. Nie przyszło wprawdzie do żadnych przez pisma zagraniczne zapowiedzianych rozruchów, a już najmniej kongresiści odczuli co się w stolicy Hiszpanii dzieje, ale wybory do Kortezów wypadły niepomyślnie dla rządu, bo wybrano prawie wyłącznie samych zwolenników rzeczypospolitej. Ulica zachowała się zupełnie spokojnie, tak, że zajęty sprawami kongresu, który zbliżał się ku końcowi, nawet nie domyślałem się, jak ważne Madryt przechodzi dnia tego chwile polityczne.

Madryt 30 kwietnia.

Wśród zwykłych przemówień zamknięto dziś kongres po kilku mniej więcej udatnych festynach na cześć gości.

Na posiedzeniu poufnem prezydyum kongresowego obra-

dowano nad rozdaniem nagród miasta Moskwy i Paryża. Pierwszą, wynoszącą 5 tysięcy franków w złocie przyznano prof. Miecznikowowi, drugą, wynoszącą 3000 franków przyznano prof. Grassi, który przy powtórnem głosowaniu zwyciężył swego współzawodnika prof. Roentgena.

Niemałem już w czasie trwania kongresu było zajęcie co do kwestyi, gdzie ma się odbyć następny. Proponowano rozmaite miasta, ale żaden delegat obecny nie odebrał upoważnienia do zaproszenia, zapytywane drogą telegraficzną rządy znikąd nie nadesłały odpowiedzi przychylnej, jedynie rząd Lizboński z kurtoazyą oświadczył gotowość podejmowania 15 kongresu... Czy wypadnie korzystniej od madryckiego? Trudno to dziś przesądzać. Hiszpania nieco podkopała wogóle zaufanie do półwyspu iberyjskiego...

W Lizbonie będzie lepiej, jeżeli można wierzyć słowom mego młodego przewodnika, któremu polecono w dniu mego do Madrytu przybycia poszukać mi mieszkania. Na me zapytanie, jacy to urzędnicy są zajęci w komitecie kongresowym, odpowiedział, że prawie wyłącznie obcokrajowcy. A to dlaczego, zapytałem, czy to w Hiszpanii nie macie dość ludzi chcących i mogących sprostać zadaniu? — *Mais non, Monsieur,* odpowiada, *les gens sont ici peu intelligents et puis ils sont paresseux.* Zdziwiony taką odpowiedzią zapytuję mego towarzysza o pochodzenie i dowiaduję się, że on dumny z tego, iż jest Portugalczykiem. Jeżeli sam stanowi typ tego narodu, można mieć nadzieję, że przyszły kongres lepiej będzie zorganizowanym, ale do dobrego zorganizowania takich kongresów wielkich, jakiemi się stały kongresy międzynarodowe lekarskie, potrzeba nietylko ludzi sprężystych, ale także pieniędzy i wiele pieniędzy. Niema ich Hiszpania a mniej pewnie Portugalia, i o ten szkopuł mogą rozbić się wszelkie dobre chęci organizatorów. Zresztą w wieku specyalizowania wszystkiego pod względem naukowym, mogą liczyć na powodzenie tylko kongresy urządzane dla przedstawicieli pewnych gałęzi tak dziś już rozległych nauk lekarskich.

Bolesław Wicherkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Utwory dramatyczne. *Lucyan Rydel.* Z portretem autora. 2 tomy. Kraków r. 1902.

Przedmioty zawartych w tym zbiorze utworów dramatycznych bardzo są różnorodne, wysnute z teraźniejszości bieżącej i z przeszłości odległej, ze świata rzeczywistego i fantastycznego, z samorzutnych wewnętrznych dążeń twórczych i z wrażeń przez zewnętrzne okoliczności wzbudzonych.

Naczelne miejsce zajmuje między nimi trzyaktowy dramat „Jeńcy", dzieło głębokiego odczucia, pełne siły, szczerości i prawdy, a przytem ujęte w nader piękną formę artystyczną. Ściśle biorąc, jest to nie tyle dramat ile obraz dramatyczny. Akcyi w nim niewiele, a wobec braku jej niema też rozwijających się i kształtujących przed oczami widza charakterów. Mamy tu tylko jedną potężną, pełną treści z zamierzchłej przeszłości wydobytą sytuacyę życiową, a w niej kilka postaci, nakreślonych w rysach przedziwnie wyrazistych i charakterystycznych.

Rzecz dzieje się w X wieku, w grodziszczu niemieckiem na ziemiach słowiańskich między Odrą a Łabą. Nienawiść okropna i żądza zemsty gnębionych przez Niemców Słowian: — oto przedmiot utworu z wielką mocą przez poetę nam uprzytomniony. Uczuciami temi przejęte są i owładnięte całkowicie trzy występujące tu przed nami postaci słowiańskie: stary, ślepy „dziad lirny" Dębiec i dwie młode dziewy, córki „knęzia" Olszana — wszyscy troje w niewoli u Niemców straszliwą znoszący niedolę.

W akcie I-szym widzimy nieszczęsne „knęziówny" w okropnem

poniżeniu służbę u wrogów pełniące: starsza Śwityna, łańcuchem przykuta, żarna obraca, młodsza, Wichna dźwiga ciężkie kubły z wodą. Niewymownie rzewne, pełne głębokiego liryzmu skargi ich i żale, wspomnienia domu ojczystego i przeżytych w nim dni szczęśliwych stanowią główny urok poetycki tego aktu, zakończonego przybyciem z wyprawy łupieskiej pana grodziszcza, Hadona, który wiedzie spętanego lirnika słowiańskiego.

W akcie II-gim Hado mękami nadaremnie usiłuje wydobyć ze swego nowego jeńca zeznanie o wiadomych mu zamiarach i ruchach następujących na grodziszcze zbrojnych Słowian. Obie „knęziówny“ przez szpary w ścianach szopy widzą ze zgrozą zadawane starcowi męki, a potem gdy jego oprawcy oddalili się, od martwego przez pół dowiadują się o mających tegoż dnia uderzyć na grodziszcze zastępach słowiańskich, wiedzionych przez polańskiego Mieszka. Stary Dębiec pieśniami swemi pobudził zapał bojowy rodaków i skłonił ich do zjednoczenia się przeciw wrogowi wspólnemu. Teraz pragnie im ułatwić zwycięstwo przez podpalenie twierdzy niemieckiej. Ale sam ślepy czynu tego dopełnić nie może i żąda pomocy Śwityny. Ta z namiętnem uniesieniem słucha o zemście nad Niemcami, gotowa dla niej życie swe dać w ofierze, ale cofa się przed czynem na myśl o śmierci w płomieniach przez pół dziecięcej i trwożliwej siostry, której życie dotąd z najwyższym trudem ochraniała i tysiącem okupiła poświęceń. W akcie III-im Dębiec oczekuje lada chwila przybycia zastępów bratnich. — Wiedząc, że silnej twierdzy niezdolni będą zdobyć, a nie mogąc przełamać siostrzanej miłości Śwityny, zabija Wichnę, jako główną przeszkodę w czynie zemsty. Śwityna z wściekłością rzuca się na starca, ale skoro słyszy ze wszech stron okrzyki dobywających twierdzy Słowian, uniesiona szałem bojowym podpala grodziszcze — Niemcy giną w płomieniach; na wyłomie twierdzy staje zwycięski Mieszko ze swymi wojownikami.

Ostatnia ta scena pełna jest potężnej, surowej grozy, która tem głębsze wywiera wrażenie, że tak naturalnie i konsekwentnie z rozwoju ogólnej sytuacyi wynika, oraz tak dobitnie uprzytomnia nam główny motyw danej epoki dziejowej. I charaktery działających osób nakreślone zostały w ogólnych ale silnych i typowych zarysach. Jak wyżej zaznaczono, wskutek braku akcyi, nie rozwijają się one stopniowo, nie dążą naprzód przez czyn i walkę; chwilowo tylko w ostatniej scenie stają się prawdziwie dramatycznemi, ale i we wszystkich scenach poprzednich, przeważnie lirycznych, jakże wiele w nich życia,

jak jasno, plastycznie ukazane są w swych odrębnych znamiennych cechach. Oto obie dziewy słowiańskie, złączone serdeczną miłością siostrzaną, a tak różne pomiędzy sobą, gdy starsza z nich daje się nam poznać w całej mocy swego heroizmu niewieściego, a młodsza tyle ma wdzięku w swej łagodnej, miękkiej trwożliwości dziewczęcej. Oto ślepy „dziad lirny", taki twardy w swym heroizmie, taki nieubłagany w swej dla Niemców nienawiści, a jednak pełen serdecznej rzewności w przedostatniej scenie z Wichną, prawdziwy poeta pierwotny, zdolny całą sferę współczesnego życia uczuciowego w swem jestestwie ogarniać. Oto wreszcie szkicowo, ale jak wyraziście zarysowane postaci ciemiężycieli niemieckich, nieubłaganie zaciekłych i srogich w swem względem Słowian okrucieństwie.

Wszystkie te osoby poruszają się na tle dobitnie zaznaczonych warunków pierwotnej barbarzyńskiej epoki i mówią przedziwnym językiem, w którym prastary słowiańsko-ludowy ton w tak szczerze i głęboko poetyckim dźwięczy nastroju. Odzywa się on najpiękniej w kolejnem zawodzeniu obu sióstr na swą żałących się niedolę, w rzewnych skargach Wichny, w przekleństwie Śwityny, w opowieści lirnika o ciągnących zastępach słowiańskich i bohaterskim ich księciu Mieszku. Ten ostatni ustęp doskonale w charakterze pieśni ludowej jest utrzymany:

Orzeł-li to białopióry
w złotem słońcu koła toczy
i ów mnogi lud jednoczy?
Miesiąc-li to wyszedł z góry
a z nim gwiazd świecące oczy?
— Oj nie miesiąc to świetlany,
oj nie orzeł rozpostarty,
ino Mieszko z ponad Warty
wiedzie swe Polany.

Wiele innych równie pięknych ustępów możnaby przytoczyć. Pod względem harmonii i rytmiki wiersza, zalet języka i stylu oraz doskonałej w nich charakterystyki poetyckiej starosłowiański dramat p. Rydla należy niewątpliwie do najznamienitszych płodów naszej poezyi współczesnej.

Inne wspólnie z nim wydane utwory dramatyczne nie dorównywają mu wartością, choć niektóre z nich licznemi nacechowane są zaletami. Pomieszczone w tym samym co „Jeńcy", drugim tomie zajmującego nas tu wydawnictwa, na otwarcie teatru krakowskiego w r. 1893 napisane: „Prolog" i „Epilog", jak wszystkie podobne, przez okoliczno-

ściowe uroczystości wywołane utwory, pozbawione są donioślejszego znaczenia, a jednoaktowy obrazek dramatyczny „Na marne“ w zasadniczym swym pomyśle grzeszy brakiem umotywowania psychologicznego.

Natomiast w tomie I-szym, obok jednego również okolicznościowego utworu („Ze sceny“, dyalog na cześć Józefa Blizińskiego) oraz fantastyczno-dramatycznego obrazu sądu ostatecznego p. t. *Dies irae,* który żadną miarą do udanych płodów poety zaliczony być nie może, znajdujemy dwa krótkie, jednoaktowe, ale doskonałe w nastroju i charakterystyce dramaty z życia współczesnego: „Matka“ i „Z dobrego serca“. Pierwszy, na wskroś nastrojowy, przedstawia wzmagający się niepokój chorej, sparaliżowanej dziewczyny, która przeczuciem odgaduje tajoną przed nią śmierć ukochanej matki, czuje przy sobie obecność jej duszy i pada martwa, idąc za wezwaniem dochodzącem ją ze świata zagrobowego.

Realizm życiowy, który w tym utworze stanowi tło i podkład rozwiniętego w głównej osnowie nastroju cierpiącej duszy ludzkiej — wszechwładnie panuje w dramaciku „Z dobrego serca“ osnutym na tle drobnomieszczańskich stosunków życiowych. I tutaj główną osią akcyi jest śmierć ukochanej dla działających osób istoty, ale skutki stąd wynikłe ujawniają się nietylko w ich cierpieniach i żalu, lecz także w zmienionych warunkach ich bytu, pociągających za sobą rozliczne w stosunkach rodzinnych zawikłania. Oba te główne motywy przedstawione z życiem i prawdą dają wyborną realistyczną charakterystykę kilku postaci mieszczańskich, pod prostackiemi i rubasznemi formami ukrywających tyle serdecznej i szczerej treści uczuciowej. Szczególnie główna postać młodej dziewczyny, z „dobrego serca“ zaślubiającej znacznie od siebie starszego wdowca po zmarłej siostrze, wybornie nakreślona jest w swym niewymuszonym wdzięku i takiej szczerej, naturalnej dobroci. Bieg akcyi i styl dyalogu doskonale utrzymane są w dosadnym charakterystycznym realizmie.

Pomimo tak znacznego oddalenia epok swej akcyi i takiej różnicy w zasadniczych swych motywach oba — te najlepsze pono w zajmującym tu zbiorze utwory dramatyczne: „Jeńcy“ i „Z dobrego serca“ zbliżają się do siebie pod pewnym względem, gdyż zarówno dają nam poznać wybitną zdolność swego autora do odczuwania naiwnych i prostych dusz ludzkich, oraz odtwarzania ich z nieporównaną prawdą charakterystyki.

Słówko uznania należy się też zewnętrznej formie wydawniczej

utworów p. Rydla, w której zastosowano nader szczęśliwie zdobnicze pomysły ludowe. Dość rzucić okiem na te pełne wdzięku połączenia barw i linii, aby się przekonać o wyższości artystycznej zdobnictwa naszego ludu nad różnymi cudactwami i dziwolągami zdobniczymi, które rodzą się często w wyjałowionej wyobraźni artystów zawodowych i służą dla rzekomego upiększenia szczególnie najnowszych tak zwanych modernistycznych wydawnictw.

W. Gostomski.

Sny o potędze. Poezye *Leopolda Staffa.* 1901.
Mistrz Twardowski. Poezye. *Tenże.* 1902.
Dzień duszy. Poezye. *Tenże.* 1903.

Dwa zbiory mniejszych utworów lirycznych i jeden obszerny poemat liryczno-refleksyjny, w ciągu trzech ostatnich lat wydane, zjednały dość znaczny rozgłos młodemu poecie, należącemu pono do grona najmłodszych czcicieli najnowszej „modernistycznej“ Muzy. Jakkolwiek różne, pochlebne lub niechętne o poezyach p. Staffa mogą wypaść sądy, trudno zaprzeczyć, że są one wytworem niepospolitego talentu, tem godniejszego uwagi, że w wymienionych powyżej, w bardzo krótkim przeciągu czasu następujących po sobie płodach swych poetyckich okazuje ten talent tak wybitną i znaczną siłę rozwoju.

Objawia się ona głównie ogromnem spotęgowaniem zdolności twórczej, widocznem w ostatnim zbiorku lirycznym poety, zdolności tworzenia wyrazistych obrazów poetyckich i mniej lub więcej wiernego uprzytomniania w nich czytelnikowi różnych stanów i nastrojów własnej swej duszy. Zdolność owa dość nieznacznie stosunkowo występująca w „Snach o potędze“, w „Mistrzu Twardowskim“ zaledwie dająca się dostrzedz wśród powodzi słów i rymów — w „Dniu duszy“ zaznacza się bardzo wyraźnie.

We wszystkich tych utworach p. Staff okazuje się przedewszystkiem poetą refleksyjnym, zatapiającym się w rozmyślaniach nad sprawami życia, nad zagadnieniami swej duszy, jej pragnień, porywów, wzlotów i upadków. Myślenie o tych rzeczach rozwija się u niego zawsze na tle różnych nastrojów uczuciowych, lub też je wywołuje i podnieca, a wyrażone zostaje wraz z nimi z ogromną łatwością słowa i niemniejszą jego obfitością. Ta ostatnia połączona z niezwykłym talentem rymowania, okazuje się o wiele za wielką w dawniejszych utworach poety i, jak mniemam, przynosi dość znaczną ujmę jego uzdolnieniom twórczym.

Poeta wtedy prawdziwie tworzy, kiedy przyobleka w słowa uczucia silne i głęboko dźwięczące w jego sercu, obrazy żywo uprzytomniające się jego wyobraźni, idee i myśli wysnute z najgłębszych pokładów, z najżywotniejszej treści całego jego życia duchowego.

Czyż jest twórczością wypowiadanie choćby w najpiękniejszych słowach i najbogatszych rymach każdego pomysłu, który w głowie poety zaświta, każdego marzenia lub uczucia, które w duszy jego zabłyśnie i zgaśnie? Czyż nie lepiej byłoby, aby takie przelotne objawy życia duchowego, jak to z natury ich wynika, rozwiały się w mglistych jego przestworach?... Poeci obdarzeni nadmiernym darem słowa rymowanego utrwalają w niem nieraz zupełnie niepotrzebnie te efemerydy duszy i poczytują się za twórców, podczas gdy są tylko wielomownymi krasomówcami rymotwórczymi.

Siła natchnienia twórczego może być zmierzona stopniem skupienia zewnętrznych jego objawów — w poezyi stopniem skupienia i zwięzłości słów. U poetów genialnych „słowa drżą nad myślą, jak ziemia nad połkniętą niewidzialną rzeką“ — drżą od nadmiaru myśli twórczej. U poetów wielomównych walą się istne góry słów, z pod których niełatwo wyczuć jakiekolwiek drżenie myśli. W poezyi najnowszego kierunku napotkać można prawdziwie niebotyczne góry słowne, które na zewnątrz wyglądają niekiedy bardzo malowniczo, ale wewnętrznie próżne są nieraz wszelkiej treści myślowej.

Niewiele jej znaleźć można w dawniejszych utworach p. Staffa, ale to niewiele, jak się puszy swoją rzekomą wielkością, jak szumi i huczy rozgłośnie w szerokich przestworach słownictwa. Już sam tytuł pierwszego zbioru — „Sny o potędze“ — czyż nie dźwięczy krzykliwie? Stosuje się on głównie do kilku sonetów, umieszczonych na końcu zbioru, a wyrażających pragnienie jakiejś niezmiernej wielkości. Poeta chciałby być wielki, jak morze bezkreśne, jak góry niebotyczne, jak step bezbrzeżny — chciałby się stać mocarzem wszechwładnym, wyolbrzymieć w bezmiar, jako „bóg pijanem weselem szalony“. Ten motyw wielkości i potęgi powtarza się i w innych utworach należących do wymienionego zbioru. Są pomiędzy nimi rzeczy niepospolicie piękne, odznaczające się siłą słowa, wyrazistą i urozmaiconą nader rytmiką, wspaniałością obrazowania (np. wiersze: „Burza“, „Dzwony“) niekiedy doskonale oddane w nich są pewne stany i nastroje duszy (np. w wierszu „Trwoga“) lub swobodne wzloty fantazyi (np. w sonecie „Echo“), ale wszędzie prawie nadmiar szumnych słów, w których wyrażają się

jakieś niezmiernie wybujałe, a bardzo beztreściwe, pretensyonalnie wydęte pragnienia i dążności poety.

Przewaga słów nad treścią więcej jeszcze daje się uczuć w obszernym z pięciu długich pieśni złożonym i w bardzo pięknych tercynach napisanym poemacie p. t. „Mistrz Twardowski, pięć śpiewów o czynie".

Tytuł ten zakrawa doprawdy na bezwiedną ironię. Poeta zapowiada śpiewy o czynie a daje nam same słowa, słowa i słowa, prawda pięknie brzmiące słowa, w ozdobne nader układające się wiersze, ale bądź próżne wszelkiej świeżej treści myślowej, bądź wyrażające ją w sposób niemożliwie rozwlekły i gadatliwy. Mamy tu opowiedziane przez niego samego dzieje duchowe mistrza Twardowskiego, pojętego jako ideał pracownika-myśliciela, który z głębi własnej duszy przez trud niezmordowany pragnie wysnuć czyn, mający dać szczęście ludzkości. Celu tego nie osiąga, ale zdobywa przeświadczenie o potrzebie przełamania swego ograniczonego jestestwa ludzkiego i o możności rozwinięcia go w bezmiar, w nieskończoność. Jest to więc ten sam motyw potęgi nadludzkiej, który poznaliśmy już w poprzednich utworach, tylko z większą jeszcze niż tam obfitością słów i z większym ich szumem wyrażony.

Bardzo przyjemną niespodziankę sprawił nam p. Staff w ostatnim świeżo ogłoszonym zbiorze swych poezyi. Taż sama w nich co w poprzednich utworach bogata pełnia słów silnych, pięknych, rozwijających się we wspaniałem obrazowaniu poetyckiem i w doskonałej, nader urozmaiconej rytmice wierszowania, ale zupełnie inaczej, nierównie korzystniej przedstawia się stosunek ich do treści myślowej i uczuciowej, która, z nielicznymi wyjątkami, wyraża się tutaj zwięźle, dobitnie, bardzo jednolita i skupiona wewnętrznie. Tytuł zbioru: „Dzień duszy" bardzo dobrze treść jego określa. Istotnie poeta daje nam tu rozmaite stany i nastroje duszy z mrocznej głębi nieświadomych jej poruszeń na światło dzienne refleksyi wyprowadzone. Światło to nie zawsze wprawdzie wystarcza do rozjaśnienia wszystkich ciemnych jej zagadek i tajników; dzięki wszakże ogromnej sile i wyrazistości obrazowania, w przeciwieństwie do mnóstwa rebusów poetyckich, jakimi nas darzy współczesny modernizm, mamy tutaj pomysły twórcze, pełne symbolizmu wprawdzie, czasem dość zagadkowe, ale zawsze prawie rysujące się wyraźnie i dobitnie przed wzrokiem naszej wyobraźni.

Zbiór składa się z szeregu cyklów, zawierających większe i mniejsze utwory liryczno-refleksyjne, pomiędzy którymi najczęściej zdarzają

się zwięzłe, treściwe i doskonale zbudowane sonety. Wszelako i wiersze obszerniejsze — wchodzące głównie w skład trzeciego z rzędu, najobszerniejszego cyklu p. t. „Przez mrok“ — odznaczają się wybitnemi zaletami artystycznemi i w rozwlekłość nigdy nie wpadają, chociaż niekiedy zyskałyby może na większem jeszcze skupieniu myśli i większej zwięzłości zewnętrznego ich wyrazu.

Godne w nich szczególnie uwagi doskonałe, pełne wyrazistej plastyki obrazy przyrody, mające zazwyczaj symboliczne znaczenie i zawierające w niem wiele silnie odczutych stanów duszy i głęboko przemyślanych dążeń umysłowych. Oto np. motywy z obrazów jesieni, która:

z ramion otrząsa ostatnie
Strzępy świetnej purpury spłonione szkarłatnie,
Zapiekłą krwią schorzałe liście winogradu
Otrute wyziewami śmiertelnego jadu.
. . . . . .
Astry bezwonne, gwiazdy jesiennej pogody
W duszę mi patrzą, niby oczy smutku bratnie.
. . . . . .
Deszcz po zmokłych liściach płacz skarg swoich wiesza.

W przeciwieństwie do tych ponurych motywów jesiennych jak żywym blaskiem jaśnieje motyw budzącego się „szczęścia wiosennego“:

W młodych, świeżych uśmiechach perłowego świtu,
W zbudzonem rozpląsaniu radosnej otuchy,
Zrodziła się spowita w modrych mgieł pieluchy
Pogoda, pani czysta świętego błękitu.

Niemniej pięknie oddany jest w następującym ustępie motyw pełnego blasków słonecznych południa letniego:

Tam sad płonie! Jabłonie, grusze... każde drzewo
Obarczone skier złotych rzęsistą ulewą
Zwiesza liście zmęczone, pijane i senne.

Przytoczone przykłady świadczą, że poeta zdolny jest odczuwać i wyrażać równie szczęśliwie tak ponure i smutne wrażenia, jako też pogodne i radosne. Wszelako pierwsze przemagają niewątpliwie w jego wierszach, jak u wszystkich prawie poetów najmłodszego pokolenia i znajdują wyraz w wielu bardzo pięknych, silnych i głęboko pomyślanych utworach, jak np. „Upadek“, „Zbrodnia“, „Drogowskazy“, „Gwiazdom umarłym“, które zarazem mogą służyć jako wzór nader udatnej i wyrazistej symboliki. Nie brak wszakże w poezyi p. Staffa pogodniejszych tonów, dźwięczących odgłosami wiary w lepszą przy-

szłość ludzkości oraz pragnienia wytrwałej dla niej pracy i działalności. Najpiękniej wyrażone zostały te uczucia w dwóch niewielkich rozmiarami, ale pełnych treści cyklach sonetów p. t. „Matka“ i „Dzień pracy“. Oba odznaczają się bardzo udatną i artystycznie przeprowadzoną symboliką oraz podniosłą, głęboko odczutą, chociaż nadto ogólnikową dążnością przewodnią. Jest to dążność szczerego humanitaryzmu, objawiająca się chęcią wiernej i wytrwałej służby społecznej, niezrażającej się złączonymi z nią zawsze trudami i mozołami życia. Wyraża się ona w całej liryce młodego poety i podnosi bardzo zasadniczy ton jej nastroju ogólnego; wywierałaby jednak nierównie większą siłę działania, gdyby się opierała nie tylko na ogólnikach ideowych, lecz także na silnie i głęboko odczutych zasadach chrześcijańskich, które nie są wprawdzie obce naszemu lirykowi — choć czasem nikną — ale dość chaotycznie i urywkowo tylko w jego pieśniach się odzywają.

W. Gostomski.

Barss, palestrant warszawski, jego misya polityczna we Francyi (1793—1800). *Aleksander Kraushar.* Lwów. 1903.

Od wielu już lat wydobywa p. Aleksander Kraushar z niezwykłą, wprost podziwienia godną skrzętnością, z krajowych i zagranicznych schowków archiwalnych materyały nadzwyczaj cenne, rzucające wiele światła na schyłkową dobę dziejów naszych. Z tą skrzętnością w poszukiwaniach łączy się krytyczna umiejętność w grupowaniu zebranych materyałów i prawdziwy talent pisarski w opracowaniu. Zachodzą zatem wszystkie warunki wydatnej pracy i bogatego plonu dla naszej literatury historycznej. Jakoż istotnie plon ten już dotąd jest bardzo bogaty, a nadzieja, że w przyszłości zostanie znakomicie pomnożony, to prawie pewna. Po całym szeregu dzieł trwałej źródłowej wartości, pojawia się nowe o Barssie, a w niem mimochodem zapowiada autor dalszą pracę, która, sądząc ze słów jego, znajduje się już niejako na warsztacie naukowym i stanowić będzie bardzo ważny nabytek dla naszej literatury historycznej. Wspominając bowiem o przypisywanym Barssowi czynnym udziale w procesie Adama Ponińskiego, mówi autor, że nie spotkał się z jego nazwiskiem „w olbrzymim materyale procesowym, który ma pod ręką, a który dla historyi owych czasów pierwszorzędnej jest wagi i domaga się oddzielnego opracowania“.

Poświęcając Barssowi osobną monografię, autor według intencyi swojej zamierzał niejako spełnić akt sprawiedliwości historycznej. Jeżeli bowiem zasługi Barssa jako „współpracownika sejmu wielkiego, przed-

stawiciela i obrońcy praw mieszczaństwa polskiego, polityka, statysty i męża czynu, przyjaciela i towarzysza wygnania Kościuszki" dotąd nie doczekały się należnego uznania, to przypisać to należy tragicznemu charakterowi doby, w której zasługi te zostały położone. „Tam—mówi autor — gdzie wszyscy, co myśleli i czuli, wiedzeni poczuciem obowiązku obywatelskiego, biegli na ratunek walącej się od podstaw aż do szczytu budowy, gdzie w powszechnym zamęcie nie było czasu i miejsca dla spokojnych i rozważnych widzów, którzyby w charakterze historyografów lub biografów notowali skrzętnie czyny ludzi, biorących udział w wypadkach współczesnych, tam niejedna ofiarna jednostka, dla której w panteonie znakomitości krajowych wydatniejsze należałoby zachować siedlisko, przemijała bez śladu, jak zwykły szeregowiec w armii bojowej, o którego męstwie i zgonie w stoczonej bitwie ani współcześni, ani potomni nie wspominają".

O Barssie nie zapomniano tak zupełnie, jak o szeregowcu wśród walki poległym, ale to wszystko, co o nim u nas dotąd pisano, uważa autor nie tylko za niedostateczne, lecz nawet za uchybiające poniekąd jego znaczeniu. Tyczy się to mianowicie tych wszystkich wersyi, w których Barss jest lekko traktowany jako bankier, czem on nigdy nie był, jako agent lub sekretarz króla i t. p. Błędy te i niedokładności idą na karb nieznajomości materyału źródłowego. Wszystkie informacye bowiem o prawdziwej roli Barssa w kraju i zagranicą, o jego stosunkach ze zmieniającymi się po kolei rządami francuskimi ze schyłku XVIII stulecia i z całą ówczesną emigracyą polską — słowem informacye, dające trafne wyobrażenie o tem, gdzie Barss rozwinął swoją działalność publiczną, w jakim kierunku i z jakim skutkiem ją prowadził, spoczywały nietknięte—z nielicznymi wyjątkami we fragmentarycznych urywkach drukowanymi—w aktach archiwalnych francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, w francuskiem archiwum narodowem w Paryżu i w zbiorach muzeum Rapperswilskiego. Wydobycie wszystkich tych informacyi jest zasługą p. Aleksandra Kraushara, a jego książka o Barssie zawiera główne akta w dosłownym przekładzie.

W przedmowie wyświeca autor pochodzenie Barssa i objaśnia genezę obcego brzmienia jego nazwiska. Barss był dzieckiem Warszawy z dziada i pradziada, urodził się w Warszawie z rodziny mieszczańskiej w kamieniczce na Krakowskiem Przedmieściu, niegdyś pod Nr. 381 zapisanej, a dopiero po roku 1861 zniesionej. Dzieje tej kamieniczki podały autorowi klucz do odcyfrowania tak pochodzenia

samej rodziny Barssów, jak i jej nazwiska. W taryfach domów miasta Warszawy z czasów Stanisława Augusta nie znajduje się nazwisko Barssa jako posesyonata miejskiego, a natomiast znajduje się nazwisko: Barszcz. Domek pod Nr. 381 w Warszawie jeszcze w taryfie z r. 1784 zapisany jest pod nazwą Barszcza. Z aktów do starej księgi hipotecznej tej posesyi dołączonych wydobył autor, że Paweł Barszcz, ojciec naszego Franciszka (Barssa) testamentem z dnia 30 marca 1796 zapisał był wnuczkom swoim Franciszce i Juliannie, dzieciom jedynego syna Franciszka 24 000 zł. Już wówczas mieszczańskie nazwisko Barszcz zmieniło się na brzmiące z cudzoziemska nazwisko Bars o jednej literze końcowej (s), do której dopiero później na emigracyi Franciszek dodał drugą. Odtąd już stale na raportach urzędowych i listach znajduje się podpis: Franciszek Barss.

W monografii swojej p. Kraushar nie idzie torem biograficznym. Wyjaśniwszy pochodzenie i brzmienie nazwiska, nie zatrzymuje się nad młodością Barssa, lecz zaznacza odrazu, że do r. 1775 nigdzie nie spotkał wzmianki o jego udziale w sprawach publicznych. Jako młody jeszcze palestrant warszawski, począwszy od tej ostatniej daty zajmował się w wolnych chwilach pracą literacką, tłumacząc z francuskiego kilka rzeczy, które w danej chwili, gdy chodziło o wywalczenie praw dla mieszczaństwa, bardzo zajmowały uwagę. Przypisywany Barssowi czynny udział w procesie Adama Ponińskiego uważa autor za przypuszczenie dość zasadne. Jakkolwiek bowiem cały ciężar oskarżenia w tej sprawie wziął na siebie Wojciech Turski, a o Barssie w aktach procesowych żadnej niema wzmianki, to jednak dla znających osobistość i charakter moralny Turskiego, późniejszego Alberta Sarmaty przed konwentem francuskim, nie może to być nieprawdopodobnem, iż erudycya prawnicza tego — jak mówi p. Kraushar — blagiera politycznego, pozującego później na jakobina, nie mogła wystarczyć na zbudowanie tak gruntownego i ścisłego aktu oskarżenia przeciw Ponińskiemu.

Po tym szczególe, albo raczej po tej hypotezie co do udziału Barssa w tak ważnej i głośnej swego czasu sprawie publicznej, autor co do innych szczegółów jego działalności przed wyjazdem za granicę (1793) powołuje się tylko na to, co jest już znanem z innych prac historycznych i przedstawia na szerokiem tle nowego własnym trudem wydobytego materyału całą działalność Barssa za granicą, przedewszystkiem w Paryżu na stanowisku reprezentanta interesów polskich i powiernika Kościuszki wobec rządu francuskiego, albo raczej wobec rządów

francuskich, które w tym okresie czasu zmieniały się jak w kalejdoskopie, znacząc ślad swój morzem krwi przelanej nie tylko w wojnach z koalicyą europejską, lecz także na klasycznej widowni wszystkich tych wielkich przewrotów rewolucyjnych ze schyłku XVIII stulecia, w Paryżu.

Bardzo wstrzemięźliwy w własnych uwagach i komentarzach, autor niejako oddaje głos Barssowi, i pozostawia samemu czytelnikowi wydanie sądu o jego działalności z licznych dosłownie przytoczonych memoryałów i pism, któremi w myśl swojej misyi kołatał do francuskich mężów stanu. Sąd ten wypaść musi jak najpochlebniej tak dla charakteru Barssa, jak i dla jego zmysłu politycznego, rozumu stanu, a wreszcie i zręczności dyplomatycznej. Nie w roli żebraczej stanął Barss wobec francuskich potentatów rewolucyjnych, lecz z taką powagą, jaka odpowiadała charakterowi rzecznika narodu, upadającego pod brzemieniem wyjątkowo ciężkich ciosów losu, ale opierającego się mimo to całej srogiej nawale klęsk ze świadomością swej siły żywotnej. Bezpośredniej pomocy materyalnej żądał Barss od Francyi nie w tonie błagalnym jakby wsparcia litościwego, lecz w formie propozycyi, aby rzeczpospolita francuska pożyczką co do zwrotu zabezpieczyć się mającą, zasiliła polski skarb wojenny i to nie ze wspaniałomyślnej intencyi, lecz dla dobra własnych interesów. Od początku bowiem do samego końca swojej misyi Barss stał wobec rządu francuskiego na tem stanowisku, że interes Francyi zagrożonej zbierającemi się dokoła chmurami koalicyjnemi najwięcej na tem zyska, jeżeli w Polsce uwięźnie siła zbrojna Rosyi i Prus, a wspólny znowu interes Polski i Francyi nakazuje rządowi paryskiemu równocześnie takie pokierowanie polityki w Turcyi, Danii i Szwecyi, aby stamtąd urosła wydatna dywersya dla państw rozbiorowych, a zarazem koalicyjnych. Były chwile napozór rokujące powodzenie tej akcyi Barssa, ale zaraz potem następowały zwroty niepomyślne. Barss ani nie polegał na pierwszych, ani nie zniechęcał się drugimi. Zachował zawsze kontenans prawdziwego męża stanu, a umiał wywalczyć sobie powagę i posłuch dla swojego głosu tak, jak gdyby był akredytowanym po wszelkiej formie przedstawicielem państwa, którego nie można lekceważyć. A nie była to rzecz łatwa, gdyż w tym burzliwym okresie rewolucyi francuskiej wystarczało najmniejsze podejrzenie, aby stracić nie tylko powagę, lecz i — głowę na gilotynie. O Barssie zaś mogli niechętni rozpuszczać wieści, że jako należący do tego stronnictwa w Polsce, które dążyło do zawarcia przymierza z Prusami, a więc z wrogiem Francyi, jest podejrzany.

W dodatku znany potwarca polskości, Mehée de la Touche, pisząc do Barréra, posądził Barssa wprost o chciwość temi słowy: *il dit, qu'il aime la liberté et ne dit pas, qu'il aime l'argent. Cet article est pourtant plus vrai que le premier.* Zbyt czystym był charakter Barssa, zbyt wielką jego powaga, żeby to cień na niego rzucić mogło.

Po przeczytaniu wszystkich memoryałów i pism Barssa przytoczonych przez autora w całości, odnosi się to przyjemne przekonanie, że w nieznanych dotąd archiwach francuskich nie znajduje się żaden akt, któryby uzasadniał zarzut jakobinizmu, zarzut sięgającej poza polityczne komunikacye duchowej łączności działaczy polskich z ostatnich lat XVIII wieku z krwawymi władcami rewolucyjnego Paryża i Francyi. A zarzut ten w swoim czasie rzucony przez przewrotną dyplomacyę przeszedł przecież do sądów uprzedzonej historyografii i w dalszym ciągu wypadków i ruchów w łonie społeczeństwa polskiego tak się ustalił, że go jeszcze w r. 1846 wywlekał w notach swoich hr. Metternich z powodu rzezi galicyjskiej, oczywiście w formie do danej chwili i danych okoliczności zastosowanej. Wprawdzie po tem wszystkiem, co już dotąd znanem było o charakterze i zasadach Barssa, nie można było przypuszczać, żeby kiedykolwiek w Paryżu zechciał był naśladować Alberta Sarmatę, ale pamiętać należy, że we wszystkich planach i pomysłach Barssa chęć zjednania Francyi dla sprawy upadającej ojczyzny górowała nad wszelkimi innymi względami, że dalej akcya jego przypadała w najgorętszą i najkrwawszą porę rewolucyi francuskiej, że wreszcie wypadło mu wejść w kontakt nawet z Robespierrem! Mniej wytrawny, mniej ostrożny a przedewszystkiem mniej prawy agent mógłby był może rozgrzeszyć się dla dobra sprawy i mimo wstrętu do jakobinizmu na chwilę przynajmniej powiedzieć sobie: *il faut hurler avec les loups!*

To umiarkowane w tonie chociaż niemniej przez to stanowcze i usilne w treści występowanie Barssa wobec rządu francuskiego ściągnęło nań ze strony gorętszych żywiołów ówczesnej emigracyi zarzut braku energii, za czem poszło niezadowolenie i samozwańcze narzucanie się innych w roli przedstawicieli interesów polskich. Z książki p. Kraushara pokazuje się najdowodniej, jak niesłuszne były te zarzuty. Barss był pierwszą ofiarą tych illuzyi polskich, któremi całe ówczesne i następne pokolenie przejęte było łącząc swoją sprawę z Francyą, dla których tyle krwi polskiej przelało się w różnych częściach świata. Nawet ta republika francuska, która głosiła całej ludzkości najwznioślejsze hasła wolności, powodowała się zimnym egoizmem wobec sprawy

polskiej. Kiedy zawierano traktat pokojowy z Prusami w Bazylei, Barss pragnął wyjednać w traktacie ustępstwo dla Polski a na to odpowiedziano mu, że warunek w tym duchu nie może być narzucony królowi pruskiemu, gdyż opóźniłby zawarcie pokoju, którego potrzebę Francya odczuwa. Za innym razem Dyrektoryat odmówił podobnej prośbie Barssa wprost dlatego, iż nie może dać Prusom powodu do podejrzeń, jakoby chodziło o wydarcie im zabranej części Polski. W r. 1796 Napoleon, wówczas dopiero zwycięski generał Bonaparte, oświadczył Ogińskiemu i Sułkowskiemu, iż „Polacy nie powinni polegać na pomocy cudzoziemców. Wszystkie piękne słówka, jakie im prawić będą, nie doprowadzą do niczego!“ Dziś zatem raczej to możnaby zarzucać Barssowi, że się łudził nadziejami, które wobec powyższych faktów nie miały uzasadnienia już w pierwszej chwili po ich obudzeniu się w społeczeństwie polskiem. Ale zarzut ten spadający nie na samego Barssa, lecz na całe pokolenie a nawet pokolenia, nie umniejsza bynajmniej jego zasług i nie rzuca cienia na sposób wywiązania się z otrzymanej misyi politycznej.

Książce p. Kraushara należy się najsłuszniej nazwa cennego i trwałego nabytku dla naszej literatury historycznej. Nagromadzony w niej materyał źródłowy, jest ważny, nie tylko dla charakterystyki Barssa, lecz wogóle dla obrazu historycznego tej doby.

Dr. Bronisław Łoziński.

Geografia historyczna dawnej Polski. *Zygmunt Głogier.* Z 63 rycinami w tekście. Wydanie drugie. Spółka Wydawnicza Polska. Kraków 1903. (8-ka, str. 387).

Trzy lata temu wyszło pierwsze wydanie tej u nas pierwszej, jeśli się nie mylimy, historycznej geografii Polski; teraz mamy i drugie (bez zmiany) wydanie owej pożytecznej i nadzwyczaj pouczającej pracy. Szanowny autor korzystał przy tem: z *Volumina legum,* „Starożytnej Polski“ Balińskiego i Lipińskiego, „Źródeł dziejowych“, opracowanych przez Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego, odnośnych dzieł Bartoszewicza, Abrahama, Małeckiego i innych, a nadewszystko czynił własne studya w tej materyi, ponieważ stare mapy są niedokładne i nie mogą służyć jako źródło naukowe do szczegółowego poznania i opisu dawnych granic Polski tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, więc, aby mieć dokładny obraz szczególnie granic województw, ziem i powiatów, przedsięwziął był mozolną i długą bardzo pracę wykreślenia tych granic na najdokładniejszych mapach nowoczesnych podług

spisów wsi w wieku XVI i XVII (podanych np. u Pawińskiego i Jabłonowskiego), układanych województwami, ziemiami i nawet parafiami; dopiero użycie i porównanie takich źródeł urzędowych w połączeniu z dokładnością map dzisiejszych mogło jedynie dać ścisłą do opisu wszystkich granic podstawę. I rzeczywiście znajdujemy w pracy p. Glogera znakomicie przedstawiony z wielką dokładnością opis granic dawnej Rzeczypospolitej (szczególnie pierwszych wieków), zaczynając od X stulecia aż do XIX porozbiorowego (od str. 25—80); szkoda tylko, że w XIX wieku uwzględniono zmiany terytoryalno-administracyjne tylko na Litwie zaszłe, a o tem, co zmieniono w tym względzie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie niema wzmianki: to zaś, co o tem powiedziano w rubryce XVIII wieku, nie jest zupełne i wystarczające, zwłaszcza w kwestyi namiestnictwa Izasławskiego i nowszej gubernii wołyńskiej, a o bracławskiej takżeby się dało jeszcze coś więcej powiedzieć... (Cf. np. Pamiętniki Ochockiego, rosyjską pracę J. Rollego p. t. *Materiały dla istorii podolskoj gubernii* 1792—1796, wyd. w Kamieńcu roku 1885 i inne. Przy tej sposobności zaznaczamy omyłkę w druku na str. 72, gdzie pomiędzy nowemi, mającemi powstać województwami, wydrukowano bracławskie zamiast brasławskie, od Brasławia na Litwie).

Otóż opisanie granic dawnej Polski i wiadomości o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej, z wyliczeniem sąsiadów lechickich i plemion ich różnych (7—24), stanowią pierwszą część cennej pracy autora; część druga (81—326) obejmuje opis historyczno-geograficzny prowincyi wielkopolskiej, Mazowsza, Prus Polskich czyli Królewskich, Województwa Pomorskiego, Prowincyi Małopolskiej, Księstwa Litewskiego, Inflant, Kurlandyi z Semigalią; w trzeciej części (327—380) znajdują się: dyecezye i biskupstwa (obu obrządków, łacińskiego i wschodniego, ormiański nie jest uwzględniony) i główniejsze zakony i klasztory (tylko męskie, o żeńskich niema mowy) za Piastów, Jagiellonów i królów elekcyjnych.

Największe bogactwo szczegółów historycznych i geograficznych umieszczone jest właśnie w drugiej części: wszystko, co jest ważniejszego, godnego uwagi i zapamiętania, szanowny autor przedstawił wyczerpująco, w powabny sposób, co formy się tyczy językowej, na podstawie ostatnich wyników naukowych; opanowanie zupełne bogatego materyału źródłowego dozwoliło p. G. wydobyć wiele ciekawych, a pouczających rzeczy i zdarzeń dziejowych, a gruntowna jego znajomość zarówno dziejów polskich jak i literatury, sprawiają, że przed-

stawienie jego naszej przeszłości jest wszechstronne i niezmiernie zajmujące!

Trzecia część dzieła także ma niemało stron dodatnich, informując dobrze i wiernie w kwestyi biskupstw i dyecezyi w dawnej Rzeczypospolitej obu obrządków; wdzięczni jesteśmy autorowi, że i zakonów, i klasztorów w Polsce dotknął, które się tyle przyczyniły do naszej cywilizacyi.

Ponieważ mamy nadzieję, że z czasem może i trzecia tego pożytecznego wydawnictwa edycya będzie, przeto załączamy tu kilka naszych uwag i sprostowań; szczególnie co się zakonów tyczy.

Dlaczego zostały pominięte zupełnie żeńskie zakony, które także wiele zasług położyły w naszej ojczyźnie?! Nie wiemy, z jakiego powodu pomiędzy regułami zakonnemi nie znajdujemy: Karmelitów Trzewiczkowych i Bosych, Misyonarzy, Maryanów (wszak to nasz, rodzimy, że tak powiem, zakon przez Polaka do życia powołany!), Reformatów, Teatynów, Kartuzów, Filipinów, Bonifratrów, Kamedułów, Kanoników regularnych de Poenitentia, u nas Markami zwanych?

Ci ostatni interesują szczególniej dlatego, że pono ich już w całym nie było świecie, w Litwie jeszcze istnieli w pierwszej XIX wieku ćwierci (byli tam prawie do roku 1836), mając tam kilkanaście klasztorów, a mianowicie: 1) w Bystrzycy fundacya z r. 1390, uświęcona pobytem tam Błog. Michała Giedrojcia, 2) w Miednikach z r. 1391, 3) w Twereczu z r. 1501, 4) w Smołwach z r. 1600, 5) w Widzieniszkach z r. 1618, 6) w Poniemuniu z r. 1620, 7) w Michaliszkach z r. 1622, 8) w Wilnie na Zarzeczu z r. 1644, 9) w Jużynłach z r. 1695, 10) w Skiemianach w XVII w., 11) w Kurklach z r. 1700, 12) w Sołokach z r. 1720, 13) w Popielu z r. 1764, 14) w Kwetkach z r. 1770, 15) w Suwejniszkach z r. 1782 (nadto w Miorach i Podbrzeziu niewiadomej fundacyi).

Gdy mówił szan. autor o Jezuitach (str. 376), wydarzył się mu taki *lapsus:* „Równie względnym okazał się dla Jezuitów cesarz Paweł I, który w roku *1811* szkołę ich połocką podniósł do stopnia akademii i otworzył im misye za Wołgą, na Kaukazie, Rydze i Odessie, a dopiero namówiony przez Siestrzencewicza, wydalił Jezuitów ze swego państwa w roku 1820".

Wiadomą jest przecie rzeczą, że w 1811 r. Paweł już nie żył; akademia w Połocku o rok później była otworzoną; misye i szkoły w Rydze i Odessie nastały dopiero za Aleksandra I, który też Jezuitom

Rosyę opuścić kazał; czy się Siestrzencewicz do tego przyczynił jedynie — powątpiewać można...

Na str. 378 przy wyliczeniu klasztorów Bazyliańskich, w których wyższe nauki gimnazyalne wykładano, jest wymieniony Zagórow; jest to omyłka drukarska — powinno być Zahorów (powiat włodzimierski na Wołyniu), ale tam nauk gimnazyalnych nie dawano; były wprawdzie studya zakonne dla kleryków Bazyliańskich i, jakiś czas, wyższa szkoła parafialna, jak się można przekonać z wizyt Czackiego [1], który referuje, że w 1803 r. w Zahorowie są dwie klasy, 39 uczniów, dwóch uczycieli (szkoła bowiem we Włodzimierzu czasowo była zamknięta), uczą łaciny i innych przedmiotów, ale i ta szkoła potem jako zwykła parafialna, w roku 1811 przestała istnieć [2]. Potem p. G. (str. 378) powiada: „po kasacie Jezuitów Rzeczpospolita oddała wiele szkół jezuickich Bazylianom, np. w Brześciu (naturalnie Litewskim — dodajemy to od siebie), Nowogródku, Grodnie, Mińsku, Bracławiu (?), Dubnie, Ostrogu, Winnicy, Barze, Łucku, Żytomierzu, Lublinie, Owruczu, Annopolu, Wilnie (!) i t. d. Tu się wkradły małe niedokładności: w Nowogródku przecie nauczali OO. Dominikanie, u których to się kształcił nasz sławny Adam Mickiewicz; w Grodnie — także synowie św. Dominika objęli ster wychowania po OO. Jezuitach; w Mińsku — świeckie było gimnazyum; w Bracławiu, Dubnie szkół jezuickich nie było, ani bazyliańskich; w Winnicy były sławne i głośne po Jezuitach świeckie szkoły; w Łucku i Żytomierzu, również w Annopolu, Jezuici nie uczyli, a Bazylianie szkół dla świeckich wcale nie mieli; w Wilnie bazyliańska szkoła powiatowa powstała dopiero w pierwszej ćwierci XIX w., i z jezuickiemi szkołami, naturalnie, nic wspólnego nie ma.

Mówiąc o OO. Trynitarzach i ich klasztorach u nas (pierwsze we Lwowie), szanowny autor nie wspomniał o klasztorze trynitarskim w Beresteczku na Wołyniu, i Teofilpolu (tamże), gdzie OO. Trynitarze utrzymywali szkołę powiatową do 1831 r. (nadto było ich klasztorów na Litwie i w Koronie znacznie więcej).

Nie wiemy, dlaczego (str. 374) powiedziano, że na Wołyniu był klasztor franciszkański w Medereczu?! Jest to poprostu Międzyrzec-Ostrogski, tuż koło głośnego miasta Ostroga, gdzie właśnie był ów klasztor, ślicznej architektury, fundacya ostatniego z książąt na Ostrogu; obecnie zabrany na cerkiew.

---

[1] Cf. Muz. Czart., manusk. nr. 63.

[2] Cf. Nr. 3442 mansk., p. 862.

Wyliczone tu usterki i małe niedokładności nie psują wcale poważnej treści tego pouczającego dzieła, jedynego, można powiedzieć, u nas w swoim rodzaju, któremu jak najszerszego rozpowszechnienia z całego życzymy serca.

Wołyniak.

Z piśmiennictw obcych.

Paul Kelver. *Jerôme K. Jerome.* Tauchnitz edition. 2 vol.

Dzisiejsza ludzkość lubi niezmiernie wnikać w duszę bliźniego, tam zwłaszcza, gdzie się spodziewa pod zewnętrzną powłoką trafić na niespodzianki. Tak się dzieje z komicznymi aktorami i — autorami. Jerôme K. Jerome według wielu do tych ostatnich należy. W każdej rzeczy ziemskiej jednak istnieją odcienie i gdyby rodzaj literatury komicznej można podzielić na grupy o nazwach parlamentarnych — Jerome zająłby z pewnością miejsce na skrajnej prawicy. Dowcip jego rozwesela raczej niż śmieszy, niema w nim nic napiętego, urzędowo komicznego, nie słychać dzwonków błazeńskich a lekką ręką kreślone obrazki nie są karykaturą ludzi i życia. Tak *Three men in a boat,* jak *Three men on the bummel* są rozkoszną opowieścią wesołych wycieczek — pierwszej na wodzie a drugiej po całych Niemczech bicyklem. Są tam opisy kraju i miast, charakterystyka poszczególnych odłamów Rzeszy wplecione w szereg zabawnych, lub zabawnie opowiedzianych przygód — wszystko razem lekkie, inteligentne i uczciwe. Ciekawem jest wrażenie odniesione w Prusiech zupełnej zależności obywatela od władz policyjnych, opiekujących się nim od kolebki do grobu. Pod tak ojcowskim rządem — zdaniem autora — niema miejsca na wyrobienie samodzielności, pomiędzy bowiem każdą do zwalczenia trudnością, każdym krokiem poza wytkniętą ścieżkę staje pomocna lub wstrzymująca ręka żandarma... Możnaby dużo przytoczyć oryginalnych uwag, gdybyśmy nie zamierzali dziś ograniczyć się do recenzyi ostatniego utworu Jerom'a *Paul Kelver,* zostawiając na inny raz osobną ocenę pogadanki *Idle thoughts of an idle fellow.*

Czy *Paul Kelver* jest okrytą pseudonimem autobiografią? To zapytanie każdemu czytającemu na myśl przychodzi i każdy po namyśle odpowiada sobie, że — tak. To zaś czyni pamiętnik podwójnie zajmu-

jącym. Paul Kelver jak zwykle zastanawia się najdłużej nad swojem dzieciństwem, a pierwsze wspomnienia przenoszą go na wieś pod opiekę bardzo zgryźliwej piastunki i bardzo młodej matki, oczekującej tu aż mąż — który, straciwszy majątek na jakichś kopalniach, próbuje w 34 roku życia zostać prawnikiem — urządzi dla siebie i rodziny egzystencyę w Londynie. Przychodzi tedy czas gdzie Paul musi opuścić swe ukochane króliki i inne zwierzątka, by z uradowaną matką osiąść w brzydkim domu w oddalonej i bardzo ludnej a szpetnej dzielnicy Londynu. Ojciec wyobraził sobie, że przedmieścia te szybko się podniosą, i że wraz z niemi wzrośnie jego klientela. Przyszłość jednak przynosi rozczarowanie. Wogóle ta para rodzicielska, to dwoje dziwaków poczciwych, wesołych i nieprzezornych; ojciec własnemu synowi czyni zawsze wrażenie nie mężczyzny, ale dużego chłopca. Idzie w życie zbrojny tylko w swą ufność i siłę woli; w czasach spokoju popada niekiedy w zniechęcenie, ale niech tylko nieszczęście uderzy, niech nadzieje zawiodą lub bieda ostrzej przygniecie, wraz nerwy jego naprężają się, odwaga się budzi do walki z losem: Paul wie zawsze, iż coś złego przytrafiło się ojcu, gdy go spotyka z podniesioną głową i rozjaśnionem obliczem. Bieda zaś doskwiera często, a niepodobna okazać jej światu, aby nie odstraszyć klientów, więc gdy konieczność zmusza do odesłania jedynej sługi, Paul zauważa często rodziców czekających na cienie nocy dla mycia progu lub zewnętrznych okien, widzi, że ojciec przebiera się i twarz zakrywa, by nosić zrana węgle lub wodę, że matka nieraz udaje służącą, by drzwi interesantom otwierać. Natomiast, gdy raz wieczorem słyszy o niezwykłej godzinie głosy w salonie, wsuwa się przez ciekawość i widzi ojca we fraku, a matkę w wyciągniętej z kufra wieczornej sukni, bawiących się nad paru biszkoptami i dwoma kieliszkami wina w udawanie eleganckich gości. Wkońcu wszakże fortuna poczyna się biedakom uśmiechać i to od chwili wejścia w stosunki z bogatym przemysłowcem, którego nazwa Hasluck (literalnie *has luck* czyli ma szczęście) nie kłamie w sprawach pieniężnych. Hasluck istotnie wyzyskuje Kelvera, bierze całą jego pracę, a tylko cząstkę zysków zostawia; ta cząstka wszakże wnosi w dom chwilowo względny dobrobyt. Rodzice Paula nie potrzebują już myć schodów po nocach i mogą prawdziwych gości raczyć niekiedy — choćby szampanem, ale wtedy znów zgoda ucieka z domu. Zazdrość wchodzi jak klin między kochające serca, leje gorycz w każde słowo i każdy ruch, a pierzcha dopiero, gdy śmierć obojgu przedwcześnie zagląda w oczy. Wtedy miłość powraca jak blask zachodzą-

cego słońca — niestety na krótko. Mąż — jak zwykle w życiu — umiera pierwszy, zostawiając żonę jeszcze na kilka lat na ziemi. Przy niej zostaje też siostra, typ arcyzabawny w powieści, choć nie w naturze: stara panna nie zła, choć nie umiejąca ludziom gadać co innego, jak nieprzyjemności, i stająca się coraz przykrzejszą w miarę jak tknięta w sumieniu, usiłuje być uprzejmą i czułą.

Paul przebył szkoły lubiany przez profesorów, lecz długo bardzo niecierpiany i unikany od kolegów. Natura jego drgająca rycerskością i liryzmem nie umie się dostroić do tłumu; marzy o bohaterskich czynach, o życiu w formie ballady i gryzie się, widząc iż innym w zręczności i sile sprostać nie zdoła, iż choćby nawet czasami mógł sprostać, to go nie dopuszczą. Onby rad ich wszystkich ukochać i wszystkim służyć, a oni odpychają go — dlaczego? nie dobrze wiadomo, więc chłopiec żali się jedynemu przyjacielowi i chodzi smutny do chwili, gdzie znów bez widomego powodu opinia ku niemu się zwraca. Odtąd popularność jego wzrasta bez miary, a Paul pyta znowu dlaczego? Ot, bo spostrzegli, że umie opowiadać zabawnie, że ma nieprzebraną moc sprytnych konceptów. Odkrycie tej przyczyny swego powodzenia zdaje się mu upokorzeniem, a jest obrazem jego przyszłego losu. Trudno tu wszystkie jego opowiadać koleje, jak straciwszy wszystko przez nieuczciwość firmy cieszącej się ogólną czcią i poważaniem, zmuszony jest szukać chleba to w podrzędnym domu komisowym, to w teatrze jako chórzysta, jak daje się uwieść oszustowi, który ukradłszy choremu literatowi sztukę, przerabia ją i z pomocą Kelvera na własnej scenie przedstawia, poczem w chwili niebezpieczeństwa znika, zostawiając nieszczęsnemu wspólnikowi hańbę i długi, jak Paul, zesunąwszy się na dno, podnosi się dzięki moralnej pomocy dzielnej dziewczyny, i wypływa na szczyty sławy... Sława to wszakże inna, niż o niej marzył. Oddawna już próbował pisać, i stwarzał rzewne a poetyczne obrazki, które jednak od wszystkich wydawców nietknięte w manuskrypcie wracały. Jedna nareszcie znalazła szczęście, niosąc na swych wydrukowanych kartach ocean radości w serce młodego autora. Aliści zjawił się z owym odcinkiem w ręku znany mu powieściopisarz, sławny w obu półkulach: „Cóżeś za to dostał?“ — pyta z przekąsem. „Nic“ — brzmi odpowiedź, bo o zapłacie nawet mowy nie było. „Jak to nic? Jesteś wart, aby ci sto batów wsypano za taki utwór! Toż to smutne i smutne; dość tego mamy w życiu, a tu czytając, ani razu się zaśmiać nie można!“

Nauka była słuszna, ale Kelver był jeszcze niedoświadczony,

więc poszła na marne. Naówczas mieszkał nawspół ze swym przyjacielem szkolnym; ten był w ich spółce „kucharką“, ów zaś „pokojówką“, czego wynikiem były w najfantastyczniejszy sposób przyrządzane obiady i zmiatanie wszelkich śmieci pod słomiankę do wycierania nóg. Kelver przytem filozofował nad nierozsądkiem ludzkim poruszającym bez potrzeby kurz, któryby zostawiony w spokoju, leżał nieszkodliwie na sprzętach, a spędzony z nich kłębi się w powietrzu, aby zmąciwszy je, znów na dawne miejsce opadać... Kelver miał też różnorodnych kolegów w teatrze. Z tych jeden był mu na jednym punkcie duchem pokrewny: miał tragizm w duszy, marzył o roli Romea, a samo jego ukazywanie się na scenie budziło śmiech homeryczny i zapewniało sztuce powodzenie. Toż samo Paul w swej literackiej czynności: lira jego na poważną nutę nastrojona nie wzbudzała niczyjej uwagi; dopiero gdy koniecznością przyparty z nawskróś zbolałego serca wydobył ton wesoły, utwory jego jęły się rozchodzić, i wkrótce ujrzał je rozchwytywane po całym kraju, a imię swoje głoszone. Było mu z tem bardzo smutno zrazu:

„Sławę mam — mówił do przyszłej żony — ale mój cel chybiony. Serce moje wsłuchuje się bezustannie w olbrzymi jęk, wznoszący się z ziemi ku niebu, czuję ból każdego człowieka, każdego męczonego zwierzątka. Chciałem im pomódz, pocieszyć ich, podźwignąć, a patrz— tylko ich śmieszę!“

„Więc nie rozumiesz — odpowiada dziewczyna — iż ludziom właśnie wesołości potrzeba, iż dając im jej choć trochę, dodajesz im sił i dźwigasz ich pewniej, niż gdybyś im najwznioślejsze prawił frazesy?“...

Na tem kończy się książka, w sprawozdaniu której zamilczeć nam przyszło o niejednym typie pięknym lub ciekawym. Książka, w której jest wesołości dużo i dużo uczucia, którą można przeczytać, gdy serce boli, bez obawy by autor potrącił w nas jaki nerw zbolały. Narzeczona Kelvera miała słuszność: dość już mamy łez w życiu; niech w powieści chociaż znajdziemy promyk wesołości, trochę kwiatów, trochę słońca i trochę śmiechu. *T. Wodzicka.*

Johann Keppler, der Gesetzgeber der neueren Astronomie. Ein Lebensbild von *Adolf Müller S. J.* Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1903. (186+VIII).

Nadzwyczaj ruchliwy dyrektor obserwatoryum astronomicznego na Janikulum, a przytem profesor astronomii na uniwersytecie grego-

ryańskim w Rzymie, ks. Adolf Müller T. J. nie poprzestaje wcale na specyalnych badaniach w dziedzinie swej ulubionej wiedzy (jak np. nad czasem rotacyi Wenusa), które ogłasza po różnych czasopismach, ale znajduje jeszcze czas na rozprawy i prace naukowo-literackie. Tak np. pisuje popularne rozprawy z zakresu astronomii a nawet oddaje się studyom historyograficznym. Przed trzema laty omawiał *Przegląd Powszechny*[1] jego książkę o Koperniku; obecnie chcemy zdać sprawę z nowego jego dziełka o Kepplerze, które autor wydał w styczniu b. r.

Zdaje się, że przychylne przyjęcie, z jakiem spotkała się jego poprzednia praca, którą przetłumaczono na inne języki, zachęciła go do skreślenia obrazu życia Kepplera. Na źródłach autorowi nie brakowało, bo mało który astronom tylu doczekał się opracowań, co Keppler. Ale chociaż mieliśmy dotychczas wiele specyalnych monografii, osnutych na życiu Kepplera, to przecież całokształtu opartego na źródłach brakowało. Jedni bowiem z życiopisarzy Kepplera (jak np. Frisch) wydawali starannie i poprawnie wszystkie jego dzieła, drudzy podnosili jego stanowisko i zasługi dla astronomii, inni znowu (np. Dr. Schuster) badali jego stosunek do spornych kwestyi ówczesnych, zwłaszcza kościelnych inni (jak Anschütz) studyowali myśli i zdania Kepplera o astrologii, inni (jak np. Gruner) rozstrzygali spory o miejsce jego urodzenia; inni wreszcie rozjaśniali skarby prawd w jego dziełach ukryte, lub wydobywali je na publiczny widok i przypominali zasługi tego męża. Żaden nie pokusił się o całkowity obraz życia i działalności tego „prawodawcy nowszej astronomii".

Jakże wypadła całość? Bez przesady można powiedzieć, że bardzo dodatnio. Szlachetna, gorąco religijna a przytem poetyczna postać Kepplera występuje w opowiadaniu ks. Müllera w całej pełni i blasku, barwna i pełna życia. Autor nie pominął żadnego rysu w charakterze Kepplera, czy to dodatniego, czy ujemnego, nie idealizuje swego bohatera, ale przedstawia go takim, jakim był; maluje jego zalety i przywary, radości i smutki, a to wszystko chronologicznie na podstawie jego żywota, na tle ówczesnych stosunków religijno-społecznych i naukowych, których przedstawienie bardzo korzystnie wpływa na całość obrazu, a które autor kreśli bezstronnie. W wielu szczegółach autor prostuje błędne przypuszczenia innych biografów. Zwyczajnie czyni to na podstawie dokumentów umiejętnie zestawionych i porównanych ze sobą, czasem dochodzi do swego celu drogą rozumowania z charakteru

[1] Tom LXV, str. 304—305.

Kepplera i szeregu wypadków, na co nie wszyscy życiopisarze wielkiego astronoma zwrócili uwagę.

Piękną tę pracę czyta się z prawdziwem zajęciem; opowiadanie często przeplatane cytatami z dzieł i listów Kepplera wywołuje chwilami w czytelniku złudzenie autobiografii; czytelnik zaciekawiony wsłuchuje się w naiwne, szczere, podniosłe, a zawsze szlachetne zwierzenia tej wielkiej duszy, dzieli jej radości i wesela, towarzyszy uniesieniom serca Kepplera, gdy mu się uda odkryć jakąś astronomiczną prawdę, gdy składa Bogu gorące dzięki za to, że tak pięknie i mądrze świat urządził, gdy do Boga zasyła modły, aby mu pomagał w pracy nad dalszem badaniem i głoszeniem dzieł Stwórcy.

Nie należy jednak sądzić, że dziełko to obudza w czytelniku tylko rzewne i podniosłe uczucia: nie — ono zarazem kształci, poucza o wszystkich ważnych astronomicznych odkryciach Kepplera, tłumaczy przystępnie i jasno niektóre zawiłe zjawiska wszechświata, to też nadaje się nie tylko dla astronomów z zawodu, ale także z korzyścią służyć może szerszym kołom czytelników dla swej jasności w przedstawieniu trudnych zagadnień naukowych. Biografia ta jest nie tylko życiorysem Kepplera, ale zarazem, rzec można, historyą astronomii owych czasów, jej błędów, usiłowań, zdobyczy i tryumfów. Szczególniejsza wdzięczność należy się autorowi za to, że (podobnie jak w dziele o Koperniku) tak i tu przedstawił w sprawiedliwem świetle stanowisko tych uczonych do Kościoła katolickiego, którą to sprawę protestanckie lub niekatolickie monografie często tendencyjnie przekształcały i wykrzywiały.

W. S.

Talleyrand évêque d'Autun, Par *Bernard de Lacombe.* Paris. Librairie academique. 1903.

Wstępny rozdział z życia męża, który najgłośniejsze dał zgorszenia i najdotkliwiej Kościół zasmucił swojem odstępstwem, dopełnia wizerunku przesłoniętej dyplomatyczną przebiegłością postaci. Kapłan wiarołomny zasiadł przelotnie na stolicy biskupiej, dziś cnotami kardynała Perrand opromienionej. Jak się to stało, jakim był biskupem? opowiada nam niniejsza księga.

Wiadomo, że Talleyrand został księdzem — bez powołania. Gdy wypadek najstarszego syna dostojnej rodziny na resztę życia okaleczył, chromego młodziana, który już nie mógł obrać wojskowego zawodu, ambitni rodzice przeznaczyli do kościelnych zaszczytów. To pogwałcenie woli w życia wiośnie, może niejedno wytłumaczyć w pełnym zbo-

czeń dalszym Talleyranda żywocie. Nie miał on żadnej skłonności do narzuconego sobie zawodu. To też postępowanie jego od początku skłóconem było z suknią, którą nosił. Uczył się teologii, ale z wyboru politykę raczej uprawiał, a jeśli niekiedy, rzadko bardzo, zabłądził do kościółka Sorbony, nie było to w celu skupienia duszy przed ołtarzem i zanoszenia kornych do Boga modlitw. Nie; raczej tam wstępował, by długo rozmyślać wobec pomnika kardynała Richelieu...

Życie światowe i salonowe zaprzątało go wyłącznie. To też pobożny Ludwik XVI wzdrygał się ułatwiać mu drogę do kościelnych dostojeństw, tak jak duchowni jego przełożeni nie radzi mu kapłańskich udzielali święceń. Zmieniał dyecezye, aby takowe łatwiej otrzymać. W ostatniej chwili, chciał się nawet cofnąć przed świętokradztwem, rozpaczał i wahał się. Ale wzgląd na wolę rodziców, na światowe sądy przeważył. Został księdzem i złym księdzem.

Duchownego nie było nic w jego postępkach. Natomiast naznaczony t. zw. agentem czyli komisarzem duchowieństwa przy królu i radzie ministrów, rozwinął niebawem wszystkie świetne swe zdolności i talenta. Znano już jego dowcip, teraz się przekonano o jego rozumie. Ludwik XVI uwzględniając gorące życzenie umierającego ojca księdza Talleyranda, pozwolił go proponować na stolicę biskupią w Autun. Młody elekt w Kościele upatrywał polityczną arenę, i w tej myśli jedynie sięgnął po nowe dostojeństwo. Stosunki atoli jego z nową dyecezyą miały być nader przelotne i krótkie. Objął swą stolicę w marcu 1789 r., a już w kwietniu na zawsze wyjechał z Autun, śpiesząc na obrady Stanów do Paryża zwołanych. Poseł górował nad pasterzem; zrazu piśmienne stosunki utrzymywał z klerem dyecezalnym. Korespondencya ta była naprzemian twardą lub kwaśną, aż nareszcie zupełnie się urwała.

Talleyrand miał wtedy lat trzydzieści pięć. Odtąd życie polityczne go całkiem pochłonęło, w sposób tem groźniejszy, im mniej mu zostało w duszy skrupułów. Jedyny okólnik, na który się zdobył do swych owieczek, zalecał czterdziestogodzinne nabożeństwo dla uproszenia pożądanego w kraju uspokojenia. Spełniał przez to życzenie pobożnego króla. Niebawem atoli jął się staczać po pochyłości coraz to nowych sprzeniewierzeń i zdrady Kościoła. Zająwszy w Zgromadzeniu Konstytucyjnem najpierwsze miejsce po Mirabeau, nie sromał się wnieść sprawę zaboru dóbr kościelnych, nie wahał składać przysięgi na konstytucyę cywilną kleru, potępioną przez Rzym i wiodącą wprost do schizmy. Już w r. 1791 wyzuł się z godności biskupiej, nie odniósłszy

się wpierw do Rzymu. A mimo to, gdy przyszło do konsekrowania schizmatyckich biskupów, przyłożył rękę do wiarołomnego obrzędu. Smutne dzieje biskupa-odstępcy znakomicie zostały ujęte i opowiedziane przez jednego z tych sumiennych pracowników, których Francya posiada tylu, a którzy celują w rozjaśnieniu pełnią światła zawilszych momentów historycznych, zatartych wizerunków biograficznych. Z pośród rysów dopełniających obraz smucący gorszącego życia biskupa-odstępcy, znalazł się tu jeden, tłumaczący wymownie cud zmiłowania Bożego nad umierającym grzesznikiem, który w przedśmiertnych chwilach szukał pojednania z Kościołem i Bogiem. Otóż dowiadujemy się, że w tej duszy zwietrzałej i zepsutej ostało się było jedno uczucie, jedno wspomnienie pobożne, jeden oddźwięk chrześcijański. Jak Konradowi w „Dziadach": „Jedno mu zostało imię". Wśród długiego pasma wiarołomstw i świętokradztw nigdy on nie „bluźnił imieniowi Maryi". Jedyna rozprawka teologiczna Talleyranda poświęcona była Najśw. Pannie. Na krótko przed zgonem odwiedzając wiejski kościółek wspomniał do kogoś z swego otoczenia, iż z wszystkich modlitw, najwięcej lubi *Salve Regina*, i jął powtarzać wyraz po wyrazie tej antyfony. Na szyi jego znaleziono po zgonie starty i zużyty medalik Najświętszej Panny, dastarczony mu przez pobożną zakonnicę. Ucieczka grzesznych wstawiła się przed sądem Bożym za przeniewiercą i wyjednała mu przedzgonną skruchę i zadośćuczynienie, jawnem wyznaniem win i zbrodni długiego żywota.

M.

Les Vies Closes — etudes d'âmes. *George Maze-Sencier.* Paris. Librairie Perrin. 1902.

Bardzo dotąd mało znany Maze-Sencier zebrał pod wspólnym tytułem *Les Vies Closes* szkice o kilkunastu przedwcześnie zmarłych. Gdyby u nas chciano wydać taką książkę, ograniczając się jedynie do kilku pokoleń ostatnich, powstałoby tomów kilka!...

„Chwała ziemska ma swe ciche otchłanie, gdzie też tylko słaby odblask zorzy przyświeca, który nigdy jasnym dniem się nie stanie. Tam to gromadzi się tłum wybranych bez nazwiska znanego. Są to talenta, które zgasły w pierwszym rozkwicie, niedokończone geniusze, którym zabrakło nagle życia, by ukończyć dzieło oddawna przygotowane... i tak myśl ich nie zdobyła tej nieśmiertelności, do której osiągnięcia zdolną się uczuwała".—Te słowa filozofa Caro, które p. Maze-Sencier postawił na czele swojej książki, doskonale jej myśl oddają.

Pomiędzy nazwiskami zgromadzonemi tutaj trochę na los szczęścia i bez widocznej łączności odnajdujemy La Boetie z XVII wieku, księcia Napoleona, który zginął u Zulusów, Maryę Barkertscheff, Maurice de Guerin, Alfreda Tounelé i kilku innych mniej znanych z świata literackiego i artystycznego. Bo p. Maze-Sencier tam głównie szuka te życia przedwcześnie skończone, gdy u nas raczej na polu pracy narodowej tak wielkie zniszczenia śmierć czyni ..

Najciekawszą z tych krótkich biografii jest szkic o Alfredzie Tounelé. Niegdyś w dwutomowem wydaniu dzieł pośmiertnych prof. Caro spotykaliśmy nazwisko to tak mało znane. Omawiając dziennik Amiela, rodzaj tego umysłu tak bystrego, a jednak skazanego na wieczną bezpłodność, Caro porównywał nastrój duchowy tych drobiazgów, które w pośmiertnej tece dwudziestokilkoletniego Alfreda Tounelé się znalazły. Wyjątki przytoczone świadczyły o wykwintnej a bystrej obserwacyi i o głębokiem zrozumieniu kwestyi artystycznych. Caro porównując Amiela, Maurycego Guerin, Doudan i Alfreda Tounelé, z wielką uwagą badał tę „chorobę ideału", która unieruchomiła tę zdolność tworzenia. Można też śmiało odnieść powstanie tej książki *Les Vies Closes* do tego arcyciekawego studyum pana Caro. Alfred Tounelé interesuje nas blizkim stosunkiem swym z ks. Gratry, który wyrażał się o nim z wielkiem uznaniem i sympatyą; co więcej, przyznawał, że jest on tym młodzieńcem, dla którego pisał swoje dzieło *Les Sources* — nikt bowiem więcej od Alfreda Tunelé nie był spragnionym nauki i zarazem tego wykształcenia duchowego, które samodzielną pracą tylko zdobyć można! Po ukończeniu ścisłych studyów Tounelé przez dwa lata pracował nad filozofią niemiecką pod kierunkiem ks. Gratry, który w nim widział sprzymierzeńca duchowego. Ścisły umysł młodego uczonego docierał do zagadnień najsubtelniejszych i równocześnie obejmował zawiłe kwestye artystyczne, które odczuwał z całem zrozumieniem artysty. Widział on w sztuce, czy to malarstwie, rzeźbie lub poezyi — tylko znak widomy, symbol tego, co odczuwa duch tworzącego. „Idealizować jakąś rzecz nie znaczy to ją upiększać, ale zmienić jej naturę. Pierwej była tylko sama sobą — teraz przedstawia ideę artysty". Rozwijając dalej tę myśl, Tounelé analizuje te ciemne a jednak silne wpływy, które zmieniają dla nas słowa w pojęcia wyraźne nam tylko znane. Odnajduje tu ten szczególny wdzięk, jaki ma dla nas mowa rodzinna, w której wyrażaliśmy pierwsze uczucia nasze!

Tounelé zamierzał wydać wielkie dzieło o filozofii języka — ale

śmierć, zabierając go w 27-ym roku życia zostawiła zaledwo fragmenta tej pracy, która mogła mu sławę zapewnić. „Często porównywano ruiny i dzieła nieskończone; ale ruiny są mniej smutne, bo miały swą historyę, spełniły swe zadanie; tymczasem dzieło nieskończone świadczy o wysiłkach nieudanych, o wytężeniu daremnem, o bezsilności często...“

A jednak w końcu książki sam autor p. Maze-Sencier umieszcza ciekawe uwagi pod tytułem *Le mal de la jeunesse.*

Przedtem zastanawiał się nad różnymi rodzajami duchowej organizacyi niezdolnej do wybicia się i osiągnięcia celu: rozróżniał zapomnianych *les effacés,* którzy przygotowali tryumf danej idei, ale go nie dożyli i zapomnieni zostali; potem pisze o tych duszach do cierpienia jakby stworzonych, „które postawiwszy swój ideał wysoko, spostrzegają, że go nigdy nie dosięgną i zatruwają się zawodem i smutkiem“. Wreszcie mówiąc o życiach bezpłodnych obejmuje spojrzeniem te rzesze, które przepędzają lata w obojętnej nieruchomości, i pisze: wszyscy, którzy żyli bez miłości, bez poświęcenia, bez umiłowania ideału, stracili życie — bezczynnie odczuwali szczęście, bezpożytecznie cierpieli, uginając się pod jarzmem konieczności, jak zwierzę bezrozumne.

Ale w ostatnich doskonałych swą jasną trafnością uwagach pan Maze-Sencier rozbiera ten rozpowszechniający się ciągle smutek życia, który paraliżuje czyny młodych.

Czyż to tylko wina losu, że „chcieli być, ale nie byli niczem“? Czyż nie brakło im w pierwszym rzędzie królewskich darów młodości, więc życia, wesela, ufności, miłości i zapału? Ileż ludzi zniszczało, nie rozumiejąc prawdziwego zadania młodości, systematycznie ją w sobie zatruwając. I ci pozbawieni potężnej siły, która unosi ku słońcu, zmarnieli, wpadając w bagno zniechęcenia ... Są też ludzie, którzy tak w sobie wysubtelnili nawyknienie wewnętrznej samotności, że poprostu lękają się starcia z życiem. Lenistwo miesza się tu bardzo często z bezsilnością, i smutek pokrywa niby pleśnią te wspaniałe dary, które mogły iść w służbę sprawy dobrej... Słusznie też twierdzi autor, że jedynie zwyciężenie w samym sobie pokusy bezczynności, i śmiałe podjęcie czynu uleczyć może, a rozwijając w dojrzały owoc kwiat pełen nadziei, da społeczeństwu dzielne i nowe siły.

M. Harsdorf.

Z pism czasowych.

Łužica. Měsačnik za zabawu a powučenje. Zhromadny časopis hornjoa delnjołužiskich Serbow. Wudawataj Dr. phil. Ernest Muka a Mikławš Andricki. Lětnik 21 (I). Budyšin 1902. (Miesięcznik poświęcony rozrywce i nauce. Wspólne czasopismo Serbów górno- i dolnołużyckich. Wydają E. M. i M. A. Rocznik 21).

Ten najmniejszy naród słowiański, o którym prof. Niederle w *Slovanskem Přehled-zie* (1903 IV, str. 160) tak pesymistycznie powiada, że „zginie wkrótce w morzu niemieckiem", liczy według spisu urzędowego z roku 1900 ledwie 108 884 dusz, według obliczeń zaś Parczewskiego i Muki dosięga liczby 156 800. Serbowie łużyccy rozdzieleni między 2 królestwa (pruskie i saskie). rozłączeni są nadto wyznaniowo (w Saksonii przeważnie katolicy, w Prusach liczniejsi protestanci). Jedynem ich wspólnem czasopismem literackiem jest miesięcznik *Łužica* okok religijnego pisemka *Katholski Posoł* i półrocznych tomików Macierzy Serbskiej. Rocznik XXI rozszerzony został przydatkami obrazkowanymi, stąd też drugie jego liczbowanie (I).

Poezyą ukrasza *Łužicę* przedewszystkiem Jakób Ciszyński, ksiądz i pieśniarz, przez lat już 25 lutnię dzierżący. W wierszu „Leonidas w Termopilach" zwraca się w zwrotce końcowej do rodaków, by oni, broniąc swej wyspy słowiańskiej, stali się Leonidasami. W innych znowu pieśniach porównywa naród swój z Dawidem, zwycięzcą Goliata, to znowu z Danielem, bezpiecznym w lwiej nawet jamie. W rymach okolicznościowych na „Serbski dom w Budyszinie" wróży instytucyi narodowej wieczne życie, gdyż *w njebjesach ma škit* (szczyt, tarcza), *a zakład* (fundament) *w ludźe*. Zachęca rodaków do pilności i pracowitości, pszczółki wzorem. W liryce jest wierzącym bardzo i religijnym, i jako pasterz, swe naucza owieczki:

Kohož Bóh Knjez woła do boja,
Tomu da też palmu pokoja.

Do religijnych wierszy należy też jego piękna pieśń betleemska, pieśń gwiazdkowa, *Boža nóc*.

Tym samym duchem przejęte są pieśni poetki łużyckiej, Herty Wićazec (1819—1885), której lata ubiegłego wszystkie utwory wydał A. Cerny, wydawca *Slovanského Přehledu*. W *Łužicy* odbito jej obraz i powtórzono pieśń *Na měr*, w której woła pieśniarka:

Z nadźiju k njebju pohladaj,
Sćerpliwy ty wočakaj —
Tam maš prawy wótcny (ojczysty) kraj!

Tęsknotą i smutkiem zabarwione są pieśni K. Fiedlera, np. *Wěnc lěta.* Piękne lato, śliczny wieniec uciech rozkosznych, cóż, kiedy w sercu poety ból rośnie, cóż, kiedy jego *wěnc lěta sylzy maćachu.* (łzy skrapiają).

Nie mało miejsca w *Łužicy* zajmują ustępy poświęcone mężom, którzy w dziejach narodu łużycko-serbskiego zapisani są złotemi głoskami. Radyserba-Wjelę, obchodzącego w roku zeszłym 80-tą rocznicę swych urodzin, znanego pisarza i zbieracza przysłów narodowych, uczciło nasze pisemko jubileuszowem wspomnieniem. Pewną liczbę jego gnom znajdziemy również w jednym z 12 zeszytów *Łužicy.* Lata minionego zmarł Jan Mrozak (1841—1902) zasłużony w narodzie, proboszcz ewangelicki, współzałożyciel *Towarstwa pomocy za studowacich Serbov,* które już 22 lat działa czynnie i dobroczynnie. Oddali też i Łużyczanie cześć pamięci swego wielkiego przyjaciela, jakim był Wilhelm Bogusławski, zmarły ubiegłego roku autor „Historyi Słowiańszczyzny zachodniej". Cały zeszyt jeden (12) poświęcony jubilatowi Kocorowi (* 1822), twórcy muzyki i śpiewu narodowego, którego pieśni, jak *Syrota,* śpiewane są w całej ziemi łużyckiej. Powodzenia podobno wielkiego doznaje jego operetka *Jakub a Khata.* Rodacy zwią go serbskim Mozartem i stawiają go obok Smetany, „czeskiego Beethowena".

Jak skrzętnie zapisuje *Łužica* w rubryce *Druzy wo Serbach* wszystko, co o nich ktokolwiek i gdziekolwiek napisze tak równie bacznie śledzą, co się dzieje i u sąsiadów. Nie przeszedł bez odgłosu u nich jubileusz naszej Konopnickiej, znajdziesz tu wzmiankę nawet o 500-em przedstawieniu „Halki" w Warszawie i wspomnienie pośmiertne Siemiradzkiego wraz z jego podobizną. Ku uczczeniu nawet autorki „Pana Balcera" przetłumaczono także część sylwetki Sienkiewicza, zaczynającej się słowami: „Ona mówi i śpiewa..."

Na stronach 92 ubogiego pisemka treść wcale bogata, chlubne też daje świadectwo pracy skrzętnym redaktorom *Łužicy.*

J. Magiera.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik dziewiąty. Toruń 1902.

Publikacya to bardzo pożyteczna. Rocznik ten prawie w całości obejmuje rozprawę, a raczej obszerne studyum ks. Stanisława Kujota p. n. „Kto założył parafie w dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej?“ Praca ta jeszcze nie skończona w tym roczniku: zakrojona na wielką skalę nie zdołała się pomieścić w ramach zakreślonych przez wydawców dla objętości dorocznej publikacyi. To też nie znając końcowych rezultatów badań autora nie możemy ocenić i tego, co dotąd drukiem się okazało, wiemy, co dotąd jest, ale nie wiemy, co autor w dalszym ciągu pomieści, a co pominie. Na razie zauważyć musimy mrówczą pracowitość i bystrość kombinowania skąpych i oderwanych od siebie szczegółów źródłowych w pełną całość, dającą obraz, jeżeli nie zawsze zupełnie pewny, to w każdym razie wysoce prawdopodobny genezy powstania poszczególnych kościołów i parafii i stosunków prawnych i społecznych, wśród jakich powstały i wedle których stanowisko ich zostało uregulowane. Występuje autor przeciw ogólnie w tamtych stronach zakorzenionemu mniemaniu, że przeważna część kościołów zawdzięcza swe powstanie Krzyżakom. Że ta opinia ogólnie utrzymać się nie da, wykazują szczegółowe badania autora. Co do jednych kościołów, to wiek ich i datę powstania zdołał autor wykazać z całą pewnością, co do innych tylko z pomocą mniej lub więcej prawdopodobnych konjunktur i wnioskowań. Dla ogólnej historyi urządzeń kościelnych w Polsce ma niewątpliwie ważne znaczenie kwestya poruszona incydentalnie przez autora, kwestya dziesięcin, a zwłaszcza twierdzenie wbrew wywodom prof. Abrahama, że w Polsce istniała dziesięcina świecka.

Pozostałe w tym roczniku prace, to już tylko krótkie szkice. Takim jest d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego „Przydomki szlachty pomorskiej“: zestawienie alfabetyczne nazwisk szlachty pomorskiej mającej przydomki. Szkicem krótkim jest również rozprawa księdza Czaplewskiego: „Kasztelania starogardzka czyli zaborska“.

Sprawozdawczy charakter ma praca d-ra Karbowiaka: *Hipler F. Dr. die Pädagogie des Konrad Bitschin* w *Mitteilungen der Gesellschaft für deutsche Erziehungs- u. Schulgeschichte.* Jest to streszczenie pracy Hiplera o piśmie pochodzącem z wieku XV Konrada Byczyny: *Labyrinthus vitae coniugalis.* Traktat to nadzwyczaj interesujący i jak na owe czasy niezwykły, bo mający za przedmiot wychowanie.

Kończy rocznik „Przegląd prac dotyczących ludności polskiej Prus i Pomorza“ i zestawienie bibliografii zachodnio-pruskiej i sąsiednich okolic polskich z lat 1901—1902.

Dr. B.

Societas Literaria Toruniensis. Fontes VI. 1902.

Obok opracowań naukowych odnoszących się do Prus i Pomorza wydaje Towarzystwo naukowe Toruńskie źródła do ziem tych się odnoszące. Tom VI, który mamy przed

sobą, obejmuje zestawienie wyników wizytacyi dyecezyi chełmskiej z r. 1672 za rządów biskupa Olszowskiego przedsięwziętej przez kustosza katedralnego Jana Ludwika Strzecza, ustanowionego generalnym wizytatorem dyecezyi. W roczniku tym mamy zestawienie tylko z parafii archiprezbiteratu chełmiańskiego i dwóch parafii chełmskiego. Wizytacya odnosiła się do następujących kwestyi, na które znajdujemy co do każdej poszczególnej parafii odpowiedź. Opis i wiek kościoła parafialnego. Dokumenta erekcyjne i fundacyjne. Obowiązki mszalne i t. p. ciążące na kościele. Majątek prebendalny. Spis aparatów kościelnych. Metryki i zestawienia przychodów i wydatków. Przywileje i zwolnienia parochów, wogóle wiadomości co do stanowiska i jurysdykcyi proboszczów. Dochód z prebendy. Budynki kościelne i parochialne. Kontrakty zawarte co do majątku beneficyalnego. Wsi należące do parafii. Heretycy w obrębie parafii. Opieka nad ubogimi. Szkoła.

Już z tego kwestyonaryusza widoczna, że publikacya omawiana stanowić będzie ważne źródło i podstawę dla historyka. Część jej historyczna, tycząca się historyi parafii, wymagać zapewne będzie krytyki i poparcia innymi dokumentami. Za to szczegóły odnoszące się do stanu parafii w czasie powstania tego dokumentu współczesnym, t. j. około r. 1672, mają pierwszorzędną wartość.

Dr. B.

Szkice i wrażenia literackie. *Antoni Potocki.* Lwów. 1903. (8-ka mała, str. VII i 316).

Dobrze uczynił autor, wydając obecnie zbiorek drobnych prac swoich, rozrzuconych po różnych czasopismach peryodycznych, bo mają one niejednokrotnie wartość niezaprzeczoną, jakkolwiek są często sprawozdaniami z utworów beletrystycznych. Zalet mają sporo, a więc przedewszystkiem gorące umiłowanie opracowywanych przedmiotów, doskonałe zrozumienie ich i odczucie *(Nachempfindung)*, wreszcie należytą miarę krytyczną, której wielki brak dawał się odczuć np. w pracach o Konopnickiej i Wyspiańskim, gdzie p. Potocki popadł w zbytnią chwalczość. Ocena autorów i utworów omówionych w tej książce jest ogólnej natury. P. Potocki nie zapuszcza się w drobiazgi i podrzędne szczegóły, a stawia sobie natomiast za zadanie — rozświetlanie punktów zasadniczych, czy to ideowych, czy też tyczących się strony formalnej i artystycznej utworów. Częstokroć omawia obydwie te tezy, a zawsze trafnie i umiejętnie. Tę ostatnią cechę ma najwidoczniej pierwszy naczelny szkic o Sienkiewiczu, w którym autor słusznie odpiera zarzut, ongiś podnoszony nieraz, jakoby w trylogii brak było jednoplanowej akcyi, oraz głównej postaci, ogniskującej wszystko wokoło siebie. Postać bowiem taka jest, a jest nią gmin szlachecki w najróżnorodniejszych swoich odmianach. Z dalszych uwag należy podnieść zaznaczenie, jak doskonale utrafił Sienkiewicz koloryt epoki, jak świetnie zrozumiał ducha narodowego, a nadto wykazanie zalet i oryginalności języka. Bardzo dobrze wypadła charakterystyka Reymonta, u którego podnosi autor znajomość psychologii prowincyonalnej, Żeromskiego wraz z jego cierpiącą wiecznie miłością, Sieroszewskiego, którego epikę opowiadania z uznaniem podnosi p. Potocki, i Tetmajera wraz z arcysubtelną charakterystyką jego

zmysłowości. Inne szkice o Langem, Kasprowiczu, Dąbrowskim i Wierzbickim są o wiele słabsze. W części drugiej tej książki, w „Wrażeniach“ najlepsze są oceny dwu powieści Weyssenhoffa „Pana Podfilipskiego“ i „Sprawy Dołęgi“, a zwłaszcza pierwszej, nadzwyczaj sumiennej i dokładnej, oraz „Lili“ Reymonta i jego „Ziemi obiecanej“. We wszystkich tych utworach umiał autor dopatrzyć się cech znamiennych, wyróżniających je od legionu tomów współczesnej belletrystyki, a nadto oświetlić je umiejętnie i z nowej strony. Stąd też pochodzi, że, podczas gdy mnóstwo ocen powieści, jakie ukazują się po czasopismach, ginie szybko i przechodzi w niepamięć, szkice p. Potockiego i po latach nie tracą swojej rzetelnej wartości.

Dr. St. Zdz.

Z dawnych lat. Gawędy i opowiadania. *Czesław Pieniążek.* Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1902. (8-ka mała, str. 197 z przedmową autora).

Nie masz to jak wieczorem przy kominku, zwłaszcza, gdy na dworze nieznośna szaruga, słuchać starego gawędziarza i smutkiem czy radością dawnych opowieści karmić serce i duszę. Ale gawędziarzy coraz mniej, a kominków jeszcze mniej, (str. 49) jak się skarży słusznie szanowny autor w powiastce o panu Rafale. By więc znajome autorowi gawędy, wypędzone wraz z kominkiem na tułactwo, nie zmarniały do szczętu, autor je pozbierał i umieścił w książeczce. Ładna ona kształtowo i wdzięczna, a treścią bogata i ciekawa. Kimkolwiek jesteś czytelniku, co tę książkę weźmiesz do ręki, przeczytaj ją, a nie znudzisz się, owszem, nauczysz się wiele. Najpierw zadrga Ci serce wśród trąbki bojowej, wzywającej rodaków do walki z Moskalem w r. 1863. Potem w „Niebajce“ zaglądniesz w duszę zmarnowanego talentu, na którym się ludzie nie poznali, i nauczysz się szanować ludzi, a nie potępiać dla pozorów. P. Rafał rozweseli Cię i nauczy wiele. Zanotować sobie można nie jedną trafną uwagę, co na całe życie starczy. „Wielkanoc w Siekierzyńcach“ napisana piórem maczanem nie w inkauście, ale w gorącej krwi szlachetnego Polaka. Oby jej epilog rozległ się jak echo surmy bojowej po szerokich polach naszej ziemicy... Reszta nie ustępuje w zaletach pierwszym. Szkoda tylko, że szanowny autor niesmaczną przedmową psuje ochotę do czytania.

H.

Adam Mickiewicz i osnownyje motiwy jewo poezii. *Roman Brandt.* (Odbitka z książki zbiorowej p. t. *Pod znamenem nauki.* Moskwa 1902. (8-ka wielka, str. 28).

Praca ta, przeznaczona dla czytelników, nieobeznanych z twórczością Mickiewicza, odznacza się dwiema zaletami. A więc przedewszystkiem ogromną zwięzłością i trafnem pochwyceniem najwybitniejszych cech poezyi Mickiewiczowskiej. Ponadto jest dobrze znana prof. Brandtowi literatura dotycząca przedmiotu, korzystał on z niej krytycznie i umiejętnie. Naszkicowawszy krótkimi rysami biografię poety omawia autor wyczerpująco główne motywy poezyi, a więc: motyw miłosny, ludowo-fantastyczny, filozoficzny, religijny i patryotyczny. A w swojem przedstawieniu wyzyskać potrafił doskonale treść utworów, popierając swoje twierdzenia cytatami, niejednokrotnie wybranymi bardzo dobrze.

Z pracy tej może obcy czytelnik wyrobić sobie pojęcie, jaką była twórczość Mickiewicza, przynajmniej w najgłówniejszych zarysach. W tem właśnie, że praca odpowiedziała swojemu przeznaczeniu, widzę główną jej wartość i użyteczność. Niepodobna jednakże nie uczynić kilku zastrzeżeń w sprawie zdań, jakie w pracy swojej prof. Brandt wypowiedział. Przedewszystkiem Filaretów nie można uważać za stowarzyszenie polityczne, a tem mniej Filomatów (str. 3), że dalej Maryla Wereszczakówna była najzupełniej wzajemna poecie, to już całkowicie zostało wyjaśnione (str. 4). Chybiona jest argumentacya autora, jakoby Mickiewicz nie miał talentu dramatycznego, bo to, co mówi o „Dziadach", nie jest żadnym dowodem, trzeba zawsze pamiętać, że „Dziady" są poematem udramatyzowanym, a nie dramatem. Między jednem zaś a drugiem jest wielka różnica. Wiadomo dalej dokładnie, która część „Panicza i dziewczyny" wyszła z pod pióra Mickiewicza, a która jest własnością Odyńca (a nie jak sądzi prof. Brandt, że „może cały utwór należy do Odyńca", str. 20). Rozumowanie w końcu na temat, dlaczego Mickiewicz z taką niechęcią odnosił się do Rosyi i do Rosyan i, że zarówno kraj sam jak i ludzi przedstawił w zbyt ciemnych barwach, nie opiera się na rzeczywistej podstawie. Dość wspomnieć tylko ustęp „Do przyjaciół Moskali", ażeby przyczyna, której prof. Brandt szuka gdzieindziej, wyjawiła się sama jak najwyraźniej. Poza tem wszystko w omawianej rozprawie zgodne jest z dzisiejszym stanem badań nad poezyą Mickiewicza. Życzyćby należało, ażeby rychło pojawiły się tak, jak ta gruntowne i sumienne prace o innych naszych poetach, przeznaczone dla cudzoziemców. *Dr. St. Zdz.*

Anonima-protestanta XVI wieku Erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty. z rękopisu wydał *Ignacy Chrzanowski*. („Biblioteka pisarzy polskich" nr. 43). Kraków 1903. Nakładem Akademii Umiejętności. (8-ka mała, str. 158).

Pierwszą wiadomość o wydanych tu wierszach podał prof. Brückner w *Bibliotece Warszawskiej* (1891, II, 271 i nast.). Autora ich nie znamy, bo wszystkie przypuszczenia na ten temat, czy to był Krzysztof Chwalibogowski, czy Stanisław Porębski, czy też Jan Chwalibogowski, jakkolwiek są bardzo prawdopodobne, nie są jednakże stwierdzone. Wiadomo tyle tylko, że autor był protestantem, że mieszkał w okolicach Zamościa i z Tęczyńskim jeździł do Szwecyi, że wreszcie znał Jana Kochanowskiego. Wiersze te pochodzą z lat 1562—1568 i stanowią bardzo ciekawy przyczynek do literatury XVI wieku. Erotyki są przeważnie konwencyonalne i bezbarwne, w epigramatach znać wpływ obcej poezyi humanistycznej, ale za to fraszki powstały na tle swojskiem, na tle stosunków czysto polskich społecznych, obyczajowych, religijnych i politycznych. To też pełno w nich rysów znamiennych, pełno szczegółów z życia szlacheckiego Polski zygmuntowskiej. Niektóre nawet fraszki są pysznymi obrazkami rodzajowymi, mającymi wyraźną barwę satyryczną. Pan Chrzanowski wydał je starannie, zaopatrzył krótkim wstępem i słowniczkiem. Życzyćby należało, aby to wydawnictwo, które od roku 1898 począwszy jakoś utknęło i udziela bardzo małych dawek, postępowało szybkim krokiem.

Dr. St. Zdz.

Z moich wspomnień. Wstęp i tom I i II. *Józef Dunin-Karnicki.* Warszawa. 1901—1903. (W 8-ce, str. XII+343, XV+239, VIII+239).

Wspomnienia te składają się, właściwie mówiąc, z dwóch różnych, nic nie mających ze sobą wspólnego części odrębnych: reminiscencyi autora, jak służył w rosyjskich huzarach pawłogradzkich i o wojnie Rosyi z Turcyą, zaczynając od czerwca 1854 roku, a więc gdy armia rosyjska, zwyciężona pod Ruszczukiem i Dżurdżewem, cofała się za Prut, a autor przyjmował w tem udział; a w drugiej części autor maluje ciekawe i interesujące szczegóły o rodzinie swojej i rodach wołyńskich innych, co ma znaczenie i doniosłość niemałą dla naszej publiczności i to właśnie, co ratuje te „Wspomnienia“ i nadaje im wartość.

W tomie I i II opisuje autor przeważnie sprawy wojskowe i wojny krymskiej; ale przytem są także inne rzeczy: pomiędzy r. 1860—1861 był on komisarzem włościańskim od wyborów, z tego więc powodu mamy, choć szczupłe, niejakie wiadomości o uwłaszczeniu włościan i tu i ówdzie napotykamy niektóre szczegóły ogólniejszego znaczenia z tych czasów i z epoki powstania nieszczęśliwej; do rządów osławionego Bezaka jest także kilka wymownych ilustracyi; do liczby ich należy rozkaz właścicielom ziemskim opłacać za straż, rzekomo, chłopską po wsiach podczas tych rozruchów; straże te, złożone z kilku chłopów, uzbrojonych w kije, stały u kołowrotów wiejskich i każdego przejeżdżającego o paszporty pytały, niepokojąc spokojnych ludzi; nocna i dzienna opłata była 25 kopiejek, ale obliczały to same władze rządowe, dopuszczając się przytem nieraz nizkich nadużyć i autorowi z jednej wsi jego, mającej dwanaście dymów, za czas półrocznej straży naliczyli 1900 rubli, to zmusiło jego udać się osobiście do wielkorządcy kijowskiego i przedstawić mu rzecz całą; Bezak dał się przekonać i opłatę zmniejszył jednakże, ale takie wypadki bardzo rzadko się zdarzały—przegrywał sprawę zwykle Polak-obywatel. Oprócz tego wszystkiego w tych dwóch tomach jest jeszcze dosyć wspomnień autora rodzinnych, które nas przenoszą w dawne, lepsze czasy, kiedy to tradycye rodowe były wyraźniejsze i silniejsze; nadto mamy tu niemało szczegółów o różnych wołyńskich domach, zabawach, koligacyach i temu podobnych rzeczach. Autor sam dużo pamięta z tego, co widział, a także co słyszał od starszych, wszystko to opisuje wiernie.

Co się „Wstępu“ tyczy, to powiedzielibyśmy, że on więcej zainteresować nasze społeczeństwo może, ponieważ cały prawie poświęcony opowiadaniom o Wołyniu.

Naprzód autor mówi o swojem dzieciństwie i swojem najbliższem otoczeniu: o rodzicach, krewnych blizkich i domownikach. Poznajemy tu dom mizocki, żukowiecki, Rzyszczewskich, Sławutę, sięgając już roku 1836, Krzywin Jabłonowskich i Ostróg innej linii tegoż rodu, a także Młynów Chodkiewiczów, Hamernię Walewskich i różne osoby, w tych domach bywające. Potem opisuje p. D. K. podróże z matką do Lwowa w 1840 i 1843 r., do babki swojej, matki ojca, generałowej Karnickiej, poświęcając parę rozdziałów opisowi owoczesnego Lwowa i jego towarzystwa. Dalej jest wzmianka o t. zw. bałagułach, bez gruntownego jednakże zbadania tego przedmiotu; o Antonim Szaszkiewiczu,

„królu bałagułów“, nie wypowiada ostatecznie swego zdania, i co o nim natenczas mówiono (cf. „Pamiętniki Arcybiskupa Felińskiego“).

Następnie opisuje swój pobyt w szkołach w Szczebrzeszynie, dokąd go oddano w 1844 roku, kontrakty w Dubnie w tymże czasie, przyjazd ze szkół i nauki znowu w domu pobierane. Potem poświęca rzewne wspomnienie o Romanie Sanguszce starszym, swoim wuju, i mówi o losach Dubieńszczyzny Lubomirskich, gdzie znajdujemy wiele ciekawych szczegółów. W roku 1847 oddano autora na naukę do szkół, potem do liceum w Odessie; tu znowu dużo interesujących rzeczy o tem mieście, o naukach i towarzystwie tam polskiem. Był w Odessie p. D. K. kilka lat, w ciągu których przyjeżdżał do domu kilka razy, więc opis tych podróży z uwzględnieniem tych miejscowości i opisem tych miast, przez które przejeżdżał, do kogo po drodze wstępował; więc znowu przesuwa się przed nami mnóstwo naszych domów i ludzi: rodzina Mogilnickich, Swiejkowscy, Ożarowscy, Giżyccy, Karol Kossowski, Paweł Dunin i wiele, a wiele innych.

Po śmierci rodziców, po ukończeniu prawnego fakultetu w liceum odesskiem, w 1852 r., autor powraca na Wołyń i znowu jest w gronie krewnych i znajomych, których tu opisuje (w Warkowicach Młodeccy, Teodor Bóbr w Zahajcach, Andrzej Mniszech w Wiśniowcu); mówi o ich stosunkach familijnych, majątkowych, właściwościach charakteru, usposobienia i t. p. Opowiada o wszystkiem szczegółowo, z widoczną przedmiotu znajomością, więc te opowiadania mają niekiedy niemal znaczenie dokumentów historycznych; pisane zaś to stylem gawędziarskim i czyta się z przyjemnością wielką i zainteresowaniem.

Przy końcu tego tomu autor opisuje, jak przy końcu r. 1852 zapisał się do etatu urzędników kancelaryi gubernatora wołyńskiego, znanego księcia Wasilczykowa (jak to wtedy było nakazane, aby szlachty starsi synowie zostawali czas jakiś koniecznie w służbie cywilnej, rządowej lub wojskowej), a wkrótce potem okoliczności znagliły go wstąpić do wojska, wojskowa zaś karyera przeważnie opisana, jakeśmy to już wspominali, w tomie I i II. *W.*

Tristram of Blent by *Anthony Hope*. II vol. Tauchnitz edition. Str. 271 i 270.

Rzecz zajmująca i zabawna, napisana z talentem i brawurą, choć jak tyle już angielskich powieści osnuta na tle niepewności, kto z prawa jest dziedzicem ordynacyi z zamkiem i tytułem. Charaktery oryginalne, psychologii dużo w akcyi a rezonowań żadnych, humor zdrowy i naturalny. Słowem książka wyróżniająca się wśród nowomodnych romansów wyrosłych nad brzegiem Tamizy, brakiem nadzwyczajnych zjawisk i chorobliwych stanów duszy. Bohater nie jest bardzo prawym a pomimo to wzbudza sympatyę czytelnika. Uderza też różnica stosunków wręcz niektórym naszym przeciwnych. Więc choćby dla samej ciekawości warto się z nimi zapoznać. *T. W.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

RZEKOMO KLERYKALNA PANAMA W PRADZE.

Ciężką krzywdę Kościołowi w Czechach mógł wyrządzić prałat Drozd: umiał zdobyć naczelne stanowisko w związkowej kasie świętego Wacława i wyzyskał to stanowisko, aby swojemu przyjacielowi najprzód pobłażać w kradzieżach, a potem w nich dopomagać. Oczywiście, pisma przeciwkościelne nie zwlekały z okrzykami o klerykalnej Panamie, i na duchowieństwo wogóle rzuciły wyrok hańby za jednego księdza, który przystał do spółki Orta, Kohuta i innych przeniewierców. Szczęściem naród czeski ma oczy zdrowe, aby nie to widzieć, co niedowiarki usiłują pokazać. Związkowa kasa imienia świętego Wacława była dziełem zarówno świeckiem, jak każdy inny bank na świecie, ani klerykalnem dziełem nie została jeszcze przez to, że nazwę wzięła od Opiekuna kraju, albo że prałata Drozda dopuściła na stanowisko przewodnie. W licznej obsadzie urzędniczej także paru księży dostało posadę: i tym właśnie księżom kasa zawdzięcza, że przeniewierstwa prałata przecie wyszły na jaw i przynajmniej część pieniędzy wkładkowych ocalała. Księża ci dostrzegli podejrzany brak nadzoru w zarządzie, przy którym łatwo było oszustom jeszcze przez długie lata sprzeniewierzać miliony. Wskutek zurzutów i skarg,

natarczywie podnoszonych przez tych księży, wydział nadzorczy wykrył prawdę i, również przez księży przynaglony, wydał poszlakowanych w ręce władz świeckich. Na wieść o wypadku, setki i tysiące czeskich księży po wszystkich dyecezyach spieszyły z pomocą dla biedaków, narażonych na stratę wkładek; natychmiast donosili jeden po drugim, że sami od swoich wkładek w kasie odstępują, przynajmniej w połowie na razie; kiedy to nie wystarczyło, darowali całe wkładki, owszem: tysiącami podpisywali składkę i posyłali gotówkę, aby nie dopuścić do bankructwa w kasie biedaków; złożyli tym sposobem do dwóch milionów koron i śmiało żądali w pismach najpoważniejszych — jak np. *Katolicke Listy* — żeby całą prawdę szczerze doniósł Wydział nadzorczy, obrany na nowo, a niczyjej winy nie taił. Gruchnęła pogłoska, jakoby sąd miał oddać prałata Drozda pod opiekę lekarską, bo dostrzega w nim objawy obłędu; zaraz na drugi dzień *Katolicke Listy* ze zgrozą wspomniały o tej pogłosce i potęgiły wszelkie krętactwa obmyśliwane, aby oczyścić przeniewiercę od winy. Natychmiast w tem piśmie zabrali głos świadkowie, aby zapewnić, że aż do ostatnich dni widzieli nieszczęsnego prałata zupełnie zdrowym umysłowo, i wzywali duchowieństwo, aby co sił przeszkadzało wszelkim zabiegom o obronę zbrodniarza: „Żądajmy, — wołało to pismo — żądajmy usilnie dla winowajcy kary, bezwzględnej, surowej. Niech prawda wyjdzie na jaw, choćby najsromotniejsza! Kara na przestępcę, wymagana przez przedstawicieli Kościoła, Kościołowi wyjdzie na chwałę!“

PROSTE DROGI DUCHOWIEŃSTWA CZESKIEGO.

Postawa szczerych miłośników prawdy, zajęta przez czeskich księży wobec nieszczęsnego prałata, odpowiada wogóle nastrojowi, z którym ci księża zwykle walczą w obronie Kościoła: niezrównani w swojej prostocie, obierają sobie drogi najkrótsze do prawdy i przeciwnikom stawią czoło zwycięsko.

Połączeni ze sobą węzłami związku *Ustřední Jednotu*, rozstrząsają na zjazdach i w czasopismach swoje obowiązki wobec dzisiejszych potrzeb Kościoła, lubią wszystko przedstawić

w świetle prawdziwem i wypowiedzieć prawdę bez ogródki i sobie samym i drugim. Bez wykrętów przyznają, że na niejednem polu pracy nie widzą przed sobą dróg odpowiednich do potrzeb dzisiejszych i tak po prostu, szczerem sercem głoszą niezmienną naukę Kościoła, jak otwarcie wzywają nowego powiewu ducha na ustrój stosunków: głośno wymieniają rozliczne szczegóły w zwyczajach, wynikłych z potrzeby od dawien dawna już zaspokojonej i zapomnianej; jawnie żądają zmiany ustawodawstwa w tych wypadkach, kiedy podług zasady prawa: *cessante causa debet effectus cessare.*

Również śmiało spoglądają sami na własną pracę swoją, i nie odwracają oczu od jej braków: wytykają je szczerze i wymagają od siebie ciągłego postępu naprzód. I tak jasno wyrażona prawda nie uchodzi u Czechów za nic obraźliwego: owszem, jedno pismo po drugiem powtarza np. ostrą odezwę, z którą wystąpiła *Obnova,* aby, między innemi, wezwać do dzielniejszej walki przeciw socyalistom; przy tem używa zwrotów mowy następnych:

Socyaliści „zwołują tedy lud do społecznej walki przeciw nam bez względów na nic. A co przeciw nim działają katolicy? Dotąd bardzo mało. Bez dostatecznej przyczyny natworzyli między sobą różnych oddziałów, które ledwo po latach ruszyły na rozprawę w przemowach ustnych i piśmiennych, aby przecie przekonać świat, że nie darmo istnieją. Spory te wyczerpują nasze siły najlepsze, a zniechęcają ogół do pracy... Postępowce, realisty, niedowiarki, Żydy, tworzą swoje *alliances,* aby uśmierzyć ‚katolików zachłannych', a katolicy rozpraszają swoje siły w drobne oddziałki... Stąd to już od dłuższego czasu nie kroczymy naprzód: stoimy w miejscu, albo cofamy kroku. Byłoby lepiej, przy takich stosunkach, ani nie zaczynać przedwcześnie. Przez początek niedojrzałej roboty wetknęliśmy rękę w osie gniazdo, podszczuliśmy wrogów na siebie i, zamiast rozbijać nieprzyjacielskie szyki, bez troski o nich ciągniemy waśń domową, jakby z nią nie można przeczekać czasu wojny z wrogiem zewnętrznym".

I takie słowa, zamiast drażnić i jątrzyć, znajdują posłuch u Czechów: przechodzą z jednego dziennika do drugiego, aby

wzywać najszersze koła do pracy dzielniejszej. To też Kościół w Czechach może okazać niepoślednie plony, zwłaszcza na polu społecznem, jakich nie zebrał gdzieindziej... ani ich nie zbierze rychło tam, gdzie już katolikom przestały dokuczać ich braki, a na pociechę wystarcza im przechwałka: jeszcze od nas gorsi bywają!

PÓŁ WIEKU KATOLICKIEJ PRACY SPOŁECZNEJ U CZECHÓW.

Na polu katolickiej pracy społecznej Czesi przodują nam widocznie pod tym względem, iż wcześniej od nas zaczęli popierać robocze warstwy w ich samodzielnych zabiegach o należny dobrobyt, aby mogły iść o własnych siłach, a nie potrzebowały ciągłej opieki. Wychowali sobie prędzej lud świadomy swoich potrzeb, obowiązków i praw: więc mogli prędzej z nim stanąć do roboty, zamiast robić wszystko za niego, — jak mówi ks. Arcybiskup Theodorowicz.

Obchodzili tedy przed kilku miesiącami już półwiekową rocznicę pracy, zaczętej pod przewodnictwem księdza Kolpinga, a której dziś zawdzięczają w całym kraju uczciwy i dostatnio zaopatrzony stan rzemieślniczy.

Rzemieślnik tak samo w Czechach, jak w całej Europie zachodniej, postradał pod rządami wolnomyślnych przeciwników Kościoła, całą obronę, jaką w potrzebach duchowych i w sprawie dobrobytu znaleźć mógł poprzednio w cechu chrześcijańskim. Majstrowie, ludzie dawnych zasad, pozostawieni samym sobie, upadali nieraz majątkowo, skutkiem walki z wyrobem maszynowym, ale jeszcze nie tak łatwo odpadali od wiary i dobrych obyczajów; to ostatnie niebezpieczeństwo groziło młodzieży rzemieślniczej, wypuszczonej wolno z porozwiązywanych cechów.

Skutki swobody nie dały na siebie czekać: przed pięćdziesięciu latami większa część czeladników stała na bezdrożu, bez zasad obyczajnych, bez widoków nawet na byt dostatni w zachwianym ustroju społecznym.

Zaniepokojona tym widokiem Praga usłyszała nagle o księdzu Kolpingu, który nad Renem już zaczął pracować nad opuszczoną młodzieżą rzemieślniczą. Owoce jego pracy tak podniosły

duchowo i majątkowo czeladników, że wkrótce podobnych skutków zapragnęły inne miasta nadreńskie, a potem coraz dalsze. Więc założyciel nowego ustroju zawodowego zamiast cechów rozniósł swoją myśl po księstwach i królestwach Rzeszy niemieckiej, zaszedł na południe i na wschód, nakoniec zawitał do „stowieżatej“ Pragi.

Powitany jak zbawca, rozpatrzył stosunki i ujrzał stan czeladników, jeżeli nie rozpaczliwy, to groźny: niezwłocznie założył związek czeladników katolickich i szczęśliwie znalazł dobrego dla nich przewodnika w bardzo gorliwym księdzu Kellnerze. Ten w ciągu piętnastu lat pracy dokazał tyle, że nawet młodzież już wykolejona spostrzegła pożytki ze związku katolickiego, i coraz liczniej wracała na dobrą drogę pod jego chorągwią. Następny przewodnik, ks. Jankuo, stał już na czele potęgi, która ściągnęła na siebie poważny gniew ze strony wolnomyślnej. Następca znalazł już stosunki bardzo naprężone, zagrożony nawet cały byt związku. Został wtedy przewodnikiem ówczesny kanonik Brynych, który przez znaczne wkłady z własnego majątku mógł utrwalić podstawy Związku i zabezpieczyć przytułek dla czeladników. Nie spłacił jeszcze wszystkich długów, zaciągniętych na zakupno tego przytułku, kiedy przeszedł na stolicę biskupią, a czeladników powierzył księdzu Burianowi. Ten do dziś dnia przewodniczy Związkowi, a nie zaopatrzony w inne środki do spłaty długów, poświęca na nie prawie cały dochód kanonicki, a sam na siebie zarabia piórem. Uwiadomiony o tem Papież Robotników wdzięcznie odznaczył zasłużonego pracownika osobistą przyjaźnią, i mianował prałatem.

Myśl Kolpinga zwycięsko obchodziła swoją pięćdziesiątą rocznicę. Biskup Brynych jeszcze dożył tego obchodu; zjechał tedy wraz z licznem gronem dostojników kościelnych i panów świeckich: najwyżsi przedstawiciele władzy i ciał naukowych, pierwsze rodziny szlacheckie śpieszyły uroczyście brać udział w radosnym obchodzie, i w śmiałych przemowach zagrzewały do dalszych zwycięstw demokracyi chrześcijańskiej.

Praca duchowieństwa w dziedzinie społecznej, a zwłaszcza jego hojne datki dla biedaków w kasie św. Wacława, nierównie

więcej pomogły Kościołowi, niż zaszkodzić mógł prałat Drozd. A o tem milczą dzienniki.

WALKA PRZECIW SOCYALISTOM CZESKIM.

Wobec naporu socyalnej demokracyi duchowieństwo czeskie pilnie wzywa wiernych do obrony swoich praw pod chorągwią chrześcijańskiej demokracyi. W ciągu ostatniego roku 27 nowych związków podniosło tę chorągiew, zatkniętą już w trzystu z górą miejscach. Główną w tem zasługę mają dziekan Lhotsky i redaktor Myslivec, który umie niezrównanymi dowodami przekonywać, że ustrój społeczny potrzebuje stanowczo naprawy, że wina w złych stosunkach spada na oboz wolnomyślny, że lekarstwem skutecznem służyć może tylko chrześcijański duch wznowiony. Niepomiernie także działa na tem polu pan Jiroušek, który był do roku 1885-go socyalnym demokratą, póki dr. Adler nie dał demokratom hasła: pod względem sumienia bądźmy bezwyznaniowi, a międzynarodowi ze względu na ojczyznę. Te słowa otworzyły oczy panu Jirouszkowi, który przeszedł pod chorągiew chrześcijańską i jako współredaktor *Dělnika* na Morawach niósł tę chorągiew tak wysoko, że w ostatnich latach powstało tam 80 związków chrześcijańskich.

Prócz zawodowych związków, zajętych sprawą społeczną, także inne towarzystwa katolickie pracują bezustannie i szerzą chrześcijańskie zasady w społeczeństwie. Tak powstała „Akademia chrześcijańska“, aby przez bezpłatne odczyty zagradzać drogę zasadom przewrotu. Prócz niej raz po raz inne związki zdają sprawę z podobnej pracy, zwłaszcza *Jednota katolickich tovařysů, Sv. Josefska Jednota, Katolicka Jednota* i t. d.

Gospodarcze katolickie związki rozsypane po kraju doszły nakoniec do wspólnego ogniska w spółce przemysłowo-kupieckiej, która ma członkom związków ułatwiać zakupno bądź środków żywności, bądź materyałów do pracy, a zarazem pośredniczyć w zbycie rękodzieł. Żydowscy kupcy bez miłosierdzia wypędzają ze swoich sklepów służbę chrześcijańską, która przystąpiła do spółki.

Socyaliści w Czechach widzą, że za mało chrześcijanek

sprzyja im; główny zastęp socyalistek pochodzi ze Żydów. Poseł Choc stanął do dzieła, aby zaciągnąć Czeszki w Pradze pod czerwony sztandar, i ogłosił dla nich wykład przystępny. Na wieść o tem chrześcijańskie demokratki odbyły naradę i uchwaliły prosić redaktora Mysliwca, żeby poprowadził je na wykład i w ich imieniu oświadczył Chocowi, jaki wpływ na nie wywrą jego wywody. Zgromadzone spokojnie przystały na wybór przewodniczki z grona nielicznych socyalistek, spokojnie wysłuchały przemowy Choca, pełnej szyderstw z Kościoła, i poprosiły następnie o głos, aby przez swojego rzecznika odpowiedzieć na wezwanie do walki o dobrobyt pod chorągwią socyalistyczną. Socyaliści usłyszeli zasadniczy wykład katechizmu. Jeden po drugim wywód Choca dostał krótką a zręczną odprawę. Niespodzianka ta nie w smak poszła Chocowi, ale przewodniczka musiała bronić swobody słowa dla Mysliwca, skoro chrześcijańskie demokratki nie przeszkadzały mowie socyalisty.

W ciągu mowy Mysliwiec spostrzegł, że coraz trudniej przewodniczce utrzymać porządek wśród niespokojnych burzycieli ustroju społecznego: oświadczył tedy, że ulega przemocy i zrzeka się słowa. Choc zabrał głos po raz wtóry, aby złagodzić poprzednie zaczepki przeciw Kościołowi. Chrześcijańskie demokratki odpowiedziały na to pogardliwym ukłonem, po którym gromadnie opuściły salę. Wobec braku słuchacza, przewodniczka zamknęła posiedzenie.

Na odczyty zapowiadane przez bezwyznaniowców katolicy idą pod przewodnictwem dobrych mowców, i na każdy wykład zasad przeciwkościelnych niezwłocznie dają należytą odprawę. Tak w *Českem klubu* praskim docent uniwersytetu Józ. Prušak wystąpił z wywodami, że pierwsi chrześcijanie swobodnie przekraczali świeckie ustawy, ale następnie Kościół zawarł przymierze z państwem, zyskał dla siebie obietnicę jego opieki, a w zamian na swoich wiernych nałożył jarzmo posłuszeństwa względem władzy świeckiej. Aby obowiązać wiernych do posłuszeństwa, Kościół wprowadził pogląd, jakoby człowiek posiadał wolną wolę, zdolną do cnoty albo grzechu. Pogląd ten zasadniczo chybiony trwa dotychczas, chociaż nauka najprzód przez Lom-

brosa, a następnie przez Lacassagna dowiodła, że człowiek działa nie własnowolnie, tylko i wyłącznie pod wnętrznym przymusem, który w części pochodzi z dziedzicznego ustroju mózgu i budowy ciała, w części zależy od wpływów społeczeństwa, wychowawcy swoich zbrodniarzy. Więc aby zapobiedz zbrodniom, musimy naprawić ustrój społeczny. O zasady Kościoła w tej mierze nie trzeba dbać, bo wiara zawsze ma przeciw sobie rozum.

Cokolwiek można wytknąć błędnego w tych wywodach, z tem zaraz po odczycie wystąpili mowcy katoliccy: red. Myslivec, p. Roudnicky i prof. Bráf.

W DZIEWIĘĆ LAT PO ZJEŹDZIE BRNEŃSKIM.

Postępy Czechów w katolickiem życiu nie mogą nas nas nie obchodzić, bo drogę dostępną także dla nas pokazują, kiedy u siebie podnoszą i umysłowy poziom narodu i jego nawet dobrobyt, odzyskują słowem na najważniejsze stosunki i na różne warstwy społeczne wpływ, postradany przed latami, kiedy panowała przemoc wolnomyślnych prądów i ustaw. Otóż do tych zwycięstw czescy katolicy dochodzą pomimo przeszkód, które w oczach wielu Polaków uchodzą za niezwyciężone. „Rząd nam nie ułatwia pracy“ narzeka wielu z naszych katolików, „rząd cicho trzyma na uwięzi duchowieństwo, któremu wydziela dochody i przeznacza wyższe dostojeństwa kościelne — rząd pobłaża ruchom przeciwkościelnym pod hasłem ‚Precz ze Rzymem‘ i pod hasłami czerwonych chorągwi — rząd ani palcem nie ruszy, kiedy powinien oburącz dopomódz do pracy katolickiej przeciw przewrotowcom. Wszak do tej pomocy mamy prawo; bez należytej władzy zewnętrznej nie nagniemy człowieka złej woli“. Tak utyskują nasi katolicy niektórzy; opuszczeni przez wolnomyślnych ustawodawców, sami opuszczają ręce; nie wymagają od siebie tej pracy wytrwałej, która wywiera wpływ nawet na upartą wolę złych żywiołów. Może dlatego utyskują, iż nie widzą, ile Czesi w tych samych, co my, stosunkach dokazują w myśl uchwał, powziętych na wiecu w Brnie. Od tego wiecu liczą Czesi lata odrodzonego ducha katolickiego. Po długiej przerwie tysiące synów Kościoła podniosły swoją chorągiew, wyszydzoną przez wolnomyślnych

postępowców, i otwarcie przed światem bez względu na nieprzyjaciół wyznali odważnie, że wierzą w Boga. Wiedzieli, że do olbrzymiej pracy stają, kiedy zamierzają odrodzić społeczeństwo według katolickich zasad, ale postanowili złamać przeszkody, które wielu z nas przerażają. Równie jak my, pozbawieni ustawodawczej władzy u siebie, nie mogą uchylić wolnomyślnych praw, które sprzyjają przestępcom prawa Bożego. Ale rozkładowemu wpływowi ustaw wolnomyślnych przeciwstawić postanowili pracę wnętrzną i rozpoczęli działać na społeczeństwo bez nadziei na pomoc zewnętrzną.

Aby dokładniej określić szczegółowe obowiązki, zwołali wkrótce zjazd w Lutomierzu, na który stanęły także liczne tłumy wiejskiego ludu. Tu zapadła uchwała, żeby pracę zwrócić przedewszystkiem na drogę społeczną. Przybram, Tabor, Turnow, Kromieryż, Hradec Kralowy dwa razy, a Praga pięć razy widziały następnie katolików tłumnie gromadzonych, aby zdawać sobie sprawę z odniesionych zdobyczy we walce, i obmyślać dalsze potyczki. Prócz zjazdów walnych, pojedyncze okolice i poszczególne związki odbyły niezliczone mnóstwo narad i wieców. Na jednym z ostatnich Welehrad, święte miejsce Morawian, gościł 133-ch wysłańców zjednoczonej demokracyi chrześcijańskiej, którzy przedstawiali 8000 wyborców. Wyborczy głos przysługuje każdemu członkowi jakiegobądź Związku chrześcijańskiego, założonego czy to dla mężczyzn, czy dla kobiet. Więc wśród wiecowników zasiadły także robotnice, wysyłane z kobiecych towarzystw. Nie wszystkie dotąd związki chrześcijańskie przystąpiły do zjednoczonej demokracyi, a nawet wiele, zapisanych już pod wspólną chorągiew, na oznaczony dzień nie mogły obesłać wiecu. Tak wiejscy robotnicy połączeni w katolicki Związek rolniczy, mieli także prawie współcześnie odbyć swój wiec, który liczył dziesiątki tysięcy uczestników.

Na welehradzkim wiecu demokratów poseł dr. Stojan, wezwany na przewodnika, podziękował za zaszczytne zaprosiny, ale przyjął tylko chlubne miano przewodnika, a nalegał, żeby zgromadzeni raz już zaczęli oddawać przewodnictwo na wiecach katolickich zdolnemu przedstawicielowi warstw robotniczych,

najlepiej obeznanemu ze stosunkami. Nowa myśl wywołała zapał u jednych, obawy u drugich; w rozprawie stąd wynikłej żywo brały udział obecne wysłannice robotnic. Zwolennicy nowej myśli odnieśli zwycięstwo: wybór padł na Jana Šramka, który przewodniczył wiecowi z wynikiem bardzo pomyślnym.

Wiec usilnie pracował przez dwa dni. Rozpoczęty nabożeństwem, podczas którego wszyscy uczestnicy przystąpili do Komunii, widział ich ożywionych duchem jednomyślnym w czasie narad nad uchwałami. Po odczycie sprawozdawczym z pracy wydziału wykonawczego od czasu wiecu poprzedniego, wysłannik Aloizy Slowak osobno zdał sprawę z głównego nabytku, zdobytego w tym czasie dla zjednoczonej demokracyi, mianowicie z robotniczego domu „Cyrylo-Metodejskiego“ w Brnie. Odczyt Šramka o wewnętrznym ustroju stronnictw robotniczych wywołał uchwałę, mocą której zjednoczeni demokraci mogą na członka Związku przyjąć każdego człowieka pracy, ale odtąd nie udzielają praw wyborczych jak tylko członkom ze stanu ściśle robotniczego. Odczyty Szamalika i Valouszka rozstrząsały sprawę wkładkową i doprowadziły do uchwały, żeby wszyscy członkowie płacili wkładkę stałą, ale nie równą wszyscy, tylko stosowną do dochodów w każdym zawodzie[1]. Na wniosek wysłannika Jakubskiego wiec przedsięwziął środki dla ochrony drobnych kupców przed przewagą mocarzy pieniężnych. Nastąpił odczyt o stanowisku, jakie zająć wypada demokratom względem ustawy wyborczej: uchwały zapadły poufnie. Nakoniec wiec uchwalił, żeby morawsko-śląskie związki zjednoczone weszły w ściślejsze stosunki z czeskiemi najprzód, a następnie z międzynarodowym związkiem wszystkich demokratów chrześcijańskich.

Żywy ruch powstaje wskutek podobnych wieców i łączy katolików w coraz liczniejszych związkach. Rośnie teraz zastęp czasopism, wydawanych w duchu katolickim dla przeróżnych

[1] Ustanowiono wpisowe po koronie, a tygodniowe wkładki po 15, 20 i 30 halerzy; według stopnia wkładek Wydział udzieli zapomóg po 4, 6 i 8 koron tygodniowo.

warstw i stanów, a pisanych nader przystępnie. Szkoła i zabawa młodzieży, robotnik i kobieta, wieś i opisy kraju albo poglądy dziejowe: każdy zakres znajduje swoje pisemko, a nieraz nawet kilka, ale najgorzej socyalistom psuje szyki wydawnictwo *Kříž* i *Marie.*

Ks. K. Czaykowski.

Kronika ekonomiczna.

Wypłaty gotówką. — Upaństwowienie kolei północnej. — Autonomiczna taryfa celna. — Sprawozdania Towarzystw Rolniczych.

W marcu bieżącego roku zamieniano w Londynie czterdzieści kilogramów srebra za jeden kilogram złota, cena ta jest miarodajną, mówi i pisze się wiele o znikaniu gospodarczej przewagi Anglii, faktem jest jednak, że dotąd jeszcze Londyn jest punktem, w którym skupia się handel kruszcami szlachetnymi, tymi symbolami *par excellence* bogactwa. Ten niebywały stosunek wartości złota do srebra jest zewnętrznym wyrazem prawdziwej rewolucyi monetarnej, którą świat przeżył w ostatnich latach, a która wywołała stosunkowo minimalne wstrząśnienia. Ten przewrót da się streścić najogólniej przez stwierdzenie, że srebro spadło do rzędu monety zdawkowej.

W r. 1876 wydobywano z ziemi tylko dwa miliony i sto siedem tysięcy kilogramów srebra, w r. 1902 roczna produkcya wyniosła około półszosta miliona kilogramów, a zatem niemal potroiła się w ubiegłem ćwierćstuleciu, równocześnie jednak srebro straciło blizko dwie trzecie swej wartości. Za kilogram srebra płacono w r. 1870 — 222, w r. 1876 — 193, a obecnie około 80 franków; złoto staje się corazto bardziej wyłącznym materyałem monetarnym; z Waszyngtonu dochodzą w ostatnich tygodniach wiadomości o reformie na Filipinach, skierowanej do powolnego wyparcia z obiegu „białego kruszcu", srebrny piaster meksykański ma ustąpić miejsca amerykańskiej monecie srebrnej, pomyślanej jednak jako przejście do waluty złotej!

W Austryi zanosi się na dokończenie reformy monetarnej rozpoczętej w r. 1892, dzięki obfitości złota na targu międzynarodowym, rządy austryacki i węgierski zakupiły w ubiegłem dziesięcioleciu stosunkowo znaczne ilości tego kruszcu, którego jednak w całości nie

puszczały w obieg, ale oddały go w znacznej części w przechowanie bankowi austro-węgierskiemu; równocześnie puszczono w kurs pieniądze i banknoty papierowe opiewające na złoto, a których wartość pokryta jest złotem, złożonem w kasach banku; chciano w ten sposób zapobiedz odpływowi złota za granicę; obecnie rządy austryacki i węgierski przedłożyły parlamentom ustawę o podjęciu wypłat w gotówce, pozwalającą każdej chwili posiadaczom wspomnianych banknotów i pieniędzy papierowych żądać ich wymiany na monetę brzęczącą.

Podjęcie wypłat w gotówce w tej właśnie chwili spotkało się z silną opozycyą; przyznano, że jest to nieuniknionem następstwem przyjęcia złotej waluty, jako podstawy systemu monetarnego, ale zwrócono uwagę na niekorzystną obecną konstelacyę gospodarczą i polityczną. Ugoda z Węgrami nie zawarta Nasz bilans handlowy pogarsza się, a widoki na przyszłość są pod tym względem niekorzystne. Konwencya brukselska przyniesie niewątpliwe szkody naszemu wywozowi cukru, zmniejsza się eksport drzewa, nie wiadomo czy traktaty handlowe dojdą do skutku, a choćby nawet udało się zawrzeć traktaty handlowe, to w każdym razie na warunkach gorszych, jak obecne; bierność bilansu handlowego z pewnością nie ułatwi utrzymania złota w kraju. Konstelacya polityczna z powodu zamieszek na Bałkanie jest dla Austro-Węgier niepewną, nie mówiąc już o wewnętrznem położeniu, którego ani w Wiedniu, ani w Budapeszcie pomyślnem nazwać nie można. Oto powody, które skłoniły Koło Polskie do zajęcia stanowiska wyczekującego; sfery agrarne obawiają się spadku kursu listów zastawnych w razie podjęcia wypłat w gotówce.

* * *

Przez niemal zgodną opinię publiczną całego kraju tak gorąco upragnione upaństwowienie kolei północnej ma dla nas wielkie znaczenie narodowe. Kolej północna jest niewątpliwie w Galicyi czynnikiem germanizującym i to właśnie w tym północno-zachodnim kącie naszego kraju, który na to niebezpieczeństwo najsilniej jest narażony. Pod względem gospodarczym jednolitość polityki taryfowej, która będzie następstwem upaństwowienia, jest dla nas wielkiej wagi. Wobec agresywnej polityki kolejowej Węgier, wobec podnoszenia ceł przez Niemcy, niewątpliwie pożądaną jest możność przeciwdziałania przez skupienie w jednym ręku całej sieci kolejowej austryackiej. Obecnie jeżeli państwo chce poprzeć, dajmy na to wywóz drzewa tartego lub słodu, przez zniżenie taryf kolejowych w kierunku do granicy niemieckiej,

chcąc w ten sposób częściowo przynajmniej zrównoważyć podwyższenie ceł niemieckich na te towary, musi wejść w rokowania z koleją północną i innemi prywatnemi kolejami, które zabierają dużo czasu i nie zawsze uwieńczone są pomyślnym skutkiem. Toby na przyszłość odpadło. Prawdopodobnie także doszlibyśmy przez upaństwowienie wszystkich kolei prywatnych do większej przejrzystości taryf kolejowych. Obecnie nawet dla specyalisty, nie mówiąc już o zwykłych śmiertelnikach, trudną jest bardzo rzeczą zoryentować się w lesie najróżnorodniejszych przepisów taryfowych, — należy spodziewać się, że z chwilą zjednoczenia całej tej sprawy w jednym ręku obliczenie wysokości taryi stanie się łatwiejszem.

Obok tych ogólnych względów, przemawiających za upaństwowieniem wszystkich linii kolejowych istnieje szereg argumentów gospodarczych, które czynią dla naszego kraju upaństwowienie kolei północnej szczególnie ważnem, chodzi tu bowiem o główną arteryę naszego handlu, tędy kieruje się nasz wywóz do Prus i do innych krajów monarchii, a także i przywóz płodów przemysłowych z Wiednia i z Czech przeważnie tej drogi używać musi. Konfiguracya Galicyi i jej położenie geograficzne czynią ją w wysokim stopniu zależną właśnie od tej linii kolejowej, której zarząd obecnie nie zawsze w sposób dość życzliwy zastanawia się nad potrzebami gospodarczemi Galicyi.

Łudziłby się jednak ten, ktoby spodziewał się natychmiastowego urzeczywistnienia się tych wszystkich pomyślnych przewidywań. Oprocentowanie kapitału, pomijając już amortyzacyę, przez państwa nowożytne często niestosowaną, wyłożonego na zakupno kolei wymagać będzie znacznych funduszów, okaże się niezawodnie potrzeba podwyższenia taryf; co do kolei północnej uwzględnić trzeba prawdopodobne obniżenie się jej rentowności z powodu budowy konkurencyjnego kanału Kraków-Wiedeń.

* * *

W zakresie stosunków handlowo-politycznych zaszły w ostatnich czasach wypadki, które wywołają niewątpliwie wielki przewrót w życiu gospodarczem monarchii austro-węgierskiej. Znane są wszystkim burze parlamentarne, połączone z dojściem do skutku nowej niemieckiej taryfy celnej z 25 grudnia 1902 r. Obstrukcya wychodziła przedewszystkiem z obozu posłów socyalistycznych, występujących w obronie spożywców, w obronie szerokich mas ludności robotniczej i miejskiej, na których najbardziej zaciąży proponowane znaczne podwyższenie ceł

agrarnych. Wedle nowej niemieckiej taryfy celnej za przywóz stu kilogramów żyta, jęczmienia lub owsa będzie się płaciło po 7 m. do skarbu państwa jako opłatę celną, za 100 kg. pszenicy cło będzie jeszcze wyższe, a mianowicie wynosić będzie 7·5 m. od 100 kg. Dawniejsza niemiecka autonomiczna taryfa celna z r. 1887 ustanowiła cła znacznie niższe, a mianowicie pszenica i żyto miały opłacać po 5 m., owies 4 m., a jęczmień tylko 2·25 m., ale i te cła doznały dalszej zniżki w drodze traktatów handlowych, Niemcy zobowiązały się bowiem udzielić szeregowi państw pewnych opustów od norm ustanowionych w autonomicznej taryfie celnej zapewniwszy sobie oczywiście odpowiednie ustępstwa celne ze strony państw, z któremi zawarły układy. W grudniu 1891 r. doszły do skutku traktaty handlowe między Niemcami z jednej a Włochami, Austro-Węgrami, Belgią i Szwajcaryą z drugiej strony. Na podstawie tych grudniowych traktatów 100 kg. pszenicy i żyta przywożonego z Austro-Węgier do Niemiec nie płaciło już 5 m., jak poprzednio, ale tylko 3·5 m., cło na owies zniżono do 2·80, a na jęczmień do 2 m. Ponieważ Niemcy na podstawie klauzuli największego uprzywilejowania przyznanej prawie wszystkim państwom musiały ustępstwa uczynione jednemu państwu przyznać tym wszystkim, z któremi pozawierały umowy tego rodzaju, przeto te stosunkowo nizkie cła umowne stały się w praktyce powszechnie obowiązującemi.

Wobec niezmiernie wysokich ceł niemieckiej autonomicznej taryfy z r. 1902 zachodzi pytanie, czy nie można pocieszać się myślą zniżenia tych ceł w drodze traktatów handlowych. Grudniowe umowy obecnie się kończą, może przy sposobności nowych rokowań uda się zniżyć te cła do poziomu obecnych ceł umownych albo przynajmniej obronić się od ich nadmiernego podwyższenia. Niemieccy agraryusze przewidzieli jednak i ten wypadek, a nawet udało im się ewentualnościom tym częściowo zapobiedz. Za przykładem Francyi a pod naciskiem silnej agitacyi agrarnej, przyjęto w taryfie autonomicznej z r. 1902 t. zw. zasadę podwójnej, maksymalnej i minimalnej taryfy. Francuski system polega na tem, że parlament dla każdej pozycyi taryfy celnej uchwala dwie cyfry: jednę wyższą, drugą niższą; cyfra wyższa obowiązuje wobec tych państw, z któremi nie zawarto traktatów handlowych, natomiast cyfra niższa jest oznaczeniem z góry granicy ustępstw, które rząd może zrobić państwom zagranicznym przy sposobności rokowań o traktaty handlowe. Niemcy zastosowały zasadę taryfy podwójnej tylko do zboża, a mianowicie ustawa celna z r. 1902 orzeka,

że cło na pszenicę nie może być zniżane poniżej 5·5 m., cło na żyto i owies poniżej 5 m., na jęczmień browarny poniżej 4 m.

W podobnym stosunku podniósł rząd niemiecki cła na inne towary rolnicze. Wymienimy w pierwszym rzędzie te, które są dla Austro-Węgier a zwłaszcza dla Galicyi najgroźniejsze: ogromnego podwyższenia doznały opłaty celne od zwierząt domowych. Dawna niemiecka taryfa celna z r. 1887 ustanawiała cło od wołu w wysokości 30 marek, w traktatach grudniowych cło to zniżonem zostało na 25·5 m. od sztuki, natomiast taryfa z r. 1902 bierze za podstawę oznaczenia cła wagę zwierzęcia, a mianowicie 18 m. od 100 kg., to znaczy, że za wołu o wadze 6 ctm. będzie się płaciło 108 m.; obecnie transportowano z Austro-Węgier do Niemiec woły opasowe, których waga przekraczała zazwyczaj 6 ctm., na przyszłość opasanie wołów u nas w kraju będzie interesem mniej rentownym, co najwyżej będzie się opłacał wywóz wołów chudych, których opas stanie się zyskiem niemieckich pośredników; cło na świnie Niemcy podnieśli z 6 m. od sztuki na 18 m. od 100 kg., cło na konie podniesiono o kilkaset procent, w dalszem następstwie tych zmian podniesiono także znacznie cła na produkta zwierzęce: na masło (z 20 na 30 m.) i na jaja (z 3 na 6 m.).

Dla pozyskania głosów niemieckich przemysłowców nie zapomniano w nowej autonomicznej taryfie celnej o wydatnej ochronie nawet tych wytworów przemysłowych, które właściwie ochrony nie potrzebują, które są w stanie współzawodniczyć na targach zagranicznych.

Przykład Niemiec znalazł naśladowców; niedawno rządy austryacki i węgierski przedłożyły swym parlamentom identyczny projekt nowej autonomicznej taryfy celnej o charakterze wybitnie protekcyjnym zwłaszcza w kierunku agrarnym.

Przedewszystkiem wprowadzono także i u nas system francuski taryfy podwójnej, ograniczony jednak za wzorem Niemiec do czterech głównych gatunków zboża; projekt nakłada na pszenicę cło w wysokości 7·5, na żyto 7, na owies 6, na jęczmień 4 K. od 100 kg., a cła minimalne dla tych czterech pozycyi wynoszą 6·30, 5·80, 4·80 i 2·80 K., dotychczasowe autonomiczne cła wynosiły dla pszenicy i żyta po 3, a dla jęczmienia i owsa po 1·5 K. w złocie, były zatem znacznie niższe od obecnych ceł minimalnych, które obowiązywać będą tylko w razie zawarcia traktatów handlowych.

Cło na woły podniesiono w projekcie z 30 K. w złocie od sztuki na 60 K., podwyższono także cło na świnie, natomiast aczkolwiek nie wahano się zastosować tego samego systemu protekcyjnego do wytwo-

rów przemysłowych, to przecie cło od maszyn rolniczych sprowadzanych z zagranicy do Austro-Węgier podniesiono tylko nieznacznie.

To znaczne podwyższenie ceł rolniczych uznały stronnictwa agrarne austryackiego parlamentu za niewystarczające. Gdy Rząd przedłożył swój projekt, powstała przeciwko niemu silna opozycya, która jednak nie odpowiada rzeczywistym potrzebom rolnictwa, a jest oczywiście sprzeczną z ogólnym interesem monarchii.

Niemieccy rolnicy w swoich usiłowaniach na polu polityki handlowej są w daleko szczęśliwszem położeniu, jak rolnicy zamieszkali w Austryi. Państwo niemieckie, płody rolnicze z wyjątkiem cukru i chmielu importuje, a zatem nie jest krajem wywozowym, to też tamtejsi rolnicy zadowolić się mogą jasnym i prostym programem handlowo-politycznym, polegającym na żądaniu wysokich ceł w autonomicznej taryfie celnej, oraz na żądaniu, aby cła te w drodze traktatów handlowych nie były zniżone.

Rolnicy w Austryi są niestety w zupełnie innem położeniu. Rolnictwo austryackie pod wielu względami jest jeszcze produkcyą obliczoną na eksport, to też nie wystarcza za pośrednictwem autonomicznej taryfy celnej zabezpieczyć austryackim rolnikom zbyt na targu wewnętrznym, trzeba im także przez odpowiedne zredagowanie traktatów handlowych zapewnić zbyt poza granicami monarchii. Radykalna agitacya agrarna w Austryi jest poprostu wynikiem owczego pędu i lenistwa umysłowego; zamiast wytworzyć sobie program handlowo-polityczny, zastosowany do tutejszych warunków produkcyi i handlu, zadowolnili się naczelnicy tego ruchu kopiowaniem przykładów niemieckich, domagają się np. nałożenia cła na drzewo do Austryi przywożone, — jest to nie tylko niepotrzebne, ale może także zaszkodzić naszemu rolnictwu; niepotrzebne, ponieważ drzewa w znaczniejszych ilościach obecnie nikt do Austryi nie przywozi, przeciwnie Austrya wywozi znaczną ilość drzewa przedewszystkiem do Niemiec, trzeba więc starać się nie o wysoką autonomiczną taryfę celną na drzewo, lecz trzeba starać się o zniżenie ceł niemieckich w drodze korzystnego traktatu handlowego.

Nałożenie cła na drzewo może nam zaszkodzić, ponieważ wiadomo, że zły przykład wywołuje naśladownictwo, Włosi mogą nałożyć cło na drzewo z wielką szkodą dla Austryi, która dotąd wywoziła drzewo do Włoch bez opłaty cła. Przykładów takich możnaby przytoczyć więcej.

Obecnie przedewszystkiem zależy na możliwie najrychlejszem

zawarciu ugody Austro-Węgierskiej; póki nowa autonomiczna taryfa celna nie jest gotowa, Austro-Węgry nie mogą rozpocząć rokowań z innemi państwami o odnowienie traktatów handlowych. Jeżeli parlament austryacki pocznie zmieniać przedłożenia rządowe, parlament węgierski zechce niechybnie pójść w jego ślady; jeżeli się zmieni jednę lub kilka pozycyi, okaże się potrzeba zmiany całego ich szeregu, ponieważ pozycye te pozostają w ścisłym związku. W ten sposób nie doszlibyśmy nigdy do porozumienia między Austryą a Węgrami, a temsamem do rozpoczęcia rokowań o traktaty handlowe, które z wielu względów są dla rolnictwa niemal ważniejsze, jak autonomiczna taryfa celna.

Niektóre z żądań agrarnych natchnione są wyłącznie stanowym interesem i świadczą o zupełnem niezrozumieniu ogólnego interesu państwa. Żądanie nałożenia cła na len, bawełnę i wełnę, szkodzi w wysokim stopniu przemysłowi, a dla rolnictwa ma minimalne znaczenie, albowiem chów owiec nawet w razie nałożenia cła na wełnę, nie ma w danych warunkach żadnych widoków powodzenia; tak daleko idące żądania kompromitują tylko ruch sam w sobie zdrowy i pożyteczny.

Krakowskie i lwowskie Towarzystwo rolnicze nie stawia tak daleko idących żądań, radykalny ruch agrarny ma swą siedzibę w innych krajach koronnych.

* * *

Pojawiły się sprawozdania Towarzystw rolniczych w Krakowie i we Lwowie z czynności za r. 1902, z których okazuje się, że korporacye te są w pierwszym rzędzie organami państwowej i krajowej administracyi agrarnej. Zarówno państwo, jak kraj, przeznaczają pewne kwoty na podniesienie rolnictwa, częścią tych funduszów zawiadują bezpośrednio w własnym zarządzie, część natomiast przekazują Towarzystwom rolniczym, z zastrzeżeniem zużycia tych kwot na cele przez państwo, względnie przez kraj wskazane. I tak np. kraj zakłada szkoły rolnicze, sam dobiera nauczycieli, układa plan nauk, słowem bezpośrednio niemi zawiaduje, natomiast kwotę przeznaczoną na podniesienie chowu trzody chlewnej przelewa do kasy towarzystw rolniczych, które z funduszów w ten sposób uzyskanych kupują rozpłodniki, wynagradzają najlepsze sztuki na wystawach i t. d.

Ten sposób pośredniego zużywania tych funduszów bynajmniej nie jest przypadkowym, jest bowiem jasną rzeczą, że ani państwo, ani kraj nie mają uzdolnienia do bezpośredniego zawiadywania wszystkimi

funduszami, przeznaczonymi na podniesienie rolnictwa. Władzom państwowym lub urzędnikom Wydziału krajowego byłoby trudno ocenić, jaka rasa bydła jest najodpowiedniejszą do chowu w danej okolicy, u którego gospodarza należy umieścić buhaja przeznaczonego do poprawy miejscowego bydła, gdzie takiego buhaja wybrać i t. d. Potrzebną do tych czynności dozą fachowej wiedzy rolniczej i znajomości miejscowych stosunków rozporządza w pierwszym rzędzie sama ludność rolnicza, to też jest rzeczą wskazaną zapewnić jej pod tym względem samorząd.

C. k. galicyjskie Towarzystwo gospodarskie we Lwowie wykazuje, że uzyskało w roku 1902 zasiłków państwowych i krajowych w łącznej kwocie przeszło 212 tysięcy koron, z czego przypada na państwo 134, a na kraj 78 tysięcy. Lwia część tych funduszów, a mianowicie 104 tysięcy koron przeznaczonych jest na podniesienie chowu bydła rogatego.

Badając działalność Krak. Tow. Rolniczego, skierowaną do podniesienia hodowli bydła rogatego, dochodzimy do przekonania, że różni się od analogicznych prac, podjętych przez Gal. Tow. Gospodarskie we Lwowie nie tylko *in merito* odmiennym wyborem odmian bydła, do rozpowszechnienia przeznaczonych, ale także pod względem formalnym, zupełnie odmienną metodą dążenia do osiągnięcia zakreślonego celu. We Lwowie premiowania nie uchodzą za dobry środek podniesienia hodowli bydła rogatego; tam urządzają z roku na rok coraz mniej premiowań, natomiast kładą nacisk na zakładanie jak najliczniejszych stacyi buhai. Także i ostatnie sprawozdanie z czynności za rok 1902 daje wyraz coraz to rosnącemu sceptycyzmowi wobec skuteczności, a co za tem idzie, racyonalności premiowań. W sprawozdaniu lwowskiem, w rozdziale poświęconym hodowli bydła rogatego, czytamy:

„W ciągu lat dziesięciu, przez które zawsze uwzględniając życzenia Oddziałów, większą ilość wystaw przeglądowych urządzaliśmy, przyszliśmy do przekonania, że wystawy te nie prowadzą jeszcze u nas do zamierzonego celu. Premie, które wobec większej ilości wystawców musiały być skromne, nie mogły działać rzeczywiście zachęcająco, a z drugiej strony, w przeważnej części powiatów materyał przyprowadzany bywał tak lichy, że na większe premie pod żadnym względem nie zasługiwał. Wobec tego, mając fundusze i tak bardzo szczupłe, które na innej drodze o wiele korzystniej dadzą się zużytkować, postanowiliśmy uważać te wystawy na razie li tylko jako wystawy przeglądowe, a więc urządzać je na to tylko, ażeby mieć przegląd,

o ile gdzie chów bydła się podnosi i postępuje, a tem samem urządzać je znacznie rzadziej, niż dotąd" (str. 20).

W r. 1902 urządzono w Galicyi wschodniej tylko cztery wystawy przeglądowe bydła włościańskiego, połączone z premiowaniem łącznym kosztem 1821 koron, natomiast wydano 61 tysięcy koron na zakupno i utrzymywanie buhajów licencyonowanych, chcąc doborem odpowiednich osobników męskich poprawić miejscowy typ bydła. Komitet zakupuje buhaje na własny rachunek, a gdy staną się niezdolne do użytku, sprzedaje je na swą korzyść, utrzymującym stacye płaci komitet zasiłek 120 koron rocznie, nakładając na nich w zamian za to obowiązek odlatowania 60 krów obcych. Zakupno buhajów uskutecznił Komitet w r. 1902 kosztem około 29 tysięcy koron, na utrzymanie buhajów wydał 31, a ze sprzedaży niezdatnych uzyskał 20·6 tysięcy koron. Towarzystwo miało z końcem r. 1902 — 327 buhajów na stacyach, zakupionych w oborach pełnej i pół-krwi, których dalsze zakładanie i uzupełnienie kosztowało w roku 1902 blisko 30 tysięcy koron. Do obór zarodowych pełnej krwi daje Komitet także i sztuki żeńskie: materyał do tych obór bywa niejednokrotnie sprowadzany z zagranicy, oczywiście stosunkowo znacznym kosztem. Z 18-tu obór zarodowych 13 postawiło sobie za cel hodowlę Simmethalerów czystej krwi. W tym kierunku Towarzystwo lwowskie doszło już do niewątpliwie dodatnich wyników. Najlepszym tego dowodem, że obory te sprzedają buhajki, jako materyał rozpłodowy do Królestwa, Podola ros. i Ukrainy, uzyskując po 600 do 700 kor. za jałówki, a 600 do 800 koron za buhajki; dawniej przy tworzeniu nowych i kompletowaniu starych obór zarodowych zakupywało Tow. lwowskie cały materyał zagranicą, obecnie część rozpłodowego materyału żeńskiego nabywa w kraju.

Krakowskie Tow. Rolnicze popiera głównie chów miejscowego czerwonego bydła polskiego, w tym celu urządziło w roku 1902 premiowań 29 łącznym kosztem 9790 koron, na stacye buhai wydano 17000, a na kompletowanie obór zarodowych (nie utworzono żadnej nowej) 4325 kor. System dawania buhajów na stacyę jest zupełnie odmienny od praktykowanego w Tow. lwowskiem; tam, jak już wspomnieliśmy, buhaj pozostaje własnością towarzystwa, które go kupiło i które go później sprzedaje na własny rachunek, a hodowca otrzymuje wynagrodzenie za żywienie i utrzymywanie buhaja, w Galicyi zachodniej zdecentralizowano akcyę, zakupuje nie towarzystwo centralne, ale towarzystwa okręgowe, które oddają buhaje po dwóch la-

tach na własność hodowcy, pod warunkiem zwrotu połowy ceny zakupna, albo, jeżeli rolnik ma odpowiedniego własnego buhaja, płacą mu subwencyę od 40—100 k. rocznie. Ilość stacyi buhajów w Galicyi zachodniej wynosi 274.

Tow. Krakowskie otrzymuje od rządu i kraju po 25 000 koron rocznie na podniesienie chowu bydła rogatego.

Znacznie mniejsze kwoty poświęcają nasze władze publiczne na podniesienie chowu trzody chlewnej. Galicya wschodnia otrzymała na ten cel w r. 1902 — 17, a zachodnia 14 tysięcy koron; Towarzystwo lwowskie popiera głównie chów trzody angielskiej (Yorkshire) krakowskie uważa za najbardziej odpowiednią dla miejscowych warunków „poprawną trzodę krajową", wprawdzie nie rozwijającą się tak szybko, jak angielska, ale odporniejszą na choroby.

Na chów koni otrzymują oba towarzystwa razem 20 tysięcy kor., z których $^1/_3$ przypada na Galicyę zachodnią; jest to stosunkowo tak drobna kwota, że o akcyi wydatniejszej w tym kierunku mowy być nie może.

Produkcya roślin jest w stosunku do starań nad podniesieniem hodowli zwierząt domowych zaniedbaną, aczkolwiek właśnie w ostatnich czasach zbać żywszy ruch na tem polu.

Z polecenia rządu oba towarzystwa zajmują się zestawianiem statystyki zbiorów, t. j. obliczeniem, ile zebrano pszenicy, ziemniaków, bobu i t. d. Krakowskie otrzymało na ten cel w r. 1902 — 3100, a lwowskie towarzystwo 3400 koron; biuro statystyczne dla Galicyi zachodniej zestawiło prócz tego w r. 1902 — statystykę cen robocizny i statystykę parcelacyi za ostatnich lat trzynaście, z której wynika, że rozparcelowano w tym czasie w 26 powiatach zachodniej Galicyi przeszło 40 tysięcy morgów.

Tow. krakowskie założyło i prowadzi t. zw. biuro rachunkowe, które prowadzi rachunki dla uczestników biura — instytucya zwłaszcza potrzebna dla gospodarstw średnich rozmiarów, które nie mogą opłacać osobnego rachmistrza, uczestnicy przesyłają miesięczne wykazy, z których w biurze zestawia się księgę główną za stosunkowo minimalną opłatą, prócz tego biuro opracowywuje fasye do podatku osobisto-dochodowego roczne i zamknięcia rachunków. Korzyści są wielorakie; przedewszystkiem rolnicy rzadko dokładnie wiedzą, co im w gospodarstwie najwięcej przynosi dochodu: chlewnia, czy mleko z obory, zboże, czy łąki lub las. Dopiero dokładne księgi rachunkowe pozwa-

lają usunąć ten brak i skupić główne zapasy pracy i kapitału w tej gałęzi gospodarstwa, która w danych warunkach jest najrentowniejszą.

Krakowskie Towarzystwo rolnicze sprzedało w r. 1902 wojsku sto kilkadziesiąt gatunków żyta, dostawionego przez członków. Po raz pierwszy urządzono konkurs kartoflarek celem przekonania się, która fabryka wyrabia najlepsze narzędzia do wykopywania ziemniaków.

Mleczarstwo w Galicyi zachodniej ma dużo do zawdzięczenia staraniom Krakowskiego Tow. Rolniczego, które w czasie od r. 1896 do końca 1902 roku rozdało narzędzi mleczarskich za łączną kwotę około 34 tysięcy koron; 28 mleczarń powstałych staraniem Tow. Roln. przerobiło w r. 1902 — 3·7 milionów litrów mleka na masło. Urządzono także kurs mleczarski w Szczurowej celem wykształcenia kierowników dla mleczarń.

A. M.

Trzeci wiec katolików Dolnej Austryi.

O potrzebie i pożyteczności wieców katolickich, państwowych, czy krajowych, nie wątpi żaden świadomy swych celów i środków katolik. A przecież cały szereg lat dzieli nas od ostatniego kongresu katolików całej Astryi, a i w Dolnej Austryi ostatni wiec odbył się przed $4^1/_2$laty. Obecnie coraz dotkliwiej dająca się odczuwać potrzeba wspólnej i jednolitej obrony katolickiej sprawy, obmyślenia i urzeczywistnienia środków obronnych, wywołała tegoroczny wiec Dolno-austryacki i wywoła, jeśli spory narodowościowe nie przeszkodzą temu, z przyszłą wiosną wiec ogólny katolików całej Austryi.

Czteroletni z górą okres czasu, dzielący obecny wiec Dolno-austryacki od ostatniego, wykazuje wcale pokaźny rezultat pracy katolickiej na polu organizacyi, tego niezbędnego czynnika skutecznej akcyi. Jest to jednym ze skutków ostatniego wiecu, że liczba związków katolickich tak szybko wzrosła w Dolnej Austryi, jak dowodzi tego porównanie cyfr ówczesnych z obecnemi. I tak w szczególności: 1) stowarzyszenia pobożne wzrosły od r. 1898 z liczby 263 do 290; 2) związki kościelne z 128 do 163; 3) towarzystwa dobroczynne z 143 do 162; 4) związki szkolne i korporacye studenckie z 211 do 263; 5) związki majstrów, czeladników, terminatorów i robotników z 103 do 130; 6) związki polityczne z 54 do 71; tylko, jak wykazuje dotyczące spra-

wozdanie, związki społeczne niestety nie wzmogły swej liczby, pozostały w dawnej cyfrze 161. Ogółem okres czteroletniej pracy wykazuje wzmożenie się w siłę organizacyjną 248 nowych związków.

Tak piękny rezultat drugiego Dolno-austryackiego wiecu pozwala podobne rokować nadzieje o wpływie i skutkach obecnego katolickiego kongresu. Dwa dni, bo tylko 10 i 11 maja obradujący wiec wiedeński, choć szeroki założył sobie zakres pracy, choć głównie zamyślał przygotować tylko i ułatwić zadanie i pracę blizkiego ogólnego zjazdu katolików Austryi, przecież nietylko temu ogólnemu celowi należycie odpowiedział, ale także gorliwą pracą na posiedzeniach zbiorowych, a zwłaszcza w poszczególnych sekcyach, i rezolucyami utorował sobie drogę do osiągnięcia podobnych, a może i większych korzyści, niż wiec ostatni, a temsamem zupełnie potwierdził pokładane w nim nadzieje.

Przedmioty obrad rozdzielił wiec w pięciu sekcyach: „organizacya", „szkoła", „sprawy socyalne", „prasa" i katolickie życie". Tu, jak zwykle, rozwinął wiec najkorzystniejszą, najdonioślejszą w skutki pracę. Uchwalono utworzenie Komitetu wykonawczego wiecu, budowę kościołów we Wiedniu, walkę przeciw ruchowi „Precz z Rzymem", przeciw niemoralności, obmyślano praktyczne rozszerzanie dobrej i pożytecznej prasy, postanowiono zakładać czytelnie ludowe, założyć stowarzyszenie wszystkich dziennikarzy katolickich i centralne biuro prasy katolickiej w Wiedniu, nie zapomniano wreszcie i o kwestyi pojedynkowej. Niepodobna wejść w szczegóły wszystkich dyskusyi, niepodobna podać choćby samych, dotyczących rezolucyj w szczegółach. Wystarczy zwrócić baczniejszą uwagę na pracę dwóch sekcyi, rozwiniętą przeważnie na polu ogólno-światowem, a co najmniej ogólno-austryackiem, a mianowicie dyskusye i uchwały w kwestyi szkolnej i socyalnej.

W sekcyi socyalnej omawiano kwestye związków robotniczych i kwestyę reformy przemysłowej. W pierwszej, opierając się na zasadzie, że i robotnik ma prawo dążyć wspólną pracą do polepszenia swego bytu materyalnego i do ułatwienia sobie korzystania ze zdobyczy kulturalnych obecnej doby, a widząc, że opieka państwa i ustawodawstwo właśnie na tem polu bardzo wiele pozostawia do życzenia — uznano ten sposób organizacyi robotniczej za środek jedynie wskazany. Zadaniem tego ogólnego związku robotniczego ma być: a) „żądać i czuwać nad zachowaniem i dokładnem zastosowaniem w praktyce istniejących już ustaw, stających w obronie robotnika"; b) „pracować nad rozszerzeniem i odpowiednim do postępu kultury rozwojem tych ustaw";

c) „dokonać dzieła polepszenia materyalnego i moralnego bytu robotników za pomocą zorganizowanej samopomocy, a w szczególności przez polepszenie płacy i ułatwienie pracy, przez obronę prawną, przez zakładanie kas udzielających pożyczek, a wreszcie przez wychowanie i wykształcenie robotnika w jego zawodzie". Według zasad chrześcijańskich związki te kierować się mają przedewszystkiem uczuciem sprawiedliwości, a uważając pracodawcę za niezbędny czynnik produkcyi, nie mają nigdy z zasady brać udziału w walkach klasowych. „Zadaniami religijnemi i politycznemi zajmować się nie powinny, pozostawiając zwłaszcza religijne podźwignięcie klas roboczych... katolickim związkom robotniczym". Ostatnie te wskazówki, przyjęte przez sekcyę, jako rezolucye dotyczące „chrześcijańskich związków robotniczych" umotywowano okolicznością, że wielu chrześcijańskich robotników, zrażonych wrogiem dla chrystyanizmu usposobieniem socyalistów, a z drugiej strony obawiających się rzekomego wstecznictwa i klerykalizmu wyznaniowych związków katolickich, w ten sposób pozyskać sobie będzie można. Związki te konieczne są ze względu na interes całego społeczeństwa, ponieważ, pomijając już stronę i znaczenie wychowawcze, są one niezbędnym warunkiem do usunięcia rozstroju między wytworem a zużyciem towaru, do ograniczenia i usunięcia nie opartej na realnych podstawach konkurencyi.

Socyalna sekcya domaga się imieniem wiecu, w kwestyi reformy przemysłowej, w miejsce dotychczasowych dwuznacznych ustawowych norm, jednolitego, zwięzłego, jasno zrozumiałego prawa przemysłowego i w tym celu pochwalając istniejący już w parlamencie wydział przemysłowy, domaga się jego pozostawienia i wspomożenia go w tem zadaniu przez rząd. Nowe prawo ma przedewszystkiem wziąć w obronę i zabezpieczyć drobny i średni przemysł przeciw wyzyskowi i złej konkurencyi. Następnie uchwalono rezolucyę, polecającą rządowi czuwanie nad wykształceniem terminatorów, zaradzenie dalszemu obchodzeniu istniejących już praw w kwestyi wychowania tej młodzieży, a wreszcie zobowiązanie terminatorów do słuchania w niedziele mszy św. i katechizmu.

Dalsze rezolucye dotyczyły zaradzenia niegodziwej konkurencyi i kartelom, zakładania obowiązkowych kas chorych w interesie członków stowarzyszeń przemysłowych, wreszcie nałożenia na nich przez państwo obowiązkowego zabezpieczenia się na starość lub niezdatność do pracy.

Ciekawą jest poruszona nakoniec kwestya zakładania wspólnych

do stowarzyszenia rolniczego należących składów zboża. Jeżeli dobrze są one zorganizowane, zarządzane i zaopatrzone stosownym kapitałem obrotowym, i jeżeli przytem i właśnie z powyższych powodów pozyskają sobie zaufanie ludności rolniczej, to przynoszą one korzyść tak dla produkcyi jak dla konsumpcyi nieocenioną. Gdy takie składy zorganizowane są ze sobą sprężyście, budzą one u ludności uczucie solidarności; pod gorliwą opieką pozostające te składy zapobiegają oszustwom, wydając oczyszczone zupełnie zboże; rolnik należący do stowarzyszenia, poznaje ceny zboża światowe i krajowe i co na te ceny wpływa, a w ten sposób potrafi korzystne, nowe znaleźć sobie rynki zbytu, wreszcie sprzedaje zboże wprost konsumentom, przez co i ci taniej je nabywają i on drożej sprzedaje.

Konsumenci nadto dostawać będą mogli zboże po cenach umiarkowanych nawet w czasie nieurodzaju, ponieważ składy te mają zachowywać zasoby z obfitszych w urodzaje lat ubiegłych. Tymi wszystkimi względami powodowani uczestnicy wiecu uchwalili między innemi: 1) zapomocą pism, zgromadzeń, za pośrednictwem agentów, rozszerzać wśród ludności zrozumienie zbawiennych skutków zakładania takich składów; 2) zakładać w całej monarchii, w bliskości stacyi kolejowych, w pewnych odstępach i liczbie podobne składy stosownie do potrzeb; 3) łączyć pojedyncze składy w jedno stowarzyszenie krajowe, te zaś w państwowe; 4) polecić te składy władzom wojskowym, ponieważ zboże przez niesumiennych dostawców dotąd dostarczane wojsku, bardzo często zanieczyszczone, sprowadza złe zdrowotne następstwa w armii.

Przechodząc pobieżnie tylko najgłówniejsze punkta uchwał wiecowych, wiele uchwał i dyskusyi sekcyi socyalnej pominąć musimy milczeniem.

W sekcyi szkolnej zastanawiano się najpierw, o ile miejscowe Dolno-austryackie ustawodawstwo krajowe szkolne potrzebuje reformy. Główną wagę tak w dyskusyi jak w rezolucyach, zwrócono na kwestyę wyboru władz nadzorczych szkolnych gminnych, powiatowych i krajowych. Zaznaczono, że kościelnym tylko władzom przysługuje nadzór nad nauką katechizmu, że pierwotnym liberalnym duchem owiane ustawodawstwo upośledziło stanowisko Kościoła w reprezentacyi władz szkolnych miejscowych czy krajowych; wreszcie domagano się polepszenia materyalnego bytu nauczycielom szkół niższych. Uwagę zwraca powtórzone już tylokrotnie, ale zawsze dotąd bezskuteczne żądanie wiecu, aby zaprowadzono naukę religii w szkołach przemysłowych. Podniesiono różnicę, że podczas gdy młodzież gimnazyalna miała zawsze

w planie nauk religię, której zakres z czasem rozszerzono, daleko bardziej opuszczona, bo już niemal w latach dziecinnych zrywająca węzeł z rodziną, młodzież rzemieślnicza pozbawiona jest wykształcenia ducha i serca. Również i plan nauk w szkołach przemysłowych należałoby o tyle zmienić, aby młodzież mogła w niedzielę wypełnić swe obowiązki katolickie.

Bardzo pięknie podniesiono i uwydatniono na pierwszem ogólnem zebraniu „potrzebę katolickiego uniwersytetu w Austryi". Po wykazaniu, że wiara katolicka nie tylko nie sprzeciwia się, ale popierała zawsze i popiera prawdziwą wiedzę, uzasadnił mowca potrzebę katolickich szkół średnich i wyższych w Austryi, potrzebę szkół takich, w którychby wiary nie wystawiano na pośmiewisko. Napiętnował następnie mowca stronniczość, panującą przedewszystkiem w uniwersytecie wiedeńskim, nie dopuszczającą do katedry ludzi zupełnie uzdolnionych, ale śmiało wyznających zasady katolickie. Ilustrują tamtejsze stosunki podane przez mowcę cyfry: na prawniczym wydziale wiedeńskim, na 27 profesorów jest 12 Żydów, na medycznym na 81 profesorów i docentów jest 27 Żydów, a na filozoficznym na 79 prof. 22 Żydów. Wpływ takich nauczycieli okazuje się wyraźnie. Pomijając już żydowską młodzież, która szybko opuściła bankrutujący obóz liberalny, aby przenieść się do nowego silnego obozu socyalistycznego, widzimy, że ruch „precz z Rzymem", o ile stracił kredyt u ludu, o tyle zyskał u młodzieży, która garnie się gromadnie do partyi Wszechniemieckiej. Wobec prądów przeciwpaństwowych, szerzących się bezkarnie po wszechnicach, założenie katolickiego uniwersytetu jest konieczną potrzebą państwa, gdy o prawowierności katolików wątpliwości najmniejszej być nie może.

O zadaniu katolików w obecnej dobie mówiono na ostatniem ogólnem posiedzeniu. Domagano się tam znów energicznie religijnego, w duchu szlachetnym i patryotycznym pokierowanego wychowania młodzieży. W tym celu domagać się trzeba przedewszystkiem religijnych nauczycieli we wszystkich szkołach. Drugiem zadaniem jest przywrócenie dawnej rodziny chrześcijańskiej, kształcącej i wychowującej żywym przykładem. Udział w życiu publicznem, to zadanie trzecie, a w niem zawiera się walka przeciw tak potężnej złej prasie, popieranie moralne i materyalne, rozszerzanie dobrej prasy. Ostatniem, najważniejszem zadaniem, to łączność organizacyjna wszystkich stowarzyszeń i związków katolickich w jedno ciało, bo w tej jedności leży siła. *Ks. K. Krokoszyński.*

Ankieta „Kuryera teatralnego".

Kuryer teatralny urządził ankietę o „repertuarze teatralnym, pesymistyczno-zmysłowym". Pytania były następujące:

1) Czy dzisiejsza literatura pesymistyczno-zmysłowa wywiera wpływ dodatni, czy ujemny?

2) Czy kierownik teatralny w wyborze sztuk ma zwracać uwagę jedynie na wartość literacką i sceniczną danego utworu, czy także na etyczną?

3) Czy można łączyć powodzenie kasowe z uwzględnieniem moralnych potrzeb ogółu?

4) Czy niewystawianie sztuk pesymistyczno-zmysłowych tamowałoby rozwój literatury?

5) Jakiego rodzaju sztuki są najodpowiedniejsze na widowiska popołudniowe i niedzielne?

Ogłaszając tę ankietę, redakcya zaznaczyła wyraźnie własne zdanie. Oto słowa:

„Zmysły i pesymizm, pesymizm i zmysły, oto literatura dramatyczna ostatniej doby. Pesymizm, który od dłuższego czasu panuje w poezyi, przeszedł z książki na scenę, stał się dostępnym dla różnych warstw i różnych poziomów umysłowych. Jaka stąd korzyść wypływa dla społeczeństwa? Zdania są różne: jedni twierdzą, że wpływ tej literatury jest dodatni, inni, że ujemny do najwyższego stopnia, deprymujący, przygnębiający. Co do nas, solidaryzujemy się z drugim poglądem... Nam potrzeba wiele zdrowia moralnego i fizycznego do pracy wytrwałej, nam potrzeba ludzi silnych duchem i ciałem. A czy dzisiejsza literatura rozwija zdrowie moralne, czy też szerzy chorobę? Szerzy chorobę, gdyż szerzy pesymizm, a pesymizm, to straszny gnębiciel! On osłabia energię, on krępuje usiłowania, wiedzie do niewiary, wiedzie do nienawidzenia ludzi, siebie i życia. Więc krzywdę szerzy dzisiejsza literatura! Dzisiejsi moderniści nie zastanawiają się nad żadnemi obowiązkami ducha ludzkiego, nad jego dążeniami, stali się jedynie analizatorami i budzicielami zmysłów, jak gdyby one wypełniały całe życie ludzkie. W analizach swoich są tak ściśli, że nawet nie odwracają się ze wstydem od cynizmu, przeciwnie, zdają się nim lubować, i szerzą bezwstyd".

Na powyższy okólnik *Kuryera* nadeszło kilkadziesiąt odpowiedzi. Między innymi wzięli udział w ankiecie: Sienkiewicz, Zalewski, Bartoszewicz, dyrektor teatru krakowskiego, Kotarbiński — i wiele innych nazwisk, mniej, lub więcej znanych.

Wiele odpowiedzi brzmiało zgodnie z zapatrywaniem redakcyi, urządzającej ankietę — większa część sprzecznie.

Wskutek tego, że nieliczny był udział literatów z powołania, ogólne wrażenie ankiety, pod względem literackim, jest słabe. Wiele frazeologii, wiele mętnych pojęć, czczych ogólników, czasem w jednej i tej samej odpowiedzi sprzeczność. Pod tym względem typowa jest odpowiedź p. Zofii Wójcickiej, stającej w obronie kwestyonowanej literatury. Naprzykład zdanie takie: „Dlatego, że tematem dramatów Przybyszewskiego p r z y p a d k i e m jest grzeszna miłość, p r z y p a d k i e m, b o t a k s a m o t e m a t e m s z t u k j e g o mogłaby być np. d z i e d z i c z n o ś ć, a l b o m o c lub n i e m o c w o l i, a l b o c o ś i n n e g o, g d y b y s a m e g o P r z y b y s z e w s k i e g o o b c h o d z i ł y t e k w e s t y e, g d y b y d u s z a j e g o o d d z i a ł y w a ł a t a k s i l n i e n a n i e, j a k n a k w e s t y ę t a m t ą, dlatego więc obrzuciliście Panowie całą współczesną twórczość poetów dramatycznych mianem ‚erotyczno-pesymistycznej'“. Przypomina się aforyzm o wąsach i cioci.

W innem miejscu potępia autorka zwyrodniałą literaturę Zachodu: „nic nam po spróchniałym i zdegenerowanym Zachodzie — a więc precz ze starzyznami Dumasów i Sardou! Precz z cynizmami Capusów i Hennequinów“. Mimo to jednak dla Przybyszewskiego, który z wyjątkiem kilku apostrof do gleby kujawskiej, cały jest odbiciem berlińsko-skandynawskiej kultury, zachowuje nadal gorący afekt i woła patetycznie: „Ty panie Przybyszewski płaczesz nad utratą czystości duszy, a raczej tęsknisz do niej (czy do czystości, czy do jej utraty?) — to dobrze, rozumiem cię i płaczę z tobą“.

Wiele myśli trafnych — nie wszystko — znajdujemy w odpowiedzi p. Massoniusa. Najpierw słuszna uwaga, że słowo „modernizm“, jako kierunek sztuki, nie oznacza nic ściśle określonego. Oznacza tylko to, co jest dziś, co jest wytworem ostatniej chwili, a te wytwory są bardzo różne — przed stu laty i po stu latach można było i można będzie używać tego słowa, w tem samem, co dziś znaczeniu. Stąd też niesłusznie podciągnęła Redakcya *Kuryera teatralnego* pod wspólny mianownik złego modernizmu całą dzisiejszą polską twórczość ostatniego pokolenia i niesłusznie całą tę twórczość potępiła, jako

zmysłowo-pesymistyczną. Powstają przecież dzisiaj u nas utwory wcale nie zmysłowe i wcale nie pesymistyczne.

Trafnie też pisze p. Massonius o etycznej stronie literatury. Wielu po dziś dzień krytyków pojmuje stanowisko etyki wobec dzieła sztuki, jako coś, co dziełu temu zewnętrzne. Pan Massonius słusznie pojmuje etykę i artyzm w dziele sztuki, jako nierozerwalną jedność. Słowa te warto przytoczyć:

„Wartość etyczną dobrego dzieła sztuki stanowi poważny, surowy i na równowadze moralnej świata oparty pogląd na życie, który jest każdego takiego dzieła podstawą, i bez którego żadne powikłanie pomiędzy ludźmi nie może być prawdziwie i pięknie pomyślanem, ani przedstawionem. Innej wartości etycznej dzieło sztuki nie ma, ta zaś jest już w jego wartości literackiej i scenicznej całkowicie i nieodłącznie zawartą. Wprawdzie pomimo wszystkich usiłowań ściśle i poważnie myślących estetyków od Lessinga do Guyau, banalny przesąd o wrzekomym wpływie moralizatorskim (nie o wartości moralnej) dzieł sztuki nie daje się wykorzenić z głów nie tylko tłumu, lecz i przygodnych krytyków estetycznych. Niemniej jest to dla życia moralnego świata prawdziwem szczęściem, że przesąd ten tkwi tylko w głowach, nie zaś w sercach.

„Gdyby — Boże uchowaj — naszem życiem moralnem rządzić miała wogóle sztuka, a w szczególności teatr, — byłby to głęboki i beznadziejny upadek moralności.

„Teatr nie może, nie powinien nam zastępować ani kazalnicy, ani szkoły, ani życia. Ale teatr, w którym są dobrze grane sztuki piękne i głębokie, wywiera na nas taki sam dodatni wpływ moralny, jak wszelka sztuka: pogłębia pogląd na porządek moralny świata“

Na tej podstawie oczywistem jest, jaką powinna być odpowiedź na wszystkie pytania ankiety — co zwłaszcza sądzić o literaturze pesymistyczno-zmysłowej, a zwłaszcza zmysłowej. Niech sprawy dobije krótka, może w słowach za silna, ale w gruncie rzeczy słuszna, odpowiedź Sienkiewicza:

„Szanowny Panie!

„Ruja pojawia się tylko w pewnych porach roku i nie wypełnia całkowicie życia nawet zwierzęcego, tem bardziej więc nie może wypełnić ludzkiego.

„Z tego względu kierunek, oparty wyłącznie na porubstwie,

jest nie tylko szkodliwy etycznie, ale, jako niezgodny z prawdą i naturą rzeczy, wydaje mi się w znaczeniu estetycznem naciąganym, nieszczerym, zatem bezwartościowym.

„Zresztą, nie znając większej części sztuk, o które chodzi, nie mówię o nich, tylko wypowiadam zdanie ogólne".

Oby zdrowe zdania tej ankiety pomogły do podniesienia poziomu naszych teatrów. Teoretyczna strona kwestyi jest dla każdego nieuprzedzonego i logicznie rozumującego oczywistą, praktyczna zaś dałaby się, mimo pewnych trudności, w tym samym duchu załatwić. A wielki cel społeczny godzien tego trudu.

Do sprawy teatru wypadnie nam kiedyś w osobnem studyum powrócić, dlatego poprzestajemy dzisiaj na roli bardzo zwięzłego sprawozdawcy.

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończono 30 maja 1903 r.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

Kiedyś Gaszyński, rzucony losami poza ognisko rodzinne do odległej prowansalskiej krainy, gdy zbliżył się pogodny wilijny wieczór, oparł na dłoni zadumaną głowę i pobiegł tęskną myślą pod ojczystą strzechę —

Matko! już piąty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu i piąty raz zima.
W rodzinnej ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętej wieczerzy siedzieli.

I nie tylko młody poeta przeczuwał, ale wiedział na pewno, że w tej uroczystej chwili i matka o nim myśli:

Dziś, kiedy wszyscy u stołu stanęli,
Ty patrząc wkoło tęsknemi oczyma,
Myślisz w twej duszy: „Konstantego niema...“

A oprócz smutnego oblicza matki, wyrywającego się z pochyłych ścian cichego dworku i z białych śniegów północy, przesunęło się pewno przed myślą wygnańca i wiele innych, na tle tej uroczystości rysujących się, wspomnień. I nigdy może nie wyrywała mu się tak dusza do rodzinnego kąta, jak w tej chwili.

Ma ta religijno-rodzinna uroczystość jakąś dziwną właściwość, że owiana jest dla każdego serca nieogarnionym wdzię-

kiem. Ci co nie mogą jej obchodzić, tęsknią do niej, a każdy, biorący w niej udział, czuje, że jest pod mocą i potęgą wielkiego uroku.

W czem tego przyczyna? To nagłe uciszenie się w tej chwili wszelkich rozterek i zapomnienie na małości życia, połączone z błogiem zamyśleniem i cichem weselem, jakaś przeczysta pogoda, złocąca się po całym widnokręgu duszy, czyż nie są to stany uczucia, które tylko w podniosłej chwili, a zarazem przy kontemplacyi jakiegoś wielkiego piękna powstają? Leży też z pewnością w tej wilijnej chwili, równolegle z wielką rodzinną i religijną doniosłością, jakieś głębokie i prawdziwe piękno — może nawet wiele jego odcieni na to dziwne uczucie się składa.

Nieraz już ta wilijna uroczystość w życiu wracała. Trwała krótką chwilę, jakby w przelocie tylko o duszę skrzydłem trącała, a zawsze piękna, jasna, wychylała się z pasma dni, jak z pośród leżących w cieniu pól oświecone wzgórze. I nieraz myśl, ku niej zbliżając się, pytała: W czem twa siła, twój urok, twoje piękno, leży.

☆

☆ ☆

Trudno byłoby pomieścić na jednem płótnie wszystkie motywy, które na myśl o wilii ulatują tłumem z serca, pamięci i wyobraźni i stają przed rozważającym umysłem. Potrzebaby stworzyć kilka obrazów, jakiś tryptyk może.

...Gdzieś z błękitów, na srebrnym promieniu pierwszej zjawiającej się gwiazdki, spływa ku ośnieżonym polskim strzechom Boże Dzieciątko. Pod strzechami, na głównej izbie domostwa, w świetle jarzących się świec i w blaskach złotej choinki, łamie rodzina z serdeczną rzewnością opłatek, a w głębi, w izbie czeladnej, przy trzaskającem w piecu łuczywie, rozsiedli się, w świątecznych, kolorowych strojach, domownicy i śpiewają z kantyczek pieśni. Ciepło to i błogie szczęście rodzinne otula z zewnątrz mroźna, uroczysta cisza, rozścielająca się po nieprzejrzanych śniegach, i tylko gdzieś czasem, późniejszą godziną,

zaskrzypi śnieg, a na skręcie wiejskiej ścieżki jawi się czerwono świecąca szopka z wędrowną gromadą kolędników.

To Bóstwo, niebiańskim wdziękiem i nieskażoną ziemską krasą olśnione, zstępujące na ziemię i do serc jej mieszkańców z nieprzebranymi skarbami łaski — a na tej ziemskiej nizinie, ścielące się do świętych stópek Dzieciątka, czyste, chrześcijańską ideą uszlachetnione, rzewne uczucie rodzinnej miłości — wraz z gminną pieśnią i sztuką ludową, naiwną, prostą i w swej niezrównanej prostocie nigdy nie więdniejącą — to byłyby trzy główne, na pierwszy rzut oka uderzające motywy tego wilijnego czaru.

Przypatrzmy się każdemu z nich z osobna.

☆

☆ ☆

Naturalnie, że oko pada najpierw na postać główną, około której wszystkie inne się grupują, i z której, jak z ogniska światła, padają promienie na całą uroczystość. Ta postać naczelna, nowonarodzone Dzieciątko Boże, nie jest obecne, ale o niem wie się z historyi i z nauki wiary, słyszy się o niem i widzi się je w sztuce i kolędzie ludowej, a co najważniejsza, czuje się jego bliskość wiarą i uczuciem, w duszy i w sercu. Czujemy w tej chwili obecność jego tak, jakby ono dopiero teraz, wobec nas, na świat schodziło.

Jak określić urok tego Dziecięcia?

Już pierwszy rzut oka nam mówi, że przyczyna tego wielkiego podniesienia duszy, jakiego w tej chwili doznajemy, tkwi w religijnej dziedzinie.

Religia prowadzi nas w tym dniu w świat szczęścia, miłości i pokoju. Opowiada nam o nieskończonej miłości Boga ku ziemi, jak dla tej miłości Bóg staje się dziecięciem, jak schodzi na padół człowieczej nędzy po to, aby ludzi odkupić i przynieść im pokój i szczęście doczesne i wieczne. Witamy tego Boga, nie tylko jako Pana, ale i jako miłośnika naszego, jako własne szczęście i ukojenie duszy naszej. I nietylko. Kiedy tak, rok po roku, w dniu tym staje przed myślą obraz nowonarodzonego

Dziecięcia Bożego, to ma być on widomym znakiem tych duchowych narodzin Chrystusa, jakie spełnić się winny w sercu każdego człowieka i w duszy ludzkości całej. Stąd też witamy to narodzenie Boże, jako własne odrodzenie w Bogu, jako narodzenie Boga, nie poza nami, ale w nas, jako własną, najistotniejszą cząstkę i nierozdzielne posiadanie nasze, najgłębszem umiłowaniem z nami zjednoczone, jako złotą wiosnę, która, gdy raj Adama zamknięty, rozkwieca w duszach ludzkich jakiś nowy raj Boży.

Prócz tego nadnaturalnego wpływu działa na nas religia w tej chwili i inną swoją wybitną własnością — przez swoje głębokie piękno. Gdy nadnaturalne działanie religii jest istotą tej uroczystości, piękno jest zewnętrzną postacią, w której ta istota się przejawia — gdy działanie pierwsze zwraca się więcej ku władzom wyższym i zdąża ku udoskonaleniu duszy, działanie piękna kieruje się ku wyobraźni i uczuciu i wprowadza je w zachwyt. Stąd też jeżeli chodzi o tę bezpośrednią przyczynę uroku, jaki się w atmosferze wilijnej rozlewa, oczywista, że należy jej szukać w dziedzinie piękna. To nam też tłumaczy, dlaczego nawet ludzie dla religii dość obojętni, urokowi tej chwili ulegają.

Spróbujmy zatem określić bliżej to piękno, w jakiem nowonarodzony Chrystus przed nami się zjawia.

W sprawach piękna, jeżeli chodzi o dokładne określenie, jaki w danym wypadku jest jego odcień piękna, jaki stopień lub natężenie, niema innej drogi, jak refleksya nad wrażeniem i uczuciem, jakie rzecz piękna w nas wywołuje, jak dalej zestawienie tego uczucia z innemi poprzedniemi wrażeniami, których przedmioty uznaliśmy za piękne.

Pierwszy krok w tem poszukiwaniu nie jest trudny. Widok Bożego niemowlęcia nasuwa odrazu pamięci jeden szczególny odcień piękna, nazywany wdziękiem.

Wdzięk dziwnie do serca przemawia i jest jakby łagodnym uśmiechem piękna, jakim ono do duszy ludzkiej drogę sobie toruje. Nie każde piękno jest wdziękiem, bo wdzięk prócz piękna inny jeszcze przymiot w sobie mieści. Jest w duszy lu-

uzkiej granicy estetycznej rozkoszy, jeszcze jakieś zadowolenie więcej społeczne, jakie człowiek odczuwa, gdy znajduje cześć, szacunek, oddawanie się mu drugich w opiekę. I w tem właśnie urok i wpływ wdzięku zdaje się spoczywać, że wraz z zadowoleniem estetycznem i temu drugiemu, społecznemu zadowoleniu zadość czyni. Jest w każdym wdzięku jakieś miłe wpraszanie się w łaskę, jakieś łagodne przymilanie się, jakby zakradanie się do serca. Skromny fiołek ukryty w trawie — harmonijny dźwięk dalekiego dzwonu, płynący łagodnie wśród wieczornej ciszy, po rosie — ciche migotanie gwiazdy — lekkie różane brzaski wiosennego świtu — dziewiczość, prostota, niewinne oko dziecięcia — wszystko to, jakby błagało, żeby im duszę otworzyć.

Któryś z naszych poetów, odczuwający szczególniej odcienie wdzięku, pisał, że z raju pozostały na ziemi dwie rzeczy: gwiazda i oko dziecka. Pod tym podwójnym znakiem rajskiego wdzięku odbywa się wigilia.

Zjawiła się na zimowem niebie pierwsza gwiazda, jak ongi gwiazda nad betleemską szopką, a wraz przed pamięcią jawi się w przepięknej krasie ziemskiego wdzięku, jak śnieżny płatek lilii zarumieniony wiosennym świtem, ta prześliczna dziecina z Bożą pogodą na czole. Nikła, w pieluszki uwita, tak patrzy serdecznie i rzewnie, jakby serca jakiegoś i miłości naokół szukała. Dokoła tego dziecięcia niema żadnego przepychu, ani nawet dostatku, tylko tak przemawiające do serca, pełne wdzięku ubóstwo i prostota — żadnego dworu, ni orszaku — chyba tylko ci wiejscy pasterze i kochająca matka.

Nic dziwnego, że na ten widok tak uroczy budzi się w sercu zachwyt. A zachwyt ten potęguje się w miarę, im lepiej ktoś rozumie, że to dziecię nie jest nam obce, dalekie, ale, że łączy się ono, jako Bóg, z całem naszem życiem doczesnem i wiecznem, z całą naszą istotą, tysiącznemi nierozerwalnemi węzłami. I tu z zachwytem łączy się niezamącony pokój, jasna pogoda, błogie wesele, bo odczuwamy, że całe nasze życie, całe nasze przeznaczenie są światłem tego Bożego wdzięku przejaśnione,— że nowa religia, nowe prawo, które to Boże dziecię przynosi, muszą być

jak i ono, pociągające, tym samym wdziękiem ozdobione — że posłannictwem tego Dziecięcia może być tylko pokój i szczęście ludzi, a prawem jego tylko miłość.

Już w tej ostatniej refleksyi myśl wybiegła daleko poza drobną postać niemowlęcia, dotknęła się o Boga, o całe życie i przeznaczenie ludzkie. Po przez postać dziecka odsłonił się niespodzianie przed myślą jakiś szeroki widnokrąg, jakbyśmy przez małe okienko wglądnęli nagle w głąb jakiejś olbrzymiej świątyni.

Tu z wdziękiem jednoczy się przedziwnie jakiś inny odcień piękna — z tonem łagodnym ton silniejszy, — do szczęśliwego zachwytu uroczystości wilijnej, do błogiego wesela, przyłącza się w duszy jakaś uroczysta cisza, jakieś wysokie podniesienie myśli i uczucia.

Są piękna, wobec których powstaje w duszy podziw i zdumienie. Czy to olbrzymi szczyt górski, czy ocean, czy burza — czy ogromne tłumy ludu, wielką ideą krucyaty przejęte i wołające jednym głosem: Bóg tak chce — albo bohater, który oddaje dla szlachetnych celów swe życie w ofierze — słowem, każde zjawisko, co uderza wzrok jakąś nadzwyczajną mocą, ogromem, potęgą, opanowuje duszę całą podziwem, i myśl z ciasnego kółka ziemskich rachunków do idealnej wyżyny podnosi. I stąd tego rodzaju piękna nazywamy powszechnie wzniosłemi.

Nie jest łatwo opanować refleksyą omglone, w niewyraźnych kształtach snujące się po wszystkich zakątkach duszy, uczucie, jakiego doświadcza się wobec wzniosłego zjawiska. Czujemy tylko, że jakaś struna, zwykle spokojnie w duszy drzemiąca, w tej chwili drgać w nas poczyna i dzwoni cicho, ledwo dosłyszalnie jakimiś nieziemskimi tonami, jakich w wirze i zamęcie codziennego życia w sobie nie słyszymy. Myśl, potrącona niezwyczajną wielkością i potęgą wzniosłego przedmiotu, poczyna biedz po tej samej linii dalej, aż dokąd sięgnąć potrafi, a na końcu tej drogi dotyka się nieświadomie i po omacku jakiegoś momentu nieskończoności i wieczności. I ten moment jest tem ziarnem, z którego wykwita wzniosłe uczucie.

Jeżeli już te blade ślady nieskończoności i wieczności,

rozrzucone po przyrodzie i ludzkiem życiu, sprawiają tak podniosłe wrażenie, jak wzniosłem jest to uczucie wtedy, gdy staje przed nami, przesłoniona wprawdzie drobnymi kształtami dziecka — sama Nieskończoność i Wieczność.

Tę wzniosłość Bóstwa z innych jeszcze względów odczuwamy. W samej chwili wilijnej umysł, podobnie jak wobec każdego niezwykłego zjawiska, nie zdaje sobie dokładnie sprawy ze wszystkich składających się na uczucie czynników; czynniki te jednak już poprzednio w duszy istniały, a teraz potrącone uroczystą chwilą, zaczynają mimo naszej wiedzy działać na wyobraźnię i serce.

Najpierw ten podniosły urok, jaki mają tajemnice wiary, gdzie człowiek na każdym kroku czuje, że stoi wobec nieprzepartej i nieogarnionej mocy i potęgi Bóstwa, tajemnice olbrzymie i dla małego umysłu ludzkiego niepojęte, na pół tylko wychylające się z nieba ku ziemi — ten urok i w tej chwili duszą owłada, gdy stają przed nią narodziny Boga, mieszczące w sobie cały szereg tajemnic. Boże Wcielenie — dziewiczość i macierzyństwo Maryi nierozerwalną związką zespolone — wreszcie rodzenie się doczesne wiecznego Boga — misterya te unoszą się tak nad żłóbkiem betleemskim, jak nad złotemi wrotami bazylik rozwiesza się olbrzymie malowidło Pantokratora. To też wielcy artyści wzniosłość tej tajemnicy silnie odczuwali. Odczuł ją Mickiewicz w hymnie o Zwiastowaniu, kiedy dla oddania, jak w jednej chwili odbyło się Wcielenie Boga, używa instynktownie porównania, które prócz nagłości i wzniosłość tajemnicy maluje. W doraźnem, urwanem tempie rytmicznem zestawia Wcielenie z innem wzniosłem i potężnem zjawiskiem, jakiem jest majestat burzy:

Grom, błyskawica!
Stań się — stało:
Matka Dziewica
Bóg ciało!

To podniosłe uczucie potęguje się jeszcze bardziej wobec tego, że rozumiemy doniosłość historyczną Bożych narodzin. Są

one przecież w historyi słupem granicznym, do którego szły powolnym krokiem, z niewysłowioną tęsknotą w sercu poprzednie pokolenia i epoki. Po wielkich bohaterach, kutych ze stali i z granitu, którzy świat jedną żelazną opasali obręczą, zjawia się nagle w przydrożnej stajence małe dziecię i zaczyna drobną rączką kreślić na ziemi nowe linie, któremi dzieje przyszłe iść mają. Jest w tem małem dziecku, dźwigającem na drobnych ramionach losy świata, wzniosłość olbrzymia.

Jak wielkie to sprawiało wrażenie, kiedy po starych naszych opactwach i klasztorach, co i dziś się odbywa, czytano na początku wilijnej wieczerzy ustęp z martyrologium rzymskiego, w którym nowonarodzone Dziecię pojawia się na tle wszystkich wieków. Gdy w sklepionej sali tak uroczysta panowała cisza, że szelest spadających węgiełków z jarzących się świec słychać było, wychodził lektor na katedrę i czytał. Odczytywał tylko wybitniejsze daty i wypadki, poprzedzające Narodzenie Boga — ile lat minęło od stworzenia świata, od potopu, od wielkich patryarchów, proroków i królów, aż wreszcie... „w olimpiadzie 194 — od zbudowania miasta Rzymu roku 752 — roku cesarstwa Oktawiana Augusta 42 — gdy świat cały weselił się powszechnym pokojem — szóstego wieku świata — Jezus Chrystus, Bóg wieczny i Syn wiekuistego Ojca, chcąc najłaskawszem przyjściem swojem świat poświęcić, z Ducha świętego poczęty po dziewięciu miesiącach poczęcia narodził się w Betleem, mieście Judy, z Panny Maryi, stawszy się człowiekiem. Narodzenie Pana naszego Jezusa, według ciała".

Ustęp ten przedstawia się jak wielka płaszczyzna dziejowa, z pośród której jeden olbrzymi szczyt wystrzela, a tylko tu i owdzie z sinej oddali, małe podgórza do stóp jego się garną.

Do tych dwu, tak wyjątkowo zespalających się, odcieni piękna: wzniosłości i wdzięku, dodajmy jeszcze i tę cudowność, jaka szopkę betleemską otacza, i tę różnorodność prześlicznych postaci, które w niej widzimy, począwszy od pastuszków, a skończywszy na Najświętszej Matce. Ta przeczysta Matka-Dziewica, cieniem i ziemią nie dotknięta, uosobiony wdzięk chrześcijańskiego świata, tuląca z macierzyńską miłością Bożego i swego

Syna do piersi — u boku święty oblubieniec i opiekun, a u stóp jej, w modlitwie i zachwyceniu wiejscy pasterze, ludzie prości i szczerzy, jak ten świeży powiew wiatru rannego, który ku nim codziennie z łąk i pastwisk płynął, — cała ta grupa, zjawiająca się, w śniegu anielskich skrzydeł i w promieniach cudownej gwiazdy, na samym progu ery chrześcijańskiej, jak jest rzeczywistym początkiem tej ery, tak też i najpiękniejszym jest jej ideałem.

Nic też dziwnego, że średniowieczni ludzie, którzy najlepiej może ideał ten odczuwali, na tych płótnach, które miały przetrwać wieki, kazali malarzom przedstawiać siebie samych u stóp tej Dziewicy i jej Syna, w niemym zachwycie, — jakby w tym zachwycie chcieli pozostać na zawsze.

To byłby pierwszy motyw wilijnego czaru, a zarazem i podstawa dwu innych. Już teraz wystarczy pokrótce dwu innym motywom się przypatrzyć.

☆

☆ ☆

Na wilię święci swoją uroczystość i miłość rodzinna. Jest to uczucie w ten wieczór tak gorące i rzewne, jak może nigdy indziej, a tak uszlachetnione i oczyszczone z wszelkich małostek, nieporozumień, rozterek, tak każdy członek rodziny stara się na tę chwilę usunąć wszystko, co mogłoby z jego strony równowagę ogółu zakłócić, i tak usiłuje się dostosować do innych, że żaden cień tej jasnej ciszy nie zakłóca. I to nie z jakiegoś obrachowania, ale z jakiejś jakby wrodzonej potrzeby serca, ażeby przy tej właśnie uroczystości wszyscy byli jednem sercem i duszą jedną, ażeby w tej chwili królowała niepodzielnie miłość. Zacierają się wszystkie różnice, nawet ten rozdział, jaki jest między panem a służącym zmniejsza się, bo i on jest przypuszczony do udziału w święcie. Równość, niezamącona niczem swoboda, a nad tem wszystkiem miłość, to wszystko przejaśnione światłem Bożych Narodzin — oto jakiś stan, jakby wymarzony na ziemi. Nic też dziwnego, że każdy kto może, z najdalszych kątów świata, śpieszy się na tę chwilę szczęścia pod dach rodziny.

Jak pojąć tę miłość, gdzie szukać jej początku, jakiej pod nią dopatrywać się idei, skąd ta potrzeba, ażeby choć raz w rok ucieleśnić tę idealną miłość w życiu?

Czy to jakaś prastara tradycya szczepowa, przeżytek pogańskiej uroczystości, którą przed przyjściem chrześcijaństwa, na tych ziemiach w dniu tym obchodzono? Jak wyglądała ta uroczystość, na czem polegała, bliżej nie wiemy, bo pozostało z niej ledwie kilka zwyczajów ludowych. Ostatecznie, gdy Kościół w miejsce tej uroczystości podstawił naszą wilię, można zrozumieć, że po tyluwiekowej tradycyi pogańskiej i chrześcijańskiej, potrzeba obchodzenia tego dnia uroczyście, stała się prócz religijnego zwyczaju, zwyczajem narodowym, jakąś koniecznością plemienną. Ale czy ta dawna uroczystość była tem, czem jest dzisiejsza? czy była świętem rodzinnej miłości?

Tę miłość przyniósł dopiero Chrystus.

Gdy patrzymy, jak wyglądała rodzina po wszystkich kątach świata, przed przyjściem Chrystusa, jak matka i żona była tylko niewolnicą, gdy dzieci, jak w Sparcie, o tyle tylko zostawiano w domu, o ile zdrowe ciało rokowało siłę do pracy, gdy całej rodzinie nadawały jedność tylko korzyść osobista i despotyzm ojca — i gdy z tym stanem porówna się rodzinę chrześcijańską, przy tej wilijnej wieczerzy, gdzie tylko jedno serce we wszystkich, to rozumie się, gdzie źródło tej miłości i jaka myśl się pod tą uroczystością kryje. Tę myśl najlepiej oddaje, symbol Chrystusa, wilijny opłatek, który wszystkich łamiących się jednoczy, — tak Chrystus, rodząc się w duszy każdego ze swą miłością, wszystkie ogniwa rodziny w jeden złoty łańcuch zespala. I stąd ta miłość rodzinna, to ta prześliczna, pełna wdzięku miłość, jaką ze żłóbka betleemskiego podaje światu Boże Dzieciątko, a ta uroczystość wilijna, to jakby usilna chęć, z wdzięczności płynąca, ażeby choć raz w ten pamiątkowy wieczór święty, miłość ta urzeczywistniła się w pełności.

Jakiż to wspaniały widok, gdy w jednej i tej samej chwili wszystkie rodziny całego kraju, każda z osobna w swojem domowem ognisku, zespalają się w uczuciu miłości czystej, szlachetnej, niczem niezamąconej, a wszystkie te serca, myśli i uczu-

cia ludzkie jednoczy w sobie nieskończona Miłość, panująca z betleemskiego żłóbka.

Tylko smutno się robi, że ta wielka miłość, która z Chrystusem na świat przyszła, zamkniętą została w ciasnem kółku rodzinnem, a na szerokim świecie, w społeczeństwach, w państwach, we wszystkich ich stosunkach, nie widać jej wiele. Nie chce ludzka ułomność dopuścić, aby i tam narodził się Chrystus.

☆

☆ ☆

U wrót betleemskiej szopki zakwitła bujnie nasza poezya ludowa. Zakwitła jako uroczy kwiat nie tyle polskiej sztuki, jak raczej polskiej wiary.

Wystarczy nam w tem miejscu zaznaczyć jeden rys jej istotny. W czem jej siła?

Oto — prócz tego naiwnego wdzięku, jaki mieści się w przeniesieniu wszystkich okoliczności Bożego Narodzenia na nasze tło, prócz bezpośredniej szczerości myśli i uczucia — w tej wierze prostej i żywej, która przemawia, bo mówić musi, bo prze ją do tego i gorąca miłość Boga i zachwyt wobec tego niemowlęcia, co tak wysoko ubóstwo wyniosło. I jak ci pasterze betleemscy proste Bogu swemu składali dary, tak i lud nasz staje u żłóbka z poezyą swoją, jakby z kobiałką, w której uboga danina się mieści. Każdy jednak, kto rzetelną wartość sztuki odczuwa, wobec wiary tej żywej i gorącej, przebaczy i braki formy i brak artystycznej miary. W tej chwili wilijnej ta poezya jest droższą od najdoskonalszego arcydzieła, bo prostotą swoją odźwierciedla nam tę prostą duszę, z jaką nieogarnioną tę tajemnicę przyjmować należy, bo nadto tak dobrze uprzytomnia nam prostotę betleemskiego żłóbka.

We wilijny wieczór pieśń ta wszędzie rozbrzmiewa. I pod strzechami i w miastach, na ścieżkach i pod oknami domów — zewsząd jak kraj długi i szeroki, pieśń ta płynie z ust i z serc milionów ku cudownemu Dzieciątku, jako gorące dziękczynienie dusz i jako pokorna cześć na wysokościach Bogu.

A gdy wybije północ i w roziskrzoną noc zimową rozejdzie się dźwięk kościelnych dzwonów, roi się na ścieżkach i ulicach i tłumy śpieszą na pasterkę. Wśród gorących modlitw i pieśni o nowonarodzonym Bogu zbliża się szybko ta chwila, gdzie w świątyni nastanie cisza, lud zegnie kolana, a kapłan podniesie w górę narodzone Boże Dzieciątko.

Ks. Jan Pawelski.

GŁOS POLSKIEGO BISKUPA O SOCYALIZMIE.

Leon XIII przemówił po polsku...

Te słowa mogły przejść przez myśl niejednemu z czytelników listu pasterskiego, w którym metropolita lwowski, ksiądz arcybiskup Bilczewski przedstawił naukę Kościoła o sprawie społecznej. Co Leon XIII powiedział całemu światu, to słyszymy teraz z ust polskiego arcypasterza, powiedziane do nas polskim językiem i polskiem sercem. Jak Leon XIII z apostolską odwagą wytknął wolnomyślnemu światu jego winę w niesprawiedliwym ustroju społecznym, tak ksiądz metropolita wglądnął w stan naszego społeczeństwa i do naszych potrzeb, do naszych bied, do naszych win zastosował społeczną naukę Papieża Robotników. Z Rzymu wziął prawdę, którą wypowiedział bez ogródki także wydziedziczonym warstwom narodu, a z ojcowskiego serca, na jakie stać polskiego biskupa, wziął zapał, z którym przemawiał, wziął prostotę głębokiego uczucia, z którem pragnie nakarmić i dusze czytelników spragnione prawdy, i ciało zgłodniałych nędzarzy.

Od pierwszych słów dostojny pisarz zrywa z utartą drogą, po której idzie ta część wyższych warstw społeczeństwa, która cośkolwiek myśli o niebezpiecznych stosunkach. Narzekają na złe czasy, a do myśli nie dopuszczają cienia obawy, czy nie ich wina naprężyła stosunki, czy nie przez własne samolubstwo narażają lada chwila tysiączne swoje majątki na upadek, albo nie ściągają na siebie następstw jeszcze straszniejszych. Rozprawiają,

jak zażegnać niebezpieczeństwo, ale tylko jedną stronę zawiłej sprawy rozpatrują: szukają sposobu, jakby wtłoczyli w stare koryto wezbrany prąd umysłów niezadowolonych, jakby ponawiązywali na nowo poprzednie stosunki swoje z wyrobnikiem, który dawniej nie mruczał, że krzywdy doznaje. Zamknąć te usta, z których płyną groźby przewrotu, ukołysać całą ziemię, która podziemnym hukiem zwiastuje, że zdoła wstrząsnąć budową społeczną, gotowa rozsypać ją w gruzy — zabezpieczyć dawny spokój wygodnym posiadaczom: to treść znacznej części dzisiejszych rozmów pośród warstw przewodnich, to jedyna zagadka, którą rozwiązać usiłują te rozmowy, kiedy rozstrząsają sprawę społeczną. Mało kto tym warstwom śmie zadać inną zagadkę i zapytać się o drugą stronę sprawy społecznej: jak trzeba urządzić stosunki, aby nędzarz, dziś wydziedziczony, łatwiej zdobył dobrobyt?

Kościół rozpatruje tę sprawę z obu stron. Leon XIII i arcybiskup Bilczewski rozumieją „przez sprawę społeczną to zagadnienie, jak urządzić w z a j e m n e stosunki i p o ż y c i e bogatych i ubogich, pracodawców i robotników i wogóle w s z y s t k i c h warstw i stanów między sobą, aby k a ż d y otrzymał to, co się mu sprawiedliwie należy, i osiągnął możliwy na ziemi dobrobyt“. Kiedy wśród wrogo przeciw sobie usposobionych warstw społecznych każda pożąda jedynie dobra dla siebie, z uszczerbkiem dla drugiej, Kościół chce jednych i drugich odciągnąć od strasznych zapasów i wszystkich zaspokoić przez sprawiedliwy stosunek dóbr i stosowny wymiar dochodów. Nie pożytku szuka Kościół dla siebie, ani miłej dla siebie zabawy, kiedy podchodzi do poważnionych, jako rozjemca, ani wdzięcznego słowa nie usłyszy czy to od nędzarzy, czy to od możnych samolubów. Jednych i drugich wzywa do ustępstw wzajemnych; ani jednym ani drugim nie obiecuje dogodzić z krzywdą przeciwnej strony. Więc ściąga na siebie podejrzliwy sąd rzemieślnika, robotnika i włościanina, jakoby na ich szkodę podawał rękę bogaczom i pracodawcom. Z drugiej znowu strony bogaci gotowi podejrzywać Kościół, że z ich krzywdą skłania serce ku warstwom uboższym, ile razy kapłani wypominają

pracodawcom, że nikomu nie wolno zapoznawać ani deptać praw należnych robotnikom, bo te ich prawa płyną z obowiązków ich świętych, nałożonych na nich jako na chrześcijan, na ojców rodziny, i obywateli. Z jednej i z drugiej strony groza pełna niebezpieczeństw czeka Kościół za to, iż wchodzi między warstwy zwaśnione, iż mówi im prawdę o sprawie społecznej.

Kościoła te niebezpieczeństwa nie obchodzą. Odkąd powstał, już zaraz znalazł w sobie członków gotowych cierpieć w podziemiach i przelewać krew na katuszy. Pokąd istnieć będzie, znajdzie w sobie bohaterów, których niebezpieczeństwa nie wstrzymają od dzieła Bożego. Ani Jezusa Chrystusa niebezpieczeństwa jego osobiste nie obchodziły. Znalazł siłę na mękę. Jego obchodziło, i „bardzo to obchodziło, że lud nie miał chleba. Troska o zapewnienie ludziom nieba nie pochłonęła Jego myśli i serca ludzkiego tak dalece, iżby nie odczuwały potrzeb doczesnych człowieka. Z Bożych jego ust wyszły na puszczy te pełne miłości i głębokie słowa: Żal mi tego ludu... bo jest głodny...“ I dziś podobne wracają „czasy. Lud cierpi głód, jeśli nie cały i nie zawsze, to często i w wielkiej liczbie. Jezus widzi“ te rzesze nędzarzy, których pędzi głód i chłód pod czerwone sztandary... Jezus „znowu powtarza przez usta swojego Zastępcy na ziemi, przez Papieża: Żal mi tego ludu!“

I pasterzowi polskiemu na Rusi Czerwonej żal wszystkich biednych i cierpiących: zatem nie spogląda obojętnie „na zagadnienie, które i u nas jest punktem ciężkości obecnych stosunków i nie tylko kwestyą chleba, ale bardziej jeszcze sprawą religijną i moralną, sprawą chrześcijańskiej sprawiedliwości i miłości, od której zależy wprost zbawienie wielkiej części“ polskich mieszkańców lwowskiej metropolii. Więc przystąpił do przedstawienia „w sposób możliwie najprostszy i najprzystępniejszy prawdy chrześcijańskiej w tej jedynie myśli, aby społeczne znaczenie i wartość nauki chrześcijańskiej były coraz lepiej znane i Kościół katolicki coraz więcej słuchany, ceniony, kochany“. W tej myśli śmiało wyliczył przyczyny dzisiejszego rozstroju społecznego. Nie stanął po stronie ludzi, „którzy całą

winę dzisiejszego zamętu społecznego zrzucają na socyalistów, bo póki ich nie było, mówią, miał być spokój, miało wszystko być dobrze na świecie".

Gadaninę tych ludzi arcybiskup piętnuje krótkim wyrokiem: „to nieprawda". I zdaje zaraz sprawę z tego wyroku:

Trzeba być sprawiedliwym dla każdego. Nie socyaliści wymyślili dzisiejszą kwestyę socyalną. Istniałaby ona i bez nich, choć zapewne w mniej ostrej formie. Wystarczy mieć oczy i serce, żeby widzieć, odczuć i przyznać, że są niesprawiedliwości, wynikające z obecnego, niesprawiedliwego ustroju ekonomicznego, czyli z wadliwego gospodarstwa społecznego. Leon XIII podnosi to głośno, że bardzo wielka część ludzi, żyjących z pracy rąk, znajduje się w stanie biedy i nędzy niezasłużonej, i że trzeba im przyjść w pomoc przez środki rychłe, praktyczne i skuteczne. Socyalizm jest tylko wynikiem tych chorobliwych stosunków, zarazem i k a r ą dla społeczeństwa, które tak długo c i e r p i a ł o wśród siebie różne niesprawiedliwości społeczne. Rozszerzył on się też i szerzy ciągle tylko dlatego, iż krzywdy jeszcze nie są naprawione.

Aby wykryć w ustroju społeczeństwa wolnomyślnego właściwe źródło złych stosunków i zrozumieć przyczynę dzisiejszego wybuchu waśni społecznej, najczcigodniejszy autor przypomina schyłek XVIII stulecia, kiedy wolni myśliciele

jawnie i bezkarnie zaprzeczali istnieniu Boga i życia przyszłego, czem odbierali też nadzieję w ostateczne wyrównanie poza grobem różnych krzywd i nierówności ziemskich. Własność osobista, według wyrzeczenia jednego z owych niedowiarków, ma być prostą tylko kradzieżą.

Nowości te bezbożne dopłynęły różnemi drogami do warstw niższych w narodzie. Podjęli je i skorzystali z nich najpierw niezadowoleni mieszczanie w Paryżu, i rozumowali, że jeśli niema Boga na niebie, to człowiek zupełnie i od nikogo nie jest zależny, nie potrzebuje też żadnego pana na ziemi...

Znieśli też organizacyę zawodową pracy, czyli cechy i nadzór państwowy nad robotnikami w fabrykach, jako przeciwne, wedle ich pojmowania, nieograniczonej wolności człowieka...

Uczeni i udający uczonych starali się dalej wydzierać z dusz religię, głosząc, że wiarę zastąpi odtąd wiedza, miejsce przykazań Bożych zajmie moralność niezależna, wymyślona przez ludzi; w porządku zaś społecznego gospodarstwa, przemysłu i handlu, należy każdemu przyznać nieograniczoną niczem wolność konkurencyi czyli współzawodnictwa.

Każdy jest wolny, — mówili, — i każdy ma prawo zostać milionerem, niech tedy radzi sam o sobie i niech sam się broni, jak może

i umie. Kto nie ma sił i zdolności, musi zmarnieć, bo takie już prawo natury, że w walce o byt silniejsi zwyciężą i zjedzą słabszego.

Hasła te i zasady fałszywe przeszły z książek w ustawy, rozwinęły się w system społeczny, bo rządy zagarnęli ludzie liberalni czyli wolnomyślni; zwani tak dlatego, iż nie krępowali się przykazaniem Bożem. Kiedy Kościół katolicki ostrzegał i upominał panujących, że taka pogańska gospodarka państwowa musi doprowadzić do nędzy i zguby większą część poddanych, zabrano majątek Kościołowi, a biskupów wtrącono do więzienia.

Smutne przepowiednie Kościoła spełniły się wkrótce. Wszechwładne panowanie zasad liberalnych wydało swój skutek: upadek moralności i straszliwą nędzę wielkiej części ludu pracującego. Dawniej broniły robotnika i rzemieślnika ustawy cechowe, teraz znalazł on się odosobnionym i oddanym na dobrą i złą wolę kapitalistów, posiadających pieniądz, kopalnie, fabryki, narzędzia pracy...

Wolnymi prawdziwie przy zawieraniu umowy zarobkowej byli tylko bogaci. Mogąc wybierać między tysiącami robotników, rzucali im często zapłatę dowolną, niesprawiedliwą, bo wiedzieli, że robotnik na każdą zgodzić się musi, jeśli zechce od śmierci głodowej uchronić siebie i rodzinę.

Sami za to gromadzili coraz większe majątki. Środki życia zamienili w cel życia, a jedynem pragnieniem tych ludzi, którzy wyzbyli się sumienia i wiary w sąd pozagrobowy: używać, używać jak najrychlej i jak najwięcej! Mniejsza o sprawiedliwość i choćby o przyzwoitość!... Na bliźniego nie trzeba się oglądać, chyba tylko wtedy, kiedy własny pożytek pozwala i każe. Ponieważ czas to pieniądz, którego nie można tracić, więc zabrać robotnikowi i niedzielę! Kobiety i dzieci pracują taniej: więc wciągnąć żony robotników i nieletnie ich dziatki do fabryk! Ponieważ szkoda, aby maszyna w fabryce w nocy próżnowała: więc odebrać robotnikowi także spoczynek nocny!

Nic tu nie pomogły przestrogi Kościoła i lekarzy, wołających: co robicie z robotnikami! czyż nie widzicie, że dusza ich się psuje, że cały rodzaj ludzki słabnie i ginie? — Wielu nieludzkich pracodawców powtarzało spokojnie odpowiedź Kainową: czy ja stróżem mojego brata? komu krzywda, kto nie chce pracować, niech nie przychodzi. Czeka i ciśnie się na jego miejsce dziesięciu innych...

Obok robotników fabrycznych także mieszczanie, drobni przemysłowcy, rzemieślnicy i rolnicy popadli przeważnie w nędzę przy tej niczem nie krępowanej wolności zarobkowania i handlu. Szewc robi buty, stolarz szafy, ziemianin na obszarze większym i mniejszym w pocie czoła uprawia rolę, ale główny zysk z ich roboty ciągnął i zabiera najczęściej przedsiębiorca giełdowy, wielki kupiec i lichwiarz. Serce się kraje na samą myśl, ile rodzin popadło w naszym kraju w najhaniebniejszą niewolę u owych lichwiarzy-wierzycieli, ile roli i domostw po miastach i wsiach przeszło w kilkudziesięciu latach ostatnich w ręce innowierców z powodu nieszczęścia, ale i zbytku, który zakradł się

wszędzie i między uboższych, bo i ci za przykładem samolubnych bogaczy namnożyli sobie wiele potrzeb niepotrzebnych.

Nie tu jeszcze koniec złego — przypomina metropolita: odkąd wolni myśliciele wyrzucili Pana Boga z ustaw, a na Jego miejsce wynieśli państwo, odtąd pozwalają sile przed prawem panować w stosunkach między narodami. Odtąd zaczęło uchodzić za szczyt rozumu wyzyskiwać jak najzręczniej sąsiadów, a nawet ich niszczyć, jeżeli tak radzi własny pożytek. A każde państwo ma takie same zachcianki: więc wszystkie podejrzliwie śledzą sąsiadów i zasłaniają przeciw wszystkim granice wojskami. A wojska pochłaniają większą część podatków, których społeczeństwo użyć mogłoby z pożytkiem: popierać rolnictwo, podnosić przemysł i polepszać byt warstw biedniejszych.

Wraz tedy ze Założycielem swoim Kościół przez usta Papieża i głosem biskupim żałuje warstw społeczeństwa bezbronnych, którym ustrój dzisiejszy odmówił opieki przed samowolą mocarzy pieniężnych i odbiera owoc ich pracy, aby marnować większą część podatków na pogotowie wojenne.

Przed społeczeństwem europejskiem, niebezpiecznie chorem, stanęli jako lekarze: socyaliści.

Wolnomyślnie a nie po chrześcijańsku usposobiona część, część przeważna warstw przewodnich nie umie spojrzeć na socyalistów bez odrazy, nie umie o nich mówić bez pogardy.

Kościół nawet nieprzyjaciół miłuje. Ten duch miłości nienawidzi błędu w bliźnim, ale kocha jego osobę.

Tym duchem Kościoła i myślą Leona XIII przejęty Zwierzchnik polskiego Kościoła na Rusi śmiało wyznaje:

Zaznaczam z góry, że kiedy mówię o socyalistach mam ciągle na myśli ich zgubne zasady, nie zaś osoby. Katolik zwalcza bowiem błędy, ale kocha błądzących i powtarza za św. Augustynem do tych, którzy uważają się za jego nieprzyjaciół: mów, co chcesz, nienawidź mię, ile tylko zdołasz; przeklinaj mię do woli: ty jednak zostajesz moim bratem...

Chętnie przyznaję też, że nie wszystko w socyalizmie jest kłamstwem. Prawdą jest mianowicie to, co już przed chwilą podniosłem, że obok ludzi majętnych a najuczciwszych, byli zawsze i są jeszcze bogacze pracodawcy, którzy wyzyskiwali i krzywdzą robotników; prawdą również jest to, że pokrzywdzonym należy przyjść jak najrychlej

ze skuteczną pomocą, aby mogli wieść żywot godny człowieka. Prawdą jest dalej, że są biedni, którzy chcą pracować a nie mają roboty i znajdują się nieraz z rodziną w ostatniej nędzy...

Nie przeczę wreszcie, że socyaliści wywalczyli groźbami i gwałtem niejedno ustępstwo dla warstw pracujących, które dla nich i mogły i powinny były otrzymać stronnictwa i stowarzyszenia katolickie, gdyby w kraju były dobrze i silnie zorganizowane.

Prócz Leona XIII i chyba także biskupa Kettelera, żaden jeszcze inny następca Apostołów nie przemówił ze stanowiska urzędowego o socyalistach z taką miłością chrześcijańską, jak w powyższych słowach arcybiskup Bilczewski. Jak biskup Ketteler ściągnął na siebie ze strony wolnomyślnych katolików zarzut, jakoby zachodził na ścieżki socyalistów, jak sam Leon XIII nie uniknął zarzutów, że demokratyzuje Kościół, a przynajmniej Watykan, i że jego demokracya chrześcijańska wywraca koziołki na ogonie socyalizmu: tak i arcybiskup Bilczewski w powyższych słowach tak śmiało podnosi jasne strony socyalizmu, jak tylko zdoła chrześcijanin w miłości dla przeciwników, jak tylko potrzebuje, ktokolwiek chce usłyszeć dziś zarzut, że sprzyja socyalizmowi. Ale polski pasterz owczarni Chrystusowej nie zważa na sądy faryzeuszów. Choćby w ich oczach uchodził za zwolennika socyalizmu, dodaje jeszcze silniejsze słowa, jakich jeszcze nikt w Polsce nie miał odwagi wymówić:

Niech mię przewódcy socyalistów przekonają, że sądzę ich niesprawiedliwie, że mianowicie n i e sieją nienawiści klasowej, n i e budzą wśród mas najdzikszych namiętności, nie myślą o uchwyceniu władzy w swe ręce, ale c h c ą jedynie polepszenia doli warstw uboższych na podstawie s p r a w i e d l i w o ś c i chrześcijańskiej — niech mnie o tem przekonają, a z a r a z w e z w ę kapłanów i robotników katolickich, a b y s i ę z s o c y a l i s t a m i połączyli i dążenia ich poparli. Albowiem nie o to chodzi, kto pierwszy przyniesie zbawienie i trwałe polepszenie doli warstw pracujących, jeno o to, aby ta naprawa i zbawienie przyszło.

Po niesłychanym dotąd w Polsce opisie socyalistów z ich jasnej strony, zdaje arcypasterz dalej sprawę z ich błędów, które między nimi a Kościołem wykopują przepaść nieprzebytą.

W gruncie jednak, s o c y a l i z m j e s t n a j w i ę k s z ą z b r o d n i ą p r z e c i w s p o ł e c z e ń s t w u, p r z e c i w l u d o w i, p r z e c i w r o b o t n i k o w i i najzgubniejszą zarazą moralną, która o śmierć

przyprawia dusze, niszczy i rozkłada wszystko, co dotychczas ludzkość uważała za święte.

Wiem, że te słowa może są twarde i nikt bardziej, niż ja sam, nie boleję nad tem, że tak surowy o nim wydać muszę sąd. Ale obowiązek i prawda nadewszystko!...

Jakież są błędy socyalizmu?

Zapytuje się dopiero w tem miejscu chrześcijański biskup o ujemne strony przeciwnika i odpowiada, że

Socyaliści, acz wśród nich tyle zdań, ile głów, zgadzają się w zasadzie na to, że trzeba zniszczyć religię, zniszczyć rodzinę, usunąć własność osobistą i wyrwać z dusz miłość ojczyzny.

O każdym z tych czterech błędów socyalizmu treściwie powtarza Dostojny Pisarz prawdę gorzką, ale najmniejszem słówkiem nie obarcza ich ponad to, co zarzucić im musi jako Strażnik nauki Kościoła. Również ani jednego słówka nie opuścił, aby im z miłością powiedzieć, że między nimi widzi także takich, którzy błądzą z ciemnoty, a nie tylko zatwardziałych w złej woli. Kiedy miał wytknąć socyalistom ich świeży, niewypowiedzianie szkaradny wybryk bluźnierczego pióra przeciw Bogu i Matce Jego, długo walczył ze sobą, czy podnieść ten zarzut sromotny. Z obowiązku ojca musiał zwrócić oczy dzieci na niepojęte zuchwalstwo bezbożnego socyalizmu:

Bracie mój kochany, gdyby o tobie i twojej matce, którą kochasz, mówił ktoś takie rzeczy, jakie oni zarzucają Zbawicielowi i Jego i naszej Najświętszej Matce, to serceby ścisnęło się tobie i w świętym gniewie zawołałbyś: — Idź precz szatanie! — Kiedy przeszłego roku pojawiła się w naszym pięknym języku polskim ohydna książka, w której najstraszniejsze wypowiedziano bluźnierstwa na Pana naszego Jezusa Chrystusa i na Królowę naszą, Niepokalanie poczętą Maryę — sądy kazały ją zniszczyć. Wtenczas socyaliści wystąpili w obronie tej zbrodni i bluźnierstwa, i aby ta trucizna nie całkiem przepadła dla świata, przedrukowali w swojej gazecie z niegodziwej książki ustępy najgorsze.

Tę część listu zakończył Dostojny Pasterz wnioskiem, że błędną drogę wymyślili socyaliści, aby wyprowadzić społeczeństwo z choroby. Złego nie usuną przez nowe i gorsze jeszcze złe.

Następnie Czcigodny Pisarz zarzuca sobie pytanie: Więc czy niema ratunku na dzisiejsze dolegliwości społeczne? I odpowiada stanowczo:

Nie wolno rozpaczać. Zbawiciel przewidział i te ciężkie czasy dla ludzkości, mówiąc: Usłyszycie wojny i wieści o wojnach.— Ale pocieszył też i dodał otuchy słowami: Patrzcie, abyście się nie trwożyli. — Lekarstwo jest blizkie — bardzo blizkie.

Słowem, przyczyną dzisiejszego zamętu i biedy społecznej jest, jak widzieliśmy, ta okoliczność, że oderwano społeczeństwo od Bożych jego podstaw, a urządzono je na fałszywie pojętych hasłach: nieograniczonej wolności, bezwzględnej równości i kłamliwego braterstwa.

Jeśli się raz błąd poznało, to droga naprawy znaleziona!

Punktem wyjścia naprawy społecznej jest nauka katolicka o najściślejszej łączności i jedności całego rodzaju ludzkiego...

Nie kto inny, jeno chrześcijaństwo przyniosło na świat, wytworzyło pierwszy raz w ludziach świadomość, że wszyscy są braćmi między sobą...

I dzisiaj w sprawie społecznej tak samo być powinno: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... *jednomyślni, współcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddawający złego za złe, ani złorzeczeństwa za złorzeczeństwo, lecz przeciwnym obyczajem błogosławiąc...* nie wszyscy mogą w społeczeństwie być równi urzędem, majątkiem; ale z drugiej strony mają nosić jeden drugiego ciężary i wspierać się nawzajem. Oto i pierwsza wskazówka dla wszystkich ludzi dobrej woli, którzy po zbankrutowaniu liberalnych teoryi ekonomicznych szukają nowych dróg dla pomyślniejszego ustroju świata.

Na jakich prawach Ojciec niebieski i brat nasz Jezus Chrystus urządził wielką rodzinę ludzką?

Na sprawiedliwości i miłosierdziu...

Fundamentem całego życia społecznego winna być sprawiedliwość — dla każdego zawsze i wszędzie, dla przyjaciół i nieprzyjaciół, dla słabych i mocnych, dla mądrych i głupich, dla dorosłych i dla dzieci, dla pracodawców i robotników, dla bogatych i ubogich...

Wszelkie przywileje i nabytki, zwycięstwo nawet jednych nad drugimi, jeśli nie są ze sprawiedliwością zgodne, trwałe też być nie mogą i ostatecznie zawsze sprowadzają szkody dla całego społeczeństwa.

Sama jednak najściślejsza nawet sprawiedliwość nie usunie skutecznie dzisiejszej nędzy i nie wystarczy jeszcze do zabezpieczenia równowagi i pokoju społecznego... jeszcze zawsze wielka część ludzi bez własnej winy popadnie w chorobę i nędzę, które tylko miłosierdzie chrześcijańskie wypatrzeć umie i chce, i na które ono jedno ma skuteczne lekarstwo i zaradzenie. Obok sprawiedliwości musi tedy stale stać jako anioł-stróż, przyjaciel i uzupełnienie — chrześcijańska miłość, która łączy i skupia serca dającego i biorącego, ekonomicznie silniejszego ze słabszym i biednym przez udzieloną potrzebującemu pomoc, pożyczkę, ofiarę i dobrą radę.

Żadne społeczeństwo nie może się ostać bez władzy... bez niej ludzkość byłaby raczej kupą i mrowiskiem, a nie żywem, solidarnem

ciałem... ...ci, którzy są jej piastunami, powinni ją sprawować na wzór Boga samego, którego ojcowskiej opieki doznaje zarówno każda jednostka, jak ogół. Nie lud jest dla królów i rządzących, ale królowie i rządy są dla ludu. Wolno rządzącym powoływać się na słowa Zbawiciela — „że należy oddać cesarzowi, co jest cesarskiego", ale równocześnie winni rządzący i urzędnicy pamiętać, że, aby lud miał z czego dać, należy mu wprzód pomódz do dobrobytu, a potem nie brać od niego więcej, niż sprawiedliwość pozwala i niż lud dać może. Rząd— powiada Leon XIII — nie powinien mieć na oku interesu tych, co dzierżą władzę, lecz dobro wszystkich, bo jest dla wszystkich. W obronie jednak praw rząd szczególnie winien uwzględniać interesy słabych i ubogich, słowem, pracujących ręcznie, ponieważ warstwy te nie potrafią się dostatecznie bronić, podczas gdy klasy bogatsze, jak pisze papież, obwarowały się swemi bogactwami, jak murem ochronnym...

W szczególności winni ci, którzy kierują państwem, wyrzucić z ustawodawstwa wszystko, co szkodliwe, oparte na samolubstwie, korzystne tylko dla niewielu kapitalistów, a szkodliwe dla milionowych rzesz robotniczych, a tem samem dla dobra ogólnego. Jednak i najmędrsze ustawy same nie pomogą, bo nie wstawią serca w pierś samoluba i chciwca. Stąd troską najprzedniejszą państwa być powinno, aby otoczyć największem poszanowaniem religię, ułatwić chrześcijańskie wychowanie młodzieży i pracę duchowieństwa, zmierzającą do odrodzenia dusz i serc ku sprawiedliwości i zgodzie.

Zwłaszcza zasadnicze hasło wolnomyślne o wolności bezwzględnej paczy sumienia i wyziębia serca z taką siłą, że jej przeciwdziałać nie zdoła żadna ustawa świecka, choćby najmędrsza: jeden Kościół umie w tej mierze ocknąć rozum i uszlachetnić serce.

Hasło wolności dotyczy szczególnie sprawy społecznej, bo pozwala właścicielom używać dóbr doczesnych bez żadnych względów na nikogo, jak gdyby robiło człowieka bezwzględnym właścicielem dóbr ziemskich. Hasło to przenikło w niezliczone mnóstwo umysłów i serc; ledwo że nie cały ogół polski musiał zdumiony usłyszeć z ust arcypasterza naukę katolicką, która temu hasłu odmawia prawdy. Przeciw tak ogólnie rozpowszechnionemu błędowi wystąpić: to odwaga, na którą chyba apostolskich mężów stać. Ksiądz metropolita lwowski powstał przeciw temu błędowi, i jako strażnik prawdy Chrystusowej, mówi:

Słyszeliśmy, że socyaliści chcą zniesienia wszelkiej własności osobistej, uważając ją za niesprawiedliwość i kradzież. Przeciwnie liberalni bogacze głoszą, że każdy właściciel jest absolutnym panem swojego

mienia i może powiedzieć, wskazując na swoje włości, fabryki i pieniądze: to moje i tylko moje, i mogę majątku używać, jak chcę, bo przed nikim nie jestem obowiązany zdawać rachunku...

Poglądy to nieludzkie, pogańskie.

Inaczej chrześcijaństwo. Według nauki Kościoła jeden Bóg, jako Stwórca całego świata, jest rzeczywistym i nieograniczonym panem i właścicielem człowieka, jego przymiotów i wszelkiej rzeczy na niebie i na ziemi. *Ziemia moja jest* — przypomina Pan w Starym Zakonie — *a wyście przychodniowie i kmiecie moi.*

Kmieciem tedy czyli dzierżawcą u Boga jest każdy z nas, który otrzymał jakiekolwiek dary duchowe i doczesne. Nad dzierżawą tą Pan Bóg zastrzegł sobie kontrolę, a także wymówił sobie dziesięcinę na cele czci swojej i na rzecz biednych.

Ojcowie nasi, jak długo wiara silna była w narodzie, ciągle mieli przed oczyma te chrześcijańskie zasady o własności i dlatego za pierwszy obowiązek poczytywali zawsze wystawienie naprzód świątyni Bogu w każdej nowej osadzie... Wszyscy powtarzali też wówczas słowa, które jeszcze dzisiaj utrzymały się w ustach ludu: pole, dom, pługi, bydełko — to najpierw Boże, a potem moje. — Pamiętali też, że to, co człowiekowi zbywa z uczciwego utrzymania siebie i rodziny, to własność uboższych braci i całego społeczeństwa. Nie zasłaniali się wreszcie wymówką w chwili, kiedy chodziło o danie jałmużny z tego, co im zbywało, że mianowicie ścisła sprawiedliwość żąda od człowieka, aby śpieszył dopiero wtedy z pomocą, kiedy bliźni znajduje się w potrzebie ostatecznej lub tak, jak ostatecznej. Rozumieli bowiem, że w praktyce i w rzeczywistości żadna stąd pociecha i ostatecznie wszystko jedno, czy człowiek pójdzie na potępienie z powodu zaniedbania obowiązku sprawiedliwości, czy też z braku miłosierdzia.

Temi słowami arcypasterz zbija pogląd nieludzki, pogański, jakoby na mocy wolności człowiek mógł używać swoich dóbr swawolnie, bez względu na Boga i na bliźnich w potrzebie. Aby tę odpowiedź pogłębić, arcypasterz tyka samego jądra rzeczy: pojęcia wolności, które opacznie urobione w liberalizmie, zgodnym tu ze socyalizmem — toruje drogę do spaczonego pojęcia własności.

Dostojny arcypasterz nie wchodzi oczywiście w swoim liście w całe pojęcie metafizyczne wolnej woli, tylko wyświeca ją ze strony społecznej. W tym zakresie coraz powszechniej wśród umysłów obiega pojęcie, jakoby w o l n o działał każdy, kto działa bez przymusu z zewnątrz. Ale i niezwyciężony strach i niepohamowana pycha i nieposkromiony gniew i każdy nałóg nieokiełznany przecie wnętrznie pobudza tchórzów, złośników

i t. d. do upadków niecnych; jednak ci sami ludzie słabej woli wyznają, że woleliby postępować szlachetnie, tylko nie umieją opanować rozbujałych chuci; popadają w bezprawia z braku silnej, niepodległej, samodzielnej woli i mocy nad sobą: służą zdrożnemu narowowi i jęczą w jego niewoli. Zatem ten wolno rozporządza swoim majątkiem, kto korzysta z niego według wskazówek rozumu swobodnie, a nie kto zależy mimo chęci od nacisku siły przeważnej. Wszak n i e „wolno“ rozporządza swoimi dochodami obywatel, obowiązany część ich wypłacać poborcy podatkowemu, podobnież poniewolnie płaci z majątku haracz swoim nałogom, kto nie umie odmówić sobie uciech, do których wolałby był nie przywykać, nie wpadać w niewolę. Wbrew temu pojęciu wolności, szlachetnemu i sprzecznemu z istoty swojej z wewnętrzną niewolą samolubów, panuje w sprawie społecznej pogląd na wolność, spodlony nikczemnie przez samolubstwo z wielką szkodą zwłaszcza dla warstw biedniejszych. Dostojny arcypasterz tak opisuje ten pogląd:

Według liberałów i socyalistów wolność ma polegać na tem, iż się człowiek nikim i niczem nie krępuje, że nie uznaje nad sobą Boga ni żadnej władzy i sam chce sobie być władzą i miarą dobrego i złego, że myśli wszystko, mówi wszystko, pisze wszystko, czyni wszystko, co jego kaprysom dogadza...

Powinnibyśmy wszyscy odrzucać powyższą naukę liberalizmu i socyalizmu, jako zupełnie przeciwną nauce Kościoła; ale jakże mało między nami zdaje sobie sprawę z tego, że — jak mówi ks. Arcybiskup:

Miara wyzwolenia się z kajdan grzechu i namiętności własnych, jest też miarą wszelkiej naszej wolności tak wewnętrznej jak zewnętrznej, tak, że jedynie na tej wewnętrznej wolności moralnej może wyrość i utrzymać się zdrowa i każdej jednostce należąca się w państwie wolność zewnętrzna, obywatelska, polityczna i społeczna. Użyje bowiem obywatelskiej wolności ten tylko na równomierną korzyść wszystkich stanów w narodzie, kto wprzódy oświecony wiarą i wsparty łaską Bożą nauczył się posiąść siebie samego, nie rozpierać się, lecz ścieśniać się dobrowolnie i przez całe życie, ustępować miejsca wolności drugich...

Kto marnuje dochody na zbytki i tylko samolubstwem powodowany ich używa, kto zbiera majątek dla takiego marno-

trawstwa i samolubstwa, kto zwiększa swoje dochody niecnymi środkami, ten nie postępuje jako człowiek wewnętrznie wolny, tylko jako niewolnik chuci nierządnej — ten jednocześnie przeszkadza słabszym, żeby mogli żyć w sprawiedliwych stosunkach; z jego winy cierpi nieraz bardzo doniośle sprawa społeczna.

Następnie Arcypasterz roztrząsa sprawę społeczną ze strony najbardziej istotnej, mianowicie ze względu na pracę, samopomoc, związki zawodowe i udział robotnika w naprawie stosunków społecznych:

Po grzechu w raju praca jest ciężarem i znojem, ale także zaszczytem i najczystszem źródłem szczęścia, z którego płynie nawet zdrowie, bo ludzie pracowici najmniej potrzebują lekarza. Ma ona także siłę wyzwalającą i uwalniającą, bo z potem wychodzą z ciała i uśmierzają się złe myśli i namiętności...

Kościół otacza też opieką pracę i zarobek robotnika. Według liberalnego systemu, czyli gospodarstwa społecznego, wysokość płacy za pracę oznaczają między sobą za obopólną zgodą pracodawca i robotnik. I jeżeli pracodawca to umówione wynagrodzenie zapłaci, nie jest on obowiązany do niczego więcej.

Rozumowanie to niesłuszne, błędne. Robotnik, tak jak każdy inny człowiek otrzymał od Boga życie i razem powinność zachowania życia. Jest to prawo przyrodzone, które ma pierwszeństwo przed każdem innem i od którego nikt się uchylić nie może bez popełnienia występku. Z tej powinności zaś nieodzownie wyłania się prawo i obowiązek do skutecznego poszukiwania środków podtrzymujących życie. A tych środków dostarcza całej warstwie robotniczej społeczeństwa tylko płaca uzyskana za pracę. Płaca tedy musi być taka, aby pokryła koszta utrzymania robotnikowi rządnemu i moralnemu i jego rodzinie nie tylko na dnie powszednie, lecz i na niedziele i święta.

Gdyby tedy robotnik, naglony głodem i nędzą swej rodziny i z obawy, że inaczej żadnej pracy nie otrzyma, przyjął płacę niższą, nie wystarczającą na jego utrzymanie, bo taką narzucił mu pracodawca lub jego pośrednik, to stało się bezprawie, przeciw któremu podnosi głos sprawiedliwość. Nic tu nie znaczy, że robotnik zgodził się na tę nizką płacę. Ponad wolę pracodawcy i przedsiębiorcy, zawierających taką umowę, istnieje prawo Boże, wyższe i dawniejsze, które nie pozwala, aby pracodawca wykorzystał nieszczęśliwe położenie bezbronnego w takim razie robotnika. Rzecz też godziwa i słuszna, aby robotnik obok stałej płacy, miał pewien udział w zyskach przedsiębiorstwa, przy którem jest zajęty pracą.

Pracodawca krzywdzi tedy robotnika, gdy korzystając z tego, że do roboty zgłasza się rąk więcej, niż potrzebuje, płaci mu mniej, niż potrzeba na uczciwe utrzymanie siebie i rodziny, chociaż przedsiębiorstwo przynosi zyski takie, że mógłby płacić więcej. Podnoszę raz

jeszcze, że mam tu na myśli robotnika moralnego, pracowitego, oszczędnego, nie zaś próżniaka, włóczęgę, pijaka.

Prawo do przerwy w niedzielę i święta jest wyraźnym lub domyślnym warunkiem wszelkich układów między pracodawcą a robotnikiem. Inaczej umowa nie jest godziwa, ponieważ nikt nie może żądać lub przyzekać pogwałcenia obowiązków, jakie człowiek ma względem Boga i swej duszy, względem swojej rodziny i społeczeństwa. Kościół żąda nie tylko zaniechania roboty nocnej, ale też wymaga, iżby dzień roboczy nie obejmował więcej godzin, niż siły pozwalają...

Wreszcie nieraz choroba zagląda do izby robotnika; czasem nawiedza go kalectwo, a już zawsze zgłasza się ostatecznie starość, a z nią wycieńczenie i utrata sił do pracy... Otóż rzecz sprawiedliwa, aby wszędzie zorganizować należycie kasy chorych, kasy ubezpieczenia na wypadek braku pracy i stałej niezdolności do pracy, dalej ubezpieczenia na starość i zaopatrzenia wdów i sierót po robotnikach...

Leon XIII widząc, w jak opłakanym stanie znajduje się dziś rolnictwo, wzywa rządy, kapłanów, ludzi świeckich, aby pośpieszyli z pomocą włościanom, bronili ich przed lichwą i wyzyskiem. Mojem też najgorętszem pragnieniem, aby kapłani byli wszędzie ojcami ludu, starającymi się nie tylko o niebo dla swoich parafian, ale także o obfitszy chleb doczesny, i mieli serce pełne miłości dla wszystkiego, co lud obchodzi, co go cieszy i boli... Pragnę, aby we właścicielu wsi lud znajdował przyjaciela, doradcę prawnego, obrońcę przed lichwiarzami, a kobiety i dziatwa w pani dworu i jej córkach wychowawczynie, katechetki, lekarki, powiernice w sprawach ważnych. Pragnę, aby wszyscy urzędnicy byli prawdziwymi ludu starszymi braćmi, aby go nigdy nie krzywdzili, aby szanowali jego godność i czas. Niech mi nie mówi, że kocha ojczyznę, kto lekceważy włościanina w sądzie i urzędzie.

Wiem, że istnieją u nas pewne stowarzyszenia zawodowe, które przechowują troskliwie swoje dawne odznaki i sztandary cechowe. Niestety są one za słabe i niema w nich dawnego ducha cechów średniowiecznych, dawnej troski o uszanowanie niedzieli i święta, o należyte wykształcenie religijne i zawodowe uczniów, brak tej dumy godziwej, która nie pozwala plamić imienia rzemieślnika, kupca, przemysłowca robotą partacką i obsługą lichą.

Ale nie tylko robotnicy, kupcy, przemysłowcy łączyć się powinni w spółki zawodowe. Wszystkie wogóle stany i całe społeczeństwo ma się organizować na podstawie stowarzyszeń zawodowych, które znowu nie są celem ostatecznym lecz tylko środkiem i podstawą do przyszłego chrześcijańskiego ustroju społeczeństwa. Każde takie stowarzyszenie zawodowe wyszle swoich posłów do sejmu i parlamentu, które tem samem nie będą bezładnem zebraniem ludzi, nie znających nieraz nawet potrzeb swoich wyborców, lecz staną się wyrazem wszystkich interesów krajów i wszystkich jego warstw.

Obok Kościoła, państwa, pracodawców, także rzemieślnik,

rolnik, robotnik musi współdziałać w rozwiązaniu sprawy społecznej, nie tylko przystąpieniem do stowarzyszeń opartych na zasadach chrześcijańskich, ale całem swojem życiem. Nie należę do tych, którzy mówią: niech robotnik nie pije i oszczędza, to uniknie biedy. Najpierw wielu nie ma z czego oszczędzać. Znam też takich, którzy nie piją, nie palą, nie trwonią grosza, a jednak są w nędzy. Z drugiej strony niemniej jest prawdą, że w znacznej części wina smutnych dzisiejszych stosunków leży w samych robotnikach.

Jeżeli robotnik chce znaleźć pracę, to musi robotę wykonać sumiennie, porządnie i na umówiony termin. Nie wolno mu żądać cen przesadnych, niesprawiedliwych. W życiu codziennem strzedz się należy wydatków na rzeczy zbyteczne, nie sadzić się na wystawność, którą nieraz niezamożni chcą dorównać grzesznie zbytkującym bogatszym. Wszystkim nam wogóle potrzebna oszczędność. Do niej już dzieci w szkołach przyuczać się powinno. Sam Bóg zachęca nas do oszczędności. Jezus Chrystus, który przy cudownem rozmnożeniu chleba kazał zebrać w kosze pozostałe ułomki, aby się nie zepsuły. On z pewnością także w domu rodzicielskim, jako dziecię i młodzieniec był oszczędnym. Zbierał zapewne trzaski, odpadki drzewa, desek, aby się nie zmarnowały. Z tego przykładu oszczędności, jaki Zbawiciel dał na puszczy, powstał może piękny zwyczaj, że w domach chrześcijańskich podnosi się z ziemi, a na wsi całuje się przytem jeszcze każdą okruszynę chleba, która spadła.

Następnie Dostojnik Kościoła daje zarys chrześcijańskiej pracy społecznej. Treściwych słów streszczać bardziej niepodobna, bo wypadłoby chyba wymieniać prawie same nagłówki, których spis mało pouczyłby czytelnika o niezmiernej wadze środków pracy poleconych przez ks. Metropolitę.

Prawie to samo powiedzieć potrzeba o ostatnim rozdziale listu pasterskiego. Czcigodny arcypasterz pozwala czytelnikowi rzutem oka objąć istotę demokracyi chrześcijańskiej. Wie doskonale, że znajdzie źle usposobionych przeciw sobie ludzi, którzy zupełnie nie mogą pojąć, po co duchowieństwo przykłada ręku do pracy społecznej. „Niech ksiądz w kościele kropidła pilnuje a w domu brewiarza!“ — tak wielu mówi, zarówno liberali jak socyaliści.

Niech ksiądz bliźnich kocha i służy im na każdym kroku, mówi Kościół. Do kapłanów — przypomina ks. Arcybiskup — zwraca się Ojciec św. bezustannie z wezwaniem, abyśmy wyszli z zakrystyi i nie zaniedbując troski o zbawienie własne i powierzonych nam wiernych, ułatwiali im zdobycie prawdziwej oświaty i pewnego dobrobytu doczesnego.

Myśli te i wskazówki papieża tak życzliwe są dla warstw pracujących i troska jego, aby im było lepiej, tak jest wielka, że niektórzy ludzie aż gorszą się tą jego polityką i pracą społeczną. Są nawet między katolikami tacy, którzy mówią, że Leon XIII awanturuje się na polu społecznem. Ślepi oni i wodzowie ślepych! Chcą oni być mądrzejsi od papieża, mieć lepsze światło, niż papież, i to tam, gdzie chodzi o przyszłość Kościoła. Bo kto ma lud — do tego należy przyszłość ..

U nas nie brak, dzięki Bogu, przywiązania i ufności ku Stolicy świętej, ale za mało jest katolickiego działania społecznego. Nie pamiętamy o tem dosyć, że Skała Piotrowa jest nie na to, aby spokojnie na niej spać, albo się za nią ukryć, jeno, aby w niej mieć silny grunt pod nogami do pracy, do rozwinięcia sił i do godziwej walki.

Chlubnie Kościół polski zapisze w dziejach swoich śmiały krok następcy Apostołów, który budzi i cuci społeczeństwo nasze, nagli i wzywa do żywota chrześcijańskiego wbrew zasadom i obyczajom wolnomyślnego samolubstwa; wskazuje dokładną drogę do poprawy społecznej.

Ale Apostolski występ Dostojnika kościelnego zdumiewać przecie nie powinien. Nie pierwszy On i nie ostatni, co rządzi powierzoną sobie cząstką Kościoła polskiego z męstwem Szczepanowskich, Felińskich, Ledóchowskich, Zwierowiczów...

Co nadspodzianie musiało nas uradować, to widok jednomyślnego ducha, z jakim dziennikarstwo polskie rozgłosiło z własnej ochoty po całym kraju list pasterski, wydany do metropolii lwowskiej. Przez ten czyn dziennikarzy społeczeństwo całe niejako uznało, że powinno do siebie zastosować hasło walki o sprawiedliwsze stosunki. W rozmowach dotyczas wszędzie można słyszeć zapał wywołany tym listem.

Nie każdy zapał w Polsce gaśnie ogniem słomianym.

Zapał wzbudzony przez ks. Arcybiskupa Bilczewskiego do chrześcijańskiej pracy społecznej budzi dotychczas dobrą otuchę.

Ks. K. Czaykowski.

JUBILEUSZ A TESTAMENT LEONA XIII [1]

Uroczystość „lat Piotrowych“ dobiega do końca. Niejeden w początkach jubileuszu odczuwał obawę, czy sędziwy papież doczeka tej chwili, dziś 25-lecie zamknięte i starowieczne *annos Petri non videbis*, już po raz wtóry nie spełniło się.

Nie będziemy wdawali się, ani w szeregowanie niezwykłych objawów, jakimi uroczystość ta zaznaczyła się, ani w ich szczegółową ocenę. Każdy ma jeszcze świeżo w pamięci ten nieprzeliczony poczet hołdów, adresów, darów, jakie składały dyecezye i prowincye, państwa i narody. I ten jednomyślny prawie głos uwielbienia, jaki rozlegał się, jak rok długi, w prasie świata całego, i te pielgrzymki ze wszystkich kątów ziemi, gdzie z drużynami robotników spotykały się poselstwa monarchów — a to wszystko przy wysokiem napięciu uczuć ze strony katolickiej, przy ogólnem zainteresowaniu się wszystkich ludzi myślących — oto obraz tego powszechnego zwrotu umysłów i serc w stronę Rzymu.

Rzym w czasie swego istnienia patrzył na wiele chwil wielkich — widział i tryumfalne pochody zwycięzców i koronacye cesarzy i ekumeniczne koncylia — ale takie zjawisko, by papież odarty z wszelkiej władzy i politycznego znaczenia, jedynie

[1] Artykuł jubileuszowy, pióra ks. St. Załęskiego T. J., omawiający szczegółowo działalność Leona XIII, umieściliśmy w zeszycie kwietniowym roku zeszłego. *Redakcya.*

tylko jako papież, ściągnął pod rzymskie mury świat cały — to zjawisko i przedziwne i wyjątkowe. Na wielką skalę było to za Piusa IX, na jeszcze większą w tym roku.

I tu nasuwa się pytanie — jak wytłumaczyć to zjawisko? Jak je zrozumieć w tej chwili, gdy cała wyższa warstwa świata, dyplomacya i polityka, nauka i sztuka, publicystyka i dziennikarstwo, sprzągnęły się w jeden obóz katolicyzmowi wrogi? Jak zwłaszcza zrozumieć to, że ta wyższa warstwa, sama, udział w tej powszechnej uroczystości bierze?

Tkwi w tem, jeżeli nie sprzeczność, to przynajmniej jakaś zagadka. Jak ją rozwiązać?

Najpierw, jedna rzecz jest tu wprost oczywista i bynajmniej nie zagadkowa, mianowicie ta, że przyczyny tego objawu szukać należy w przymiotach i czynach Leona XIII. Szlachetny, a niezłomny charakter, umysł bystry, bardzo podniosły i bardzo wytrawny, dar inicyatywy na wielką skalę, wielka znajomość serc ludzkich i umiejętne przystosowanie się do nich, jako też i do potrzeb chwili — harmonijnie zespolone stanowczość i wyrozumiałość, które sprawiały, że zawsze szedł do raz wytkniętego celu, ale szedł spokojnie — to przymioty, składające się zawsze na wielką postać, przed którą każdy czoła uchylić musi. A że pojęcie urzędu nie zawsze da się od przymiotów osoby, ten urząd sprawującej, oddzielić, poszło za tem, że i samo pojęcie papiestwa, mimo wprost wrogich dążeń, aby doniosłość jego przyćmić i znaczenie jego umniejszyć, na znaczeniu i doniosłości, nawet w oczach ludzi niewierzących, zyskało. Wielkie przymioty Leona, jak i wielkiego jego poprzednika, dodały blasku tyarze i potęgę papiestwa na wysoki stopień podniosły. Windhorst w jednem ze swoich parlamentarnych przemówień utrzymywał, że w żadnym okresie historyi moralna powaga Stolicy Apostolskiej nie była większa, niż w drugiej połowie XIX stulecia.

Tem bardziej, jeżeli do tych przymiotów przyłączy się czyny, wielostronną, a epokową działalność, przedewszystkiem na polu dyplomacyi, nauki katolickiej i kwestyi socyalnej, a zwłaszcza ten wprost genialny czyn społeczny, zainicyowanie demo-

kracyi chrześcijańskiej — to otrzyma się wiele mówiący zbiór pobudek, które to zjawisko w jakiś sposób tłumaczyć mogą. Rozumie się przynajmniej tyle, że jest to hołd złożony wielkiemu człowiekowi.

Czy jednak w tem skierowaniu się świata całego ku starcowi z Watykanu był tylko platoniczny hołd dla wielkości ludzkiej? Czy ponadto nie było w tem czegoś z owych instynktownych ciążeń, jakie widać w historyi w przededniu każdej wielkiej epoki, z ciążeń ku jakiejś nowej, nieznanej czy zapoznanej, sile, ku jakiemuś rozbudzającemu się ognisku życia, ku świtowi lepszej przyszłości? Innemi słowy, czy na dnie czynów tego papieża nie tkwi jakaś idea, której te czyny były tylko szczegółowymi przejawami — idea wielka, której olbrzymią doniosłość w przyszłości wielu tylko instynktownie odczuwa, jedna z tych idei królujących, co stanowią serce świata, do której rządy nad ludzkością, prędzej czy później, należeć muszą.

Mamy właśnie w ręku dokument, który nas wprost do tej idei prowadzi.

* * *

Już pośród radosnego gwaru uroczystości jubileuszowych, rozszedł się po świecie, w powszechnej encyklice, głos papieża-jubilata. Choć chwila była radosną, głos brzmiał poważnie. „Oby ten głos brzmiał, jak testament, który, gdy jesteśmy blizcy wieczności, chcemy przekazać ludzkości z żądaniem i życzeniem wspólnego dobra".

Encyklika, testamentem nazwana, nie dotyka żadnej sprawy, którejby papież już poprzednio nie poruszył, nie porusza także żadnej myśli, którąby już z innych jego pism nie była znaną. Nie jest to też jej zadaniem. Istotny jej charakter w tem spoczywa, że ma być ona rekapitulacyą wszystkich ważniejszych myśli i spraw, które umysłem papieża, przez cały jego pontyfikat zaprzątały, a rekapitulacyą, w całem tego słowa znaczeniu istotną, bo ujmującą wszystkie ważniejsze momenty w głównej ich zasadzie. Przebija się też w tem piśmie głębokość filozo-

ficznego umysłu, która wszystkie promienie tak rozbieżnej i tak wielostronnej działalności w jeden punkt ogniskowy skupia.

Co jednak przedewszystkiem w tem piśmie zastanawia, to podniosły ton uczuciowy. Doszedł sędziwy starzec do momentu życia, z którego już wzrok pada poza ziemię, a w takiej chwili — zwłaszcza, gdy splata się ona z tak wyjątkowem zdarzeniem, jak dojście do „lat Piotrowych“, i z tak niezwykłą manifestacyą świata całego, jaką był jubileusz tych lat — nieodzowną odczuwa się potrzebę, aby jeszcze raz odwrócić się poza siebie, ku minionym dniom i ubiegłej pielgrzymce, i jednym rzutem oka objąć przebytą drogę. Co czuł, co działał, co myślał, co cierpiał, to jakby jeden rzut linii staje mu przed oczyma, i to z głęboko przejętego serca wylewa się na papier. Jest pismo to szerokiem otwarciem bram duszy przed światem całym, jakby serdeczną spowiedzią z najistotniejszych uczuć i myśli, które wielką tą piersią przez całe ćwierć wieku wstrząsały.

Ku jakiemuż przedmiotowi myśli te i troski kierowały się? Ku czemuż, jak nie wyłącznie ku temu dziedzictwu, które mu w opiekę było oddane, ku losom ludzkości całej, o ile nad nią rozciąga „namioty pokoju“ Kościół Chrystusowy.

Wstępując na tron, zastał tę ludzkość w krwawej waśni z Kościołem. Pisząc o tem w swoim testamencie, nie dziwi się temu. Wie o przepowiedni Boskiego Założyciela tego Kościoła, że prześladowanie i cierpienie, które było jego udziałem na ziemi, ma być też i udziałem jego instytucyi. Jest to odwieczna walka potęgi złej przeciw dobru, która, wedle tejże samej przepowiedni, do końca świata trwać będzie.

I stają sędziwemu starcowi przed myślą różne postacie tej walki od czasów najdawniejszych, aż po dzień dzisiejszy. Trzy wieki katakumb, następnie cały szereg herezyi, nawała barbarzyńców z północy i islamu z południa, różne kształty cezaryzmu, nie mogącego znieść obok siebie żadnej innej na świecie wielkości — i tak aż po czasy nowsze, po reformacyę, po szyderczą filozofię XVIII wieku. Reformacya i dalszy jej ciąg, racyonalistyczna filozofia, to już kolebka dnia dzisiejszego, to źródła, z których pełnem korytem płynie duch naszej epoki. W reformacyi zaatako-

wano najistotniejsze podwaliny chrystyanizmu, w wieku XVIII odrzucono już wszystkie prawdy objawione, usiłowano zniweczyć wszelką wiarę i religię wszelkie nawet tchnienie idei chrześcijańskiej.

I tu już opisuje papież ten stan rzeczy, wobec którego stanął, gdy na tron wstępował. Spuściznę wieku XVIII przybiera się po dzień dzisiejszy w pozory umiejętności i tworzy się systemy, „dawne błędy w nowej szacie“ — a ze systemów, ze sfer idei przeszły dążności te do życia codziennego, do publicznych urządzeń, i całą postać świata na swoją modłę urobiły.

I jak to życie, po wyrzuceniu religii i wszelkiej chrześcijańskiej idei, się przedstawia?

Jak najpierw życie jednostki? „Niezdolny do tego, aby na skrzydłach nadziei chrześcijańskiej podnieść się do wyższych dóbr, pragnąć będzie człowiek tylko ziemskiego pokarmu i będzie go widział w możliwie wielkiej sumie rozkoszy i w wygodach życia, które... wzniecają żądzę bogactw, pożądanie szybkiego i nadmiernego zysku, bez względu na sprawiedliwość, dalej powodują ambicyę, dla której zadowolenia człowiek się nie odwróci nawet od środków nieprawnych, nareszcie pogardę praw i władz publicznych, oraz powszechną wybujałość obyczajów, która pociąga za sobą prawdziwy upadek cywilizacyi“.

A rodzina? „Państwo... bez względu na granice i na główny cel swej władzy, wyciągnęło rękę, by sprofanować związek małżeński i pozbawić go religijnego piętna, targnęło się ono, o ile zdołało na przyrodzone prawo rodziców do wychowywania potomstwa i zburzyło w niektórych miejscach trwałość węzła małżeńskiego, uświęcając ustawami możliwość rozwodu, wynikłą z nieszczęśliwego pomysłu. Każdy widzi, jakie stąd wyrastają owoce... Małżeństwa te albo zrywa się po krótkim czasie, albo też wyradzają się w tragiczne zatargi, w skandaliczną niewierność, nie mówiąc już wcale o niewinnych dzieciach, które się zaniedbuje, albo które psują przykłady rodziców, lub jad, rozszerzony daleko przez państwo świeckie“.

Cóż sądzić o porządku społecznym, opartym na zasadzie, że władza pochodzi od ludu, a więc na tak kruchej podstawie,

jaką jest ułomna wola człowieka? „Czyż nie widać skutków tego w ustawach publicznych? Aż nazbyt często wyrażają one zamiast spisanego rozsądku, tylko liczebną siłę i decydującą wolę jednego stronnictwa politycznego. Właśnie dlatego schlebia się skłonnościom tłumu, pozostawia się wolną drogę namiętnościom ludowym, nawet wtenczas, gdy zagrażają spokojnej pracy obywateli, przy czem zachowuje się tylko możliwość chwycenia się później, w razie potrzeby, gwałtownej i krwawej represyi". To jedna ciemna strona obrazu społecznego; inna jest o wiele ciemniejsza. „Smutne położenie tak wielkiej części niższych warstw ludu... służy przedziwnie celom zręcznych agitatorów, a przedewszystkiem stronnictw socyalistycznych, które zapomocą szalonych obietnic, udzielanych tłumom ludu, zbliżają się do urzeczywistnienia swych potwornych planów".

A w sferze polityki? „Przez odrzucenie wpływów chrześcijańskich... przyjął się zwolna w stosunkach międzynarodowych system egoizmu i zazdrości, którego następstwem jest to, że narody spoglądają na siebie, jeśli nie z nieprzychylną zazdrością, to co najmniej z nieufnością rywala. Dlatego w swych przedsięwzięciach aż nazbyt łatwo ulegają pokusie pominięcia wysokich pojęć moralności i sprawiedliwości, oraz obowiązku bronienia słabych i uciśnionych, i w pożądaniu bezgranicznego przyrostu bogactwa narodowego gonią tylko za powodzeniem i liczą się z dokonanymi faktami, pewni, że nikt ich nie przymusi do szanowania prawa. To są zgubne zasady, które brutalna siła sankcyonuje, jako najwyższe prawo świata. Stąd postępujące naprzód i bezsilne pomnażanie uzbrojeń wojennych, albo także ów pokój zbrojny, który pod wieloma względami można porównać z najnieszczęśliwszymi skutkami wojny".

I tak, gdzie okiem rzucić, wszędzie stan smutny, często nawet rozpaczliwy, wydający w końcu tak potworne objawy, jak związki anarchistyczne?

Czy niema żadnego lekarstwa, żadnej deski ratunku?

Jednem z haseł, do których wielkie przywiązuje się nadzieje, jest wolność. Czy wolność w tym duchu pojęta, jak ją przodownicy „wolnej myśli" rozumieją, może rzeczywiście do

wyzwolenia ludzkości z tego smutnego stanu dopomódz? „Słyszeliśmy — pisze papież — wysławiających pod niebiosy dobrodziejstwa wolności, ale w istocie ta wolność okazała się nieodpowiednią. Podnoszą się wszędzie konflikty ekonomiczne i walki klasowe. Nie widać ani śladu pokojowego życia obywatelskiego. Przeciwnie, każdy może poświadczyć, że wolność, jak ją po dziś dzień rozumieją, wolność prawdy i fałszu, prawdziwego dobra i jego przeciwieństwa, doprowadziła tylko do poniżenia tego, co szlachetne, święte i wzniosłe, do otwierania na oścież drzwi zbrodniom, jednem słowem: wszystkim namiętnościom ludu“.

Sądzi się również, że oświata, udzielająca szerokim warstwom wyższego wykształcenia, będzie dostateczną tamą przeciw złym kierunkom, oraz utrzyma rzesze ludu w granicach porządku. Cóż na to papież? „Smutna rzeczywistość pozwala nam dziś widzieć jasno, jak na dłoni, kto stąd skorzystał, że nauka jest pozbawiona religijno-moralnej podstawy wychowawczej. Umysł młodociany przy braku doświadczenia i przy popędach namiętności, podlega zaklęciu zgubnych nauk, zwłaszcza przez złą prasę obficie rozszerzanych, które wpływają nieszczęśliwie na rozum i wolę“.

A wiedza? „Wiele spodziewano się po postępach wiedzy, i istotnie wielkie, niespodziewane, godne podziwu postępy wiedzy zaznaczyły się w ostatniem stuleciu. Ale czy rzeczywiście były stąd tak obfite owoce, jakich wielu pragnęło i spodziewało się? Wiedza z pewnością otworzyła nowe poglądy duchowi ludzkiemu, rozszerzyła panowanie człowieka nad przyrodą i w stokrotny sposób polepszyła życie ziemskie. Niemniej jednak czują to wszyscy i niektórzy wypowiadają to otwarcie, że rezultat zawiódł nadzieje. Musi to przyznać każdy, kto spogląda na stan moralności, na statystykę zbrodni, na wzrastający z głębi ruch, na panowanie siły przed prawem. Powierzchowny rzut oka wystarczy, aby poznać, że niewypowiedzianie smutne usposobienie ciąży na umysłach i ogromna próżnia otwiera się w sercach. Człowiek zawładnął nad materyą, ale ona nie mogła mu dać tego, czego nie posiada. Wiedza ludzka nie mogła rozwiązać wielkich kwestyi, które się odnoszą do interesów ludzkości.

Niezaspokojonem pozostało pragnienie prawdy, cnoty, rzeczy niezmierzonych".

Cóż tedy — pyta papież — czy zdobycze kultury, wiedzy, cywilizacyi i rozsądnej wolności, należy ze wzgardą odrzucić?

„Bynajmniej — odpowiada — przeciwnie, winny być one zachowane, popierane i wysoko cenione, jako drogocenny kapitał, ponieważ co do swej natury są dobrymi środkami, jakie Bóg dał dla dobra ludzkości" Jedno jest tylko nieodzownie konieczne — koniecznie potrzebnym jest jakiś decydujący pierwiastek, który z samej natury rzeczy we wszystkie te objawy wchodzić i je przenikać powinien. Bo przecież, jeżeli jakaś istota organiczna w swej żywotności się cofa, to pochodzi to stąd, że działać ustaje jakiś czynnik, z którego miała swój kształt i swoje istnienie.

I tu, wobec tej szerokiej i głębokiej myśli papieża, obejmującej ludzkość całą i wnikającej we wszystkie formy tej ludzkości, we wszystkie jej dążenia i kierunki przekonań, odczuwającej i rozumiejącej tak jasno wszystkie jej dolegliwości, choroby, niedole i niebezpieczeństwa, ku którym się coraz bardziej po drodze pochyłej stacza — staje druga ze stron walczących, przez dzisiejszą ludzkość znienawidzona, religia i Kościół. Ludzkość dzisiejsza usiłuje wyzbyć się wszelkich z tą drugą stroną stosunków, przeciąć wszelkie łączące z nią węzły, oddzielić i wyrwać ją doszczętnie ze swego organizmu i gdzieś poza próg ziemi wyrzucić — a tymczasem, dwie te strony walczące powinny stopić się w jedną całość, religia powinna całe życie świata i wszystkie jego objawy przeniknąć. Ona jest tem centrum, tem sercem ludzkości, z którego krew żywotna wszystkiemi arteryami po całym organizmie się rozpływa, i stąd, gdy jej działanie usiłuje ktoś powstrzymać, powstrzymuje też życie w całym organizmie. Jakżeż inaczej wytłumaczyć tę bolesną niemoc dzisiejszej ludzkości — przecież co tylko jej szczęście i dobrobyt zapewnić może, wszystko skwapliwie przyjmuje — jedną tylko religię wyklucza i dotkliwie chroma. To też wielokrotnie, w różnej formie, z silnym naciskiem, powtarza papież to wielkie zdanie, że „nie można porzucać wielkich zasad reli-

gijnych, a równocześnie nie zachwiać posadami dobrobytu społecznego".

I tę ideę, w całej jej doniosłości, w najwybitniejszych jej momentach, z wielkiem ciepłem i światłem rozsnuwa. Odsuwa najpierw na bok piętrzące się przeciw Kościołowi zarzuty, jakoby był przeciwnikiem wolności, nauki i cywilizacyi, jakoby zamierzał przywłaszczyć sobie atrybucye państwa. Wykazawszy nicość tych zarzutów, wskazuje szczegółowo na wielką, społeczną wartość religii — a raczej jej najdoskonalszego i jedynie prawdziwego wyrazu, katolicyzmu — tak w stosunku do jednostki, jak rodziny, w sferze społecznej i politycznej, w dziedzinie wiedzy i cywilizacyi, słowem w każdym zakresie życia ludzkiego.

Religia normująca już nie tylko sumienia jednostek, jak, z pewnymi wyjątkami, po dzień dzisiejszy, ale i życie społeczeństw — ludzkość cała, od góry do dołu, we wszystkich swoich składnikach i objawach, ideą chrześcijańską przenikniona i ustalona — oto ideał społeczny na wielką skalę i na daleką metę — program „katolicyzmu społecznego", w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Ten olbrzymi plan, całą tę rozległą ideę, poznawaliśmy w ciągu tego pontyfikatu zwolna, częściowo, to w tej, to w innej postaci, był więc czas wmyśleć się w nią i własne pojęcia do jej wielkiej miary rozszerzyć. Ale w umyśle wielkiego papieża była ona, przy wstępowaniu na tron, w całości, była mu gwiazdą przewodnią wszystkich jego myśli i czynów — „ku temu celowi — pisze w swoim testamencie — były skierowane najważniejsze akty naszego pontyfikatu, encykliki o filozofii chrześcijańskiej, o wolności człowieka, o małżeństwie chrześcijańskiem, o wolnomularstwie, o władzach publicznych, o głównych obowiązkach obywateli-chrześcijan, o socyalizmie, o kwestyi robotniczej i innych pokrewnych sprawach". A jak się pomyśli, że ten plan uchrystyanizowania społecznego całej ludzkości powstał wtedy, gdy ludzkość cały chrystyanizm odrzucała, gdy więc okoliczności nie były zachęcające, gdzie nadto tak łatwo było utknąć na jednym, drugim szczególe, na jakimś szczegółowym

i zacieśnionym kierunku pracy, to rozumie się wtedy, jak wielki umysł i jak wielka dusza w tym słabym starcu przebywa.

A co w tej sprawie najważniejsze, to to, że ideał ten jego społeczny nie jest jakimś apryorycznym systemem, wytworzonym w myśli, niezależnie od życia. Jak z jednej strony jest wysnuty z najgłębszej istoty katolicyzmu, tak z drugiej, jest ostatecznym, najdoskonalszym kształtem tych wszystkich wysiłków myśli i energii ludzkiej, które już przeszło od wieku, bezowocnie a krwawo szukały za doskonalszą formą uspołecznienia i bytu. Ta dążność, to gorączkowe szukanie, jest najsilniejszem tętnem, najgłębszą troską, najistotniejszym kierunkiem życia obecnej epoki. I w takiej chwili zjawia się Zastępca Chrystusa, który tę dążność, tę walkę umysłów i drżenie serc głęboko odczuwa, bystrym umysłem oddziela prawdę od fałszu i przyjmuje co dodatnie i słuszne, a przejaśniwszy wszystko ideą chrześcijańską, obecnemu światu i przyszłym pokoleniom, jako program działania podaje — jako swój testament.

Ludzie, stanowisku katolickiemu obcy, doniosłości tego programu jeszcze nie rozumieją, ale i między nimi wielu, bardzo wielu, instynktownie odczuwa, że tam jest siła i przyszłość.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

JUBILEUSZ A TESTAMENT LEONA XIII. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . 1*—10*

POŻEGNALNY WYSTĘP HERBERTA SPENCERA. (Dok.) Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 1 241

PODFILIPSKI I DOLĘGA. (Dok.) Przez *d-ra St. Dobrzyckiego* 16

ENUNCYACYE NASZEGO EPISKOPATU W KWESTYI SOCYALNEJ. (NN. XX. BB. Teodorowicz, Bilczewski, Pelczar, Stablewski). Przez *d-ra Włodzimierza Czerkawskiego* 33

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 61 203 389

MISTYCZNE CIAŁO CHRYSTUSA A CHARAKTERY SAKRAMENTALNE. (Dok.) Przez *ks. Włodzimierza Piątkiewicza T. J.* 78

DELITZ'SCHA „BABEL UND BIBEL". Przez *X. T. J.* . . . 223 372

NA KONGRESIE W MONACHIUM. Chrześcijańska organizacya zawodowa w Niemczech. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 169

„ZATOPIONY DZWON" HAUPTMANNA A NIETZSCHE. Przez *ks. M. Kohlsdorfera T. J.* 191

NOWE HASŁO SŁOWIAŃSKIE. Przez *M. Zdziechowskiego* . 333

NAJNOWSZE STANOWISKO SOCYALISTÓW WZGLĘDEM KOŚCIOŁA. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 356

Z KONGRESU LEKARSKIEGO W MADRYCIE. Przez *d-ra B. Wicherkiewicza.* 410

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z czasopism polskich w roku ubiegłym: Ateneum. Krytyka. Ognisko. Kraj. Tygodnik illustrowany. Wędrowiec. Biesiada literacka. Illustracya polska. Echo muzyczne i teatralne. Praca. Prawda. Przegląd tygodniowy. Głos. Ogniwo. Czasopisma dla dzieci. Teka i Promień. Przegląd pedagogiczny. Szkoła. Szkolnictwo. Muzeum. Kwartalnik historyczny. Przewodnik bibliograficzny. Czasopisma religijne i teologiczne. Czasopisma prawnicze i społeczne. Czasopisma peryodyczne i lekarskie. Technika. Gospodarstwo. Varia. *(Dr. Stanisław Zdziarski).* — Biblioteka Warszawska. *(J. Fr. Magiera).* — Przegląd Polski. *(J. Fr. Magiera).* — Pamiętnik literacki. Czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej. Rocznik I. *(Dr. Stanisław Dobrzycki).* — Kwartalnik teologiczny. Czasopismo poświęcone wiedzy katolickiej. I rocznik. Przegląd Kościelny. Pismo miesięczne poświęcone nauce i sprawom Kościoła katolickiego. I rocznik. *(N. T.)* 100

Z dziedziny homiletyczno-kaznodziejskiej: Ks. Bisk. J. Pelczar: „Zarys kaznodziejstwa“ III. — Ks. dr. A. Jougan: 1) „Homilie polskie“. 2) „O kazaniach jubileuszowych w Polsce“. 3) „O kazaniach karcących“. — Ks. prof. A. Szlagowski: „Mowy pogrzebowe i przygodne ks. F. Birkowskiego“. — Ks. A. Syski: „Ks. T. Młodzianowskiego cztery kazania adwentowe o grzechu“, — Kazania i mowy: ks. d-ra J. Bukowskiego, ks. d-ra A. Kopycińskiego, ks. F. Walczyńskiego, ks. prał. E. Podolskiego, ks. prał. W. Chotkowskiego, ks. Wacława z Sulgostowa, ks. A. Szlagowskiego, ks. biskupa K. Fischera, ks. prał. Smoczyńskiego, ks. Makowca. — Dzieła: ks. d-ra J. Górki, O. Ravignan T. J., ks. S. Coubé T. J. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* . . 255

O działaniach i dziełach Bismarcka. St. Koźmian. *(Dr. Br. Łoziński)* 269

Zarys pojęć o narodzie. Opracował I. Snitko (St. H. Heybowicz). *(W. Gostomski)* 277

Najnowsze prądy w poezyi naszej. P. Chmielowski. — Dramat polski doby najnowszej. Tenże. *(Dr. St. Dobrzycki)* 280

Utwory dramatyczne. Lucyan Rydel. Z portretem autora. 2 tomy. *(W. Gostomski)* 437

Sny o potędze. Poezye Leopolda Staffa. — Mistrz Twardowski. Poezye. Tenże. — Dzień duszy. Poezye. Tenże. *(W. Gostomski)* 441

Barss, palestrant warszawski, jego misya polityczna we Francyi (1793—1800). Aleksander Kraushar. *(Dr. Bronisław Łoziński)* . . 445

Geografia historyczna dawnej Polski. Zygmunt Glogier. Wydanie drugie. *(Wołyniak)* 450

Z piśmiennictw obcych.

Z czasopism słowiańskich w roku ubiegłym: Slovanský Přehled. Rocznik IV. Vlasť (Ojczyzna). Rocznik XVIII. Naše Doba. Rocznik IX. Ceská Revue. Rocznik V. Nový Zivot. Rocznik VII. *(Jan Magiera).* — Vienac zabavi i pouci. Rocznik XXXIV. *(J. M.)* — Dom in svet. List s podobami za leposlovje in znanstvo. Rocznik XV. *(J. M.)* 133

Notre devoir sociale. Questions pratiques de morale individuelle et sociale. L'abbé Naudet. *(Ks. Aleks. Mohl T. J.)* 285

Str.

Napoleons Tod im Spiegel der zeitgenössischen Presse und Dichtung. Von Paul Holzhausen. *(Dr. J. Flach).* 287
Trzaji („Strzępy“). Silvije Strahimir Kranjcević. *(Nagoda Saryusz)* . 289
The Farringdons. By Ellen Thorneycroft Powells. *(T. W.)* 292
Was siehst du aber den Splitter?... Karl Larssen. *(T. Wodzicka)* . 293
Paul Kelver. Jerôme K. Jerome. *(T. Wodzicka)* 454
Johann Keppler, der Gesetzgeber der neueren Astronomie. Adolf Müller S. J. *(W. S. T. J.)* 457
Talleyrand évêque d'Autun. Par Bernard de Lacombe. *(M.)* . . . 455
Les Vies Closes — etudes d'âmes. George Maze-Sencier. *(M. Harsdorf)* 461

Z pism czasowych:

Przewodnik naukowy i literacki. Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiej. Rocznik XXX. *(J. M.)* 297
Łužica. Měsačnik za zabawu a powučenje. Zhromadny časopis hornjoa delnjołužiskich Serbow. Wudawataj Dr. phil. Ernest Muka a Mikławš Andricki. Lětnik 21. *(J. Magiera)* 464

Zapiski bibliograficzne.

Przez tajgi. Władysław Trzciński. *(E. C.)* 299
Historya i polityka. Próba programu. Napisał Nie-Stańczyk. *(Ks. K. C. T. J.)* 300
Złota księga szlachty polskiej. Teodor Żychliński. *(W.)* 300
Z dziejów wstrzemięźliwości. W. Lutosławski. *(Ks. K. C. T. J.)* . . 300
Wspomnienia z lat ubiegłych. Wł. hr. Poniński. *(Ks. K. C. T. J.)* . . 301
Kroże. *(Ks. K. C. T. J.)* 301
Za wolność. Kruk. *(Ks. K. C. T. J.)* 302
Ucieczka z Syberyi Rufina Piotrowskiego. *(Ks. K. C. T. J.)* 302
Śladem tęsknoty. Powieść T. Konczyńskiego. *(Ks. H. H. T. J.)* . . 302
Rapsody. J. St. Wierzbicki. *(M. B. T. J.)* 303
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik dziewiąty. *(Dr. B.)* 466
Societas Literaria Toruniensis. *(Dr B.)* 466
Szkice i wrażenia literackie. Antoni Potocki. *(Dr. St. Zdz.)*. . . . 467
Z dawnych lat. Gawędy i opowiadania. Czesław Pieniążek. *(H.)*. . 468
Adam Mickiewicz i osnownyje motiwy jewo poezii. Roman Brandt. *(Dr. St. Zdz.)* 468
Anonima-protestanta XVI wieku Erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty z rękopisu wydał Ignacy Chrzanowski. *(Dr. St. Zdz.)* 469
Z moich wspomnień. Wstęp i tom I i II. Józef Dunin-Karnicki. *(W.)* 470
Tristram of Blent by Anthony Hope. *(T. W.)* 471

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Związki katolickiej prasy w Bawaryi. — Nowe ustawodawstwo angielskie w sprawie szkół ludowych. Przez *ks. K. Krokoszyńskiego T. J.* 142

Str.

Ze świata nauk i wynalazków: Telegraf bez drutu. Jego rozwój i przyszłość. — Resonancya optyczna. — Nowa teorya barw skrzydeł motyli. — X-pierwiastki. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 152
Z życia i prasy: Pojęcie i obrona honoru w armii. — *Czas* o publicznej żebraninie 164

MAJ.

Sprawy Kościoła: Londyńska obrona nauki Kościoła o odsetkach. — Prośba o katolicką obronę Hindusów przed niewiarą. — Centrum Hollenderskie straciło swojego Windhorsta. — Stanowisko biskupa włoskiego wobec strejku rolnego. — Kościół we Francyi nie znajduje obrony stosownej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 304
Pogadanka artystyczna. Przez *Leonarda Lepszego* 316
Ze świata muzyki. Ks. Perosi we Lwowie. Przez *X* T. J.* 325
Z dziedziny pedagogicznej. Wystawa pedagogiczna w Wiedniu. Przez *ks. M. Kohlsdorfera T. J.* 329

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Rzekomo klerykalna Panama w Pradze. — Proste drogi duchowieństwa czeskiego. — Pół wieku katolickiej pracy społecznej u Czechów. — Walka przeciw socyalistom czeskim. — W dziewięć lat po zjeździe brneńskim. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 472
Kronika ekonomiczna: Wypłaty gotówką. — Upaństwowienie kolei północnej. — Autonomiczna taryfa celna. — Sprawozdania Towarzystw Rolniczych. Przez *A. M.* 482
Trzeci wiec katolików Dolnej Austryi. Przez *ks. K. Krokoszyńskiego T. J.* 492
Ankieta „Kuryera teatralnego". Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . 497

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.